

PERLA

ERIC VAN LUSTBADER

ZASŁONA TYSIĄCA LEZ



IMPERLA

ERIC VAN LUSTBADER

ZASŁONA TYSIĄCA ŁEZ



Eric Van Lustbader

Zasłona tysiąca łez

(The Weil of a Thousand Tears)

Drugi tom cyklu „Perła”

Przekład Lucyna Targosz

Data wydania oryginalnego 2002

Data wydania polskiego 2003

Dla Davida, Lindy i Thoma

Księga pierwsza

Tajemne wrota

Tajemne wrota to jedyna z piętnastu Wrót Duszy, w których spoczywa duch, tasując karty losu i przyszłości: to tutaj bierze początek nadzieja i dobiega końca śnienie.

Przezyste Źródło

Święty Pięcioksiąg Miiny

1. Wyłom

Riane i Giyan znajdowały się w bibliotece Opactwa Gorącego Nurtu. Była północ. Zimny wiatr szeleścił kolczastymi sysalowcami, twardą skałę pod opactwem zaś przebiegało rytmiczne drzenie – to strumienie mocy spletały się tam niczym pasma rudawych włosów wielkiej bogini Miiny.

Biblioteka – wyłożona marmurem, zdobna kolumnami – była sennym pomieszczeniem w środku przypominającej twierdzę budowli. Ramahańskie opactwo opuszczono przed wieloma laty, a kilka tygodni temu Riane wraz z przyjaciółmi – kundalańską czarodziejką Giyan, v’ornnańskim Rhynnonem Rekkkiem Hacilarem, przywódczynią kundalańskiej partyzantki Eleaną i Rappa imieniem Thigpen – wybrali je na swoją siedzibę. Oddziały Khaggunów przeczesywały okolicę, szukając ich. Kiedy raz zapędzili się do opactwa, zbiegów ocaliła magia Giyan. Czarodziejka zbudziła ich, zabrali wszystko, co mogło zdradzić ich obecność, i uciekli do pobliskiego lasu; tam, w głuchym milczeniu, czekali, aż wróg odejdzie.

Opactwo, obrabowane przed dziesięcioleciem przez v’ornnańskich najeźdźców,

było częściowo spalone i zrujnowane. Pod zniszczonym okapem gnieździły się gimnopedy. W zacienionych kątach pająki wysnuły całe pajęczynowe miasta. Na podwórcu wyrósł piękny sysalowiec, rozsadzając wschodnie nadproże świątyni. Poskręcane, szarawe korzenie zniszczyły kamienne płyty, dając świadectwo temu, że życie zajmuje i przekształca pustkę. Jedynie biblioteka pozostała nietknięta – chroniło ją potężne zaklęcie, które Giyan zneutralizowała, by mogli tam wejść.

Riane przyglądała się Giyan – wysokiej, smukłej, pięknej, złocistej, promiennej, lecz z dłońmi i przedramionami skrytymi w poczerniałych skorupach magicznych poczwarek. Nawet teraz ledwo mogła uwierzyć, że znów są razem. Przy Giyan czuła się rozdarta, rozdwojona. Była nie tylko Riane, szesnastoletnią kundalańską sierotą, która nie pamięta swoich rodziców i nie ma pojęcia, skąd pochodzi. Była również V'ornnem, Annonem Asherą, najstarszym synem Eleusisa Ashery. Eleusis zaś był regentem Kundali aż do zamachu, jakiego dokonali jego najwięksi wrogowie – naczelny faktor Wennn Stogggul i dowódca przybocznej gwardii regenta, Kinnus Morcha.

Riane spojrzała w błękitne jak niezabudki oczy Giyan.

–Zawsze masz zdziwioną minę, kiedy na mnie patrzysz – powiedziała.

Giyan zabolalo serce, bo za tym zwyczajnym stwierdzeniem wyczuła emocje, pytanie, którego Riane nie była w stanie zadać: czy nadal mnie kochasz?

–Cudownie być tutaj tylko z tobą. I móc nazywać cię Teyjattt.

Teyje to przepiękne, barwne, czteroskrzydłe ptaki, które Gyrgoni (kasta v'ornnańskich technomagów) hodowali i wszędzie ze sobą zabierali.

–Mały Teyj. Uwielbiałaś tak nazywać Annona, kiedy był dzieckiem.

Giyan poczuła niepokój i znów ścisnęło się jej serce.

–A Annon tego nie lubił?

Przez chwilę panowało milczenie.

–Wydaje mi się, że Annon nie cenił twojej miłości. Nie miał pojęcia, co z nią począć.

–Jak osobiwie o tym mówisz.

–Nie jestem już Annonem. – Riane rozłożyła ręce. – Annon nie żyje. Cała Kundala o tym wie.

–A my? Co my wiemy?

Riane spojrzała na wspaniałe sklepienie biblioteki, ozdobione mozaiką przedstawiającą Kundalę i otaczające ją konstelacje, które – wysadzone milionami maleńkich barwnych szklanych płytek, dopasowanych tak kunsztownie, jak to jedynie kundalańscy rzemieślnicy potrafili – rozsiewało zjawiskowy poblask wiecznego wschodu lub zachodu słońca. Pod osłoną tego nieba dziewczyna czuła się bezpieczna, chroniona zarówno przed wrogami Annona, jak i przed nieprzyjaciółmi Daru Sala-at. Bo Annon był nie tylko dziedzicem Konsorcjum Asherów. Wraz z Riane zostali zespoleni w unikalną jedność i byli Darem Sala-at, wybrankiem Miiny mającym, jak to przepowiedziano, odnaleźć Perłę (najpotężniejszy, tajemniczy, starożytny kundalański artefakt) i wyzwolić Kundalan z trwającej sto jeden lat niewoli u przewyższających ich rozwojem technologicznym V'ornnów.

–Kiedy jesteśmy tutaj tylko we dwie – odezwała się dziewczyna – możemy się dzielić wspomnieniami. Jak duchy warzące pokarm życia.

–Mieszające w kociołku.

–Tak. – Uśmiechnęła się z goryczą Riane. – Szykujące coś wspaniałego.

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch. W wysokim wychodzącym na wschód oknie mignęła sylwetka Rekkka Hacilara. Na podłużnej, stożkowatej, pozbawionej włosów głowie miał bojowy hełm, wykonany, jak twierdzono, z czaszki pokonanego Kraela, w dłoni trzymał kord. Purpurowa zbroja połyskiwała złowieszczo. Kiedyś był Khagggunem, należał do v'ornnańskiej kasty wojskowych, ogłosił się jednak Rhynnonem, porzucił swoją kastę i poświęcił ważniejszej sprawie. Oddał się w służbę Nith Sahorowi, nieżyjącemu już Gyrgonowi. Ponieważ Nith Sahor życzył sobie, by odnaleziono i chroniono Dar Sala-at, Rekkk przysiągł bronić Riane. Został również kochankiem Giyan.

–Ofiarowano nam dar jedyny w swoim rodzaju, nieprawdaż? – Powiedziała Giyan. – Drugą szansę.

Na dziedzińcu wśród ruin Rekkk rozpoczął ćwiczebną wymianę ciosów z Eleaną, co stało się już rytuałem. Dziewczyna była rówieśnicą Riane. V'ornnański kord wydawał się masywny w jej delikatnych białych dłoniach, lecz zręcznie władała tą bronią o bliźniaczych ostrzach. Dzięki naukom Rekkka szybko stawała się mistrzynią. Nieustannie trenowali, Hacilar twierdził, że to pozwala mu nie rozmyślać o ranach tak fizycznych, jak i psychicznych.

Riane przyglądała się jej przez chwilę ze ściśniętym gardłem. Annon i Eleana byli w sobie zakochani. A teraz Eleana, podobnie jak wszyscy, sądziła, że Annon nie żyje. Riane zaś, z duszą Annona, nadal kochała Eleanę i nie wiedziała, jak sobie z tą miłością poradzić.

–Wiem, że pragniesz jej o wszystkim opowiedzieć – powiedziała Giyan, również przyglądając się Eleanie.

–Bardzo ją kocham. I nigdy nie przestanę.

–I miłość sprawia, że chciałabyś jej wszystko wyznać. – Milczenie Riane było wymowne. – Nie wolno ci. Jeżeli jej powiesz, kim naprawdę jesteś, narazisz na niebezpieczeństwo zarówno swoje, jak i jej życie.

–Działa w partyzantce, jest przyzwyczajona do tajemnic.

–Ale nie takich. Ta byłaby zbyt wielka. Przytłoczyłaby ją niczym góra.

–Może jej nie doceniasz.

Wszyscy usłyszeli ten charakterystyczny dźwięk i zamarli. Spojrzeli ku niebu, bo buczenie połyskujących działkami jonicznymi poduszkowców Khagggunów zagłuszyło szum wiatru i głosy nocnych ptaków. Poczuli dławiący niepokój, jakby nagle zabrakło im powietrza. Dostrzegli smugi jonów, ulotne jak dym, podświetlone poświatą księżyców, kreślące pod przepływającymi chmurami złowróżbne znaki. Po chwili buczenie się oddaliło, osłabło i wreszcie zamilkło, a cisza niemal boleśnie dzwoniła im w uszach.

Riane i Giyan z ulgą wymieniły spojrzenia i dziewczyna znów zapatrzyła się na zwinne ruchy Eleany, na jej twarz w poświacie księżyców, ciemne rzęsy, łagodną wypukłość brzucha.

–A może chodzi o coś innego? Nie ufasz jej.

–Chodzi nie tylko o zaufanie – odparła ostrożnie Giyan.

–Czyżby? – Odparowała ostrzej, niż zamierzała Riane.

–Przecież już ci mówiłam. Przepowiednia głosi, że jeden z sojuszników Daru Sala-at będzie go kochać, drugi zdradzi, a trzeci spróbuje go zniszczyć.

–Tu nie może chodzić o Eleanę. Na pewno nie o nią.

–Nie. – Giyan mówiła cicho i miękko. – Wiem, że tak byś nie pomyślał.

–Nosi dziecko Kurgana. (Kurgan był najstarszym synem Wennna Stogggula i niegdysiejszym najlepszym przyjacielem Annona.) Będzie jej potrzebna nasza pomoc i wsparcie.

–Jesteś Darem Sala-at. Masz ważniejsze sprawy.

–Wciąż dręczy się gwałtem, jaki jej zadał Kurgan. Cóż jest ważniejszego od czyjejs udręki?

–Los naszego ludu.

–Los naszego ludu zasadza się na cierpieniu. Właśnie ty, spośród wszystkich Kundalan, przede wszystkim powinnaś to przyznać.

Giyan spojrzała w zamyśleniu na Riane – złotowłosą, opaloną, o mięśniach wyćwiczonych przez ukochane górskie wspinaczki – i pomyślała, że ta silna, piękna dziewczyna mogłaby być jej córką, gdyby kiedyś wybrała Kundalanina.

–Musisz mi wybaczyć, Teyjattt. Całe życie strzegłam sekretów. Najpierw ukrywałam swój dar magii Osoru, zdemonizowanej przez Ramahanki. Potem tałam przed V'ornnami, że jestem silną czarodziejką, boby mnie zabili, gdyby się o tym dowiedzieli. Teraz zaś strzegę tajemnicy twojej prawdziwej tożsamości, bo zginąłbyś, gdyby się to wydało. Takie było moje życie.

Poświata pięciu księżyców Kundali, wpadająca przez pięć łukowatych okien osadzonych w grubych murach biblioteki, rozjarzała szklane płytki mozaiki, nadawała im trójwymiarową głębię. Giyan, skąpana w świetle księżyców, aż pulsowała magiczną mocą. Jej białe szaty były jasne jak śniegi leżące na poszarpanych szczytach gór Djenn Marre. Nie świeciły jedynie dłonie i przedramiona, skryte w czarnych kokonach. Poczwaraki pojawiły się wtedy, kiedy Giyan przerwała święty krąg Nanthery, daremnie usiłując zachować Annona przy życiu. Zdobyła się na to, bo był jej synem. Urodziła syna regenta, Eleusisa Ashery. Nie zdradziła tego nikomu – ani Rekkowi, ani nawet samemu Annonowi. Eleusis od początku wymógł na niej dochowanie tajemnicy. Gyrgoni systematycznie wysyłali oddziały Khaggunów na poszukiwanie dzieci urodzonych przez Kundalanki zgwałcone przez V'ornnów. Ci mieszańcy, zewnątrznie niczym nie różniący się od V'ornnów, byli zabierani przez Genomatekków do przytułku Błogosławiącego Ducha, rozległego medycznego kompleksu w Axis Tyr, będącego niegdyś kundalańskim hospicjum. Nawet Eleusis nie mógł się dowiedzieć, jakie eksperymenty wykonywano na tych biedactwach. Giyan potrząsnęła głową.

–Mimo to nie doradzę ci, co masz zrobić. To musi być twoja decyzja.

–Obiecuję ci, że nie będzie pochopna – rzekła Riane.

–Nie mogłabym prosić o więcej, Darze Sala-at.

Dziewczyna zajęła się księgą, którą dała jej Giyan. Giyan, podobnie jak jej bliźniaczka, była ramahańską kapłanką, lecz w przeciwieństwie do Bartty – która praktykowała Kyofu, Czarne Śnienie, i zginęła w magicznej pożodze – zajmowała się Osoru, magią Pięciu Księżyców. Riane również miała Dar, Annon odziedziczył go po

Giyan. Dziewczyna dopiero zaczęła nauki Osoru i bardzo pragnęła szybko stać się równie biegłą czarodziejką jak Giyan. Stogggul i Morcha już nie żyli, Riane pokonała potężną czarodziejkę Osoru, Malistrę, ale Dar Sala-at nadal miał licznych wrogów. I to o wiele potężniejszych niż Malistra. Wykorzystywali oni czarodziejkę do swoich podstępnych intryg, a kiedy umarła, znaleźli sobie nowych wykonawców, Riane była tego pewna. Teraz jednak należało wyjaśnić inną pilną sprawę. Odłożyła księgę pełną zawiłych znaków Starej Mowy i podeszła do Giyan. W powietrzu wirowały drobinki kurzu, połyskując w świetle lampy. Jeden z księżyców w pełni, o najdelikatniejszym odcieniu zieleni świeżo wzeszłej trawy, wisiał za oknem jak owad schwytyany w pajęczą sieć.

–Tak szybko skończyłeś naukę, Teyjattt?

Gęste miedziane włosy spływały po smukłej szyi Giyan, okalały jej ramiona niczym płynne światło.

–Prawdę mówiąc, tyle mam w głowie pytań, że niczego więcej nie mogę do niej wbić. – Riane oparła dłonie na długim jak cała biblioteka stole z drewna ammonowca. – Musisz mi powiedzieć, o ile to wiesz, dlaczego nie mogłam otworzyć Drzwi Skarbnicy. Giyan bardzo długo milczała. Bez wątpienia, podobnie jak Riane, myślała o Drzwiach Skarbnicy, zainstalowanych przed eonami przez Miinę w pieczarach pod Środkowym Pałacem.

To w Skarbnicy Miina ukryła Perłę, by się tam bezpiecznie przechowała do czasu zapowiedzianego w proroctwie. Kundalańska tradycja głosiła, że drzwi może otworzyć jedynie Dar Sala-at, korzystając z Pierścienia Pięciu Smoków. Wyłącznie Dar Sala-at mógł otworzyć drzwi. Riane, pokonawszy złą czarodziejkę Malistrę, próbowała otworzyć drzwi pierścieniem, ale bez skutku. Dlaczego?

Giyan już miała coś powiedzieć, kiedy nagle skrzywiła się z bólu. Zachłysnęła się oddechem, złapała za poczwarę na prawym przedramieniu.

–Giyan...

–W porządku – szepnęła. – Ból już mija. – Pot wystąpił jej na czoło.

–Chcę pomóc.

–Chęci, niestety, nie wystarczą. – W kącikach oczu Giyan błyszczały łzy, była blada, lecz po chwili zapanowała nad sobą i podjęła: – Pierścień Pięciu Smoków tylko w jednym przypadku nie otworzyłby drzwi. Kiedy Miina budowała Skarbnicę, zastosowała pewne ostateczne zabezpieczenie. Choć to się wydaje niemożliwe, musiał się pojawić wyłom w portalu pomiędzy tą sferą a Otchłanią. I demony przybyły tutaj, skąd je przed eonami przepędzono. Dopóki będą w naszym świecie, nawet ty nie zdołasz otworzyć drzwi.

Riane boleśnie ścisnęło się serce.

–Tzelos...

–Tak. Dwa razy widziałas Tzelosa: raz stanowił część rzuconego na ciebie uroku, a za drugim razem był magiczną awatarą Kyofu. Muszę uznać, że Tzelos się tutaj pojawił. To demon z Otchłani. Przedostał się do naszego świata.

–Ale jak?

Giyan pociemniały oczy.

–Obawiam się, że to przeze mnie.

–Przez ciebie? Nie rozumiem.

–Zaklinanie Nanthery niesie ze sobą ogromne ryzyko- powiedziała Giyan. – W tym także otwarciu portalu wiodącego do Otchłani.

Giyan i Bartta, rozpaczliwie starając się ocalić Annona przed wrogami, uciekły się do zaklęcia Nanthery, na krótko otwierając zakazany portal do Otchłani. Dzięki temu jaźń Annona została przeniesiona w ciało Riane, kundalańskiej dziewczyny umierającej na gorączkę duur. Ocalało zaś jego v'ornnańskie ciało, które oddano wrogom. Annon połączył się z Riane i powstał Dar Sala-at, wybraniec Miiny. Teraz od Riane zależała przyszłość Kundali.

–Przecież mówiłaś, że zaklinaniu Nanthery towarzyszy mnóstwo potężnych i skomplikowanych zabezpieczeń.

–To prawda. Ale złamałam jedno z nich. Sięgnęłam po ciebie w obręb magicznego kręgu. Nie mogłam się powstrzymać. Ja... – Dotknęła dłonią skroni.

Riane ją objęła.

–Nawet jeżeli masz rację, nawet jeżeli to właśnie się stało, i tak już się dokonało. Nieważne, jak naruszono zamknięcie portalu. Ważne, by go na nowo zabezpieczyć.

Giyan potrząsnęła głową.

–To nie takie proste, Darze Sala-at. Miina, tworząc Otchłań, by uwięzić w niej demony i arcydemony, przydała jej siedem portali, każdy opatrzyła odmiennym magicznym zamknięciem. To było zabezpieczenie. Nawet gdyby arcydemonowi, Pyphorosowi lub jednemu z jego trzech potomków, udało się jakoś prześliznąć przez jeden z portali, to pozostałe by nas chroniły. Bo demony tylko wtedy mogłyby się przedostać do naszego świata, gdyby jednocześnie otwarto wszystkie siedem

portali. – Giyan nerwowo chodziła tam i z powrotem. – Prawdziwy problem stanowi nie Tzelos, lecz arcydemon, który się wydostał.

Riane wpatrywała się w nią.

–Arcydemon w naszym świecie?

–To może być katastrofalne – rzekła Giyan. – Jeżeli nam nie uda się odnaleźć arcydemona i go unieszkodliwić, może on wyrządzić nieobliczalne szkody.

–Ale jeżeli tu jest, to ktoś na pewno już by zobaczył tego... arcydemona.

–Wcale nie. Dopóki nie otworzy się siedmiu portali, arcydemony nie mogą się pojawić we własnej postaci. Muszą sobie znaleźć nosicieli, opętać ich i poprzez nich działać. Dlatego tak trudno je wykryć i są tym groźniejsze. Legenda mówi, że nie kontrolują w pełni swoich nosicieli. Działania nosiciela mogą się niekiedy wydawać dziwaczne, bo arcydemon nie ma bezpośredniego dostępu do całej jego wiedzy. Jednakże z czasem może to ulegać zmianie.

–Musimy albo obu zniszczyć, albo przepędzić do Otchłani – uznała Riane. – Inaczej nigdy nie zdołam otworzyć Drzwi Skarbnicy. I nigdy nie odnajdę Perły.

Giyan uśmiechnęła się ponuro, poruszając palcami zamkniętymi w niesamowitych osłonkach.

–Musimy przyspieszyć twoje magiczne szkolenie. Tyle tylko możemy zrobić, Thigpen i ja. Święte Księgi Miiny, *Przeczyste Źródło* i *Księga Zaparcia się Wiary*, które już czytałaś, wymagają odpowiedniej interpretacji, dzięki niej zaszyfrowany język stanie się dla ciebie nauką, a nauka magią. Takie interpretacje wymagają tworzenia ściśle określonych powiązań, konstruowania fraz, inkantacji, teorii, idei, szeptów, cieni i blasku. Kiedy już sobie przyswoisz nauki, to nieustannie powinnaś ćwiczyć owe interpretacje, dopóki się w tobie nie zakorzenią, dopóki nie staną się częścią ciebie.

Przez twarz Riane przemknął cień.

–Matka by mnie nauczyła – wyszeptała. – Ale Matka nie żyje.

Dziewczyna była ubrana w turkusowy strój uszyty z szat Matki, którą zabiła, zmylona straszliwym zaklęciem Kyofu. Proroctwo przepowiedziało to morderstwo, co wcale nie przynosiło Riane ulgi.

Giyan poruszyła się. W swoim przemienionym dziecku widziała wielką nadzieję dla Kundali, lecz czuła też ból i żal. Żal, że nigdy nie mogła zdradzić Annonowi, iż jest jej synem, że musiała go ukryć wewnątrz Riane, a potem zostawić Riane z Barttą, która

tak źle ją traktowała.

–Matka by ci powiedziała, że żaden nauczyciel nie wystarczy. – Giyan czuła smutek swojego dziecka i pragnęła cały ten ciężar wziąć na swoje barki. – Przed tobą długa droga, Darze Sala-at, żmudna i kręta. Jest ktoś, do kogo muszę cię jak najszybciej zaprowadzić. To ona rozpocznie twoją naukę. Jest imari w „Nimbusie”, kashiggenie w północnej dzielnicy Axis Tyr.

–Czegóż może mnie nauczyć szafarka rozkoszy w przybytku salamuuunu?

Giyan uśmiechnęła się leciutko.

–Znów mówisz jak V’ornn. Wiem, że się niecierpliwisz, Teyjattt, lecz musisz się pogodzić z tym, że przed tobą wytężona nauka. Nie ma żadnych dróg na skróty, ani magicznych, ani innych. Jak mówiłam, droga Daru Sala-at jest najtrudniejsza. Do tej pory żyłeś albo jako uprzywilejowany v’ornnański chłopiec, albo jako Ramahanka zamknięta w Opactwie Optywającej Jasności. W obu przypadkach nie miałeś styczności z codziennym życiem. Oba twoje dotychczasowe życia dobiegły kresu.

–Nie rozumiem.

Giyan odwróciła księgę, którą czytała, tak że Riane widziała tekst w Starej Mowie.

–Przed pojawieniem się V’ornnów, kiedy błyskawice przecinały niebiosa i wszystkie magiczne stworzenia Miiny, Rappa, narbuki, perwillony, a nawet Ja-Gaar i Pięć Świętych Smoków, wędrowały po ziemi i niebie, wszyscy Kundalanie żyli w harmonii. – Giyan odwróciła stronicę. – Mężczyźni i kobiety dzielili się wszystkim, także władzą. Były nie tylko ramahańskie kapłanki, ale i kapłani.

–Lecz potem klika ramahańskich kapłanów odebrała Matce władzę – odezwała się Riane. – Więzili ją ponad wiek.

Dopóki jej nie odnalazłaś i nie uwolniłaś. – Giyan, wyczuwając niepokój Riane, podjęła opowieść – A oto pewna ważna sprawa. Obecnie kundalańscy mężczyźni traktują kobiety jak istoty niższe, dokładnie tak samo jak V’ornnowie To temu będziesz musiała stawić czoło w codziennym życiu. – Z trzaskiem zamknęła księgę. – To mnie przeraża. To przejaw najgorszego, co V’ornnowie nam uczynili. Wiesz, o czym mówię, Riane?

–Odebrali nam wolność.

–To złe, lecz nie najgorsze.

–Zabili i torturowali dziesiątki tysięcy naszych.

–To straszne, o tak. – Giyan pokiwała głową. – Jednak najgorsze robią teraz, metodycznie, V’ornnowie wykorzystują przeciwko nam czas, idee i nas samych. Jak myślisz, dlaczego najmlodszy Kundalanie pogardliwie odnoszą się do kobiet? Bo tego ich nauczono. Każdego dnia pewna liczba Kundalan przechodzi na Karę, religię bez bogini. Skąd się twoim zdaniem wzięła Kara? Od V’ornnów, rzecz jasna.

–Jesteś pewna? – zdumiała się Riane. – Annon o tym nie wiedział.

–Nie wątpię, że większość V’ornnów nie wie. To wymysł Gyrgonów. Kara wciąż zdobywa nowych wyznawców. V’ornnański jad z każdym pokoleniem wytrawia to, co Miina z takim trudem wpoila swoim dzieciom, Kundalanom. Zetknęłaś się już z tym w Opactwie Opływającej Jasności. Nie uczą się Osoru, święte teksty zostały zniekształcone nie do poznania. A najgorsze, że akolity to zaakceptowały. Nie mogą dostrzec prawdy, bo w obrębie opactwa zniszczono moralność, a prawda bez moralności jest niczym.

Giyan miała łzy w oczach. Riane cierpiała tak samo jak ona. Te słowa, uczucia, występki V’ornnów sprawiły, że v’ornnańska część osobowości dziewczyny się wycofała. Przez to „odłączenie” Riane zakręciło się w głowie, osłabła i musiała się chwycić krawędzi stołu, żeby nie upaść na połyskującą podłogę.

–Zapamiętaj, Riane – wyszeptała Giyan. – Czas jest wielkim sprzymierzeńcem kłamcy, bo kiedy wystarczająco długo powtarza się kłamstwa, prawda blaknie i zostaje zapomniana. A wtedy to kłamstwa stają się prawdą. Powstaje nowa wersja historii i wszystko przepada.

Riane wspomniała, jak kierująca opactwem Bartta zamordowała jej przyjaciółkę, Astar, i twierdziła, że to był wypadek. Przypomniała sobie, jak Bartta ją torturowała i omal nie zabiła. Bartta była niegodziwa, bo zaczęła wierzyć we własne kłamstwa i przeinaczenia. Była zarazem sprawczynią i ofiarą.

–A jednak...

Giyan patrzyła spokojnie na Riane i nawiązała się między nimi nic porozumienia, połączył je własny język, który Annon pamiętał od zawsze. Taki język to wspaniała rzecz, znakomity przekaznik, bo płynie wraz z krwią i przepelnia wiedzą.

–A jednak serce V’ornna kryje tajemnicę – wyszeptała Giyan. – Był Eleusis, dzielny i współczujący; jest Rekkk, odważny i współczujący. A co najbardziej zadziwiające i niepojęte, był Gyrgon Nith Sahor, który oddał za nas życie.

–A jakąż tajemnicę kryje serce Kundalanki – podjęła Riane – skoro wychowałaś Annona i nie żywiłaś do niego nienawiści jako do śmiertelnego wroga, skoro go kochałaś, jakby był z twojej krwi i kości, skoro, ryzykując własne życie, uratowałaś go przed wrogami Asherów?

–Wrogowie Asherów są moimi wrogami – rzekła Giyan.

Kiedy to powiedziała, swą nieugiętą mocą zdobyła i ten ostatni bastion v'ornnańskiej osobowości, który wciąż jeszcze tkwił w duszy Riane.

–Kocham cię, Giyan – powiedziała dziewczyna. – Uważam, że to cudowne, że właśnie ty jesteś panią, wyznaczoną na przewodniczkę Daru Sala-at.

–Kocham cię ponad życie, Teyjattt. – Po policzkach Giyan spłynęły łzy, chciała przytulić swoje dziecko, ale aplikowane jej przez poczwarki magiczne wstrząsy sprawiały, że nic nie czuła.

–Wspólnie dołożymy starań, żeby przywrócić chwałę świętym naukom Miiny – oznajmiła zdecydowanie Riane.

–Obawiam się, że czeka nas ciężka praca.

Jakaś część Riane zadrżała z trwogi. Dziewczyna wiedziała z doświadczenia, że słowa Giyan bywają prorocze. Potem przeważała v'ornnańska dzielność Annona i Riane powiedziała:

–Niech się tak stanie, skoro takie nasze przeznaczenie.

Giyan uśmiechnęła się przez łzy.

–Kiedy tak mówisz, przypomina mi się Nith Sahor. Brakuje mi go. Jego śmierć to ogromna strata dla naszej sprawy.

–Tylko raz spotkałam Gyrgona – rzekła Riane. – Ale bez jego pomocy nie dotarłabym na czas do Drzwi Skarbnicy i Tymnos zniszczyłby Kundalę.

–Ceniłabyś jego mądrość i na pewno byś go polubiła. Jaka szkoda, że był wyjątkiem wśród Gyrgonów.

Riane dopiero teraz zobaczyła tytuł książki, którą Giyan czytała: *Mrok i jego elementy*. Wskazała ją ogorzałą od słońca ręką.

–Opisano tam Tzelosa?

Giyan uśmiechnęła się ponuro i ponownie otworzyła książkę. Riane ujrzała zajmujący całą stronę, bardzo dokładny rysunek straszliwej bestii, którą widziała w Nadświecie. Rysunek zarazem fascynował i budził odrazę.

–Błóżnierczy eksperyment Pyphorosa, który się nie powiódł – powiedziała Giyan. – Jak wszystkie jego eksperymenty.

–Co próbował zrobić?

–Coś, co potrafi jedynie Stwórca: chciał stworzyć życie.

–A wielka bogini Miina?

–Może dać życie, jak napisano. Ale to nie to samo. Nawet Miina nie jest Stwórcą. Nie potrafi stworzyć nowego życia z podstawowych składników kosmosu.

–Przecież stworzyła Kundalę.

–O nie. Kazała Świętym Smokom stworzyć Kundalę i zrobiły to z pomocą Perły. Sprawily, że materia się rozszczepiła. Sprowadziły ogień i powietrze, wodę i ziemię, metal z odległych ciemnych gwiazd. A kiedy Kundala już się narodziła, w czasie przed wyobrażeniem, Stwórca skinął dłonią i pojawili się Kundalanie.

Riane przez chwilę dumiała nad jej słowami. W bibliotece wyczuwało się powiew historii, jakby dawały się słyszeć głosy kundalańskich przodków wyrwanych z długiego snu rozmową o stworzeniu. Delikatny powiew muskał policzek dziewczyny, widziała światło odbite od mozaikowego nieba, czuła oddech minionych pokoleń. Nadzieje, obawy, marzenia żyły w migotliwych gwiazdach mozaiki, połyskliwych kontynentach, ciemnych jak rakkis morzach. Riane poczuła, jak wzbiera w niej głęboka miłość do tej kobiety, która wychowała Annona, ocaliła go od pewnej śmierci, była gotowa poświęcić wszystko, także własne życie, żeby uratować wychowywane przez siebie v'ornnańskie dziecko. Jedna część jej duszy nigdy nie pojęła tego cudu, druga czuła wyłącznie wdzięczność.

Typowe. V'ornnowie szukali odpowiedzi na wszystkie pytania – i bez wątpienia właśnie to sprawiało, że nie przerywali swojej samotnej podróży przez kosmos. To skłaniało Gyrgonów do kontynuowania tajemniczych eksperymentów. Szukali odpowiedzi: kim jesteśmy, skąd przychodzimy, dokąd dążymy. Mówiono, że Gyrgoni pragnęli nieśmiertelności, że chcieli być równi bogowi Enlilowi, którego się zaparli. Czy to prawda? Nikt tego nie wiedział. Gyrgoni byli mistrzami tajemnic, wybiegów i zmyłek. W pewnym sensie już byli półbogami – potężni, mieli wszystko pod kontrolą, trzymali się na uboczu. Tacy byli wszyscy Gyrgoni, z wyjątkiem Nith Sahora.

–A gdzie była Miina? – spytała z młodzieńczą bezpośredniością Riane. – Widziała Stwórcę?

–Spała – odparła Giyan z pewnością płynącą z wiary. – A kiedy się zbudziła, już tam byliśmy, z jej imieniem na ustach.

Chciała mówić dalej. Otworzyła usta, już miała wypowiedzieć kolejne słowo, kiedy poczuła straszliwy ból. Z jękiem osunęła się na kolana, przycisnęła do siebie ręce. Riane uklękła przy niej i tuliła ją tak czule, jak niegdyś Giyan tuliła drżącego w febrze

Annona. Na podłogę padł cień, odwróciły głowy ku oknu i zobaczyły, jak przed tarczą księżycyca w pełni przelatuje sowa, wielkie nakrapiane skrzydła poruszały się bezszelestnie. Omen, pomyślała Giyan i serce się jej ścisnęło. Miina dała nam znak.

Wtem stało się tak, jakby sowa wpadła przez okno, a może była to księżycowa poświata przeobrażona w strumień energii. Księgi spadły ze stołu, ich stronicy zjeżyły się niczym pióra gniewnych ptaków. Inne księgi gwałtownie wyskoczyły z półek, jakby reagowały na zakłócenie spokoju.

Riane została odrzucona w tył, sunęła po podłodze i starała się wyhamować, ale popychała ją nieznaną siłą. Zatrzymała się na ciężkim krześle z drewna ammonowca, które się przewróciło, jego noga boleśnie uderzyła ją w żebra. Widziała Giyan, wygiętą w łuk, z uniesionymi w górę rękami, jakby ciągnęły ją niewidoczne liny. Po bibliotece szalały z wyciem podmuchy lodowatego jak śmierć powietrza, zagłuszając Riane wołającą do Giyan. W dziewczynie zamarło serce. Kiedy tak patrzyła na wszystko z rosnącym przerażeniem, Giyan uniosła się w powietrze.

Z poczwerek pokrywających dłonie i przedramiona Giyan emanował niesamowity blask. Już nie były czarne, stawały się szare jak popiół, złuszczały się z nich cienkie warstwy i kołowały w wirze powietrza niczym płytki zbroi. Kawaleczki docierały do obrzeża wiru i wystrzeliwały jak lodowe pociski, przebijając księgi i meble. Wbijają się w wysmukłe kolumny, w rzeźbione belki nad drzwiami, w ściany. Riane schyliła się, bo jeden przemknął o centymetry obok jej głowy. Przeleciał ze świstem podobnym do tego, jaki wydają łopatki wentylatora.

Dziewczyna spróbowała wstać i upadła. Z biblioteki wyssano wszelkie ciepło. Ziąb przeniknął ją aż do kości, osadził na nich lodowe perły, zmienił szpik w suchy biały popiół. Oddech wiązał jej w płucach, oddychała z trudem jak w burzy piaskowej, jakby powietrze przemieniło się w coś mrocznego, pełnego groźby, odrażającego niczym grzech.

Na koniec poczwarki opadły z Giyan, złuszczyły się, odsłoniły ręce i przedramiona, pokryte gęstą plątaniną krętych czerwonych żył i żółtych tętnic. Oczy miała szeroko otwarte, nieruchome; ich błękit zmienił się w niesamowitą opalizującą biel, w której tkwiły czarne źrenice, jak łepki szpilki.

Usta Giyan zastygły w śmiertelnym grymasie. W jej długich gęstych włosach pojawiły się kawałki ciemnej metalicznej substancji, które natychmiast przesunęły się na tył głowy i utworzyły coś w rodzaju cierniowej korony – żyjące drobiny, które się przesuwają i lśnią w blasku lampy, połyskiwały i lśnią, splatając się w okropny twór.

Księżycowa poświata była blada, nierzeczywista. W strugach światła wirowały drobinki kurzu. Riane miała wrażenie, że została uwięziona w głębokim śnie, ręce i nogi miała pozbawione czucia, myśli spowolniały. Była przerażona i bezsilna, niczym

w koszmarze. Miała na tyle przytomności umysłu, żeby pojąć, iż to właśnie bezradność potęguje przerażenie, lecz ta świadomość nie na wiele jej się zdawała. Umysł dziewczyny wypełniało przeraźliwe groźne dudnienie, zapowiedź, że znów straci Giyan. Tym razem by tego nie zniosła.

Nie było czasu na myślenie. Giyan wbiła w nią spojrzenie swych przerażających białych oczu, opuściła lewe ramię i dłonią celowała wprost w Riane. Dziewczyna widziała pośrodku obu dłoni spiralny szpikulce, podobny do elementów cierniowej korony sterczących z ciała Giyan, nie było jednak krwi ani żadnej rany. Szpikulce zdawały się być jej częścią, podobnie jak korona wyrastająca z czaszki. Dziewczyna patrzyła, jak prostuje się opleciony żyłami palec wskazujący z długim, czarnym i lśniącym paznokciem. Riane czuła się wyobcowana, odseparowana od otaczającego ją świata. Groza spowodowała, że otworzyło się jej Trzecie Oko i ujrzała wokół siebie krew, wiadra i kadzie krwi, prawdziwy ocean krwi, życie wyciekające starożytnym kamiennym kanałem, zatkanym w ciągu eonów poczerńiałym mchem i gnijącymi odpadkami, oślizłymi resztkami czasu. Była to chwila, którą zapamięta na całe życie, która będzie ją nawiedzać na jawie i we śnie.

Giyan nie żyje, niech żyje... co? W jakąż straszliwą bestię zmieniła się pani?

Riane starała się znaleźć przeciwzakłęcie na magiczną transformację, jakiej poczwarki poddały Giyan, ale знаła tak niewiele zaklęć i żadne nie wydawało się odpowiednie. „Nie pobierałaś nauk. I choć masz tak wielką moc, to nieznajomość pradawnej wiedzy czyni cię podatniejszą na ataki wroga”, powiedziała jej kiedyś Matka. „Dlatego musisz zachowywać szczególną ostrożność. Dlatego musisz taić, kim jesteś, dopóki nie zakończysz nauk magicznej sztuki”.

O tak, Matka miała rację. I Giyan też. Jej wrogowie nie marnowali czasu i przygotowali kolejny atak. W desperacji wypowiedziała słowa w Starej Mowie, rzucając czar o nazwie Ziemi Spichlerz, najpotężniejsze z uzdrowicielskich zaklęć Osoru.

Niemal w tej samej chwili usłyszała skwierczenie, jakby przypiekano ciało. Wstrząsnął nią dreszcz, serce zabiło szybciej. A potem uderzył w nią magiczny urok, pozbawiając tchu. Dobrze, że rzuciła zakłęcie, bo osłoniło ją ono, ocaliło jej życie.

Czołgała się z mozołem po podłodze biblioteki, to tracąc, to odzyskując przytomność. Wszystkie rezerwy energii wkładała we Wzmacnianie zaklęcia, otulała się nim, dbała, żeby się nie rozprysnęło, bo wtedy nic by jej nie osłoniło przed zaciekłym, morderczym atakiem.

A oto i on: z ropijących czubków palców Giyan wysnuwał się Tzelos, wił się w bezcielesnej postaci, demon z Otchłani tworzony przez stwora, który był niegdyś Giyan.

Uderzył w nią odór Tzelosa, smród gnijącego mięsa cora. Stwór był czarny jak smoła, ciało o dwunastu odnóżach miał posegmentowane niczym owad, wypukły tułów był chroniony twardym pancerzem. W podłużnej, spłaszczonej, wstrętnej czaszce, brązowo-czarnej i połyskującej niczym obsydian, tkwiły monstrialne zębiaste żuwaczki. Wlepiął w dziewczynę dwanaście fasetowatych ślepiów, jarzących się jak granaty.

Magiczny urok ustąpił. Riane z trudem się podniosła, dobytek sztyletu, gotowa się bronić. Giyan się poruszała, lecz dziewczyna całą uwagę skupiła na zbliżającym się Tzelosie. Nagle dostrzegła coś kątem oka – futrzaste, sześciopiętne stworzenie z trójkątnymi uszami, długim puszystym pasiastym ogonem i ciemnymi inteligentnymi ślepiami. Thigpen, Rappa.

–Odsuń się, Thigpen! – krzyknęła Riane.

Stworzenie ją zignorowało. Dziewczyna otrząsnęła się z oszołomienia, chwyciła przewróconą lampę i cisnęła nią. Lampa trafiła w Tzelosa i przeleciała przez niego. Był iluzją, jak tamten, który się pojawił, kiedy przez pomyłkę zabiła Matkę. Tzelos rzucił się na nią, a ona instynktownie przygotowała się na atak.

–Nie zwracaj na niego uwagi – odezwała się Thigpen. – Posłuż się Trzecim Okiem, by odróżnić, co jest realne, a co nie.

Riane przez chwilę czuła chłód, jakby lód zsunął się jej po karku. Giyan zaczęła się podnosić z podłogi. Rozłożyła szeroko ramiona, lekko odchyliła głowę, mocno zacisnęła szczęki. Dziewczyna skorzystała z magicznego Trzeciego Oka i wykryła we wnętrzu Giyan czyjąś obecność. Coś wiło się w Giyan jak olbrzymi wąż oplatający jej kręgosłup. Wstrząśnięta Riane uświadomiła sobie, że to coś wniknęło do mózgu Giyan. To ono unosiło ją w powietrzu.

Ostępiała Riane patrzyła, jak Giyan – której długie włosy wiły się niczym kłębowisko węży – płynie ku wybitemu oknu i wylatuje na zewnątrz.

–Nie pozwólmy jej uciec! – zawołała Thigpen.

–Coś nią zawładnęło! Czuję czyjąś obecność! – krzyknęła Riane. – Co się dzieje?

–To Malasocca – wyszeptała Thigpen. – Co oznacza „Mroczna Noc Duszy”. Nic o tym nie wiem i wątpię, by wiedział ktoś z żyjących. Pojmuję tylko tyle, że jej duch jest stopniowo zastępowany przez demona. Jeżeli jej nie zatrzymamy, jeżeli posłucha zewu, jeżeli zniknie, będzie dla nas stracona, Riane. – Thigpen dreptała po podłodze, nie zwracając uwagi na odłamki szkła, czepiające się poduszeczek jej smukłych, podobnych do dłoni łapek. – Co gorsza, jej miejsce zajmie nasz najbardziej nieprzejednany wróg.

–Jak możemy temu zapobiec?

–Jeżeli zniszczy się ciało nosiciela, demon wraca do Otchłani – rzekła Thigpen.

–Nie zabiję jej.

–To sposób na Malasocca – odparła Thigpen.

–Musi być jakieś inne wyjście.

–Nie słyszałam o żadnym innym. Demon jest jeszcze bezbronny, ale już niedługo to potrwa.

–Trudno. Nie zrobię jej krzywdy.

Thigpen poruszała wąsikami, co zdradzało, jak bardzo jest przejęta.

–Kocham Giyan równie mocno jak ty, Darze Sala-at, lecz uwolniono straszliwe moce. Jeszcze zanim to się skończy, możesz żałować, że jej nie zabiłaś, kiedy miałaś okazję.

Riane dotarła do parapetu, złapała równowagę, sprężyła się i podskoczyła, wyciągając ręce, i złapała Giyan za kostki. Thigpen krzyknęła ostrzegawczo.

Giyan zwróciła ku niej niesamowite, płonące oczy, z czubków jej palców strzelił zimny płomień. Riane krzyknęła i puściła ją, spadła z wysokości dwóch metrów w zeschniętą trawę tuż pod rozbitym oknem. Nad jej plecami przepłynął jasny strumień ognia i dotarł do wizerunku Tzelosa. Został wessany w kontur demona, wypełnił go, sprawił, że zaczął pulsować i jaśnieć. Dał się słyszeć odrażający szelest, jakby maszerowała armia groźnych owadów.

Tzelos obrócił spłaszczony trójkątny łeb. Z otworów za fasetowatymi oczami wysączyła się pienista gęsta substancja. Szczęknął groźnie żuwaczkami. Riane widziała Rekkka i Eleanę idących na demona z dobytą bronią. Ale widok tak okropnie zmienionej Giyan wprowadził ich w konsternację.

–Pani... – zaczęła Eleana i zakrztusiła się.

–Co się, na N’Luuurę, z tobą stało, Giyan!?! – Twarz Rekkka była blada i ściągnięta.

–Poczwarki pękły – powiedziała Riane.

–Musimy jej pomóc. – Thigpen wodziła po nich ciemnymi inteligentnymi ślepiami. – Musimy jej teraz pomóc albo wszystko będzie stracone.

Rekkk wyskoczył przez okno, nieustraszona Eleana tuż za nim. Tzelos uniósł się na

trzech parach tylnych łap. Przednie kończyny z połyskującymi rzęskami wyrzucił do przodu. Rekkk zamachnął się kordem, a Tzelos otworzył pysk i plunął żółtą lepką substancją, która przywarła do ostrzy. Zmieniło to ich wibrację, odwróciło strumień jonów i przeraźliwy ból szarpnął ramieniem Rekkka.

Eleana z uniesionym kordem stała tuż za nim. Riane widziała napięte mięśnie jej ramienia, oczy wpatrzone w demona oraz to, czego dziewczyna nie zauważyła: opuszczając się prawą rękę Giyan, która siała jasne jak kryształ iskry. Przerażony nagonóg poderwał się z gniazda. Dostał się w strumień iskier, poczerniał, zeszywniał i jak kamień runął na ziemię.

Snop iskier już docierał do Eleany i Riane rzuciła się ku niej. Eleana się pośliznęła, upadła i iskry przeleciały nad nią. Riane pochwyciła ją, osłoniła własnym ciałem, poczuła, jak otula ją jej ciepło i zapach.

Leżały, a nad nimi powietrze świszczalo, wytracając ciepło. Potem Eleana i cały świat zapadły się w głąb studni. Riane doznała poczucia przemieszczenia, które się pojawiało, kiedy opuszczała swoje ciało i wchodziła w Ayame, stan głębokiego transu Osoru.

W Nadświecie ujrzała straszliwy widok: olbrzymi ptak Ras Shamra, magiczna awatara Giyan, był uwięziony w klatce, potężne skrzydła miał skrępowane. A więc prawdziwa Giyan została pochwycona przez jakąś nieznaną złowrogą moc. Ras Shamra zobaczył dziewczynę i wydał rozdzierający krzyk, który wstrząsnął magiczną dziedziną. Kiedy Riane spróbowała się zbliżyć do klatki, Ras Shamra zaczął szaleć – krzyczał raz po raz i uderzał o pręty, aż się poranił.

–Uspokój się! Uspokój! – zawołała Riane. – Chcę ci pomóc!

Ale Ras Shamra nie słuchał. Im bliżej podchodziła Riane, tym bardziej awatara Giyan szalała.

Dziewczyna rozpoczęła rzucanie Wiekuistej Gwiazdy, czaru, którym się posłużyła, żeby uwolnić Matkę. Podjęła próbę złamania prętów magicznej klatki. Lecz wtedy cień padł na Nadświat. Uniosła głowę i słowa inkantacji uwięzły jej w gardle. Otwierało się wielkie Oko, Oko Ajbai, teraz już wiedziała, dlaczego Ras Shamra krzyczał. Próbował ją ostrzec. Wiedziała, że nie poradzi sobie z tym potężnym czarem. Przecież kiedyś omal nie pokonał Giyan.

–Nie poddawaj się – powiedziała do awatary Giyan. – Wrócę po ciebie, choćby miało mi to zająć nie wiem ile czasu.

Po raz ostatni spojrzała tęsknie na Ras Shamra i opuściła Nadświat. Usłyszała rozpaczliwy krzyk Thigpen.

–Odeszła!

Eleana i Rekkk odwrócili się, słysząc głuchoe dźwięki, wydawane przez Thigpen.

Rappa szlochała, łzy spływały jej po futrzastych policzkach, skapywały z pyszczka.

–Zniknęła.

Thigpen miała rację. Demon Tzelos zniknął w nocnym niebie, a wraz z nim ich ukochana Giyan.

2. Rescendencja

W pałacu v'ornnańskiego regenta w Axis Tyr – niegdyś Środkowym Pałacu Ramahan – wrzało niczym w ulu. Kolejki urzędników, ministrów, petentów ze wszystkich kast wiły się w długich przedpokojach, wśród kolumn i snopów światła, niczym fala przyływu wypełniały obszerne i wspaniałe pomieszczenia. Wszyscy się domagali, żeby nowy regent poświęcił im chwilę.

Kurgan, ignorując ich i swoje obowiązki, wszedł schodami, na których nikt go nie mógł zobaczyć, i przemierzał szybko i cicho swoje komnaty. Wystrój prywatnych komnat regenta bardzo się zmienił. Za czasów Eleusisa Ashery odzwierciedlał stateczność dyplomaty. Fotele były ustawione tak, by zapewnić dyskrecję – Eleusis rozmawiał tu z ministrami i negocjował umowy – pełno tam było pamiątek opowiadających przebieg kariery opartej na rozsądnym kompromisie. W gruncie rzeczy było to miejsce pracy. Kiedy ojciec Kurgana, Wennn Stogggul, zamordował Eleusisa Asherę i na krótko objął urząd regenta, nakazał czeredzie Mesagggunów i Tuskuggun, by zmienili wystrój rezydencji. Taki przepych widywało się jedynie u elity bashkirskich lordów. Kurgan, nie zważając na protesty rodziny, natychmiast sprzedał bogatą ojcowską kolekcję dzieł sztuki. Był to rozmyślny akt okrucieństwa i przejaw braku szacunku, który sprawił mu ogromną przyjemność. Teraz komnaty cechowała godna mężczyzny oszczędność i funkcjonalność kwatery generała polnego. Na ścianach wisiały w równiutkich rzędach trofea wojenne: broń odebrana poległym na odległych o lata świetlne polach bitewnych; wszystko lśniło od oliwy i wosku, było skatalogowane i ułożone alfabetycznie.

Lecz Kurgan często się tu dusił. Co gorsza, nudziło go i brzydziło towarzystwo ministrów, bashkirskich dworaków, adiutantów, sługusów i im podobnych. Do perfekcji opanowali sztukę pozornej aktywności i byli nie tylko godni pogardy, ale też śmiertelnie nudni. Odkrył, że zażarcie bronili swego skrawka terytorium, niszcząc przy tym innych. Byli niczym psy wyr, oślepięone blaskiem dworu regenta. Warczeli na siebie i podgryzali się bezlitośnie. Wysiłki te bardzo szybko zaczynały przeradzać się w inercję. A przecież nie mógł ich wszystkich odesłać, bo – jak mu wyjaśnił gwiazdny admirał Olnnn Rydddlin – mieli w małym palcu wiedzę o skomplikowanym

funkcjonowaniu urzędu regenta. Kurgan wyraźnie widział, że sztywna etykieta ogranicza ich działalność do absolutnego minimum. Jego zdaniem było to zupełnie nie w stylu V'ornnów i zastanawiał się, czy to sprawka Gyrgonów chcących powstrzymać regenta od wprowadzania jakichkolwiek zmian. Zamierzał zerwać te pęta, bez względu na ich osąd.

Axis Tyr stanowiło centrum kundalańskiego życia. W zasadzie tylko Kurgan zdawał sobie sprawę, że ma to swoistą wymowę. Axis Tyr bowiem było miastem splamionym hańbiącą klęską – świętym miejscem Kundalan, zbezczeszczonym okupacją V'ornnów, którzy umieścili swoje główne urzędy w dwóch najświętszych przybytkach. On sam, będąc regentem, mieszkał i pracował w niegdysiejszym Środkowym Pałacu, Gyrgoni zaś przekształcili Opactwo Nasłuchującej Kości w Świątynię Mnemoniki.

Prawdę mówiąc, bardzo mu się podobało, że to właśnie on dostrzega to upokorzenie, ból w spojrzeniach wpuszczanych do miasta Kundalan. Ich poniżenie wywyższało go jeszcze bardziej. Axis Tyr, dzięki v'ornnańskim innowacjom i technologii, było gwarną metropolią, mimo smutku i rozpaczy Kundalan. Mnożyły się kundalańskie spiski; prawdę mówiąc, ku rozpaczy Olnna, Kurgan do nich zachęcał. Czuł desperację towarzyszącą tworzeniu niezgranych kadr, nieodpowiednich sojuszy, improwizowanych rządów na uchodźstwie. Strzępki pozornie niewinnych rozmów, zasłyszanych w jakimś zaułku czy na jakimś placu, pełne były sekretów, od których powietrze wibrowało niczym od wstępujących gorących prądów. To była gra: wykryć zmowę, namierzyć konspiratorów i aresztować ich właśnie wtedy, kiedy im się zdawało, że są o krok od sukcesu. A potem z przyjemnością ich ukarać za występki.

Pod apartamentami regenta znajdował się labirynt komnat, korytarzy i loggii, gdzie mało kto się zapuszczał od czasów zabicia Ramahan, którzy stamtąd zarządzili Kundalą. Kurgan przemierzał komnaty niegdyś przyozdobione bogato w kundalańskim stylu, teraz były zarzucone kielichami i naczyniami, pełne pajęczyn i kurzu. Pozostałości po nieznanym uroczystościach i obrzędach. Melancholijne jesienne światło padało na otwarte loggie przez świetliki i oculusy. Chmurnie spoglądały na niego postaci z fresków. Długotrwała okupacja zatarła w świadomości symbolikę przedstawień. Kurgan, trawiony nienawiścią do ojca, poświęcił dużo czasu i zadał sobie wiele trudu, by drobiazgowo zaplanować przejęcie stanowiska regenta, lecz w ogóle się nie zastanawiał nad czekającymi go obowiązkami.

Jakaż pustka po zwycięstwie! A przecież aż się palił, żeby zostać regentem. Z pomocą Olnna Ryddlina uknuł skomplikowaną intrygę, w wyniku której dwie najważniejsze osoby w jego życiu: ojciec i mentor – niegdyś sprzymierzeńcy! – wykończyli się nawzajem. Zrealizował marzenie i teraz przytłaczały go rozmaite sprawy związane z rządzeniem planetą. Skąd Eleusis Ashera miał cierpliwość do współpracy z tą bandą rozgadanych kreatur? Nic dziwnego, że ojciec nie dawał sobie

z tym rady. Jeszcze bardziej nienawidził Eleusisa za to, że tak świetnie radził sobie z czymś, do czego jemu, Kurganowi, najwyraźniej kompletnie brakowało zdolności.

Wszystko było przesiąknięte mdłosłodkim zapaszkiem – meble, dywany, a nawet wyłożone marmurem ściany, był pewien, że również one wydzielają odór śmierci. Kurgan nie mógł znieść tej melancholii i wyszedł na jakiś balkon z porfirowymi kolumnami i balustradą z ciemno połyskujących płytek. Oparł się o nią i spojrzał na miasto – plamy jaskrawych barw, owadzie brzęczenie poduszkowców, szeleszczące pod stopami zwiędłe liście, plątanina rozbiegających się we wszystkie strony zatłoczonych ulic, głowy przechodniów: miedzianoskóre, połyskliwe i bezwłose – V'ornnów oraz z gęstymi czuprynami – Kundalan, gwar głosów, zapachy przypraw i oliwy, smażącego się mięsa i rozpalonego metalu. Poniżej przechodziła młoda Kundalanka, obładowana pakunkami. Długie lśniące włosy opadały jej na plecy. Przystanęła, żeby przełożyć ciężar na drugie ramię. Biodro wygięło się wdzięcznie, a włosy się rozkołysały. Kurgan poczuł pożądanie. Miał wyraźną słabość do Kundalanek w pewnym typie; była to jedyna cecha, którą odziedziczył po ojcu. Na całkowicie pozbawionych owłosienia V'ornnów bujne fryzury Kundalanek często działały jak afrodyzjak. Twarz dziewczyny wyłoniła się z cienia i Kurgan przypomniał sobie, jak to kiedyś z Annonem, będąc na polowaniu, podglądali podobną kobietę, którą później zgwałcił i o którą omal się z Annonem nie pobili.

On i Annon byli najlepszymi przyjaciółmi, na przekór rywalizacji ich rodzin. A może stali się nimi ze względu na tę rywalizację, bo obaj byli przekorni i skłonni do buntu. Aż do tamtej chwili uważał, że Annon jest raczej łagodny. Ale ta jego rozwścieczona mina! Jakby przestał się pilnować i odsłonił tę część siebie, której Kurgan nie znał. Nowy regent westchnął, oparty o balustradę patrzył, jak Kundalanka znika w tłumie wypełniającym ulicę. Wspomnienie tamtej kobiety i Annona przypomniało mu o życiu, które za sobą zostawił, i znów popadł w melancholię. W takich chwilach strasznie mu Annona brakowało, za życia przyjaciela nawet nie wyobrażał sobie, że mógłby odczuwać jego brak. Kurgan Stogggul najlepszym przyjacielem Ashery – to ci dopiero paradoksalna sytuacja. Ojca strasznie to irytowało. Uśmiechnął się i trochę poweselał. Ze wszystkich potomków Wennna Stogggula tylko on jeden potrafił doprowadzić ojca do takiej pasji. No i oczywiście Marethyn, ale to było coś zupełnie innego. Ona była Tuskuggun, kobietą.

Usłyszał, że ktoś go woła, ale nie poruszył się, nie odpowiedział. Czekał, aż Gyrgon Nith Batoxxx podejdzie ku niemu, przemierzywszy ciemne komnaty. Choć stał tyłem, wyczuwał obecność Gyrgona, niespieszną wędrówkę atomów po skórze ramion, od której zjeżyłyby mu się włosy, gdyby je miał. Dostrzegł, co ich łączyło, w czym byli podobni. Nie tylko ambicja i plany, które taili przed sobą nawzajem; byli zdobywcami korzystającymi z owoców zwycięstwa. Otaczały ich szczątki kundalańskich bestii, padłych pod ciosami ich jonicznych kordów; jednym skinieniem dłoni mogli nakazać sponiewieranym tłumom, by się przemieściły tu czy tam, by wyskandowały lub zrobiły to, co akurat któremuś z nich strzeliło do głowy.

Obecność Gyrgona w pałacu przynosiła korzyści. Po pierwsze, niepokoiła; Kurgan miał satysfakcję, obserwując zdenerwowanie innych. Po drugie, Gyrgonów otaczała aura władzy, sekretów skrytych tuż pod lśniąca powierzchnią exomatrix.

Jaka szkoda, że nie mógł ścierpieć tego właśnie Gyrgona, który pod postacią Starego V'ornna był jego nauczycielem i mentorem. Był zmuszony przysiąc wierność Nith Batoxxxowi, uważał to za smutne i odrażające i nie zamierzał długo tego znosić. Teraz, kiedy już został regentem, planował znaleźć słaby punkt Bractwa Gyrgonów i dzięki temu uzyskać dostęp do nowych technologii, które stworzyli i których zazdrośnie strzegli. Wszyscy – zarówno V'ornnowie, jak i Kundalanie – żyli pod zbrojną w rękawicę pięścią Gyrgonów, a Kurgan z całych sił pragnął położyć kres tej hegemonii.

Choć to wcale nie będzie łatwe, zwłaszcza że pozostawał pod tak ścisłym nadzorem tego właśnie Gyrgona. Nith Batoxxx, pod postacią Starego V'ornna, szkolił Kurgana na regenta. Dlaczego? Czegóż jeszcze ten Gyrgon od niego oczekiwał? Złościło go, że bez pomocy i wskazówek Gyrgona byłby zaledwie jednym z szesnastoletnich bashkirskich synalków, uczącym się kierować rodzinnym konsorcjum.

–Nie ukryjesz się przede mną – odezwał się z ciemnego wnętrza Nith Batoxxx. – Dobrze o tym wiesz. – Światło odbijało się od powierzchni jego czarnej exomatrix, która nadawała mu wygląd owada. – A mimo to tkwisz tutaj sam – urękawiczniona dłoń Gyrgona przesunęła się po ścianie – zaniedbując swoje obowiązki.

Kurgan wiedział, że ten Gyrgon różni się od innych z Bractwa. Choć nie miał pojęcia, co dokładnie go od nich różniło.

Pociągła, szczupła twarz Gyrgona miała jasnobursztynową barwę. Tył czaszki, od ciemienia do karku, pokrywała skomplikowana sieć obwodów tertowogermanowych. Czarne jak obsydian oczy miały czerwone źrenice. W obu kościach policzkowych tkwiły implanty tertowej sieci neuralnej, pulsujące w rytm uderzeń jego serc.

–Czego chcesz ode mnie? – spytał szorstko Kurgan.

Gyrgon zrobił dwa długie kroki i znalazł się przy nim. Leniwym ruchem, niemal pogardliwie dotknął palcem wskazującym mostka Kurgana. Pod chłopakiem ugięły się nogi i osunął się na kolana. Lecz nawet tak wielki ból nie zmusił go do krzyku; Stary V'ornn dobrze go wyszkolił.

–Ani ty, ani żaden V'ornn nie macie prawa zadawać mi pytań, Kurganie Stogggulu.

Nith Batoxxx górował nad nim jak wieża. Kurgan miał tyle rozsądku, żeby się nie poruszyć, nawet na niego nie spojrzeć. Dały się słyszeć trzaski wzbudzonych jonów, było to niczym tchnienie śmierci. Nith Batoxxx trzymał dłoń tuż nad pochyloną głową Kurgana.

–Sądziś, że mnie pokonasz. Gorzko się rozczarujesz. – Gyrgon powiedział to łagodnie; zdawało się, że jego głos płynął na promieniach popołudniowego słońca. – Cechuje cię arogancja młodości. Niczego się nie lękasz. Możesz przechytryć Gyrgona. Tak ci się przynajmniej wydaje.

Kurgan miał spuszczone oczy, więc widział tylko nabijane tertem buty Gyrgona. Przez środek obu butów przebiegał rząd polyskujących czarnych metalowych pazurów. Serca biły mu mocno. Zwracał baczna uwagę – jak zwykle zresztą – nie tylko na słowa Nith Batoxxksa, ale i na sposób, w jaki mówił.

–Strach nie ma przede mną tajemnic, Kurganie Stogggulu. Zawsze o tym pamiętaj. Potrafię wykryć strach nawet u najsilniejszych. – Nith Batoxxx niespodziewanie ukląkł i uniósł Kurganowi głowę; tym razem jego dotyk nie wywołał bólu, joniczny płomień spokojnie szumiał. – Skrywasz strach głęboko i nikt nie może go dostrzec. Lecz ja go z ciebie wydobędę.

Nikt mnie nie zna, pomyślał Kurgan. Chociaż niechętnie musiał przyznać, że Annon go znał.

–Strzeż się zapomnieć, że cię znam, Kurganie Stogggulu.

Tak blisko przysunął swoje pociągłe, drapieżne oblicze do twarzy chłopaka, że ten poczuł płynącą od Gyrgona woń olejku goździkowego i palonego piżma. Zapach był tak silny, że Kurganowi zakręciło się w głowie.

–Czy natknąłeś się na Dar Sala-at tamtej nocy w pieczarach, nocy Pierścienia Pięciu Smoków? Muszę to wiedzieć. – Głos Nith Batoxxksa nieco się zmienił: stał się niższy, jakby mroczny i oddzielony od mówiącego.

–Nie – odparł Kurgan, bacznie śledząc ową zmianę.

–Wielka szkoda. Wiem, że Dar Sala-at istnieje – podjął Nith Batoxxx tym samym osobliwym tonem. – Był tu tamtej nocy, znącony obietnicą pierścienia. Wyczuwałem jego moc, stoczył z Malistrą magiczny pojedynek. Ty zaś twierdzisz, że go nie widziałeś.

–Właśnie.

–Chociaż cię posłałem, żebyś go znalazł.

–Na dole panował chaos. Rekkk Hacilar przebrał się w zbroję Haaar-kyut. Siał zamęt. To mnie rozproszyło.

–Koniecznie muszę się dowiedzieć, kto to jest, pojmujesz?

–Nic a nic.

Kłamstwa przemieszane z prawdą przychodziły Kurganowi zadziwiająco łatwo. Faktycznie tamtej nocy widział Dar Sala-at w pieczarach pod pałacem regenta. Ku jego zdumieniu okazało się, że to młoda kobieta. Nie wiedział, jak się nazywa, ale był przekonany, że natychmiast ją rozpozna. To była jego tajemnica; zamierzał ją zachować aż do czasu, kiedy przyniesie mu jak największe korzyści. Wcześniej nie zdradzi jej ani Nith Batoxxxsowi, ani nikomu innemu.

–Dar Sala-at to jedna z nielicznych osób, które powinny wiedzieć, gdzie się znajduje siedem portali.

–Co to takiego?

–Nie możesz się powstrzymać od zadawania pytań, nieprawdaż? – Nith Batoxxx przyjrzał mu się błyszczącymi oczami. – Portale są niezmiernie ważne, bo wiodą do... krainy bogactw.

Czemu Gyrgon się zawahał? – zastanowił się Kurgan. Czyżby kłamał? A jeśli tak, to dlaczego?

–Wiem, gdzie są trzy z nich, ale nie mam pojęcia o lokalizacji czterech pozostałych.

–A dlaczego musisz znać położenie wszystkich siedmiu?

Nith Batoxxx posłał mu perfidny uśmiezek.

–Bo wszystkie należy otworzyć jednocześnie, inaczej żaden się nie uchyli. To diabelnie trudna operacja. Najpierw należy poznać położenie wszystkich siedmiu portali. Potem przejdziemy do następnej fazy naszego natarcia.

–Powiedziałeś naszego.

Gyrgon gwałtownie się wyprostował i podszedł do balustrady. Cisza stała się tak przejmująca, że Kurgan musiał się odwrócić i na niego spojrzeć. Wydało mu się, i to nie po raz pierwszy, że sylwetka Nith Batoxxksa nieco się zmieniła i nie jest on już tak sztywno wyprostowany. Czy tylko to sobie wyobraził, czy też barki Gyrgona naprawdę leciutko się przesunęły i jedno ramię było wyżej od drugiego? Chłopak wstał i posłusznie podszedł do Nith Batoxxksa.

–To dlatego zrobiłem cię regentem, Kurganie Stogggulu. Jesteś zbyt młody, by rządzić Kundalą, lecz moim zdaniem tylko ty się do tego nadajesz.

–Te portale...

–Powinieneś wiedzieć jedynie, że ten, kto mnie poinformuje, gdzie się znajdują, zostanie sowicie wynagrodzony. Módl się, żebyś to był ty, Kurganie Stogggulu.

Kurgan milczał. Miał wrażenie, że wraz z Gyrgonem balansuje w ciemności na wysoko rozpiętej linie. Jeden fałszywy krok, jedno nieodpowiednie słowo i runie w najgłębszą otchłań.

Nith Batoxxx zacisnął na balustradzie obciążoną rękawicą dłoń.

–Posłuchaj mnie, Kurganie Stogggulu. Chcę, by wznowiono budowę Za Hara-at. Nakaż to z największym pośpiechem. Podniesiesz z prochu starożytne miasto Korrushu.

Ton jego głosu sprawił, że Kurganem wstrząsnął dreszcz

–Jak każesz, Nith Batoxxksie. – Młody regent wiedział, kiedy ustąpić. Może znajdzie tam coś dla siebie, jakiś dawno pogrzebany sekret, klucz do tajemnic mocy technomagów?

–Nawiąż bliższe kontakty z Sornnnem SaTrrynem.

–Wiem, że to główny wspólnik w odbudowie – odezwał się Kurgan. – Ojciec zgodził się odsunąć Bronna Pallna, najważniejszego kandydata na naczelnego faktora, i mianować na to ważne stanowisko tego młodzika z Konsorcjum SaTrrynów. – Kurganowi podobała się inicjatywa podjęta przez Sornnna SaTrryna i to, że Sornnn nie bał się potężnego Konsorcjum Pallnów, ale najbardziej podobała mu się ambicja Sornnna, cecha, którą rozumiał i popierał. W końcu to właśnie ambicja popchnęła go do sojuszu z Olnnem Ryddlinem. – Poza tym niewiele o nim wiem.

–Dobrze zna Korrush – podjął Nith Batoxxx tym swoim niesamowitym tonem. – Wiele razy był w Za Hara-at. To ważne.

Dla mnie czy dla ciebie? – zadumał się Kurgan. Do Gyrgona zaś powiedział:

–Wolno mi zapytać, dlaczego zmieniłeś zdanie? Aż do tej pory stanowczo się sprzeciwiałeś odbudowie Za Hara-at.

–To ze względu na Eleusisa Asherę. – Głos Nith Batoxxksa nagle stał się zwyczajny. Gyrgon odwrócił się i wbił w Kurgana rozjarzone purpurowe źrenice. – Eleusis był niebezpiecznym heretykiem. Pragnął równości V’ornnów i Kundalan. To dlatego zginął.

Czemu Eleusis Ashera był niebezpieczny? – spytał samego siebie Kurgan. Jakżeż jakikolwiek V’ornn mógłby zagrażać Gyrgonowi? A potem zrozumiał.

–To nie ojciec ukartował zamach, który obalił Eleusisa Asherę. To ty.

–Posłużyłem się twoim ojcem – rzekł Nith Batoxxx. – Czy to cię zaskoczyło?

–Właściwie nie. Ojciec miał słaby charakter.

–W przeciwieństwie do ciebie.

Czyżby to była ironia? – zastanawiał się Kurgan. Zaciskał za plecami drżącą zbielełą pięść.

–Odejdź – odezwał się Nith Batoxxx, odprawiając go gestem. – Wiele musisz zrobić, zanim zapadnie ciemność i rozpocznie się rescendencja.

–Cóż mam ci rzec, regencie?

–Po pierwsze – rzekł Kurgan – na kolana.

Zobaczył w oczach Jerrylna błysk gniewu, a potem Kundalanin ustąpił. Kurgan spojrzał ponad jego pochylonym grzbietem, powiódł wzrokiem po tłumie wypełniającym wielką salę. Ludzie tłoczyli się pomiędzy kolumnami z zielonego jadeitu i ze złocistego porfiru. Olbrzymie kolumny były rowkowane, a na ich kapitelach wyrzeźbiono fantastyczne stworzenia.

Jerryln był naczelnikiem Czwartej Rolniczej Gminy Dystryktu. I dlatego Kundalanie bardzo go poważali. Nie miało to, rzecz jasna, żadnego znaczenia dla Kurgana; co najwyżej budziło jego ciekawość, jak głęboko Jerryln tkwi w ruchu oporu.

–Możesz już mówić. – Skinął głową.

–Cóż mam ci rzec, regencie? – rozpoczął ponownie Jerryln. – W tym miesiącu w mojej gminie było trzynaście zgonów, a w poprzednim zaledwie pięć. Czyżbyśmy ci się czymś narazili, regencie?

Kurgan zeszywniał.

–Sugerujesz, że jestem odpowiedzialny za te zgony?

–Ależ skąd – zaprzeczył pospiesznie Jerryln. – Lecz to wszystko są niewyjaśnione śmierci, z nienaturalnych przyczyn. Bardzo prawdopodobne, że odpowiadają za nie Khaggguni

–Na czym opierasz ów zarzut?

–W mojej gminie panuje przerażenie.

–Nie masz żadnego dowodu. Równie dobrze mógł ich zabić wasz ruch oporu. Ci ekstremiści widzą w was kolaborantów.

–Na wielu trupach znaleźliśmy rany po jonicznych strzałach.

–Kolejny powód, żeby podejrzewać ruch oporu. W ostatnim roku nasiliły się kradzieże khagguńskiej broni ze składów w mieście i wokół niego. – Kurgan się uśmiechnął. – Dotąd nie ujęliśmy sprawców, lecz twoje skargi nasunęły mi pewien pomysł. Jeżeli pomożecie nam i podacie imiona zamieszanych w kradzieże, pomówię z moim gwiazdnym admirałem. Jestem pewien, że go nakłonię, by zapewnił bezpieczeństwo waszej gminie.

–Wówczas stalibyśmy się kolaborantami.

Kurgan westchnął i usiadł wygodnie.

–Twoje lamenty zaczynają mnie nudzić, Jerryln. Zaproponowałem ci rozwiązanie waszego problemu.

–Rozwiązanie nie do przyjęcia! Jestem naczelnikiem największej gminy na Północnym Kontynencie. Dostarczamy wam siedemdziesiąt procent potrzebnej żywności.

–Doskonale wiem, ile procent zaopatrzenia dostajemy od każdej z siedmiu gmin, Jerrylnie. W końcu to my, V'ornnowie, podzieliliśmy ziemię i wprowadziliśmy system gmin. Jest to o wiele efektywniejsze niż ta wasza bezładna zbieranina. A wydajność każdej gminy jest teraz trzykrotnie wyższa niż w chwili ich utworzenia. Nawet ty musisz przyznać, że to imponujący wzrost.

–Owszem, ale cała nadwyżka idzie na potrzeby V'ornnów, a nam zostaje mniej, niż mieliśmy przedtem. No i jest jeszcze sprawa dziesięcin...

–A, dziesięcin, które nam płacicie. No to dotarliśmy do sedna sprawy.

–Twój ojciec tuż przed śmiercią podwyższył dziesięciny. Dobijają nas.

–Nie – sprostował Kurgan. – Jak już wykazałem, zabija was wasz własny ruch oporu. Zrób, o co prosiłem, a nie tylko zapewnię bezpieczeństwo twojej gminie, ale też pomyślę o zlikwidowaniu podwyżek dziesięcin.

Jerryln potrząsnął głową.

–Nawet gdybym wiedział, nie zdradziłbym...

Kurgan się poderwał.

–No to podwajam dziesięciny.

–Co takiego?! – Jerryln był przerażony. – Błagam cię, regencie...

–To rezultat twojej bezczelności i uporu. Myślisz, że masz do czynienia z niedoinformowanym głupkiem? Nie jestem taki jak ojciec. Przekonamy się, czy teraz ugniecie karki. I nie wracaj tu narzekać, póki nie będziesz gotów przyjąć moich warunków.

Kurgan energicznie skinął dłonią i dwaj Haaar-kyut wyprowadzili Jerrylna.

Kiedy zabrano mu sprzed oczu Kundalanina, Kurgan przywołał gwiazdnego admirała. Olnnn Rydddlin był wysoki, przeraźliwie chudy, miał nienaturalnie bladą, wynędzniałą twarz. Z rzadka ponuro się uśmiechał, a wtedy jego oczy płonęły. Jego podkomendni cenili go za tę surowość, lecz wielu Bashkirów nie ufało V'ornnowi naznaczonemu kundalańską magią. Nieważne, że był dzielnym wojownikiem, że prawie stracił nogę w pełnej determinacji pogoni za wspólnymi wrogami, Rekkkiem Hacilarem i jego kundalańską skcettą, Giyan. To odrażający czar Giyan odarł jego nogę ze skóry, mięśni i ścięgien, pozostawiając gołe kości. A ocaliła go druga kundalańska czarownica, Malistra. Teraz gwiazdny admirał nie osłaniał nogi zbroją. Nakazał sobie odrzucić wstyd z powodu odsłoniętych kości i uczynił z nich swój znak szczególny, symbol swojego męstwa. Szeregowi Khaggguni go kochali – uwielbiali tego dziwnego, ambitnego, zgorzkniałego Khaggguna, niewiele starszego od Kurgana. A ci z naczelnego dowództwa, generałowie i admirałowie, o wiele starsi i bardziej od niego doświadczeni? Czyż mogli go nie nienawidzić i choć trochę mu nie zazdrościć, że w takim tempie awansował? Kurgan postanowił nie spuszczać oka z gwiazdnego admirała. Olnnn Rydddlin był drugim V'ornnem, który wiedział, że chłopak uknuł plan obalenia własnego ojca. Kurgan zabiłby nawet sojusznika, żeby zachować to w sekrecie, bo lepiej niż większość V'ornnów wiedział, do czego potrafi zmusić ambicja.

Zwycięstwo to najważniejszy cel – tego nauczył go Stary V'ornn. A kiedy zdobędziesz już wszystko, stajesz się samotny.

Przez jakiś czas będzie traktował Olnnna Rydddlina jako godnego zaufania sprzymierzeńca, żeby później – kiedy nadejdzie pora, zanim potęga Olnnna stanie się dla niego zagrożeniem – mógł mu wbić nóż między żebra. Ułożył już plan, który miał ogólniejsze założenie – znaleźć coś, co mógłby wykorzystać przeciwko Gyrgonom. Co Gyrgoni najbardziej cenili? Zachowanie istniejącego stanu rzeczy. Z tego wynikało, że najbardziej lękają się zmiany, zmiany od wewnątrz. Gdyby coś takiego się wydarzyło, a on zdołałby im wtedy podsunąć rozwiązanie, zyskałby na nich wpływ.

–Dobrze ci się udało zastraszyć tę gminę – rzekł Kurgan z pochwałą w głosie.

–Zgodnie z twymi rozkazami, regencie – odparł Olnnn Ryddlin.

Po prostu stosuje jedną z zasad okupacji, gwiazdny admirał. Nie wątpię, że i ty ją znasz. Głosi ona że utrzymywanie ludności w ciągłym strachu sprawia, że nie potrafi ona logicznie myśleć, planować i organizować się. Nieustanne dezorientowanie Kundalan to konieczność.

–Oczywiście, regencie. To jedna z przyczyn, dla których ich ruch oporu jest do niczego. Nie można mieć prawidłowo funkcjonującej armii bez spójnego systemu politycznego. Dorośli są zbyt zajęci zastanawianiem się, kto będzie kolejną ofiarą, żeby wyłonić spośród siebie przywódcę mającego szerszą wizję działań, a ponieważ postaraliśmy się, żeby ich dzieci traciły kontakt z religią i historią, ponieważ wszystko im zabraliśmy, utracili zdolność walki o swoje.

Kurgan ujrzał samozadowolenie malujące się na twarzy Olnnna Ryddlina i natychmiast nabrał ochoty, żeby go pozbawić komfortu psychicznego.

–I co z tego, skoro kradzieże broni się powtarzają? – zapytał szorstko. – Nie dość, że tracisz broń joniczną na rzecz kundalańskiego ruchu oporu, to jeszcze nie potrafisz wykryć przestępców, co podważa nasz wizerunek niezwyciężonych.

Olnnn Ryddlin zeszywniał, słysząc tę naganę.

–Dokładnie zbadalem raporty o tych kradzieżach, regencie, i doszedłem do wniosku, że jakiś v’ornnański zdrajca wspomaga kundalański ruch oporu. W żaden inny sposób nie można wytłumaczyć nieustannego powodzenia tych kradzieży. Kundalanie, działając samodzielnie, nie byłiby w stanie poradzić sobie ze środkami bezpieczeństwa powziętymi przeze mnie i przez generała polnego, Lokcka Werrrenta.

–Obydwaj od niedawna zajmujemy tak wysokie stanowiska – powiedział Kurgan. – Musimy pokazać Gyrgonowi, że słusznie nam zaufał. Potrzebne nam efekty, a nie tłumaczenia się.

–Tak jest, regencie.

Kurgan wstał z tronu regenta i dał Olnnnowi znak, żeby podszedł bliżej.

–Jest sprawa, o której powinieneś się dowiedzieć – rzekł cicho; wiedział, że musi to odpowiednio podać. – Bractwo Gyrgonów ściśle monitorowało wszczepianie Khaggunom okummonów, należnych im po uzyskaniu statusu wyższej kasty i szczerze mówiąc, Gyrgoni są zaniepokojeni.

–Czym, regencie?

–Wygląda na to, że przedstawiciele twojej kasty mają spore kłopoty z

dostosowaniem się do implantu. – To było bezczelne kłamstwo, obliczone na to, żeby nie pozwolić Khaggunom, a zwłaszcza samemu Olnnowi Ryddlinowi, na uzyskanie zbyt wielkiej potęgi.

–Przyznaję, że nie słyszałem o tym, regencie.

–Jasne, że nie. To sprawa Bractwa.

–Ale bezpośrednio nas dotyczy! – zaperzył się Olnn.

–I dlatego powinieneś ufać mądrości Bractwa, gwiazdny admirał – podjął uspokajająco Kurgan. – Rzecz jasna, mają oni na uwadze wasze korzyści. Wszyscy generałowie i wyżsi rangą już dostali okummmny. Dlatego też Bractwo postanowiło zawiesić dalsze wszczepianie. Gyrgoni zapewnili mnie jednak, że to tylko na czas potrzebny im do określenia konsekwencji przystosowywania się do implantu.

–To mi pachnie dyskryminacją.

–Mów ciszej. – Rozmowa przebiegała inaczej, niż Kurgan zakładał. Chciał, żeby Olnn Ryddlin uwierzył, że regent mówi mu coś w zaufaniu, a tu gwiazdny admirał przyjął postawę obronną. – Nith Batosxx jest bliżej niż o dziesięć kroków, gwiazdny admirał – ostrzegł go Kurgan. – Zapewniam cię, że byłby ogromnie niezadowolony, gdyby zaczął podejrzewać, że ci o tym w zaufaniu powiedziałem.

–Nie dzielasz ich zdania, regencie? – zapytał nieco zaniepokojony Olnn.

–Oczywiście, że nie – skłamał Kurgan. – Czyżbyś zapomniał, że to ja obstawałem, żebyś został moim gwiazdnym admirałem? Bądź pewien, że podczas Wezwań jestem twoim szczerym orędownikiem. Lecz nawet ja nie mogę kwestionować zdania Bractwa. Nawiasem mówiąc, Genomatekcy z Błogosławiącego Ducha uważają, że jest powód do niepokoju. Chyba nie chciałbyś narażać swoich Khaggunów na niebezpieczeństwo, nieprawdaż?

–Będę szczerzy, regencie. Nie podoba mi się ten nagły zwrot w polityce Gyrgonów.

–I mnie również, przyjacielu. Doradzam ci cierpliwość. Przeszaną się niepokoić; osobiście o to zadbam. Na wszelki wypadek musisz się nauczyć jednego: nigdy nie należy kwestionować decyzji Gyrgonów.

Namiot Antenata był olbrzymi, zajmował plac o powierzchni hektara w centrum Axis Tyr. Zrobiono go z monofilamentów sieci neuralnej koloru zaschniętej v'ornnańskiej krwi, to znaczy indygo, barwy żałoby. Wewnątrz, pośrodku, na przykrytym udrapowaną materia tertowym podium, w stabilnym polu wzbudzonych jonów, znajdowały się dwa serca – duże i małe – nieżyjącego regenta, Wenna Stogggula. Wcześniej ciało zostało przygotowane przez członków sekty Genomatekków, znanej

pod nazwą Deirus, i zgodnie z poleceniem Gyrgonów spoczywało na dziedzińcu przed pałacem, żeby wszyscy V'ornnowie mogli mu złożyć hołd. Żałoba trwała sześć tygodni, a potem rozpoczęły się przygotowania do rescendencji. Tego wieczora, dziewięć tygodni po zgonie Wennna Stogggula, jego serca miały zostać przemienione podczas specjalnego obrzędu.

Namiot otaczali, stojąc w jaskrawym blasku lamp, ustawieni w regularnych odstępach Haaar-kyut nowego regenta, jego gwardia przyboczna, odziani w rogate zbroje bojowe. Lekceważąco przypatrywali się posępnym tłumom, jakby chcieli, żeby czyjeś podejrzanе zachowanie pozwoliło im kogoś rozszarpać na strzępy. Sornnn SaTrryn patrzył na nich i przypomniały mu się lymmnalsy, sześcionogie zwierzęta, wykorzystywane do pilnowania przez plemiona Korrushu Wielkiej Północnej Równiny Północnego Kontynentu Kundali. Lymmnalsy odstawiano przedwcześnie od matek, karmiono świeżą krwią, dopóki nie nabrały na nią nieposkromionego apetytu, a potem głodzono. Szkolono je na zwierzęta bojowe. Były wierne; a kiedy je wypuszczano, cechowała je niepowstrzymana agresja. Haaar-kyut zaś w swoich purpurowych zbrojach byli, podobnie jak lymmnalsy, rozdrażnieni, palili się do walki.

–Tkwie tutaj od dziesięciu dni – szepnął jeden Haaar-kyut do drugiego.

–Bashkirski obyczaj – odparł tamten półgębkiem. – Odprawiliśmy obrządek rescendencji nad gwiazdny admirałem Kinnnusem Morchą w ciągu godziny po jego śmierci.

–My, Khaggguni, nie mamy czasu na takie długie żałobne obrzędy – dorzucił ten pierwszy.

–Żyjemy, żeby walczyć – przytaknął ten drugi. – A dostajemy tylko to.

Sornnn SaTrryn, uśmiechając się, mijał kolejnych Khagggunów, bezpardonowo przepychających się przez tłum. Nagły wzrost ich liczby, niczym trujących grzybów po długotrwałym deszczu, był złym znakiem; jednym z wielu, które zaobserwował, zmierzając do stolicy. Wszedł do namiotu, starając się, aby jego znużenie wyglądało na tłumioną rozpacz i respekt, i ruszył ku nowemu regentowi.

Kurgan stał w pobliżu baein, naczynia z sercami. Sornnna nieco zaskoczył widok szczególnie złowrogo wyglądającego Gyrgona, znajdującego się w pobliżu. Wokół Gyrgona było pusto. Omijali go szerokim łukiem nawet Haaar-kyut, którzy odwracali od niego wzrok i jeszcze gniewniej łypali na zgromadzonych żałobników, chcąc ukryć swój strach. Wyglądało na to, że Gyrgona bali się wszyscy V'ornnowie, czy to z wyższej czy niższej kasty.

Bo też Gyrgoni byli specyficznymi V'ornnami – technomagami-samotnikami, spędzali czas w ogromnych laboratoriach, próbując rozwikłać tajemnice kosmosu.

To od nich pochodziła cała v'ornnanska technologia. Strzegli swoich odkryć z gorliwością graniczącą z obsesją, a nowe technologie przekazywali innym tylko wtedy, kiedy uznali to za stosowne. Chociaż regent władał Kundalą, czynił to wedle woli Gyrgonów. On również, jak wszyscy V'ornnowie z wyższej kasty, miał okummmmon – quasiorganiczną sieć neuralną wymyśloną przez Gyrgonów – wszczepiony po wewnętrznej stronie lewego przedramienia. Gyrgoni, korzystając z okummmmonu, wzywali od czasu do czasu regenta przed swoje oblicza i dręczyli go jego własnymi najgorszymi lękami – żeby bardziej nagiąć go do swojej woli i żeby bez sprzeciwu wykonywał ich rozkazy, żeby mogli władać za jego pośrednictwem.

Sornnn wziął z tacy mijającego go Mesaggguna smukły kielich ognistego numaaadis i sącył je powoli, maskując tym baczną obserwację graczy, z którymi dzielił nowe pole gry. Kurganowi Stogggulowi, potomkowi potężnego, lecz przeżywającego trudności Konsorcjum Stogggulów, poświęcił najwięcej uwagi. Właściwie to jeszcze dzieciak, a z tak oszałamiającą szybkością awansował na najwyższe stanowisko. Niektórzy spośród Bashkirów byli skłonni lekceważąco traktować nowego regenta jako chwilową anomalię, którą raczej wcześniej niż później zmiecie fala historii. Sornnn, patrząc na niego teraz, nie zgadzał się z nimi. Bez wątpienia Kurgan był nadmiernie arogancki i ambitny, lecz w jego ostrych rysach Sornnn wyczytał błyskotliwą inteligencję. Poza tym nie mógł przecież zostać regentem bez zgody Gyrgonów. Najwyraźniej widzieli w nim to, czego nie dostrzegali jego bashkirscy oponenti.

Kiedy Sornnn zbliżał się do nowego regenta, zauważył, że czarne oczy Gyrgona mają rubinowe źrenice. Ich wzrok spotkał się na chwilę. Sornnn poczuł dreszcz, jakby go obdarto nie tylko z szat, lecz również ze skóry i mięśni. Wzdrygnął się i znów skierował uwagę na młodego regenta. Prawdę mówiąc, od pewnego czasu szykował się do tego spotkania, mając nadzieję, że ten dzień nie nadejdzie przez wiele lat, i jednocześnie podejrzewając, że nastąpi szybciej, niż ktokolwiek się spodziewa. Przewidując to, poświęcił wiele tygodni na analizowanie informacji, które jego konsorcjum zebrało o Kurganie. Niemal natychmiast się zorientował, że z synem będzie mu o wiele trudniej postępować niż z ojcem. Nic na to nie można było poradzić. *Koura*, jak mówiono w Korrushu. „Tak zostało zapisane, los tak chce”.

Kurgan zauważył Sornnna SaTrryna, kiedy ten był jeszcze o kilka metrów. Sornnn SaTrryn był wysoki, szczupły i sprawiał wrażenie dość niebezpiecznego osobnika. Jego jasnoniebieskie oczy miały niemal migdałowy kształt, jak u wszystkich SaTrrynów. Miał zręczne dłonie, o dłonie, o długich palcach – niczym ręce zawodowego iluzjonisty. Nowy regent z niesmakiem zauważył, że Sornnn odziany był w szatę w szerokie pasy, taką, jakie noszą plemiona Korrushu. Zakurzyła się w długiej podróży, co stłumiło jaskrawe barwy.

–Wybacz mój wygląd w wieczór rescendencji twego ojca, Kurganie Stogggulu – powiedział niskim, władczym głosem Sornnn. – Jak widzisz, pospiesznie przybyłem

tu wprost z Korrushu, by pożegnać zmarłego. – Odnosiło się wrażenie, że przejął niezmacony spokój dzikich plemion Korrushu, od których jego konsorcjum kupowało korzenne przyprawy.

Kurgan skłonił głowę, jego czarne jak noc oczy patrzyły czujnie i chciwie, przywodziły na myśl parę nocnych drapieżców. Ubrany był w ceremonialną szatę barwy najciemniejszego indygo. Nie lubił tego koloru i źle się czuł w tym stroju. Palił się do przywdziania królewskiej purpury regenta.

–W takim czasie dobrze mieć w pobliżu mojego naczelnego faktora.

–Słyszałem, że śmierć Wennna Stogggula była nagła i tragiczna – odezwał się Sornnn SaTrryn, wpadając Kurganowi w słowo. – Coś nas łączy, regencie.

–Istotnie. Twój ojciec zmarł kilka miesięcy temu, nieprawdaż?

Sornnn pochylił głowę, potwierdzając ów smutny fakt. Kurgan zerknął w lewo i zobaczył, jak gwiazdny admirał Olenn Rydddin mierzy wzrokiem młodego naczelnego faktora, stara się go dokładnie zapamiętać, jak to się robi w przypadku wroga, usiłuje odgadnąć jego słabe i mocne strony. Ponownie spojrzął na Sornnna i skinął na jednego ze znajdujących się w pobliżu służących, żeby podał im coś do picia. Chwilę później podano im na grawerowanej miedzianej tacy napitki. Sornnn SaTrryn wymienił pusty kielich na pełny. Spełniono z powagą toast pożegnalny za duszę, wypito ogniste numaaadis i Kurgan zapytał:

–W jaką okolicę Korrushu zawiodły cię twoje podróże?

–W ostatnich tygodniach przebywałem w pobliżu Okkamchire.

–Wszystkie tamtejsze nazwy brzmią podobnie dla mego ucha. Słyszałem, że Korrush to prymitywne miejsce. Kurz i łajno kuomeshali. Okropne miejsce do życia. Tak mówią wszelkie raporty.

–Kunsztownie tkane dywany, trunki, przy których nawet ogniste numaaadis smakuje jak woda. – Sornnn SaTrryn mówił łagodnie, rozbijając. – Zachwycające miasteczko namiotów, zmieniające położenie wedle woli naczelnika lub kaprysów pogody. – Zamilkł. – No i handel korzennymi przyprawami okazał się niezmiernie lukratywny.

Kurgan się uśmiechnął, znów znajdował się na pewnym gruncie.

–Wart brzęczenia krwiomuch i smrodu łajna kuomeshali, jak sądzę.

–Bez wątpienia, regencie.

–No to nie odważę się strofować cię za to, że tak wiele czasu tam spędzasz. Ale z drugiej strony... – przerwał, bo zobaczył przepychającą się przez tłum siostrę, Marethyn. Na pewno urządzi jakąś scenę, jak w dniu śmierci ojca; ciekawe, co to będzie tym razem.

–Słucham, regencie – zagadnął Sornnn SaTrryn. – Z drugiej strony?

Kurgan znów się zajął swoim naczelnym faktorem.

–Z drugiej strony, zamierzam powrócić do planowanej przez Eleusisa Asherę odbudowy Za Hara-at.

Uśmiech Sornnna SaTrryna wprost zajaśniał.

–To wspaniała nowina, regencie! Naprawdę wspaniała!

–Właśnie się odslania ruiny, nieprawdaż?

–Tak. Beyy Das, jedno z pięciu plemion Korrushu, od lat pieczołowicie odkopuje ruiny starożytnego miasta. To praca trudna i niebezpieczna. Wiele razy zdarzyły się zawaliska, spowodowane zarówno naruszeniem starych, zasypanych od stuleci kopalni krzemianów, jak i niszczycielskimi napadami Jeni Cerii, wrogiego plemienia.

–Powinienem wysłać oddział Khagggunów, żeby strzegli naszych Mesagggunów.

–To byłoby rozsądne posunięcie, regencie – rzekł Sornnn SaTrryn. – Lecz nakazałbym im, żeby się trzymali z dala od wykopalisk, bo to święte miejsce.

–Tylko dla dzikusów z Korrushu. Rozumiem jednak, że jesteś w tych sprawach ekspertem, więc posłucham twojej rady. – Kurgan skinął głową. – Znakomicie, Sornnnie SaTrrynie. Cieszę się, że tak pomyślnie odnowiliśmy naszą znajomość.

–Mam nadzieję, że pozwolisz sobie towarzyszyć podczas pierwszej wyprawy do Korrushu – powiedział naczelnny faktor.

–Nie planowałem takiej podróży.

–SaTrrynowie są partnerami Konsorcjum Stogggulów w odbudowie Za Hara-at, zwanego też Miastem Miliona Klejnotów. Sądzę, że byłoby dobrze, aby regent odwiedził to miejsce.

Kurgan zastanawiał się przez chwilę.

–Cóż, jedno jest pewne: nauczono cię dobrze przemawiać. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Świetnie. Wszelkie przygotowania pozostawiam tobie. Jednak teraz, naczelnny faktorze, muszę cię opuścić. Wkrótce rozpocznie się rescendencja i

powiniennem się przygotować.

–Oczywiście. Dzięki za rozmowę, regencie. Wyrazy szacunku dla ciebie i twego zmarłego ojca.

–Jak mówiłeś, przybyłeś pośpiesznie i z daleka. Na długo zapamiętam twoją lojalność.

Sornnn SaTrryn oficjalnie pożegnał się z regentem i odszedł, powiewając szatą z korushańskiej materii.

Kurgan, zatopiony w myślach, patrzył za nim przez chwilę. Olnnn Rydddlin udzielił ostatnich instrukcji strażnikom i podszedł do regenta.

–Jakie wieści o uciekinierach, których szukamy?

–Jesteśmy coraz bliżej, regencie.

–Ostrożnie, gwiazdny admirale. Już raz prawie ich mieliśmy.

–Tym razem będzie inaczej.

Kurgan wbił wzrok w Olnnna Rydddlina, Khagggun był niczym księga o wielu zakrytych stronicach; sojusznik i zagrożenie zarazem.

–Więc wkrótce się znajdą w areszcie, nieprawdaż, gwiazdny admirale?

Olnnn skłonił głowę.

Marethyn Stogggul zaczęła, aż gwiazdny admirał się oddali, i dopiero wówczas podeszła do brata. Była wysoką, gibką Tuskugggun o pięknej, szlachetnej twarzy, szeroko rozstawionych inteligentnych oczach i zmysłowych ustach. Miała tyle buty co Kurgan, rzecz niezwykła u v'ornnańskiej kobiety. V'ornnańscy mężczyźni marzyli o takim ciele jak jej, lecz ona w ogóle nie była świadoma własnej atrakcyjności.

Stała wraz z innymi kobietami w odgradzonej części namiotu, z której zakazano im się oddalać. Miała już dosyć pogaduszek i plotek, dyskusji o wytrzymałości na rozciąganie tertu w porównaniu z trytanem, o osnowie i wątku tkanin. Stojąc za odgradzającą kobiety liną, słyszała strzępki rozmów mężczyzn: o interesach, o wyczuwaniu słabych punktów podczas negocjacji, o konkurencji, o urazach, zawiściach, ambicjach. Samo życie!

Uśmiechnęła się, choć obawiała się tego spotkania. Jako Tuskugggun sądząca, o zgrozo, że powinno dojść do równouprawnienia płci, nie żywiła szczególnie ciepłych uczuć wobec należących do rodziny mężczyzn, którzy – ze względu na jej poglądy –

byli dla niej jeszcze bardziej szorstcy niż dla matki i siostry. Wcześniej nauczyła się niezależności. W przeciwieństwie do ambitnego brata, Kurgana, i rozpuszczonej siostry, Oratttony, nie wykorzystywała sławy i potęgi Konsorcjum Stogggulów, nawet wtedy, gdy ojciec został regentem. Wennn Stogggul gardził nią, a ona nie widziała powodu, żeby nie odwzajemnić tego uczucia. W gruncie rzeczy czerpała przyjemność z jawnego okazywania mu wzgardy, z Wypominania mu, że wydał swego pierworodnego, Terrettta, na pastwę podejrzanych metod leczniczych stosowanych w Błogosławiącym Duchu przez surowych i dziwnych Deirusów. Z całej rodziny wyłącznie ona odwiedzała Terrettta w okropnych sterylnych pokojach przytułku, wśród obłąkanych, zjawiała się tam trzy razy w tygodniu. Ież to razy błagała matkę, nakłaniała ją pochlebstwami, a potem urągała jej za okrucieństwo.

–Jest twoim synem! – wykrzyczała.

–Nigdy go za takiego nie uważałam – odparła matka beznamiętnym głosem. – I nigdy nie uznaję.

–Więc już nie jestem twoją córką – powiedziała wstrząśnięta Marethyn.

Wiedziała, że upośledzony Terrettt czuł wdzięczność za każde odwiedziny, chociaż rzadko to okazywał. Kiedy była przy nim, inaczej się zachowywał, Deirusowie nawet nie musieli jej tego mówić, chociaż często to robili.

Kurgan zwrócił się ku niej, a Marethyn była aż boleśnie świadoma obecności matki, Oratttony i jej potomstwa oraz innych kobiet z rodziny, posłusznie stojących za jedwabną liną w kolorze indygo, z dala od honorowego miejsca, w którym mogli się znaleźć jedynie mężczyźni z rodu Stogggulów. Oratttony miała cięty język, lecz brakowało jej odwagi, żeby wyjść z zagrody, w której niesłusznie zamknęła ją tradycja. Oczy siostry pociemniały i stały się niespokojne, kiedy Marethyn to zrobiła.

–Oszalałaś? – rzucił Kurgan.

To były pierwsze słowa brata, jakie do niej wyrzekł od dnia śmierci ojca.

–Przynoszę ci pozdrowienia od Terrettta i jego wyrazy ubolewania, że nie może uczestniczyć w rescendencji.

Na twarzy Kurgana na moment zagościł krzywy uśmiezek.

–Jesteś szalona, siostrze. Mój brat potrafi tylko się ślinić. Coś odrobinę trudniejszego pewnie by mu rozsadziło czaszkę.

–Wiedziałam. – Chociaż Marethyn obiecywała sobie, że zachowa spokój, to gniew wziął górę. – Rozmyślnie udaremniłaś moje zamiary sprowadzenia go tutaj.

–No pewnie. Nie mogłem pozwolić, żeby wprawił rodzinę w zakłopotanie przed całym Axis Tyr.

–Jest twoim bratem, pierworodnym synem. Wennn Stogggul był i jego ojcem. Ma prawo...

–Pozwól, że coś ci powiem – syknął Kurgan. – Mój brat ma takie samo prawo być tu dzisiaj, jak ty stawać przede mną. Jest niebezpiecznym obłąkanym V'ornnem i nikim więcej. Ja jestem prawowitym i jedynym dziedzicem ojca, zapamiętaj to sobie. – Łypnął na nią gniewnie, jakby prowokował ją, żeby mu zaprzeczyła. – Jeżeli natychmiast nie odejdziesz, to rozkażę Haaar-kyut, żeby cię odprowadzili na przypisane ci miejsce...

–Taki wstyd dla konsorcjum przed całym Axis Tyr? Nie sądzę. – Marethyn uniosła rękę, a Kurgan miał coraz bardziej wściekłą minę. – Trzymaj swoje psy na smyczy. Powiedziałam wszystko, co miałam do powiedzenia.

Regent wyprostował się sztywno.

–Twoje słowa trafiły w próżnię.

Marethyn skłoniła głowę.

–Jak zwykle, bracie. – Oczy miała lodowate jak poszarpane szczyty Djenn Marre. – Nie rozczarowałeś mnie.

Gwiezdny admirał Olenn Ryddlin, zmuszony rozruszać swoją nogę, spacerował po łuku wśród V'ornnów wystrojonych w najlepsze szaty. Wszystkie kasty w stosowny sposób okazywały swój żal: zbroja na lewym ramieniu Khaggunów miała barwę indygo; Bashkirowie nosili szerokie szarfy w kolorze indygo. Mesagguni pomalowali twarze na kolor indygo; Genomatekcy i Deirusowie mieli na głowach indygowy opaski, Tuskuggun zaś, odgródzone w przypisanej im części namiotu, nosiły sifeyny w kolorze indygo.

Olenn jadał niewiele, sypiał jeszcze mniej. A kiedy w końcu nachodził go sen, zwykle był pełny niesamowitych i niepokojących obrazów, ostrych krzyków i natarczywych szeptów – i gwiezdny admirał natychmiast się budził, zlany potem, z głośno łomoczącymi sercami. Noga stale go bolała, jakby wbijano mu igły aż do szpiku; było to wstrząsające uczucie dla V'ornna uodpornionego na większość odmian bólu. A kiedy na chwilę przestawała boleć, to sztywniała. „Bezruch to niebezpieczeństwo”. To powiedzonko Khaggunów stało się dla Ryddlina rzeczywistością.

Salutowali mu Haaar-kyut, których mijał, zabiegając o jego aprobatę. Nigdy się tak nie zachowywali wobec Kinnusa Morchy, poprzedniego gwieздnego admirała.

Przechadzał się swoim niezdamnym krokiem, a fotel regenta stanowił centralny punkt jego trasy. Chciał sprawiać wrażenie, że chce się lepiej przyjrzeć tym, co mają władzę, tym, co pragną władzy, tym, co nigdy władzy mieć nie będą i dlatego zazdroszczą tym, którzy ją mają. Ale, prawdę mówiąc, szukał generała polnego Lokcka Werrrenta.

Olnnn był Khaggunem, który prawie nie znał swoich rodziców, najmłodszym z czterech braci, żyjących tylko po to, żeby go upokarzać – tak mu się często zdawało. W przeciwieństwie do wielu innych, którzy wykorzystywali swoje nazwisko i znajomości, własnym wysiłkiem zdobył oficerskie szlify. Nie miał nazwiska ani rodziny, opuścili go wszyscy bracia, również ci żyjący. Sam jeden na świecie, własną wolą i pracą zdobywał pozycję. Kiedy był dzieckiem, zdawało się, że niczego nie osiągnie, a teraz miał niemal wszystko, o czym marzył, wszystko to, czego teraz nigdy nie osiągną inni – bo on już był na szczycie – którzy uważali się za lepszych od niego.

A mimo to był spięty. Krótco po tym, jak Kurgan został regentem, Olnnn zauważył narastające pomiędzy nimi napięcie. Regent wydawał mu jakieś nedorzeczne polecenia i winił go za to, że nie udawało się ich wykonać. Była również sprawa – dotąd nierozwiązana – kradzieży z khagguńskich magazynów. Olnnn, wbrew opinii regenta, był przekonany, że stoi za tym Konsorcjum SaTrrynów. Od dawna byli związani sojuszami z plemionami Korrushu. Toteż można było podejrzewać, że Sornnn SaTrryn „się skundalanił”. Lecz regent najwyraźniej lubił Somnna SaTrryna, więc Olnnn zdawał sobie sprawę, że musi postępować ostrożnie lub w ogóle dać sobie z tym spokój.

Powinien jakoś zdyskredytować Sornnna SaTrryna, lecz tak, żeby samemu się w to w żaden sposób nie mieszać. Musiał to zrobić sprytnie i cudzymi rękami, czyli potrzebował jelenia.

–Gwiazdny admirale.

Odwrócił się i ujrzał krągłą jak kundalański księżyc twarz Bronnna Pallna, lśniąca od potu.

–Jestem tutaj od czterech godzin, dłużej niż większość Bashkirów, a mimo to nie zdołałem uzyskać audiencji u Kurgana Stogggula.

–Jeszcze nie minął czas oficjalnej żałoby, Bronnnie Pallnie – rzekł Olnnn, wyciągając szyję i wypatrując generała polnego Lokcka Werrrenta. – Poza tym jest zaabsorbowany sprawami swojego urzędu.

–Nasi ojcowie byli...

–Sądzę, że lepiej odłożyć audiencję.

–Czekałem cierpliwie przez dziewięć długich tygodni, czyż to się nie liczy? – jęknął Bronnn Palln. – Miałem nadzieję, że w końcu uda mi się wykazać Kurganowi Stogggulowi, jaki błąd popełnił jego ojciec, mianując naczelnym faktorem Sornnna SaTrryna, a nie mnie.

I nagle cała rozmowa stała się dla Olnna niezmiernie interesująca, nabrała dla niego znaczenia. Zupełnie jakby jakaś tajemna moc wysłuchała i spełniła jego życzenie znalezienia „podwykonawcy”. Kolejny powód, żeby powstrzymać tego Bashkira od rozmowy z regentem.

–Nie sędzę, żebyś mądrze postąpił, mówiąc regentowi w wieczór rescendencji, że jego ojciec popełnił błąd.

–Pewnie tak. Jednak urząd naczelnego faktora prawnie mi się należy. Wennn Stogggul prawie mi go obiecał, kiedy Sornnn SaTrryn...

–Wybuchowość i zmienność Kurgana Stogggula jest przysłowiowa. Chyba nie muszę ci o tym przypominać, Bronnnie Pallnie.

–Oczywiście, że nie, gwiazdny admirale.

Olnn przytknął palec do warg, udając namysł.

–Jednakowoż twoje słowa mnie poruszyły.

–Naprawdę? – Bronnn Palln był mocno zaskoczony.

–Naprawdę. – Ryddlin położył dłoń na tłustym ramieniu rozmówcy i odholował go od regenta. Właśnie wtedy dostrzegł generała polnego. – Pomówmy o tej sprawie za dzień lub dwa, kiedy osłabnie nieco żal po rescendencji.

–Oczywiście, gwiazdny admirale. – Bronnn Palln drżał lekko, pozwalając się odprowadzać ku członkom swojego konsorcjum. – Z największą przyjemnością.

Olnn Ryddlin szybko go zostawił i ruszył ku wysokiej postaci Lokcka Werrrenta. Werrrent dowodził siłami khagguńskimi z kwadrantu Zamarzniętych Jezior, toteż był najpotężniejszy ze wszystkich generałów. Wyglądał groźnie, nawet jak na Khagguna. Zdawało się, że jego duża, kwadratowa czaszka składa się przede wszystkim z wystającej żuchwy i wypukłego czoła. Głęboko osadzone oczy płonęły uczuciem, które lubił nazywać umiłowaniem dyscypliny. Mógłby być ojcem Olnna, a nie miał potomków, bo – jak twierdził – ożenił się ze służbą V'ornnom.

–Miło znów cię widzieć, gwiazdny admirale – rzekł głębokim dźwięcznym głosem, który z łatwością mógłby wstrząsnąć krokwiemi największej sali czy krużganka.

–I ciebie również, generale polny. – Olnnn ścisnął nadgarstek Lokcka Werrrenta. – Mam wrażenie, że ostatnio zbyt rzadko się widywaliśmy.

–Jestem do twojej dyspozycji, gwiazdny admirale. Zjawię się rankiem w twojej kwaterze.

–Nie. I nie wprowadzisz żadnych niespodziewanych zmian w oficjalnym rozkładzie swoich zajęć.

Lokck Werrrent zmarszczył czoło. Tak dobrze się znali, że nie zadał pytania, na które nie mógłby zaraz otrzymać odpowiedzi.

–Jutro o dwudziestej pierwszej idę do Dobbro Mannksa na cotygodniową kolację i rundkę hobbnixksu. Może wcześniej czegoś się napijemy?

–Gdzie się spotkamy? – Olnnn nie był towarzyski. Z wielu tawern Axis Tyr znał tylko hałaśliwą „Krwistą Falę” na promenadzie w dzielnicy portowej.

–Z twojej poważnej miny wnoszę, że powinniśmy się spotkać w miejscu mało uczęszczanym przez Khaggunów. Znasz „Spice Jaxx”?

–Raczej nie.

–To pośrodku korzennego targu. Ma pomarańczowo-czerwone zasłony. Na pewno trafisz.

–No to jutro o dwudziestej.

–A, latorośl Konsorcjum SaTrrynów. Widzę, że przywiozłeś do Axis Tyr trochę Korrushu.

Sornnn SaTrryn odwrócił się, słysząc kobiecy głos.

–Marethyn Stogggul. – Patrzył na nią z doskonale obojętnym wyrazem twarzy. – Nie widziałem cię od... hmm, od kiedyż to?

–Ostatni raz widzieliśmy się dwa dni po śmierci twojego ojca. Nie pamiętasz?

–Tysiącrotnie przepraszam. – Miał nieco kpiącą minę. – Prawdę mówiąc, nie pamiętam.

–Byłam tam. Jako przedstawicielka rodziny Stogggulów. Członkowie konsorcjum też brali w tym udział.

–A tak. Cóż, tylu ludzi się tam przewinęło w ciągu tych dwóch tygodni żałoby.

–A ty byłeś w szoku.

–Tak.

–Ufam, że już się pozbierałeś po tej ogromnej stracie.

–Nigdy tak do końca nie można się otrząsnąć po czymś takim – powiedział Sornnn.

– Bo czyż ktoś może zastąpić ojca?

–Istotnie.

–Jakiż jestem bezmyślny. Przecież to rescendencja twojego ojca.

–Zachowaj swoje kondolencje dla kogoś, komu się przydadzą – rzekła szorstko Marethyn.

–Co u ciebie? – Sornnn przerwał niemiłą ciszę.

–Moja robota idzie dobrze, choć w interesach warsztatu panuje zastój.

–Wyjąwszy prace twojego brata.

–A, tak. Obrazy Terretta zawsze się sprzedają.

–Co z nim?

–Bez zmian.

–Jaka szkoda.

–Dzięki za troskę, Sornnnie SaTrrynie. – Marethyn przechyliła nieco głowę, jakby przez chwilę obserwowała coś lub kogoś za jego lewym ramieniem. – Spójrz tam – szepnęła. – Nadchodzi Deirus.

Sornnn odwrócił się i ujrzał poważnego V'ornna, odzianego w popielatoszary strój Deirusów.

–Patrz, jak ci, do których się zbliża, marszczą nosy i odsuwają się – rzekła Marethyn.

–To prawda – stwierdził Sornnn – Deirusi nie są zbyt lubiani.

–To zbyt delikatnie powiedziane. Są uważani za seksualnych dewiantów i w związku z tym za pariasów.

–Kolejna z twoich spraw, Marethyn? Nie masz ich już dosyć? – Sorann bacznie obserwował manewry Olnna Ryddlina, admirał najwyraźniej ich śledził.

–Zważywszy na zbrodnicze eksperymenty, jakie Genomatekcy w Błogosławiącym Duchu przeprowadzają na nieszczęśliwych v'ornnańsko-kundalańskich dzieciach, to ich pogarda dla Deirusów jest czystą hipokryzją – Marethyn się skrzywiła. – I dlaczegoż to jakakolwiek odmienność, a zwłaszcza taka jak Deirusów, miałyby świadczyć, że ci „odmieńcy” nadają się wyłącznie do opieki nad umierającymi i obłąkanymi?

–Bo w ten sposób nikt ważny nie złapie ich „choroby”, jak to głoszą Gyrgoni – rzekł oschle Sorann.

–Jak gdyby to naprawdę była choroba. Jakby było coś złego w tym, że mężczyźni kochają mężczyzn. Twierdzą, że w ich związkach jest więcej miłości niż w waszych związkach z nami, kobietami.

–W czym rzecz, Marethyn? – zapytał kpiąco Sorann. – Nie wierzysz w prawdziwą miłość?

–A powinnam?

–Sądziłem, że wszystkie Tuskggun wierzą.

–A ja sądziłam, że żaden mężczyzna nie wierzy.

–W tym i Deirusi? Biedni głupcy! Gdyby nie to ich odstępstwo od normy, mogliby zająć miejsce wśród wysoko cenionych Genomatekków, zamiast harować pośród zmarłych, umierających i obłąkanych.

–To obrzydliwe, że tak się ich wykorzystuje. Okresowe wypadki...

–To sposób Gyrgonów na to, żeby dziwaczne obyczaje nie rozprzestrzeniły się poza kastę Deirusów – oznajmił Sorann.

–I na takim barbarzyństwie polega Modalność! – Marethyn wzięła kielich numaaadis z tacy mijającego ich służącego. – Jakie wieści z Korrushu?

–Korrush trwa. Niemal się nie zmienił, mimo spustoszeń wynikających z naszej okupacji.

Marethyn upiła łyček trunku. Palił jej gardło niczym płomień.

–Gyrgoni są zdania, że tamtejsze plemiona nie są godne uwagi.

–Jak krwiopijcze pchły na grzbiecie hindemutha.

–Ale ty wiesz swoje.

–Moje konsorcjum dobrze zarabia na ich korzennych przyprawach.

–Tak się zastanawiałam – Marethyn przechyliła głowę – czemu sobie zawracacie głowę handlem z nimi? Czy nie prościej iść tam z oddziałami Khagggunów i zabrać przyprawy? Odebraliśmy Kundalanom wszystko, co ma jakąś wartość.

–Ręcę, że jeszcze nie wszystko. Ale to zupełnie inna historia. – Sornnn SaTrryn w zamyśleniu zacisnął wargi. Cały czas kątem oka obserwował Olnna Ryddlina i był przekonany, że gwiazdny admirał dyskretnie ich śledzi. – A odpowiadając na twoje pytanie... hm... Właściwie nie ma odpowiedzi.

–Czyli dajesz do zrozumienia, że Gyrgoni planują coś w Korrushu.

–Czy powiedziałem coś takiego?

–Nie wprost.

Sornnn SaTrryn się zachmurzył.

–Uważam, że lepiej nie przypisywać mi tego, czego nie powiedziałem.

–Jak możesz mnie o to oskarżać? W końcu jestem tylko pokorną Tuskugggun. Wątpię, czybym to potrafiła.

–Jesteś równie kłująca jak sysalowiec.

–I mówią, że dwukrotnie twardsza.

–Widzę, że mają rację. – Sornnn spostrzegł, że mijający ich Olnn Ryddlin uśmiecha się leciutko.

–A ja widzę jedynie, że jesteś równie nudny i głupi jak każdy inny Bashkir.

–Czuję się urażony.

–Spróbuj nie brać sobie tego do serc – rzekła Marethyn na odchodnym. – Wedle niektórych mam opinię osoby zachowującej się obraźliwie.

Nith Batoxxx patrzył, jak Kurgan rozpoczyna obrzęd rescendencji, lecz myślami był gdzie indziej. Bo czyż mogło być inaczej? Któryż Gyrgon zawracałby sobie głowę przyziemnymi sprawami V'ornnów? Śmierć miała dla niego znaczenie o tyle, że należało jej unikać. Prawdę mówiąc, bardzo go rozstrajał ten pobyt w publicznym miejscu, pośród ogromnego falującego tłumu, to zetknięcie się z życiem toczącym się na zewnątrz Świątyni Mnemoniki, w której miał swoje laboratorium. Już sama

kakofonia głosów budziła w nim niepokój – miał wrażenie, że nieustanny gwar i niespożyta energia tłumy nie pozwalają mu słyszeć własnych myśli. Intensywność doznań, nawet przefiltrowana przez neuralne sieci biozbroi, sprawiała, że czuł się jak obdzierany ze skóry. Tak mocno zaciskał zęby, walcząc z tym uczuciem, że dostawał szczękościsku.

Jego wzburzenie mogło mieć również coś wspólnego z węzłem z brązu i sieci neuralnej, będącego łączem z jego marionetką, kundalańską czarownicą Malistrą. Chociaż Dar Sala-at zabił Malistrę, to towarzyszący jej wąż uciekł i wrócił do swojego pana. Lecz Kiedy Nith Batoxxx wprowadził go do swojego okummmmonu i na powrót sprowadził do fazy jonizacji, przekonał się, że wąż został uszkodzony. Gyrgon miał dostęp do zapisu walki, jaka została stoczona, lecz nie mógł zidentyfikować Daru Sala-at. Wydawało mu się to zupełnie niemożliwe, dlatego wciąż czuł goręcy porażki i zgrzytał zębami z wściekłości i rozczarowania.

Snuł swe ponure rozmyślenia, popatrując to tu, to tam. Widział grupkę Bashkirów, popijających i rozmawiających szeptem; Mesagggunów, przesiąkniętych wonią kopalń i siłowni, podziemnych kanałów; Tuskuggun z głowami okrytymi sifeynami, tradycyjnymi kapturami noszonymi przez wszystkie przyzwoite kobiety. Czuł strach, jaki w nich budził, upajał się nim, koił nim swoje skolatane nerwy. Tak V'ornnowie, jak i Kundalanie mało go obchodzili, mieli spełniać każdy jego kaprys. Byli wyłącznie dodatkowymi parami rąk i nóg, wykonawcami poleceń, których się usuwa, kiedy przestają być użyteczni.

Te myśli znów doprowadziły go do Kurgana Stogggula. Kurgan – w zamian za pomoc w szybkim wyniesieniu na urząd regenta – zobowiązał się służyć Nith Batoxxksowi. Do końca swych dni. To ambitny chłopak. O silnej motywacji. O wiele bystrzejszy od swojego ojca. I równie bezlitosny. Nie miał nic przeciwko splamieniu rąk czyjąś krwią. Może nawet upajał się tym. Lecz czy podoła zadaniu, które go czekało? Nith Batoxxx zamierzał jak najszybciej poznać odpowiedź na to pytanie.

Ale nie dzisiaj. Bo tego dnia miał obserwować otoczenie, czując niegasnące płomienie joniczne sieci neuralnych zbierających szczegółowe dane, archiwizujących najdrobniejsze szczegóły i przekazujące to wszystko nie do głównego skupiska gyrgońskich kryształów zapisujących dane, lecz do pojedynczego kryształu, pulsującego błękitem i bielą w skrytce w jego laboratorium, ukrytej nawet przed wszechwidzącymi oczami członków Bractwa. Nie cierpiał tego zajęcia; degradowało go to do roli gońca, wpisywacza danych, bibliotekarza. Było to poniżające i wstrętne, a jednak wykonywał to na pozór niekończące się zadanie bezbłędnie i bez słowa protestu. W tych okolicznościach protest nie był możliwy.

W jakimi jestem podłym nastroju! – wykrzyczał w duchu. Dlaczego? Wiedział jednak. Wiedział to równie dobrze jak to, że ospowate słońce Kundali z purpurową plamką wzejdzie dokładnie za trzy godziny, dwadzieścia trzy minuty i 1797,5

sekundy. Brakowało mu godnego przeciwnika. Walczył ze swoim, zdawało się, niepokonanym wrogiem, Nith Sahorem, i ranił go poważnie, śmiertelnie. A teraz, kiedy Nith Sahor odszedł, Nith Batoxxx przekonał się, że w jego świecie powstała próżnia, że sploty materii rzeczywistości stały się płaskie i nieciekawe. Nudził się, kiedy Nith Sahor już mu się nie przeciwstawiał. I było mu smutno. Patrzcie no! Bolał nad śmiercią największego wroga. Kiedyś rozbawiłby go taki absurd.

Pogardzał Nith Sahorem i wszystkim, za czym on obstawał. Nith Sahor zasłużył na swój los, na śmierć z ręki Nith Batoxxxsa. Urzekła go kundalańska tradycja ludowa, kundalańska historia, kundalańska magia. Dopatrywał się wartości w śmieciach. Pomylił sztuczki iluzjonisty z naukowo potwierdzonymi faktami, błędnie wziął mity za wiedzę. Co gorsza, chciał wstrząsnąć podstawami Bractwa. Zaczął wątpić w elementarne Zasady, które wszyscy Gyrgoni uznają za prawdziwe i słuszne od momentu wszczęcia im w mózgi sieci korykalnych; w Zasady, wedle których zaprogramowano główny bank danych, w Zasady przesłane do v'ornnańskiej bazy danych tuż przed zniszczeniem ich ojczystego świata. Nith Sahor uważał, że Zasady te budzą wątpliwości. Twierdził, że promieniowanie, wyzwolone w trakcie tej niewyobrażalnej katastrofy, zakłóciło transfer danych i to, co dotarło do banku, było albo zniekształcone, albo bardzo fragmentaryczne. Bluźnił przeciwko Bractwu i przeciwko samej rasie V'ornnów. Był najpodstępniejszym, najgorszego rodzaju zdrajcą, bo dążył do przewrotu. Złudzenia przywiodły go na koniec do spiskowania z wrogiem: najpierw z Eleusisem Asherą, ówczesnym regentem, a potem z czarownicą Giyan i jej zdradzieckim sprzymierzeńcem, Rhynnonem Rekkkiem Hacilarem.

Kiedy Nith Batoxxx rozmyślał o ohydnej zdradzie Nith Sahora, wrzała w nim krew, przez co jeszcze bardziej był świadom pustki, bo jego własna moc rosła w konfrontacji z potężnym przeciwnikiem. A teraz ów przeciwnik odszedł, zesłany na lodowate pustkowie N'Luuury, o ile na tym świecie istniała jakaś sprawiedliwość.

Do namiotu Antenata sączyła się zielonkawa księżycowa poświata; energia tłumu nagrzewała namiot niczym reaktor fotonowy. Powietrze w zatłoczonym namiocie było duszne, niekończący się wąż żałobników wpełzał jedną stroną i wypelzał drugą. Nith Batoxxx pragnął wrócić do swojego laboratorium i oddać się doświadczeniom. Przymrużonymi oczami obserwował tłum V'ornnów, jedzących i pijących, rozmawiających przyciszonymi głosami, dyszących jak stado bezrozumnego bydła – i nienawidził ich wszystkich. Cóż ich obchodziło? Nieistotne zdarzenia z ich płytkiej egzystencji, codzienna dreptanina, którą on – i wszyscy Gyrgoni poza Nith Sahorem – już dawno temu odrzucili. Bo Gyrgoni spojrzeli w oblicze wieczności, i już nic nie mogło być takie samo jak przedtem. To było cudowne, wspaniałe, nadzwyczajne uczucie – trzymać tworzywo kosmosu w dłoni obleczonej w rękawicę z sieci neuralnej, manipulować nim, dostrzegać lśnienie jeszcze istniejących tajemnic, dać się zauroczyć mikroskopijnym orbitom energii tworzącej wszystko, co żywe.

Tak, jego eksperymenty sprawiły, że gardził przedstawicielami niższych kast –

niemal wszystkimi. Był jednak ktoś, kto budził jego zainteresowanie. Rubinowe źrenice spoczęły na moment na Kurganie Stogggulu – władczym, dumnym, niebezpiecznym; tego właśnie od najwcześniejszego dzieciństwa uczył go Nith Batoxxx pod postacią Starego V'ornna. Kurgan Stogggul był zagadką godną ponadprzeciętnego intelektu i naukowej ciekawości Nith Batoxxksa. W chwili narodzin okazał się wybrańcem szczególnego losu, przeznaczenia wykraczającego poza zrozumienie większości V'ornnów.

Nith Batoxxx zaś to zaaranżował.

Gyrgon podszedł do Kurgana i zrobiło się wokół nich pusto i cicho, V'ornnowie i Kundalanie unikali ich wzroku. Strach zebranych był niemal namacalny, lecz nie rozwiało to niezadowolenia, jakie zdawało się spowijać Batoxxksa niczym żałobny całun.

–Nadeszła wyznaczona pora – rzekł miękko, lecz zarazem upiornie Gyrgon. – Powinna się rozpocząć rescendencja.

Kurgan zbliżył się do baein. Nith Batoxxx patrzył, jak chłopak przekręca gałkę na pojemniku. Serca zmarłego regenta zabiły i, imitując powrót do życia, zaczęły topnieć, aż stały się gęstym błękitno-czarnym płynem, który ściekł do Kielicha Ducha.

Wśród zebranych zapanowała cisza. Nith Batoxxx słyszał, jak cicho oddychają, niczym osaczone zwierzę. Nie padło ani jedno słowo. Wszystkie oczy wpatrywały się w Kurgana, a on uniósł kielich zrobiony z kryształu, żeby każdy mógł zobaczyć zmienione w płyn serca. Potem, patrząc na zgromadzonych, zaintonował modlitwę o rescendencję, kończącą się dobrze znaną frazą: „Życie jest śmiercią, śmierć jest życiem”.

Na koniec Kurgan wypił do dna płyn z kielicha.

3. Dylematy

–I co zrobimy teraz, gdy Giyan odeszła? – zapytała Eleana.

Riane, Rekkk, Eleana i sześcioroga Rappa, Thigpen, stali blisko siebie w poświęceniu trzech księżyców.

–Ruszymy jej na ratunek – oznajmił Rekkk z niezachwianą logiką wojownika.

–To nie będzie takie proste – ostrzegła Thigpen.

Riane opowiedziała im o podejrzeniach Giyan co do pochodzenia poczwarek.

–Przecież Giyan jest tak potężną czarodziejką – odezwała się Eleana. – Jak zdołali ją uwięzić?

–To Malasocca, straszliwa magia o największej mocy.

Riane zorientowała się, że to słowo Venca, pierwotnego języka Starej Mowy Ramahan; języka Druuge, koczowniczych plemion zamieszkujących pustkowie Wielkiego Voorgu, podobno byli potomkami pierwszych Ramahan.

Thigpen niespokojnie poruszała wąsikami.

–Od stuleci nie spotykano się z tym na Kundali. To starożytna magia, z czasu przed wyobrażeniem. Odczynia ją tylko śmierć osoby nią dotkniętej. – Stworzenie przyjrzało się im kolejno. – Musimy się pogodzić z tym, że pani jest dla nas stracona.

–Musi być jakiś sposób – powiedziała Riane.

–Pójdziemy za nią – rzekł twardo Rekkk. – Na pewno wszyscy razem...

–I tego właśnie nie zrobimy. – Thigpen położyła płasko trójkątne uszy po porośniętym rudawą sierścią łebku i uniosła się na dwóch parach krzepkich tylnych łapek. – Jeżeli tak zrobimy, magia wszystkich nas pozabija, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. A gdyby nawet jakimś cudem któreś z nas ocalało, to co wtedy? Które z nas wbiłoby jej klingę w serce, żeby ją uwolnić?

–No to co proponujesz? – Eleana wsparła się pod boki. – Ja nie mam ochoty siedzieć bezczynnie, podczas gdy jakiś demon z Otchłani kradnie duszę Giyan.

Wąsiki Thigpen aż śmigają.

–Skarbie, twoje oddanie Giyan jest wzruszające. Nie kwestionuję tego, co masz w sercu, a jedynie to, jak okazujesz miłość. – Rappa wyprostowała szczupłe palce i miarowo stukała długimi pazurkami. – Pomijając ciężką dolę Giyan, muszę wam uświadomić ogromne zagrożenie, jakim jest Malasocca dla nas wszystkich, bo zapowiada powrót demonów do naszego świata.

–Nie wiesz... – zaczął Rekkk.

–Och, ależ wiem. – Thigpen otworzyła pyszczek i długim żółtym językiem wytoczyła z mordki coś kulistego. Wzięła to w łapkę i pokazała im: w środku tego czegoś cienie tworzyły wciąż nowe wzory. – To mi mówi, że istnieje przyszłość, nie konkretna, lecz prawdopodobna przyszłość, w której ty i Riane pójdziecie za Giyan i zginiecie z jej ręki.

–Kolejne kundalańskie brednie! – obruszył się Rekkk. – Nie wierzę w to! – Wsunął kord do pochwy. – Idę za nią i znajdę sposób, żeby ją uwolnić. – Najwyraźniej wcale nie słuchał i nie potrafił jasno myśleć.

–Na razie nigdzie nie pójdziesz – oznajmiła Riane. Słowa Thigpen zmroziły jej krew w żyłach. – Po pierwsze, nawet nie wiesz, gdzie Giyan się podziała.

–Ona ma rację, Rekkku – westchnęła Eleana. – Równie mocno jak ty chcę iść za Giyan. Ale na razie nie pozostaje nam nic innego, jak wysłuchać tego, co Thigpen ma do powiedzenia.

Noc stawała się coraz chłodniejsza, ich zaś i tak zmroziła już groza, której byli świadkami. Poszli za radą Riane i wrócili do biblioteki, ustawili przy długim stole ciężkie krzesła z drewna ammonowca.

–Zanim jeszcze czegoś posłucham – warknął Rekkk – domagam się wyjaśnień, skąd znasz przyszłość.

Thigpen zwinęła się w kłębek na siedzisku krzesła, westchnęła.

–Jak powiedziałam, jest to tylko jedna z wielu możliwych wersji przyszłości.

–Z ilu? – spytała Eleana.

–Z całego mnóstwa, moja droga. Z nieskończonej liczby.

Rekkk był zbyt poruszony, żeby siedzieć spokojnie. Poderwał się i zajął układaniem drew w wielkim kominku i rozpalaniem ognia.

–Wyjaśnienie – zażądał.

–Cierpliwości, wojowniku.

Hacilar odwrócił się ku nim.

–Ta odrobina, którą miałem, zniknęła wraz z Giyan. Gadaj, ale już.

Rappa znów pokazała im maleńką kulę.

–Jak może zaświadczyć Riane, ci z nas, którzy mogą odbywać thripping, są nosicielami robakowatego stwora, zwanego mononculusem.

Eleana wydała jakiś nieartykułowany dźwięk. Jej mina wyrażała obrzydzenie.

–To prawda, Riane? – spytał Rekkk, otrzepując sadzę z rąk. – Masz w sobie jedno z tych stworzeń?

–Tak. Bez tego nie można by thrippingować. Kiedy przenikasz poprzez królestwa, „zbierasz” najrozmaitsze rodzaje energii, niektóre bardzo szkodliwe. Mononculus działa jak filtr, metabolizuje energie i oczyszcza nas.

–Riane nie wie jeszcze – wtrąciła Thigpen – że mononculus, tak jak thrippingująca osoba, wchłania wszelkie rodzaje promieniowania. Królestwa są niezliczone. Istnieją obok siebie oraz jedne nad drugimi. Kiedy się thrippinguje, nie istnieje ani czas, ani przestrzeń, a przynajmniej nie w naszym rozumieniu. Wszystkie królestwa istnieją równocześnie. Nic więc dziwnego, że po drodze niechcący wchłania się to i owo. – Rappa bawiła się kulką. – Osadzają się w nas okruchy przeszłości lub przyszłości. Są dla nas szkodliwe, więc zajmuje się nimi mononculus. Nie może ich metabolizować, w przeciwieństwie do promieniowania, więc robi coś innego. Spaja je.

–Aż utworzą to. – Riane wzięła kulkę od Thigpen i wpatrzyła się w nią uważnie.

–Otóż to. – Thigpen najwyraźniej była zadowolona. – A potem to wydała.

Rekkk rozpałił ogień. Wrócił do nich i stanął obok Riane.

–Ale przyszłość? I przeszłość?

–Jak to powiedzieć? – Thigpen podrapała się za uchem. – Pomyśl o odbijającym się od wody słonecznym blasku, o pobłyskującym w kryształowej tafli świetle lamp. Dostrzegasz te refleksy kątem oka, widzisz je i zarazem nie widzisz. Z tego właśnie zrobiona jest kulka.

Eleana też przysunęła się bliżej, żeby lepiej się przyjrzeć obiektowi zainteresowania.

–I w środku zobaczyłaś jedną z tych przyszłości.

Thigpen z powagą potaknęła ruchem głowy.

–W jakimś miejscu i czasie wydarzyło się to, co powiedziałam. Riane i Rekkk zginęli z rąk demona, w którego zmienia się Giyan.

–Niech to N’Luuura! – zaklął Rekkk.

Eleana spojrzała przenikliwie na Thigpen.

–No to musimy się postarać, żeby właśnie ta przyszłość nigdy się nie wydarzyła.

Thigpen usiadła.

–Moja droga, uchwyciłaś istotę rzeczy. – Spojrzała na Rekkka. – Pojmujesz, porywczy wojowniku?

–Ona jest moim najdroższym skarbem. Rozumiesz to?

Rappa łagodnie położyła łapkę na jego ramieniu.

–Lepiej, niż sobie to potrafisz wyobrazić, dzielny wojowniku.

–No to opowiedz mi o innej możliwości: odnalezieniu Giyan i pokonaniu demona, który ją opętał. Od tego gadania o prorocztwie tylko mnie głowa boli.

–Odnajdziemy Giyan – odezwała się Riane. – Ale najpierw musimy znaleźć sposób na wypędzenie demona bez zabijania jej. – Spostrzegła, że Thigpen przygląda się jej błyszczącymi ślepiami. – Silne ramię i odważne serce to za mało, żeby pokonać demona. Musimy się posłużyć wiedzą.

Rekkk łypnął na nią gniewnie i rzekł:

–Nie rozumiem, Darze Sala-at.

–Dowiedziałam się o demonach tego – ciągnęła Riane – że są z ognia. Walcz z nimi zwyczajnie, a tylko staną się silniejsze. Wyobraź sobie, że przypominają krwiożerczych rozbójników: im bardziej zdecydowanie ich przepędzasz, tym nachalniej atakują. Lecz, podobnie jak rozbójnicy, demony są ograniczone, sprytne tylko na swój sposób, a tak naprawdę są po prostu głupie.

–Dar Sala-at słusznie mówi – stwierdziła Thigpen. – Zło wciąż powiela samo siebie. Na pewno jest potężną, nieprzejednaną, śmiertcionośną mocą, lecz nie ma wolnej woli. Można rzec, że jest zaprogramowane na osiągnięcie celu. Toteż jego działania są... jak by to najlepiej wyrazić? Są mechaniczne i przewidywalne.

–No nareszcie! – wykrzyknął Rekkk. – Słaby punkt wroga!

–Lecz teraz mówimy o nieskażonym złu, więc nic nie jest takie, jak się wydaje.

–Co masz na myśli? – Zachmurzyła się Eleana.

–To, co teraz powiem, ma podstawowe znaczenie dla naszego przeżycia. – Thigpen kolejno spojrzała im w oczy. – Natura zła, to, co Rekkk nazwał jego słabym punktem, często daje złu największą moc. Bo te mechaniczne, przewidywalne sposoby działania mogą stać się hipnotyzujące dla takich jak my.

–To niedorzeczne! – wyrwało się Rekkkowi. – Każde z nas na pewno wiele razy udowodniło, że potrafi odróżnić dobro od zła.

–Jasne, że tak – powiedziała Thigpen. – Ale pomyśl tylko, Rekkku. Malistra zdołała wniknąć w ciebie i opanować cię do tego stopnia, że próbowałeś porwać Dar Sala-at. I to by się udało, gdyby Riane nie była tak bystra i zaradna.

–To się już nigdy nie powtórzy – stwierdził posępnie Rekkk, najwyraźniej nie miał ochoty wspominać tego wydarzenia.

–Wiem, że w to wierzysz, Rekkku. I jestem całkowicie pewna, że masz dobre zamiary. – Thigpen znów postukała pazurkami o pazurki. – W każdym z nas jest takie mroczne miejsce, wiesz o tym, Rekkku, bo tam byłeś. Ramahanie nazywają to Wrotami Białej Kości. Tkwi tam, tłumiona przez nas, wściekłość, rozpacz, zawiść, zachłanność, wszystkie negatywne emocje. Większość z nas, w przeciwieństwie do Rekkka, nawet nie zdaje sobie sprawy, że taki zakamarek istnieje. Chętnie temu zaprzeczamy. Rzecz w tym, że demony instynktownie wiedzą, jak otworzyć Wrota Białej Kości, jak nami manipulować, żeby wyroiły się emocje tam zamknięte. Im bardziej się zbliżamy do zła, im więcej czasu z nim spędzamy, tym bardziej rośnie prawdopodobieństwo otwarcia Wrót Białej Kości, a wtedy wszystkie brudy się uwolnią i zatrują nas, oślepią i sprowadzą na manowce. To dlatego Riane ma rację, mówiąc, że musimy zyskać wiedzę. Zanim stawimy czoło demonowi opanowującemu Giyan, musimy dobrze wiedzieć, co robimy.

–No to nam powiedz! – zagrzmiął Rekkk.

–Niestety, nie mogę. Za mało wiem o Malasocca.

–No to kto wie? – spytała Eleana, zerkając ostrzegawczo na Rekkka, który stłumił okrzyk.

–Pojęcia nie mam. – Thigpen rozłożyła łapki. – Ale rozejrzyjcie się wokół. Mamy w zasięgu ręki wiedzę błogosławionych Ramahan.

–Ani ja, ani Rekkk nie umiemy czytać w Starej Mowie – przypomniała Eleana.

Thigpen cmoknęła językiem.

–Ale Riane i ja...

–Mam inny pomysł – przerwała jej Riane. – Giyan powiedziała mi, u kogo powinnam odbyć kolejny etap magicznych nauk, u Jonnki, imari w kashiggenie „Nimbus” w Axis Tyr. Uważam, że musimy tam iść. Ona na pewno nam pomoże.

Thigpen potrząsnęła głową.

–Właśnie tego nie powinniśmy zrobić.

–Jestem za pójściem – oznajmił szorstko Rekkk. – Byłem w „Nimbusie”. Wiem, gdzie to jest, i znam rozkład wnętrza. W tej chwili to dla nas najlepsze.

Thigpen uderzyła grubym pasiastym ogonem w oparcie krzesła.

–Posłuchajcie mnie choć przez chwilę. Musimy założyć najgorsze: że demon już poznał najświeższe wspomnienia Giyan. A w takim przypadku należy uznać, że Giyan, no i Tzelos, będzie tam szukać Riane. – Rappa uniosła małą kulę. – To się stało właśnie w „Nimbusie”, Rekkku, to tam zginąłeś ty i Riane. Musicie unikać tej przyszłości. Nie wolno wam tam iść.

Zapanowała cisza, zakłócana jedynie świstem wiatru kołyszącego konarami drzew, które drapały o mury budynku. Ponuro zahukała sowa.

Rekkk chrząknął, wyskoczył przez okno.

–Lepiej razem z Riane zaczniście już te poszukiwania – odezwała się Eleana i poszła w ślady Rekkka.

Stali przez chwilę, patrząc na wschód słońca. Chłodny wiatr, pierwszy zwiastun jesieni, wdzierał się pod ubranie, ziębił ręce i nogi.

–Ta beczyność jest nie do zniesienia – powiedział w końcu Rekkk. – Ona gdzieś tam tkwi, uwięziona, cierpiąca, walczy o życie.

–Nie powinieneś teraz o tym myśleć – rzekła łagodnie Eleana.

Odrzucił głowę i wykrzyczał w niebo:

–O tym jednym mogę myśleć, od kiedy to się stało. I tylko o tym będę myśleć, dopóki Giyan się nie znajdzie, bezpieczna, u mego boku.

–No to istnieje poważne ryzyko, że oszalejesz.

–I dobrze. Na nic innego nie zasługuję.

–O czym ty mówisz?

–Powiniennem ją obronić.

–To bzdura. Sama Giyan, mając tak potężną czarodziejską moc, nie mogła się obronić. Nie zdołałbyś jej pomóc, Rekkku. Wiesz o tym.

Hacilar milczał, Eleana spojrzała na niego i szarpnęła go za ramię.

–Popatrz na mnie, Rekkku. – Niechętnie jej posłuchał. – Nie chodzi tylko o to, że nie mogłeś ochronić Giyan, prawda?

Łypnął na nią wściekle, ale nie mógł znieść jej spojrzenia. Kiedy odwrócił głowę, dziewczyna ujęła ją w dłonie i znów ku sobie obróciła.

–Porozmawiaj ze mną, Rekkku.

Wyrwał się i chwiejnie odszedł jedną z alejek. Eleana ruszyła za nim i podeszła do niego, kiedy się wreszcie zatrzymał. Opierał dłoń o pień sysalowca, który rosł, rozsądził nadproże wschodniej fasady świątyni.

Eleana delikatnie dotknęła jego ramienia.

–Zabawne – szepnął ochryple – że coś tak nieszkodliwego jak drzewo może się przebić przez kamień i zaprawę. – Potrząsnął głową. – Chodzi mi o to, że właściwie prawie się nie zauważa drzew, prawda? Pozostają na obrzeżu naszego pola widzenia, są, a jakby ich nie było. Traktujesz je jako coś oczywistego.

–O co chodzi, Rekkku? – szepnęła Eleana.

Hacilar popatrzył na kołyszące się gałęzie.

–To drzewo jest jak... – Na chwilę zamknął oczy. – Jak to miejsce we mnie... jak Thigpen je nazwała?

–Wrota Białej Kości.

Skinął głową.

–Miejsce, którego dotknęła Malistra, wpełzając jak wąż. Miejsce, o którego istnieniu nawet nie wiedziałem, gdzieś na granicy świadomości. – Oderwał dłoń od pnia sysalowca, jakby się oparzył.

–Rekkku, proszę...

–Nie rozumiesz? – Popatrzył na nią. – To samo dzieje się teraz z Giyan, ale dla niej to jest gorsze, o wiele gorsze. Odebrano jej ciało i duszę, przemieniono w coś... przerażającego, potwornego, złego.

–Odnajdziemy ją, Rekkku, uratujemy. Ufaj w to.

–Ufaj... – zaśmiał się cierpko. – Nie masz pojęcia, jak to jest, kiedy pełza w tobie nieskażone zło, wnika do twego umysłu, więzi cię. Jakie to okropieństwo! – Ujął jej dłoń. – Módl się, Eleano, żeby cię to nigdy nie spotkało. Módl się do swojej wielkiej bogini Miiny, żeby ci oszczędziła takiego losu.

Eleana podprowadziła go do kamiennej ławki.

–Jesteś wyczerpany, Rekkku. Usiądźmy na chwilę i porozmawiajmy o czymś innym. Albo pomilczmy. – Zamknęła jego dłoń w swoich. – Będziemy patrzeć, jak wschodzi słońce, i zachwycać się jego pięknem. Policzymy chmury i oczyścimy umysły. Damy sercom odetchnąć od cierpienia.

–Przydzieliliśmy sobie trudne zadanie – odezwała się Thigpen, zdejmując księgi z półek biblioteki.

–Powiedz mi coś, czego jeszcze nie wiem.

Thigpen, patrząc, jak Riane kartkuje *Genezę Mroku*, zwróciła uwagę na ton głosu dziewczyny.

–No ale z drugiej strony mamy olbrzymią przewagę. Potrafisz czytać i przyswajać tekst w zadziwiającym tempie.

Riane była świadoma niewielkiego nasilenia wibracji pod stopami. Każde opactwo było budowane nad głównym punktem oplatającej Kundalę sieci strumieni mocy. Każdy taki punkt był inny. Od ponad stulecia zapomniano, co się z tym wiązało. Całą noc czuła, jak strumienie mocy wibrują nierówno, co przypominało spazmatyczny oddech chorego. Dała głośno wyraz swoim podejrzeniom.

–Przekonałaś nas, żebyśmy nie szli za Giyan, bo starasz się mnie chronić.

–Tak, to jedna z przyczyn. Ale jeżeli uważasz, że was okłamałam...

–Czas chronienia mnie już minął, nie sądzisz?

–Wcale nie – rzekła ostro Thigpen. – Tak niewiele wiesz o swoim przeznaczeniu. Jesteś Darem Sala-at, a przecież...

Riane bacznie się jej przyglądała.

–Jesteś młoda. Twój Dar jest surowy, jedynie częściowo oszlifowany. Znajdujesz się dopiero na początku drogi. Co więcej, jesteś kobietą. Jeszcze nie w pełni rozumiesz, jakie to może przynieść kłopoty. Tak, oczekiwaliśmy nadejścia Daru Sala-at, bo wyprowadzi nas z niewoli. Lecz nawet najgoręcej wierzący w ciebie Ramahanie oczekiwali wybawcy-mężczyzny. Przeżyli głęboki wstrząs, kiedy się objawiłaś; a przeciwnicy niechybnie zaczną spiskować. Napisano, że u twego boku stanie nieskalany obrońca.

–Znowu proroctwa. I czemu mi wcześniej nie powiedziano o tym nieskalanym obrońcy?

–Proroctwa teraz się spisuje, ale przez wiele pokoleń przekazywano je ustnie. Są ich całe tysiące, splecionych jak liany. Wiele z nich się „krzyżuje”, inne się częściowo pokrywają, a jeszcze inne się wykluczają. Niektórzy uznali, że jedno z proroctw zapowiada, że Dar Sala-at będzie mężczyzną. Lecz jeżeli owe proroctwa, jak w to wierzymy, pochodzą od Miiny, to cała ta złożoność, zawikłanie, a nawet i paradoksy mają sens. Miina nigdy nie widziała w nas swoich niewolników. W większości spraw mamy wolną wolę. To dlatego proroctwa należy objaśniać; dlatego jedno z nich okażą się prawdziwe, a inne fałszywe. Nasze życie jest skomplikowane, a czasami pełne paradoksów. Tak czy inaczej, przyszłość jest nieznana. No bo czy w innym wypadku życie miałoby sens? Proroctwa jednak istnieją i widzący je objaśniają, ale, jak wiesz, widzący często popadają w szaleństwo i umierają.

–To znaczy, że ty musisz być tym nieskalanym obrońcą.

–Ja??? – zaśmiała się Thigpen. – On ma się nazywać Nawatir i być srogim, nieugiętym wojownikiem. Pojawi się dzięki magicznemu przemienieniu. Jego nadejście oznacza kolejną fazę twojego rozwoju, Darze Sala-at. Co do mnie, zawsze będę Rappa, stworzeniem rasy bliskiej Miinie, rasy, która niegdyś towarzyszyła pierwszym Ramahanom, dopóki nas fałszywie nie oskarżono o zabicie Matki i nie zmuszono do ukrywania się.

Riane opuściła wzrok. Któż będzie Nawatirem? Jak ma się tego dowiedzieć? Postanowiła chwilowo o tym nie myśleć i zaczęła czytać. Stronice książki migają jej przed oczami. Po pewnym czasie zatopiła się w lekturze, a potem tekst nagle zaczął znikać. Zakręciło się jej w głowie i zrozumiała, że to z głębin pamięci wynurza się kolejne wspomnienie z poprzedniego życia Riane, zanim jej ciało połączono z Annonem...

Szła ośnieżoną granią. Porywy wiatru rzucały w nią zlodowaciałym śniegiem. Szła powoli dachem świata, wśród poszarpanych szczytów Djenn Marre. Powietrze, tak rozrzedzone, że prawie nieobecne, zatrzymywała w płucach. Rytm serca przyspieszył wraz ze spowolnieniem oddechu. Była zmęczona, ale też radosna. Nagle usłyszała krzyk i odwróciła się, zobaczyła ptaka wznoszącego się na ciepłym prądzie powietrza, gnał ku niej na białych jak śnieg skrzydłach, nakrapiany czernią. Był olbrzymi, większy niż jakikolwiek ptak, o jakim Annon czytał czy jakiego widział. Trzy razy większy od niej. Nie cofnęła się. Przypatrywał się jej przenikliwymi niebieskimi oczami; spowiła ją miłość i ukojenie. Odezwała się do ptaka w języku...

Riane gwałtownie się wyprostowała. Odezwała się do wielkiego ptaka w Venca! Co powiedziała? Wspomnienie na tym się urywało, jak książka, z której złośliwie wydarto stronice. Rozmasowała skronie, starała się siłą woli przypomnieć sobie coś jeszcze. Nie udało się. Wspomnienia się wynurzały i ujawniały fragmenty wcześniejszego życia Riane według własnego schematu, na swój tajemniczy sposób. Nie miała nad nimi kontroli. Przypominało to układanie wielkiej mozaiki o nieznanym wzorze. Miała

już sporo kawałków, lecz nie wiedziała, jak je dopasować.

Riane spojrzała na Thigpen, która otworzyła pierwszą z wielu ksiąg. Siedziała na stole i czytała, owinięta ogonem, pomrukując do siebie. Ten widok raz-dwa przywrócił Riane do rzeczywistości, rozzłościła się.

–Czy to cię nie obchodzi?

–Co? – Thigpen oderwała wzrok od księgi i zamrugowała.

–Czy nic cię nie obchodzi, że Giyan powoli ginie?

Thigpen wyprostowała się sztywno.

–Ależ droga Riane, jasne, że mnie obchodzi. I to ogromnie. Lecz wpadanie w panikę nikomu nic dobrego nie przyniesie, a już zwłaszcza Giyan.

–Wydajesz się taka spokojna!

–Całe wieki pielęgnowałam ten stan ducha. – Thigpen podreptała po blacie stołu ku Riane. – Rappa mają tendencję do wysokiego ciśnienia krwi. To dlatego, że od eonów jesteśmy ulubionym jedzonkiem Ja-Gaar. Niech tylko któryś się pokaże, a my na pewno omdlejemy. Osobliwy zanik instynktu przetrwania, no nie? Cóż, takie upośledzenie sprawia, że bystrzy stają się jeszcze bystrzejsi, nieprawdaż? Jeśli masz mózg w łepetynie, to musisz wymyślić sposoby kontrolowania ciśnienia, czyż nie? Bo inaczej po tobie. To dlatego jestem spokojna i ty też powinnaś być. To daje jasność myślenia, tak nam teraz potrzebną.

–Pewnie masz rację, ale... – Nagle Riane coś sobie przypomniała i ścisnęło się jej serce. – Thigpen, Giyan mi powiedziała, że Tzelosa musi przenieść do naszego królestwa arcydemon.

Rappa szeroko otworzyła oczy.

–No to mamy kolejnego wroga. Jejku!

Riane patrzyła twardo.

–Już raz ją straciłam, Thigpen. I cudem odzyskałam. A teraz, teraz... – Zacisnęła pięści. – Przrzekam ci, że poruszę gwiazdy, żeby ją ocalić. – Głos jej drżał i łzy napłynęły do oczu. – Ale jak? Jak?

–Cierpliwości, Darze Sala-at, dopiero zaczęliśmy...

–Do N'Luuury z cierpliwością! – Riane zmiotła księgi ze stołu. Dziewczyna i Rappa patrzyły na siebie przez chwilę. – Potrzebny mi znak, Thigpen. – Riane niemal

blażała. – Coś, co nam powie, że mamy szansę ją odzyskać.

Thigpen lekko zeskoczyła na podłogę.

–To czas poważnej próby. – Zaczęła zbierać rozrzucone księgi. – Musisz ten znak odnaleźć w swoim wnętrzu, Darze Sala-at. – Weszła pod stół po ostatnią księgę. – To czas... – zamilkła.

–Thigpen?

Rappa wycofała się spod stołu.

–Popatrz, Riane!

Riane opadła na czworaki i zanurkowała pod stół. Zobaczyła tę rzecz, spoczywającą niewinnie w głębokim cieniu. Spojrzała w górę i dostrzegła miejsce, w którym przedmiot musiał być przymocowany do blatu. To na pewno Malasocca sprawiła, że spadł.

Thigpen obwąchała to, nerwowo marszcząc pyszczek.

–V'ornnańska technologia. Co to? Ma rozmiary i kształt strąka, jest zrobione z tertu i germanu, szarobure jak pochmurny dzień.

–To duscaant, khagguński rejestrator.

Thigpen zeszywniała.

–To nie wróży nic dobrego. Co to tutaj robi?

Riane uniosła przedmiot ku światłu, a wtedy stał się niewidzialny.

–Służy do podsłuchiwania. To złodziej tajemnic, zbieracz informacji.

Thigpen patrzyła na niego jak na paczkę z v'ornnańskimi materiałami wybuchowymi.

–Powinniśmy zniszczyć to paskudztwo. Natychmiast.

–Nie.

Thigpen zadygotała.

–Ale...

–Jak wiesz, teraz żaden V'ornn nie może wejść do biblioteki, nawet Gyrgon. Wynika

z tego, że duscaant ukryto tu przed rzuceniem czaru. – Riane odwróciła przedmiot, nacisnęła paznokciem ukryty przycisk. – O, tu jest data, kiedy go tu schowano i włączono.

Thigpen pochyliła się i z rosnącym niepokojem odczytała v'ornnańskie znaki.

–Pięć lat przed zaatakowaniem opactwa, jego mieszkańców zawleczono do v'ornnańskich izb przesłuchań jakieś dziewięćdziesiąt lat temu. – Spojrzała na Riane płonącymi oczami. – Jak? Jakim sposobem gyrgoński podsłuch dostał się w obręb tych murów? Jak to było możliwe?

–Sama wiesz – powiedziała wolno i wyraźnie Riane – że może być tylko jedna odpowiedź.

Thigpen patrzyła szeroko otwartymi, znieruchomiałymi oczami.

–Ramahański kolaborant.

Riane przytaknęła.

–Ktoś o wielkiej mocy. Bez wątpienia czarodziejka. – Obie wiedziały, że Gyrgoni kontaktują się wyłącznie z osobami mającymi wielką władzę. – i dlatego nie zniszczymy tego przedmiotu. Może stanowić klucz do zidentyfikowania zdrajcy.

–Albo zginiemy, bawiąc się gyrgońską własnością. – Thigpen potarła policzek grzbietem łapki. – Nie będziemy się nad tym dłużej rozwodzić i na pewno nie wspomnimy o tym pozostałym. I tak za dużo, jak na mój gust, mamy zmartwień. Wracajmy do czytania i zostawmy tę zagadkę na później.

Po chwili zjawiała się Eleana, niosąc talerze z zimnymi przekąskami i kubki wody; postawiła je przed nimi, a w oczach miała pytanie, które bała się wypowiedzieć głośno. Żadna z nich się nie odezwała i Eleana odeszła, pobladła. Riane przez chwilę patrzyła na nią zaczerwienionymi oczami, a potem wróciła do czytania. Księgi w bibliotece doprowadzały ją do wściekłości. Zawierały wiedzę, której nie miała, chociaż nauczyła się na pamięć obu Świętych Ksiąg Miiny. A teraz było tak, jakby patrzyła na ilustracje i nie potrafiła przeczytać towarzyszącego im tekstu. Niektóre zapiski były zupełnie niezrozumiałe. Z innych mogła się czegoś domyślić, wyciągnąć jakieś wnioski, lecz nie była pewna, czy są one poprawne, bo nie do końca pojmowała regulujące wszystko zasady i teorie. Przypuszczała, że te trudności wynikają z tego, iż księgi były wcześniejsze zarówno od *Przeczystego Źródła*, jak i *Księgi Zaparcia się Wiary*. Co było przedtem? Riane nie wiedziała, Thigpen najwyraźniej też nie. Czuli się jak dziecko wdzierające się do świata dorosłych. Było tutaj mnóstwo wiedzy, którą chciała sobie przyswoić. To ją okropnie irytowało. Gdybyż tylko mogła zrozumieć to, co czytała! Giyan miała słuszość. Musi się dalej uczyć, nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości.

–Chyba coś znalazłam – odezwała się pod wieczór. – Napisano tu, że Malasocca jest transformacyjna.

–No, nareszcie coś.

–Demony najwyraźniej znają jedynie magię Kyofu, a Osoru nie. Gdyby znały obie, to mogłyby rzucać zaklęcia Widzącego Oka, o wiele potężniejsze.

–Przecież Giyan jest czarodziejką Osoru.

–Tak – potwierdziła Riane – i dlatego została opętana. Kiedy Malasocca się dopełni, demon zyska dostęp do całej wiedzy Giyan, w tym do Osoru.

Wąsiki Thigpen drżały.

–I wtedy pozna...

–Wszystko – dokończyła Riane.

–Ale w odległej przeszłości, zanim Miina wtrąciła demony do Otchłani, też się pojawiała Malasocca.

–Demony mają dostęp do tej wiedzy tylko wtedy, kiedy są w ciele opętanej osoby. Tracą ją, kiedy się je wypędza.

–No, przynajmniej tyle. Lecz... – Thigpen, z oczami pociemniałymi od niedobrych przeczuć, wypowiedziała pytanie, które obie bały się zadać. – Ile czasu nam zostało, zanim demon całkowicie zapanuje nad Giyan?

–Nic tu nie ma na ten temat, to tylko krótka wzmianka. – Riane czytała dalej. – Zapisano tutaj, że po półmetku coraz trudniej odwrócić przeobrażenie.

–Jakimi metodami możemy doprowadzić do odwrócenia?

Riane potrząsnęła głową.

–Jest tu jakieś słowo. Maasra. – Zmarszczyła brwi. – To ani w Starej Mowie, ani, o ile wiem, w Venca.

–Oдноśniki?

–Nie znalazłam żadnych.

–Więc to tajemnicze słowo jest jedyną wskazówką, jaką mamy. – Thigpen przeciągnęła się i ziewnęła, zwijając żółty język. – Przydałby się nam teraz znakomity dialekt.

–A gdzie my go znajdziemy?

Thigpen wzięła kawałek mięsa i powąchała.

–Tak się składa, że znalazłam jednego. – Zmarszczyła nos, wkładając kasek do pyszczka. – Niestety, nie żyje.

4. Furia

Południowo-zachodni wiatr gnał drobne fale po Morzu Krwi, ciemnym jak luddowe wino, ciemnym jak krew, od której wzięło swą nazwę. Małe łodzie rybackie kołysały się u nabrzeża, a dalej od brzegu chwiały się niespokojnie, stojąc na kotwicach, okręty sarakkońskie o wysokich masztach. Sarakkoni wierzyli w wiele bóstw, zarówno kobiecych jak i męskich. Na wyniosłych, łukowato wygiętych dziobach ich handlowych statków wyrzeźbiono ich złowrogie oblicza – na poły sarakkońskie, na poły zwierzęce.

Marethyn Stogggul miała z południowego okna przytułku Błogosławiącego Ducha wspaniałą widok na sarakkońskie statki, rozładowywane lub załadowywane. Kundalanie szczególnie cenili kingggę, ozdobne drewno o przepięknych słojach, oraz produkty z egzotycznych roślin, których nie dało się hodować w ostrzejszym klimacie Północnego Kontynentu. Kundalanie zaś sprzedawali im swoją wymyślną pasmanterię, bele ręcznie tkanych materiałów i baryłki gęstego słodkiego miodu, za którym Sarakkoni przepadali. Lecz Marethyn wiedziała, że Sarakkoni przywozili też ładunek, o którym się głośno nie mówiło – na przykład laaga, wysuszone i sproszkowane liście, silnie uzależniający narkotyk. Była to nieoczyszczona i bardzo niebezpieczna substancja, zwłaszcza w porównaniu z salamuuunem. Z drugiej strony, choć salamuuun nie powodował uzależnienia, to laaga było o wiele tańsze i łatwo dostępne w zaułkach miasta. Konsorcjum Asherów ściśle kontrolowało handel salamuuunem i pozwalało go sprzedawać jedynie w licencjonowanych kashiggenach.

Marethyn westchnęła, odwróciła się ku surowemu, białemu wnętrzu sali na oddziale dla obłąkanych i uśmiechnęła się do brata o pozbawionej wyrazu twarzy.

–Widziałam twojego brata, Kurgana – rzekła, starannie skrywając gniew, który czuła w sercach. – Powiedziałam mu, jak cię zasmuciło, że nie mogłeś uczestniczyć w rescendencji. Pozdrowiłam go od ciebie, odwzajemnił się pozdrowieniami. Bardzo cię brakowało podczas obrzędu.

Terrettt nie odpowiedział ani nie dał żadnego znaku, że ją usłyszał. Siedział na krześle, pochylony w przód, spięty, odzienie wisiało na wychudłej sylwetce. Zapadnięte czarne oczy płonęły jak przy wysokiej gorączce. Przed nim stał stół do rysunków o pochyłym blacie. Na stole zaś leżał duży arkusz papieru i równiutko ułożone przybory malarskie. Malował szybkimi, nerwowymi pociągnięciami. Jego

artystyczne dokonania były mistrzowskie, choć zarazem niezgłębione. Marethyn spędzała wiele czasu w swoim atelier przy ulicy Wróżb, sprzedając prace ich obojga. Terrettt albo rysował, albo spał. Takie było jego życie.

Czarne oczy spojrzwały na nią przelotnie, kiedy się poruszyła, a potem znów spoczęły na powstającej pracy. Zastanawiała się, co też on myśli. Na ścianie przed nim wisiała wielka topograficzna mapa Północnego Kontynentu, którą tam powiesiła, kiedy poszarpał trzy inne malowidła. Nigdy nie miał powodu do zniszczenia przyniesionego przez siostrę dzieła sztuki, a przynajmniej ona nie mogła takowego powodu dostrzec, a trzeba powiedzieć, że Marethyn znała Terretta lepiej niż ktokolwiek, w tym jego własna matka.

Natrafiła na mapę, zrolowaną i zakurzoną, w sklepiku z osobliwościami przy ulicy Snów i natychmiast uznała, że zastąpi poszarpane malowidła. Pokój brata był po prostu zbyt przygnębiający z gołymi ścianami. Jak dotąd Terrettt nie zniszczył mapy, choć Marethyn mogła się domyślić, że w ogóle zauważył jej obecność, wyłącznie po tym, że barwy mapy zaczęły się pojawiać na jego najnowszych obrazach. Wydawało się jej to wspaniałe; było ważnym sukcesem zarówno jego, jak i jej.

Terrettt zaczął się ślinić. Natychmiast podeszła ku niemu i otarła mu usta. Dalej rysował, nieświadomy tego, co się dzieje. Marethyn przez chwilę badawczo patrzyła na jego twarz. Kurgan miał chytre spojrzenie, był chciwy i szorstki; w Terrettcie zaś był tak głęboki spokój, że okropne ataki, które go burzyły, jeszcze bardziej rozdzierały serca. Każde spojrzenie na brata podsycalo nienawiść Marethyn do rodziny. Tak się go wstydzili, że woleli nie pamiętać o jego istnieniu.

–Nad czym dziś pracujesz? – spytała, stając obok Terretta. – To morze, niebo czy ląd? – Wskazała palcem. – A te kręgi? To gwiazdy na niebie? Może gwiazdozbiór?

Motyw siedmiu kręgów od kilku tygodni pojawiał się w jego Pracach. Wtedy kupiła mu te wielkie arkusze papieru, jakich najwyraźniej potrzebował. Nigdy przedtem nie stworzył powtarzającego się motywu – w istocie była to jedna z cech różniąca go od innych malarzy, którzy, podobnie jak pisarze, lubią stale na nowo i na inny sposób powracać do tych samych tematów.

–Terrettcie – odezwała się, porzucając temat malarstwa – odezwiesz się do mnie dzisiaj? – Siedziała przy nim na krześle i czule ocierała mu ślinę z ust. – Tak bym chciała, żebyś ze mną porozmawiał. – Wyjęła mu pędzel z palców i popatrzyła w oczy. – Spróbujesz? Dla mnie?

Terrettt przez jakiś czas siedział nieruchomo. W końcu otworzył usta, zamknął je i znów otworzył.

–O właśnie – powiedziała Marethyn, podekscytowana. Z trudem się powstrzymała,

żeby go nie uściskać, lecz wiedziała, że nie zniósłby fizycznego kontaktu. – Odezwij się do mnie. Wiem, że tego chcesz.

–Woda – wyrzekł powoli i z trudem. – Niebieska.

Serca Marethyn zabiły mocniej.

–Tak! – wykrzyknęła. – Woda jest niebieska. Możesz to zobaczyć przez okno. O, tam!

–Woda – powiedział Terrettt. – Czarna.

Marethyn się zachmurzyła.

–Woda jest czarna? Cóż, pewnie jest czarna w nocy. To miałeś na myśli? Czy namalowałeś morze nocą?

Oczy Terrettta chciały jej powiedzieć więcej, niż mógł język. Przez chwilę twarz wykrzywił mu grymas świadczący o bolesnych emocjach. Poruszał wargami, lecz wydawał jedynie nieartykułowane dźwięki i znów się ślinił.

–Woda – powtórzył, gdy Marethyn otarła mu brodę. – Czarna.

Wskazał malowany obraz, stukał drżącym palcem w widniejące na nim kręgi.

–Co mi próbujesz powiedzieć, Terrettcie?

Poruszał ustami, bezskutecznie próbując się wysłowić.

Wydał jedynie serię głuchych stęknęć. Łzy napłynęły mu do oczu, zaczął tłuc pięściami skronie.

–Nie, Terrettcie! – Marethyn starała się unieruchomić mu rękę. – Nie!

Twarz nabiegła mu krwią, oczy uciekły w głąb oczodołów. Zdążyła się cofnąć. Chciał ją uderzyć, chybił, znów spróbował, stracił równowagę i upadł na podłogę; zaczął się rzucać i toczyć pianę. Oczy miał bez wyrazu, niewidzące, jak nieboszczyk.

Marethyn krzyknęła i w drzwiach pojawił się Deirus.

–Powinnaś teraz wyjść – odezwał się, posuwistym krokiem wchodząc do pokoju.

Był wysoki, przygarbiony i tak chudy, że wydawał się niemal wycieńczony. Zapadnięte oczy miał wyblakłe i załzawione, jakby zbyt długo patrzył w słońce. Wgłębienia pod kośćmi policzkowymi były aż nazbyt wyraźne. Dłonie miał smukłe i szczupłe, palce poplamione osobliwymi płynami, z którymi codziennie miał do

czynienia. Marethyn już wcześniej kilka razy go widziała. Nazywał się Kirlll Qandda.

Terrett był bardzo gwałtowny i zwinny, ale nie był godnym przeciwnikiem dla zadziwiająco krzepkiego Deirusa. Kirlll unieruchomił mu ręce za plecami. Chory nie tolerował kontaktu fizycznego, więc szalał jeszcze bardziej; toczył dzikim wzrokiem, pryskał śliną.

–Nie jesteś bezpieczna, kiedy on się tak zachowuje – powiedział Qandda, starając się unieruchomić Terretta.

–Ma na imię Terrett. I nie mów o nim tak, jakby go tu nie było.

Może i mówiła ostro, ale uważała, że ma po temu powód. Deirusowie zbyt często wyładowywali gniew – wywołany odseparowaniem od Genomatekków i niższą pozycją – na swoich podopiecznych. Przejawiało się to drobnymi, lecz irytującymi niegrzecznościami. Może na ich wyniosłość miało wpływ intensywne pięcioletnie szkolenie u Gyrgonów. Drażniło to Marethyn, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby się poskarżyć ojcu. Prawdę mówiąc, unikała go za wszelką cenę, pomijając comiesięczne raporty o postępach Terretta, a raczej o ich braku.

–Przepraszam – powiedział Kirlll Qandda, szamocząc się z Terrettem – ale twój brat... Terrett... nie chce wziąć lekarstwa.

Deirus przytrzymał wreszcie Terretta i trysnął mu przezskórnym sprayem prosto w oczy. Rzeczywiście, przez siatkówkę substancje najszybciej docierały do mózgu. Marethyn słyszała opowieści o zdesperowanych laagistach, przyskających sobie w oczy zawieszoną wydestylowaną z wysuszonych i sproszkowanych liści. Osobliwy, martwy wyraz zniknął powoli z oczu Terretta, zaczął też on normalnie oddychać.

–Dlaczego to mu się przytrafia? – spytała Marethyn, ocierając twarz brata ze śliny i krwi, w drgawkach przygryzł sobie dolną wargę.

–Musi teraz odpocząć – rzekł dość życzliwie Kirlll Qandda. – Odprowadzę cię i porozmawiamy.

Popatrzyła na niego. Asystowanie przy ataku brata bardzo ją wyczerpało.

–Powiedz mi, Kirlllu Qando, od kiedy zajmujesz się Terrettem?

–Od niedawna, pani.

–Nie mów tak do mnie, proszę.

Kirlll Qandda był zaskoczony.

–Nie rozumiem. „Pani” oznacza szacunek.

–„Pani” to określenie wymyślone przez mężczyzn. Ma poniżać. Pokazywać kobietom, gdzie ich miejsce. – Wstała. – Mogę już iść.

Korytarz był jasny, zadziwiał swą ascetycznością, która była raczej obca Kundalanom. Ściany pokrywały płyty jasnego gładkiego gipsu, przymocowane miedzianymi kołkami. Piękno tkwiło w ich gładkości, w sposobie, w jaki je wydobyto i przycięto tak, żeby drobniutkie osadowe ziarnistości układały się w jednym kierunku. Marethyn dostrzegała to wyćwiczonym okiem artystki. Umieszczone w suficie owalne świetliki wpuszczały światło dnia. Mijali drzwi sal podobnych do tej, w której mieszkał Terrett. W niektórych w powietrzu wisiały piękne obłoczki iskier – joniczne bariery. Mieszkańcy snuli się po pomieszczeniach lub patrzyli nieruchomo na przechodzącą Marethyn. Miała wrażenie, że ich puste spojrzenia wysysają z niej życie.

Kirill Qandd uśmiechnął się, a w jego wyblakłych, wodnistych oczach pojawił się błysk.

–Obrazy Terretta są coraz lepsze, nieprawdaż?

–Wolałabym, żebyś mi opowiedział o moim bracie.

Deirus westchnął, jakby dotarli do tego punktu w rozmowie, którego się obawiał.

–Chciałbym mieć dla ciebie dobre wieści. – W korytarzu pojawili się inni Deirusowie i kilku uzbrojonych Khaggunów; mijali sale agresywnych pacjentów i Qandd narzucił ostre tempo. – Chciałbym w ogóle mieć jakieś wieści. – Rozłożył ręce. – Niestety, nie mam. Twój brat jest w takim samym stanie jak dziesięć lat temu, kiedy tu przybył. Żadna z wypróbowanych przez nas terapii nie miała na niego najmniejszego wpływu. Ataki pojawiają się od czasu do czasu. Właściwie nie wiadomo, co je powoduje, choć stres i wyczerpanie na pewno mają tu ogromne znaczenie.

–Rozumiem – powiedziała z ciężkim westchnieniem Marethyn. Były to stare wieści, ale przynajmniej przekazane przez Deirusa innego niż tamci, z którymi przedtem rozmawiała. – Naprawdę trzeba go tak często narkotyzować?

–Obawiam się, że bez okresowego podawania leków ataki twojego brata nie dałyby się opanować. Okaleczyłyby się, tak jak wówczas, kiedy wasza rodzina go tu przywiozła. Trzeba też mieć wzgląd na innych pacjentów.

–Jestem wdzięczna, że nie przeniesiono go do sali dla agresywnych pensjonariuszy.

–Szczepnie mówiąc, to rezultat nieustannej walki. Niektórym z zarządu... nie za

bardzo się podoba, że jest tu, gdzie jest.

–A co ty sądzisz o tej sprawie, Kirlllu Qanddo?

–Mam u siebie dwa obrazy Terrettta.

Dotarli do schodów – szerokich, w typowym dla Kundalan ozdobnym stylu, z miodowego i czarnego onyksu, oświetlonych od góry przez otwór w kształcie oka. Marethyn obejrzała się i spojrzała w głąb korytarza, którym przyszli. Zawsze się denerwowała, zostawiając tu brata, świadoma tego, że ona może iść, dokąd zechce, a on już zawsze będzie tu zamknięty.

–Czy jest dla niego jakaś nadzieja?

Deirus milczał.

–Dobrze wiem, że Gyrgoni zabraniają wam udzielać jakichkolwiek informacji o pacjentach. Ale to przecież mój brat i kocham go. Ja jedna.

Kirlll Qandda potrząsnął głową.

–Jestem Deirusem. Gdyby się dowiedziano, że to zrobiłem, poddano by mnie...

–Ale, drogi Kirlllu Quanddo, tylko ty możesz mi pomóc. – Marethyn zamilkła, oblizła wargi. – Jak sam powiedziałaś, jesteś Deirusem. Może pewnego dnia będziesz potrzebował mojej pomocy, jak ja teraz twojej.

Położyła dłoń na jego ramieniu, a oczy Kirllla Qanddy śledziły ruch jej ręki.

–Nie boisz się mnie dotykać.

–A powinnam?

Kirlll Qandda roześmiał się i natychmiast stłumił śmiech. Skinął Marethyn głową i zabrał ją z pełnego ludzi korytarza do niewielkiego, ciemnego pokoiku, zastawionego zamkniętymi metalowymi szafkami. Nikogo tu nie było. Cicho zamknął za nimi drzwi.

–Choroba twojego brata – wyszeptał Kirlll Qandda – nie poddaje się żadnej konwencjonalnej terapii genowej. Testy wykazują, że jego DNA nie jest uszkodzone. Chemia mózgu jest, rzecz jasna, nieprawidłowa, lecz nie potrafimy jej przywrócić do normy. – Przez chwilę patrzył na drzwi, jakby się obawiał, że wtargnie tu jakiś Khaggun lub, co gorsza, Gyrgon. – To niemal tak, jakby jego choroba nieustannie się zmieniała, czynnie stawiając opór naszym próbom leczenia. – Usiłował się uśmiechnąć. – Obawiam się, że to tajemnica, której nie udało się nam rozwikłać. To

dlatego Terrettem zajmuje się coraz to nowy Deirus. Ten przypadek ich przerasta.

–Przecież na pewno musi być... – Marethyn potrząsnęła głową. – To znaczy, jest w końcu Stogggulem. Wielkim artystą.

Akurat wtedy zabrzączał komunikator na przegubie Kirilla Qanddy i głos Genomatekka ostro, władczo go zawołał. Deirus uśmiechnął się do niej smutno.

–Przepraszam, ale teraz naprawdę muszę już iść. Dobrego popołudnia, Marethyn Stogggul. – Odwrócił się i pospiesznie wyszedł z pokoiku.

Marethyn, idąc ku drzwiom, dostrzegła oddział Khagggunów. Niektórzy niezgrabnie trzymali w ramionach niemowlęta. Inni prowadzili grupkę małych dzieci – mieszańców kundalańsko-v'ornnańskich. W korytarzu pojawił się Gyrgon, skinął dłonią. Kirill Qandda i władczy Genomatek przejęli opiekę nad grupką dzieci, zniknęli za drzwiami, w których stał Gyrgon. Co też oni robią z tymi dziećmi, pomyślała Marethyn. W tym momencie dostrzegł ją jeden z Khagggunów i podszedł do niej.

–To zakazany teren – rzekł srogo.

Pospiesznie się wycofała. Rozgniewało ją, że tak łatwo dała się zastraszyć.

–Masz natychmiast stąd odejść.

Cóż innego mogła zrobić? Odwróciła się i ruszyła w dół głównymi schodami. Dostrzegła na grzbiecie swojej dłoni plamkę krwi Terretta.

Należący do Konsorcjum SaTrrynów grawitonowiec dalekiego zasięgu – elegancki, roziskrzony okiełznaną energią – czekał tuż przy granicy terenów pałacu regenta. Kurgan widział, jak Sornnn SaTrryn i dwaj z jego ordynansów kończą przygotowania do całonocnej podróży do Korrushu. Przystanął, a wraz z nim jego eskorta ciężkozbrojnych Haaar-kyut. Przyglądał się Sornnnowi, wykonującemu rutynowe zadania, i po raz kolejny dotarło do niego, jak daleko się znalazł od głównego nurtu życia V'ornnów. Dziwne, gdzieś głęboko tkwiło w nim pragnienie włączenia się do słyszanych rozmów, lecz – ze względu na stanowisko – nie mógł tego zrobić. Ministrowie, Bashkirzy i Khaggguni milkli, kiedy się zbliżał, urywali w połowie zdania. Chciał budzić strach i aż za dobrze mu się to udało – teraz tkwił samotnie w samym środku połyskującej pajęczyny, nie mając przyjaciół w swoim wieku, pozbawiony przyjemności i rozrywek niezbędnych młodemu i rozwijającemu się V'ornnowi. Dzięki własnym machinacjom przedwcześnie osiągnął dojrzałość i pozycję, przypadające zwykle osobom w starszym wieku, które z upływem lat nauczyły się, jak sobie z tym radzić.

„Niech to N'Luuura!” mruknął w myślach, otrząsnął się z melancholii i podszedł do grawitonowca. Pojazd był barwy połyskliwej miedzi, mierzył jakieś dziesięć metrów, z

przodu miał niewielką kabinę dla kapitana-pilota i nawigatora. Dalej znajdowała się druga kabina, obszerna i komfortowo wyposażona, dla pasażerów. W tyle zaś było pomieszczenie na bagaż i wszelkie potrzebne rzeczy.

Sornnn SaTrryn powitał regenta, gdy tylko Kurgan znalazł się na pokładzie. Nie zaprotestował, kiedy dwaj gwardziści Haaar-kyut usiedli po obu jego bokach. Po trzech godzinach przebyli już spory odcinek drogi; po obu stronach pojazdu widzieli na pożółkłych polach równiutkie bale wysuszonego rajgrasu, glennanu i owsa. Sornnn zajął się prowiantem i zjedli południowy posiłek. Widzieli ludność zbierającą się na obchody jednego z licznych kundalańskich świąt.

Najpierw prowadzili błąhą rozmowę, a potem na prośbę Kurgana Sornnn opowiadał o Korrushu.

–Nie mogę nie przyznać, że te długie pobyty wśród pięciu plemion mnie zmieniły – rzekł na koniec Sornnn.

–Wydaje mi się, że Kundala odmieniła nas wszystkich – powiedział Kurgan, ocierając usta.

–W jaki sposób zmieniła ciebie, regencie?

Rolnicy ustawili wielobarwny słup, mieli na twarzach rogate maski i tańczyli wokół ogniska, w kręgu ułożonym z narzędzi. Dostrzegli jednak nadlatujący pojazd i natychmiast się zatrzymali. Cisnęli maski w płomienie. Przerażeni, zebrali narzędzia i wrócili do pracy.

–Rozmyślałem o tym, że długo jesteśmy na Kundali, że beczynnie i zbyt długo tkwimy w jednym miejscu, pozbawieni i domu, i impetu pchającego nas do poszukiwań innej siedziby.

–A czy kiedykolwiek przyszło ci na myśl, regencie, że może w końcu znaleźliśmy dom?

–Cooo? Tutaj? Na Kundali?

–Właśnie – przytaknął Sornnn. – Wydaje mi się, że minął już okres, kiedy mogliśmy podróżować, łudząc się, że wędrowanie jest romantyczne. Obserwowałem moich braci v'ornnów i dotarło to do mnie. Spostrzegłem, że nasza rasa jest już zmęczona ciągłą wędrówką. Jesteśmy wiecznymi outsiderami i pewnie dlatego niszczymy każdą napotkaną cywilizację. W żadnym wypadku nie możemy pozwolić sobie na rozczulanie się nad sobą, więc unicestwiamy tych, wśród których mogłaby się pnieć podobna zaraza.

–Niektórzy uznaliby twoje słowa za bluźnierstwo.

–Dlaczego? Nie występowałem przeciwko v'ornnańskiej matrix, mówiłem jedynie, że niepokoi mnie nasilające się wśród nas znudzenie. Są to bez wątpienia słowa patrioty. – Sornnn zaśmiał się swobodnie. – Poza tym mało mnie obchodzi opinia innych. Przekonałem się, regencie, że nawet najgwałtowniejszy szturm na ciasny umysł to tylko strata czasu.

Teraz Kurgan się roześmiał.

–Rozumiem i zapamiętam, Sornnnie SaTrrynie. Coś mi się wydaje, że ta wyprawa w dzikie okolice przyniesie niespodziewane korzyści.

Lecieli dalej, kierując się na północny wschód. Ciepła mgiełka późnego lata szybko zmieniała się w czyste, rześkie jesienne powietrze, jesień zaś z każdym dniem zbliżała ich do siarczystego mrozu kundalańskiej zimy. Powietrze było przesycone wonią opadłych liści i igliwia kuello, butwiejących po jesiennych deszczach. Tu i tam połyskiwały zamarznęte kałuże, zwiastuny zimy.

Zamiast równiutkiego geometrycznego układu pól coraz częściej pojawiały się ponure długie blizny na ogołoconych stokach – oznaka intensywnego odkrywkowego wydobywania lortanu. To dochodowe przedsięwzięcie przesunęło się na zachód niczym ślady olbrzymich grabi, a wraz z nim przemieszczały się prowizoryczne osady obdartych kundalańskich niewolników, pracujących w kopalniach pod nadzorem Mesaggunów i Khaggunów. Grube żyły lortanu znajdowały się pod warstwą gleby na zboczach. To z tej brzydkiej czarnej gliny Mesaggunowie otrzymywali veradium.

Dysk słońca znalazł się za ich plecami, po lewej. Jego chłodny, słaby blask rozjarzał bladoniebieskie turnie Djenn Marre. Linia śniegu – wraz ze zmianą pory roku – znacznie się przesunęła. Dobrze widzieli wyżej położone tereny, gdzie – dalej na północny zachód – znajdowało się Opactwo Optywającej Jasności i amfiteatralnie zbudowane miasteczko Stone Border. Przed nimi rozciągała się Wielka Północna Równina, zwana Korrushem.

Zapadł niesamowity zmierzch. Rozjarzyły się chmury, nieruchomo wiszące na zachodniej stronie nieboskłonu. Niebo było pomarańczowe. Zdawało się, że cały świat zapłonął. Im bardziej zbliżali się do osady Im-Thera, tym bardziej przytłaczał bezmiar Korrushu. Kurgan nie pojmował, dlaczego nie uwierzył Sornnnowi SaTrrynowi, kiedy ten go ostrzegał przed tym pierwszym wrażeniem; ten tonący w mroku step wzbudził w nim egzystencjalny lęk.

Przelecieli nad Im-Therą, maleńką, ubogo wyglądającą osadą namiotów. Kurgan uznał, że jest tam brudno. I na pewno pełno insektów, pomyślał. Poruszały się jedynie ściany namiotów; na niewielkim, pylistym placyku płonął ogień, którego nikt nie pilnował.

Sornnn wstał, pochylił się i szepnął kapitanowi-pilotowi coś, czego Kurgan nie dosłyszał. Gdy tylko znów usiadł, grawitonowiec zaczął powoli opadać.

–Nie chcę cię niepokoić, regencie, a już na pewno nie chcę, żeby twoi Haaar-kyut pochopnie zareagowali – rzekł spokojnie, lecz stanowczo Sornnn. – Boję się jednak, że coś jest nie w porządku.

Kurgan spojrzał przed siebie.

–Nie, regencie, spójrz niżej.

Kurgan zobaczył stado wielkich niebiesko-czarnych ptaków o niezmiernie długich skrzydłach, kołyszących się w powietrzu. Po chwili jeden z nich zanurkował ku ziemi, po czym wzbił się, trzymając coś w dziobie.

–Cshey’iny. Padlinożerne ptaki Korrushu – odezwał się Sornnn. – Zjedzą każde martwe stworzenie, ale najbardziej odpowiadają im zwłoki tubylców.

Kurgan spojrzał na miejsce, nad którym krążyły cshey’iny.

–Nic nie widzę.

–Kiedy wylądujemy – ciągnął Sornnn – nie powinieneś opuszczać grawitonowca bez względu na to, co się wydarzy. Twoja straż cię ochroni.

–O co chodzi? – zapytał Kurgan. – Co się stało? – Wcale się nie wystraszył, chętnie by poczuł ciężar jonicznej strzelby.

Im-Thera, żalosna osada nomadów, została jakiś kilometr za nimi.

–Widzisz? – Sornnn wyciągnął rękę. Przelecieli nad niewielkim wybrzuszeniem terenu i ukazały im się kopce ziemi, poniżej których można się było dopatrzeć zarysu starożytnych murów, zrujnowanych, oplecionych włóknistymi korzeniami. Z jednej strony tu i tam leżało coś czerwonego, falującego w porywach niosącego piach wiatru. – Widzisz te jasnoczerwone szaty? To ciała Beyy Das, plemienia nadzorującego wykopaliska w Za Hara-at.

Nawigator SaTrrynów na chwilę obrócił ku nim szczupłą twarz o ostrych rysach.

–Zostali zabici kilka godzin temu – rzekł zwięźle. – Ptaki jeszcze nie obdziobały kości do czysta.

Sornnn SaTrryn wydobył joniczną strzelbę i precyzyjnie zestrzeliwał ptaki. Ich wrzaski niosły się echem.

–Zakładam, że masz pozwolenie na tę broń – odezwał się Kurgan, żeby ukryć

podziw dla celności strzałów Sornnna, oddawanych z prędko lecącego pojazdu.

Nawigator sięgnął do przegródki i podał mu oficjalny khagguński żółto-czerwony kryształ. Kurgan zbył go machnięciem ręki.

Chwilę później wylądowali. Sornnn wyskoczył, jego kapitan-pilot, również uzbrojony, tuż za nim. Nawigator przejął stery, maszyna była gotowa do startu, gdyby pojawiło się najmniejsze zagrożenie. Haaar-kyut Kurgana stali przy nim, trzymając broń w pogotowiu.

Sornnn i kapitan ostrożnie rozejrzeli się po stanowisku archeologicznym. Z boku znajdowała się długa pochylnia z ubitej ziemi, po której w końcu zeszli w ruiny Za Hara-at. Nie było ich jakiś czas. Kurgan się rozglądał, ale nic się nie poruszało. Wiatr łkał i zawodził w ruinach; ta żałobna pieśń opowiadała o tajemniczej śmierci i dawno dokonanym zniszczeniu. Ochroniarze Kurgana byli zarazem czujni i spokojni, przywykli do działań w terenie. Nie wątpił, że oddaliby życie w jego obronie.

Sornnn i jego towarzysz wreszcie wrócili. Prowadzili jednego z Beyy Das. Był ranny. Z rany w głowie płynęła krew. Od połowy rampy musieli go podtrzymywać, żeby dotarł do grawitonowca.

Podsadzili go do środka, a nawigator przyniósł apteczkę. Opatrywali Beyy Das, który wspierał się ciężko o ścianę.

–Mówi, że ich napadnięto – powiedział Sornnn, siadając obok Kurgana. – Rozbójnicy Jeni Cerii. Jeni Cerii są najbardziej wojowniczy spośród pięciu plemion. I od czasu do czasu napadają na pozostałe plemiona. Zwłaszcza tutaj.

–Dlaczego? – zapytał Kurgan.

–Chodź ze mną, pokażę ci. – Sornnn wstał. – Jeni Cerii już dawno odeszli. Jest całkiem bezpiecznie.

Mimo to Haaar-kyut regenta uparli się, żeby im towarzyszyć. Kiedy schodzili w dół, Kurgan ze zdumieniem ujrzał, jak rozległe są wykopaliska. Dał wyraz swemu zdziwieniu, a Sornnn rzekł:

–Za Hara-at było olbrzymią cytadelą. Było o wiele większe od Axis Tyr. I wykopaliska to potwierdzają. Odślonięte już trzy warstwy, lecz tylko częściowo, chociaż przekopano cały kilometr kwadratowy. I nie zbadano wszystkiego, co zostało odkryte.

Rampa się skończyła i weszli w od dawna opustoszałe ulice Za Hara-at. O dziwo, wyłożono je kutym brązem, połyskującym w gęstniejącym mroku. Były tam ściany i okna domów, drzwi i podpory, skrzyżowania i narożniki – niedokończone, a

właściwie zastygłe w agonii, nadal stojące, na poły zniszczone. Wszędobylski korrushański wiatr buszował w opuszczonych zakamarkach z energią, której gdzie indziej mu brakowało.

–O, właśnie to chciałem ci pokazać. – Sornnn ukląkł. Kurgan patrzył, jak muska palcami znaki wyrzeźbione z lazurytu i cesarskiej kornaliny. – Widzisz te starożytne symbole? Widzisz, jak je zbezczeszczono odchodami? I tutaj. Ten stos spalonych kości. Kości przodków z Za Hara-at, mozolnie i ze czcią wykopane przez Beyy Das. Jeni Cerii nie mają żadnej religii. Za Hara-at było Świętym Miastem, lecz oni temu zaprzeczają. Mimo to przyciąga ich niczym magnes, chociaż nie wiedzą dlaczego; a nie wiedząc, uderzają na nie, profanują z bezrozumną nienawiścią maskującą niewiedzę.

Kurgan przypomniał sobie rozmowę przy południowym posiłku.

–Zgodnie z twoją nienaukową teorią – odezwał się nieco szyderczym tonem – są podobni do nas, V'ornnów.

–Teorii filozoficznych nie da się udowodnić naukowymi metodami – powiedział Sornnn, wstając. – Niemniej często prowokują one myślące osoby do ożywionej dyskusji. – Popatrzył na Kurgana. – i co o tym myślisz, regencie? Istnieje podobieństwo?

–Przyznaję, że w psychice V'ornnów dominuje furia – rzekł wbrew sobie Kurgan.

–Teraz należałoby zapytać: dlaczego? Chyba się zgodzisz, że odpowiedź ma zasadnicze znaczenie.

Uwagę Kurgana przykuł kawałek jakiegoś naczynia, toczący się ze stukiem wśród tumanów kurzu po nawierzchni z brązu. On również – jak wszystko w Za Hara-at – tchnął tajemnicą. Kurgan zdał sobie sprawę, że panuje tu pewien niepokój, jakaś nerwowość, jakby długi sen śmierci nigdy nie został w pełni zaakceptowany lub został zakłócony przez N'Luuura wie jaką tajemniczą moc. Kurgan zwykle nie był wrażliwy na tego rodzaju odczucia, lecz nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że wciąż przebywa tutaj coś pradawnego i niepoznawalnego. Powiedział o tym Sornnnowi.

–Muszę przyznać, regencie, że jestem pod wrażeniem – odparł Sornnn. – Nie wiem nic konkretnego, ale Beyy Das wierzą, że istnieje coś, o czym wspomniałeś. Upierają się również, że to coś wychodzi od czasu do czasu ze swojej odwiecznej kryjówki i zabija ich współplemieńca.

–Widziałeś kiedyś zwłoki takiej ofiary?

–I owszem. Być może zabili go napastnicy z plemienia Jeni Cerii, ale w takim razie mają rytuały osobliwsze niż któreś z pozostałych plemion. W ciele, które mi pokazali

Beyy Das, nie było ani krwi, ani kości.

–To niemożliwe

–Też bym tak powiedział, regencie, gdybym na własne oczy nie widział zwłok. Jakby coś wyszło z biedaka życie. Została skóra wypełniona suchymi mięśniami.

Kurgan znów się rozejrzał, zaciekawiony i ani trochę nie wystraszony. Zastanawiał się, czemu Nith Batoxxx tak nalegał na odbudowanie Za Hara-at. „Wskrzeszenie”, jak to ujął. Co się czaiło w prastarych ruinach? Jaką moc chciał tu odszukać Nith Batoxxx? Kurgan był teraz podwójnie zadowolony, że Sornnn SaTrrryn namówił go na tę podróż, bo – stojąc wśród tych rozległych i niesamowitych ruin – czuł, jak spowija go czar Za Hara-at, i wiedział, że zbliżył się o krok do poznania tajemnic Gyrgona.

To był bardzo pracowity wieczór w „Nimbusie” i Mittelwin musiała się zajmować wieloma sprawami naraz. Stara v’ornnańska jasnowidzka, pracująca w przytulnym westybulu i zabawiająca przychodzących i wychodzących klientów kashiggenu, znowu była chora. Miejscowy Genomatekk powiedział, że to przewlekła kraeliańska cytoza, ale Mittelwin wiedziała swoje. Znała objawy zaawansowanego uzależnienia od salamuuunu. Nikt nie mówił o tym zgubnym działaniu narkotyku. A nawet zdecydowanie temu zaprzeczano. Ona jednak wiedziała, że salamuuun uzależniał, bo zbyt wiele razy to obserwowała.

Jedna z jej imari miała wolne, bo zmarł ktoś z rodziny; drugą pobił szczególnie agresywny Khagggun. Gyrgoni ustanowili surowe prawa, w myśl których karano takie występki w kashiggenach, co nie znaczyło, że się od czasu do czasu nie zdarzały. Mittelwin miała własny sposób rozprawiania się z takimi klientami. Kiedy się zjawiała w sali, Jonnqa wyglądała, jakby potracił ją poduszkowiec. Mittelwin skinęła na Lacca, pracującego dla niej krzepkiego Mesaggguna, i nakazała, żeby związał krewkiego klienta. Nie obchodziło jej, do jakiej kasty należy. Kiedy był w jej kashiggenie, albo przestrzegał praw ustanowionych przez Gyrgonów, albo ponosił konsekwencje ich łamania. Informowano o tym każdego, kto się pojawiał po raz pierwszy.

Pracując jako dzuoko, Mittelwin nauczyła się paru rzeczy o karaniu i o sposobach zastraszania. Podeszła do Khaggguna, którego Lace pchnął na krzesło. Khagggun miał ręce związane za plecami i nogi skrępowane w kostkach. Stała przed nim na rozstawionych nogach. Powoli unosiła sięgającą podłogi szatę, aż Khagggun ujrzał, że pod nią była naga. Gapił się na nią, rozdętymi nozdrzami wciągał jej zapach. Usiadła mu na krzepkich udach, ujęła dłońmi jego głowę i pocałowała go mocno. Przywarła do niego biodrami. Zareagował, jak tego oczekiwała.

Zawsze wiadomo, czego się po nich można spodziewać, pomyślała. Mózgiem myślą wyłącznie wtedy, kiedy ich przyrodzenie śpi.

Kiedy był już w pełnej gotowości, Mittelwin uniosła się, opuściła rękę i zrobiła coś naprawdę paskudnego. Khaggun wytrzeszczył oczy. Głuchy jęk bólu stopniowo przechodził w głośny wysoki pisk. Cieszyło ją, że potrafi zadać ból komuś z kasty szkolonej, by go nie odczuwała. Był to wspaniały dowód jej mistrzowskiego wyszkolenia, długiej i uciążliwej procedury, która złamała sporo tych, co chciały zostać imari – musiały się zadowolić łatwiejszą robotą.

–Ten, kto wyrządzi krzywdę imari, zostanie zmuszony do zapłacenia odszkodowania – wyrecytowała – i zakazany mu będzie wstęp do wszystkich kashiggenów. Kto zabije imari, sam poniesie śmierć.

Khaggun dygotał w straszliwym bólu, do oczu napłynęły mu łzy. Zadała mu nie tylko przeraźliwy ból, ale i okropnie go upokorzyła. Czytała to w jego oczach.

–Od tej pory nie masz wstępu do tego kashiggenu, do żadnego kashiggenu – rzekła miękko, niemal łagodnie. – Zapłacisz za krzywdy wyrządzone Jonnkce. Jeżeli nie możesz zapłacić całości lub części, obciąży to twoją rodzinę. Jeżeli złamiesz któryś z tych nakazów, osobiście zadbam, żeby twoją głowę zatknęto na pice.

Wstała, ujęła dłoń Jonnki, przyciągnęła dziewczynę ku sobie, scałowała krew z jej twarzy, ramion i pleców. Potem ją stamtąd zabrała, zostawiając Laccowi ostateczne załatwienie sprawy Khagguna.

Mittelwin kochała swoje imari jak córki. Tego też ją nauczono. Poprowadziła Jonnę słabo oświetlonym korytarzem. W łaźni ostrożnie ją rozebrała, a potem sama zrzuciła szatę. Razem wzięły prysznic, jak dwie młode dziewczyny. Mittelwin wykorzystwała wszystkie swoje umiejętności, żeby złagodzić ból potłuczeń Jonnki, które zaczęły puchnąć i zmieniać barwę. Dziewczyna pojękiwała, a raz nawet krzyknęła i rozplakała się. Mittelwin tuliła ją, dopóki nie przestała szlochać.

Potem natarła ciało dziewczyny kojącymi maściami i dokładniej obejrzała uszkodzenia twarzy. Stwierdziła, że nic nie jest złamane, ale Jonnqa zaczęła nagle drzeć, bo szok dał o sobie znać, i Mittelwin posadziła ją w ciepłym, ciemnym kącie łaźni. Opatuliła ją grubym ręcznikiem, pogładziła po włosach i poszła w drugi koniec pomieszczenia, gdzie w niskiej, długiej szafie trzymano czyste szaty i suknie. Uklękła, otworzyła drzwiczki i szukała odpowiedniego stroju. Chciała czegoś żywego i wesołego, co by poprawiło Jonnkce nastrój.

Za jej plecami Jonnqa siedziała zupełnie nieruchomo, jakby się bała, że najlżejszy ruch zburzy jej kruchą równowagę. Nawet nie zauważyła, że cienie wokół niej stopniowo gęstniały, poruszały się jak żywe. W mroku pojawiły się falujące kręgi, z których wynurzyło się sześć par rubinowoczerwonych oczu, trójkątny łeb, a w końcu segmentowane cielsko olbrzymiego owada. Chude, pokryte rzęskami kończyny owinęły się wokół ust, szyi, piersi i talii Jonnki. Przeżyła chwilę przerażenia,

rozdzierającego bólu, ale przeminęło to równie szybko, jak prędko cielsko Tzelosa wniknęło w jej ciało.

Walka o kontrolę nad ciałem była zażarta, lecz bardzo krótka. Kiedy Mittelwin się odwróciła, z szatami dla nich obu, jaźń Jonnki, uwięziona w jej własnym umyśle, już zniknęła.

5. Aura

Rekkk odczekał, aż Thigpen – zwinięta w futrzaną kulę na bibliotecznym krześle – zaśnie, a potem obudził Riane. Dziewczyna zasnęła w połowie zawikłanego ustępu w księdze *Objaśnianie Znaków*. Walczyła ze snem, ale wreszcie ją zmógł podczas trzeciego czytania długiego, trudnego tekstu w *Starej Mowie*.

Przez okna wpadał szarawy blask poranka. Matowo połyskiwały odłamki szkła, słychać było brzęczenie owadów i złowieszcze buczenie krążących nad okolicą poduszkowców.

–Chodź ze mną – szepnął Rekkk, kiedy Riane otworzyła oczy. – Chcę z tobą coś omówić.

–Obudzę Thigpen. Powinna...

Rekkk potrząsnął głową.

–Tylko ty i ja, Darze Sala-at. Nikt więcej.

Riane przytaknęła i wstała. Oczy ją piekły, ciało miała obolałe po starciu z demonami. Nie musiała długo się zastanawiać, o co chodzi Rekkkowi. Gdy tylko znaleźli się na zewnątrz, powiedział:

–Z nas wszystkich ja jestem najbliższy Giyan.

Riane milczała. Zeszli z kamiennej dróżki i rosa zmoczyła im buty.

–Uważam – ciągnął Rekkk – że to do mnie powinno należeć ostatnie słowo w sprawie jej ratowania. Nie wiem jak ty, ale ja nadal myślę, że najlepiej iść do „Nimbusa” i poprosić o pomoc.

–Słyszałeś, jaką przyszłość przepowiedziała nam Thigpen, jeśli tak zrobimy.

–Nie wierzę, że zobaczyła coś, o czym warto mówić, no ale odsuńmy chwilowo na bok mój sceptycyzm. Załóżmy, że naprawdę widziała przyszłość. Sama przyznała, że widziała jedną z niezliczonych wersji przyszłości. W takim razie musi być wiele takich, w których idziemy do „Nimbusa”, a nie tylko ta jedna, którą widziała.

Riane z każdą mijającą godziną traciła cierpliwość. Widziała, że Rekkowi puszczają nerwy, Eleana zaś wyraźnie była przerażona. Przemiana Giyan strasznie nimi wstrząsnęła i to brzemię będzie im coraz bardziej ciążyć.

–Co proponujesz? – spytała, chociaż już to wiedziała.

–Thrippinguj do „Nimbusa” – powiedział Rekk. – I zabierz mnie ze sobą.

–A jeśli to pułapka? Jeżeli Tzelos już tam na nas czeka?

–Wtedy się z nim rozprawimy.

–To nie jest rozwiązanie.

–Może nie. Ale moim zdaniem dwie rzeczy działają na naszą korzyść. – Rekk miał zaciętą i ponurą minę. – Po pierwsze, pułapka tylko wtedy jest skuteczna, kiedy się jej nie spodziewasz. Po drugie, ten Tzelos rzuca się w oczy niczym kraeliański sundog w pałacu regenta.

Riane starała się znaleźć inne, mniej ryzykowne rozwiązanie – ale takiego po prostu nie było. Mieli do wyboru albo bezczynność, albo wyprawę do Nimbusa.

–Kiedy chcesz wyruszyć?

–Może natychmiast? – Uśmiechnął się Rekk.

Eleana wyczuła, że zniknęli. Spacerowała we śnie z Riane, która nie była Riane, lecz kimś innym, niezwykle bliskim. Była odprężona i spokojna. Widziała – jak to we śnie – samą siebie, śmiejącą się z czegoś, co powiedziała Riane, a jednocześnie zastanawiała się, jak może się tak swobodnie czuć przy Darze Sala-at, jak może się śmiać, wiedząc, że Giyan cierpi. Ale Giyan nie była częścią tego snu, więc Eleana odesłała ją do innej krainy i dalej spacerowała z Riane – czy też kimś, w kogo ona się przemieniła. Ujęła dłoń Riane i uśmiechnęła się. Oślepił ją słoneczny blask. Znajdowały się w znanych jej lasach na pogórzu Djenn Marre, w ulubionych miejscach jej dzieciństwa. Otaczała je przyjemna aura, emanująca ze słońca albo lasu; było wspaniale. A potem wszystko zniknęło i Eleana gwałtownie się obudziła. Oddychała szybko, serce jej kołatało. Wstała i przebiegła całe opactwo, wiedząc, że nie znajdzie Riane. Rekk też zniknął. Wpadła do biblioteki i odetchnęła z ulgą, bo Rappa smacznie spała na krześle.

–Thigpen! – krzyknęła. – Zbudź się! Zbudź! Zniknęli!

–Kto zniknął? – spytała Thigpen, przeciągając się.

–Riane i Rekk! Szukałam wszędzie. Nie ma ich.

Rappa zamarta. Uniosła pyszczek, rozděła nozdrza.

–Czuję thripping – warknęła głucho. – Na pięć głów Pyphorosa! – Zeskoczyła na podłogę, podbiegła do wybitego okna i wyskoczyła na zewnątrz. Przytknęła pyszczek do ziemi i głęboko wciągnęła powietrze, energicznie poruszała wąsikami. – Udali się do Axis Tyr, do „Nimbusa” – oznajmiła ze wzburzeniem. – Głupcy!

–Głupcy? – powtórzyła zaskoczona Eleana.

–Tak, głupcy! Chyba dość wyraźnie im powiedziałam, czym to grozi! Czego nie zrozumieli? – Potrząsnęła głową, nastroszyła gęstą sierść, przez co wydawała się dwa razy większa. – Przysięgam, że nie mam pojęcia, co wstąpiło w tych zwykle rozsądnych dwunogów! Zapadli zniecka na głupawkę, otumanilo ich, rozum im odebrało??? Cóż to, na Miinę, ma znaczyć?

–O, to całkiem proste – powiedziała spokojnie dziewczyna. – To miłość.

–Miłość??? – Thigpen zmarszczyła nos, jakby zwęszyła coś okropnie paskudnego. – Hmm, no to jestem rada, że odporna na tę groźną chorobę.

–Nie wierzę ci, Thigpen. – Eleana przykucnęła i oparła ręce na kolanach. – Nic cię nie obchodzi, co się stanie z Riane?

–Pewnie, że obchodzi! Ona jest Darem Sala-at i mam obowiązek...

–Nie o to mi chodzi.

–Marnujesz mój czas – parsknęła Thigpen.

–Czyżby? – Eleana pogłaskała Rappa. – Nie wyprzesz się, że z Riane połączyła cię więź.

Thigpen łypnęła na nią podejrzliwie.

–No pewnie. Ale nie rozumiem, co to...

–Ona cię kocha. Liczy na twoje rady. Jesteś dla niej jak matka.

–To czemu zlekceważyła moją radę? – burknęła z rozdrażnieniem Thigpen. – Czemu zabrała Rekkka i thrippinguje prosto w pułapkę?

–Chodzi ci o to, czemu naraża się na niebezpieczeństwo. – Eleana cmoknęła Thigpen w oba futrzaste policzki. – Musisz ją sama o to spytać, gdy tylko do nich dołączymy.

Olnnn Ryddlin odchylił się na krześle, szczelniej otulił płaszczem nieokreślonej

barwy i powiedział:

–Jak rozumiem, huśtałeś na kolanie Kurgana Stogggula.

–To było dawno temu – odparł kwaśno Bronnn Palln. – Wiele kolejek numaaadis temu. – Wyciągnął grubą, żylastą szyję, tocząc ponurym wzrokiem po cuchnącej sali, w której siedzieli. – To sam środek łajdackiej dzielnicy portowej, miejsce, którego zdecydowanie unikam. Czemu się spotykamy w tej hałaśliwej sarakkońskiej tawernie, jak też ona się nazywa?

–„Krwista Fala”.

–„Krwista Fala”, faktycznie – potwierdził Bronnn Palln z nutką rozdrażnienia w głosie. – Gdybym się spotkał z regentem, to na pewno w jego wspaniałym pałacu.

–Powiem bez ogródek, że nie spotkasz się z regentem.

Bronnn Palln posłał mu gniewne, ponure spojrzenie.

–Istotnie, nie. A dlaczego? Jestem szefem potężnego i szanowanego konsorcjum, od dawna współpracującego ze Stogggulami. No to powiem ci, dlaczego nie. Odkąd ten młody intruz zaczął lizać tyłek Wennnowi Stogggulowi, to w oczach nowego regenta stałem się drugorzędnym Bashkirem.

–Sornnn SaTrryn był na tyle cwany, żeby się ułożyć ze Stogggulem, a ty nie. – Olenn Rydddin nie omieszkał rozdrapać nie zagojonej rany, którą mu niebacznie pokazano. Pochylił się konspiracyjnie ku rozmówcy. – Powiem ci coś w sekrecie, Bronnnie Pallnie. Tak samo jak ty nie lubię Sornna SaTrryna.

Izba tawerny była niska, celowo ciemna. Z sufitu zwieszały się małe lampy rzucające przyćmione światło. Drewniane ściany były poplamione i okopcone, obwieszane pochodzącymi sprzed setek lat portretami kundalańskich kapitanów portu. Pod jedną ze ścian znajdował się szynkwaz o miedzianym blacie, pod drugą zaś niewielki podest, na którym produkowali się wędrowni muzycy lub aktorzy, na tyle szaleni, by ryzykować występy przed tym wrzaskliwym tłumem, i na którym nocą wieńczono zwycięzcę kalllistotos przy wtórze sprośnych piosenek śpiewanych przez pokonanych przeciwników.

Olenn siedział, plecami do ściany, przy stoliku stojącym w głębi sali, w rogu. Widział stąd wszystkich wchodzących i wychodzących frontowymi drzwiami. Poza tym mógł się ukradkiem gapić na Radę, właścicielkę „Krwistej Fali”, która często mu się śniła. Była przystojną Tuskuggun o wydłużonej, stożkowatej głowie, lśniącej od wonnego olejku. Ośmielała się zsuwać sifeyn aż na kark i chodzić z odsłoniętą głową. Nosila wąski diadem z tertu i veradu. Niektórym się wydawało, że jest loorm, bo jedynie dziwki były na tyle bezczelne, żeby chodzić z odkrytą głową.

Bronnn Palln, siedzący naprzeciwko Olnna, przestał garbić tłuste ramiona. Oczy mu rozbliły.

–Czyżbym miał sprzymierzeńca?

Jest tak okropnie spięty, pomyślał Olnn. Pił słodki miód, ale tak naprawdę delectował się raczej desperacją tamtego. Ze świńskich ślepków Bronnna Pallna wyczytywał wszystkie jego słabostki, jakby czytał listę przygotowaną przez swoich podwładnych. Taaak, pomyślał, Bronnn Palln to dokładnie taki V'ornn, jakiego potrzebuję – słaby, potulny, łatwo nim manipulować. W głowie mu tylko prestiż i puszenie się. Taaak, w rzeczy samej. Zrobi wszystko, co mu się każe. Miał ogromne szczęście być jedynym synem Konna Pallna, bardzo łebskiego Bashkira. Kiedy stary patriarcha zmarł, Bronnn Palln stanął na czele znakomitego konsorcjum, lecz nie miał bladego pojęcia, jak nim kierować. Może to właśnie dostrzegł Wennn Stogggul, bo sprzymierzając się z Bronnnem Pallnem, ojciec Kurgana zawarł mnóstwo lukratywnych umów, ciągnąc z Pallnowego przedsiębiorstwa niebotyczne zyski w zamian za doradztwo w takich sprawach jak utworzenie targu przypraw korzennych czy renowacja Błogosławiącego Ducha. Wysokie zyski, z których wołał jednak zrezygnować za Pierścień Pięciu Smoków, ofiarowany mu przez Sornna SaTrryna w zamian za nominację na naczelnego faktora.

–To ojciec regenta wybrał Sornna SaTrryna na naczelnego faktora – rzekł Olnn.
– Regent woli ciebie, lecz nie może sobie pozwolić na pospieszne zmiany. –
Opowiadanie tej bajeczki ogromnie go cieszyło. – Konsorcjum SaTrrynów jest bardzo potężne, a regent dopiero co objął urząd. Myślę, że to rozumiesz.

–Oczywiście, gwiazdny admirał. Jego zaplecze polityczne jest mało stabilne.

–Otóż to.

–Ale problem stanowią właśnie te niesprzyjające okoliczności.

–No to musimy znaleźć sposób rozwiązania tego problemu.

–Naprawdę, gwiazdny admirał? Jak? Ułożyłeś jakiś plan?

Mało brakowało, a Olnn roześmiałby się prosto w twarz temu głupkowi. Wyjątkowo łatwo było manipulować Bronnnem Pallnem.

–No cóż, to zależy.

Do lokalu wpadła trójka Sarakkonów, a z nimi chłodne powietrze jesiennej nocy. Tak energicznie stąpali w wysokich szagrynowych butach po wysłużonych podłogowych deskach, że aż dzwoniły miedziane, mosiężne i jadeitowe ozdoby, wplecione w gęste brody. Gromkie głosy zły się z ogólnym gwarem.

W mętnych oczach Bronnna Pallna błysnęła chciwość.

–Od czego by to zależało, gwiazdny admirale? – Głośno siorbał słodki miód, w pojedynkę opijał przyszły sukces. – Powiedz, proszę, zamieniam się w słuch.

–To dobrze, bo jesteś filarem mojego planu.

–Jaaaa, gwiazdny admirale??? Nie jestem pewien, czy...

Olnnn zdołał zmusić się do uśmiechu.

–Dla V'ornnów takich jak my ambicja jest cnotą, chyba się ze mną zgadzasz?

Bronnn Palln trochę się rozpogodził.

–O tak, gwiazdny admirale. Ambicja była dewizą mojego ojca, więc stała się i moją.

–To dobrze. Ambicja jest niezbędna. I sporo pomysłowości.

–Wystarczy, że powiesz, o co chodzi – rzekł dziarsko Bronnn Palln.

Olnnn skinął, żeby im podano następną kolejkę, i przy okazji obejrzał sobie nogi Rady – w całej okazałości – kiedy schyliła się po dwa kielichy zrzucone na podłogę przez parę pijanych Sarakkonów. Kiedy kelnerka zbliżała się do ich stolika, Olnnn syknął do Bronnna Pallna:

–Znajdź sposoby zdyskredytowania Sornnna SaTrryna.

–Gwiazdny admirale???

Olnnn odczekał, aż pełne kielichy znajdą się na zaplamionym stole. Potem znów się zajął wyczekującym Bronnnem Pallnem, pomimo narastającego hałasu jeszcze bardziej ściszył głos.

–Słuchaj uważnie, bo więcej tego nie powtórzę. – Miał obojętną minę, chociaż Palln z gorliwą zachłannością niemal się położył na stole. – Jak już mówiłem, regent nie może tknąć Sornnna SaTrryna. Gdyby jednak się rozniosło, że latorośl SaTrrynów jest zamieszana w jakąś nielegalną działalność, to wówczas...

–Ale SaTrryn ma nieskazitelną reputację.

Olnnn rozmasował skroń z pulsującą tuż pod skórą żyłką. Zastanawiał się, czy aby nie powinien natychmiast udusić Bronnna Pallna. Potem się opanował, kilka razy głęboko odetchnął i uśmiechnął się.

–Jako gwiazdny admirał wszystkich Khaggunów wiem o sprawach nieznanach

ogółowi. Jedna z nich szczególnie mnie interesuje. – Obserwował, jak Palln łapie się na haczyk. – Dowództwo Khaggunów podejrzewa, że wysoko postawiony Bashkir jest zamieszany w dostarczanie kundalańskiej partyzantce skradzionej broni jonicznej.

–Gwiazdny admirale???

–Nie bądź taki wstrząśnięty, Bronnnie Pallnie. Oprócz Eleusisa Ashery inni V'ornnowie również ulegli urokowi Kundali. Jedynie N'Luuura wie dlaczego! Tak czy inaczej, od lat szukaliśmy tego zdrajcy.

Bronnn Palln zatarł dłonie.

–Mówisz, że to SaTrryn, gwiazdny admirale?

–Tak, właśnie tak powiedziałem – rzekł powoli i dobitnie Olnnn.

Tamten rozłożył tłuste, spocone ręce.

–Ale po co jestem ci potrzebny?

Rydddlin uznał, że śmierć przez uduszenie byłaby dla Bronnna stanowczo za lekka.

–Sornnn SaTrryn jest nadzwyczaj przebiegły. Aż do tej pory zdołał uniknąć wplątania w oficjalne śledztwa. – Odczekał, żeby Pallna oświeciło. – Lecz ty, Bronnnie Pallnie, nie należysz do oficjalnych służb, jak trzeba. Kiedy cię spotkałem podczas rescendencji, dotarło do mnie, że kierując najpierwszym bashkirskim konsorcjum, masz kontakty, jakich nawet ja nie mam.

–Uważam, że rzeczywiście może tak być.

–Trzeba tylko jednego: żebyś mi dostarczył dowodu.

Wielki Bashkir przytknął gruby paluch do mięsistych warg.

–A kiedy Sornnn SaTrryn straci urząd...

–To bądź gotowy – skłamał gładko Olnnn. – Sam regent mi powiedział, że to będzie czas zmian.

Rekkk Hacilar wrócił do „Nimbusa” i, szczerze mówiąc, nie był z tego zadowolony. To tutaj spotkał Gyrgona Nith Sahora: najpierw pod postacią Damy Kannny, a potem samej Giyan. Był wdzięczny za jego pomoc, lecz nie mógłby powiedzieć, że mu go brakuje. Gyrgoni zawsze budzili w nim obawę, ale tak naprawdę skóra ścierpła mu dopiero wtedy, kiedy jednego z nich poznał osobiście. Bliskość V'ornna, mogącego wedle woli zmieniać postać, miała w sobie coś ogromnie niepokojącego. Nigdy nie

wiedziałaś, z kim właściwie rozmawiasz, jakie swoje sekrety niebacznie zdradzasz. Rekkk uważał, że są teraz w lepszej sytuacji, niż kiedy Nith Sahor żył.

Stał w wykwintnej Sali Pod Chmurami kashiggenu i starał się nie wspominać salamuuunowego odlotu w towarzystwie Nith Sahora. Odurzony narkotykiem rozmawiał z nieżyjącą matką i przeżył głęboki wstrząs. To, że ma uczucia, zawsze ogromnie go krępowało, a zwłaszcza teraz. Khagguńskie szkolenie nie tylko stłumiło w nim emocje, ale i niezwykle utrudniało ich okazywanie. Nie bez powodu: emocje nie są ci potrzebne, kiedy ruszasz do walki. Przyćmiewają rozsądek, zaburzają osąd. Tamten salamuuunowy odlot, by tak rzec, odblokował go. Mógł wyrazić swoją miłość do Giyan, miłość, która go tu teraz przywiodła – dzięki której uczynił pierwszy krok ku odnalezieniu Giyan, ku wybawieniu jej od najpotężniejszych mocy mroku. Martwił się jednak, że przez tę miłość może popełnić fatalny w skutkach błąd, co będzie jego i Riane kosztować życie.

Do Sali Pod Chmurami, zwanej tak od kopulastego sklepienia, przepięknie przyozdobionego w bogatym kundalańskim stylu, weszła Mittelwin.

–Pamiętam cię – powiedziała. – Byłeś tu w ubiegłym sezonie z Damą Kannną.

Rekkk potwierdził.

–Ośmielę się zauważyć, że wyglądasz o wiele lepiej niż wtedy. – Obdarzyła go zawodowym uśmiechem. – Pobity do krwi, lecz nieugięty, czyż nie tak było?

–Oto Riane – powiedział Rekkk, desperacko pragnąc zmienić temat.

Mittelwin przyjrzała się jej z uznaniem.

–Niezwykle ładna dziewczyna, która niebawem zmieni się w młodą kobietę. – Uśmiechnęła się szerzej. – Czym możemy wam sprawić przyjemność? – wypowiedziała oficjalną formułkę powitalną kashiggenu.

–Chcemy spędzić godzinę z imari.

–Oczywiście. Mamy wiele...

–Konkretną imari – sprecyzował Rekkk.

To już przyciągnęło uwagę Mittelwin.

–Tu, w „Nimbusie”, jesteśmy gotowe zaspokoić wszelkie pragnienia. – Splotła smukłe palce. – Której imari sobie życzysz?

–Jonki.

–Z tym będzie pewien kłopot. Jonnqa akurat źle się czuje. – Dzuoko przywołała swój najbardziej olśniewający profesjonalny uśmiech. – Mogę zaproponować inne imari, wszystkie trzeciej kategorii.

–To musi być Jonnqa – upierał się Rekkk.

Mittelwin potrząsnęła głową.

–Obawiam się, że nie mogę...

–Proszę – odezwała się spokojnie Riane. – To sprawa najwyższej wagi.

Mittelwin przyjrzała się kundalańskiej dziewczynie. Było w niej jakieś osobliwe napięcie, niezwykła determinacja.

–Nie przemęczymy jej zbyt – ciągnęła Riane. – Masz na to moje słowo.

Dzuoko patrzyła w jasne oczy dziewczyny i spodobało jej się to, co w nich ujrzała.

–Dobrze. Ale trochę potrwa, zanim będzie ją można zobaczyć. Sama rozumiesz.

–Tak – rzekła pospiesznie Riane. – Dzięki, dzuoko.

Mittelwin skinęła głową.

–Cała przyjemność po mojej stronie. – Wskazała ozdobnie rzeźbione sofy. – Rozgoście się. Każę wam podać napoje i przekąski.

Dzuoko szła wąskim, krętym korytarzem i zastanawiała się, czegoż to Khagggun i kundalańska dziewczyna mogą chcieć od Jonnki. Skąd się o niej dowiedzieli? Klienci byli przecież bardzo dyskretni. Mittelwin skręciła w lewo. Zachmurzyła się. Piękne stare filigranowe lampy rzucały na ściany wydłużone owale ciepłego blasku, sprawiając, że jej cień wydawał się ciągnąć za nią jak tren. Nie miała w zwyczaju zastanawiać się nad motywami klientów, lecz w przypadku tego Khaggguna nie mogła powściągnąć ciekawości. Po pierwsze, rozgłoszono, że stał się Rhynnonem i że o jego pojawieniu się należy bez zwłoki donieść Khagggunom lub ludziom regenta. Mittelwin była przekonana, że Kurgan Stogggul i gwiazdny admirał Olnn Ryddlin chętnie by wbili jego głowę na pikę przed pałacem regenta. Skoro tak, to na pewno dostałaby sowitą nagrodę za wydanie tych dwojga. Ale niczego takiego nie robi. Nie lubiła latorośli Stogggula; a już w ogóle się jej nie podobało, że taki nieopierzony młodzik ma taką władzę! Nic dobrego z tego nie wyniknie. Okaże się albo nieudolny, albo nadzwyczaj niebezpieczny. Poza tym Khagggun przyszedł z tą kundalańską dziewczyną o mądrych oczach, emanującą osobliwą mocą. Traktował ją nie jak kogoś z podrzędnej rasy, ale jak równą sobie. To Mittelwin zaciekawilo. Poza tym po zastanowieniu musiała przyznać, że Rekkk Hacilar żywo ją interesuje.

Dotarła wreszcie do drzwi w końcu korytarza, zapukała i weszła. Ku swemu zdumieniu ujrzała, że Jonnqa już się obudziła, wykąpała, ubrała i uczesała. Z twarzy imari, o dziwo, zniknęła opuchlizna i zadrapania.

–Przyszłaś mi powiedzieć, że mam klientów – odezwała się Jonnqa z nietypową dla niej obcesowością.

–Skąd wiesz? – spytała Mittelwin. Czy oczy dziewczyny jarzyły się nienaturalnie, czy to tylko odblask światła? Po chwili ten dziwny blask zniknął.

–Ja... Sama nie wiem. – Jonnqa się zmieszała. – Coś mnie wyrwało ze snu. Sądziłam, że to pełny pęcherz, więc poszłam się załatwić. Lecz to osobliwe uczucie nie ustąpiło. Wróciłam więc tutaj.

–Wykąpałaś się.

–Nie pamiętam.

–Uczesałaś się i ubrałaś w najlepsze szaty.

–Tak. To znaczy... widocznie to zrobiłam.

Mittelwin uważniej przyjrzała się Jonnkce.

–Zadrapania zniknęły. Jak to możliwe?

Jonnqa milczała. Teraz już Mittelwin była pewna, że coś jest nie tak. Oczy dziewczyny zmętniały. Chyba była chora.

–Uważam, że lepiej to odłożyć na później.

–Nie! – Jonnqa złapała Mittelwin za ramię i zaraz puściła, uświadamiając sobie, że łamie sztywną etykietę obowiązującą imari i dzuoko. Spuściła wzrok i powiedziała cicho. – Wybacz, proszę, dzuoko. Nie chciałam cię urazić. – Jej głos brzmiał zwyczajnie. – Lecz ci klienci zażyczyli sobie właśnie mnie, nieprawdaż?

Mittelwin milczała, obserwowała dziewczynę. Ogarniał ją nieokreślony strach.

–Klienci mogą przyjść innym razem.

–Chcę ich przyjąć teraz – rzekła Jonnqa kategorycznym tonem.

–Dlaczego?

–Słucham? – Imari sprawiała wrażenie zaskoczonej.

–Czemu chcesz ich teraz przyjąć? Co za różnica?

Przez twarz imari przemknął cień, fala silnych emocji związanych z podejmowaniem decyzji.

–Żadna różnica – powiedziała lodowato. – Skoro tak zdecydowałaś, to każ im przyjść innym razem.

–Otóż to – rzekła twardo Mittelwin, skonfundowana i zła na Jonnkę za zuchwałe zachowanie. Co się stało? Może po tym pobiciu miała jakieś wewnętrzne uszkodzenia? Jeśli tak, to już ona się postara, żeby ten Khagggun słono za to zapłacił. – Zaczekaj tu na mnie – poleciała szorstko. – Chcę, żeby cię zbadał Genomatekk.

Odwróciła się, położyła dłoń na klamce i wtedy zniecka coś ją odwróciło – atakowało ją coś wydostające się z nozdrzy Jonnki, z jej uszu, otwartych ust, ze wszystkich porów skóry. Mittelwin zdrętwiała, zszokowana i pełna grozy. Wielki stwór, podobny do owada, wbił jej w szyję żuwaczki. Parzyło niczym ogień. Trysnęła krew. Mittelwin zdążyła jeszcze zobaczyć pochylający się ku niej płaski trójkątny łeb – stwór zamierzał pochłonąć każdą kroplę krwi.

Olnnn Rydddlin pogwizdywał, zdzierając pas skóry z boku Kundalanina. Był to jeden z ponad setki tubylców, zgarniętych przez Khagggunów w trakcie ostatniego zrywu wytężonych poszukiwań Rekkka Hacilara i Giyan. Nie słyszał wrzasków, błagań, nie czuł odoru przerażenia.

–Widziałeś ich? – odezwał się do Kundalanina. – Jeśli tak, to powiedz gdzie.

Zamilkł, uprzejmie dając tamtemu czas na odpowiedź. Torturowany milczał, wrócił więc do obdzierania. Następny pas skóry. Wrzaski. Krew skapywała z ławy w celi przesłuchań w pieczarach pod pałacem regenta niczym uciekające drobinki czasu, wspomnienia, które bezskutecznie usiłował pogrzebać...

Najpierw pojawił się opalizujący blask, potem pochylona nad Olnnnem postać Malistry. Nuciała w języku, którego nigdy nie słyszał; a może ból nogi tak go dręczył, że miał halucynacje. Kiedy czarownica Giyan obróciła przeciwko niemu oręż Malistry, cały świat rozmył się w fali tak straszliwego bólu, że Olnnn z trudem sobie cokolwiek przypominał. Skóra, mięśnie, ścięgna, więzadła, nerwy wyżarte z części ciała – na coś takiego nawet Khagggun nie był przygotowany...

–Gdzie są? – spytał mechanicznie. – Rhynnnoński zdrajca Rekkk Hacilar i kundalańską czarownica Giyan? Przecież nie zniknęli z powierzchni Kundali, nie są duchami. Muszą jeść, muszą mieć jakąś kryjówkę. Musiałeś coś o nich słyszeć lub znasz kogoś, kto coś wie. Inaczej być nie może.

Więzień milczał, krew ściekała z ławy, skapywała z niej w rytm uderzeń serca. Ryddlin z pewną trudnością zdarł kolejny pas skóry z tłuszczowej podściółki ciała. Dzisiaj przesłuchiwał już siódmego Kundalanina. A w sąsiednich celach Khagguni przesłuchiwali innych. Labirynt bólu, krwi i strachu.

Opalizujący blask nadal trwał w umyśle Olnna, cofał go w czasie. Dobrze wiedział, że magia Malistry uratowała mu życie. Kiedy go przywołała, powstała pomiędzy nimi więź, a wraz z jej śmiercią utracił kolejną część siebie. Każdy oddech uświadamiał mu, że jej nie ma, a także ból w boku, który – ku radości Olnna – nie ustawał. Upatrywał w tym bólu – głęboko zakorzenionym i nieprzemijającym – dowodu na to, że Malistra nie całkiem go opuściła. Kiedy nocą wpatrywał się podpuchniętymi oczami w sufit sypialni, bezskutecznie czekając na sen, czuł, jak Malistra się w nim porusza, płynie przez jego trzewia, zmienia szpik w rzekę, która ją niesie. Niezmiennie kończyła podróż w ogołoconych kościach jego nogi. Czuł, jak pulsują jej obecnością, wyobrażał sobie, że są posapującym pod przykryciem zwierzakiem.

Olnn obrócił poziomy rożen, który zawiesił dokładnie nad oczami Kundalanina. Choćby jeniec obrócił głowę w prawo lub w lewo, to i tak widziałyby zwisające płyty własnej okrwawionej skóry, jakby przygotowane do smażenia. Tę szczególną formę przesłuchania – tylko tę stosował osobiście – wymyślił wkrótce po tym, jak został gwiazdny admirałem. Przyśniła mu się, chociaż bardzo rzadko sypiał, odkąd Malistra wskrzesiła go z martwych. Opalizujący blask i pochylona nad Olnnem, nucąca coś Malistra. Jej dłonie poruszały się na nim – lub tuż nad nim – mieszały mroczne, kleiste powietrze niczym potrawkę w kociołku. Co robiła?

Kundalanin spazmatycznie wciągnął powietrze, jego zaczerwienione oczy wreszcie napotkały wzrok Olnna. Ryddlin się przekonał, że ta szczególna forma przesłuchiwania zawsze daje dobre rezultaty. To była jedynie kwestia czasu. I właśnie teraz nastał ów odpowiedni czas.

–Zachodnia dzielnica – wykrztusił Kundalanin obrzękniętymi, okrwawionymi wargami, które wiele razy sobie przygryzał. – Rhynton i Kundalanka. Słyszałem, że wcześniej widziano ich na ulicy Kwietnej.

–Jest coś, czego nie rozumiem – odezwała się Riane, kiedy czekali z Rekkkiem na powrót Mittelwin. – Kashiggeny są kundalańskie; to przybytki rozkoszy, nieprawdaż?

–O ile wiem, to tak. – Rekkk tak stanął w Sali Pod Chmurami, że widział korytarz, którym odeszła dzuoko. Od czasu do czasu patrzył tam, trzymając dłoń na rękojeści korda. Wydawał się zatroskany i słuchał Riane jednym uchem, drugim nasłuchując ewentualnych niepokojących odgłosów.

–Kiedy V'ornnowie je zawłaszczyli, to zatrudnili v'ornnańskie dzuoko, ale zostawili kundalańskie imari.

–Yhm.

–„Dzuoko” wywodzi się od słowa „dezeke” Starej Mowy, co oznacza „ta, która dostarcza”.

–No to co? – Rekkk najwyraźniej nie miał ochoty na wykład z lingwistyki porównawczej.

–To kundalańskie słowo – Riane nie doczekała się reakcji Hacilara – używane przez Tuskuggun. – Dziewczyna znów odczekała. – Czy ty mnie w ogóle słuchasz, Rekkku?

Odwrócił się, nachmurzony.

–O co ci chodzi?

–Kashiggen to miejsce, w którym V’ornnowie i Kundalanie pokojowo współegzystują.

–To babska sprawa – burknął Rekkk. – Lepiej zapytaj Mittelwin, jak wróci. – Znów popatrzył w głąb korytarza. – O ile wróci.

–Ale czy nie dziwi cię, że na całej Kundali tylko...

–Dziwi mnie to, że tak długo jej nie ma.

–Rzeczywiście, to dziwne. Odpowiedz na moje pytanie?

–Myślę, że to robota Gyrgonów – odparł. – Wszyscy wiedzą, że oni chadzają do kashiggenów, chociaż nikt nie ma pojęcia, co tu robią.

–Mówiłeś, że byłeś tu z Gyrgonem.

–Ach, to był Nith Sahor. – Rekkk postąpił kilka kroków w kierunku korytarza. – To co innego. Sprowadził mnie tutaj w konkretnym celu. Równie mało jak ty wiem o tym, jak Gyrgoni zażywają rozkoszy.

Odwrócili się, słysząc cichy odgłos kroków. Ktoś nadchodził. Riane wyczuwała narastające w Rekkku napięcie. Zorientowała się, że zaciska dłoń na rękojęści sztyletu.

Rekkk trochę się odprężył na widok idącej ku nim Mittelwin.

–Wszystko gotowe – odezwała się dzuoko, zapraszając ich gestem.

Szli gęsiego. Najpierw Mittelwin, potem Rekkk, na końcu Riane. Dziewczyna z

każdym krokiem upewniała się, że coś jest zdecydowanie nie tak. Gdy tylko weszli do „Nimbusa” wykorzystwała swoją ograniczoną znajomość Osoru i rzuciła Sieć Poznania. Był to czar pozwalający rozpoznać Caa, aurę magicznych awatar, takich jak na przykład Tzelos i demon, który opętał Giyan. Czar miał taką moc, że pozwalał rozpoznać nawet stosunkowo słabe aury zwykłych istot. Dzięki temu Riane poznała aurę Mittelwin. Idąc coraz wolniej, uświadomiła sobie, że owa aura promieniuje z miejsca znajdującego się tuż za jej plecami. Zatrzymała się i cofnęła do biegnącego w lewo odgałężenia korytarza prowadzącego na zaplecze. Aura Mittelwin słabła. Riane pospiesznie weszła w wąski, obskurny korytarzyk i cicho otworzyła drzwi po prawej wiodące do ciemnego pomieszczenia.

Słysząc było kapanie, potęgujące nieprzyjemną atmosferę – to woda z zepsutego kurka. Słaba aura Mittelwin zupełnie zniknęła. Riane poszukała lampy i włączyła ją. Znajdowała się w składziku. Porządnie poustawiane na podłodze wiadra, mopy, emaliowane pojemniki, marmurowa posadzka. Obok, po prawej, przy zsypie do piwnicy, stał wózek wyładowany czekającą na pranie brudną pościelą i strojami. Po lewej stronie znajdowały się sięgające od podłogi do sufitu szafy. Coś przyciągnęło uwagę dziewczyny – ciemna kałuża pod nie domkniętymi drzwiami szafy. Tknięta złym przeczuciem, Riane szarpnięciem otworzyła drzwi i wypadła na nią Mittelwin – woskowej barwy, pusta niczym muszla, z mumifikowana, jakby zmarła dziesiątki lat temu.

Riane pobiegła korytarzykiem, skręciła w główny korytarz i przyspieszyła. Gdzież oni się podzieli, Rekkk i Mittelwin, a raczej stwór, który zajął jej miejsce? Zbeształa się za to, że nie ostrzegła Rekkka, lecz wszystko stało się tak nagle, kierował nią magiczny instynkt, no a poza tym cóż mogła mu powiedzieć i nie zaniepokoić przy tym demona?

–Rekkk! – zawołała. – Gdzie jesteś, Rekkku?!

Gwałtownie otworzyły się rozsuwane drzwi na końcu korytarza – i ukazał się Tzelos. Na posegmentowanym cielsku powiewały strzępy szaty Mittelwin. Stwór trzymał Rekkka w dwóch cienkich odnóżach. Kiedy rzucił się ku Riane, dziewczyna z przerażeniem ujrzała, że wbił w Rekkka jedną ze swoich paskudnych żuwaczek.

Przez chwilę sądziła, że oto spełnia się przyszłość, którą widziała Thigpen. Ta chwila wystarczyła demonowi. Ze zdumiewającą szybkością pędził ku niej korytarzem. Riane wiedziała, że siłą nic nie zdziała, więc rzucała zaklęcie za zaklęciem, czerpiąc ze swego ograniczonego repertuaru – ale żadne z nich ani trochę nie zaszkodziło Tzelosowi. Sięgnął ku niej parą odnóży, ale uskoczyła. Chciała pochwycić Rekkka, o sobie w ogóle nie myślała. Musiała wyrwać Rekkka z łap tego stworza. Objęła Hacilara w pasie i ciągnęła. Lecz sprytny Tzelos zadart trójkątny łeb i przeorał żuwaczką ciało Rekkka. Ten krzyknął i Riane go puściła.

Tzelos skoczył ku dziewczynie. Odcięła mu sztyletem czubek najbliższego odnóża. Natychmiast się cofnął. Potrząsnął łbem i Rekk znów krzyknął z bólu. Pomogło to Riane skupić się na najpilniejszym zadaniu. Tzelos nieustępliwie atakował. Ciasnota korytarza ograniczała swobodę ruchów, co jak dotąd sprzyjało demonowi. Czas to zmienić.

Kiedy Tzelos znów ku niej ruszył, Riane wskoczyła na niego. Wspiwała się, wykorzystując segmentację jego cielska. Owinęło się wokół niej najpierw jedno, potem drugie odnóże. Inaczej ujęła sztylet i wbijała ostrze w rubinowe ślepie demona. Nie wiedziała, jaką czyni mu tym szkodę, i nie czekała, żeby się o tym przekonać – odwróciła się i zsunęła Rekkka z żuwaczki. Spadł na podłogę. Próbowwała zeskoczyć z Tzelosa, ale jego odnóża krzepko ją trzymały i żuwaczki usiłowały się w nią wkluć. Zdołała się wyrwać, odzyskała równowagę i zaczęła odciągać Rekkka.

Demon otrząsnął się, doszedł do siebie po jej ataku i ruszył w pościg. Riane obserwowała go z nad ramienia Rekkka. Nie wiedziała, co robić. Jeszcze chwilka i stwór ich dopadnie.

Wtedy usłyszała jakieś odgłosy dobiegające z tyłu. Gnał ku nim krzepki Mesaggun z jonicznym karabinem gotowym do strzału. Krzyknęła, chcąc go ostrzec, żeby nie strzelał, ale było już za późno. Z wylotu lufy strzelił jasnoblękitny płomień i trafił prosto w łeb Tzelosa. Wyładowanie energii spowiło demona. Potem Tzelos otworzył pysk i wessał joniczną energię. Kiedy znów się pojawiła, była czarna niczym śmierć. Tzelos plunął nią tak szybko, że Mesaggun nie zdążył zareagować. Zaczął skwierczeć i wrzeszczeć z bólu, kiedy trafił weń czarny strumień. Korytarz wypełnił mdlący odór palącego się mięsa i Riane aż się zakrztusiła. Mimo to, pocąc się obficie, wlokła Rekkka korytarzem, odciągając go coraz dalej od Tzelosa.

Mesaggun zniknął. Została po nim kupka popiołu. Tzelos znów zajął się Riane i Rekkkiem. Pognał ku nim jeszcze szybciej niż przedtem. Dziewczyna zastanawiała się, jak taki niezgrabny stwór może tak szybko biegać.

W desperacji rzuciła Wiecznotrwały Urok. Jedno z dwóch łączonych zaklęć, jakie знаła. Wywodząc się po części z Osoru, po części z Kyofu, należało do Widzącego Oka, najstarszej magii, praktycznie nie znanej żadnej ze współczesnych kundalańskich czarodziejek. Riane poszła za głosem instynktu. Nie wiedziała, dlaczego rzuciła właśnie to zaklęcie, dopóki nie ukazało jej tego, co musiała poznać. Wiecznotrwały Urok był wróżebnym zaklęciem i podobnie jak wszystkie inne zaklęcia Widzącego Oka miał wielką moc – otwierał sekretne wrota. Mógł odnajdować głęboko ukryte rzeczy, zaginionych ludzi, odtwarzać minione zdarzenia.

Lecz Riane nie miała doświadczenia i nie potrafiła od razu zogniskować zaklęcia. Zamiast Tzelosa ujrzała błysk czarnego światła, Giyan, grymas bólu wykrzywający jej twarz, a za nią poszarpaną linię znajomego górskiego łańcucha, nadgarstki i

kostki przybite do... do czego?

Obrazy znikają równie szybko, jak się pojawiały, i zakłęcie zogniskowało się na Tzelosie. Niemal natychmiast Riane ujrzała jego słaby punkt.

Jednak demon dopadł ją i było za późno. Kiedy Tzelos ją pochwycił, usłyszała, jak ktoś wykrzykuje jej imię. Thigpen!

Thigpen się zjawiała!

–Szybko! – zawołała. – Tu jest... – Zakrztusiła się, bo z pyska demona trysnęła ohydna maź i otoczyła ją lepką, kleistą powłoką. – Spójrz na... – Powłoka zakryła jej twarz, Riane nie mogła oddychać. Bezskutecznie walczyła o haust powietrza, a potem instynktownie postąpiła tak jak podczas wędrówki po górach: była przyzwyczajona do dużych wysokości, gdzie powietrze jest bardzo rozrzedzone; nauczyła się zatrzymywać je w płucach do chwili, kiedy będzie mogła ponownie go zaczerpnąć. Powłoka stawała się coraz grubsza, ciaśniejsza, twardsza. Riane zdołała zedrzeć ją z ust i wrzasnęła: – Thigpen! Na dole, po lewej stronie tułowia! Jasna plamka!

–Trzymaj się, Darze Sala-at! – zakrzyknęła Thigpen, śmigając obok lewego ucha Riane.

Szczerzyła ostre jak brzytwa zęby. Wbiła je wprost w malutką jasną plamkę na tułowiu Tzelosa. Szarpała pazurami. Tzelos się cofnął, wydał tak niesamowity dźwięk, że Riane z trudem powstrzymała się od krzyku.

W tej samej chwili dziewczyna poczuła czyjeś dłonie, palce zdzierające z niej zasychającą skorupę.

–Nic ci się nie stało, Darze Sala-at?

To była Eleana.

–Nic mi nie jest – wykrztusiła Riane. Widziała, jak rozmywają się kontury Tzelosa, jak staje się on niematerialny. Thigpen odskoczyła i demon zniknął. – Zajmijcie się Rekkkiem! Boję się, że jest poważnie ranny!

–Chroń go, Miino! – Eleana przykucnęła przy Rekkku, dotknęła jego zakrwawionej szyi. Pobladła, spojrzała na Thigpen i Riane i zapłakała. – Umiera.

6. Słodycz pomarańczyk

Sornnna SaTrryna obserwowano, kiedy przystanął pod pasiastym daszkiem kramu

przy Momentum Boulevard. Obserwowano, kiedy kupował torebkę pomarańczy. Obserwowano, kiedy wolno szedł w tłumie, zjadając pyszny owoc. Obserwowano, kiedy przystanął, żeby przepuścić trójkę kroczących dumnie Khagggunów. A szczególnie bacznie obserwowano go, kiedy mijał skrzyżowanie z ulicą Wróżb.

Pociemniało, bo niebo zasnuwały ciężkie chmury. Marethyn Stogggul wyszła ze swojej pracowni, kiedy wybiła piętnasta, zamknęła za sobą drzwi. Pozwoliła Sornnnowi SaTrrynowi wyprzedzić się o dwadzieścia kroków i ruszyła za nim ulicą Wróżb. Szedł niezbyt wolno i niezbyt szybko, w takim tempie, żeby żaden obserwator nie mógł orzec, czy ta wędrownica ma jakiś cel.

Jakieś pół mili dalej przystanął przed rudobrunatno-czarnym daszkiem Gamut, znakomitej kameralnej restauracji. Jakby dopiero teraz się zdecydował, przeszedł pomiędzy shanstonowymi kolumnami i znalazł się w słabo oświetlonym wnętrzu. W każdym rogu stały duże pojemniki z kutego brązu, w których migotały płomienie. Sornnn wybrał stolik w najciemniejszym kącie i usiadł. Pojawił się kelner w pąsowym stroju i przyjął zamówienie.

Marethyn stała w tłumie płynącym ulicą Wróżb i obserwowała SaTrryna. Rozejrzała się, jakby niepewna, dokąd ma iść i co zrobić. Przyglądała się twarzom spieszących dokądś Bashkirów, Tuskuggun dźwigających paczki przypraw, bele materiału, zrolowane cienkie blachy tytanowe i germanowe. Obserwowała wyćwiczone ruchy Khagggunów, wypatrujących w tłumie mącieli, spekulantów, partyzantów. W górze przeleciał poduszkowiec, rozwiewając Kundalanom włosy, targając szatami i bluzami, wzbijając obłoczki kurzu. Marethyn słyszała podniesione głosy na pobliskim targu mięsnym, odwróciła się od znajomej Tuskuggun, zanim ta zdążyła ją rozpoznać. Przebiegła obok niej grupka dzieci – śmiały się, rzucały kamieniami w kundalańskich służących. Toczyło się codzienne życie. Marethyn szła pomiędzy ustawionymi na zewnątrz stolikami i w końcu wstąpiła do przypominającego grotę wnętrza restauracji Gamut.

Poszła prosto do łazienki i przez chwilę stała w małym zamkniętym pomieszczeniu. Wsłuchiwała się w dobiegające zza ściany kuchenne odgłosy, ciężkie stąpanie buttrenów ciągnących boczną ulicą dwukołowe wózki, bicie własnych serc. Weszła starsza Tuskuggun i Marethyn umyła ręce, chociaż były czyste. Wyszła z łazienki, usiadła obok Sornnna SaTrryna. Zamówił dla niej drinka – jej ulubioną marsh queen. Włożył do napitku cząstkę pomarańczy, a Marethyn wyłowila ją palcami i zjadła z największą przyjemnością, spotęgowaną bliskością Sornnna. Uśmiechnęła się i wpatrzyła w jego surową, ogorzałą od słońca i wiatru twarz. Starła się zapamiętać jego rysy, jakby miała już nigdy go nie zobaczyć.

W pobliżu wyczekiwał kelner, więc Sornnn powiedział:

–Powinniśmy coś zamówić. Czeka mnie dziś dużo roboty.

–Nareszcie mamy troszkę czasu dla siebie.

Złożyli zamówienie i kelner odszedł. Oczy Sorinna pociemniały i patrzyły poważnie.

–Muszę mieć pewność, Marethyn. Nie zaczyna cię to męczyć?

–Co? Ty?

Roześmiał się.

–To by była tragedia. Nie, mówiłem o naszych potajemnych spotkaniach, o chłodzie oficjalnych rozmów, kiedy spotykamy się wśród innych.

Wiedziała, że myślał o rescendencji.

–Wprost przeciwnie. Bawi mnie taka gra.

–Jesteś w niej dobra.

–Dorastanie w naszej rodzinie nauczyło mnie przebiegłości. – Marethyn patrzyła na Sorinna ponad brzegiem jasnoniebieskiego kieliszka. – Poza tym uwielbiam patrzeć, jak się zachowujesz w tłumie. Kocham stać w ukryciu, kiedy ty siedzisz samotnie. Nie zwracasz uwagi na nic i na nikogo i wiem, że to dlatego, że czekasz na mnie. Działasz na mnie jak magnes, a ja opieram się przez chwilę, by jeszcze niecierpliwiej czekać, aż otrzesz się ramieniem o moją pierś.

–Minęłaś się z powołaniem. – Sorinn uśmiechnął się i w kącikach jego oczu pojawiły się drobne zmarszczki. – Powinnaś zostać aktorką.

–Tylko że kobiety nie mogą być aktorkami.

Ujął jej dłoń.

–Zależy gdzie.

Podano im lunch: pieczone nagonogi nadziewane clemettami i sałatki rajgrasowe.

–Również za to cię kocham – powiedziała miękko. – Jakiż inny mężczyzna by to powiedział? Jakiż inny mężczyzna traktowałby mnie jak równą sobie? Ojciec tego nie robił, a brat na pewno...

–To z powodu Kurgana utrzymujemy w tajemnicy nasz związek. Czyżby to wyszło na jaw?

–Nie. Rozmawiałam z nim podczas rescendencji. Nie ma o niczym pojęcia.

–Wiem jednak, że wszędzie się roi od szpiegów regenta.

Teraz Marethyn ujęła dłoń Sorinna.

–O co chodzi?

Zamyślony Sorinn przygryzł wargi.

–Opowiadałem ci o finbacie, jednym z nocnych zwierząt Korrushu. Co mu pozwala latać w całkowitej ciemności? – Sorinn dotknął czubkiem palca środka czoła, a potem wycelował palec w Marethyn. – Tak jak finbat wyczuwam przeszkodę, zanim ją zobaczę.

–Mówisz o Kurganie?

–Wbrew swoim zwyczajom traktuje mnie jak sojusznika, a nawet przyjaciela. Ale mu nie ufam.

–Jestem przekonana, że mądrze robisz. Jeżeli uznał cię za bystrego i potężnego, to tym gorzej dla ciebie. Znam go, Sorinnie. Nie będzie tolerować żadnego rywala.

–Nie mam zamiaru z nim rywalizować.

–Bardzo wątpię, że zdołasz go o tym przekonać. Jest równie sparanoizowany jak ojciec.

–W takim razie będę musiał energicznie się bronić.

–Och, nie mów tego tak lekko, najdroższy! – Marethyn mocno ścisnęła dłoń Sorinna. – Najgorzej byłoby, gdybyś go nie doceniał, lekceważył. Choć jest szesnastolatkiem, ma umysł V'ornna starszego o dziesięciolecie. Jest o wiele bystrzejszy, inteligentniejszy i bardziej ambitny niż ojciec. Jest w nim coś niezwykłego, groźnego. I to od kiedy pamiętam. Ojciec był opętany żądzą zemsty na Asherach. Obsesją Kurgana jest zemsta na wszystkich.

–Plemiona Korrushu mają pewne stare porzekadło. Mówi ono, że ambitni spadają z bardzo wysoka, a kiedy już spadną, zostają po nich jedynie ich grzechy.

Marethyn pogłaskała go po policzku.

–Proszę cię, Sorinnie. Poważnie traktuj moje ostrzeżenia.

–Zapewniam cię, że traktuję je bardzo poważnie.

–Nawet nie wiesz, Sorinnie, jak mnie peszy to, że należę do Stogggulów. Całej rodzinie przydałaby się lekcja dobrych manier.

–Dobrze wiesz, Marethyn, dlaczego cię unikają. Tuskuggun są...

–Jak uwięzione w klatce, bezsilne, ubezwłasnowolnione. Traktuje się nas tylko nieco lepiej niż Kundalan.

–No, teraz to już przesadzasz.

–Muszę, żeby dobitniej wyrazić swoje zdanie. – Odrzuciła głowę. – Całe życie mężczyźni traktują mnie jak niedorozwiniętą, jakby moje opinie były śmiechu warte lub, co gorsza, wywrotowe.

–Ależ twoje opinie są wywrotowe – powiedział Sornnn z uśmiechem. – Chcesz, żeby Tuskuggun uzyskały status równy mężczyznom. Obowiązuje nas kastowość. Zawsze o tym pamiętaj.

–Twojego umysłu nie krępuje kastowość.

Sornnn usadowił się wygodniej.

–Już jako dziecko podróżowałem z ojcem do Korrushu. Szybko przywykłem do długiej uciążliwej podróży, do kurzu, do huraganów, do braku v'ornnańskich udogodnień, które uważamy za coś zwyczajnego. Nie tylko nauczyłem się żyć bez nich, ale i polubiłem proste plemienne życie. Pokochałem Korrush. Dostrzegłem jego majestat, urok krajobrazu, niezmierzone niebo, radość z odgadywania pogody, tresowania lymnalsów, jazdy na kuomeshalach. Nauczyłem się tkać dywany, prowadzić wykopaliska w suchej czerwonej glebie, szanować przeszłość, zasypiać pod gwiazdami. – Ujął dłoń Marethyn. – Teraz Korrush jest we mnie, zmienił mnie już na zawsze i nie chciałbym, żeby było inaczej.

–Ja też nie. Uczynił cię lepszym V'ornnem.

–Pamiętasz, kiedy się spotkaliśmy?

Dziewczyna przytaknęła.

–Ostatniej wiosny, na kongresie konsorcjów. Moją artystyczną instalację wykorzystano jako dekorację.

–Zobaczyłem cię w tym tłumie. Byłaś ubrana w te błękitne...

–Tak, strój w męskim stylu.

–Wzbudziłaś sensację.

–To było wyzwanie.

–Oczywiście. I dlatego kazali ci wyjść.

–Tylko na to się przydaje nazwisko Stogggul, kiedy jesteś Tuskugggun.

–Ujrzałem cię i powiedziałem sobie, że muszę poznać tę niezwykłą Tuskugggun; nie miałem pojęcia, kim jesteś.

–A kiedy się dowiedziałeś, że jestem ze Stogggulów...?

Uganiałem się za tobą, nieprawdaż?

–O tak.

–Prawdę mówiąc, nigdy nie myślałem o tobie jako o przedstawicielce rodu Stogggulów.

Marethyn spojrzała na niego sceptycznie.

–To mało prawdopodobne.

–Wywarłaś na mnie takie wrażenie, że nie obchodziło mnie, z jakiej rodziny pochodzisz.

–Na pewno żartujesz. – Parsknęła śmiechem.

–Kocham cię, Marethyn.

Dziewczyna patrzyła w piękne oczy Sornnna.

–Moja miłość mówi mi, jak mogłabyś wykorzystać swoją wewnętrzną siłę, jak mogłabyś nosić strój w męskim stylu i nie być za to potępiona.

Marethyn poczuła, jak ściskają się jej żołądki. Niekiedy było w nim coś takiego... jakaś tajemnica, która ją zarazem fascynowała i przerażała. Im dłużej go znała, tym goręcej pragnęła poznać ów sekret. A jednak... Na samą myśl o tym krew ścinała się jej w żyłach.

–I to właśnie poczułam tamtego wieczora – mówił jej ukochany. – To mnie do ciebie przyciągnęło. Dlatego stałaś się *wa tarabibi*.

–Co to znaczy? – szepnęła, chociaż jej serca już wiedziały.

–Moja ukochana.

Gdy tylko wyszli z „Nimbusa”, dostali się pod ostrzał jonicznych strzelb. Wąski zaułek w północnej dzielnicy Axis Tyr jarzył się od fosforyzujących szperaczy.

–Oddział Khaggunów! – krzyknęła Eleana.

Riane, pomagając Eleanie dźwigać Rekkka, wciąż jeszcze spowijał Wiecznotrwały Urok.

–To oddział Olnna Ryddlina – powiedziała. – Wyczuwam go.

–Co zrobimy? – spytała Eleana, kiedy się schyliły i szukały schronienia w jakiejś niszy. – Z Rekkkiem ani im nie uciekniemy, ani nie zdołamy się dobrze ukryć.

–Nie ma sprawy. Wszyscy thrippingujemy do opactwa.

–W żadnym wypadku – sprzeciwiła się Thigpen. – Thripping powstał po to, żeby można było podróżować poprzez różne królestwa, a nie w obrębie jednego. Bo to jest szkodliwe. Efekty się kumulują i to osłabia twoją zdolność do thrippingowania. A co do tych, którzy nie mają mononculus, to coś takiego szybko prowadzi do śmierci. Rekkk umiera, a Eleana jest w ciąży. Nie mogę pozwolić na thripping. Zostajemy.

Salwa z jonicznej strzelby roztrzaskała okno obok wejścia, w którym się schowali. Posypały się na nich odłamki szkła, kamienie i tynk.

–Olnn Ryddlin nie zostawił nam innej możliwości – nalegała Riane. – Jeżeli zaraz nie zabierzesz stąd Rekkka, na pewno umrze.

–A co z tobą, Darze Sala-at?

–Khagguni ścigali nas dniem i nocą przez ostatnie dziesięć tygodni. I przez większość czasu tylko się chowaliśmy i lizaliśmy rany – Riane powiedziała to tak zdecydowanie, że Thigpen, która już miała zaprotestować, zamknęła pyszczek. – Jest tu Olnn Ryddlin i dlatego uważam, że trafia się nam okazja, by odpowiedzieć atakiem i choć trochę pomieszać im szyki.

Thigpen łypała na nią podejrzliwie.

–Nie mam pojęcia, co wymyśliłaś, Darze Sala-at, ale wiem, że to zbyt ryzykowne.

–Przede wszystkim potrzeba nam swobody ruchów – oznajmiła Riane. – Nie możemy bez końca tkwić w Opactwie Gorącego Nurtu.

–Dobrze wiesz – burknęła Thigpen – że i tak nie mogę cię zostawić. Jestem z tobą związana.

–I dlatego zrobisz, co każę – powiedziała Riane. Kolejna salwa spowodowała, że zwała się część dachu, jęk belek nośnych ostrzegał, że tymczasowy schron nie

będzie już długo ich chronił. – Nie czas na sprzeczki. To zadanie dla mnie i dla Eleany. Bez Rekkka będziemy miały swobodę ruchów. Znam Osoru, a Eleana walczyła już z Olnnem Ryddlinem, więc orientuje się w jego taktyce. To wspaniała okazja, która może się szybko nie powtórzyć. Bierz Rekkka i znikaj. Ale już.

Thigpen spojrzała na zakrwawioną twarz Hacilara, ostrożnie uniosła mu powieki.

–Thripping na pewno go zabije.

Riane odchyliła głowę i wsunęła palce do gardła. W myślach zaśpiewała pieśń, której nauczyła się ze *Sfer thrippingowania*, starej jak czas księgi.

–A cóż ty wyprawiasz? – zaniepokoiła się Thigpen.

–Daję Rekkkowi mojego mononculusa. – Riane wyjęła z ust robakowatego symbionta.

–Przecież ci mówiłam, Darze Sala-at, że każdy mononculus jest przypisany jednej osobie.

–Nie oburzaj się tak – zbyła ją Riane. Otworzyła Rekkkowi usta i włożyła do nich mononculusa. – Mononculus ochroni Rekkka przed szkodliwym promieniowaniem, na które możecie natrafić, a jego ciało utrzyma symbionta przy życiu, póki do was nie dołączę.

–O ile do nas dołączysz – rzekła ponuro Thigpen. – Uważaj, Darze Sala-at. Młodość lekkomyślnie szafuje życiem...

Surowe napomnienie Rappa zagłuszyło nagle złowieszcze buczenie.

–Niech to N’Luuura! Poduszkowiec! – wykrzyknęła Riane. – Nie mamy czasu. Ruszaj! Ruszaj!

Odwróciła się, we wnętrzu poczuła znaczące drgnięcie, łagodny wewnętrzny powiew – sygnał thrippingu.

–Co zrobimy? – spytała bez tchu Eleana. – Zablokowali oba wyloty zaułka i jeszcze ten poduszkowiec, więc dachy odpadają.

Nisza, w której się kuliły, zaczęła się walić z okropnym trzaskiem.

–Za mną i nie oglądaj się! – krzyknęła Riane. Cofały się, biegnąc zakosami i omijając szperacze, ostrzeliwanym i zasypanym gruzem zaułkiem, wpadły do „Nimbusa” przez miedziano-brązowe drzwi, powyginane i odbarwione przez joniczne salwy. Riane zablokowała je.

–Uważasz, że to dobry pomysł? – zapytała Eleana, kiedy biegły przez Salę Pod Chmurami. – Dużo przemawia za tym, że Olnnn Rydddlin może nas tu złapać w pułapkę. I to jest ta dobra wiadomość. A zła jest taka, że znowu spotkamy Tzelosa. Tak czy siak, będzie jatka.

–Kiedy Khaggguni ruszają do walki, przypominają sobie takie powiedzonko – rzekła Riane z krzywym uśmiechem. – Jatka to inna nazwa zwycięstwa.

–Powiesz mi wreszcie, jaki masz plan?

–Plan?

Eleana aż zatrzęsło.

–Powiedziałaś Thigpen...

–Musiałam ją przekonać, żeby zabrała Rekkka w bezpieczne miejsce. Działam, jak mi okoliczności nakazują.

–Chroń nas, Miino!!!

Pędziły pustym korytarzem. Wszyscy albo nie żyli, albo uciekli z kashiggenu. Z tyłu dobiegały, stłumione przez drzwi, odgłosy jonicznych salw. Drzwi wkrótce ustąpią i do środka wtargną Khaggguni Olnna Rydddlina.

–Opowiedz mi o gwiazdnym admirale – odezwała się Riane.

–Jest bystry, bezlitosny, uparty. Nigdy nie da za wygraną. Nie stosuje utartych taktycznych schematów. Jeżeli przyjdzie mu na myśl jakaś nowa strategia, na pewno ją wypróbuje, nie bacząc na to, jak może być ryzykowna dla jego oddziału.

–Innymi słowy, jest impulsywny i krwiożerczy.

Riane znalazła wąskie odgałężenie głównego korytarza, skręciła w lewo, kopnięciem otworzyła drzwi do składziku. Ciało Mittelwin leżało tam, gdzie je zostawiła.

–Tędy! – zawołała, kierując się ku zsypani. Chwyciła się krawędzi i wsunęła nogi do środka. – Zjeżdżamy!

Eleana bez słowa poszła w jej ślady.

W piwnicy było ciemno, lecz nie zionęło stęchlizną. Najwyraźniej Mittelwin tak samo dbała o zaplecze kashigeenu jak o część przeznaczoną dla gości.

Riane rzuciła Ukwieconą Różdżkę, zaklęcie osłaniające.

–Teraz nie dostrzegą wlotu zsypu – szepnęła Eleanie. – Czar działa tylko jakiś czas, ale to nam wystarczy.

–Wystarczy na co? – odszepnęła Eleana.

Szła za Riane, która zapalała jedną lampę za drugą. Znajdowały się w długim pomieszczeniu, jakby w tunelu. Z jednej strony zamykała je lita skała, z drugiej stare żelazne drzwi z zardzewiałym ryglem. Eleana rozbiła rygiel jednym cięciem korda, lecz wielkie zawiasy były tak skorodowane, że dziewczyny musiały się natrudzić, żeby drzwi w ogóle drgnęły. Na widok tego, co było za nimi, w Eleanie zamarło serce: pomieszczenie się zawaliło. Całkowicie wypełniał je gruz. Tędy nie uciekną.

Zawracały, kiedy Riane nagle się zatrzymała.

–Czujesz ten zapaszek? – zapytała.

–Jaki?

–Wilgoci. – Riane przyłożyła dłoń do skalnej ściany po lewej. – Dziwne. Mittelwin była bardzo dbała. Nigdy by nie dopuściła, żeby w jej piwnicy rozpanoszyła się wilgoć. Chyba że... – Nagle poczuła mrowienie i natychmiast usłyszała śpiew strumieni mocy płynących głęboko pod fundamentami.

–O co chodzi, Darze Sala-at?

Riane przykucnęła, wyczuwała słabiutkie vibracje. Wolniutko przesuwiała dłonie, aż natrafiła na właściwe miejsce. Strumienie mocy zdawały się całkiem mocne, jakby coś je ciągnęło ku powierzchni. Przytknęła ucho do ściany i usłyszała bulgotanie.

–Tam jest podziemne źródło.

–Nie rozumiem. – Eleana potrząsnęła głową. – W czym nam to pomoże?

Tzelos, pomyślała Riane. Gdzież to ja czytałam o demonologii? Na pewno nie w *Przeczystym Źródle*. A może w *Księdze Zaparcia się Wiary*? Zamknęła oczy, przeglądała w pamięci stronę po stronie, aż natrafiła na odpowiedni fragment. Natychmiast otworzyła oczy.

–O tak, mimo wszystko mamy szansę.

Zdecydowanym gestem nakazała Eleanie, żeby usiadła pod najwilgotniejszym miejscem ściany, a potem przeszła od wylotu zsypu do miejsca, gdzie siedziała Eleana.

–Co robisz?

–Sprawdzam, ile czasu zajmie Khaggunom dopadnięcie nas.

–Żartujesz, prawda? – Oczy Eleany zrobiły się okrągłe. – Nie żartujesz.

–Przepraszam – powiedziała Riane. – Nie powinnam stawiać Rekkka na pierwszym miejscu. Wystawiamy na niebezpieczeństwo ciebie i twoje dziecko.

–Kiedy jesteśmy zakładnikami w naszym własnym świecie, Darze Sala-at, niebezpieczeństwo zawsze istnieje.

–Ale to...

Eleana dotknęła dłoni Riane.

–Kiedy w grę wchodzi uwolnienie Kundali od V'ornnów, godzę się na każde niebezpieczeństwo.

Riane westchnęła.

–Jak dziecko?

Eleana położyła dłoń Riane na swoim brzuchu.

–Czuję, jak kopie. Czasem mu śpiewam.

–Chciałabyś wiedzieć, czy to chłopiec czy dziewczynka?

–Bo ja wiem. Ja... A naprawdę mogłabyś to powiedzieć?

–Tak, z pomocą Osoru.

–Magia nie wyrządzi dziecku krzywdy, prawda?

–Najmniejszej – uśmiechnęła się Riane. – Obiecuję.

Eleana kiwnęła głową.

–W takim razie chcę wiedzieć. – Badawczo wpatrywała się w twarz Riane. – Dlaczego to robisz, Darze Sala-at? Czemu cię to obchodzi?

Riane znów poczuła potrzebę zwierzenia się Eleanie, kim tak naprawdę jest. Ale napomnienia Giyan i jej własne poczucie obowiązku sprawiły, że zmilczała. To i tak była udręka. Trzymała dłoń na lekko wypukłym brzuchu Eleany i czuła jej zapach, który Annon tak dobrze pamiętał, który nawiedzał go w snach. Upajało ją ciepło ciała Eleany. Wyobraziła sobie, że dziewczynka wysuwa język i... Riane mocno zacisnęła powieki, zastanawiała się, czemu sama siebie zadręcza. Nawet gdyby powiedziała

Eleanie prawdę, nie mogła oczekiwać, że będzie ona odczuwać to samo. Annon umarł i zniknął. Czemu miałyby kochać Riane tak, jak kochała Annona? Riane z trudem odsunęła od siebie te myśli.

–To chłopiec – oznajmiła. – Z całą pewnością chłopiec.

Poczuła na policzku muśnięcie włosów Eleany i jej ciepły pachnący oddech. Eleana wyszeptała jej do ucha:

–Dzięki, Darze Sala-at, za to, że mnie nie potępiłaś, że nie chciałaś, żebym pozbyła się dziecka, które jest po części V'ornnem. Jestem taka wdzięcz... – Eleana urwała w pół słowa.

Podłogowe deski nad ich głowami zatrzeszczały, co oznaczało, że Khaggguni wdarli się do „Nimbusa”.

–Jest coś takiego w soku pomarańczy, co mnie przyprawia o mdłości – stwierdził Nith Batoxxx. – A mimo to piję go codziennie.

–Czemu? – spytał Nith Isstal. – Przecież najwyraźniej go nie lubisz.

–Prawdę mówiąc, nie cierpię.

W laboratorium panował porządek świadczący o pedanterii. Było to pozbawione okien pomieszczenie w kształcie rombu, znajdujące się w samym środku Świątyni Mnemoniki. Ta ogromna budowla – aż do przybycia V'ornnów ośrodek kundalańskiego życia religijnego i kulturalnego – wznosiła się na jedynym w mieście wzgórzu, w zachodniej dzielnicy Axis Tyr. Wydawała się odludna, zwłaszcza od kiedy zajęli ją Gyrgoni.

Trzyście lamp w kształcie łez, krążących po owalnej orbicie, zalewało laboratorium fioletowo-błękitnym światłem, upodabniając je do chłodni. Kundalańscy artyści przed setkami lat starannie otynkowali kamienne ściany, a potem wyrysowali na nich ogromne murale, pokrywające każdy centymetr kwadratowy obszernej komnaty. Teraz murale były przesłonięte pnączami, które z jakiegoś powodu wspaniale się rozrastały w tym chłodnym świetle.

Nith Isstal leżał nago pośrodku laboratorium, podtrzymywany przez przeplatające się strumienie jonów, dokładnie pod układem skomplikowanych instrumentów zwisających jak stalaktyty z wklęsłego sklepienia. Holoekrany wyświetlały odczyty z każdego układu w jego ciele, przesyłane przez okrywającą go semiorganiczną sieć czuciową. Gładka twarz Nith Isstala była androgyniczna. Wyglądał to jak mężczyzna, to jak kobieta, w zależności od tego, z której strony nań patrzono.

Nith Batoxxx okręzał swoje laboratorium.

–Widzisz te wszystkie zielone pędy i liście, te zdrewniałe pnącza, które oplatają pomieszczenie?

–Przyznaję, że mnie zaciekawily. – Bezwłose ciało Nith Isstala przenikała sieć neuralna, delikatna jak pajęcza nić, podłączona na karku do siatki wtopionej w jego czaszkę. – Mogę już wstać?

–O tak. – Nith Batoxxx wypisał w powietrzu równanie błękitnym jonicznym płomieniem i sieć czuciowa zniknęła. – Zakończyłem dostosowywanie ostatnich germanowych i tertowych elementów siatki w twojej czaszce. Gdy tylko aktywuję... – Dotknął kilku przycisków po lewej stronie jednego z ekranów.

–Aaach – westchnął Nith Isstal. – Tak, pojmuję. – Miał na myśli to, że pojmuję wszystko, bo teraz był całkowicie zintegrowany z Bractwem. – Czuję, jak część męska i kobieca równoważą się i harmonizują.

–Na tym polega dojrzałość, ustalenie naszej płciowej harmonii: homeostazy życia. – Nith Batoxxx popatrzył na Isstala. – Należy współczuć V'ornnom z innych kast, którzy muszą przeżyć całe życie albo jako mężczyzna, albo jako kobieta. – Wyciągnął rękę i pomógł Isstalowi usiąść. – Spróbuj to sobie wyobrazić.

–Nie potrafię. Strach nawet pomyśleć o tak okropnym losie. – Nith Isstal znów przyjrzał się roślinom. – Czy możemy wrócić do poprzedniego tematu, Nith Batoxxsie. Gałązki pomarańczy oplatające twoje laboratorium, pomarańcze, których sok co dzień pijasz, chociaż cię od niego mdli. Zechciałbyś mi to wyjaśnić?

Nith Batoxxx zerwał dwa liście i położył je na dłoni Nith Isstala.

–Co widzisz?

Nith Isstal nagle się zaniepokoił.

–Wiem, że to test, któremu nie podołam.

–Nie bez powodu się denerwujesz – rzekł Nith Batoxxx. – Uznaj to nie za test, lecz za lekcję.

Nith Isstal kiwnął głową i głęboko zaczerpnął powietrza.

–Widzę... – wzruszył ramionami – dwa liście pomarańczki.

–A przecież są czymś więcej. – Nith Batoxxx podszedł do pnączy. – Stanowią upostaciowanie K'yonnno – mówił o głównej teorii Gyrgonów, dotyczącej Chaosu i Ładu. – Widzisz te liście? – Zerwał garść i rzucił Nith Isstalowi na podolek. – Prawdziwa obfitość liści, jest ich tak wiele, że obaj spędzilibyśmy całe miesiące na

ich liczeniu. I spójrz, spójrz! Każdy jest dokładnie pięciopalczasty. To nazywamy Ładem. Ale spójrz ponownie: unerwienie każdego liścia tworzy odmienny wzór, charakterystyczny tylko dla niego. To chaos indywidualności. Tu, przed naszymi oczami, mamy żywy dowód K'yonnno. To dlatego moje laboratorium oplatają pnącza pomarańczy i dlatego codziennie pijam ich sok. Żeby mi przypominały o słuszności wybranej przez nas drogi, o prawdziwości naszej wiary w podstawową homeostazę natury. Homeostaza i harmonia to synonimy, na zawsze zapamiętaj Pierwsze Prawo K'yonnno.

Klasnął obleczonymi w rękawice dłońmi, śląc w powietrze strużki jonicznych płomieni.

–Ubierz się. Słyszę bicie dzwonu. Nadszedł czas konwokacji.

Nadchodził właściwy moment. Riane starała się skupić wyłącznie na tym, co będzie musiała zrobić.

Odgłosy kroków stawały się coraz bliższe, a kiedy wyteżala słuch, docierały do niej strzępki rozmów V'ornnów. Khagguński język służbowy. Riane przywołała Osoru. Zaczęło się robić chłodniej.

–Co się dzieje? – wychrypiała Eleana.

–Khagguni przeszukują składzik. Odczyniam zakłęcie, które rzuciłam na zsyp. Za chwilę go zobaczą.

–Co robisz? – Eleana potrząsnęła Riane. – Zwariowałaś? – Chciała dobyć korda.

–Nie! – powstrzymała ją ostro Riane. Poczula charakterystyczną zmianę *jihe*, kiedy część jej osobowości przeniknęła do Nadwiata. – Nie wyciągaj broni bez względu na to, co się stanie. Po prostu rób to co ja, w porządku?

–Nie, nie w porządku. Nie mam zamiaru...

Khaggun z okrzykiem zjechał rynną zsypu.

–Mam je! – wrzasnął triumfalnie.

Reszta poszła w jego ślady i wkrótce sześćosobowy oddział Olnna Ryddlina znalazł się w podziemnej pralni. – No, no, co my tu mamy? – odezwał się jeden, wymachując kordem. – Podwójna zdobycz – rzekł drugi z szerokim uśmiechem. – Podwójny zysk: gwałt i zabijanie. Trzeci Khaggun skierował ku dziewczynom lufę jonicznej strzelby. – E, wy tam, wstawać – warknął. Eleana ani drgnęła, patrząc na nich gniewnie, wyzywająco. – Oooo, patrz no tylko – powiedział pierwszy Khaggun. – Rozkrwawienie jej czulego miejsca sprawi mi podwójną przyjemność. Trzeci

Khagggun postąpił krok ku dziewczętom. – Kazałem wam wstać! No już! – Rób, co mówi – szepnęła Riane. Otaczała ją struktura Nadświata i Riane odwróciła się, dezorientowana, bo jej Trzecie Oko dostrzegło różnicę, subtelną zmianę, cichutki szmer na granicy świadomości, nieokreślony niepokojący ton, który zakłócał głęboką ciszę. Nie miała czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Rzuciła na bielutkie niebo magiczną boję świetlną, jak to podpatrzyła u Giyan. Czy to wystarczy? Musi! – Ale... – Pamiętaj, co ci mówiłam – powiedziała Riane, zmuszając Eleanę, żeby wstała. Strumień magicznego światła zataczał krąg w Nadświecie. – I co teraz? – Eleana patrzyła na lubieżne uśmieшки Khagggunów. – Zaczekamy, aż nas zgwałcą? – Zacisnęła pięści. – Przynajmniej pozwól mi dobrać korda, żebym mogła zabrać ze sobą paru tych bydlaków. – Nie. Nie dawaj im powodu do strzelania. W Nadświecie pojawiła się pewna anomalia. Mrok splamił biały horyzont, Riane wzięła Eleanę za rękę. – Jak tylko dam znak, biegnij ku drzwiom. – Po co? Tamtędy się nie wydostaniemy. Wyjście jest zapieczętowane dokładniej niż... – Zamknijcie się! – warknął Khagggun celujący w nie joniczną strzelbą. – Żadnego gadania. Otworzyły się tęcza Mroku. Riane ujrzała sześć par rubinowoczerwonych oczu i natychmiast powróciła do materialnego świata. Czuła, jak nadciąga, cienie za Khagggunami gęstniały, zlewały się w...

–Chroń nas, Miino! – krzyknęła przerażona Eleana. – Tzelos znów nas znalazł!

Khaggguni albo jej nie usłyszeli, albo jej nie uwierzyli.

–Biegnij! – wrzasnęła Riane. – Biegnij!

Pognały w głąb pomieszczenia. Khagggun już miał strzelić, ale drugi zmusił go do opuszczenia strzelby.

–Mamy rozkaz dostarczyć je żywe gwiazdnemu admirałowi – powiedział. – Tak czy owak, złapaliśmy je w pułapkę.

Oddział Khagggunów uznał jego argument i ruszył za uciekinierkami.

Na to właśnie liczyła Riane. Odliczała sekundy, jak przedtem kroki od wylotu zsypu do plamy wilgoci na ścianie. Kiedy uznała, że Khaggguni znaleźli się we właściwym miejscu, rzuciła na Tzelosa zaklęcie. Demon z rykiem stanął na tylnych odnóżach. Khaggguni się odwrócili – osłupiali i przerażeni, nie mogli uwierzyć w to, co widzieli. Jeden z nich strzelił, ale to nic nie dało. Pozostali wypalili jednocześnie.

Jasnobłękitny joniczny ogień spowił na chwilę całego Tzelosa. Potem demon rozwarł ohydny pysk i wessał całą energię. Chwilę później plunął czarnym ogniem. Sześcioma Khagggunami rzuciło o ścianę z taką siłą, że starożytna murarska zaprawa puściła. Do pomieszczenia trysnęła strumień wody.

–Naprzód! – zawołała Riane, ciągnąc Eleanę w stronę wyrwy w murze.

–Co...?

–Dobrze pływasz? – Wepchnęła Eleanę do dziury i wskoczyła za nią.

Woda uderzyła w nią z ogromną siłą. Była lodowata, nurt usiłował wypchnąć je do podziemnej pralni, gdzie czyhał Tzelos.

Eleana, jeszcze mozolniej walcząca z prądem, pośliznęła się na bloku zalegającym dno. Upadła ciężko na Riane, która poczuła, jak coś ją szarpie. Ujrzała, jak owija się wokół niej najpierw jedno, a potem drugie włochate odnoże i nieubłagane ciągnie ją do podziemnego pomieszczenia, w którym był Tzelos.

7. Teyj

Bractwo Gyrgonów raz dziennie zbierało się na oficjalnej konwokacji w wielkiej auli Świątyni Mnemoniki. Niegdyś była to główna sala, w której Ramahanie modlili się do bogini Miiny. To tu, na porysowanym i splamionym porfirowym ołtarzu, składali barbarzyńskie ofiary swojemu wyimaginowanemu bóstwu. Tutaj, na onyksowych siedziskach amfiteatru w kształcie muszli, kapłani słuchali swojej przywódczyni – Matki opowiadającej zmyślane na poczekaniu bajki. A przynajmniej tak sobie Nith Batoxxx wyobrażał to, co tu się działo przed V'ornnami.

Zaprowadził Nith Isstala na miejsce, a potem ruszył ku swojemu. Jedno należało Kundalanom przyznać – i zapewne tylko to, pomyślał – potrafili budować zgodnie z prawami akustyki. Toteż nie można było pojąć, czemu ich muzyka brzmiała jak zawroźnienie dogorywającego brzytwozębego drapieźcy.

Amfiteatr wypełniał się Gyrgonami. Nith Batoxxx poczuł wewnętrzne drgnienie, jakby powiew jesiennego wiatru zapowiadającego śmierć lata, oczyszczającego jego umysł ze wszystkich zbędnych myśli. Uderzył w niego bijący z jego wnętrza strumień czarnego blasku, na chwilę go oślepił, a potem – kiedy już do niego przywykł – przygotował się na to, co miało nastąpić. Wkrótce wypełniła go zimna energia; drżał, dopóki synapsy i zakończenia nerwów nie dostroiły się do zwiększonego obciążenia. Za każdym razem szybciej wracał do równowagi. Za każdym razem bardziej tęsknił za tym wspaniałym doznaniem. Czuł się inny, odmłodzony.

Nieśmiertelny.

Ale przecież właśnie to mu obiecywano, nieprawdaż? Tak, z całą pewnością. I teraz nieśmiertelność należała do niego i tylko do niego.

Poruszał głową, przepatrując rubinowymi źrenicami komnatę, aż wypatrzył Nith Setta. Przywołał go gestem.

–Jakie wieści? – szepnął.

Nith Settt pochylił głowę.

–Nie najlepsze. Te plemiona z ich fundamentalistycznymi poglądami!

–Ten fundamentalizm powinien ich uczynić bardziej podatnymi na manipulację.

–I tak jest – szepnął Nith Settt. – Wyjąwszy Perrnodt. Żeby do niej dotrzeć, musielibyśmy zdestabilizować cały region.

–Nie!

Kilku Gyrgonów odwróciło ku nim głowy, słysząc podniesiony głos Nith Batoxxksa. Zignorował ich spojrzenia, pochylił się ku Setttowi, zniżył głos.

–Masz absolutny zakaz destabilizowania regionu. Zrozumiałeś?

–Nie. – Nith Settt najwyraźniej był zirytowany. – Jesteśmy Gyrgonami. Kundala i wszystko, co się na niej znajduje, należy do nas. Nie rozumiem w czym rzecz. Potrzebujemy informacji od tej dzuoko, więc ją aresztujemy i będziemy łamać jej kość po kości, dopóki nam nie powie.

–Nigdy by nam nie powiedziała – syknął Nith Batoxxx. – Nie pod przymusem. Już tego próbowano.

–Ale to nie ja próbowałem.

–Z ciebie to naprawdę okrutna bestia – rzekł Nith Batoxxx. Dźwięk jego głosu miał osobliwy pogłos, tuszowany przez akustykę auli. Przez chwilę badawczo przypatrywał się rozmówcy, a potem podjął powoli i cierpliwie, jakby tłumaczył skomplikowaną lekcję wyjątkowo tępemu uczniowi: – Musimy być sprytniejsi. – Pokazał w uśmiechu wszystkie zęby. – Musimy sprawić, żeby wołała znaleźć Maasra, niż to chronić. Wtedy zaprowadzi nas do celu, nawet nie wiedząc, że to robi.

Nith Settt zamrugął.

–A jak według ciebie powinniśmy to zrobić?

–Na szczęście dla ciebie już uruchomiono odpowiedni mechanizm. Po konwokacji wracaj prędko do Agachire. Nie spuszczaaj Perrnodt z oka i postępuj zgodnie z rozwojem wypadków.

–Dobrze, Nith Batoxxksie. Tak się stanie.

–Tak jak powiedziałem.

–Dokładnie tak.

Batoxxx uśmiechnął się i dotknął lśniącego veradowego elementu na ciemieniu Settta. Kiedy usiadł, zobaczył po drugiej stronie amfiteatru władczego Nith Nassama. Przez chwilę spoglądali na siebie, a potem Nassam wstał i zszedł ku kundalańskiemu ołtarzowi. To właśnie Nith Nassam przyłączył się do Batoxxksa w ostatnim ataku na Nith Sahora.

Na ten widok dwóch innych Gyrgonów odłączyło się od tłumu i stanęło po bokach Nith Nassama. Cudacznie wyglądają przy tym prymitywnym, splamionym krwią ołtarzu, pomyślał Batoxxx. Choć teraz, kiedy wypełniała go zimna energia, wydawało mu się to mniej dziwaczne. Ta nowa perspektywa pozwoliła mu dostrzec trafność takiego ich ustawienia oraz umożliwiła rozpoznanie tajemnej mocy, zamkniętej w tym porfirowym bloku.

Trio Gyrgonów nazywano facylitatorami. Symbolizowali Ład, Chaos i K'yonnno. Zmieniali się podczas każdej konwokacji. Ucisiali zgromadzenie, intonując Pieśń stworzenia świata i stwarzając olbrzymi atom i dwadzieścia subatomowych cząstek, z których składa się cała materia kosmosu. A potem zgromadzenie jak jeden mąż odpowiadało: „Wybaw nas od mroku, ignorancji, fałszywych teorematów”.

Następowała krótka chwila milczenia, kiedy to wszyscy wpatrywali się w wirujący atom, stworzony mocą ich zbiorowej energii.

„Wybaw nas od Centophenni, przywieź nas w ojczyste strony”.

Konwokacja się rozpoczęła.

Dyskusję poprzedzał bezruch i głęboka cisza. To zrozumiałe, że debata przyjęła formę wymiany równań, rozbłyskujących na sklepieniu wielkiej auli, wybuchających jak salwy z jonicznej broni; równania-pytania, równania-odpowiedzi, potwierdzające i zaprzeczające teorematy śmigają pomiędzy zgromadzonymi Gyrgonami.

Do trzech Gyrgonów stojących przy ołtarzu należało podtrzymywanie dialogu, rozbijanie zatorów, powstających, kiedy kilku spośród zebranych chciało się wypowiedzieć jednocześnie. Nith Batotxxx obserwował ich, kiedy coraz trudniej było utrzymać sprawny przepływ równań, w miarę jak polemika stawała się coraz bardziej zacięta, kiedy frakcje się łączyły i wyodrębniały, pogłębiając istniejące już w Bractwie rozłamy. Kiedy tak obserwował narastające pandemonium, ogarnęła go euforia, zapłonął w nim chłodny płomień, przekonanie – jakoby takowego w ogóle potrzebował! – o trafności i słuszności drogi, którą podążał.

Dawniej to teorematy Nith Sahora zawsze uciszały sprzeczki, uspokajały antagonistów, doprowadzały do kompromisów. Lecz Nith Batotxxx, działając w ukryciu, dbał, żeby kompromisy te były tylko chwilowe, żeby rozłamy się odtwarzały, stare antagonizmy odżywały. Właściwie należałoby rzec, że Nith Batotxxx nocą psuł to, co Nith Sahor naprawił za dnia. Homeostaza.

No, niezupełnie. Każda konwokacja przybliżała Bractwo do rozstrzygającej bitwy. Każda konwokacja sprawiała, że Nith Sahor coraz bardziej się wycofywał. Aż ciemnymi korytarzami Świątyni Mnemoniki zaczęły krążyć strach, niepewność i paraliżujące przerażenie, niszcząc niezachwianą niegdyś solidarność Bractwa. Teraz panowało niezdecydowanie, nadmiar wątpliwości. Jedynie Nith Sahor stał na przeszkodzie całkowitemu osłabieniu jedności Bractwa. Nith Sahor miał wolę i inteligencję, niezbędne do ponownego zjednoczenia Gyrgonów. A teraz zginął z ręki Nith Batotxxksa. Czarny blask, który się w nim rozpałił, ukazał mu, że pęknięcia stały się na tyle głębokie, by mógł się wysunąć na pierwszy plan. Żeby pozostali bez szemrania uznali jego przywództwo.

Dosyć!

Nith Batoxxx posłużył się równaniem, które uciszyło innych i dało mu czas, by wstać, dumnie zejść na dół i zająć należne mu miejsce przy porfirowym ołtarzu. Skinął ręką i teorematy wypełniły amfiteatr.

Te małostkowe sprzeczki trwają już wystarczająco długo. Dni, tygodnie, miesiące upłynęły na antagonizmach i kłótniach. Kimże się staliśmy, Bashkirami? – Wyczuł pewną zmianę w milczeniu, dobry znak. – Najpierw kłóciliśmy się o to, jak traktować Kundalan, bo byli wśród nas tacy, co uważali ich za rasę wyjątkową, odmienną od tych, które dotąd podbiliśmy. Potem sprzeczaliśmy się o dalszą regenturę rodu Asherów. Byli tacy, co podzielali wiarę Eleusisa, że przybyliśmy na Kundalę ze szczególnego powodu, w doniosłym celu, że Kundala stanowi integralną część naszej przyszłości, że możemy się wiele od Kundalan nauczyć. Jakąż to ekwację dostrzegam? Uczyć się od pośledniejszej rasy? Jakże to? Jakżeż mogłoby do czegoś takiego dojść? A przecież rozglądając się wokół, widzę takich, co początkowo uwierzyli w to wariactwo.

Potem zaczęły się kłótnie o zmianę przywództwa nad innymi kastami. Niektórzy byli przeciwni oddaniu regentury rodowi Stogggulów. Wysunięto przeciwko temu jedną lub dwie teorie. I tarcia te trwają nadal, bo Kurgan Stogggul objął urząd po ojcu. Niektórzy mówią, że jest on za młody. Inni, że nie wypróbowany. Lecz nie mówią tego głośno i często. Bo zniknął inicjator tych tarć. Nasz brat, Nith Sahor, nie żyje. Powiem, nie lękając się, iż ktoś zaprzeczy, że Nith Sahor był wielkim Gyrgonem, błyskotliwym teoretykiem. Lecz strasznie pobłądził. Wierzył, podobnie jak Eleusis Ashera, że Kundalanie są nam równi, że powinniśmy odbudować Za Hara-at, zwane też Miastem Miliona Klejnotów, po to, by V'ornnowie i Kundalanie mogli w nim wspólnie zamieszkać. Za Hara-at jest ważne, lecz z innych powodów niż sądził heretyk Ashera. Pod niechlujnymi namiotami i łajnem kuomeshali spoczywa skarb kundalańskiej przeszłości. Możemy go sobie teraz bez przeszkód przywłaszczyć. Czyżby? Kłótnie trwają, pleni się, posiane przez Nith Sahora, zwątpienie w słuszność naszej drogi, w zasadność naszej wiary w homeostazę. On sam zginął, lecz jego heretyckie teorematy przetrwały.

Nie mam zamiaru dłużej spokojnie siedzieć i słuchać, jak się kłócicie, niczym smarkacze z innych kast. Skoro taki jest wasz wybór, to odejdźcie stąd, albowiem nie jesteście już użyteczni dla Bractwa. Od tej chwili dozwolona będzie tylko jedna wizja, jedna teoria, jedna nuta wciąż na nowo rozbrzmiewająca w homeostazie.

Nith Isstal podniósł się ze swego siedziska jak na dany sygnał.

W konwokacji zawsze liczył się wielogłos. Może rozsądniej byłoby wysłuchać wszystkich opinii.

Jesteś młody, Nith Isstalu. – Nith Batoxxx wypisał to równanie dużymi symbolami na sklepieniu amfiteatru. – To twoja pierwsza konwokacja, nieprawdaż?

Istotnie. Lecz moja rodzina od dawna bierze udział w zgromadzeniach. Przez całe życie nasiąkałem tymi surowymi i uświęconymi regułami. – Popatrzyl po zebranych. – Czyż owe reguły nie są kolejnym dowodem na Prawo Homeostazy?

Oto wspaniała logika – wypisał Nith Nassam i natychmiast pojawiło się mrowie równań w podobnym duchu.

Co prawda jest młody, ale rozumuje poprawnie – napisał ktoś.

Ujawnili się i inni – ośmieleni odwagą, z jaką tak młody Gyrgon wypowiedział swoją opinię – w duchu myśleli tak samo.

Jest i inna teoria, którą należałoby wskrzesić. – Nith Recctor wstał i pisał jonicznym płomieniem z typową dla siebie elegancją. Nikt nie lekceważył jego wypowiedzi i teorii. Pozostałe płomieniste napisy zniknęły, czekano, jak rozwinie temat.

Nith Batoxxx spoglądał nań z obojętną miną. Nith Recctor był jednym z milczących i najstarszych Gyrgonów. Jednym z domniemanych sojuszników Nith Sahora. Jak dotąd nie udało się uzyskać dowodu jego zdrady. Zaczynała jednak przynosić efekty starannie przez Batoxxksa wyreżyserowana intryga, zamykała się pułapka, w której Nith Isstalu posłużył za przynętę. Toksyny należy powoli wydobyć na powierzchnię, a potem wypalić. Najzjadliwsza trucizna zaś kryje się najgłębiej.

Z naszych badań wiemy, że atmosfera Kundali miała niegdyś silny ładunek elektryczny. I rzeczywiście, zapisy grawitonowców z czasów, kiedy zbliżaliśmy się do Kundali, szczegółowo to dokumentują. Lecz kiedy się tu znaleźliśmy, naelektryzowanie zniknęło. Niegdyś przeszywały niebo błyskawice, teraz ich nie ma nawet podczas najgwałtowniejszych zaburzeń meteorologicznych.

Tak, tak – napisał Nith Batoxxx. – Bractwo dobrze zna teorię Nith Sahora, że to nasze pojawienie się w jakiś sposób rozproszyło ten ładunek elektryczny.

Nie rozproszyło – wypisał pouczająco Nith Recctor, co okrutnie zirytowało Batoxxksa. W jednej ze swoich najciekawszych teorii Nith Sahor postulował, że nasza obecność na Kundali spowodowała stabilizację naelektryzowania. Jak dobrze wicie, ładunki elektryczne podlegają ciągłym zmianom i nie znoszą stabilizacji. W znanym nam kosmosie nie ma gatunków samą swoją obecnością oddziałujących na naelektryzowanie atmosfery planety. Stąd wniosek Nith Sahora, że obecność V'ornnów na Kundali ma istotne, a raczej wręcz decydujące znaczenie. Ekstrapolował serię teorematów przewidujących dla nas odmienny bieg rzeczy, sugerujących, że pojawienie się na Kundali nieodwołalnie zmieniło naszą drogę. Że ukryte tu tajemnice mają moc odmienienia nas wszystkich.

Niebezpieczne, heretyckie teorematy, odrzucone podczas konwokacji – odpisał dość szorstko Nith Batoxxx.

O ile pamiętam, zgromadzenie niczego nie odrzuciło – pisał niestrudzenie Nith Recctor. – Teorematy Nith Sahora nadal czekają na obalenie lub potwierdzenie.

Nigdy nie dano mu szansy udowodnienia czegokolwiek. Miałem nieszczęście być świadkiem, jak przepędzono go z Bractwa, dając najohydniejszy pokaz zacierzewienia, nietolerancji i braku otwartości na nowe idee.

A któż stanął wówczas w jego obronie? – napisał Nith Batoxxx. – Ty, Nith Recctorze? Lub ty, Nith Hwelle? A może ty, Nith Immmonie?

Jego śmierć jest tragedią dla Bractwa, dla wszystkich V'ornnów – napisał Nith Recctor.

Łatwo oplakiwać zmarłego heretyka – odpalił Nith Nassam.

Nie zabiegam o ekspiację za moje karygodne zachowanie – napisał Nith Recctor. – Lecz mamy do czynienia z faktem. Od naszego pojawienia się tutaj przed stu dwoma laty nie zarejestrowano najmniejszej elektrycznej aktywności atmosfery i niczym nie udało się nam tej aktywności pobudzić. Przyjmuję to za...

Słuchajcie Nith Recctora wygrażającego nam palcem, przekonującego nas, że jest bystrzejszy niż my, że powinniśmy uwierzyć w niepotwierdzoną teorię, że powinniśmy... jak to mówił Nith Sahor... ufać? Tak, ufać! Że powinniśmy ufać, że ta herezja pewnego dnia okaże się prawdą.

Znamy jedynie twój osąd o tym, co jest herezją, Nith Batoxxksie.

Chciałbyś, żebyśmy odrzucili K'yonnno, podstawę naszego pojmowania kosmosu? Spójrzcie! Spójrzcie na to! Pisze, że jesteśmy na Kundali od stu dwóch lat. Czyich lat, pytam? V'ornnańskich? Nie. On używa kundalańskich pojęć. Ta przeklęta planeta skazała go tak samo jak Nith Sahora.

Sądzę, Nith Batoxxksie, że zgromadzenie dość już nasłuchało się twoich słów.

Wprost przeciwnie, stanowczo za mało! Nith Batoxxx poczuł, jak czarny blask ogniskuje swą energię i wysyła ją w jednym kierunku. Ciało Gyrgona wibrowało, a energia skupiała się w jego uniesionym ramieniu, w celującym w adwersarza palcu. Za to mamy dość potajemnych badań, tajnych eksperymentów. Mamy dość skazania naszego zbioru teorematów, naszych ideałów.

Powinniśmy stosować... – Równanie Nith Recctora rozbłyskiwało przez chwilę w powietrzu.

Pojawiło się niewiele innych wypowiedzi. Reszta zgromadzonych milczała.

Niewystarczające poparcie – napisał Nith Batoxxx. – Niniejszym sprawa zostaje zakończona.

Gdzieś z tyłu zrobiło się niewielkie zamieszanie, natychmiast uciszone złowrogim spojrzeniem Nith Nassama. I zapanowała cisza, już niczym nie zakłócona.

Nith Recctor w końcu pojął, że wpadł w zastawioną na niego pułapkę, i na jego twarzy odmalowało się przerażenie.

Z czubka palca Nitha Batoxxksa strzelił czarny płomień, smugi kondensacyjne energii jonicznej odchyliły się ku sklepieniu. Mroczna moc, która już dawno w niego wniknęła, uderzyła w Nith Recctora, okręciła go, uniosła i cisnęła o tylną ścianę wielkiej auli. Przez chwilę wisiał tak, dygocząc. Drugi czarny płomień dokończył dzieła.

Nith Batoxxx nie wiedział, czy całkowita cisza wyraża aprobatę czy strach. I nic go to nie obchodziło. Jedno i drugie było do przyjęcia. Jedno i drugie – pożądane.

Poziom wody stale się podnosił, gęsta mgielka kropelek coraz bardziej utrudniała oddychanie. Riane z desperacją cięła sztyletem i za każdym razem słyszała wrzask Tzelosa. Było to znaczące, bo poprzednio, kiedy zaatakował ich w opactwie, nie okazywał żadnych oznak bólu, chociaż odrąbała mu wtedy koniec odnóża. Podniesiona na duchu tym, że przywołała właściwy ustęp z *Księgi Zaparcia się Wiary*, machnęła jeszcze parę razy sztyletem i znów usłyszała wrzask stwora. Koniec odnóża trzymał się na ledwie włosku, omywała go woda przesycona emanacjami znajdujących się poniżej strumieni mocy. Tzelosem zatrzęsło.

–Riane!

Odwróciła głowę, słysząc krzyk Eleany, i zobaczyła sunący ku dziewczynie paskudny trójkątny łeb z groźnymi żuwaczkami. Pysk się otwierał i...

–Chlapij mu wodą do pyska! – zawołała Riane.

–Woda? Czemu?

–Rób, jak mówię!

Łeb demona był już tak blisko, że żuwaczka musnęła policzek dziewczyny, szarpiącej się i starającej się wyrwać. Zaczęło ją mdlić od cuchnącego oddechu Tzelosa. Eleana nabrała wody w dłoń i chlusnęła nią w otwarty pysk stwora.

Demon ryknął. Zaczął dygotać jak w febrze, bo zawarta w wodzie energia strumieni

mocy zżerała go niczym kwas. Riane pospieszonymi cięciami sztyletu uwolniła się z łap stwora. To właśnie wyczytała w ustępie księgi – że energia strumieni mocy spali ciało demona. Tzelos wyglądał, jakby się kurczył. Coś zżerało go od wewnątrz. Z wrzaskiem spróbował ostatni raz ku nim skoczyć, a potem przesycona energią strumieni woda uniosła jego zewłok.

Riane i Eleana zanurkowały. Wstrzymały oddech i ile sił walczyły z prądem, jak ryby płynące w górę strumienia. Po pierwszych stu metrach poniósł je główny nurt. Otaczała je całkowita ciemność, ziąb powoli wsączał się w mięśnie, sztywniały, szybko się męczyły. Był jeszcze jeden, ważniejszy problem: zaczerpnęły głęboko powietrza, ale na długo im go nie wystarczy. Riane posłużyła się Darem, wyczuła, jak biegną strumienie mocy, i płynęła zgodnie z nimi.

Zauważyła, że Eleana zwalnia, dryfuje z głównego nurtu. Podpłynęła ku niej, objęła ją w pasie i ruszyła naprzód. Eleanie zamykały się oczy. Riane czuła, że jeszcze chwila i woda dostanie się do jej nosa i gardła. Sama też czuła, że zaczyna jej brakować powietrza.

Nagle zakręciło się jej w głowie – i znalazła się w śnieżnej zawiei. Znów widziała ciemne, pionowe skały Djenn Marre. Wysoko w górze dostrzegła pieczarę. Wlot rozświetlał migotliwy blask ognia; w zawieruchę wyszła wysoka, smukła postać. Dziewczyna najpierw uznała, że to kolejny fragment wspomnień Riane, lecz potem się zorientowała, że widzi V'ornna, świadczył o tym wzrost i pozbawiona owłosienia głowa. V'ornn podszedł do krawędzi skalnej półki przed pieczarą i szeroko rozpostarł ramiona. W tumanach śniegu mignęła jej jego twarz i rozpoznała go.

To był Rekkk!

Gdzie się podziała jego zbroja?

To była wizja, nie miała co do tego wątpliwości. Lecz co widziała – teraźniejszość czy przyszłość?

Poruszał wargami, ale nie słyszała słów. Nagle pochylił się i spadł ze skalnej półki w śnieżną otchłań. Riane chciała krzyknąć, lecz nie mogła. Chciała go pochwycić, ale nie mogła się poruszyć.

Mogła tylko z przerażeniem patrzeć, jak Rekkk spada w śmierć...

Wizja zniknęła w mgnieniu oka. Riane stłumiła przerażenie, odzyskała kontakt ze strumieniami mocy – i wpadła wprost na granitowy występ. Prąd zniósł je w bok, a na wpół ogłuszona Riane usiłowała odzyskać przytomność. Miała wrażenie, że wpadły w wir i że widzi plamę światła. Tak się jej przynajmniej zdawało. A potem okazało się, że to prawda – w oddali widoczna była niewyraźna, drżąca plama światła. Riane zdołała ustalić kierunki – świetlna plama znajdowała się bezpośrednio nad granitowym

występem.

Zebrała resztki sił i wydostała się wraz z Eleaną z głównego nurtu. W pewnej chwili omal nie zemdląca, lecz ból w ramieniu, którym uderzyła o skałę, pomagał jej skupić się na tym, co musiała zrobić.

Wreszcie zdołała osiągnąć skalnego występu i wydobywała je obie ku światłu. Miała wrażenie, że mija cała wieczność. Potrząsała Eleaną, nie pozwalając jej stracić przytomności. Wytężała wszystkie siły, by wypływać szybciej. Były coraz wyżej, plama światła powiększała się, falowała, widać było coraz więcej szczegółów.

Punkciki i plamki rozbiegające się na zewnątrz okręgu, jakby wyżej była jakaś... Może płynie pod... Może im się nie uda... Może już toną, woda wypełnia im płuca, mroczna fala odbiera życie... Może...

Wydostała się na powierzchnię, zachłusnęła powietrzem, wyciągała Eleanę. Wykaszała trochę wody, odwróciła głowę i z przerażeniem ujrzała siną twarz Eleany. Dziewczyna miała zamknięte oczy, nie oddychała. Zrozpaczona Riane rozejrzała się dokoła. Wynurzyły się pośrodku wielkiej kamiennej cysterny, w jakimś podupadłym zakątku miasta. Zawołała, ale nikt nie odpowiedział. Były same. Eleaną była nieprzytomna, a ona sama wyczerpana.

Kiedy Kurgan zjechał rynną zsypu do podziemnej pralni w „Nimbusie”, Olenn Ryddlin stał po kolana w wodzie, wsparty pod boki. Gwiezdny admirał kierował ekipą Deirusów z medycyny sądowej, którzy zajmowali się zwłokami sześciu Khaggunów.

–Zwęglono ich – rzekł Kurgan, spoglądając na trupy. – Spalono na wiór.

W podziemiu niosło się echo, fachowy żargon rejestrowano w data-dekagonach, wymieniano się opiniami i domysłami; ekipa ciężko pracowała.

Kurgan wsłuchiwał się w odgłosy. W końcu spytał:

–Co tu się stało, gwiezdny admirał? Najpierw dostaję raport, że ich tu zamknąłeś w pułapce, a chwilę później dowiaduję się, że sześciu moich Khaggunów nie żyje i że Rhynnon Rekk Hacilar i ta jego kundalańska skcetta zniknęli.

–Wstępny raport Deirusów podaje, że przeciwko oddziałowi skierowano ogień broni jonicznej.

–Ogień broni jonicznej? – Kurgan podszedł do dziury w ścianie, przyjrzał się poczerńiałemu śladowi widocznemu nad linią wody. – Przypomina mi to bardziej wybuch bomby zapalającej.

–Bomba zapalająca lub materiał wybuchowy kundalańskiej roboty zostawiają ślady energetyczne – rzekł lakonicznie Olenn. – Deirusi zapewniają, że żadnych nie znaleźli.

Kurgan spojrzął na swojego gwiazdnego admirała.

–Wszystko to jest mocno kłopotliwe. Nie możemy pozwolić, by ten Rhynnon pozostawał na wolności, nie ponosząc kary. – Regent podszedł bliżej, zniżył głos: – Niech to N’Luuura, Rekk Hacilar był jednym z nas. Zwrócił się przeciwko nam. A teraz bezwstydnie się tym chełpi i nas prowokuje. Nie można tego tolerować.

–Znajdziemy go, regencie. Przysięgam.

Kurgan stanął tuż przy gwiazdnym admirałem.

–Znajdź Rhynnona i tę jego skcettę, i to natychmiast. Obaj dopiero zaczynamy tworzyć nasze polityczne zaplecze. I nie nagłaśniaj tego incydentu. Tylko tego nam potrzeba, żeby wiadomość o tym zabójstwie się rozeszła. Tę... masakrę mogliby uznać za oznakę naszej słabości; nie można do tego dopuścić.

–Rozumiem, regencie. – Olenn Ryddlin ruchem głowy wskazał kręcącym się przy zwłokach Deirusów. – Wziąłem do tego nasz najlepszy zespół.

–Nie, nie rozumiesz – syknął Kurgan. – Mam gdzieś twój oddział, mam gdzieś twój najlepszy zespół Deirusów. Osobiście zajmij się tym bajzłem, Olennie Ryddlinie. Nie będę długo znosić takiego upokorzenia. – Zacisnął dłoń w pięść. – A jeżeli to będzie się przeciągać, to zapewniam cię, że znajdę kozła ofiarnego. Pewnego V’ornna tak dobrze znanego, że wszyscy natychmiast rozpoznają jego głowę zatknętą na pice regenta.

Olenn Ryddlin pozostał całkowicie spokojny.

–Jestem gwiazdnym admirałem.

–Lepiej nie zapominaj, kto cię nim mianował.

Olenn Ryddlin popatrzył na regenta z doskonale obojętną miną.

–Ani na moment o tym nie zapominam, regencie.

Kurgan przez chwilę milczał, a potem nagle się uśmiechnął.

–Oczywiście masz rację, przyjacielu. Tyle że ta... komplikacja pojawiająca się zaraz potem, jak zostałem regentem, trochę mnie zirytowała. Rozumiesz.

–Doskonale rozumiem, regencie.

Młody Stogggul uśmiechnął się szerzej.

–No, no, no, Olnnie. Razem walczyliśmy, knuliśmy i zabijaliśmy. Dla ciebie zawsze jestem Kurganem.

Olnn Ryddlin dość sztywno skinął głową.

–Świetnie. Liczy się tylko czas i władza, Olnnie.

Olnn Ryddlin miał coś powiedzieć, kiedy włączył się okummon Kurgana.

–Wezwano mnie – powiedział regent. Odsunął się, żeby przyjąć tajemną wieść od Bractwa Gyrgonów. Chwilę później spojrzał na Olnna. – Gwiazdny admirał – polecił oschle – ty i twoja ekipa macie natychmiast opuścić to miejsce.

–Regencie?

–Wykonać!

Kiedy z pomieszczenia zniknęli nawet jego przyboczni Haaar-kyut, Kurgan powiedział cicho w okummon:

–Już jestem sam, Nith Batoxxsie.

–Chcę się bliżej przyrzeć ciałom. – Z okummonu rozległ się głos Gyrgona.

Kurgan podszedł do zwęglonych ciał.

–Wyciągnij przed siebie ramię – polecił Nith Batoxxx.

Kurgan usłuchał, poczuł delikatne mrowienie i z okummonu wypłynęła mgła. Chwilę później pojawił się hologram Gyrgona. Postać pochyliła się i przyglądała się zwłokom. Trwała tak nieruchomo, że chłopak zaczął podejrzewać, że są jakieś zakłócenia łączności. Postać nagle się odwróciła i z dziwnym wyrazem twarzy pomaszerowała ku dziurze w ścianie.

–Woda – rzekł hologram Nith Batoxxsa, jakby informując Bractwo. – Sporo wody. – Skinieniem przywołał Kurgana. – Chciałbym, regencie, żebyś włożył rękę w tę dziurę.

–Czego mam szukać?

Hologram zwrócił nań jarzące się oczy o rubinowych źrenicach.

–Po prostu to zrób. Ale już.

–Oczywiście, Nith Batoxxksie – Kurgan przeszedł przez hologram, dotarł do wyrwy w ścianie, nieco się pochylił i wsunął tam obie ręce aż po pachy, pomacał na oślep. Ku swemu zdumieniu wyczuł coś twardego i zimnego, unoszącego się na wodzie po drugiej stronie muru. Zaparł się i wyciągnął to.

–Aaaaaach! – Nith Batoxxx westchnął, co zabrzmiało niemal jak zawodzenie.

Kurgan nie miał pojęcia, na co patrzy, lecz Gyrgon najwyraźniej wiedział. To coś było czarne i zeschnięte jak zwęgleni Khaggguni, około pięć razy od nich większe, lecz leciutkie jak snopek glennanu. Zwinięte w embrionalnej pozycji. Głowa, o ile była to głowa, wydawała się zbyt duża jak na takie patykowate ciało.

–Jakże to się mogło wydarzyć? – spytał sam siebie Gyrgon.

Kurgan zauważył coś jeszcze. Ten stwór na pewno nie był dwunogiem. Wolał nie pytać Gyrgona, co to takiego, z całą pewnością nie był to ani V'ornn, ani Kundalanin. Cóż więc to mogło być?

Hologram Nith Batoxxksa mocno zacisnął pięści.

–Jest tylko jedna możliwość – szepnął, jakby nie było tam Kurgana. – Dar Sala-at!

Cysterna znajdowała się pośrodku zasypanego gruzem ośmiokątnego podwórca. Dokoła wznosiły się wysokie shanstonowe mury, gładkie i ponure; siedziały na nich granitowe gargulce, gniewnie patrzące na podwórzec, przykucnięte, z napiętymi mięśniami – gotowe w każdej chwili skoczyć na każdego, kto by się ośmielił wdrzeć na ich terytorium. Podwórzec okalał łukowaty, zadaszony pasaż. Nie było tam ani drzewa, ani nawet źdźbła rajgrasu.

Riane dojrzała to w ułamku sekundy, zanim zaczęła rytmicznie uciskać mostek Eleany. Z kącików ust nieprzytomnej dziewczyny zaczęła wypływać woda. Riane mrugała powiekami, strzepując krople wody, i starała się wyrzucić z pamięci przerażającą wizję śmierci Rekkka. Pomodliła się w Venca i pochyliła nad Eleaną; zacisnęła jej nos, szeroko otworzyła usta i zaczęła pompować w nią powietrze. Powtarzała tę czynność miarowo, niezmordowanie, na wpół odrętwiała z przerażenia i rozpacz.

To w tej cysternie, na której szerokiej, oślizłej ścianie leżała Eleana, wynurzyły się po okropnej podwodnej podróży.

Riane bacznie nasłuchiwała. Dziecko nadal żyło; wyczuwała jego aurę, siłę i coś jeszcze – skrawek przyszłości lub wymyślonej przyszłości, w której chłopczyk walczył z demonami z własnej dziedziny. Tętniła w nim mocno krew Stogggulów. Lecz było w nim coś odmiennego, coś, czego Riane nie mogła dokładnie określić – będzie zupełnie różny od Stogggulów, którzy żyli przed nim. Dzięki Osoru wyraźniej

dostrzegając drzemiący w chłopczyku potencjał zarówno ogromnego dobra, jak i wielkiego zła. Transformacja była znakiem, pod którym się urodzi, który będzie władał jego życiem. Wszystko to mignęło Riane w ułamku sekundy, potem zniknęło, bo Eleanę zaczęły wstrząsać konwulsje.

Riane otworzyła Trzecie Oko – jedynie cienka membrana dzieliła życie płodu od śmierci. Płód zrywał podtrzymujące jego życie zespolenia z matką. Trauma, której doświadczyła Eleana, tak zakłóciła pracę jej organizmu, że groziło jej poronienie. Riane natychmiast zrozumiała, że jeżeli nic nie zrobi, płód zostanie usunięty i wszelki ślad po Kurganie Stogggulu zniknie z ciała Eleany i z jej własnego życia. Na chwilę zapłonął v'ornnański gniew Annona, gniew na to, co Kurgan zrobił Eleanie, przyćmił rozsądek.

Potem Riane się otrząsnęła. Poczowała, jak budzi się w niej osobowość Riane, i rzuciła Ziemi Spichlerz, najpotężniejsze zaklęcie uzdrawiające ze swojego ograniczonego repertuaru. Nie знаła wszystkich jego właściwości, nie wiedziała, czy to zaklęcie odpowiednie dla Eleany – ale i tak było lepsze niż nic. Nakazała, by zaklęcie spowiło Eleanę, i poczuła, jak to się dzieje.

Konwulsje natychmiast ustały, płód się uspokoił, wróciły jego funkcje życiowe.

Jednak Eleana nadal była nieprzytomna. Riane zaczerpnęła tchu i z wściekłością szepnęła jej do ucha:

–No, ocknij się! Ocknij!

Bez rezultatu. Eleana oddychała płytko i szybko, tętno miała nieregularne.

Riane precyzyjniej zogniskowała zaklęcie, ciaśniej spowiła nim Eleanę. Zapomniała o własnym wyczerpaniu i strachu, skoncentrowała się wyłącznie na dziewczynie.

–Nie pozwolę ci się poddać, Eleano. Za bardzo cię kocham, żeby pozwolić ci umrzeć. Pójdź za tobą do bram N'Luuury, jeśli...

Eleana głęboko wciągnęła powietrze. Zakaszła. Riane obróciła jej głowę na bok i dziewczyna wypluła resztę wody. Jej pierś unosiła się i opadała w równym oddechu.

–Tak! Znakomicie.

Riane wsłuchiwała się w zgodne bicie obu serc, kundalańskiego i v'ornnańskiego, spokojne teraz i silne. Wstała i przeszukała opuszczony podwórzec, grzebiąc w stertach gruzu i starych pojemnikach na śmieci, dopóki nie znalazła kawałka żaglowego płótna. Było sztywne i poplamione, ale będzie odpowiednie. Wróciła do cysterny, owinęła Eleanę w płótno i zaniosiła ją pod łukowate przejście, gdzie było sucho. Położyła ją, uklękła przy niej. Czowała, jak Ziemi Spichlerz działa, jak wycisza

Eleanę, powoli przywraca oddechowi normalny rytm. Odgarnęła dziewczynie włosy z oczu, otarła jej mokrą twarz.

I znów się przydało jej przystosowanie do dużych wysokości. Szesnastoletnia Kundalanka, w którą przeniesiono ducha Annona, cierpiała na amnezję. Nie pamiętała ani rodziców, ani osady, w której się urodziła. Lecz umiejętność górskiej wspinaczki, przyzwyczajenie do bardzo dużych wysokości i pojawiające się niekiedy okrucy wspomnień górskich krajobrazów świadczyły, że musiała przyjść na świat gdzieś wysoko w Djenn Marre.

Riane patrzyła, jak Eleana oddycha. Kolejny raz doświadczyła poczucia dysonansu, wywołanego tkwieniem w kundalańskim i na dodatek kobiecym ciele. Dziwne, że chociaż czuła biologiczne potrzeby Riane, to miłość Annona do Eleany się nie zmieniła i ani odrobinę nie zmalała. Nie wiedziała, jak sobie z tym poradzić. Zachwycała się głęboką i nieprzemijającą potęgą miłości, przekraczającej granice między rodzajami i gatunkami, silniejszej niż śmierć. Nawet technomancja Gyrgonów temu nie dorównywała.

Eleana była taka piękna. Riane nie mogła się opanować. Czuła, jak bierze nad nią górę potężna moc, pochyliła się i przycisnęła wargi do leciutko rozchylonych ust Eleany. Czuła jej ciepło, smakowała jej wonny oddech i na chwilę wtuliła głowę w zagłębienie szyi. Skóra i włosy Eleany pachniały delikatnie, upajająco.

Długo tak razem leżały; dla Riane była to doskonała harmonia. Zdawało się jej, że słyszy, jak wokół nich śpiewa wszechświat. W końcu usiadła. Ogrzewała w swoich rękach dłonie Eleany.

Deszcz skapywał smętnie z dachówek spadzistego dachu pasażu. Ptaki trzepotały pod okapem, przyglądały się im z powagą. Riane wstała i przeszła kawałek. Zastanawiała się, gdzie są. Najprawdopodobniej nadal w północnej dzielnicy Axis Tyr, ale w tej części, której Annon w ogóle nie znał.

Co to za budowla? Wielka i złowroga. Gargulce na szczycie zwieńczonych blankami murów były tak wspaniale wyrzeźbione, że mogły być dziełem jedynie kundalańskich rąk; lecz te stwory na pewno nie wyglądały na kundalańskie. Miały niezmiernie dziwne oblicza – jakby na kundalańską czaszkę nałożono zwierzęce rysy.

–Intrygujące, no nie?

Riane drgnęła. Z drzwi ukrytych za stertą gratów wynurzył się bardzo niski i krępy osobnik. Był wyjątkowo kudłaty, nawet jak na Kundalanina.

–Wołałam – powiedziała Riane. – Czemu się nie odezwałeś? Potrzebowałyśmy pomocy.

Kundalanin zezował na nią, co go upodobiało do gargulców. Miał wydatne czoło, jak dziób sarakkońskiego statku, krzaczaste brwi, mały, pożyłkowany bulwiasty nos i wargi czerwone jak zimowy zachód słońca. Na czubku głowy włosy sterczały mu we wszystkie strony, jak pod działaniem wzbudzonych jonów. Zielone jak mech szaty zdawały się na niego za duże, stale podciągał rękawy, skrywające nawet jego sękatę palce.

–Teraz też potrzebujecie pomocy?

–Nie, poradziłam sobie.

–No to w czym problem? – Kundalanin wyraźnie kulał. Jedną nogę miał krótszą i łukowato wygiętą. – Co tu robicie? – zapytał podejrzliwie. – Muzeum jest zamknięte.

–Muzeum? To jest muzeum?

Kundalanin o pałakowatych nogach potaknął.

–Od lat zamknięte.

–To co tutaj robisz?

–No jak to! Jestem kustoszem – rzekł. – A w ogóle to nie twój interes.

–Mam na imię Riane. A to jest Eleana.

–Omałościę się nie utopiły w mojej cysternie, no no. – Zezował na nie poprzez zasłonę z deszczu. – Skądęście się tu wzięły?

Riane zagryzła wargi, nie wiedziała, czy powiedzieć kustoszowi prawdę.

–Musiałyśmy uciekać. Khaggguni nas ścigali.

–Ahhha! – Uśmiech rozjaśnił twarz kustosza i w jednej chwili zupełnie go odmienił. Człowieczek wyciągnął przypominającą łapę dłoń. – Zwę się Minnum, doglądam przeszłości, jaka by ona była. – Riane przekonała się, że również grzbiet dłoni miał owłosiony. – W tych czasach to żaden interes, jak same widzicie. – Znów spojrzał zezem. – Nie żeby kiedyś było lepiej.

–V'ornnowie to zamknęli?

–V'ornnowie! – Zaśmiał się głośno. – Niech mnie bogini, to przez V'ornnowów muzeum nadal istnieje. No cóż, dwaj z nich się tym interesują, otóż to.

–Kto? – zapytała z ciekawością Riane.

–Nnno, nie powinienem tego mówić, naprawdę. Utrzymują to w tajemnicy, tak mi mówili. – Minnumowi zrzęda mina. – Choć jeden z nich już umarł. Prawdziwa tragedia. – Ciężko westchnął. – Niech mnie bogini, tego drugiego nie widziałem ponad miesiąc. Dziw nad dziwy, bo zazwyczaj widywałem go prawie co dzień. – Łypnął wrogo na Riane. – Jakżeście się dostały do mojej cysterny?

–Uciekałyśmy przed oddziałem Khaggunów.

Minnum przyjrzał się jej uważnie.

–Założę się, że nie jesteście przyjaciółkami nowego regenta.

–Robi co w jego mocy, żeby nas złapać.

Minnum kiwnął głową.

–Gardzę nim, tym Stogggulem. Uzurpator, oto kim jest, zupełnie jak ten jego nikczemny ojczulek. Bo to jego ojciec, no wiesz, kazał zabić Eleusisa Asherę. Taaak, ojciec. – Zamilkł na chwilę, sprawdzając, jakie wrażenie wywarło na Riane to imię i nazwisko. – Słyszałaś o Eleusisie, no nie? To był prawdziwy regent, dawno temu.

Riane tylko skinęła głową, bo nie była w stanie nic powiedzieć.

–No cóż, Eleusis Ashera był jednym z V'ornnów, co to utrzymują to miejsce przy życiu i chronią od okolicznych łobuzów i śmieciarzy. Uwielbiał sobie chodzić wśród eksponatów. Był bardzo porządnym osobnikiem, jak na V'ornna, no i słuchał każdego słowa moich objaśnień. Moim zdaniem miał wyraźną słabość do kundalańskiej historii.

Eleusis nigdy nie opowiadał Annonowi o tym miejscu.

–Jak mógł tak często się wymigiwać od swoich obowiązków?

Minnum uśmiechnął się od ucha do ucha.

–Sam go o to pytałem. – Jedną ręką dotknął nosa, drugą szukał czegoś w szatach. – A wiesz, dał mi podarek. Pamiątkę, by tak rzec. Kiedy go zabili, to byłem podwójnie zadowolony, że to mam. – Wyciągnął wreszcie kawałek stopu wielkości i kształtu łyżki. – To ledwie drobnostka. Ale zawsze.

Obrócił łezkę na dłoni i Riane wstrzymała oddech, bo oto stał przed nią ojciec Annona, Eleusis Ashera – wysoki i smukły, ubrany w strój, który Annon najlepiej pamiętał, dopasowane białe spodnie, złocistą bluzę z metalizowanej dzianiny, śnieżobiałą, lamowaną i szamerowaną złotem, sięgającą pasa kurtkę. W jego oczach Riane, jak niegdyś, ujrzała odbicie twarzy Annona. Zadrżała lekko. Całym sercem

pragnęła znów go zobaczyć, szlachetnego i dumnego, przywódcę konsorcjum Asherów.

–Przysięgłabyś, że to on, no nie? – odezwał się Minnum. Łezka zawirowała szybciej i Eleusis zaczął iść. – Jakby żył i oddychał. To holopodobizna, gyrgońska technomagia. Ciekawe, skąd Eleusis to miał; robił z tego użytek w pałacu, kiedy tu przychodził. – Kustosz przechylił głowę i przyjrzał się hologramowi. – Ale hologram, choć taki dobry, to nie bez wady. Jest pewien szkopuł, no wiesz. Jak we wszystkich tych v’ornnańskich wynalazkach. Nie powiem jaki. Sama zgadnij.

Riane patrzyła uważnie, obchodząc podobiznę dokoła.

–Może jeszcze go przespaceruję.

Hologram Eleusisa Ashery zaczął iść i Riane pojęła.

–Jego stopy nie dotykają ziemi.

–Taak. W tym rzecz. – Minnum wydawał się zadowolony. – Pytałem go o to i powiedział, że to ma coś wspólnego z tym, że kundalańska atmosfera zakłóca wyładowania jonów. Gyrgoni, ma się rozumieć, przy tym majstrowali, ale nic na to nie mogli poradzić.

Minnum wyłączył hologram, schował do kieszeni łązkę.

–Tak czy owak, Eleusis Ashera nie był jedynym V’ornnem, co się żywo Kundalą interesował, o nie. Przychodził tu też Gyrgon, Nith Sahor. Ale taka dziewczuszka jak ty pewnie nie...

–Znałam Nith Sahora – powiedziała Riane. – Zginął miesiąc temu. To dlatego...

–Nith Sahor nie żyje? – Minnum zmarszczył brwi. – To najohydniejsze kłamstwo, jakie w życiu słyszałem. Wiedziałbym, gdyby Gyrgon nie żył, mam Dar i powiadam ci, że on żyje.

–Masz Dar? – spytała z ożywieniem Riane. – Jesteś czarownikiem?

–Powinnaś wiedzieć, że nie ma już takich mężczyzn. Chyba że zaliczysz tu v’ornnańskich technomagów, czego ja na pewno nie robię. – Spojrzał groźnie na dziewczynę. – A jakby byli, to by się nazywali sefirorami.

–Sefirum to słowo z Venca – powiedziała od razu Riane. – Oznacza „mystyczną wspólnotę”.

Minnum podrapał się w zarośnięty policzek.

–Skąd taka dziewczuszka jak ty mogłaby o tym wiedzieć?

–Nie mogłaby – odparła.

Minum długo i bacznie się jej przypatrywał, a potem zachichotał cicho.

–Dajmy sobie spokój z bajeczkami o sefirorach i wielce uzdolnionych dziewczętach, co? Rzecz w tym, że muszę się przygotować do następnej wizyty Nith Sahora.

–Przecież ci powiedziałam, że Nith Sahor nie żyje.

Minum się nachmurzył.

–Czemu to w kółko powtarzasz?

–Moi przyjaciele byli świadkami jego śmierci. Pogrzebali ciało.

–I to twoim zdaniem jest dowód? – zakpił Minnum. – Czymże jest ciało dla Gyrgona, co? Ciała nic dla nich nie znaczą. A wiesz, że nigdy dwa razy nie widziałem Nith Sahora w tej samej postaci? Jak myślisz, z ilu ciał korzystał, kiedy tu przychodził? – Kustosz uniósł rękę i zaczął liczyć na krótkich, brudnych palcach. – Niech no się zastanowię...

–Kiedy się przy nas zjawiał, już był ciężko ranny.

Na Minnumie nie zrobiło to wrażenia.

–Wszystko jedno! I tak nie umarł. Wiedziałbym.

–Skąd?

–A skąd wiesz, że teraz jest dzień?

–Głupie pytanie – zaperzyła się Riane.

–Twoje też – odciął się Minnum. Wskazał na gargulce.

–Powiedz, jakie zrobiły na tobie wrażenie, co?

Riane znów się im przyjrzała.

–Są... przyprawiają o gęsią skórę.

–Otóż to – potwierdził Minnum.

–A co mają przedstawiać?

–Koszmary senne? Przypomnienie o złu, które się czai w każdym z nas?

–Nie wierzę w to.

–Bo jesteś za młoda, żeby w to wierzyć. Ale tak już jest, że tkwi w nas i dobro, i zło. I od nas zależy, czego posłuchamy. – Minnum splunął. – Ale jedno ci powiem: tych gargulców nie wyrzeźbiono w żadnym kamieniu z Kundali.

–Wygląda to na granit.

–Tyle że jest dwa razy twardszy i trzy razy cięższy. Są w nim żyłki nieznanego metalu i gniazda kryształu powstałego w bardzo wysokiej temperaturze. – Minnum znów spojrzał zezem. – Meteoryty, bym powiedział. Jedna bogini wie, jakich narzędzi używali rzeźbiarze.

–Są przerażające.

–Zabawne, Nith Sahor najbardziej w nich gustował. – Zaśmiał się kustosz. – Dawno temu, przed V'ornnami, przerażały każdego, kto się tu zapędził.

–Nie rozumiem – odezwała się Riane. – Przecież to muzeum, prawda?

–Muzeum Nieprawdziwych Wspomnień – odparł Minnum. – Ale z latami doszedłem do wniosku, że lepiej, żeby większość ludzi nie oglądała wszystkiego, co tu jest.

–Co to znaczy? – zapytała Riane i w tej samej chwili usłyszała, że woła ją Eleana. Odwróciła się, zobaczyła, że dziewczyna usiadła, a kiedy znów spojrzała w stronę kustosza, okazało się, że Minnum zniknął.

–Tu jestem! Już idę!

Pospiesznie wróciła do Eleany. Mogłaby przysiąc, że słyszała docierający do niej przez szum deszczu głos Minnuma: Będziesz tu wracać czasem, prawda?

–Gdzie jesteśmy? – zapytała Eleana; twarz miała bladą i stężałą. – Umarłyśmy?

–Nie, Eleano. Nadal żyjemy.

–Tu jest tak okropnie. Zdawało mi się... Może to był sen... – Przełknęła ślinę. – Byłam pewna, że się utopiłam.

–Bo niemal utonęłaś. Jak się czujesz?

–Wyczerpana i zmarznięta, ale bezpieczna. – Eleana westchnęła. – Uratowałaś życie mojemu dziecku. – Położyła dłonie na brzuchu. – Czuję go, och! – Roześmiała się, buzia się jej zaróżowiła. Ujęła dłoń Riane i położyła na swoim brzuchu. – Czujesz go?

Riane o mało nie zemdląła z pożądania.

–Płyń, kopie nóżkami najmocniej jak umie. Musiał wiedzieć, że i ja płynęłam. Usiłuj mi pomóc. – Splotła swoje palce z palcami Riane, ucałowała grzbiet jej dłoni. – Dzięki, Darze Sala-at.

Nawet szarobure światło deszczowego dnia nie przyćmiło urody Eleany. W pamięci Riane trwało, nie blaknąc, wspomnienie chwili, kiedy Annon pierwszy raz ją zobaczył, kiedy podglądali ją z Kurganem z gęstej kępy sysalowców, kąpiącą się w strumieniu w pobliżu Axis Tyr. Wspomnienie gęstych ciemnych włosów spływających po kształtnych plecach nadal ją wzburzało. Pospiesznie odwróciła wzrok, głęboko zawstydzona skradzionym Eleanie pocałunkiem.

–Dopóki moje dziecko jest bezpieczne, dopóki moje dziecko jest bezpieczne – szeptała jak modlitwę Eleana.

Deszcz lał jak z cebra. Bębnił po dachu, spływał z okapu, rozmazywał widok podwórca, tworzył kręte strumyczki na ubitej ziemi. Zerwał się wiatr i zawodził jękliwie.

Dał o sobie znać szok wywołany otarciem się o śmierć. Riane tak dygotała, że aż szczykała zębami. Silny powiew wiatru znów ją przemoczył deszczem.

–Chodź tutaj – odezwała się Eleana. – Nie wiesz, że się trzeba schować przed deszczem?

Odchyliła brudne żaglowe płótno i przyciągnęła Riane do siebie, potem opatulila je obie.

–Przemarzaś – mruknęła. – Obejmij mnie, to szybciej się rozgrzejesz. – Przytuliły się mocno, Eleana oparła głowę o ramię Riane. – Coś dziwnego się wydarzyło, gdy dochodziłam do siebie. Zdawało mi się, że słyszę głos Annona. Jakby stał tuż przy mnie. Czy to nie dziwne? Może nie. To znaczy wiem, że on nie żyje, ale część mnie... – Eleana zamilkła na chwilę, zbierała się w sobie. – Może to kwestia wiary i zaufania. Ufam Annonowi. Wiele razy dowiodł, że ma dobre i szlachetne serce, a uczono nas, że jeżeli komuś zawierzysz, oddajesz mu część własnej energii, boskiej iskry. Tak właśnie było z Annonem. Nie myśl, Darze Sala-at, że jestem głupia, ale czasem jestem absolutnie pewna, że on nie umarł, że dostał się na jakiś daleki brzeg i tkwi tam samutki i że pewnego dnia do mnie wróci.

Riane dygotała.

–Wcale cię nie uważam za głuptasa, Eleano – wykrztusiła przez zaciśnięte gardło. Z trudem oddychała.

–Och, wciąż gorrrąco go kocham!

Riane aż paliły wargi. Słowa wyznania były tuż-tuż. Ale zmilczała, odsunęła się od Eleany. Z ogromnym wysiłkiem stłumiła emocje, przybrała obojętną minę.

–Co się stało? – zaniepokoiła się Eleana. – Obraziłam cię czymś, Darze Sala-at?

–Nie, jasne, że nie. Ja...

Nagle coś zatrzepotało na szczycie muru i Eleana się wystraszyła, bo początkowo wyglądało to tak, jakby ożyła jedna z najpaskudniejszych rzeźb. Potem obie z Riane zobaczyły trzepoczące skrzydła o wspaniałym ubarwieniu.

–Patrz! – zawołała Eleana. – Teyj!

Rzeczywiście, nadlatywał jeden z czteroskrzydłych kolorowych ptaków, hodowanych przez Gyrgonów. Wydawało się nieprawdopodobne, że teyj zauważy je pod dachem, że w ogóle będzie chciał mieć z nimi do czynienia, a jednak wleciał pod okap.

Riane zauważyła teraz, że trzyma coś w dziobie. Podleciał ku nim, upuścił malutką paczuszkę, zaszcebiotał i wzbił się nad szczyt muru.

Paczuszka odbiła się od ziemi i poturlała do stóp Riane. Dziewczyna przez chwilę patrzyła na nią w osłupieniu, potem ją podniosła. Paczuszka była leciuteńka. Riane odwróciła ją na drugi bok – powierzchnia była jednolicie, matowo czarna, spięta cieniutkim jak włos srebrnym drucikiem.

–Jak myślisz, co to? – spytała czujnie Eleana.

–Nie mam pojęcia – odparła Riane. – Ale chciałabym wiedzieć, co ten teyj...

–To gyrgoni wynalazek – ostrzegła ją Eleana. – Pamiętaj, że Nith Sahor miał wielu wrogów. Może nas znaleźli. Riane potrząsnęła głową.

–Gdyby wiedzieli, że tu jesteśmy, już byłybyśmy uwięzione w Świątyni Mnemoniki. – Skubnęła srebrny włos. – Otworzę to.

–Nie wydaje mi się, Darze Sala-at, żeby...

Za późno. Riane szarpnęła włos. Nie usłyszały nic, jedynie poczuły lekkie drgnienie powietrza, kiedy paczuszka gwałtownie się rozwijała i natychmiast zwiększyła rozmiary.

–O bogini! – westchnęła Eleana.

Bo cóż innego można było powiedzieć? Przed nimi leżała obszerna opończa Nith Sahora.

8. Popioły

Courion pokazał kiedyś Kurganowi muszlę. Z wierzchu nic nadzwyczajnego – twarda, chropowata, spiralnie zwinięta, szarawa. Ale kiedy się ją odwróciło, ukazywało się doskonale wnętrze, różowe jak wiosenny wschód słońca, jedwabiste i opalizujące, rozszczepiało światło w maleńkie tęcze.

I coś takiego właśnie powitało Kurgana, kiedy przeszedł przez portal Świątyni Mnemoniki. Chwilę wcześniej był w wielokątnym przedsionku, strzeżonym przez Khaggunów w charakterystycznych czarnych chromowych uniformach oddziałów służących Gyrgonom. Na zewnątrz padał deszcz, uderzał w kryształowe szyby, w wysokich, wąskich oknach. Teraz Kurgan znalazł się gdzie indziej, wewnątrz muszli – tak to przynajmniej wyglądało, a na pewno w dziedzinie Gyrgonów. Bo to właśnie oznaczało Wezwanie.

Okummmmon powiadał go, kiedy Gyrgoni życzyli sobie go widzieć. Dotyczyło to każdego regenta na każdej planecie. Różnica polegała na tym, że Nith Batosxx wymienił okummmmon Kurgana, wszczepiając mu specjalny, własnego pomysłu.

Kurgan szedł korytarzem – czy też cokolwiek to było, ta przestrzeń bez określonego kształtu i konkretnego źródła światła – i wspominał rozmowę z Annonem Asherą, niegdyś swym najlepszym przyjacielem, którego wydał gwiazdnemu admirałowi Kinnnusowi Morsze, a ten wrócił do Axis Tyr z głową Annona i oddał ją ojcu Kurgana, ówczesnemu regentowi.

Chłopcy polowali na nagonogi. Annon powiedział, że nie cierpi okummmmonu, bo to go wiąże z inną kastą. Kurgan twierdził, że Annon powinien być dumny z implantu, symbolu wyższej kasty, bo alternatywa – harowanie w anonimowości niższej kasty – była nie do przyjęcia. Ale potem – kiedy się dowiedział, że Nith Batosxx był Starym V'ornnem, mentorem, któremu ufał i który go potajemnie szkolił; kiedy Nith Batosxx zmusił go do złożenia przysięgi wierności; kiedy i jemu wszczepiono ów specjalny okummmmon – uświadomił sobie, że Annon miał rację. Neuralna sieć Gyrgona robiła z niego niewolnika.

Co noc budził się tuż przed świtem, kiedy było jeszcze zupełnie ciemno, bo wewnętrzna strona lewego przedramienia piekła od swędzenia, którego niczym nie mógł ukoić. Wiele razy siadał na brzegu łóżka, brał sztylet o trójkątnym ostrzu, który dostał od Starego V'ornna, i miał szczery zamiar wyciąć sobie to paskudztwo. Nigdy jednak tego nie zrobił, chociaż czubek ostrza nie raz nacinał już skórę. To ostrożność, a nie tchórzostwo, powstrzymywała jego dłoń. Nie chciał dawać Nith

Batoxxsowi żadnych powodów do podejrzeń, bo w głębi serc pragnął zniszczyć nie tylko tego konkretnego Gyrgona, który zawiódł jego zaufanie, ale i znaleźć sposób, by zyskać kontrolę nad całym Bractwem i rządzić nimi tak, jak oni rządzili wszystkimi V'ornnami.

Zdawał sobie jednak sprawę, że musi skrywać takie myśli jak najgłębiej, bo Wezwanie to poważna sprawa. To czas próby i pytań, na które na pewno trudno będzie odpowiedzieć. Bo Gyrgoni naprawdę budzili grozę. Jakimś sposobem – Kurgan oddałby lewe ramię, żeby poznać ten sekret – potrafili czytać w umyśle regenta i wydobyć to, czego się najbardziej obawiał. Potem zaś stawiali go w obliczu tego zagrożenia – może po to, żeby się przekonać, jak zareaguje, i na podstawie tego osądzić, z jakiego materiału jest zrobiony, jak łatwo będzie nim manipulować, do czego można go zmusić.

Kurgan przemierzał pozbawioną jakichkolwiek cech przestrzeń i uśmiechał się do siebie. Nith Batoxxsa czekała niespodzianka, bo chłopak, o ile wiedział, niczego tak naprawdę się nie bał, nawet Gyrgonów.

Usłyszał jakiś dźwięk, cichutki szum, jakby wiatr śpiewał w koronach sysalowców; nie, to było coś innego, bardziej rytmicznego, jak fale rozbijające się o burtę okrętu. Gdy tylko to pomyślał, znalazł się na kołyszącym się pokładzie. Rozejrzał się. Był na morzu, ani skrawka lądu jak okiem sięgnąć. Niebo było ciemnobłękitne, a lejący się zeń słoneczny blask przemieniał grzbiety fal w błyszczące bułaty. W górze trzeszczały drewniane maszty, reje i borny, cicho skrzypiało otaklowanie, łopotały wydęte żagle.

–Dzień dobry.

Odwrócił się i ujrzał sarakkońskiego kapitana, Couriona, który się doń uśmiechał, pewnie stojąc w szagrynowych butach na rozkołysanym pokładzie. Poznał Couriona na kalllistotos. Po tym, jak Courion zmusił Kurgana do walki, zawarli, by tak rzec, pełną nieufności przyjaźń.

–Gdzie załoga? – zapytał Kurgan.

–Załogi nie ma. Tylko my dwaj – odparł Courion. – Miło cię widzieć, przyjacielu. Chcieliśmy cię zapytać, czemu nas nie zaprosiłeś na rescendencję. Czyżbyś się wstydził przyjaźni z Sarakkonem?

Kurgan przez chwilę to przeżuwał. Potem rzekł:

–No dobrze, Nith Batoxxsie, przyznaję, że symulacja robi wrażenie, ale nie oczekuj, że podejmę twoją grę. Ja po prostu nie...

Natychmiast potężny poryw wiatru uderzył w żagle, okręt się przechylił, a Kurgan,

zupełnie tym zaskoczony, szarpnął się w tył, stracił równowagę i wypadł za reling. Poszedł cztery metry pod wodę. Stało się to tak szybko, że nie zdążył zareagować. Zimna morska kipiela uderzyła w niego jak tysiąc pięści. Drażniąca słona woda wdarła mu się do nosa i ust, zaczął się dławić. Kurgan powtarzał sobie, że to jedynie iluzja, że nic nie jest realne, nawet poczucie, że się topi, lecz jego płuco nie dawało się o tym przekonać. Tonął, nie było co do tego wątpliwości. Może to i symulacja, lecz jeżeli umrze przez to naprawdę?

Silnymi uderzeniami nóg parł ku odległej powierzchni. Patrzył ku zniekształconemu dyskowi słońca; coś plusnęło. Coś ku niemu opuszczano. Lina!

Energiczniej pracował nogami i wkrótce już mógł uchwycić jej koniec. Szarpnął kilka razy, mocno, i linę wyciągnięto, a Kurgana razem z nią.

–Jak ryba w sieci – powiedział Courion, kiedy kaszlący i krztuszący się Kurgan wynurzył się na powierzchnię. – Trzymaj się mocno.

Sarakkon kręcił dźwignią wciągarki, a chłopak, łapczywie chwytając powietrze, wjeżdżał po burcie statku. Kiedy dotarł na wysokość relingu, Courion złapał go w pasie i wciągnął na pokład. Kurgan siedział, obejmując ramionami podciągnięte kolana i wydmuchiwał z nosa resztki morskiej wody. Otarł twarz wierzchem obu dłoni.

–Masz dość? – spytał Courion, kucając przy nim.

–Powiedz mi jedno. – Chłopak spojrzał w jego jasne oczy. – Naprawdę bym się utopił?

–Pewnie. – Courion wzruszył ramionami. Dotknął wplecionych w brodę jadeitowych i lazurytowych ozdób. – Wszyscy się w końcu topimy, nieprawdaż?

–Z wyjątkiem ciebie, Gyrgonie.

Courion się nachmurzył.

–Najwyraźniej z kimś nas mylisz, przyjacielu.

–Daj już sobie z tym spokój – rzekł szorstko Kurgan. Wiedział, że była to tylko zadziwiająco realistyczna iluzja autorstwa Gyrgona, lecz mimo wszystko było to tak prawdziwe... Po chwili dodał, walcząc z tym poczuciem: – Podobno masz mi pokazać moje łeki, Nith Batoxksie. Nie boję się utonięcia, więc dowiodłem, że się pomyliłeś. Wygrałem z tobą w twojej własnej grze.

Courion zafalował i zniknął. Jego miejsce zajął Nith Batoxxx.

–Prawdą jest, że to efekt manipulowania wzbudzonymi jonami, jednak to nie mój świat, lecz twój. Wydobyty z wnętrza twojego umysłu.

–Co? Kolejne gyrgonie kłamstwo? Nie wierzę, że potrafisz czytać w moich myślach.

–Nie w twoich myślach, jeśli o to chodzi. Okummmmon to wymyślone przez nas łącze. Za jego pośrednictwem wzywamy cię wedle naszej woli. Umożliwia nam to specyficzne łącze komunikacyjne. Wszyscy regenci są wzywani i podczas Wezwania ukazują się im ich najtajniejsze lęki. Nawet tym – uśmiechnął się lodowato – którzy sądzą, że niczego się nie boją.

–I to nazywasz moim lękiem? Przecież ci powiedziałem: Nie obawiam się utonięcia.

–Twój lęk jest zupełnie inny – oznajmił Nith Batoxxx. – Dziwi mnie, że jeszcze tego nie odkryłeś.

–Nudzą mnie te twoje gyrgonie łamigłówki.

–Twój umysł to wielce osobliwa domena, regencie. Nigdy wcześniej się z czymś podobnym nie zetknąłem. – Nith Batoxxx wyciągnął obleczone w rękawicę dłoń i Kurganowi zamglił się wzrok. Kiedy znów zaczął widzieć wyraźnie, znajdował się w skromnej, pozbawionej okien, skąpo umeblowanej komnacie w Świątyni Mnemoniki. – Jesteś ambitny, o tak, i to bardzo. Po części dlatego jesteś tak użyteczny. – Uśmiechnął się Gyrgon, co stanowiło niemiły i groźny widok. – To dlatego poparłem cię w twoich staraniach o urząd regenta i dlatego rozprawiłem się ze wszystkimi Gyrgonami, którzy byli temu przeciwni.

–Co masz na myśli? – Serca Kurgana zmyliły rytm. – Zabiłeś innych Gyrgonów?

–Jestem potężniejszy, niż sobie wyobrażasz. – Głos Gyrгона znów miał to osobliwe, jakby bezcielesne brzmienie, które przyprawiało Kurgana o dreszcz.

Chłopak milczał. Nie przychodziła mu na myśl żadna replika. Zastanawiał się, czy Nith Batoxxx powiedział prawdę, czy może oszalał. Coraz wyraźniej dostrzegał, że Nith Batoxxx zachowuje się tak, jakby miał dwie odmienne osobowości.

Nith Batoxxx zgrzytnął zębami.

–Zrozum jedno, regencie: od mojego poparcia zależy, czy pozostaniesz na stanowisku. Moje poparcie zaś w dużym stopniu zależy od tego, czy pojmujesz, kto komu zadaje pytania. – Uśmiech Gyrгона był zimny, wyrachowany. – Dla Stogggula to musi być niełatwe i niekiedy się zastanawiam, czy w ogóle możliwe. Lecz postawiłem na ciebie więcej, niż przypuszczasz, Kurganie Stogggulu, więc musisz się tego nauczyć. Możesz mi wierzyć, że już ja o to zadbam. – Uniósł palec. – Gyrgoni nie mają zwyczaju dawania rad, lecz opanowała mnie pewna choroba. Jej objawem

jest osobiwa sympatia do ciebie. Toteż dobrze zważ, co teraz powiem. Ambicja jest podstępna i niebezpieczna. Jeżeli weźmie nad tobą górę – tu Gyrgon złapał Kurgana za ramię, postukał w okummmmon i dodał: – To powinieneś rozważyć. Dowiem się, jeśli nadużyjesz władzy danej ci przez Bractwo. I będę gotów cię za to zniszczyć.

Kurgan wpatrywał się w Nith Batoxxksa. Gyrgon blefował. Nie mógł wiedzieć, że on chce zyskać kontrolę nad Bractwem. Nakazał sobie spokój, postawę posłusznego sługi. Pochylił głowę:

–Dołożę wszelkich starań, Nith Batoxxksie, by panować nad swoją ambicją.

Niezbyt wielu V'ornnów słyszało śmiech Gyrgona. Ten dźwięk sprawił, że Kurgan miał wrażenie, że mu wcierają żwir w otwartą ranę. Poczul mdłości.

–Ciebie i mnie łączą więzi, których sobie nawet nie potrafisz wyobrazić – mówił Nith Batoxxx. – Świat, który poznaliśmy, Kundala, zostanie zniszczony, lecz nie tak, jak sądzisz. Bo to my obaj obrócimy go w perzynę.

Opończa Nith Sahora, która kiedyś sprowadziła ich do miasta, teraz błyskawicznie przeniosła dziewczyny do Opactwa Gorącego Nurtu. Riane wiedziała, że opończa była kompleksem sieci neuralnych, ale nie miała pojęcia, na jakiej zasadzie działa. Podobnie jak nie rozumiała, skąd opończa wiedziała, dokąd je przetransportować. Przecież w żaden sposób się z nią nie porozumiewała. Po prostu zawinęła w opończę Eleanę i siebie, tak jak jej to nakazał Nith Sahor w ową pamiętną noc, kiedy to spieszyła ku tkwiącemu w Drzwiach Skarbnicy Pierścieniowi Pięciu Smoków. Kiedy opończa dokładnie je otuliła, Riane doznała słabiutkiego wrażenia przemieszczania, swobodnego spadania. A kiedy odwinęła je z opończy, znajdowały się już w infirmerii opactwa.

Trzymała Eleanę w ramionach i natychmiast po przybyciu na miejsce położyła ją w jednym z wiekowych shanstonowych łóżek. Eleana nadal była osłabiona i czasami kręciło się jej w głowie. Riane napiła ją wodą.

Dopiero kiedy Eleana zaspokoila pragnienie, dziewczęta się zorientowały, że nie są same. Rekkk Hacilar leżał na drugim kamiennym, miękko wyścielonym łóżku, w drugim końcu infirmerii. Thigpen unieruchamiała mu głowę parą przednich łap, tejj zaś unosił się nad straszliwą raną w piersi, zadaną przez żuwaczkę Tzelosa. Cztery skrzydła uderzały tak szybko, że ich kontury się rozmazywały.

–Czy Eleana...? – zaczęła Thigpen.

–Odpocznie i wszystko będzie w porządku – odparła ze znużeniem Riane i, żeby uprzedzić następne pytania, dodała: – To długa historia.

–Cieszę się, że każda z was jest w jednym kawałku – rzekła szorstko Thigpen. –

Mam coś dla ciebie, Darze Sala-at. Nie mógł dłużej przebywać w tak uszkodzonym ciele. Weź go, proszę.

Riane wyjęła mononculus z gardła Thigpen i włożyła do swojego.

Uderzenia skrzydeł tej a wywoływały charakterystyczne dźwięki. Nakładały się one i nabierały mocy, jak najczystsze tony dobyte z kamertonu, aż stworzyły coś, co Riane odbierała jako narastającą falę. Nie widziała jej, jedynie słyszała. Co więcej, odczuwała ją w swoim wnętrzu, bo każda jej kosteczka wibrowała zgodnie z doskonałą tonacją fali. Doznała ulgi i ukojenia, poczuła się szczęśliwa i bezpieczna, spojrzała na Eleanę i wiedziała, że ona odczuwa to samo.

Nagle Eleana wbiła jej palce w ramię i Riane spostrzegła, że pod trzepoczącymi skrzydłami tejja pojawia się coś czarniejszego od czerni. Najpierw było to kółko, potem romb, później owal, w końcu trapez. Dał się słyszeć cichy odgłos i to „coś” rozwinęło się, podobnie jak opończa w Muzeum Nieprawdziwych Wspomnień, przylgnęło jak druga skóra do rany Rekkka. I jak druga skóra zmieniało barwę – od najgłębszej czerni po najjaśniejszą biel, aż stało się miedziane jak karnacja Rekkka.

–Rozgośćcie się – powiedziała do nich Thigpen, która najwyraźniej poczuła ulgę. – To pewnie jeszcze trochę potrwa.

Riane przysunęła sobie krzesło, ale nalegała, żeby Eleana leżała. Dziewczyna początkowo nie chciała. Miała serce wojownika, a widok rany Rekkka bardzo ją wzburzył. Lecz zmęczenie i troska o dobro dziecka sprawiły w końcu, że nie wstała z shanstonowego łóżka.

Teyj nagle przestał łopotać skrzydłami, usiadł na „nowej skórze” Rekkka i szybkimi, precyzyjnymi uderzeniami dzioba przenosił jej kawałeczki na właściwe miejsca. Riane szybko się zorientowała, co ptak robi. Dopasowywał sieć neuralną, zakrywając ranę, do energetycznego wzorca Rekkka. Eleusis, ojciec Annona, opowiadał mu o gyrgonich metodach uzdrawiania. Chłopca to oczywiście fascynowało. A któż by pozostał obojętny? Poza tym te opowieści brzmiały tak fantastycznie, nieprawdopodobnie, że Annon często się zastanawiał, czy ojciec ich nie wymyśla. Teraz Riane na własne oczy wszystko widziała i wiedziała, że Eleusis nie przesadzał.

Sieć neuralna zaczęła pulsować jak żywa; maszyna oddychająca za Rekkka – jego płuco rozdymało się i zapadało. Teyj zaszczebiotał, śpiewał niesamowicie piękną pieśń i w neuralnej sieci zaczęły się pojawiać wnikające w ranę wypustki. Teyj najwyraźniej sam nimi manipulował.

W trakcie krótkiej powrotnej podróży do opactwa opończa ogrzała dziewczęta i wysuszyła ich odzież. Riane czuła się brudna, lecz wiedziała, że nie wyjdzie z infirmerii, dopóki się nie upewni, że Rekkkowi już nic nie grozi.

Siedziała obok Eleany i nie mogła się powstrzymać od zerkania na nią. Czuła się nieswojo, tłumiła w sobie pytania. Zadręczała się rozmyślaniami. Jak postępować z Eleaną? Jak zdoła ukryć miłość i pożądanie, z każdym dniem coraz silniejsze?

–Myślisz, że to ten sam?

–Co? – Zamrugła, bo głos Eleany wyrwał ją z zadumy.

–Teyj. – Eleana odwróciła głowę i spojrzała na Riane. – Czy to ten sam, który przyniósł nam opończę Nith Sahora?

–Ten sam – odezwała się Thigpen.

–Ale jak??? – zapytała Eleana.

–To teyj, moja droga. – Thigpen bardzo uważnie śledziła poczynania ptaka. Jego pieśń zmieniła melodię i tonację. Rappa pochyliła się nad Rekkkiem, przednią parę łapek wsparła mu na piersi, parą środkowych unieruchamiała głowę.

Riane uświadomiła sobie, że Thigpen reaguje na śpiew teyja. Porozumiewali się. Podeszła i stanęła obok niej.

–Ostrożnie – ostrzegła Thigpen.

Riane wyczuła opór, jakby ciało Rekkka opływał strumień o zmiennej gęstości.

–Od kiedyż to Rappa znajdują się na czteroskrzydłych gyrgonich ptakach?

–Widzisz, Eleano, jak to jest z Darem Sala-at? – pożałowała się Thigpen. – W niczym mi nie popuści.

–Ale ona słusznie pyta – powiedziała cicho Eleana. – Skąd w ogóle coś wiesz o teyjach?

–No prawdę mówiąc, to nic nie wiem. – Oczy Thigpen dziwnie błyszcząły. – Ale przez ostatni miesiąc sporo się dowiedziałam o tym tutaj.

–Chwileczkę. – Eleana podparła się na łokciu. – Pamiętam z pogrzebu Nith Sahora, że coś niesamowicie kolorowego migąło w koronach drzew. – Zakręciło się jej w głowie, więc się położyła. – Czy to był teyj, Thigpen? Ten teyj?

Thigpen z roztargnieniem przytaknęła.

–Więc mam rację, sądząc, że to nadzwyczaj wyjątkowy teyj?

Rappa uniosła głowę, oczy jej pały.

–Wszędzie roi się od potężnych wrogów – rzekła cicho – więc przez jakiś czas lepiej zachować tak niebezpieczną wiedzę dla siebie.

Dziwny ptak zaświergotał nagląco.

–Tak, tak, teraz musimy być cicho i ze wszystkich sił się skoncentrować – napomniała je Rappa. – To krytyczna chwila. Zdecyduje o życiu lub śmierci Rekkka.

Eleana przyglądała się im szeroko otwartymi oczami.

–Da radę go ocalić?

–Odpoczywaj – nakazała spokojnie, lecz zdecydowanie Rappa. – Pozwól teyjowi...

–Nie! – Eleana mówiła cicho, lecz równie zdecydowanie. – Nie zasnę, dopóki się nie dowiem, że już nic mu nie grozi.

Teyj podniósł wzrok. Zmierzył ją chłodnym, zagadkowym spojrzeniem. W jego czarnych oczach dostrzegła złote plamki. Zaświergotał krótko.

–Jestem tutaj, Rekkku – wyszeptała Eleana. – Nie zostawię cię. – Łzy napłynęły jej do oczu. – Obiecuj, że mnie nie opuścisz, dobrze? Obiecuj mi to, Rekkku. Obiecuj.

Riane przypomniała sobie, jak stała w blasku księżyców i patrzyła, jak Rekkk i Eleana ćwiczą walkę na kordy. Ze wstydem przyznawała, że czuła wtedy zazdrość. Annon, v'ornnański chłopak, pragnął być tym, na którego Eleana patrzyłaby z takim przejęciem, którego by podziwiała, od którego by się uczyła. Dziwnie było obserwować, jak dziewczyna z kundalańskiej partyzantki tak się zaprzyjaźnia z Khaggunem. To bolało. Riane mogła się przyznać również do tego. Wiedziała, że gdyby Annon żył, wszystko byłoby inaczej. Bo wtedy Eleana nie widziałaby nikogo poza nim; sama przecież tak powiedziała.

Riane zacisnęła zęby. Jak mogła być zazdrosna o Rekkka Hacilara, kiedy ten był bliski śmierci? Odwróciła się, zdegustowana. Nie zasługuje na to, żeby być Darem Sala-at. Może to tylko pomyłka, może jest jedynie wędrowcem, V'ornnem uwięzionym w ciele Kundalanki i pokutującym za wszystkie v'ornnańskie zbrodnie? Czuła, że łzy napływają jej do oczu, i jeszcze bardziej sobą pogardzała.

Nagle w jej udręczonym umyśle podniósł się zgiełk, kakofonia głosów tak licznych i głośnych, że słowa posypały się na nią niczym grad. Podniosła się i chwiejnie ruszyła ku drzwiom.

–Dokąd idziesz, Riane?! – zawołała za nią Eleana.

Riane nie była w stanie odpowiedzieć. Dopadł ją atak tak bolesny i nieoczekiwany,

że prawie krzyczała. Znalazła się w pustym korytarzu, osunęła się na kolana, wstała, szła chwiejnie przed siebie, mijała na oślep drzwi, wielkie i małe pomieszczenia, aż w końcu spadła ze schodów na podwórzec.

Już nie padało, lecz omszałe kamienie były śliskie i wszędzie lśniły kałuże, wpadła w jedną z nich i nie wstała, tylko wyczołgała się na zimne, wilgotne kamienie i tam się skuliła, zmalretowana, spazmatycznie dygocząc.

Wówczas, poprzez szarpiący jej umysł straszliwy ból, usłyszała wołający do niej z wielkiej oddali głos, który starał się do niej dotrzeć z jakiejś otchłani, niczym z głębi Morza Krwi, głos tak znajomy, że Riane zapłakała.

–Giyan!

Nie wiedziała, że wypowiedziała to imię głośno, bo instynktownie rzuciła zaklęcie Osoru, otwierała portal do Nadświata, rozpoczynała poszukiwanie Giyan.

Nadświat wypełniała horda cieni. Riane nigdy przedtem czegoś takiego nie widziała i wystraszyła się. Przypomniała sobie ową nieznaczną zmianę, jaką wyczuła podczas ostatniego pobytu w Ayame. Szmer szybko przerodził się w wycie. Co je wydawało i co ono zwiastowało? Kakofonia głosów przypominała wzburzoną rzekę, przez którą Riane musiała się przedrzeć. Prześlizgiwała się niczym wąż morski, torując sobie drogę wśród cieni. Było to łatwiejsze, niż się spodziewała, bo przecież były to jedynie cienie – ich głosy przenikały do Nadświata, zwiastowały obecność nieznanych duchów z jakiejś nieznannej sfery.

Jaka magia uniosła ich głosy aż do Nadświata? – zastanawiała się Riane, szukając Giyan. A potem zobaczyła wyraźnie kontury istot tworzących tłum cieni i pojęła, że nie są to kundalańskie duchy, przyprawiło ją to o lodowaty dreszcz. Były zniekształcone: jedne miały szerokie płaskie głowy, inne – zgarbione umięśnione bary, wiele kończyn i wielkie uszy. Były dziwaczne, zarazem groteskowe i dziwnie znajome.

Nagle Riane krzyknęła cicho, bo uświadomiła sobie, że cienie mają takie same kształty jak gargulce przycupnięte na szczycie murów w Muzeum Nieprawdziwych Wspomnień. Najpierw uznała, że na pewno śni, ale potem wyszkolenie wzięło górę i zdała sobie sprawę, że nikt nie śni o Nadświecie. Więc nie był to koszmarny sen, lecz prawda.

Usłyszała wołający ją, słaby i drżący głos Giyan, odsunęła wątpliwości równie szybko, jak się pojawiły. Rzuciła Sieć Poznania, czar umożliwiający rozpoznanie Caa, aury magicznych awatar, albowiem żadna czarodziejka nie pojawiała się w Nadświecie we własnej osobie. Awatarą Giyan był ogromny i groźny ptak Ras Shamra. Może to dziwne, ale Riane jeszcze nie wiedziała, jak wygląda jej własna

awatara. Giyan mówiła, że to się okaże podczas ceremonii w Nadświecie, kiedy Riane stanie się prawdziwą czarodziejką. Na razie przybierała postać złocistego sześcianu, wirującego na jednym z rogów w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara.

Ściągnęła ciaśniej Sieć Poznania, niczym rybak, i jeszcze szybciej przebijała się przez gęste zbiorowisko wyjących dziwadł. Nagle cienie się rozstały i Riane pędziła przez płaską monotonną przestrzeń.

Daleko przed sobą widziała coś, co wyglądało jak góry, wznoszące się stromo ku białemu niebu. Z przerażeniem dostrzegła, że widoczny pomiędzy szczytami skrawek nieba przybrał barwę krwi. Istnienie koloru świadczyło o tym, że w Nadświecie posłużono się potężnymi zaklęciami Kyofu.

Serce boleśnie się jej ścisnęło, bo pośrodku płaszczyzny ujrzała straszliwy widok: Ras Shamra, magiczna awatara Giyan, jej postać w Nadświecie, wisiał głową w dół, przywiązany do równoramiennej trójkąta, czarnego i łuskowatego niczym skóra brzytwozębny drapieńczy, wbitego jednym z wierzchołków w równinę.

–Giyan! – rozbrzmiał krzyk Riane.

Dziewczyna jeszcze szybciej pognęła przez równinę, zakreślając wysokie łuki w atmosferze, w której dźwięk rozchodził się osobliwie, niczym stłumione dudnienie bębnow i – jak się zdawało – nigdy po linii prostej. – Giyan!

Ras Shamra powoli, z trudem odwrócił głowę.

–Riane, nareszcie. Znalazłaś mnie.

–Jestem, Giyan. Ja...

–Nie! – Ras Shamra szarpnął się i rozpaczliwym krzykiem powstrzymał Riane, która dopiero teraz dostrzegła, że lewą nogę i koniec lewego skrzydła awatary krępuje jakaś dziwaczna sieć, jarząca się i bulgocząca niczym wrząca lawa. – Nie możesz mnie uwolnić. A przynajmniej nie teraz.

–Pozwól mi spróbować. Wiem, że mogę...

–Posłuchaj, Riane! To sprawka arcydemonia Horolagggii, za mało umiesz, by odczytać jego czary. Riane zdrętwiała. Giyan opętał arcydemon!

–Musisz zachować cierpliwość – mówił Ras Shamra. – Musisz zdobyć wiedzę, dzięki której go pokonasz.

–Ale jak? Jonnqa nie żyje. Nie wiem, dokąd i do kogo się udać.

–Nie mogę ci powiedzieć.

Riane zaczęła się denerwować.

–Ale dlaczego?!

–Sama wiesz, co się stało, kiedy ostatnio spróbowałam to zrobić. Horolaggia się dowiedział, nie mam pojęcia jak, i wysłał swego służkę, żeby zabił ciebie i Rekkka. – Ras Shamra potrząsnął głową. – Sama musisz się tego dowiedzieć.

–To się wydaje niewykonalne.

–Ufaj. Jesteś tym, kim jesteś.

Riane wiedziała, co Giyan stara się jej powiedzieć: że jest Darem Sala-at.

–A teraz posłuchaj – podjął pospiesznie Ras Shamra. – Arcydemony, po wypadkach z Pierścieniem Pięciu Smoków, wiedzą, że istniejesz, ale jeszcze nie mają pojęcia, kim jesteś. Horolaggia dołoży wszelkich starań, żeby się tego dowiedzieć. Bądź nad wyraz ostrożna. Zniszczy cię, jeżeli będziesz działać pochopnie.

–Ale twoje życie...

–Przysięgam cię chronić, Darze Sala-at. I po to żyję. Poza tym moje życie nic nie znaczy.

–To nieprawda, Giyan. Twoje życie jest ogromnie ważne. Przysięgam, że nie pozwolę ci umrzeć!

–Błagam, Riane, nie przysięgaj czegoś, co może się okazać twoją zgubą, zgubą nas wszystkich. W tobie jedyna nadzieja Kundalan. Nic nie jest ważniejsze nad wydobycie naszej rasy z otchłani, w której się znalazła.

Riane potrząsnęła głową, niezachwiana w swym postanowieniu.

–Chroniłaś mnie niegdyś, Giyan. Uratowałaś mi życie. Teraz ja muszę ocalić twoje.

–Strzeż się, Darze Sala-at! Nie pozwól, by wziął górę wojowniczy duch Annona!

–Jak możesz oczekiwać, że będę stać beczynną?!

–Bez względu na to, co ci się wydaje, jesteś zbyt słaba, żeby się przeciwstawić księciu arcydemonów. – Ras Shamra gwałtownie odwrócił głowę. – Chronź nas, Miino! Nie! – W głosie awatary Giyan słyhać było straszliwe przerażenie.

–O co chodzi? – spytała bez tchu Riane. – Co się dzieje?

Barwna plama nad magicznymi górami powiększała się, jakby szczyty krwawiły.

–Horolaggia nadciąga! Uchodź, Darze Sala-at! Przez miłość Miiny! Uciekaj!

–Nie, dopóki mi nie powiesz, co się z tobą dzieje.

–Sieć mnie więzi i powoli zmienia w Horolagggię albo jego we mnie; nie wiem dokładnie, ale to i tak nie ma znaczenia. Ważne, że mamy jeszcze czas do przesilenia zimowego, zanim sieć całkowicie mnie spowije.

Własny oddech palił gardło Riane.

–I co się wtedy stanie?

–Och, nie pytaj o to.

–Już spytałam. Musisz mi powiedzieć. Nie odejdę, póki...

–Przestanę być taka, jaką mnie znasz – odrzekła Giyan bez tchu. – Horolaggia posiada moje umiejętności, moje wspomnienia, wszystko, czym jestem. Nawet mój Dar. – Ras Shamra łkał, chociaż dzielnie starał się opanować. – To część planu arcydemonów, które chcą uciec z Otchłani, wdrzeć się do naszego królestwa i na zawsze zmienić nas w niewolników.

–Przecież to potworne. Jak mogę temu zapobiec, Giyan?

Ras Shamra mówił teraz o wiele szybciej, słowa się zlewały.

–Ich plan ma jeszcze jedną część. Wiedzą, że jesteś dla nich zagrożeniem, i robią wszystko co w ich mocy, żeby opóźnić twoje nauki, żeby mogli spokojnie knuć i rosnąć w siłę.

Na niebo wypełzły nagle kłębiące się szkarłatne chmury, całą przestrzeń wypełnił odgłos grzmotu.

–O, wielka Miino! Maasra. Znajdź ją, Darze Sala-at. Pomoże ci i uwolni mnie! A teraz odejdź! Szybko! Zanim...

Ale już było za późno. Z kłębiących się obłoków barwy krwi wyłoniła się awatara tak zaskakująca, że Riane osłupiała – był to smok, niczym stwór z przerażającego koszmaru. Był biały jak lód na szczytach Djenn Marre, smukły jak wąż, miał olbrzymie postrzępione skrzydła i paskudne żółtawe pazury, długie jak tułów dziewczyny. Z wydłużonej, spłaszczonej czaszki, nad złymi czerwonymi ślepiami, wyrastały bielutkie rogi, a podwójna linia kolców tej samej barwy sterczała wzdłuż kręgosłupa i na podbrzuszu. Smok śpiewał. Riane zauważyła, że łuski miał chropowate, nieregularne

i wywinięte – chyba obumierały, bo niszczały się i gubił je w czasie lotu, a płaszczyzna Nadświata pękała tam, gdzie upadły.

Riane była zdumiona. Wedle tego, co słyszała, istniało wyłącznie Pięć Świętych Smoków Miiny, które za pośrednictwem magicznej Perły i kosmicznego pyłu stworzyły Kundalę. To były święte Smoki, więc żadnego z nich nie można było wybrać na awatarę.

Nie było czasu na rozmyślanie nad tą zagadką. Smok dostrzegł ją, jego ryk zmroził Riane do szpiku kości. Ale i tak, nie zważając na ostrzeżenie Giyan, rzuciła Wiekuistą Gwiazdę, najpotężniejsze ze znanych jej zaklęć Widzącego Oka, mające olbrzymią moc zarówno Osoru, jak i Kyofu, i posłała je ku bestii. Niesamowity śnieżnobiały smok otworzył szeroko pysk i wydmuchnął siarkowy strumień, który rozbił Wiekuistą Gwiazdę na mrowie cząsteczek. Chwilę później pozbawił Riane całej energii. Jeszcze nigdy nie spotkała się z tak potężnymi czarami.

Jej awatara, sześcian, wirowała coraz wolniej. Straciła złocisty blask. Riane – zdezorientowana i bez tchu – bezsilnie patrzyła, jak smok pędzi ku niej z nastawionymi szponami. Usiłowała rzucić inny czar, ale nie mogła. W myślach słyszała stłumiony głos Giyan, kierujący nią. Głos zdołał jakoś oczyścić za nią ścieżkę w otumaniającej siarkowej chmurze. Riane już się nie wahała – cofała się i cofała, aż uwolniła się od straszliwego zaklęcia Horolagggii.

Śnieżnobiały smok zaryczał, spojrzenie czerwonych ślepiów zdradzało złe zamiary bestii. Obrócił łeb osadzony na długiej węzowatej szyi. Wysunął przednią łapę, wielki pazur wygiął się łukowato, celując w Ras Shamra, który zakrzyczał w straszliwym bólu.

Riane rzuciła się ku Giyan, lecz usłyszała w myślach jej przeraźliwy krzyk:

–Nie! Odejdź! Natychmiast!

Dziewczyna, przerażona i zrozpaczona, stłumiła chęć walki i zmusiła się do rzucenia czaru otwierającego i zamykającego portal. Przez chwilę się przemieszczała – i już była na Kundali, w swoim dygoczącym ciele, skulona przy kamiennej podmurówce opactwa, łkająca żałością.

–Co to za miejsce? – spytała Marethyn. – Nigdy mnie tu nie przyprowadzałeś.

–Nigdy nikogo tu nie przyprowadzałem – powiedział Sornnn.

Znajdowali się w pomieszczeniu w kształcie klina, zagubionym w labiryncie korytarzy i olbrzymich sennych hal w jednym z wielu składów mieszczących się na północnym skraju południowej dzielnicy Axis Tyr, znanej jako dzielnica portowa. Powietrze miało żółtawy odcień, było tak przesycone aromatami setek przypraw, że

wydawało się aż gęste. Nieustanny gwar pogrążającego się w mroku miasta uderzał w małe, prostokątne, brudne okna, lecz wewnątrz ciszę przerywało jedynie poskrzypywanie desek podłogi.

Samo pomieszczenie było zwyczajne, nie pomalowane, nieotynkowane, nie sprawiało wrażenia królewskiej komnaty; na jednej ze ścian wisiały zwykłe półki, stało kilka niskich foteli, a pośrodku leżał dywan tak wspaniały, że Marethyn musiała uklęknąć, przeczesać palcami jego włosie, przytulić policzek do urzekającego wzoru z harmonizujących ze sobą barw.

I jeszcze coś – na małym, szarawym, okrągłym stoliku stał smukły kryształowy wazon z gałązką pomarańczy kontrastujących barwą z wyblakłym tłem. Po tym poznała, że jej obecność tutaj nie była ani przypadkowa, ani mało ważna.

Sornnn zsunął z ramienia długie, matowo połyskujące pudełko ze stopu metali i położył je na identycznym, leżącym w kącie. Potem nalał do szklaneczek jadeitowozielonego płynu. Marethyn, zachwycona jak dziecko, siedziała ze skrzyżowanymi nogami na dywanie. Na dole, kiedy szli przez magazyn, machinalnie przesunęła palcem po zakurzonej pojemniku. Sornnn ujął jej dłoń, otarł kciukiem kurz i ucałował – jeden po drugim – czubki palców Marethyn w taki sposób, że zadrżała.

–Nie ma tu nikogo poza nami – powiedział, siadając przy niej. – W tym pokoju jesteśmy czarodziejami i zaklinaczami, artystami i poetami, wojownikami i złodziejami. Możemy dowolnie układać sobie życie.

Z powagą wypili za tę wolność.

–Naeffita – wyjaśnił Sornnn. – Z Korrushu. To znaczy „ukojenie”. Trunek miał aromat i smak goździków, cynamonu i palonej pomarańczy.

–Smakuje mi – powiedziała Marethyn nieco zmienionym głosem.

Sornnn patrzył, jak się rozgląda po pokoju.

–Robota miejscowych tkaczy...

–Wspaniała.

–Tak, wspaniałe, magiczne dywany. – Sornnn ponownie napełnił szklaneczki i wypili, tym razem wolniej.

Patrzyli sobie w oczy; otaczała ich głęboka cisza. Marethyn odstawiła szklaneczkę, zsunęła wierzchnie okrycie. Sornnn wstał, podszedł do półek z pamiątkami – przedmiotami ze szkła, malowanej ceramiki, prążkowanego kamienia, kutego brązu,

starymi i tajemniczo połyskującymi, które kupił, zdobył w drodze wymiany lub dostał od nomadów czy ich wodzów. Każdy przedmiot był piękny i na swój sposób cenny. Ustawił je na półkach starannie, pieczołowicie, z niemal nabożną czcią, żeby mu tutaj, w nudnym, rojnym, rozpolitykowanym Axis Tyr, przypominały Korrush, podsycaly w nim płomień. Cichym głosem – jakim mówił tylko wtedy, kiedy byli sami – opowiedział Marethyn o każdej pamiątce. Podziwiała jego głos – aksamitny, starannie modulowany, dokładnie artykułujący każdą sylabę; głos, który mógł zafascynować i zauroczyć. A potem Sornnn przejmująco zaśpiewał – cicho, niemal nieśmiało, co było wzruszające – ludową piosenkę ze stepów i chociaż Marethyn nie rozumiała ani słowa, oczarowała ją cudowna melancholijna melodia.

Potem wrócił na środek pokoju i wyciągnął ku niej rękę. Marethyn ujęła jego dłoń, a Sornnn podniósł ją z dywanu.

Powoli sączyła naeffitę, nie odrywając oczu od Sornnna, który rozpinał jej szaty i wolniutko ją z nich wyluskiwał. Niczym postronny obserwator widziała swoje stopniowo odsłaniane ciało; widziała swoje odbicie w jego oczach, instynktowną reakcję ciała Sornnna, i ogarnął ją żar.

Czuła aromat osobliwych przypraw z Korrushu i – z miłości do Sornnna – wyobraziła sobie, że tam jest: w nieznanym stronach, daleko od rojnego, przytłaczającego, dusznego Axis Tyr. Marzyła, że porywa ją w silne, spalone słońcem ramiona i wywozi do Kornishu, i już nigdy nie pozwoli wrócić do tego, co było tutaj – do pracy, sztuki, chorego brata i przekonań, które pewnego dnia mogą jej przynieść sławę albo śmierć. Że stwarzają sobie nowe życie – bez krewnych, trosk i zmartwień, tylko on i ona. Ulotna chwila – bo chociaż Marethyn potrafiła się radować tą cudowną wizją, to zbyt mocno stała na ziemi.

Naga, wyciągnęła ku niemu ramiona.

–Tak, właśnie tak – wyszeptał Sornnn.

Objął ją. Pusta szklaneczka Marethyn upadła na dywan. Nietknięta szklaneczka Sornnna stała na półce, obok karafki naeffity.

Dotykał jej. Czuł, jak jej dłonie pozbawiają go ubrania, jak błądzi po nim ustami – aż nie mógł już dłużej czekać. Przez chwilę leżeli na miękkim, wspaniałym dywanie, lecz Sornnn był zbyt podniecony, by długo się powstrzymać. Marethyn, jak się przekonał, również.

Przez okna sączyło się słabe światło zmierzchu. Kiedy była dzieckiem, to właśnie zmierzch – i jego zwodniczy poblask – uwalniał ją na krótko od obowiązków w hingatta i pozwalał się zająć malowaniem, które było jej pasją. Szybko stało się to jej prywatnym światem, rozbudziło bujną wyobraźnię. Pracowała więc o zmierzchu, a jej

wczesne obrazy zrodziły się z tajemniczego tańca cieni. W pomieszczeniu na górnym poziomie składu miękkie, gasnący, jesienny blask, czerwonożółty ogienek przesunął się niczym dłoń iluzjonisty po starej ścianie, namalował ich ruchliwe cienie.

Sornnn lekko ją popychał, aż znalazła się pomiędzy nim a zimnym szorstkim kamieniem. Wziął ją tak, wpatrzony w jej oczy, które otwierały się i przymykały przy każdym jego ruchu. Słyszał jej jęk i swój przyspieszony oddech.

Krew w nim szumiała niczym wiatr Korrushu w morzu wysokich traw, wrzała niczym woda nad ogniskiem.

Kiedy Marethyn krzyknęła, przyciskając go kurczowo do siebie, odwrócił ich. Teraz on opierał się o szorstką ścianę. Nadal w niej był. Oczy miała zamknięte, ułożyła głowę na jego ramieniu. Zlizywała jego pot. Potem uniosła głowę i – patrząc mu w oczy – powtórzyła wszystko od początku. Jeszcze nigdy nie przeżywał czegoś tak wspaniałego. Czuł, jaką ma nad nim władzę, i był zdumiony i odrobinę wystraszony. Wystraszony ze względu na nią i na to, w co ją wciągał.

Potem przestał myśleć, poddał się rozkoszy i Marethyn, bo nie miał wyboru, bo stały się jego wszechświatem, bo chciał tego, chciał wszystkiego innego.

Wszystkiego...

Sornnn przyniósł swoją szklaneczkę na środek dywanu i wraz z Marethyn pili z niej na zmianę. Nasłuchiwali skrzypienia desek podłogi – cichych dźwięków podkreślających ich odizolowanie od miasta, od powszedniego gwaru.

–Chcę pojechać z tobą – powiedziała, kiedy wysączyli naeffitę. – Do Korrushu. – Opierała głowę o jego ramię. – Chcę zobaczyć piękno, które widziałeś, które tkwi w tobie jak to – odwróciła jego dłoń, wydrapała odrobinę czerwonego pyłu spod jego paznokcia i zebrała go koniuszkiem języka – o, teraz Korrush jest i we mnie.

–Tam jest niebezpiecznie, Marethyn.

–Nie dbam o to. – Wyraźnie czuła, że Sornnn mówi o czymś innym; długo skrywany sekret wypłynął z podświadomości, w którą Sornnn go zepchnął. – Przecież wiesz.

Sornnn rzeczywiście wiedział, a jego serca przyspieszyły rytm na samą myśl o tym, że mogliby wyjechać razem. Lecz poczucie winy zmusiło go do dodania:

–Nie chciałbym cię narażać na niebezpieczeństwo.

Powiedział to tak poważnie, że Marethyn nie mogła się nie roześmiać.

–Ani ja ciebie. Ale przecież nasze spotkania niosą ze sobą niebezpieczeństwo. No i

jest niebezpieczeństwo towarzyszące ci co dnia, którego potrzebujesz, które kochasz i czcisz. Bez którego nie możesz żyć. To twoje powołanie – nie powiedziała tego krytycznie ani z naganą, lecz ze zrodzoną z miłości czułością.

–Sam wybrałem to niebezpieczeństwo. Ale ty...

–Czy mam to wyrazić bez ogródek, Sornnnie? Z radością powitam wszystko, co dla mnie masz. Nie wiedząc co to.

Przesunęła palcem po wewnętrznej ścianie szklaneczki i wsunęła jego zwilżony naeffitą koniuszek w usta Sornnna.

Tak powiedziała. Jednak Sornnn się zastanawiał, czy powinien jej uwierzyć. Wszystko sprowadzało się do kwestii zaufania. Czy może jej zaufać? Powierzyć wszystko. Wiedział, że bardzo tego pragnie, ale czy to wystarczy? Wiązało się z tym takie niebezpieczeństwo, takie ryzyko. Czyż jego ojciec nie umarł z powodu...? Lecz musiał od czegoś zacząć. Musiał się przekonać i wówczas albo to ciągnąć, albo zakończyć. Ale powoli, niezmiernie powoli, bo ojciec go nauczył, że zaufanie to delikatna i często niebezpieczna sprawa. Zaufanie może mieć przykre następstwa, nieprawdaż, ojczy?

Sornnn wstał, podszedł do półki, wziął z niej pewien przedmiot. Kiedy wracał, Marethyn podziwiała jego smukłe, umięśnione ciało. Otworzył dłoń i pokazał jej starą, zniszczoną, kamienną rzeźbę ptaka ciemnobrązowej barwy.

–To fulkaan – wyjaśnił. – Mityczny ptak, który siadywał na ramieniu Jiharre, proroka Gazi Qhan, jednego z pięciu plemion władających Korrushem. Fulkaan był towarzyszem Jiharrego, jego opiekunem i posłańcem.

–Ma w sobie osobliwą moc – powiedziała Marethyn, wodząc palcem po szorstkiej powierzchni rzeźby.

–Jest bardzo stary. Mój ojciec dostał go od Makktuuba, kapudaana, wodza Ghazi Qhan. Ojciec wierzył, że ten ptak, fulkaan, naprawdę istnieje. Powiedział mu o tym Makktuub, przysięgając, że to prawda. – Sornnn przykucnął. – Wydaje mi się, że ojciec całe życie poświęcił badaniu mitów. Podobnie jak Eleusis Ashera. Dzięki temu się zaprzyjaźnili – zamilkł, patrząc na fulkaana, jakby chciał ożywić kamiennego ptaka. – Eleusis Ashera miał wobec Korrushu pewne poważne plany.

–Za Hara-at – powiedziała cicho Marethyn; jej serca zaczęły bić szybciej.

Sornnn przytaknął.

–Pięć Ziemskich Spotkań w kundalańskiej Starej Mowie.

–Marzeniem Eleusisa Ashery było wybudowanie Za Hara-at, miasta, w którym V'ornnowie i Kundalanie mogliby wspólnie mieszkać.

–Za Hara-at to coś o wiele więcej. To mój ojciec po raz pierwszy zabrał Eleusisa Asherę do Korrushu i pokazał mu archeologiczne wykopaliska, które odsłoniły ruiny starożytnego miasta. Ojciec był przekonany, że to legendarne miasto Za Hara-at, święte miasto. I przekonał o tym Eleusisa Asherę.

–A ty? – Skrzydło kamiennego fulkaana wbijało się w dłoń Marethyn. – W co ty wierzysz?

–Ta rzeźba pochodzi z wykopalisk. – Sornnn pogładził łebek fulkaana, jakby to był żywy ptak. Potem spojrzął na Marethyn. – Podobnie jak ojciec wierzę, że to ruiny prawdziwego Za Hara-at. Wierzę, że odkryliśmy święte miejsce, źródło mocy.

–Wierzę ci. – Marethyn spojrziała na niego błyszczącymi oczami i uśmiechnęła się uśmiechem przeznaczonym wyłącznie dla niego, po czym szepnęła: – Czarodzieje i zaklinacze, artyści i poeci, wojownicy i złodzieje. Ciekawam, kim się staniemy.

Cztery kudłate, małe, ale krzepkie łapki otuliły Riane opończę Nith Sahora i dziewczynie natychmiast zrobiło się cieplej, zarówno dosłownie, jak i w przenośni.

–Co się stało, Darze Sala-at? – zapytała Thigpen. – Byłaś w infirmerii i nagle zniknęłaś.

Riane na chwilę przymknęła powieki, lecz powidok tego, czego niedawno była świadkiem, sprawił, że zadrżała i pospiesznie otworzyła oczy.

–Usłyszałam, jak Giyan woła mnie z Nadświata. – Głos miała cieniutki i cichy, mówiła jednak coraz szybciej. – Widziałam ją, częściowo oplatają czarodziejska sieć. Ona...

–Uspokój się, Darze Sala-at. – Thigpen zlizwała łzy z jej buzi. – Opowiesz o tym, kiedy wspomnienie tego wszystkiego nie będzie cię tak przerażać.

–Ale Giyan...

–Słuchaj, co mówię, kluseczko.

Riane westchnęła. Thigpen dawno jej tak nie nazywała; wróciła myślami do czasów, kiedy jeszcze nie ujawniła się jako Dar Sala-at. Wreszcie potakująco kiwnęła głową.

–Co z Rekkkiem?

–Jest pewien kłopot. Teyj cię potrzebuje.

–Wygląda na to, że po ranie zadanej przez Tzelosa zostało coś toksycznego – powiedziała Thigpen, kiedy wróciły do infirmerii. – Teyj nie daje sobie z tym rady.

–A co o tym sądzi...?

–Powiedziałam mu, że może tobie uda się zaradzić. – Thigpen wskoczyła na shanstonową płytę, na której leżał Rekkk. – Darze Sala-at, podejdź, proszę.

Riane dostrzegła, że Eleana usiadła na łóżku i czeka na wyjaśnienie, czemu tak uciekła z infirmerii. Lecz skupiła się wyłącznie na Rekkku.

–Zapomnij o Osoru – radziła Thigpen – i skoncentruj się wyłącznie na tym, co wiesz o Kyofu.

–Niewiele – przyznała Riane. – Chociaż czytałam *Księgę Zaparcia się Wiary*, to mam bardzo niewielkie doświadczenie z zaklęciami magii Czarnego Śnienia.

–Teraz nawet taka odrobinka będzie cenną pomocą.

Thigpen była mistrzynią w ukrywaniu emocji, lecz Riane się wydawało, że w głosie Rappa brzmiała nutka desperacji. Czyżby było aż tak źle? – zastanawiała się dziewczyna. Czyżby Rekkk był bliski śmierci?

Zamknęła oczy i – wykorzystując swoją ejdetyczną pamięć – przeglądała stronica po stronicy Świętą Księgę Kyofu. Problem polegał na tym, że nie miała pojęcia, jak przełożyć jej ustępy na zaklęcia. W przypadku magii akademicka wiedza była bezużyteczna, jeżeli się nie miało praktyki w jej stosowaniu. Mimo to przeszukiwała swoją pamięć i jeżeli tylko natrafiła na coś, co uznawała za zaklęcie, próbowała je rzucić. Raz czy dwa nawet jej się udało, lecz w niczym to nie pomogło.

–Darze Sala-at – wyszeptała Thigpen – Rekkk ma coraz mniej czasu.

–Robię co mogę.

–Musisz się bardziej postarać.

W tych kilku słowach Rappa zdołała zawrzeć swoją rozpacz i gniew na Riane, która wciągnęła Rekkka w pułapkę, przed którą ich ostrzegała. Umysł Riane się zaćmił, jak wtedy, kiedy Malistra oplatała ją Muszym Okiem. Rekkk umiera przeze mnie, pomyślała; pomóż mi, Miino.

–Nie wiem, co robić, Thigpen.

Eleana wstała, podeszła i stanęła za Riane. Położyła dłonie na jej ramionach i ogrzała je.

–Ufam ci. Serce mi mówi, że Dar Sala-at znajdzie sposób, żeby go uratować.

Myśli Riane natychmiast się rozjaśniły. Może podchodzę do uzdrawiania z niewłaściwej strony, pomyślała.

–Thigpen, poproś teyja, żeby wyłączył joniczne pole wokół Rekkka.

Teyj zaćwierkał nerwowo.

–Teyj mówi, że jeżeli to zrobi, Rekkk z całą pewnością umrze.

–Muszę mieć dostęp do tego, co go zabija – rzekła Riane. Teraz wszystko wydawało się jej jasne. – Nie mogę tego zrobić przy tej v’ornnańskiej technologii.

–Nie pozwoli ci...

–Ile czasu mu zostało? – spytała Riane, głęboko skupiona.

–Pięć minut, może dziesięć. Nie więcej. Jad jest niezwykle silny.

Czy to wystarczy? Riane nie miała pojęcia.

–Powiedz teyjowi, że nie mogę pomóc Rekkkowi, dopóki pole jest aktywne.

–Wie o tym – głos Thigpen był przeraźliwie smutny. – I już wyłączył pole.

Dziewczyna wyczuła, że rzeczywiście tak było, i natychmiast wzięła się do pracy.

–Teyj będzie śledził funkcje życiowe Rekkka – powiedziała Thigpen. – Jeżeli zaczną zamierać, włączy pole.

Riane ledwo ją słyszała. Rzuciła Przenikającą Wiązkę, proste, lecz skuteczne zaklęcie, które umożliwi rozpoznanie chemicznego składu jadu Tzelosa. Ponieważ demon miał skłonności do mutacji, to jego jad był tajemniczą, skomplikowaną mieszaniną, którą trudno było rozdzielić na pojedyncze składniki. Musiała się dowiedzieć, jakie one były, zanim je przemienił organizm demona.

–Minęły trzy minuty, Darze Sala-at – poinformowała ją Thigpen.

Riane jeszcze bardziej się skoncentrowała. Pot wystąpił jej na czoło, zrosił górną wargę, spływał wzdłuż kręgosłupa. Nie mogła się pomylić, nie mogła zawieść. Nie myśl o tym, nakazała sobie, skup się na rozpoznaniu jadu.

–Prawie pięć minut. – Głos Thigpen zdawał się dobiegać z oddali.

Była dopiero w połowie rozszyfrowywania składu toksyny, a już kończył się czas.

Dziewczyna zaczęła recytować alfabet Venca. Jej wiedza o tym magicznym języku pochodziła z pamięci prawdziwej Riane. Bardzo chciałaby się dowiedzieć, gdzie i kiedy się tego nauczyła, bo obecnie Venca posługiwali się wyłącznie Druudzi, tajemniczy nomadzi uchodzący za pierwszych Ramahan. Odeszli, zanim zło wtargnęło do opactw, przenieśli się na Wielki Voorg, rozległą pustynię na wschodzie Korrushu, i obecnie żyli tam w niemal całkowitej izolacji. Riane natrafiła na nich, szukając Pierścienia Pięciu Smoków, i słyszała, jak śpiewnie recytują ten alfabet. Już raz się tym posłużyła, w desperacji, żeby rzucić Wiekuistą Gwiazdę. Teraz wiedziała, że znów musi się do tego uciec. Rzecz w tym, że cały proces był dla niej zagadką.

–Darze Sala-at. – Głos Thigpen wtargnął w myśli dziewczyny. – Funkcje życiowe Rekkka zaczynają wyraźnie słabnąć.

Riane recytowała alfabet. Magia Venca nie była związana z poszczególnymi literami, lecz z tym, jak te litery łączono. Wszystko polegało na połączeniach, magii języka. Skład jadu był rozszyfrowany w trzech czwartych.

–Teyj zaczyna się niepokoić. Jeszcze chwila i znów włączy pole.

Riane nie mogła tracić czasu na odpowiedź. Wyśpiewywała w alfabecie Venca odkształcenia znanych składników toksyny.

–Rekkkowi się pogarsza, Darze Sala-at.

Jeszcze chwilka. Podobnie jak wtedy, kiedy rzucała Wiecznotrwałą Gwiazdę, Riane poczuła przyływ intuicji, którą wykorzystwała do wyboru liter Venca. Słowa tworzyły się w powietrzu niczym obłoki gnane wiatrem, jak mgła w wilgotny poranek, jak dym z ogniska. Albo Riane, albo rodzący się czar odtworzył całą strukturę toksyny, wniknął pomiędzy jad i Rekkka; najpierw utworzył ochronną tarczę, a potem antidotum, które niczym fala przyboju pokryło ranę.

–Stabilizuje się – poinformowała podekscytowana Thigpen.

Riane jak przez mgłę słyszała, że teyj śpiewa piękną pieśń o zupełnie innej melodii.

–Rana się goi.

Riane zakończyła śpiewać zaklęcie, poczuła, jak ogarniają znużenie. Zachwiała się, Eleana ją podtrzymała i mocno przytuliła.

–Udało ci się! Wiedziałam, że tak będzie! – powiedziała radośnie Eleana.

Thigpen zeskoczyła z shanstonowego łoża, pozostawiając rozświergotanemu teyjowi opiekę nad Rekkkiem, przydreptała do Riane, wskoczyła jej na kolana i zwinęła się w kłębek.

–Darze Sala-at – wyszeptła – jakiego zaklęcia użyłaś?

Riane nie wiedziała, lecz nagle w jej umyśle pojawiła się właściwa nazwa.

–Źródło Nieświadomości – odparła. – To prastary czar.

–To czar Widzącego Oka, nieprawdaż? – spytała podchwytliwie Thigpen.

Może i tak, pomyślała Riane. Widzące Oko to magia pierwszych Ramahan. Wiele, wiele stuleci temu porzucono to mające potężną moc połączenie Osoru i Kyofu – było zbyt niebezpieczne, zbyt łatwo było nadużyć jego mocy. Nawet Matka nie była biegła w Widzącym Oku.

Thigpen odwróciła głowę, spojrzała na Riane.

–Jeśli chcesz, możesz mnie pogłaskać.

Dziewczyna przyjrzała się Rappa. Duże trójkątne uszy płasko przylegały do porośniętego czerwonawoczną sierścią łebka, wąsiki mocno drgały. Czyżby była zdenerwowana?

–Nie wydaje mi się, że naprawdę chcesz, żebym cię pogłaskała – powiedziała cicho.

W oczach Thigpen pojawił się niepokój.

–Lubię, jak głaszczesz moją sierść.

–Powinnam cię usłuchać, Thigpen.

Wąsiki zadrgały jeszcze bardziej.

–Tu wcale nie chodzi o nieposłuszeństwo, ale o niedowierzanie. – Pasiasty, podobny do szczotki ogon Thigpen wygiął się ku górze, dotknął grzbietu dłoni Riane. – To normalne, że Rekkk jest niedowiarkiem w sprawach kundalańskich, ale ty pozwoliłaś, żeby jego sceptycyzm wpłynął i na ciebie.

–To był błąd. Przepraszam.

Ciemne oczy Thigpen badały twarz Riane.

–Drogi Darze Sala-at, wcale nie musisz przeproszać. Chcę się tylko upewnić, że ten błąd czegoś cię nauczył.

–Ale byłaś taka zła, kiedy się do mnie odezwałaś...

Riane pozwoliła, żeby szczotkowaty ogon przeniósł jej dłoń na porośniętą gęstą

sierścią grzbiet. Thigpen powiedziała łagodnie:

–Bałam się o twoje życie, Darze Sala-at. Ty wciąż nie masz pojęcia, kim jesteś i kim się staniesz, i jeszcze na to za wcześnie, byś wiedziała. Ale ja wiem.

Riane głaskała miękką, gęstą sierść, a Rappa zaczęła mruzczyć. Teyj zaświergotał i Thigpen usiadła.

–Tak, to prawda. – Zeskoczyła na podłogę i rzekła do Riane i Eleany: – Rekkk potrzebuje czasu, żeby wydobrzczyć, i wy też. Chodźmy do kuchni, przygotuję wam posiłek, którego tak szybko nie zapomnicie. – Poprowadziła je kamiennym korytarzem. – Pewnie jesteście wygłodzone po tych przejściach, no i musicie wszystko mi opowiedzieć.

Jakiś czas później siedziały przy małym stoliku, w pomieszczeniu przy kuchni, najedzone i spokojniejsze. Riane i Eleana opowiedziały, co się działo po tym, jak Thigpen z Rekkkiem thrippingowała do opactwa.

–Mało brakowało – odezwała się Thigpen. – To było śmiałe posunięcie, Darze Sala-at, ale niebezpieczne. Zwabić Tzelosa...

–Ale Riane odkryła, że strumienie mocy, przebiegające pod powierzchnią, mogą zniszczyć demona – powiedziała Eleana. Próbowwała zajrzeć Riane w oczy, zrozumieć powód jej nagłego chłodu.

–Nie wiadomo, czy to by się udało. Energii strumieni mocy nie można tak łatwo okiełznać. Miałyście szczęście, że woda wam to ułatwiła. – Mina Thigpen świadczyła, iż wie, o co chodzi Eleanie. – Ale to dobry zwiad.

–Zwiad – odezwała się Eleana. – Mówisz, jakbyśmy prowadzili wojnę.

–Bo to wojna – przyświadczyła z powagą Thigpen. – Otwarto portal do trzykroć przeklętej Otchłani. W naszym królestwie są teraz demony. I Tzelos wcale nie jest najgroźniejszy.

–Wiem. – Riane skinęła głową. – Widziałam w Nadświecie Giyan. Więzi ją arcydemon Horolagggia.

–Słucham? – Thigpen parę razy zamrugowała.

Riane opowiedziała im, dlaczego tak nagle wyskoczyła z infirmerii, że Nadświat wypełnia osobiwa horda cieni robiących ogromny hałas. Drżała, opowiadając, jak odnalazła awatarę Giyan, Ras Shamra przybitego do odwróconego trójkąta, i jak Giyan ostrzegała przed arcydemonem.

–A co ty możesz mi powiedzieć o Horolaggii? – spytała wreszcie.

–O, to niedobrze. O wiele gorzej, niż myślałam. O wiele, wiele gorzej. – Thigpen zeskoczyła ze stolika i, ogromnie podekscytowana, kręciła się w kółko, gryząc własny ogon.

–Na litość Miiny, Thigpen – rzekła zdesperowana Riane – odpowiesz wreszcie na moje pytanie?

–Co? A tak, oczywiście – Thigpen przystanęła, lecz nieustannie poruszała wąsikami. – Napisano, że Pyphoros miał troje dzieci. Obaj mężczyźni potomkowie, Horolaggia i Mygggorra, są bastardami. Córka, Sepseriis, jest siostrą przyrodnią. – Rappa miała ogromnie przygnębioną minę. – Skoro arcydemon Horolaggia opętał Giyan, to... – umilkła i znów zaczęła chodzić w kółko, gryząc ogon.

–To co? – zapytały chórem Riane i Eleana.

Thigpen otarła policzki ogonem.

–To, moje drogie, musimy ją uznać za umarłą. Nawet gorzej niż nieżywą.

–Nie! – krzyknęła Riane. – Nie zrobię tego.

–Musisz. Stanie się naszym najbardziej nieprzejednanym wrogiem.

–Powiedziała mi, że muszę odnaleźć Maasra. Co to takiego?

Thigpen znów zamrugnęła.

–Nie mam pojęcia.

–Pięknie! – wściekła się Riane. – Wprost wspaniale!

–Ktoś musi wiedzieć – wtrąciła Eleana, patrząc na Riane i znów próbując przyciągnąć jej uwagę.

–Dwie albo trzy setki lat temu na pewno mogłybyśmy przebierać w nauczycielach – powiedziała Thigpen. – Lecz w tych mrocznych wiekach... – zamilkła.

–No to się cofnijmy w czasie – zaproponowała Riane. Umysł dziewczyny pracował na wysokich obrotach. Wiedziała, że musi istnieć jakieś rozwiązanie, należało je tylko znaleźć. Potem pamięć podsunęła jej budzący litość obraz Giyan rozpiętej na odwróconym trójkacie i grozę, jaka ją ogarnęła, kiedy nadciągał Horolaggia. Może rozwiązanie wcale nie istnieje, pomyślała z przerażeniem, i wszyscy jesteśmy zgubieni. Gwałtownie potrząsnęła głową, żeby odpędzić czarne myśli. Wiedziała już, że rozpacz wiedzie do bierności i rezygnacji – a jedno i drugie było jej zakazane.

Myśl, Riane, myśl!

–Mamy jeden trop, słowo, które znalazłam w *Genezie Mroku*. To słowo, Maasra, jest powiązane z Malasocca. Może to sposób na odwrócenie tego procesu. Cały kłopot w tym, że nie mamy pojęcia, co to słowo znaczy. Nie jest ani ze Starej Mowy, ani z Venca. – Riane pstryknęła palcami. – Thigpen, czy nie mówiłaś, że potrzebny nam pierwszorzędny dialektyk?

Rappa potwierdziła.

–Mówiłam też, że znałam jednego, ale cały kłopot w tym, że już nie żyje.

–No to go wskrześmy.

Thigpen aż podskoczyła.

–Coś ty powiedziała?!

–Czytałam o czymś takim w Uwalnianiu Form. Rytuał nazywa się Ulotne Przywrócenie.

–Aaa, to. – Thigpen machnęła przednią łapą. – Możesz zapomnieć o tej możliwości. Tego rytuału uczono jedynie sefirorów, a na Kundali nie ma już czarowników.

–I tu się mylisz – odparła Riane, w której obudziła się nadzieja. – Dziś po południu poznałam jednego.

–Gotowe – oznajmił Nith Isstal.

–Niespokojny? – spytał Nith Batoxxx.

–Ani trochę. Wiem, że to kontrolowany eksperyment. Ufam ci.

I w tym cały problem z młodymi, pomyślał Nith Batoxxx, zaczynając ostatnie przygotowania. Za bardzo wierzą, że kosmos jest łaskawy.

Stał w zachodnim krańcu laboratorium. Przed nim znajdowała się komora fal, którą konstruował przez pięć v'ornnańskich lat. Oburzało go, że większość V'ornnów – nawet braci Gyrgonów – zaczęła się posługiwać kundalańską miarą czasu, w której dzień liczył trzydzieści godzin, a rok miał siedemset siedemdziesiąt siedem dni, a nie osiemset dziewięćdziesiąt, jak rok v'ornnański. Zaczynało się szerzyć zepsucie, zgnilizna, jakiej niekiedy był świadkiem w koloniach w szczególnie wirulentnych światach, w których V'ornnowie pozostawali zbyt długo.

Komora fal przypominała wielkie jajo. Jasna powierzchnia połyskiwała kolorowo i była całkowicie gładka – z wyjątkiem okrągłego luku, zamykanego od wewnątrz i od

zewnątrz. Otoczka była bardzo gruba, miała ponad trzy metry, a kompozytowe tworzywo, z którego Nith Batoxxx ją zrobił, odznaczało się niezwykłą spoistością. Trzy joniczne lampy rozjaśniały wnętrze słabym fioletowo-niebieskim światłem akurat na tyle, żeby Nith Isstał widział dojście do siedziska, usiadł i przypiął się pasami.

Nith Batoxxx skinął mu głową i rozpoczął skomplikowaną procedurę zamykania luku. Sto trzydzieści siedem odrębnych procedur dawało pewność, że luk jest właściwie zamknięty, bo gdyby nie był...

To, z czym Batoxxx miał do czynienia, sprawiło, że wyzbył się wszelkich ekwacji, i słusznie.

Pojawiła się fala goronów.

Goron był największą atomową cząstką – narowista, nieujarzmiona, śmiercionośna. Zdziwiająco trudno było go zrozumieć, a więc i kontrolować. Cząsteczki te jak dotąd oparły się wszelkim wysiłkom Bractwa, by utworzyć z nich falę zdolną odchylić wiązkę goronów.

Centophenni, w bitwie pod Hellespennem, zdziesiątkowali V'ornnów bronią goronową. Chwila ta zapadła w pamięć Nith Batoxxxkowi – nieprzejdane imperium dopadło ich i ukarało za to, co się wydarzyło przed trzema stuleciami. Sama klęska była wystarczająco okropna, lecz nakładała się na to jeszcze przygnębiająca świadomość, że Centophenni technologicznie przewyższają Gyrgonów. To upokorzenie gryzło Nith Batoxxksa niczym brzytwezęby drapieżca. Stało się to dwieście pięćdziesiąt v'ornnańskich lat temu. Dwieście pięćdziesiąt lat lęku i ucieczki, dwieście pięćdziesiąt lat bezowocnych prób udoskonalenia obrony. A przez ostatnie czterdzieści lat tkwili na tej nędznej, położonej na uboczu planecie, podczas gdy reszta v'ornnańskiej floty leciała dalej – badając kosmos lub uciekając, w zależności od tego, jak na to patrzeć.

Razem z Nith Sahorem zgłosili się na ochotnika do prowadzenia eksploracji Kundali, bo czujniki dalekiego zasięgu wykryły niezwykły przepływ goronów w jądrze planety. Prawdę mówiąc, gęsta goronowa warstwa uniemożliwiła v'ornnańskiej technologii spenetrowanie straszliwych, nigdy niecichnących burz nad Nieznanymi Terytoriami. To dlatego v'ornnańska telemetria nie zdołała przeniknąć nieprzejrzystej zasłony i sporządzić mapy trzystu tysięcy kilometrów kwadratowych po północnej stronie gór Djenn Marre. Nigdy nie powrócił żaden ze zwiadowczych oddziałów Khagggunów, wysłanych na Nieznane Terytoria. Wymyślne metody łączności, wykorzystujące falę fotonową, zawodziły, gdy tylko zwiadowcy niknęli w lodowo-śnieżnych burzach – i to, o ile V'ornnom było wiadomo, był ich koniec. Gyrgoni, pomimo niezliczonych eksperymentów, nadal nie potrafili manipulować goronami. Wśród Bractwa przeważało przekonanie, że przed wiązką goronów mogą obronić jedynie gorony.

Batoxxx gwałtownie się sprzeciwiał włączeniu do badań Nith Sahora, ale został przegłosowany. Rezultaty można było przewidzieć. On sam energicznie pracował nad kilkoma pierwszymi generacjami komór fal goronowych, Nith Sahor zaś zawiódł i jego, i całe Bractwo, dystansując się od badań nad falą goronowa. Z pasją polował za to na kundalańskie mity i przyjaźnił się z niewolnikami. Pozostali Gyrgoni okazali się za mało błyskotliwi, żeby pojąć nowatorskie teorie Nith Batoxxksa, więc pozostawił ich jałowym dyskusjom, a sam rzucił się w wir prac nad nową generacją komór fal.

–Teraz zaś – bliski swego największego sukcesu – czuł się rozdarty, bo wiedział, że to tkwiący w nim mrok doprowadził go do tego punktu. Gdzież byłby bez niego? Nie wiadomo, tak długo żył z mrokiem w swoim wnętrzu, że już nie pamiętał, jaki był dawny Nith Batoxxx.

Dotknął wypukłej, połyskującej ściany komory. Piątej z kolei. Poprzedniczki zawiódły. Otoczka była tak gruba z konkretnego powodu. Składała się z dwóch warstw. Zewnętrzna generowała losowo uwalnianie goronów, wewnętrzna zaś zawierała najnowszą wersję urządzenia (pomysłu Batoxxksa) mającego w zamyśle stworzyć falę goronowa.

Nith Isstał nie miał, rzecz jasna, pojęcia, na co się zgodził. Nith Batoxxx nie powiedział mu prawdy. Bo i po co? Nith Isstał po prostu chciał mu się przypodobać.

Nith Batoxxx powtórnie sprawdził wszystkie sto trzydzieści siedem procedur bezpieczeństwa. Dopiero wtedy przeszedł do właściwych czynności. Całkowicie się skoncentrował na swoim zadaniu. W takich przypadkach postrzegał otoczenie poprzez wszczepione w czaszkę sieci neuralne. Świat wokół niego rozpadł się na części składowe. Batoxxx był świadomy obecności jonów, fotonów, grawitonów – cząstek, fal, pól, zachodzących na siebie i zderzających się. Jego palce, skryte w rękawicach, tkwiły w semiorganicznej chipowej matrix, z której sporządzano odzież wszystkich Gyrgonów. W tej fazie był na pół maszyną – lub też można by powiedzieć, że maszyna była po części obdarzona świadomością. W zależności od tego, jak na to patrzeć.

Fala goronowa została aktywowana. Wszystkie odczyty wyglądały tak, jak je wyliczył, sporządzając ekwacje. Serca żywiej mu zabiły. Może tym razem się powiedzie.

Zaczęły się goronowe wyładowania, atak, nad którym nie miał kontroli. To było najgorsze – obserwować działanie energii mającej ogromną moc i nie wiedzieć, jak nad nią zapanować. Wyładowania goronowe, już o wiele słabsze, trwały jeszcze parę chwil, chociaż wyłączył wzbudzanie goronów.

Czekał.

Kiedy był już pewny, że komora była „czysta”, rozpoczął procedurę otwierania luku. Lampy jonowe wewnątrz komory się stopiły. Nith Isstal tkwił bezwładnie na siedzisku. Powietrze iskrzyło się i trzeszczało szczątkowym promieniowaniem. Czuć było dziwną woń, przypominającą słodkavo-słony zapach kundalańskiej krwi.

Nith Batoxxx oświetlił ciało. Nith Isstal miał otwarte oczy. Powieki zostały całkowicie spalone, gałki oczne były zupełnie białe. Bez tęczówek, bez źrenic. Usta były na wpół otwarte. Zęby rozpadły się na paskudny żółtawy proszek, który wypełnił młodemu Gyrgonowi gardło. Część ciała Isstala zrobiła się przezroczysta, więc Nith Batoxxx widział kości, również rozpadające się na proszek.

Nith Batoxxx zaklął pod nosem. Odczyty ostrzegały, że Nith Isstal jest zbyt napromieniowany, żeby go dotykać; jasne też było, że za kilka minut zostanie z niego jedynie całkowicie pozbawiony płynów zewłok.

Jakby się znów oglądało następstwa Hellespennu.

9. To, co przetrwa

–O, wróciłaś – stwierdził Minnum. – I przyprowadziłaś ze sobą Rappa. – Kustosz przykucnął, zrównując się z Thigpen. – To wspaniale znów widzieć kogoś z twojej rasy. Naprawdę cudownie.

Thigpen podejrzliwie węszyła, a Riane nie mogła powstrzymać śmiechu. Stali pod okapem na podwórku muzeum. Wokół płonęły pochodnie, oświetlając cysternę i ciemną wzburzoną wodę. Żadnych jonicznych lamp ani innej vormiańskiej technologii.

–Oto Thigpen, Minnumie – odezwała się Riane.

–Witaj w Muzeum Nieprawdziwych Wspomnień. – Uśmiechnął się kustosz.

Thigpen przekrzywiła łebek.

–Co zrobiłaś, że Riane uznała cię za sefirora?

–Nic – odparł Minnum, wstając. – Tak mi się przynajmniej wydaje.

–Chyba jesteś świadomy, że wcielanie się w sefirora to ciężka przewina – powiedziała szorstko Thigpen.

–Zapewniam cię, że wcielanie się pozostawiam Gyrgonom. – Minnum uśmiechnął się do Thigpen i szeroko rozłożył ręce. – A tak w ogóle, to czy ostał się ktoś, kto mógłby mnie za to ścigać?

–Są konara – poinformowała go Rappa, myśląc o arcykapłankach Ramahanek.

–Ooooo, nie wątpię. Żadne władzy jędze w rodzaju Bartty.

–Bartta nie żyje – wtrąciła Riane.

–Czyżby? – Minnum uniósł krzaczaste brwi. – Na twoim miejscu nie wyciągałbym pochopnych wniosków co do Bartty.

–Najpierw mi wmawiałeś, że Nith Sahor żyje – rozeźliła się Riane – a teraz twierdzisz, że Bartta też.

–Uspokójcie się!

Minnum i Riane, uciszeni w tak stanowczy sposób, spojrzeli na Thigpen. Stała na tylnych łapach i szczyrzyła zęby. Dziewczyna tylko raz ją taką widziała – tuż przed zaatakowaniem olbrzymiego perwillona, jaskiniowego drapieżcy.

–Nie chcę więcej słyszeć o Gyrgonach i lepiej weźcie sobie to ostrzeżenie do serca – warknęła Rappa.

–Drażliwe stworzonko – stwierdził Minnum i wzruszył ramionami. – Nieważne. To muzeum. Chcemy, żeby wszyscy byli zadowoleni.

–Czekaj no – wpadła mu w słowo Riane. – Mówiłeś mi, że lepiej, żeby nie wszyscy oglądali twoje eksponaty.

–A tak – Minnum machnął ręką. – Pewnie powinienem powiedzieć, że chcemy, żebyś ty była zadowolona, Darze Sala-at.

Thigpen opadła na wszystkie sześć łap.

–Ona nie...

Minnum łypnął na nią.

–Nie, nie powiedziała mi.

–No to skąd...?

–Coś mi się widzi, że stąd co i ty. – Kustosz podciągnął rękawy. – Lepiej wejdźmy do środka. – Zerknął na niebo, jasne od v’ornnańskich świateł. – Jak dla mnie robi się ociupinkę za zimno. – Ruszył, mocno utykając. – Na takim chłdzie możesz się przeziębic na śmierć, ot co.

Poprowadził je pomiędzy pełnymi różnych resztek pojemnikami. Riane dojrzała

kilkoro drzwi, przemyślnie ukrytych, sterowanych dotykowymi panelami. Minnum dotknął jednego z nich.

Wnętrze muzeum było ciepłe i przytulne. W olbrzymich bazaltowych kominkach płonął ogień. Na widok czarnej skały Riane drgnęła – przypomniała sobie odwrócony trójkąt, więzienie Giyan w Ayame.

–To główna sala – powiedział Minnum, prowadząc je na środek kopulaste sklepionej pięciokątnej komnaty. – Stąd można dojść do wszystkich eksponatów.

Na jaspisowej, zielonej jak morze posadzce kładły się cienie. Pod shanstonowymi ścianami stały osobliwe meble, całe rzeźbione w runy. Kremowo-czarne onyksowe kolumny wznosiły się ku pogrążonym w półmroku masywnym okopconym belkom. Z miedzianych kadzielnic ulatywały piżmowe aromaty, mieszając się z zapachem wonnej oliwy, płonącej w niskich i szerokich misternej roboty lampach z brązu. Panująca tu głęboka cisza skutecznie izolowała od nerwowej krzątaniny i gwaru miasta.

Minnum nagle się odwrócił i spojrzał twardo na Riane.

–Zapowiedziałem, że wrócisz, czyż nie? – Kiwnął głową. – Jak się spodziewam, wróciłaś dlatego, że je zobaczyłaś.

–O czym on plecie? – prychnęła Thigpen, najwyraźniej nadal zdenerwowana.

–Powiedz jej, Darze Sala-at – polecił Minnum.

–Te rzeźbione gargulce na szczycie muru to demony – poinformowała ją Riane. – W Nadświecie widziałam ich cienie.

–Jeden z nich w końcu wymyślił, jak się wydostać z więzienia – rzekł Minnum. – Już nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

–Co ty o tym wiesz?! – parsknęła Thigpen.

W odpowiedzi na to Minnum zetknął czubkami kciuk i palec wskazujący i nakreślił w powietrzu skomplikowany wzór. Rozległ się dźwięk, jaki daje się słyszeć, gdy winożuczek wpada w ogień, i na miejscu Thigpen pojawiło się straszliwe, podobne do jaszczura stworzenie. Miało osiem krótkich, lecz masywnych łap, jakby natłuszczone niebiesko-czarne łuski, płaski łeb, wysuwający się z pyska purpurowy jęzor i cienki, prążkowany ogon usiany haczykowatymi kolcami. W połyskliwych żółtych ślepiach płonęła pełna złej woli inteligencja. Syczało i buchało – z ośmiu nozdrzy – żrącym pomarańczowym dymem.

–Niech to N’Luuura! – Rozkaszała się Riane. – Brzytwozęby drapieżca!

–Aaaa, widzę, że twoja wiedza obejmuje i v'ornnańską biologię. – Ucieszył się Minnum. – Muszę przyznać, że robi wrażenie. – Nakreślił w powietrzu inny wzór, tym razem stykając kciuk z małym palcem, i Thigpen wróciła. Rozejrzała się, nieco oszołomiona.

–Dobrze się czujesz po swoich króciutkim... hmmm... pobycie? – zapytał Minnum.

–To było... Muszę przyznać, że to było najpaskudniejsze ze wszystkiego, co mi się... – Thigpen się wyprostowała. – Stokrotnie przepraszam. Zupełnie się nie spodziewałam.

–Że ktoś taki jak ja nadal istnieje? – Uśmiechnął się Minnum. – Na szczęście nie ty jedna. Przeżyłem tak długo tylko dlatego, że... jak by to powiedzieć, starannie się maskowałem.

–Trzymałeś się w cieniu – powiedziała Riane.

–Właśnie.

–Ale czemu musisz się ukrywać? – dociekała dziewczyna.

–Nie mamy czasu na lekcje historii – rzekła dziarsko Thigpen. Zdziwiająco szybko odzyskała tupet. – Skoro już nam pokazałeś swoje „referencje”, Minnumie, to może nam opowiesz o Malasocca?

–Ależ macie pytankę, no no. Cóż, spodziewałem się tego. Malasocca, co? Niech no się zastanowię. – Minnum wpatrzył się w wysoki, pociemniały od dymu sufit. – Baaaardzo wredne zaklęcie. Rzucano je, zanim Miina przepędziła demony do Otchłani. Chcą władzy. Władzy za wszelką cenę. Żądza władzy jest im wrodzona. To część ich natury. Ale nie potrzeba nam demonów wcielających się w czarodziejki, czyż nie? To strasznie niebezpieczne. To jeden z powodów, dla których je zamknięto. Nie możesz ufać demonowi ani przez chwilę.

–To czemu ich nie zamknięto od samego początku?

–Dobre pytanie. Myśleliśmy, że zdołamy je odmienić. To część naszej natury, zawsze jesteśmy optymistami, zawsze dążymy do zmieniania na lepsze. – Minnum łypnął zezem na Riane. – W tym nasza największa siła, Darze Sala-at.

–Ale również przyczyna niepotrzebnych cierpień i śmierci.

–Cóż, to na pewno przysparza cierpienia i śmierci – rzekł w zamyśleniu Minnum. – Ale nie zgadzam się z tym „niepotrzebnym”. Bo my uważamy, że wszystkie istoty są dobre i zasługują na życie, dopóki się nie okaże, że jest inaczej. Gdybyśmy odrzucili tę filozofię, to, pomyśl tylko, okazalibyśmy się równie arogancy jak... hmmm...

V'ornnowie, czyż nie? Mamy sporą moc, a z tym łączy się odpowiedzialność. Nie możemy stawiać się ponad innymi, osądzać ich, zanim pozwolimy im ujawnić swą prawdziwą naturę. Nawet kiedy okażą się źli, nawet wtedy, dajemy im szansę. Jakżeż byśmy mogli inaczej?

Thigpen potrząsnęła głową.

–Doceniamy ten wykład, Minnumie, ale wróćmy może do Malasocca.

Minnum cmoknął.

–Malasocca to trudne i zawile zaklęcie. Czemu o nie pytacie?

–Zaatakowano czarodziejkę – wyjaśniła Riane.

–To pewnie ten demon, któremu udało się uciec. To musiał być arcydemon, że dał radę. – Minnum potrząsnął głową. – Ciekawym, jak tego dokonał?

Riane nie mogła mu powiedzieć, że Giyan, przerywając magiczny krąg Nanthery, pogwałciła prawo Miiny i nieumyślnie otworzyła portal. Wywołałoby to zbyt wiele pytań, przede wszystkim o to, czemu Giyan uciekła się do Nanthery – a to by naraziło tajemnicę Annona.

Kustosz przyglądał się swym rozmówczyniom.

–Który arcydemon ją dopadł?

–Horolagggia.

Minnum zmarszczył brwi.

–Chyba się przesłyszałem. Zdawało mi się, że powiedziałaś Horolagggia.

–Tak właśnie powiedziałam.

–O nie! – Minnum opadł na wypolerowane krzesło z drewna sercowca. – Chroń nas wszystkich, Miino!

Na widok zmienionej twarzy czarownika Riane ogarnęło przerażenie. Ledwo zdołała spytać:

–O co chodzi?

–Nie mam kontrczaru na tę... ohydę, na Malasocca rzucone przez jednego z bastardzich pomiotów Pyphorosa.

–Jak długo Giyan wytrwa?

Minum patrzył spod oka.

–Kiedy to na nią spadło?

–Kilka dni temu.

–Zależy, jaką ma moc, ale powiedziałbym, że najwyżej do zimowego przesilenia.

–Droga Miino! To już za sześć tygodni!

–Musisz nam pomóc, Minnumie – odezwała się Thigpen. – Czy mówi ci coś słowo „Maasra”?

Kustosz w milczeniu potrząsnął głową. Miał nieobecny wzrok.

–To się jakoś wiąże z Malasocca – dodała Riane.

–Niemożliwe – odparł posępnie. – Albo bym wiedział, albo przynajmniej o tym słyszał.

Thigpen wsparła łapy na kolanach Minnuma.

–Słowo Maasra nie pochodzi ani ze Starej Mowy, ani z Venca. Przypuszczamy, że jest z jakiegoś mało znanego dialektu. Znam kogoś, kto mógłby nam pomóc. To dialektyk. Cały szkopuł w tym, że nie żyje. – Kustosz spojrzał jej w oczy, więc dodała: – Chcemy, żebyś rzucił Ulotne Przywrócenie.

Lokal „Spice Jaxx’s” był kafejką w centrum rozległego i rojnego targu korzennego Axis Tyr, bez przerwy czynną, podobnie jak sam targ. Generał polny Lokck Werrrent przybył piętnaście minut przed czasem na spotkanie z gwiazdny admirałem Olnnem Ryddlinem. Zrobił to celowo. Chciał samotnie posiedzieć nad kielichem ognistego numaaadis i zebrać myśli, zanim Olnn podzieli się z nim swoimi wiadomościami.

Generał polny Werrrent był przez wiele lat blisko z Olnnem Ryddlinem. On sam uważał, że byli niczym ojciec i syn. Werrrent był dumny z osiągnięć Olnna, zwłaszcza biorąc pod uwagę jego pochodzenie, i z tego, jak dzielny i twardy okazał się młodszy Khaggun. Jednakowoż w sercach Werrrenta tkwił cierni – Olnn, tak młody i stosunkowo mało doświadczony, przeskoczył jego i pozostałych generałów polnych i został nowym gwiazdny admirałem.

Werrrent wcale nie zazdrościł Olnnowi codziennych spotkań z Kurganem Stoggulem. Już z ojcem, nieobliczalnym i sparanoizowanym trudno było

współdziałać, syn zaś... – zdaniem Werrrenta Kurgan Stogggul był niebezpiecznym egocentrykiem. Co gorsza, Werrrent podzielał opinię wielu innych oficerów, że Kurgan Stogggul ma jakiś plan, który przyniesie korzyści tylko jednemu V'ornnowi: Kurganowi Stogggulowi.

Jak to się dzieje, pytał sam siebie, że ilekroć się wydaje, że gorzej już być nie może, to jednak sprawy idą jeszcze gorzej?

Zanim zdążył sobie odpowiedzieć na to pytanie, pojawił się Olenn Ryddlin i usiadł naprzeciwko niego.

Werrrent odczekał, aż Olennowi podano napitek.

–No więc, jakie wieści?

Kiedy Olenn mówił, że Gyrgoni postanowili zaprzestać chwilowo wszczepiania okummonów Khaggunom, Lokck Werrrent słuchał w milczeniu. Olenn w końcu zapytał:

–Nie masz żadnych uwag?

Generał polny wzruszył ramionami.

–A cóż można powiedzieć? To decyzja Gyrgonów. Jesteśmy im posłuszni. Jestem wdzięczny, że mają na względzie dobro moich Khaggunów.

–Innymi słowy, wierzysz im.

Ciemne oczy Lokcka Werrrenta badawczo patrzyły na młodszego Khagguna.

–Nie mam powodu, żeby nie wierzyć. Nie mogę utrzymywać, że rozumiem decyzje Bractwa, ty zresztą też. – Pociągnął łyk numaaadis. – Zawsze podejrzewasz najgorsze. Ja nie widzę w tym nic złego. Przeciwnie...

–Nigdy nie wznowią programu – powiedział cicho Olenn. – Nie dbam o to, co twierdzi regent.

–To wywrotowe słowa! – Generał polny był ogromnie poruszony. – Obiecano nam, Khaggunom, status wyższej kasty. Niedotrzymanie tej obietnicy byłoby dla nas strasliwym afrontem.

–To właśnie mówię.

Lokck Werrrent ciężko westchnął.

–Jesteś dla mnie jak syn, gwiazdny admirał. Dobrze o tym wiesz. Teraz jesteś

moim zwierzchnikiem. Mimo to nie waham się doradzić ci, żebyś takie poglądy zachowywał dla siebie. Każdy inny generał, słysząc te słowa...

–Właśnie dlatego zwróciłem się do ciebie. Mam do ciebie bezgraniczne zaufanie. Nie znasz obecnego regenta równie dobrze jak ja. – I Olnnn wyjawiał coś, co, jak przysięgał, miał zachować w tajemnicy: opowiedział Lokckowi Werrrentowi, jak razem z Kurganem zamordowali konkubinę poprzedniego gwiazdnego admirała i zrzucili winę na Wennna Stogggula. – To Kurgan Stogggul cały czas planował, żeby poszczuć na siebie Kinnnusa Morchę i własnego ojca. I tak jak przewidywał, zgotowali sobie nawzajem śmierć. Kurgan został wyniesiony na stanowisko regenta, a mnie mianowano gwiazdnym admirałem.

Lokck Werrrent złapał Olnnna za nadgarstki.

–Masz ręce splamione krwią. Już raz dopuściłeś się zdrady.

–Ja tego tak nie oceniam. Pomogłem uwolnić nas wszystkich od Wennna Stogggula. To był urodzony brzytwozęby drapieżca. A co do jego syna...

–Mów ciszej, gwiazdny admirałe – rzekł ze zboląłą miną Lokck Werrrent.

–Krępuje mnie, Lokcku, to, że tak oficjalnie mnie tytułujesz, kiedy jesteśmy sami. W końcu...

–Przecież jesteś gwiazdnym admirałem. Nie mogę się do ciebie inaczej zwracać.

–To cały ty, generale polny. – Uśmiechnął się blado Olnnn.

–Należy przestrzegać protokołu. Bez dyscypliny zmienilibyśmy się wkrótce w stado dzikich zwierząt.

–Może i masz słuszość – zadumał się Olnnn.

Lokck Werrrent jakiś czas mu się przypatrywał.

–Są jednak chwile, kiedy nadzwyczajne okoliczności pozwalają... nagiąć... protokół. – Pochylił głowę. – No to mów, Olnnnie. Jakież to czarne myśli zagnieździły się w twoim umyśle?

Olnnn potarł czoło.

–Rzecz w tym, że będąc tak blisko nowego regenta, stawałem się coraz bardziej podejrzliwy. To nadanie Khagggunom statusu wyższej kasty było pomysłem jego ojca. To dzięki temu Wennn Stogggul mógł zawrzeć pakt z poprzednim gwiazdnym admirałem. Lecz ten sojusz okazał się fałszywy. Czemuż miałoby być inaczej?

–Gyrgoni dali swoje błogosławieństwo. Okummmmon to gyrgoński bioinstrument.

Zamilkł, bo Olnnn Rydddlin złapał go za rękę i powoli ją odwrócił, pokazując nowo wszczepiony okummmmon.

–Nie na wiele się przyda ten bioinstrument. I zastanawiam się, czy aby nie wszczepiono go naczelnemu dowództwu wyłącznie po to, żeby regent mógł bardziej mieć nas na oku.

–Regent?

–Zastanów się nad tym. Kasty nie zmieniały się od stuleci. Aż do czasów Wennna Stogggula. Jakżeż udało mu się przekonać Bractwo...

–Znów muszę przypomnieć, że żaden z nas nie może twierdzić, że zna Gyrgonów.

–Gyrgoni nie cierpią zmian. To nie ulega wątpliwości.

–Owszem, ale wiesz równie dobrze jak ja, że okummmmon można wszczepić wyłącznie na polecenie Gyrgonów.

–Może regent ma jakieś konszachty z tym Gyrgonem Nith Batoxxksem, który kręci się po pałacu regenta jak po własnym. Nie twierdzę, generale polny, że znam wszystkie odpowiedzi. Ale czy ci się to podoba czy nie, zmiana wisi w powietrzu i zaczynam się niepokoić o nas, o wszystkich Khagggunów. Uważam, że syn wykorzystuje kłamstwo ojca.

–Czemu miałyby to robić?

–Żeby mieć nad nami kontrolę, pozbawić nas władzy.

–Mówisz o nim jak o szalonym osobniku.

–Po prostu tak uważam – rzekł ponuro Olnnn. – To V’ornn, który uknuł zabójstwo własnego ojca.

–Sam przekonywałeś, że pozbycie się Wennna Stogggula należy uważać za prawy czyn. Musisz się zdecydować na jedno albo drugie.

–Jesteś ślepy, Lokcku.

–Przez wzgląd na naszą długą przyjaźń zignoruję tę obelgę. Kurgan Stogggul jest moim regentem. Lepiej o tym pamiętaj.

–Uważam, że stanowi dla nas wielkie niebezpieczeństwo.

–Możesz polegać na lojalności wszystkich Khaggunów. I dopóki tak będzie, nic nam nie grozi. – Lokck Werrrent potrząsnął głową. – Kiedy się ostatnio bawiłeś, Olnnie?

Na to pytanie Olnn nie potrafił odpowiedzieć.

–Nawet przed twoim... – Lokck Werrrent nie mógł się powstrzymać od spojrzenia na gołe kości nogi Ryddlina. – Byłeś ponurakiem nawet przed tym nieszczęściem. Ież to razy próbowałem cię rozerwać? Pamiętasz, jak...

–Przyprowadziłeś cztery kobiety.

–Dwie były dla ciebie.

Olnn skrzyżował ramiona na piersi i odwrócił wzrok.

–Nie można żyć tylko wojaczką, odmawiać sobie wszelkiej rozrywki.

Olnn Ryddlin odwrócił ku niemu głowę. Łypnął złowrogo.

–Jesteśmy Khaggunami.

Lokck Werrrent ciężko westchnął.

–Nawet Khaggun musi się zabawić. Ale ty nie uznajesz żadnych przyjemności, nieprawdaż, Olnnie? – Wzruszył ramionami. – Myślałem, że może to wskreszenie z martwych zbawiennie na ciebie wpłynie.

–Już w ogóle nie sypiam, śnię, nie śpiąc. Mam koszmary, których znaczenia nie rozumiem.

–Może Genomatekk...

–Żaden Genomatekk mnie nie uleczy.

–No to bądź miły dla siebie. Chodź ze mną na przyjętko do Dobbro Mannksa. Znasz go? To szanowany Bashkir, doradca prawny. Rozrywkowy gość.

–Dzięki, ale nie. – Olnn położył na stole kilka monet. – Widzę, że to była strata czasu.

–Nigdy nie zapominał żadnej rozmowy. – Lokck Werrrent patrzył na niego spokojnie. – Znasz mnie lepiej, Olnnie, niż jakikolwiek V'ornn. Wiesz, że w razie potrzeby będę bronił moich Khaggunów nawet z narażeniem życia.

Olnn odwzajemnił spojrzenie.

–No to dostarczę ci powodu, generale polny. – Rydddlin sztywno skłonił głowę. – Baw się dobrze.

–I tobie tego życzę, gwiazdny admirale – rzekł Lokck Werrrent, wstając. – Lecz obawiam się, że moje słowa trafią w próżnię.

–„Ulotne” to właściwe słowo – stwierdził Minnum, układając jakieś rupiecie w kształt zbliżony do okręgu.

Zaprowadził je do niewielkiej galerii w północnym skrzydle muzeum. Było tu zadziwiająco mało eksponatów. Wszystkie znajdowały się we wspaniałych gablotach, zrobionych albo z rzeźbionego drewna sercowców, albo z grawerowanego brązu. Wszystko było równiutko poukładane i olśniewająco czyste, co kontrastowało z bałaganem na podwórku.

–Kędy dialektyk zostanie przelany, bo tak ten proces się nazywa, do naszej dziedziny, będziecie miały trzy minuty, nie więcej, zrozumiano? Hm... – zamruczał coś do siebie.

–Trzy minuty! Trudno to nazwać skutecznym zaklęciem.

Co też oni sobie myśleli?

Sefiror się krzątał, a Riane zaglądała do gablot i nie mogła się zorientować, co właściwie widzi. Wnętrza wypełniała kłębiąca się mgła. Gdyby gabloty nie były pieczołowicie wypolerowane do połysku, mogłaby podejrzewać, że w ogóle nie są używane. Nie było żadnych plakietek. A poza tym, jak można by opisać coś, czego nie widać? Nic dziwnego, że to muzeum przyciągało tak niewielu zwiedzających.

–No dobrze. – Minnum stał pośrodku galerii, otoczony dziwacznymi akcesoriami. – Stań tam, Darze Sala-at, właśnie tak. A ty, Thigpen, tam, dokładnie naprzeciwko. Jak się nazywa ten twój znajomy dialektyk?

–Cushsneil – odparła Rappa.

Minnum kiwnął głową, podciągnął rękawy i wyczarował coś, co wyglądało jak kawałek bladoniebieskiej kredy. Na kamiennej posadzce galerii narysował równoboczny trójkąt.

Riane wiedziała, że to najdawniejszy symbol mocy pierwszych Ramahan. Sposób uwięzienia Giyan w Nadświecie był tak przerażający właśnie dlatego, że stanowił odwrócenie tego symbolu, dobitną demonstrację Zła. To, co Minnum teraz rysował, przykuło uwagę dziewczyny. Był to odwrócony trójkąt, nałożony na ten pierwszy – razem utworzyły sześcioramienną gwiazdę.

–Pheregonnen – rzekł sefiror, rozpoczynając ryt. – Oto wzór, którego środek jest wszędzie, wierzchołki zaś nie wiadomo gdzie.

Do niewielkiego, poczerniałego od ognia metalowego pojemnika przesypał z fiolek rozmaite proszki, zdrapał trochę jakiegoś osobliwego rogu i czegoś, co wyglądało jak shanin i latua. Na koniec wyczarował ogniście czerwoną substancję. Skapywała ciężko do pojemnika, wzbijając kłęby gęstego, żółtawego dymu, który wił się po galerii jak mgła w gablotach.

Riane starała się wstrzymać oddech, ale w końcu musiała zaczerpnąć powietrza. Wciągnęła w płuca dym i zachwiała się; zamroczyło ją i zakręciło się jej w głowie. W powietrzu unosiły się drobne iskierki, migotliwe i ledwie widoczne. Znikały, gdy tylko chciała na nie spojrzeć.

Potem Riane znów wpatrzyła się w środek Pheregonnenu, bo iskierki utworzyły kulę, która się wydłużała, powoli przybierała postać Kundalanina. Jego szaty świadczyły, że był to konara, arcykapłan Ramahan.

–Cushsneil! – zawołała radośnie Thigpen. – Myślałam, że już nigdy cię nie zobaczę!

–I ja sądziłem, że już cię nie ujrzę – rzekł z powagą Ramahanin. Miał długie siwe włosy, układające się nad czołem w taki sposób, że przypominały skrzydła, ostry nos i ciemne, skrywające się pod opadającymi powiekami oczy. Miał ascetyczne oblicze uczonego, Ramahanina o niezachwianej wierze. – Dlaczego mnie obudziłaś?

–Pamiętajcie o czasie – ostrzegł ich Minnum. – Drugiej szansy nie będzie.

–Racja. – Kiwnęła głową Thigpen. – Cushsneilu, oto Riane, Dar Sala-at.

–Dar Sala-at? – Cushsneil szeroko otworzył oczy i zamrugał, rozglądając się wokół. – Skoro jesteś Darem Sala-at, to gdzie twój Nawatir?

–Nie wiem. Nie mam Nawatira.

–O bogini, o bogini. – Ramahanin cmoknął, zmartwiony. – Bez Nawatira jesteś bezbronna!

–Nie mamy na to czasu – burknął Minnum. – Do rzeczy, na litość Miiny.

–Potrzebujemy twojej pomocy – rzekła Riane. – Mógłbyś nam wyjaśnić znaczenie słowa „Maasra”?

Cushsneil się zachmurzył.

–Skoro pytasz o Maasra, to zapewne portal został otwarty. Widziano Horolagggię?

–Tak – odparła Riane. – Ten arcydemon uprowadził naszą ukochaną czarodziejkę i transmogryfikuje ją poprzez Malasocca. Po przesileniu zimowym proces będzie nieodwracalny.

–Istotnie, złe czasy nastały – zagrzmiął dialektyk. – Musicie zachować największą ostrożność. Podkreślanie to z całą mocą. Zanim wystąpisz przeciwko Horolaggii, musisz się intensywnie kształcić w magicznej sztuce, jednak nawet wówczas nie będzie pewności... – Zadygotał. – O, bogini. O, bogini.

–A Maasra? – zapytała Riane.

–Ach, to. – Cushsneil się zakołysał. – To potoczne określenie. Gazi Qhan powiedzieliby, że jest święte, bo pochodzi z ich dialektu. Maasra to znaczy zasłona, Zasłona Tysiąca Łez.

Riane omal nie wyskoczyła ze skóry.

–Giyan kazała mi znaleźć właśnie Zasłonę Tysiąca Łez. Dlaczego? Co to takiego?

–Zapiski mówią, że kiedy Pięć Świętych Smoków Miiny posłużyło się Perłą, żeby stworzyć Kundalę, wywołany przez to kataklizm zniszczył zewnętrzną warstwę Perły. Jednak największy jej fragment przetrwał akt stworzenia planety. Zbierano węń łyż przelane przez smoki podczas narodzin Kundali i te łyż przemieniły twardą skorupę w miękką tkaninę o cudownych barwach i wspaniałym połysku.

–Dlaczego płakały?

–Bo przewidziały śmierć i zniszczenie, które będzie towarzyszyć schyłkowi rasy Kundalan.

–Więc byliśmy skazani, jeszcze zanim nastaliśmy.

–Nic nie jest ustalone raz na zawsze, a już najmniej prorocze wizje Świętych Smoków.

–Drogi Cushsneilu – przerwała mu Thigpen – mógłbyś nam powiedzieć, gdzie znaleźć Zasłonę Tysiąca Łez?

–Nie umiem nawet powiedzieć, czy ona istnieje. Chociaż liczne zwalczające się nawzajem frakcje obsesyjnie jej poszukiwały, mordowały się, by zawładnąć jej tajemnicą, umierały na wygnaniu lub traciły rozum, to zasłona nadal spoczywa w ukryciu, jest jedynie legendą.

–Przecież istnieje! Giyan mi powiedziała, że muszę ją odnaleźć. Tylko tak można uwolnić Giyan. Jeżeli nie znajdę zasłony, Giyan umrze.

–Malasocca jest gorsza od śmierci, o wiele gorsza. Jeżeli sieć zostanie ukończona, Giyan znajdzie się w pułapce bez wyjścia i już po wsze czasy będzie niewolniczo wypełniać wolę arcydemonów. – Postać dialektyka zaczęła iskrzyć, widzieli przez nią przeciwległą ścianę.

–Znika – odezwał się Minnum. – Ostrzegałem was.

–Błagam – powiedziała zdesperowana Riane. – Chyba możesz nam powiedzieć coś więcej.

–Powiedziałem wszystko, co wiem. – Głos Cushsneila słabł, stawał się niewyraźny.
– Reszty musisz się sama dowiedzieć.

–Zaczekaj! – zawołała Riane.

–Jeżeli rzeczywiście jesteś Darem Sala-at, jest ci to pisane.

–Wyjaśnij to!

Było już za późno. Ramahanin zniknął.

Riane, strasznie wyrzekając, odwróciła się do sefirora.

–Kto to są ci Gazi Qhan? Gdzie ich szukać?

–Aaaa, nareszcie łatwe pytanie. – Minnum zatarł dłonie, wyprowadzając Thigpen i dziewczynę z galerii. Żółty dym i kredowy rysunek Pherogonnenu zniknęły. – Gazi Qhan to jedno z pięciu plemion Korrushu. Jeżeli jesteś zdecydowana odnaleźć Zasłonę Tysiąca Łez, proponuję, żebyś tam zaczęła poszukiwania.

–Bez wątpienia naszą podróż na północ rozpoczniemy najszybciej jak się dla – oznajmiła Thigpen, znacząco zerkając na Riane.

Co też jej chodzi po głowie? – zastanawiała się dziewczyna. Spodziewała się raczej, że Thigpen znów będzie ostrzegać, zwłaszcza że... I nagle zrozumiała. Tak mocno pociągnęła Minnuma za rękaw, że sefiror przystanął w pół kroku.

–Kiedy Cushsneil ostrzegał przed walką z Horolagggia bez odpowiedniego przygotowania, patrzył na mnie. Mogę sobie być Darem Sala-at, ale nie jestem nawet wyświęconą czarodziejką. Giyan miała słuszność. Muszę być cierpliwa. Muszę się uczyć.

–I? – zaciekawił się Minnum.

–Hmmm, myślałam, że mogłabym uczyć się u ciebie, że mogłabym... – Riane umilkła, zauważywszy ponure spojrzenie, jakie kustosz posłał Thigpen. – O co

chodzi?

–Ty jej powiesz, droga Rappa, czyja?

–To twoje prawo – rzekła Thigpen. – I twój obowiązek.

Minum potaknął, wzdychając.

–Chociaż ogromnie mi pochlebia twoja prośba, Darze Sala-at, nie mogę jej spełnić.

–Dlaczego? – spytała Riane. – Jesteś sefirorem, może nawet ostatnim. Podobnie jak Matka, stanowisz łącznik z czasami sprzed przybycia V'ornnów. Kto lepiej nauczy mnie magii?

Minum złągodniał.

–Drogi Darze Sala-at, to właśnie z tych przyczyn nie wolno mi uczyć magicznej sztuki ani ciebie, ani nikogo innego. – Uniósł rękę. – Ale chodźmy, nie rozmawiajmy o tym w zimnych korytarzach.

Poprowadził je z powrotem przez skrzącą się główną salę do Wąskiej galerii pełnej rzeźb węży. Riane, która odruchowo zwracała uwagę na szczegóły, zauważyła podobieństwo pomiędzy tymi węzami a wykonaną z cytrynu podobizną świętego węża Miiny, na którą natrafiła w Kellsach pod Opactwem Optywającej Jasności.

Minum nalał im w zamykane szklanice ciepłego, orzeźwiającego, mocno korzennego wina, jakiego Riane nigdy przedtem nie kosztowała. Siedzieli na wyściełanych krzesłach, których wydłużone oparcia odchylały się pod dziwnymi kątami, ustawionych przed kamiennym kominkiem.

Sefiror osuszył swoją szklanicę, otarł wargi. Pochylił się, oparł łokcie na kolanach i powiedział niemal szeptem:

–Zakładam, że coś niecoś wiecie o buncie, który miał pozbawić Matkę władzy.

Riane przytaknęła.

–To się stało w chwili przybycia V'ornnów, w chwili zaginięcia Perły.

–O, Perła nie zginęła, nie. – Minnum potrząsał kudłatą głową. – Sama wielka bogini zabrała Perłę z Kundali. Kiedy klika ramahańskich sefirorów odebrała władzę Matce i zdobyła kontrolę nad Perłą, kiedy zajrzeli w nią i zobaczyli nie prawdę, lecz to, co chcieli zobaczyć, rozgniewana Miina odebrała im Perłę i uniosła ją bardzo, bardzo daleko. Zrobiła Perłę dla Kundali, to było nasze dziedzictwo. Lecz kiedy nadużyliśmy jej mocy, utraciliśmy owo dziedzictwo i bogini nas opuściła. Miało to rozmaite skutki.

Straciliśmy siłę, którą Perła mogła nam dać, żebyśmy odparli V'ornnów. Miina, z sercem nieczułym na to, co spotyka jej lud, trwała beczynną, kiedy klika sefirorów zrobiła z Rappa kozły ofiarne i doprowadziła do ich wybicia. Nie zrobiła nic, kiedy kapłanki przejmowały władzę. Konara mogły przegnać sefirorów z opactw, lecz nie były w stanie odebrać im magicznej mocy. Cóż więc zrobiły? – Minnum westchnął. – Zabili sefirorów. Co do jednego, tylko ja ocalałem. Przeżyłem, bo uciekłem tam, gdzie nikt nie szukałby sefirora: do Korrushu. Przez dwadzieścia lat żyłem całkowicie anonimowo wśród Jeni Cerii, groźnych stepowych wojowników, i nauczyłem się, jak zgładzić wroga. To tam mi się to przytrafiło. – Klepnął się w krzywą nogę. – Kiedy goniliśmy napastników, spadłem z galopującego kuomeshala. Byliśmy o sto pięćdziesiąt kilometrów od najbliższej osady. Rzucili mnie na mojego wierzchowca i zabrali z powrotem do Bandichire, a ja nawet nie pisnąłem. Nastawili mi nogę najlepiej jak mogli, ale niewiele już dało się zrobić.

Riane przypomniała sobie, jak Giyan uleczyła nogę Annona, i zapytała:

–Czemu nie skorzystałeś z magii?

–Przecież się ukrywałem, prawda? Byłem wśród Jeni Cerii, nie mogłem budzić podejrzeń. – Uśmiechnął się szeroko. – No i potem przez całe miesiące opowiadali o moim męstwie. – Poprawił się na krześle. – O czym to ja mówiłem? A, tak, skrót dziejów. Ponieważ nie miałem innego wyjścia, stałem się bystrym uczniem, a potem mistrzem. Kiedy się zorientowałem, że mnie podziwiają i obawiają się mnie, natychmiast odszedłem. Wróciłem do Axis Tyr i znalazłem to muzeum, opuszczone i popadające w ruinę, i postanowiłem, że zostanę w nim kustoszem. Kiedyś zaszedł tu Eleysis Ashera podczas jednej ze swoich przechadzek i obejrzał wszystkie eksponaty.

–Ale to nie wyjaśnia, czemu nie możesz mnie uczyć – powiedziała Riane. – Muszę obronić Giyan przed Horolagggia. Nie pozwolę, żeby ją transmogryfikował. Musisz mi pomóc.

Minnum potrząsnął głową, oczy mu nagle posmutniały i zapadły się.

–Choćbym nie wiem jak chciał, Darze Sala-at, nie mogę. To moja kara. Miina ją na mnie nałożyła.

–To znaczy?

–Wielka bogini odebrała Matce większość mocy za to, że pozwoliła ona, by Perła dostała się w nieodpowiednie ręce.

Riane wiedziała, że to prawda, bo Matka sama jej o tym powiedziała, kiedy dziewczyna ją uwolniła.

–Byłem jedynym ocalałym z rzezi sefirorem, więc Miina wymierzyła mi inną karę. Mam sporą wiedzę, Darze Sala-at. Ale nie potrafię jej w żaden sposób przekazać.

Riane zrobiło się go żal.

–Przecież nie zrobiłeś nic złego. Jako jedyny zdołałeś się uratować. Czemuż miałbyś zostać ukarany? Jakżeż Miina może być tak okrutna?

–Czy to okrucieństwo, Darze Sala-at? Nie osądzaj tak pochopnie wielkiej bogini. Chciwość, zawiść i arogancja sprawiły, że straciliśmy najwspanialszy dar. Czy nie doszło do tego, bo staliśmy się zbyt pewni siebie, bo przestaliśmy szanować bezcenną rzecz? Bo zepsuła nas władza, którą mieliśmy? Jeżeli tak było, a ja w to święcie wierzę, to co nam zostało ze zniszczenia, do którego samiśmy doprowadzili? Ciąg dni, a o każdy z nich musimy walczyć, płacić krwią i śmiercią najbliższych. Cierpienie wypala arogancję, chciwość, zawiść. Jedynie ta ogniowa próba nauczy nas tego, o czym zapomnieliśmy. Tylko dzięki niej pojmimy, kim naprawdę jesteśmy i jakie jest nasze miejsce w kosmosie.

Riane zwiesiła głowę.

–Powiedziałeś, Minnumie, że nie wolno ci uczyć, a przecież nauczyłeś mnie dziś czegoś naprawdę ważnego.

Uśmiechnął się.

–No to może udowodniłem Miinie, że jestem coś wart, bo nie sądzę, żebyś zaszła do mnie przypadkiem.

–Więc pomóż mi raz jeszcze – prosiła Riane. – Nie potrzebowałam Cushsneila, żeby wiedzieć, że nie jestem gotowa stawić czoło Horolaggii. Nie ma co próbować ocalić Giyan tylko po to, żeby przy tym zginąć

Kątem oka widziała, jak Thigpen promiennie się do niej uśmiecha. Dobrze pojęła tę ostatnią lekcję,

Minnum podrapał zarośnięty policzek.

–Może w Korrushu dowiesz się tego, czego ci trzeba. Spójrz na to. – Wykonał gest prawą ręką i na posadzce pojawiła się mapa. Riane i Thigpen przykucnęły obok niej. – Oto Korrush – oznajmił Minnum. – Pięć plemion zamieszkuje dzikie stepy, zachowując chwiejny sojusz, ale zawsze są sprzeczki pomiędzy kapudaanami, czyli wodzami, i utarczki na granicach. Każde plemię ma własne terytorium, tak zwane chire. W każdym chire jest główna osada, nosząca tę samą nazwę. – Kustosz wyciągnął krótki paluch. – Wojowniczy Jeni Cerii są tu, w Bandichire. – Potem przesunął palec na południowy zachód. – Rasan Sul to kupcy korzenni, z którymi

handlują SaTrrynowie, zajmują Okkamchire. – Palec powędrował na zachód. – Han Jod z Shelachire to wspaniali rzemieślnicy. Bey Das to historycy i archeolodzy, więc mają prawo swobodnie przekraczać granice chire; są nomadami, wędrują po całym Korrushu. Główną siedzibę mają w niewielkiej osadzie ImThera. Znajduje się tam Za Hara-at, starożytne święte miasto.

Odblask ognia igrał na twarzy Minnuma, oświetlając rudawą rozwidloną brodę. Dopaliło się polano i zapadło w grube warstwy białego popiołu. Kustosz wstał, pokuśtykał do kominka i dołożył drew. Wrócił i znów wskazał wyczarowaną przez siebie mapę.

–Tu, w Agachire, we wschodniej części Korrushu, w pobliżu granicy z północno-zachodnią strefą Wielkiego Voorgu, mieszkają Gazi Qhan. Cushsneil wspomniał, że słowo „Maasra” wywodzi się z dialektu tego plemienia. Są mistykami Korrushu i przyznają, że właściwie wiem tylko to: w osadzie Agachire jest dzielnica Giyossun. A w niej kashiggen o nazwie Mrashruth, co chyba znaczy „wiotka wierzba”. Prowadzi go dzuoko imieniem Perrnodt i to właśnie ona może ci pomóc.

Riane była zaskoczona.

–A co Tuskugggun wie o Osoru lub Kyofu?

Minum uniósł brew.

–Kto powiedział, że ona jest V’ornnem?

–Musi być. Kiedy V’ornnowie przejęli kashiggeny, każdą kundalańską dzuoko zastąpili Tuskugggun.

–Najwyraźniej nie każdą – rzekł oschle Minnum i zapytał Thigpen: – Czy ona zawsze jest taka pewna siebie?

–Ośmieliłabym się powiedzieć, że to przynosi zarówno pożytek, jak i szkodę – odparła równie oschle Rappa.

Minum chrząknął i znów zwrócił się do Riane.

–Mniejsza o to. Perrnodt nie jest V’ornnem.

–No to wywodzi się z Gazi Qhan – powiedziała Riane, zdecydowana słuchać uważniej.

–Na ten temat nic nie wiem – rzekł cicho kustosz, oczy mu błyszczały. – Dla nas ważniejsze jest to, że jest Ramahanką.

–No to postanowione – oznajmiła Thigpen. – Wraz z Darem Sala-at udamy się do Korrushu, żeby odnaleźć tę Perrnodt.

Minum potrząsnął głową.

–Dar Sala-at musi teraz wszędzie podróżować sam.

–Niemożliwe! Korrush to nieznany i niebezpieczny rejon...

–Nie pójdziesz, Thigpen. – Kustosz mówił cicho, ale stanowczo. – Tak napisano w proroctwach Druugów. – Minnum mocno wparł stopy w posadzkę. – Co więcej, ona nie może się tam udać z nietkniętą magią.

Thigpen wypięła tors i uniosła się na czterech tylnych łapach.

–Teraz to za daleko się posunąłeś. Bez zaklęć będzie bezbronna...

–Jak sama ostatnio się przekonałaś, jest bezbronna z tą swoją żalną fragmentaryczną wiedzą. No i gwarantuję, że bez właściwego przygotowania wyrządzi więcej złego niż dobrego.

–Jak śmiesz tak mówić o Darze Sala-at!

–Mówię prawdę, Thigpen. Riane musi zostać odpowiednio wyuczona i w tym celu powinna się udać do Korrushu.

–Musi być jakiś inny sposób. Ona...

–Dosyć już się was nasłuchiwałam! – krzyknęła Riane. – Przestańcie mówić o mnie tak, jakby mnie tu nie było! – Głęboko odetchnęła. – A teraz wyjaśnij mi, Minnumie, czemu nie mogę się posługiwać czarami w Korrushu.

–Powiedziałem, że nie możesz się tam udać z nietkniętą magią, Darze Sala-at. To nie to samo.

–A czym to się niby różni? – spytała Riane.

–Muszę usunąć całą twoją wiedzę na temat magii. Nie będziesz nic pamiętać.

–No to jak się zaznajomię z Perrnodt? Jak będzie mnie uczyć?

–Dobre pytanie – stwierdził Minnum. Podeszedł do biurka i zaczął otwierać kolejne szuflady. – Gdzie mogłem to wetknąć? – mruzczał do siebie, grzebiąc w kryjącym się tam bałaganie. – A, jest. – Wyciągnął wypolerowaną do połysku szkatułkę z drewna sercowca, rzeźbioną w jakieś dziwne runy, i otworzył ją.

W środku była taka sama opalizująca mgła, jaką Riane widziała w niektórych muzealnych gablotach. Tuman nie rozproszył się po otwarciu szkatułki, wprost przeciwnie – trochę zgęstniał. W pokoju zrobiło się chłodniej. Riane natychmiast się zorientowała, że chłód bije ze szkatułki, a raczej od jej tajemniczej zawartości. Minnum na chwilę zanurzył dłoń we mgle. A kiedy ją wyciągnął, wcale nie wyglądało na to, że coś w niej trzyma. Najwyraźniej bawiła go ich konsternacja.

–Popatrz na czubek mojego palca wskazującego.

–Widzę tylko czarną kropeczkę – powiedziała Riane.

–Właśnie – odparł Minnum. – A jak się ją właściwie umiejscowi, to nie zauważy jej najbystrzejsze oko. – Umieścił kropeczkę poniżej prawego ucha Riane. – Zwyczajny pieprzyk, nieprawdaż? – Pomachał palcem. – A cóż to tak naprawdę jest? Składnica całej twojej magicznej wiedzy.

–Cooo?

–Właśnie tak. – Kustosz uśmiechał się szeroko. – Będiesz miała całą swoją wiedzę ze sobą, w schowku, który jedynie Perrnodt rozpozna i do którego tylko ona będzie miała dostęp.

–Ale po co ta cała tajemniczość? – Thigpen mocno zmarszczyła brwi, a jej wąsiki poruszały się tak gwałtownie, że Riane wiedziała, iż jest ogromnie poruszona.

–Może w ogóle nie będzie to potrzebne. Ale to na wszelki wypadek... na wypadek... – Minnum westchnął. – Może i jestem jedynym żyjącym sefirorem, ale w Korrushu są moce, niszczące, mroczne, którym brakuje jeszcze odpowiedniej wiedzy, żeby mogły rozszerzyć swoje władztwo. – Skrzyżował ramiona na piersi. – Zwą ich sauromicjanami. To nekromanci. Badają zwłoki, rozczłonkowują je, żeby przepowiedzieć przyszłość.

Riane popatrzyła na Thigpen. Wąsiki Rappa drgały niespokojnie.

–Oni przetrwali – ciągnął Minnum. – To czarodzieje, którym odebrano pamięć.

–A mówiłeś, że Ramahanki wymordowały wszystkich sefirorów prócz ciebie – odezwała się Riane.

–To prawda – potwierdził Minnum. – Ale zanim to się stało, rozgniewana Miina zabrała Nedhu i kilku jego najbliższych współników ze spisku, którzy przywłaszczyli sobie Perłę, i zrobiła im to.

–Pozwoliła im błądzić po Korrushu i teraz są niebezpieczni? – Riane potrząsnęła głową. – Naprawdę niezbadane są wyroki wielkiej bogini.

–Tak zapisano – stwierdził Minnum. – Tak się musiało stać. – Dotknął czarnego punkcika pod prawym uchem dziewczyny. – Niewielkie jest prawdopodobieństwo, że spotkasz sauromicjan, ale gdyby stało się najgorsze, nie będą mogli ukraść twojej wiedzy.

–Rozumiem. – Skinęła głową Riane.

–Ależ Darze Sala-at – zaprotestowała Thigpen. – Nie możesz...

–Musi – stwierdził Minnum.

–Jeżeli wydarzy się najgorsze, bez magii nie będzie mogła się obronić.

–Coś mi się zdaje, że nie doceniasz jej zaradności – rzekł kustosz. – Ale nie mam zamiaru pozwolić, żeby się udała do Korrushu bez żadnej ochrony. – Wrócił do biurka, nacisnął sekretny przycisk i otworzyły się drzwiczki. – Gdybyś mimo wszystko natknęła się na sauromicjana, rozpoznasz go po dwóch znakach: po pierwsze, będzie ubrany w czarne szaty z kapturem, po drugie, będzie miał znamię, którym wielka bogini go nazaczyła w swojej mądrości: szósty palec u lewej dłoni, czarny i ohydny jak śmierć.

Minnum otworzył najniższą z czterech szuflad i wyjął sześcienne pudełko z matowego, szarego stopu metali. Było zamknięte na zamek, który kustosz otworzył kilkoma błyskawicznymi ruchami palca wskazującego. Wieczko się odchyliło, a Minnum wyjął ze środka cylinder długości trochę ponad dziesięć centymetrów, mlecznobiały, gładki niczym jedwab.

–Ukryj to, Darze Sala-at – powiedział, wręczając jej cylinder. – Uruchamia się go o tu, blisko tego końca, naciskając złotą tarczkę, nieodcinającą się zbyt od powierzchni. Żeby go wyłączyć, trzeba ponownie nacisnąć tarczkę.

Thigpen podejrzliwie powąchała cylinder.

–Co to jest? To nie kundalańska robota.

–Gwarantuję, że również nie v'ornnańska.

Riane uważnie oglądała tajemniczy przyrząd.

–No to skąd pochodzi?

Minnum wzruszył ramionami.

–Tu go znalazłem, w Muzeum Nieprawdziwych Wspomnień.

–Jak działa? – spytała Riane.

–To kosmiczny brzeszczot. Wykorzystuje mocno skupioną wiązkę goronów i odeprze każdego wroga. – Wyjął cylinder z rąk Riane, uniósł jej gęste włosy i przyczepił go tuż nad karkiem. – Ale oszczędnie z niego korzystaj. Można go uruchomić tylko dwa razy.

–Chyba możesz mi jeszcze coś doradzić.

–Zrobiłbym to, gdybym mógł. – Przesunął palcem po bulwiastym nosie. – Pamiętaj, co mi zrobiła Miina. Powiedziałem ci już wszystko.

Thigpen spojrzała na dziewczynę.

–Tyle zagrożeń, kluseczko. – W kącikach oczu Rappa widać było łzy. – Nagle poczułam, że już nie dam rady cię chronić.

–Kochana Thigpen – powiedziała Riane, gładząc gęste, miękkie futerko – uświadomiłam sobie, że nikt, ani ty, ani Giyan, nie może mnie stale chronić przed moimi wrogami. Sama muszę się bronić, a nie uda mi się to, jeżeli się wszystkiego nie nauczę. Dobrze wiem, że jeszcze nie nadszedł czas, by Dar Sala-at mógł się ujawnić.

–Jeszcze nie. Mimo to...

–Wiem, czego mi życzysz. – Riane ucałowała Thigpen. – Giyan powiedziała mi kiedyś, że przed Darem Sala-at długa, uciążliwa i najeżona niebezpieczeństwami droga. Zostałam wezwana, Thigpen, i muszę podążać moją drogą. A ona mnie prowadzi w sam środek Korrushu.

Kiedy Nith Batoxxx wreszcie się otrząsnął po swej porażce, dochodziła północ. Jak co dzień, zapewnił sobie salamuuunowy odlot, przyjmując dawkę odrobinę większą niż zwykle. Ale nawet potem nie mógł na siebie patrzeć, więc postanowił przyjąć postać Starego V'ornna o czaszce barwy ciemnej miedzi, żylastego, z pomarszczonymi dłońmi. Później wybrał się do rojnego centrum Axis Tyr, wykorzystując tajemne podziemne przejście, które odkrył w Świątyni Mnemoniki. Żadnemu z Gyrgonów nie powiedział o swoim odkryciu. Miał po temu wiele powodów, poza tym lubił mieć swoje tajemnice. Uważał, że ciężar znanych mu tajemnic zgniótlby większość V'ornnów niczym skorupę jaja qwawda.

Pięćdziesięciminutowy spacer do willi, w której mieszkał Stary V'ornn, podzielał nań ożywczo. Jasne, mógł wziąć poduszkowiec, lecz jako Stary V'ornn wolał chodzić pieszo. Po salamuuunowych odlotach wszystko było krystalicznie jasne, ostro odgraniczone, wspaniałe.

Niedawna burza obmyła miasto do czysta. Strumyczki deszczówki wciąż jeszcze spływały kanałami burzowymi, na zatłoczonych ulicach pełno było kałuż. Mijał

rozległe, upstrzone pasiastymi daszkami targowiska, na których sprzedawano wszystko: płody rolne i pasmanterię, błyskotki i drogie kamienie, prostą odzież i cenne korzenie; i bashkirskie domy aukcyjne o jaskrawych barwach, gdzie dniem i nocą zawierano umowy; i rześcicie oświetlone warsztaty Tuskugggun, pełne najrozmaitszych wyrobów. Przeszedł obok wielkiego targowiska, na którym w równiutkich rządach ułożono ryby świeżo złowione w mętnych głębinach Morza Krwi; szkliste oczy ryb przypominały oczy Kundalan po przesłuchaniu w celach pod pałacem regenta. Jednoręki kundalański kupiec usiłował mu sprzedać świeże clemetty, ciągle jeszcze tkwiące na gałęzi, leżącej na wózku zaprzężonym w buttreny. Inny, o okropnie pokancerowanej twarzy, przyglądał się beznamiętnie Staremu V'ornnowi, kiedy ten mijał żalostną ofertę jego wyrobów metalowych. W całym Axis Tyr pełno było ofiar trwających przez dziesięciolecia przesłuchiwań, żywych dowodów daremności ruchu oporu.

Lecz pomimo wszelkich wysiłków Batoxxksa ruch oporu trwał.

Dotarł do swojego ulubionego sklepu, sprzedającego różne przedmioty, zrabowane wielu podbitym przez V'ornnów ludom. Wszedł tam i kupił argggediańskie koło modlitewne. Świetnie zorientowany sprzedawca objaśnił mu, że koło modlitewne wiruje w trzech wymiarach, kiedy się je wystawi na działanie księżycowej poświaty, bo Argggedianie oddawali cześć swojemu bóstwu głwonogowi w czasie pełni. Tak było do przybycia V'ornnów. Nith Batoxxx, zasypywany wiadomościami o religii Argggedian, których wcale nie chciał wysłuchiwać, przerwał sprzedawcy, zapłacił za koło modlitewne i wyszedł ze sklepu.

Już na początku spaceru zauważył, że na ulicach było pełno Khaggggunów – o wiele więcej kręciło się ich teraz, za młodego regenta, niż za czasów jego sparanoizowanego ojca, Wennna Stoggggula. Sprawiało to wrażenie, jakby miasto było w stanie wojny, co budziło grozę w Kundalanach. I o to właśnie chodziło Kurganowi. A Nith Batoxxx wiedział, że Kurgan tego właśnie chciał, bo sam mu to podpowiedział.

Nith Batoxxx zadumał się nad swoimi relacjami z Kurganem Stoggggulem, począwszy od czasów, kiedy to jako Stary V'ornn odseparował chłopca od rodziny, żeby go szkolić zarówno w fizycznej sprawności, jak i w bezwzględności. Był to eksperyment, jak wiele innych przedsięwzięć Nith Batoxxksa. W końcu był technomagiem. Poszukiwał odpowiedzi na pytania niezrozumiałe dla innych kast.

Jako urzędowy Ascensor przewodniczył ceremonii modelowania Kurgana, która odbyła się w Sanktuarium Wyniesienia. Ta oświetlona oculusem komnata była niegdyś kaplicą kundalańskiej bogini Miiny. Teraz v'ornnańskim chłopcom z wyższej kasty usuwano tam czepek i wszczepiano okummmmon, wprowadzając ich w dorosłość. Potem okummmmon dostrajano do częstotliwości Gyrgonów. Nith Batoxxx nadal miał czepek Kurgana – wziął go podczas ceremonii i zastąpił czepkiem

bashkirskiego chłopca, który zmarł podczas modelowania. Jeżeli się wiedziało, jak się do tego zabrać, czepek mógł dostarczyć najrozmaitszych informacji nie tylko o tym, do kogo należał, ale i o całej jego rodzinie. Nith Batoxxx od czasu ceremonii badał czepek Kurgana. I przede wszystkim dlatego tyle wiedział o czekającym chłopaka losie.

Lecz czymże tak naprawdę jest los? Batoxxx, jako Gyrgon, był przyzwyczajony do wpływania na życie stojących niżej od niego, do traktowania ich jak swoich zwierząt laboratoryjnych, do poddawania ich działaniu rozmaitych czynników i oceniania, jak szybko ulegną zniszczeniu. W istocie sam uosabiał Los. W przypadku Kurgana zmienił całą jego rzeczywistość. Nastawił chłopaka przeciwko rodzinie, a szczególnie przeciwko ojcu. Nauczył go nienawidzić, a potem trzymał się z boku, zadowolony i dumny, obserwując, jak jego uczeń z zimną krwią i determinacją przygotowuje zabójstwo swego ojca. Bo Kurganowe upodobania i uprzedzenia, wybory, powodujące nim demony były dziełem Nith Batoxxksa. Przypominało to malowanie perfekcyjnego wizerunku śmierci. Nadał destrukcji imię i oblicze V'ornna, dał fałszywe wspomnienia, a wraz z tym i sfabrykowany cel. Puścił maszynę w ruch i z fascynacją patrzył, jakie spustoszenia to powodowało.

Bulwar Nagonogów rozświetlony, gwarny, pełen potracających się przechodniów. Trzy Tuskugggun siedziały w kawiarnianym ogródku i rozmawiały o handlu wyrobami metalowymi, wymieniały się próbkami nowych stopów, które wymyśliły. W tłumie zręcznie lawirował bashkirski chłopiec, który sprytnie zwinął jakieś świecidełko, mijając stragan. Biegła za nim zdesperowana matka, nie mając pojęcia, podobnie jak sprzedawca, o postępkach dziecka. Nith Batoxxx w postaci Starego v'ornna uśmiechnął się lekko, wspominając małego Kurgana, którego przebiegłości i sprytowi pomógł się rozwinąć.

Kiedy tak rozmyślał nad modelowaniem Kurgana, uderzyło go, że chociaż nie należał do Stogggulów, więcej wiedział o chłopaku niż ktokolwiek z rodziny. Z wyjątkiem najlepszego przyjaciela Kurgana, Annona Ashery. Annon miał niesamowitą intuicję i dlatego Nith Batoxxx nienawidził go równie mocno jak jego zdradzieckiego ojca. Właściwie chciałby, żeby Annon żył, bo wówczas z największą rozkoszą znów by go zabił.

Teraz Kurgan był jeszcze bardziej związany z Nith Batoxxksem. Gyrgon, żeby go lepiej mieć na oku, zmusił chłopaka do służby u siebie. Lecz było jeszcze coś. Kurgan był młody, lecz Nith Batoxxx nie przez przypadek wybrał go wiele lat temu. Sprawdził jego równania i dopatrzył się w nich zadatków wielkości. Jeżeli to się sprawdzi, Kurgan zyska większą władzę niż jakikolwiek Bashkir przed nim. Dlatego też chciał mieć pewność, iż chłopak będzie się kierował właściwymi zasadami, bo – jak Nith Batoxxx aż za dobrze wiedział – sprawowanie władzy to niebezpieczna zabawa, która łatwo może doprowadzić do zguby.

Z bulwaru Nagonogów Batoxxx skręcił w wąską, cichą ulicę Cynobrową. Willa, o którą się dla siebie wystarał, należała niegdyś do renomowanego kundalańskiego artysty, zmarłego po przesłuchaniach zaleconych przez Nith Batoxxksa. Rodzina artysty, próbująca odzyskać willę, została raz-dwa uciszona w podobny sposób. No i willa była do wynajęcia, o co od początku chodziło. Jednak ani artysta, ani jego rodzina nie mieli o tym pojęcia.

Willa była całkiem ładna, jasna i przestronna, ale nie to interesowało Batoxxksa. Zwabił go tu tylny podwórzec, skłonił do zamordowania poprzedniego właściciela i jego rodziny i do spędzenia długich godzin na mozolnym zakładaniu ogrodu. Dokonał tego, chociaż nigdy wcześniej nie interesował się ogrodnictwem, zrobił to niemal nieświadomie, jakby kierował nim jakiś głos czy obecność. I właśnie tak było.

Kiedy teraz Nith Batoxxx przemierzał pokoje willi, mijał salon i wchodził do obszernego atelier, które przekształcił w gimnazjon na potrzeby lekcji z Kurganem, czuł, jak w nim i wokół niego wzbiera mroczny strumień. Gromadził się mrok bardziej niż Batoxxx zadomowiony w willi.

W drugim końcu gimnazjonu Gyrgon dotknął pewnej płytki i otworzył przejście. Miał przed sobą podwórzec. Posługując się równaniami ognia i wody, wypełnił go skałkami, kamieniami i głazami najrozmaitszych kształtów i rozmiarów. Dobiegł go szmer wody, lecz sadzawka, którą wraz z Kurganem założyli, pozostawała niewidoczna, dopóki nie stanęło się tuż obok, pośrodku podwórca. To właśnie tu należało ulokować sadzawkę, w miejscu, gdzie tryskało pradawne źródło, o którego istnieniu Batoxxx wiedział, zanim jeszcze zaczął kopać. „Stanąc pośrodku – powiedział głos w jego myślach – to wszystko dostrzegać”. Nauczył tego Kurgana.

Starannie umieścił argggediańskie koło modlitewne na płaskim czarnym kamieniu obok sadzawki – by odprawić ofiarę, pierwotny akt, pełen szacunku rytuał, niezbędny przy tak uroczystym i uświęconym wydarzeniu. Wprawiwszy się w ten osobliwy nastrój, spojrział w sadzawkę niczym kapłan patrzący w oblicze swego boga.

Woda była czarna jak smoła, niewyobrażalnie głęboka. Gyrgon uniósł wzrok, bardzo powoli się obracał, zataczając pełne koło, dostrzegał każdy szczegół ogrodu, wspominał przy tym układanie każdej skałki i głazu, sadzenie roślin i drzew. W chwili poprzedzającej zanurzenie się w sadzawce doznał wrażenia, że ogród jest swego rodzaju kalendarium, zapisem czasu, jaki spędził na Kundali. Był uszczęśliwiony, że miał okazję zostać bohaterem – Gyrgon, który wreszcie okiełznał śmiercionośną część, Gyrgon zdolny obronić swoją rasę przed Bożą Hordą Zagłady, jak sami siebie nazywali Centophenni.

Działo się to, zanim wyczuł czyjąś obecność, zanim wezbrał czarny blask, zanim dał się słyszeć głos i przeniknął przez neuralne sieci Batoxxksa, zawładnął jego umysłem

i okresowo tam rezydował. Początkowo zajęty codziennymi sprawami Batoxxx potrafił Sam siebie przekonać, że to był jedynie sen. Lecz potem znów ciągnęło go do willi i znów czuł czyjąś obecność. To coś było cierpliwe, o, jakże cierpliwe, i przez dziesięciolecia hodowało swój czarny blask niczym ogrodnik, którym i Batoxxx się stał.

Woda była zimna, ale nie zważał na to. Brzegi sadzawki były oślizłe od mchu i alg, lecz nie zwracał na to uwagi. Bo i po co? Tam był dom, a wołający go chłód i mrok znajdował się w więzieniu, które należy otworzyć bez względu na cenę.

Zanurkował w mrok i czekał.

Było cicho, tak cicho, że słyszał bicie swoich serc i pulsowanie krwi w żyłach.

Nadchodziło, wzbierało, żeby się z nim całkowicie złączyć – a przynajmniej na tyle, na ile pozwalały straszliwe więzy je krępujące. Jak długo tkwiło w więzieniu? Nawet jego gyrgoni umysł nie był w stanie pojąć takiego czasu. To było niemożliwe. Jego nadzwyczaj logiczny umysł spokojnie go informował, że coś takiego po prostu nie mogło się wydarzyć.

A przecież się wydarzyło.

Oto pojawiał się niezbity dowód i w umyśle Gyrgona rozbrzmiały znajome słowa: Drzyjcie przede mną, albowiem jam jest tym, co przetrwa.

Zamglony szczyt 1

Mówiłeś, że to będzie drobnostka.

Bo to nic wielkiego i już się dokonało.

Dwa olbrzymie smoki przysiadły w gęstej magicznej mgłę ponad Niebiańską Kaskadą, świętym wodospadem Miiny.

Mówiłeś, że poza nami nikt się nie dowie.

A któż, oprócz nas wie?

Zamknięcia portalu, które Miina poleciła nam uczynić z ognia, ziemi, powietrza, wody i drewna...

Wszyscy pięcioro pracowaliśmy nad zamkami portalu, zanim Miina je zaklęła...

Rzecz w tym, że zostały naruszone...

... jak przepowiedziano...

A skoro zostały naruszone, to demony grasują.

Demony zawsze grasowały.

Lecz to są arcydemony. Nie oglądaliśmy ich przez całe eony.

Jeden ze Smoków, czerwony niczym zachód słońca, poruszył się leniwie.

Jeżeli przywrócą błyskawice...

Mój drogi – drugi smok, a właściwie smoczyca, był nieco mniejszy, czarny jak smoła, jak heban – chyba nie chcesz dać arcydemonom swego błogosławieństwa?

Oczywiście, że nie. Czyżbyś zapomniała? Żadne z nas nie chce. Od eonów. Od czasów, gdy błyskawice przecinały niebo, narbucki niknęły w mgle na szczytach Djenn Marre, a ogień płonął w moich żyłach jak płynna magma.

Teraz Dar Sala-at przynosi nam nadzieję odkupienia.

Koło się obraca, święte przepowiednie spełniają się jedna po drugiej.

Cierpliwość nie jest cnotą ognia. Demony... Zachowaj ostrożność, naruszając zasady, bo jeżeli nasi wrogowie się zorientują...

Nie zorientują się. – Czerwony smok się uśmiechnął, ukazując lśniące kły wielkości przedniej nogi cthaurosa.

Czarna smoczyca zwróciła ku niemu wielki grzebieniasty łeb.

Mimo tego, co zrobisz?

Jestem sprytny.

Nie przechwalaj się, mój drogi. To nie przystoi.

Poprzez nieustający huk wodospadu przebił się gromki śmiech, od którego zatrzęsała się ziemia i zadrżało niebo. Poderwały się chmury przerażonego ptactwa i rozpierzchły we wszystkie strony.

Dlaczego się śmiejesz? – Smoczyca, zirytowana, potrząsnęła łbem. – Co cię tak rozbawiło?

Kiedy wcześniej mi powiedziałaś, że nie chcesz wiedzieć, co mam zamiar zrobić, to założyłem się sam ze sobą i teraz wygrałem zakład.

No dobrze. Powiedz mi.

**Wedle życzenia. - Czerwony smok sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie. –
Włączyłem do sprawy Minnuma.**

Nie zrobiłeś tego!

Ależ tak!

I to nazywasz „drobnostką”?

Sama musisz przyznać, że Minnum nie jest duży.

Jesteś nieznośny, wiesz?

Czerwony smok przysunął się i otarł o towarzyszkę.

Gniewasz się? Powiedz, że nie jesteś na mnie zła.

Nie jestem z tych, co naginają Prawa.

**Ja też nie, ale musiałem coś zrobić. Sama widzisz, co się dzieje. Horolagggia
przywłaszczył sobie Malasocca.**

Przyznaję, że to było wstrętne z jego strony: zabić Cerrna i zająć jego miejsce.

A Pyphoros? Miałem dość przyglądania się, jak łamie Prawa.

Minnum jest niebezpieczny, bo nieprzewidywalny.

Ale przetrwał.

Tak. A przetrwanie nieuchronnie oznacza poświęcanie innych.

Jesteś zbyt surowa.

Będzie kłamał.

**Jasne, że będzie. Miina o to zadbała. Lecz to go nie czyni ani odrobinę mniej
godnym zaufania.**

Są jeszcze inni. Machinacje Minnuma na pewno wyrwą ich ze stuletniego snu...

Słyszałaś. Minnum uważa, że już się ocknęli.

Tak. I jeżeli tak się stało...

Nie ufasz Darowi Sala-at?

Dziewczyna jest zbyt młoda i niedoświadczona.

Lecz ty, sama Miina wie, taka nie jesteś. Zaufaj jej, tak jak ja.

Czarny smok potrząsnął grzebieniastym łbem.

Zbyt wiele przeszkód przed nią.

Więc zostanie poddana próbie, jak zapowiedziano w proroctwie. I zdobędzie twoje zaufanie.

Smoczyca pograżyła się w jeszcze głębszej zadumie. Jej oczy były piękne i wyraziste, miały barwę i blask kamieni księżycowych.

Jest coś jeszcze. Czy wzięłaś pod uwagę, że wyprzedzające uderzenie Horolagggii może mieć inny, bardziej groźny powód?

Czerwony smok wysunął kryształowe pazury, przestąpił z łapy na łapę.

Bardziej groźny niż przemiana w czarodziejkę Giyan? A cóż by to mogło być?

Być może chodzi mu o to, co sam przewidziałeś: chce nas wciągnąć w przedwczesną walkę, jak to zrobił z naszą siostrą.

A tak, zapomniałem. – Czerwony smok uśmiechnął się szyderczo, w jego nozdrzach tańczył płomień. – Wszyscy musimy trafić w swój czas.

Otóż to. Już nie jest tak jak dawniej, mój drogi.

Lecz my jesteśmy wieczni. Mamy obowiązek przywrócić to, co było.

Smoczyca westchnęła.

To prawda. Jednak powinniśmy zważać na naszych wrogów i na to, gdzie jesteśmy na Asa'ara. Czyli Wielkim Kolisku Losu.

Osobliwa gorzka nuta w głosie czerwonego smoka sprawiła, że serce jego towarzyski ścisnęło się boleśnie.

Tak. Jeżeli będziemy działać zbyt pośpiesznie, narazimy się na niebezpieczeństwo. – Smoczyca splotła najeżony kolcami ogon z ogonem czerwonego smoka. - Módlmy się do Miiny, żeby twoja drobna interwencja nie spowodowała zguby Daru Sala-at.

Księga druga

Wrota cierpliwości

Niecierpliwość to bez wątpienia jeden z najpoważniejszych błędów, jakie może popełnić czarodziejka. W parze z mocą idzie zdolność do działania, a wraz z nimi pojawia się przemożna chęć, by coś zrobić nawet wówczas, gdy roztropność nakazuje bezczynność. Ostrzegamy was zatem, pochopni uczniowie Osoru! Ćwiczcie się w cierpliwości, ćwiczcie wytrwale, inaczej bowiem po kres swoich dni cierpieć będziecie z powodu swej nierozważności.

Przezyste Źródło

Święty Pięcioksiąg Miiny

10. Jajo

Loymnal czał się w mroku, czekał. W trzech wypukłych, niebieskawych jak dym ślepiach odbijała się okolica. A wokół rozciągał się step: pusta pofałdowana powierzchnia, wysepki poskręcanych drzew, łachy wyblakłych porostów, morze lawendowych traw kołysanych wiatrem. To surowe piękno pozwalało odczuć odwieczność i ponadczasowość, a także nieopisaną samotność. Nowo przybyłych ów bezkres przyprawiał o zawrót głowy, a kiedy osypał ich czerwonawy drobniutki pył, byli już nim upojeni.

Noc była bezksiężycowa, chłodna. Powietrze nad trawiastą płaszczyzną wielkiego stepu było nadzwyczaj przejrzyste, co powiększało upiornie białe, pokryte lodem szczyty Djenn Marre. Mrok przydał wysokiej trawie masywności i gęstości, uczynił z niej odrębny świat. A lymnal wyczuwał w tym świecie jakiś nieznaczny ruch, źródło ciepła – może inną czającą się istotę lub płytki niespokojny oddech czy przyspieszone tętno kogoś sprężonego i gotowego do skoku.

Lymnal, przyczajony na granicach obozowiska Gazi Qhan, został specjalnie wyszkolony do wykrywania takich ulotnych zjawisk. Jego nozdrza drgały i rozdymały się, troje ślepi wypatrywało w ciemnościach zarysów czegoś odmiennego. Marmalon wychylił łebek z norki, ale lymnal, chociaż głodny, nie zwrócił uwagi na gryzonia. Dał się słyszeć cichy szum skrzydeł finbatów i marmalon zniknął. Całe stado finbatów latało ponad trawiastą równiną, szukając sobie kolacji. Potem i one zniknęły. Po niebie płynęły chmury, można było wyczuć czyjąś ciemniejszą od mroku obecność – także to lymnal zauważył.

Poczuł zapach, zanim zobaczył ruch – a wiedział, że w stanie ogromnego napięcia dwunożni intruzi wydzielają zapach. Więc kiedy jakaś postać zaczęła gnać do

obozowiska, on już ku niej ruszał.

Lymmnał, nie wydając żadnego dźwięku, zatopił potrójny szereg zębów w ramieniu intruza. Potem uderzył weń całym ciężarem i zwałił go z nóg. Uchylił się przed ciosem noża, zwarł potężne szczęki, miażdżąc intruzowi bark. Ten zemdłał, a lymmnał, zadowolony z siebie, zawlókł go w krąg blasku ognia.

Szesnaścioro Gazi Qhan siedziało lub stało obok drzewa, które strzeliście i dumnie wyrastało z czerwonej ziemi. Ognisko strzelało i iskrzyło, w popiele stał pokryty sadzą garnek. Za drzewem leżała na plecach kobieta. Mężczyzna gładził jej wydęty brzuch, recytując Ber-Bnadem, modły narodzin. Pomiedzy nogami ciężarnej klęczała kobieta, powoli i cicho przemawiająca do mającego się narodzić dziecka.

Othnam dał znak lymmnałowi, a ten posłusznie puścił intruza. Mehmmer, młodsza siostra Othnama, pomogła mu zawlec intruza pod drzewo.

–Jeni Cerii – stwierdził Othnam, czochrając gęstą sierść na masywnym karku lymmnała.

Ocucił Jeni Cerii. Przez pół godziny go wypytywali, nie udało mu się jednak uzyskać żadnej odpowiedzi.

Mehmmer plunęła szpiegowi w twarz.

Ktoś rzucił lymmnałowi kawałek surowego mięsa, a zwierz natychmiast go połknął z krótkim sapnięciem. Lymmnałe prawie w ogóle nie wydawały dźwięków, chyba że w obliczu największego zagrożenia.

Othnam patrzył na cierniodrzew – sękaty, szaroczarny, stary jak sam czas i wspaniały. Obydwoje z siostrą opiekowali się tym drzewem, odkąd zaczęli chodzić; jego korzenie chroniły pogrzebanych pod nim rodziców i dziadków. Teraz drzewo należało do Othnama i Mehmmer – spuścizna nadziei. A kiedy oni sami obrócą się w proch, będzie należało do ich potomków. Kiedy wracali z długich wypraw, drzewo było ich ostoją, symbolem domu.

Othnam i Mehmmer powiesili Jeni Cerii na najmocniejszym konarze, żeby – zgodnie ze zwyczajem – powoli i boleśnie się udusił. Jego podrygi spowodowały deszcz niewielkich, twardych owoców. Jego śmierci nie towarzyszyły żadne modły. Co też było zgodne ze zwyczajem.

Mehmmer ciemnymi, błyszczącymi oczyma z satysfakcją obserwowała przedśmiertne drgawki szpiega. Była wysoka i równie barczysta jak brat. Włosy miała czarne z granatowym połyskiem, splecione w wymyślne warkoczyki usiane małutkimi nakrapianymi muszelkami ghryea, krążkami ciemnego prążkowanego bursztynu i łezkami cesarskiego karneolu. Ubrana była w obcisłe skórzane spodnie sięgające tuż

za kolana, przewiązaną w pasie koszulę o luźnych rękawach, z nie barwionego muślinu, i żółte buty na cienkiej podeszwie, z zakręconymi srebrnymi noskami. Do pasa przypięła miecz o wąskiej klindze, bułat i sztylet o rękojeści wysadzonej drogimi kamieniami. Było to jej dzieło.

Jej roboty był również sztylet brata, bardzo użyteczny w walce wręcz i nadający się do rzucania. Wspaniale wyważona rękojeść zakończona kulką doskonale leżała w dłoni, a cienkie ostrze wychodziło pomiędzy palcem wskazującym a środkowym. Była to broń świetna w ścisku. Wiele razy ocaliła Othnamowi życie.

–Niecały dzień drogi od Agachire, a już nas śledzą Jeni Cerii – powiedziała Mehmmer. – Co powinniśmy zrobić?

–Zanieść Makktuubowi ten dowód przewrotności Jeni Cerii – odparł Othnam.

–A jeżeli Makktuub zapyta. – Na twarzy Mehmmer odmalował się niepokój. – Jeśli zechce wiedzieć, co robiliśmy?

–Jesteśmy zwykłymi kupcami, spokojnymi i pobożnymi.

Mehmmer spojrzała niespokojnie na kołyszącego się na stryczku szpiega.

–Chodzi mi właśnie o tę pobożność.

–Ani Jeni Cerii, ani Makktuub nie znają świętych miejsc Ghorvishów. – Othnam odwrócił wzrok. – Bądź pewna, siostrze, że tak pozostanie.

–Ale iść do Makktuuba...

–Zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństwa – powiedział trochę ostrzej, niż zamierzał.

–Oczywiście, obydwójce znamy zagrożenia. Nasi rodzice...

–Nie mówmy teraz o ich cierpieniu – rzekł łagodnie Othnam. – W ciągu ostatnich trzech dni, w rocznicę ich śmierci, odśpiewaliśmy na ich cześć cały Khendren.

–Tak, bracie.

–Nie popełnimy tego samego błędu co oni – szepnął. – Będziemy przyjaciółmi Makktuuba, wypełnimy jego wolę. A w zamian on pozwoli nam zachować naszą wiarę.

Mehmmer miała ciemną karnację, Othnam nie. Miał złociste włosy, które – jak wszyscy mężczyźni – zbierał na czubku głowy w gruby, lśniący od olejków węzeł. Jego twarz o delikatnych rysach, ogorzała od słońca i wiatru, pobrużdżona i naznaczona szramą po wrogim ostrzu, miała stanowczy wyraz. Miał oczy mistyka, widzące to, czego inni nie potrafili dostrzec. Były błękitne niczym niebo, z

jaskrawoszmaragdowymi plamkami – zwanymi gondshowymi skrętkami – co stanowiło dowód, że Othnam należy do wybrańców Ghorów, starożytnych mędrców, co od samego Jiharrego otrzymali Mokakaddir, odprawiany przez Gazi Qhan cykl ekstatycznych modlitw.

Lymnal opuścił swoje miejsce u boku Othnama, potruchtał do noworodka i zaczął go lizać. Rozpromieniona matka ostrożnie dotykała maleńkich, wilgotnych paluszków stopek.

Brat i siostra poszli za lymnalem, stąpając w blasku ognia i wzorze z cieni rzucanych przez powyginane gałęzie cierniodrzewu. Mehmmer wzięła malutką dziewczynkę na rękę; podtrzymała ją mocnym, opalonym ramieniem i zgodnie z obyczajem wycierała swoim sischalem o luźnym splocie, który owinięty wokół głowy i szyi, chronił od słońca, wiatru, deszczu i pyłu. Potem pocałowała dziecko w środek czoła. Othnam stał obok siostry, trzymając w ręku sztylet o zakrzywionym ostrzu. Mehmmer śpiewnie recytowała, on zaś czubkiem ostrza wykonał na mostku maleństwa trzy niewielkie rytualne nacięcia. Dziecko krzyczało, z delikatnego ciała płynęła krew, skapywała na obnażony brzuch matki. Potem Mehmmer wtarła w ranki maść, zatamowała krwawienie. Dziewczynka przestała płakać. Jej rozbiegane oczka patrzyły w dal; mocno złapała palec Mehmmer. Mehmmer, uśmiechając się, podała ją Othnamowi, on zaś uniósł noworodka ku nocnemu niebu i wyrecytował rytualną modlitwę:

–Zadano i otrzymano pierwszą w życiu ranę. Plemię przyjęło krew na dowód wierności i oddania. Teraz zaś udziela się pierwszego błogosławieństwa i przyjmuje je. Obyś wyrosła duża, silna ciałem i duchem. Oby cały Korrush był dla ciebie pastwiskiem i polem bitwy. Obyś żyła sto lat, wystarczająco długo, by ujrzeć zjednoczenie i oblicze proroka.

Rytuał dobiegł końca. Othnam oddał malutką Jeene rodzicom, a potem wraz z Mehmmer odciął z gałęzi Jeni Cerii. Odarli go z odzieży, broń zabrali jako łup i oddali rodzicom Jeene, bo Jeni Cerii został zabity w noc narodzin ich córeczki.

Czerwony pył Korrushu unosił się nad obozowiskiem, a oni, przykucnięci obok trupa, powoli i metodycznie odzierali czaszkę ze skóry i ciała. O Jeni Cerii nie wiedzieli dużo – podobnie jak o innych plemionach – właściwie tylko tyle, że należy się ich obawiać. Ponura czynność, której się właśnie oddawali, spełniała rolę balsamu kojącego ów pierwotny strach. Wierny lymnal leżał w pobliżu, zwinięty z zadowoleniem przy ognisku, i obojętnie przyglądał im się okiem osadzonym z tyłu głowy.

Lymnal zbudził się z płytkiego snu, bo lymnale nie śpią tak jak inne stworzenia. Otworzył, jedno po drugim, troje oczu, bezszelestnie się podniósł i odbiegł, pozostawiając za sobą postaci śpiące wokół cierniodrzewu, na którym wisiała biała

czaszka, schnąc w pierwszych czerwonych padających ukośnie promieniach słońca.

Lymnal węszył z nosem przy ziemi, mięśnie miał lekko napięte. Czuł jakąś zupełnie obcą woń. Jego podłużny łeb kołysał się niczym igła kompasu. Skradał się gotowy do ataku, lecz był nie tylko niespokojny, ale i zaciekawiony.

Zapach doprowadził go w końcu do jakiejś kobiety – siedziała, ciasno owinięta obszerną opończą. Pochylała się, chyba spała, lecz kiedy lymnal się zbliżał, powoli uniosła głowę. Otworzyła oczy i spojrzała na zwierzę.

Lymnal się uspokoił, przysiadł, wyciągając przed siebie przednie łapy. Wydał cichy dźwięk, a owa istota po chwili odpowiedziała mu tak samo. Nawiązała się mrużana rozmowa; obca istota przysuwała się coraz bliżej, aż wreszcie zetknęli się nosami, obwąchali i polizali.

Kiedy lymnal przyprowadził tę nowo poznaną istotę do obozowiska, bardzo się zdziwił na widok min swoich panów. Nie mógł pojąć, czemu Othnam dobył miecza, a Mehmmer patrzyła gniewnie na zakapturzoną postać.

–Jaką sztuczką, obcy przybyszu, omamiłeś naszego lymnala? – warknęła Mehmmer. Budziła się reszta obozujących, dobywali broni i kierowali ją w stronę intruza. – Jeśli przysłali cię Jeni Cerii, byś błagał o życie ich szpiega, to już za późno. – Wskazała czaszkę bielejącą w promieniach wschodzącego słońca.

Riane zsunęła z głowy kaptur opończy Nith Sahora, głaskała grzbiet potulnego lymnala.

–Jak sama widzisz, nie jestem Jeni Cerii, nie pochodzę też z żadnego innego z pięciu plemion. Przychodzę z Axis Tyr, miasta na południu. Mam na imię Riane.

–To nie może być twoje prawdziwe imię – powiedziała Mehmmer.

–Mogę tylko powiedzieć, że to jedyne imię, jakie znam. Nie pamiętam dzieciństwa spędzonego wysoko w górach Djenn Marre, nie pamiętam ani rodziców, ani tego, czy mam rodzeństwo.

Przez twarz Mehmmer przemknął cień. Othnam przedstawił siebie i siostrę.

–Skoro jesteście Gazi Qhan, to nie zmyliłam drogi. – Uśmiechnęła się Riane. – W odpowiedzi na twoje pytanie powiem, że umiem postępować ze zwierzętami. Uważam też, że to stworzenie wie, że nie jestem dla was zagrożeniem. – Przyjrzała się wszystkim, a zwłaszcza Othnamowi i Mehmmer.

–Przypuśćmy, że mówisz prawdę, ale dlaczego zawędrowałaś aż tak daleko od Axis

Tyr? – zapytała szorstko Mehmmer.

–Chcę się bezpiecznie dostać do Agachire. Pragnę się widzieć z dzuoko...

–Nie znamy cię. Chyba oszalałaś, skoro myślisz, że pozwolimy ci wejść w głąb naszych ziem. – Mehmmer, unosząc miecz, postąpiła ku Riane, ale Othnam ją powstrzymał.

–Moja siostra jeszcze jest zdenerwowana znalezieniem szpiega Jeni Cerii – powiedział. – Przepraszam cię.

–Nie musisz przeproszać – odparła Riane. – Nie mam wam za złe podejrzliwości. Wygląda na to, że żyjecie w dość chwiejnej równowadze.

–Tak. Pomiędzy plemionami trwa nieustająca wojna: wypadki i kontrwypadki, śmierć i zemsta, co rodzi kolejną pomstę i śmierć. – Othnam ruchem głowy wskazał nóż Riane. – Widzę, że masz sztylet wspaniałej roboty. Mogę go obejrzeć?

–Oczywiście. – Riane podała mu sztylet, który Eleana dała Annonowi, swoją najcenniejszą rzecz.

Othnam wziął broń i jednym szybkim ruchem przytknął ostrze do jej szyi.

–Nie boisz się, że ci poderżnę gardło od ucha do ucha?

–Owszem, boję się, że zadrży ci ręka i nieumyślnie upuścisz mi krwi – odparła Riane. – Ale gdybym się bała ciebie, nigdy nie dałabym ci sztyletu.

Othnam chrząknął, odwrócił w dłoni sztylet i podał go dziewczynie.

–Zatrzymaj go, jeżeli chcesz – powiedziała Riane. – Nie sądzę, żeby mi był potrzebny, dopóki jestem pod twoją ochroną.

Othnam skinął głową, najwyraźniej zadowolony.

–Pozwolimy ci pójść do Agachire.

–Oszalałaś, bracie? – napadła nań Mehmmer, oczy jej pałały. Chyba nie mówisz poważnie, przecież ona nadeszła z tego samego kierunku co szpieg Jeni Cerii, któregośmy dopiero co powiesili.

–Wędrowałam całą noc – powiedziała Riane. – Nikogo nie widziałam.

Othnam już miał odpowiedzieć, kiedy ich uwagę przykuł krzyk dobiegający z drugiego krańca obozowiska. Biegł ku nim, gestykulując, Paddii, ojciec noworodka.

–Chodzi o Jeene – powiedział, ogromnie zaniepokojony. – Przestała oddychać. Wszystkiego już próbowaliśmy... nie wiemy...

–Pozwólcie mi ją obejrzeć – odezwała się natychmiast Riane.

–Zrób choć krok... – ostrzegła Mehmmer.

–Błagam – wtrącił Paddii – niech ktoś coś zrobi. Moja córka umiera.

–Wasz strażnik wiele razy ocalił wam życie – powiedziała Riane. – Wie, że nie chcę was skrzywdzić. Dlaczego wątpicie w jego osąd?

–A jeżeli go omamiłaś czarami? – spytała Mehmmer.

–Słyszeliśmy o czarodziejach, złych istotach znanych jako sauromicjanie – rzekł Othnam. – Błuznią przeciwko prorokowi Jiharremu.

–Nie jestem sauromicjanką – powiedziała zgodnie z prawdą Riane. – Oddałam wam broń. Pozwólcie mi pomóc.

Othnam chwilę się wahał, potem skinął głową. Zaprowadził Riane do maleńkiej Jeene, posiniałej i leżącej bez ruchu na brzuchu matki. Paddii truchtał z boku. Matka łkała i zanosila modły.

Riane uklękła. Otworzyła noworodkowi buzię, wsunęła palec w gardelko.

–Coś tkwi w tchawicy malutkiej. Jeżeli natychmiast się nią nie zajmiecie, za chwilę umrze.

Matka dziecka zawodziła, Paddii przewrócił oczami. Mehmmer odepchnęła Riane, włożyła palec do gardła dziewczynki.

–Rzeczywiście coś tam tkwi – powiedziała. Pochyliła się mocniej, skupiona, poczerwieniała. – Nie mogę... Nie da się wyciągnąć.

–Mogę uratować dziecko.

–Nie dotkniesz jej – rzuciła oschle Mehmmer.

–Czy twój gniew i podejrzliwość ma pozbawić najmłodszego współplemieńca szansy przeżycia?

–Mehmmer – odezwał się łagodnie Othnam – ufa jej nasz wierny Haqqa. Nie spuścimy z niej oka. Pozwól jej działać.

Mehmmer łypnęła gniewnie na brata, potem się podniosła, niechętnie skinęła głową

i odsunęła się, robiąc Riane miejsce.

–Jeżeli dziecko umrze... – Dotknęła miecza.

Riane nie zwracała na nią uwagi. Uklękła, wzięła malutką na rękę, otworzyła jej buzię. Szybko się przekonała, że w tchawicy dziecka utknął malutki owoc ciemiodrzewu, który wpadł w jego otwarte usteczka, kiedy spało.

–Mogło tak być – rzekła rozdrażniona Mehmmer. – Owoce spadają z początkiem zimy.

Riane obserwowała pozostałych. Bała się, że zima już się zaczęła, a ona nie była ani odrobinę bliższa odnalezienia Zasłony Tysiąca Łez. Ci ludzie najwyraźniej jej nie ufali. Co będzie, jeżeli nie dotrze do Perrnodt? Albo jeśli Perrnodt nie będzie mogła jej pomóc? Wyciszyła umysł, odsunęła na bok wątpliwości i skoncentrowała się na tym, co teraz trzeba było zrobić.

–Czy ktoś ma broń o wąskim ostrzu?

Mehmmer zareagowała, jakby Riane ją uderzyła.

–Co ci...?

Othnam podał jej swój sztylet, a siostra obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

–Modłę się do Jiharrego, byś wiedziała, co robisz, przybyszko.

Riane blokowała palcami szczękę dziecka, żeby nie zamknęło buzi, i wsunęła wąskie ostrze w gardziółko.

Matka wydała zduszony krzyk, Mehmmer jeszcze głośniejsze zanosila modły.

Czubek ostrza dosięgnął owocu. Riane wiedziała, że ma jedno jedyne cięcie. Jeżeli nie przebije owocu lub choć ociupinkę chybi, ostrze może trafić w główną tętnicę. Lecz jeżeli nic nie zrobi, dziewczynka i tak umrze.

Pomodliła się w duchu do Miiny, by prowadziła jej rękę, i pchnęła ostrze, leciutko pod wyliczonym kątem. Czubek gładko wszedł w owoc, który Riane następnie wyciągnęła z gardła dziewczynki.

Oddała Othnamowi jego sztylet, a sama wtlaczała powietrze w płuca Jeene. Kiedy malutka znów samodzielnie oddychała, Riane oddalają matce, łkającej z ulgi i wdzięczności.

–Dzięki – powiedział Othnam.

Riane skinęła głową i wstała.

–Czy mogłabym dostać coś do picia?

Ktoś chciał spełnić jej prośbę, lecz Mehmmer powstrzymała go gestem. Sama nalała wody z wiszącego na drewnianym haku sierpowatego pęcherza i podała Riane miedziany kubek. Ich dłonie zetknęły się na chwilę, dziewczyny popatrzyły sobie w oczy.

–Będziemy zaszczyceni, dając ci wolną drogę do Agachire – powiedziała Mehmmer. Wyjęła z dłoni Riane pusty kubek i dodała bardzo cicho: – Może mój gniew i podejrzliwość biorą się stąd, że odarłam z ciała zbyt wiele czaszek wrogów.

–Dobrze byłoby – rzekła Riane – podpowiedzieć matce, żeby nie siedziała pod drzewem. Jeden z jego owoców omal nie zabił dziecka.

Mehmmer wahała się chwilę.

–Sama jej to powiedz.

Riane się uśmiechnęła.

–A nie lepiej, Mehmmer, żeby to wyszło od ciebie?

Mehmmer badawczo przyglądała się twarzy Riane. Potem kiwnęła głową i podeszła do ojca Jeene, by nakłonić go, żeby przeniósł swoją rodzinę gdzie indziej.

Othnam spojrzał znacząco na Riane i dziewczyna odeszła z nim kawałeczek od obozowiska. Haqqa potruchtał za nimi, usiadł i oparł się o ich łydki.

–Wspominałaś, że chcesz odnaleźć dzuoko Perrnodt.

–Nie wymieniałam imienia.

–Nie musiałaś. – Zaśmiał się cicho. – Tu jest tylko jeden kashiggen, a więc i jedna dzuoko.

–Mógłbyś mnie jej przedstawić?

Riane miała wrażenie, że przenikliwe spojrzenie Othnama odziera ją ze skóry.

–Po co jej szukasz?

–Chcę zostać jej uczennicą.

Mehmmer, która do nich podeszła, burknęła:

–Nie wygładasz na dobrą kandydatkę na imari.

Pewnie, że Riane nie nadawała się na imari. Przybyła do Korrushu, żeby się uczyć od Perrnodt i błagać ją, żeby wskazała, gdzie jest ukryta Maasra. Ale głupotą byłoby opowiadać o tym tubylcom, których ledwo знаła i którzy i tak byli wobec niej podejrzliwi.

–Niemniej – powiedziała najszczerzej jak potrafiła – właśnie tego najbardziej chcę.

Othnam z powagą skinął głową.

–Więc sam tego dopilnuję. Lecz najpierw musisz, rzecz jasna, zobaczyć się z Makktuubem.

Makktuub mieszkał w pałacu ciszy. Budowla składała się z trzech części, trzech koncentrycznych kręgów. W zewnętrznym, ogólnie dostępnym, zajmowano się codziennymi sprawami plemienia. Panowała tu krzątanina, wszyscy szybkim krokiem przemierzali wysłane dywanami pomieszczenia; kratownice z wonnego drewna lyssommowców tylko częściowo rozpraszały gwar. Wyczuwalne pod materiami, drewnem i kamieniem geometryczne kształty świadczyły o absolutnej władzy kapudaana.

Część środkowa była mniejsza, może wygodniejsza, lecz nie tak okazała jak pierwsza. Tutaj Makktuub raz dziennie konferował z Djurą, swoją przyboczną radą, składającą się z siedmiu czcigodnych sędziów religijnych. Członkowie Djury – głosami cichymi jak plusk wody w stawie, spokojnymi i kojącymi – ogłaszali prawa, interpretowali wieści z najdalszych krańców chire, poszukiwali remediów na kłopoty fiskalne i militarne. Niekiedy spotykali się bez Makktuuba. Sędziowie, o długich siwych brodach, pólleżeli na poduchach wyszywanych złotą nicią i sięgali do ustawionych na niskich lakierowanych stolikach półmisek, pełnych suszonych owoców, prażonych ziaren i korzennych słodczy.

Za sędziami znajdował się wspaniały parawan, wyrzeźbiony przez najzręczniejsze dłonie w Agachire; trzech rzemieślnicy cały rok rzeźbili w najwonnejszym drewnie lysommowym gałęzie, liście, ptaki, zwierzęta i ryby. Makktuub często siadywał za tą ażurową przesłoną, w nakrapianym blaskiem cieniu, i w milczeniu przysłuchiwał się wspaniałym pomysłom i żarliwym polemikom członków Djury, którzy sądzili, że wódz zajmuje się innymi sprawami. W ten sposób nie tylko trzymał rękę na pulsie, lecz również zdobywał bezcenną wiedzę o swoich doradcach, którzy częściej zdradzali swe uczucia, kiedy go z nimi nie było. Oni również – podobnie jak wszyscy członkowie plemienia Gazi Qhan – bali się jego brutalności, dzięki której zyskał władzę i utrzymywał się przy niej.

Kapudaan zrzucał wszystkie swoje maski dopiero w centrum pałacu, w

przyprawiającym o zawrót głowy labiryntie korytarzy, wewnętrznych ogrodów, wysoko sklepionych komnat, oświetlonych basenów i przystrojonych poduchami salonów. Tutaj panowała cisza. Nikt się nie odzywał, chyba że na wyraźną prośbę Makktuuba. Służba, która mu usługiwała za dnia, i kobiety z jego haanjhala, które mu służyły nocą, posługiwały się językiem migowym, wymyślonym przez samego Makktuuba.

W tej głębokiej ciszy można było kontemplować wiele drobnych, subtelnych przyjemności i napawać się nimi: wietrzyk szeleszczący w listowiu wonnych limoników i lyssomowców, słońce na cudownych krzewach purpurowych róż, melodie złocistych laerków przeskakujących z prętu na pręt w ozdobnych miedzianych klatkach, wzory tkane z przepływających chmur. Makktuub był święcie przekonany, że takie chwile sprawiają, iż może wzmocniony i odświeżony znów rzucać się w wir debat, sprzeczek, intryg i decyzji, z jakich składało się jego życie. Przewodzenie bowiem jednemu z pięciu plemion nigdy nie było łatwe, a najczęściej było ogromnie trudne.

I właśnie do tego pałacu Othnam i Mehmmer przyprowadzili Riane, kiedy cała grupa wróciła do Agachire. W oślepiającym blasku słońca widok był tak wspaniały, że Riane lzy napłynęły do oczu. – Patrzyła na nisko położony, porośnięty drzewami teren, przylegający do rzeki leniwie płynącej na północny zachód, w kierunku Djenn Marre, których cudowny fioletowawo-srebrny masyw widniał na północnym horyzoncie niczym burzowe chmury. Z tej strony szczyty wydawały się wyższe i bardziej złowrogie niż widziane z zachodu – z wyjątkiem Wielkiego Ryftu, tajemniczej i straszliwej wyrwie w górskim paśmie, która pochłonęła wszystkie nieszczęsne v'ornnańskie ekspedycje na Nieznane Terytoria. Annon wiele o nim słyszał, lecz Riane nigdy przedtem nie widziała Wielkiego Ryftu. Ogromne czarne pęknięcie, smagane burzami i nie do przebycia, przyciągało ją niczym magnes. Przez chwilę czuła niemal bolesne pragnienie, żeby się dowiedzieć, co jest po drugiej stronie. Potem jej uwagę przykuło to, co widziała wokół siebie.

Bardzo ją zaskoczyło samo Agachire, bardziej przypominające miasto niż osadę, o której plotkowano w Axis Tyr. W oczy biła feeria barw, prawdziwa tęczka tkanin o gęstym splocie, w szerokie ukośne pasy. Kiedy Riane o tym wspomniała, Othnam wyjaśnił, że gęstość splotu ma duże znaczenie – im gęściejszy splot i delikatniejsza tkanina, tym lepiej chroni przed wszechobecnym pyłem Korrushu, wzbijanym przez nieustannie wiejące nad stepem wiatry. Okazało się to ogromnie ważną informacją, bo – kiedy dziewczyna uważniej się przyjrzała – zauważyła, że miasto tworzyły fantazyjne i wymyślne namioty. Oczywiście były też mury z jakiegoś wypalanego budulca, pobielane i jaśniejące w słońcu, lecz przeważały tkaniny w barwne pasy.

Riane mijala liczne karawany jucznych zwierząt, zwanych kuomeshalami, które pierwszy raz zobaczyła w obozie Mehmmer i Othnama. Były to sześcionogie zwierzęta o krótkiej sierści, barwy pomarańczowobrazowej, o jedną trzecią większe

od samców cthaurosów. Wszystko – z wyjątkiem małych uszu – miały nienaturalnie wydłużone: bulwiaste pyski, szczęki ze sterczącymi zębami, masywne umięśnione szyje, niezgrabne nogi. Ale dla Riane najdziwniejsze były ich garbate grzbiety. Pomiedzy tymi naturalnymi „przegrodami” umocowano paki, antałki i okute żelazem skrzynie.

–Może i wyglądają zabawnie – powiedział Othnam – ale potrafią unieść trzy razy większy ciężar niż najsilniejszy cthauros. Poza tym prawie wcale nie potrzebują wody i niewiele pożywienia, bo magazynują w garbach substancje odżywcze, dzięki czemu wspaniale się nadają do długich wypraw w najtrudniejszych nawet warunkach.

Otoczyła ją mieszanina zapachów i dźwięków. Uliczni sprzedawcy oferowali wszystko: od świeżo upieczonych placków chlebowych po słodczyce ze zmielonych ziaren i bursztynowego miodu. Ze straganów, olbrzymich worów i beczulek unosiły się korzenne aromaty. Na ogniu skwierczały nadziane na rożny kawałki mięs i warzyw; do miseczek nakładano aromatyczne ziarna wymieszane z orzechami i słodkimi przysmakami. Kupcy śpiewnie nawoływali przechodniów.

Skinął na nich sprzedawca z czarno-białego kramu i powiedział dziwnie wysokim głosem:

–Wyglądacie na utrudzonych. – Nalał z pękatego miedzianego dzbanka do małych czareczek gęstego brązowego płynu o kuszącym aromacie. – Strząśnijcie pył z odzieży i ugaście pragnienie moim ba’du, przyrządzonym z najlepszych ziaren. – Jego policzki porastał skłębiony zarost, dokładnie maskując rysy twarzy. Kupiec żywo gestykulował dłońmi o krótkich palcach. – Chodźcie, chodźcie, wstąpcie tutaj. Po moje ziarna podróżuję do najdalszych zakątków Agachire; wiatry, jak podróże, dają się we znaki. A. cóż lepiej pokrzepi niż czarka mocnego ba’du? – Podał jedną czareczkę Othnamowi, drugą Mehmmer, po czym łypnął na Riane, kiwnął głową, uśmiechnął się i jej również dał czareczkę. – Pijcie, przyjaciele. Radujcie się najlepszym ba’du w całym Agachire! – prychnął i potrząsnął głową. – Cóż ja mówię? Najlepszym w całym Korrushu! – Jego dłonie tańczyły, oczy lśniły. – Jeżeli się z tym nie zgodzicie, to nic nie zapłacicie. Czy może być uczciwsza oferta?

Othnam i Mehmmer drobnymi łydkami pili swoje ba’du. Riane poszła w ich ślady, lecz nie była przyzwyczajona do tak małych naczyń i łyknęła zbyt wiele. Słodki, mocny napój sparzył jej gardło i dziewczyna się zakrztusiła.

–Napij się jeszcze – namawiał ją sprzedawca. – Napij się.

Riane wykaszlała się i znów spróbowała, tym razem ostrożniej. Po paru łykach zaczęło jej szumieć w głowie.

–To alkohol? – spytała.

Sprzedawca zaśmiał się gromko.

–Och nie, nie. Ba’du ma własny specyficzny skład, enzymy i inne substancje, wydobywany przez powolne i staranne palenie. – Wskazał czaszkę Jeni Cerii, którą niósł Othnam. – Napój tego tutaj, a przysięgam, że ożyje! – Śmiał się i śmiał, napełniając ponownie ich czareczki. – Dolewka bezpłatna – powiedział.

Kiedy Othnam mu płacił, sprzedawca zapytał:

–Ta czaszka to trofeum po zwycięskiej walce? – Othnam przełożył czaszkę z jednego ramienia na drugie, a sprzedawca ciągnął: – No, no, nie powinieneś się wstydzić swojego męstwa. – Uniósł brwi. – Chyba że to nie trofeum, a szacowne szczątki kogoś z twego rodu.

Othnam potrząsnął głową.

–To czaszka Jeni Cerii, który natknął się na nas niecały dzień drogi od Agachire.

–Tak blisko miasta. To ogromnie niepokojące – rzekł sprzedawca. – Nie należałoby o tym donieść władzom?

–Tak się składa, że idziemy do kapudaana – odparła Mehmmer. – A ty nas zatrzymałeś i opóźniasz.

–Tylko chwilowo, zapewniam cię – powiedział sprzedawca ba’du. Potem utkwiał w Riane spojrzenie czarnych oczu. – Pierwszy raz jesteś w Korrushu, prawda?

Riane przytaknęła.

–I jakie wrażenia?

–Zaskoczyło mnie, że wszystko jest takie rozbudowane i tętniące życiem.

–Naprawdę? – Sprzedawca uniósł brwi.

–Większość mieszkańców Axis Tyr jest przekonana, że jesteście prymitywnymi dzikusami, którzy nie mają do zaoferowania nic interesującego.

–A więc czemu przebyłaś całą długą drogę z Axis Tyr? – zapytał sprzedawca. – Kundalanie ignorowali nas przez stulecia. Jak sama przyznałaś, uważacie nas za dzikusów.

–Zjawiłam się tutaj, żeby się osobiście przekonać, jak jest – odparła Riane. – I żeby znaleźć dzuoko Perrnodt.

Sprzedawca ba’du w zadumie gładził brodę.

–Masz dla niej ważną wiadomość?

–Pragnę zostać jej uczennicą – powiedziała Riane.

–Czyli chcesz zostać imari. A kto był twoją dzuoko w rodzinnych stronach?

–Nie zaczęłam się jeszcze uczyć.

–Czyli nikt cię nie przysłał?

–To był wyłącznie mój pomysł. Skoro już przebyłam tak długą drogę, to mam nadzieję, że znajdę Perrnodt w jej kashiggenie.

–O, z pewnością – rzekł sprzedawca. – Perrnodt nigdy nawet na chwilę nie opuszcza Mrashruth.

–To trochę dziwne.

Ale sprzedawca najwyraźniej stracił zainteresowanie tematem, bo uniósł miedziany dzbanek i zapytał:

–Ciekawym, jak ci smakowało ba'du?

–Uważam, że trzeba się do niego przyzwycząić.

–Więc nic nie płacisz. – Wziął od Riane pustą czarkę. Uśmiechał się, czerwone wargi były ledwo widoczne w gęstej brodzie. – Życzę ci powodzenia, dziecinko.

–Dzięki – rzekła Riane na odchodne.

Kiedy szła bulwarem otaczającym targ, pomiędzy Othnamem i Mehmmer, przechodnie tylko pobieżnie się jej przyglądali. Nosili najrozmaitsze stroje. Niektórzy byli odziani w obciste skórzane spodnie, tak lubiane przez Mehmmer, inni w pasiaste szaty i sinschale. Za to wszyscy byli w dziwacznych butach o wywiniętych noskach.

–Są bardzo wygodne i odpowiednie na nasze tereny – wyjaśnił Othnam, kiedy Riane go zagadnęła, i spojrzał na jej wysokie buty.

Riane badawczo się przyglądała twarzom Gazi Qhan. Widziała surowe oblicza o dumnym wyrazie i jasnych, inteligentnych oczach. Chociaż były poczerwieniałe i zniszczone przez stepowy klimat, to przynajmniej na szyjach nie było ani odrobiny sadełka, a skóra zachowywała jędrność.

Pałac kapudaana znajdował się w samym środku Agachire, u zbiegu wszystkich głównych bulwarów z twardo ubitej czerwonej ziemi Korrushu. Kiedy się doń zbliżali, Othnam ostrzegł Riane, żeby się nie odzywała, dopóki ktoś jej o coś nie

zapyta. Mehmmer zaś nauczyła ją kilku gestów, którymi mogła się z nimi porozumiewać.

Wewnątrz pałacu nie było drzwi, jedynie mnóstwo swego rodzaju bramek zrobionych z wonnego drewna, żłobkowanego kamienia, obrobionej miedzi, a nawet z gęsto splecionych pnączy usianych drobnymi różowymi kwiatkami. Za tą ostatnią bramką Riane zauważyła grupę rozchichotanych kobiet, a zaraz potem ją i jej towarzyszy skwapliwie ponaglił Sawakaq, jeden z doradców kapudaana. Po bokach każdego przejścia stali krzepcy, uzbrojeni strażnicy, którzy przyglądali się jej tak bacznie, że aż zaczęła się bać.

I tak oto przeszli z gwarnej części zewnętrznej, w której jeden z członków Djury wymierzał sprawiedliwość, do wyciszzonej części środkowej, gdzie spotykali się sędziowie. Riane mijała wypolerowane do połysku ażurowe drewniane parawany, przez które dojrzała niewielką grupę mężczyzn – przeszła zbyt szybko, żeby ich dokładnie policzyć – spoczywających na złotych poduchach. Jedli i rozmawiali bardzo powoli, co dziwnie kontrastowało z tempem, w jakim inni mknęli przez pałac.

Sawakaq gestem dał im znak, że mają iść naprzód do dużego pomieszczenia, w którym mieli zaczekać, po czym zniknął, nie proponując im choćby odrobiny wody. Nie było tutaj żadnych mebli, niczego, na czym można by usiąść.

Stali, milcząc, pośrodku tego osobliwego pomieszczenia. Robiło niesamowite wrażenie, ponieważ pod pasiastymi ścianami stały szeregi strażników o nagich torsach – stali oni ramię przy ramieniu, zupełnie nieruchomo, pozornie nie zwracając uwagi na gości.

Riane, Othnam i Mehmmer czekali ponad godzinę; miny rodzeństwa nie zdradzały, co też oni myślą o tym wszystkim. Przez cały ten czas ani jednemu ze strażników nie drgnął żaden mięsień. Gdyby nie rytmiczny płytki oddech, można by ich wziąć za posągi.

Tak więc Riane, na długo przedtem nim dotarła do samego centrum pałacu, ujrzała świadectwo niewzruszonej woli Makktuuba.

W końcu znów pojawił się Sawakaq, rozpromieniony i odświeżony. Bez słowa dał im znak, żeby za nim poszli. Opuścili zatem pomieszczenie ze strażnikami, szli korytarzem i przekroczyli niewielką bramkę. Potem Sawakaq wskazał im kolejną, wykonaną z drewna, za którą jemu najwyraźniej nie wolno było wejść.

Tutaj też strażnicy badawczo przyglądali się Riane, a dziewczyna patrzyła na nich z łagodnością kuomeshala.

Znaleźli się w ogrodzie z sześciokątną, wyłożoną płytkami sadzawką. Wśród unoszących się na wodzie błękitno-zielonych liści pływały spokojnie bursztynowo-

czarne ryby, zupełnie nie znane Riane. W ciernistych krzewach o ognistej barwie śpiewały ptaki.

Riane pospieszyła za Othnamem i Mehmmer maszerującymi przez ten bajkowy świat, jakby to był surowy step. Pasiaste ściany pałacu-namiotu wydymały się lekko. Rodzeństwo, w kapciach na cienkich podszewkach, szło bezszelestnie po drewnianej podłodze. Riane zaś usłyszała wyraźne, choć ciche, odgłosy swoich kroków. Coraz bardziej ją to krępowało i wreszcie dała znak Othnaniowi i Mehmmer, przystanąła, zdjęła buty i niosła je pod pachą.

Krótki korytarz prowadził do komnaty zarzuconej taką ilością poduszek, że Riane nie dostrzegła w ogóle podłogi. Na wszystkich widniał taki sam wzór: dziwny niby-ptak w złotym okręgu. Tu i tam stały niskie ozdobne miedziane stoliki, a filigranowe oliwne lampki rozsiewały ciepłe i przytulne światło. Jednak uwagę dziewczyny przykuły ściany. Wykonano je z matowej, czarnej tkaniny o gęstym splocie i pokryto tajemniczym srebrzystym pismem składającym się z niewielkich łuków, lśniących kropek, krótkich ukośników wygiętych linii. Riane otworzyła usta, chcąc zapytać o te znaki, lecz Mehmmer dała jej znak, by milczała.

Komnata była pusta, lecz Othnam i Mehmmer najwyraźniej się tego spodziewali, bo przystanęli tuż za progiem i w milczeniu czekali. Wcześniej poinformowali Riane, że w kontaktach z kapudaanem największe znaczenie mają: przestrzeganie zasad etykiety, obyczaje i kurtuazja.

Riane miała wrażenie, że świat pogrążył się w ciszy. Czuła, jak jej fale przetaczają się przez komnatę, czuła na policzkach ich chłód, a kiedy niemal w niej utonęła – pojawił się Makktuub.

Nie był tak wysoki jak zwykle Gazi Qhan, ale imponujący. Miał dość dużą, kwadratową głowę, jakby przyszedł na ten świat niedokończony. To sprawiało, że wyglądał na kogoś dzikiego i nieprzewidywalnego, a więc niebezpiecznego. Policzki miał bardzo rumiane, jakby wysmagane wiatrem. Od głowy porośniętej kędzierzawymi włosami po buty z zakręconymi noskami odziany był w strój barwy indygo. Nosił luźne spodnie i bluzę oraz długą do podłogi tunikę bez rękawów, pokrytą zawiłym geometrycznym wzorem z maleńkich drogich kamieni i opalizujących nici. Opinał go zamszowy pas w kolorze indygo. U boków miał sztylety; szafiry w ich rękojeściach błyskały jak mrugające oczy. Na każdym z grubych palców nosił pierścień z drogim kamieniem.

Uśmiechnął się na widok Othnama i Mehmmer, wyciągnął ręce i ujął ich dłonie.

–Othnamie, Mehmmer – rzekł grzmiącym głosem. – Od wielu lat nie byliście w moim domu.

Nie powiedzieli ani słowa, bo nie nakazał im mówić.

Bystre czarne oczy przesunęły się po Riane i znów popatrzyły na rodzeństwo.

–Widzę, żeście mi przynieśli w darze wroga.

I znów nie padło w odpowiedzi żadne słowo. Makktuub uniósł lewą rękę i jak spod ziemi wyrósł przed nimi służący o nagim torsie, niosący na ramieniu wielki ceramiczny dzban. Othnam, widząc służącego, wyciągnął przed siebie białą czaszkę Jeni Cerii. Służący zdjął dzban z ramienia, a Othnam odwrócił czaszkę, wtedy służący powoli nalał do czaszki przezrystego płynu. Najpierw napił się z czaszki Makktuub, potem Othnam i Mehmmer. Riane czuła, że jest świadkiem doniosłego i uroczystego rytuału.

–Wszyscy goście piją z hadaqq. – Makktuub skinął głową i Othnam podsunął czaszkę Riane.

Ostry, korzenny napój spłynął w gardło i dziewczynie łzy napłynęły do oczu. Makktuub odrzucił głowę i zaśmiał się gromko.

–Przynajmniej go nie zwróciłaś. – Mocno klepnął Riane w łopatki. – Widzę w tym hart ducha. I bardzo jestem zadowolony. – Ostatnie słowa wypowiedział wysokim głosem sprzedawcy ba'du.

Riane wpatrywała się w niego, a on wydobył z fałd szaty kosmyk gęstych czarnych włosów i przyłożył go do brody.

–Policzki mi pierzchną od kleju – powiedział, po czym znowu wybuchnął grzmiącym śmiechem. Głos miał już zwyczajny. – Nie dziw się tak. Takie wypadki incognito sprawiają mi ogromną przyjemność i dostarczają wielu wiadomości. – Odrzucił kosmyk, który zręcznie pochwycił jeden ze służących.

Makktuub dał kolejny znak i inny służący wziął od Othnama czaszkę, umył ją, osuszył, natarł wonnym olejkiem i pieczołowicie złożył na jednym z miedzianych stolików.

–Formalności mamy już za sobą, teraz sobie wygodnie usiadzimy. – Makktuub wskazał poduchy, goście jednak nie usiedli, póki on tego nie zrobił.

Kapudaan uniósł dłoń i następny służący pospiesznie zjawił się z tacą z kutego mosiądzu, na której stała spora butla i kielichy z błękitnego, oplecionego złotą siateczką szkła. Służący napełnił kielichy i podał im, Makktuub zaś wskazał upierścienionym palcem połyskującą czaszkę.

–Bardzo ciekaw okoliczności, w jakich to się stało waszą własnością. – Popatrzył

na nich wyczekująco.

Othnam i Mehmmer opowiedzieli, jak jeden z ich lymmnali złapał Jeni Cerii, kiedy ten próbował się zakraść do ich obozu.

–I to niecały dzień marszu stąd?

–Tak, kapudaanie – potwierdził Othnam.

Twarz Makktuuba pociemniała, poderwał się z taką furją, że prawie wyrzucił mosiężną tacę, którą służący zręcznie usunął z zasięgu jego rąk, nie wywracając przy tym szklanic i nie wylewając ani kropli trunku.

–Przesłuchaliście szpiega?

Othnam potakująco skinął głową.

–Zrobiliśmy co w naszej mocy, kapudaanie.

–Ale sami nie jesteśmy szpiegami, więc... – Mehmmer rozłożyła ręce.

–Nie powiedział ani słowa – rzekł Othnam.

–To bez znaczenia. – Makktuub się obrócił, dolna część jego długiej szaty ułożyła się kłoszowato. – Jego obecność tak blisko Agachire potwierdza ostrzeżenia o większej agresywności naszych sąsiadów, jakie mi przekazano – rzekł ciszej.

–Więc nie ma żadnej nadziei, kapudaanie? – odezwała się Mehmmer. – Wśród pięciu plemion nigdy nie zapanuje pokój? Stale mamy sobie skakać do gardeł?

–Tym razem, tak czy inaczej, nastąpi koniec – powiedział Makktuub. – Moi szpiegowie donoszą, że szykuje się wielka wojna, a moje kości wibrują głosami przodków, którzy jak jeden mąż krzyczą, byśmy bronili naszych ziem przed tymi, co chcą je nam odebrać.

Nagle umilkł, jakby całkowicie go pochłonęła inna myśl, obrócił się i opadł na stertę poduch obok Riane. Zajrzał jej głęboko w oczy.

–A teraz, właśnie w takiej chwili, pojawia się wśród nas obca. Wyjaśnij mi to.

Riane rozchyliła wargi, na twarzy Makktuuba pojawił się uśmieszek, a dziewczyna dostrzegła kątem oka, że Mehmmer położyła palec na ustach. Wtedy Othnam szczegółowo opowiedział o pojawieniu się Riane, o dziwnej więzi pomiędzy nią a lymmnalem Haqką i o tym, jak ich podejrzenia rozwiały się, kiedy przybyszka pomogła nowo narodzonej dziewczynce.

–Gdyby nie Riane, Jeene na pewno by umarła – zakończył.

Makktuub wypychał językiem to jeden policzek, to drugi, jak to zwykł robić, kiedy się pogrążał w zadumie. W końcu rzekł:

–Sprzedawca ba'du pytał, jakie wrażenie wywarło na tobie Agachire. Ja zaś pytam, jakie wrażenie zrobił na tobie mój pałac?

Riane namyślała się chwilę, zanim odpowiedziała, bo już zauważyła, że Makktuub cenił sobie szczere odpowiedzi.

–Oto co myślę, kapudaanie. Twój pałac jest niczym jajo. Na samym wierzchu skorupka, twarda i gładka, chroni całość. Pod skorupką znajduje się białko, przejrzyste, ale tak lepkie, żeby zatrzymać wszystko, co jakoś zdoła się przedostać przez skorupkę. W środku zaś, chronione przez białko i skorupkę, tkwi żółtko, najbogatsze w substancje odżywcze, źródło życia.

Cisza, jaka zapadła, uświadomiła Riane, że zadziwiła Makktuuba, chociaż jego twarz niczego nie zdradziła. Przez moment patrzył nie na nią, lecz na Othnama i Mehmmer i to do nich powiedział:

–Może przywieździecie mi skarb, którego wartości nawet się nie domyślacie.

Milczeli, bo wyczuli, że nie oczekuje odpowiedzi. Spojrzał w dół, jakby po raz pierwszy dostrzegł stopy Riane. Wydał czerwone wargi.

–A to co takiego? Nie pozwolimy, żeby boso chodziła po Agachire. – Zobaczył, że dziewczyna pokazuje swoje buty, i potrząsnął głową. – O nie, nie w nich, nie w moim pałacu. – Uniósł dłoń i jak spod ziemi wyrósł służący z parą rdzawoczerwonych pantofli.

Przyklęknął na jedno kolano, ujął piętę Riane i wsunął dziewczynie na stopę pantofel o cienkiej podeszwie; potem powtórzył to samo z lewą stopą. Riane aż wstrzymała oddech. Othnam mówił prawdę – te buty były nadzwyczaj wygodne.

Makktuub przekrzywił głowę.

–Podobają ci się nowe buty?

–O tak, kapudaanie, bardzo.

–To dobrze. Ja też jestem zadowolony.

Ton jego głosu sprawił, że Othnam i Mehmmer przestali pić. Służący zabrał ich puste kielichy; wstali, a Riane wraz z nimi. Makktuub spod opuszczonych powiek

obserwował posłusznych poddanych.

–Dobrzeście uczynili – rzekł z wolna – przynosząc mi dowód zdrady Jeni Cerii, który mogę pokazać naszemu ludowi. Zanim wyjdziecie z pałacu, zostaniecie hojnie wynagrodzeni za swoją lojalność.

Odwrócili się, by odejść, a Makktuub podniósł rękę.

–Czekajcie. Riane zostaje tutaj.

–Skoro taka twoja wola, kapudaanie. – Skłoniła się Mehmmer. – Zechciej jedynie powiedzieć, kiedy mamy po nią wrócić.

–Jak powiedziałem, Riane tu zostaje.

Bart i siostra wymienili spojrzenia.

–Tysiąckrotnie przepraszam, kapudaanie – odezwał się Othnam – lecz obiecałem, że ją osobiście zaprowadzę do kashiggenu Mrashruth. Chce zostać przedstawiona Perrnodt.

Strach było patrzeć na groźną minę Makktuuba.

–Chcecie powtórzyć błąd matki i ojca?

–Nie, kapudaanie – rzekł pośpiesznie Othnam.

–Oni muszą cię posłuchać – odezwała się Riane – ale ja tego nie zrobię. – Oczy jej rozbłysły. – Nie przywędrowałam do Korrushu po to, żeby zostać twoim więźniem.

Makktuub dał znak i otoczyli ich uzbrojeni strażnicy. Dwaj z nich znaleźli się za Othnamem i Mehmmer; zabręczczał metal, kiedy przykładali rodzeństwu ostrza do gardeł.

–Jeżeli spróbujesz mi się sprzeciwić, dziecinko, to każę poderżnąć im gardła. Tutaj. Natychmiast. – Zobaczył w jej oczach wyzwanie i dodał: – Posłuchaj uważnie i zastanów się. W dniu śmierci mego ojca zamordowałem trzech braci, żebym mógł zostać kapudaanem. Nie brzydzę się krwią czy zabijaniem.

Riane patrzyła Makktuubowi głęboko w oczy i wiedziała, że mówi prawdę. Nie mogła pozwolić, żeby przez nią zabito Othnama i Mehmmer. Podeszła i stanęła obok kapudaana. Zaśmiał się rehotliwie i walnął ją w głowę. Poczowała ostry ból, który pozbawił ją oddechu. Twarze Makktuuba, Othnama, Mehmmer zaczęły wirować, nakładać się na siebie. Potem Riane osunęła się na podłogę, nieprzytomna.

11. Haan Jhala

–Chciałaś odejść, znów zniknąć, i to kto wie na jak długo tym razem. – Eleana stała przed nią i mówiła oskarżycielskim tonem. – Nie mówiąc ani słowa o tym, co zaszło między nami.

–Spałaś – powiedziała spokojnie Riane, chociaż serce podeszło jej do gardła. – Potrzebny ci wypoczynek. Nie chciałam cię niepokoić.

–Kłamczucha!!! Tchórz! – Eleana miała łzy w oczach. – Po prostu nie miałaś ochoty odpowiadać na żadne pytania.

–Pytania? – zdziwiła się Riane. Stały przed Opactwem Gorącego Nurtu w chłodną, bezgwiezdną noc i Riane za chwilę miała się owinąć Sahorową opończę z sieci neuralnej i wyobrazić sobie, że jest w Korrushu. – Jakie pytania?

–Czemu nagle zaczęłaś się tak zachowywać, jakbym mogła cię czymś zarazić.

–Wydaje ci się.

–Jakbym cię rozczarowała. Co zrobiłam, że mnie tak odpychasz?

–Nic nie zrobiłaś... – powiedziała Riane. – Sama widzisz, że to niemożliwe.

–Nic nie widzę.

Riane nie mogła znieść smutku Eleany, chociaż wiedziała, że musi się z tym pogodzić.

–Myślałam, że cię znam, a ty mnie odepchnęłaś.

Riane, udręczona miłością, była bliska wyznania prawdy. Wiedziała jednak, że to przeraziłoby Eleanę, a tego by sobie nie wybaczyła. Więc powiedziała tylko:

–Nic się nie zmieniło. Nadal jesteśmy przyjaciółkami. Nie odeszłabym bez pożegnania w środku nocy.

–Skoro chcesz pożegnania, to je masz. – Eleana z całej siły uderzyła Riane. Potem zbladła, odwróciła się i uciekła popękaną kamienną dróżką.

–Niech to N'Luuura – mruknęła pod nosem Riane.

Dogoniła Eleanę po drugiej stronie zachodniej świątyni, złapała za łokieć i obróciła ku sobie. Po twarzy dziewczyny spływały łzy.

–Teraz mnie pewnie nienawidzisz – szlochała Eleana. – Jakżeż mogłam uderzyć Dar Sala-at? Wybacz mi, błagam.

–Nie trzeba. – Riane omal nie pękło serce.

–Ale powinnam zostać ukarana.

–Za co?

Eleana potrząsnęła głową, twarz miała mokrą od łez. Wyrwała się i odeszła parę kroków.

–Idź – mówi. – Wiem, że musisz. Rozumiem to.

–Eleano...

–Nie, naprawdę rozumiem.

Riane otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, potem jednak tylko potrząsnęła głową i odwróciła się, żeby odejść.

–Czemu tak się dzieje? – Usłyszała słowa Eleany i zwróciła się ku niej. – Rekkk jest bliski śmierci. Giyan obiecała, że się mną zaopiekuje podczas porodu. Pomagała mi to wszystko znieść... Miino, wybacz mi mój egoizm, ale teraz jej nie ma, a i ty za chwilę znikniesz.

Ach, o to chodzi, uświadomiła sobie Riane. Eleana uważa, że wszyscy ją opuścili. Po raz pierwszy dotarło do niej, jak bardzo Eleana boi się samotnego porodu i wychowywania dziecka, które jest pół-V'ornnem. I wtedy słyszy w swoim śnie, jak Eleana mówi:

–Dobrze znam ten sztylet. Dałam go Annonowi wiele miesięcy temu. Skąd go masz?

Riane musi teraz raz-dwa coś wymyślić, zła na siebie, że zapomniała schować sztylet przed Eleaną.

–Giyan mi go dała tego popołudnia, kiedy się po raz pierwszy spotkałyśmy. Powiedziała, że chce, bym go nosiła. Nie podoba ci się to?

–Nie, ja... – Eleana energicznie potrząsnęła głową, z jej oczy znów popłynęły łzy.

–Och, nie płacz, ukochana – mówi Riane, a serce omal jej nie pękło – bo to twój Annon stoi przed tobą. Nie widzisz go w moich oczach?

Lecz Eleana już zniknęła.

Riane, budząc się ze snu, spojrzała wprost na kunsztownie rzeźbiony ekran. Otrząsnęła się i wtedy spostrzegła, że główna, wykonana z wielką dbałością o szczegóły rzeźba przedstawia mężczyznę i kobietę splecionych w miłosnym uścisku. Było to tak naturalistyczne, że aż się wzdrygnęła.

–Wspaniale, nieprawdaż?

Odwróciła się, słysząc łagodny, melodyjny głos. Na takich samych wyszywanych drogimi kamieniami poduchach spoczywała piękna młoda kobieta. Riane oblizła wargi; język miała spuchnięty, w ustach jej okropnie zaschło. Natychmiast przypomniała sobie rozmowę z Makktuubem i to, jak ją odurzył. Dotknęła skroni, a piękna młoda kobieta powiedziała:

–Och, uspokój się, igła nie zostawiła śladu. – Uśmiechnęła się dziwnie, niemal chłodno. – Nigdy nie zostawia.

Riane przekonała się, że zniknęła opończa Nith Sahora.

–Lepiej się do tego przyzwyczaj. – Uśmiechnęła się z wyższością piękna młoda kobieta. – Teraz nie masz już nic swojego i już nigdy nie będziesz mieć.

Powiedziała, że ma na imię Tezziq. Była niewysoka, smagła i ciemnowłosa jak Mehmmer, miała jasne oczy w kształcie migdałów. Płaskie kości policzkowe i wydatne wargi upodobniały ją do kobiety z rzeźby. Włosy – nie tak jak u Mehmmer – sływały luźno na plecy, lśniąc od olejków. Tuż przy końcówkach były zebrane złotą opaską z takim samym symbolem, jaki widniał na kolczyku w jej lewym nozdrzu.

Dziewczyna zorientowała się, na co patrzy Riane, i powiedziała:

–To fulkaan, znak Makktuuba. – Przekrzywiła głowę. – Czy ty w ogóle wiesz, cudzoziemko, co to takiego ten fulkaan? Nie? – Na ustach znów pojawił się ten dziwny, chłodny uśmiech. – To potężny legendarny ptak, siedzący na ramieniu Jiharrego i służący mu jako posłaniec. – Wydęła usta. – Lecz, och, zapomniałam, że cudzoziemka nie wie przecież, kim jest Jiharre.

–Jiharre to prorok Gazi Qhan, nieprawdaż? – powiedziała Riane.

–Przyszedł do Korrushu z Djenn Marre, osamotniony, szukał schronienia – rzekła Tezziq.

–I początkowo spotkał się z nieufnością, zupełnie jak ja.

Tezziq pogardliwie wykrzywiła usta.

–Porównywanie się do wielkiego proroka to w niektórych dzielnicach skuteczny

sposób na znalezienie swej śmierci.

–Zapamiętam to sobie – powiedziała Riane.

Przez usta Tezziq przemknął niemiły uśmiezek.

–Jeśli chcesz wiedzieć, mieszkał w miasteczku Im-Thera i wykorzystywał swoje wspaniałe umiejętności negocjacyjne najpierw do rozstrzygania sporów pomiędzy poszczególnymi ludźmi, potem, w miarę jak rosła jego sława, pomiędzy rodzinami i w końcu pomiędzy plemionami.

–To Jiharre zjednoczył pięć plemion, prawda?

–Dzięki niemu złączyła je wiara, a nie więzy krwi.

–A teraz plemiona są w stanie nieustającej wojny.

–Kiedy zmarł Jiharre, podzieliła się łącząca nas wiara. Świątobliwi zaczęli się sprzeczać co do znaczenia słów Jiharrego. – Tezziq zmrużyła oczy i patrzyła przebiegle. – Ale to nie lekcja historii religii. Czy wiesz, gdzie się znalazłaś, cudzoziemko? Nie? Jesteś w haanjhala kapudaana, w łonie jego pałacu, obiekcie jego pożądania i źródle rozkoszy. – Usta kobiety wykrzywiły się w uśmiezku. – Wiesz, dlaczego tutaj jesteś? Nie? – Powoli rozłożyła zgrabne nogi. – Widzisz te przejrzyste szaty? Prześwituje przez nie moje ciało. Dzięki temu to wydaję się całkiem naga, to równie skromnie odziana jak starucha, której kobiecość zniszczył czas.

Jej długie, smukłe palce tańczyły w powietrzu.

–W haanjhala jest wiele pięknych kobiet i wszystkie, to znaczy wszystkie oprócz ciebie, cudzoziemko, wyszkolono, by dawały rozkosz Makktuubowi.

–Czyli jesteście looorm, dziwkami.

Ciemne oczy Tezziq rozbłysły.

–Jesteśmy ajjan! – rzekła z dumą. – Żyjemy, by służyć kapudaanowi. Na najbardziej wyszukane sposoby robimy to, czego od nas żąda. Postępujemy tak samo jak ci, co dla niego walczą, planują, sieją i orzą.

–To, co robicie, przynosi wam wstyd.

Piękna twarz Tezziq wykrzywiła się w paskudnym grymasie nienawiści.

–Kolejny powód, by tobą gardzić, cudzoziemko, to ty wnosisz do naszego sanktuarium swój własny wstyd jak jakieś cuchnące resztki.

–Skoro tak mnie nienawidzisz, to czemu ze mną rozmawiasz?

–Bo muszę – wyrzuciła z siebie Tezziq. – Jako pierwsza aijan Makktuuba mam cię szkolić w jego ulubionych nocnych umiejętnościach.

Riane poczuła, jak kurczy się jej żołądek.

–Chyba nie chcesz powiedzieć, że kapudaan... że Makktuub zamierza...

–W każdy otwór, jaki znajdzie.

Zażenowanie i konsternacja Riane najwyraźniej sprawiały Tezziq przyjemność.

–Nie podporządkuję się jego zachciankom – powiedziała cicho Riane.

–Ależ oczywiście, że się podporządkujesz. – Tezziq, ubawiona, chwyciła leżące obok lusterko. – Prawdę mówiąc, już wstąpiłaś na tę drogę.

Podsunęła lusterko Riane, a ta zachłysnęła się oddechem.

–Otóż to – rzekła zjadliwie Tezziq.

Riane ostrożnie dotknęła tkwiącego w lewym nozdrzu złotego kolczyka ozdobionego odciskiem pieczęci. Tezziq się pochyliła i jej uśmiechnięta twarz pojawiła się na skraju tafli lusterka.

–Czy prawda zaczyna do ciebie docierać, cudzoziemko? Tak, widzę, że tak. – Długie paznokcie o zielonych czubkach przesunęły się po obrzeżu lusterka, a potem postukały w jego środek. – Tu jest prawda. Co się w lustrze odbija? Powiem ci, cudzoziemko. Twoja przyszłość.

Ulica Wróżb przecinała Axis Tyr ze wschodu na zachód, była równie szeroka jak inne bulwary, więc w budynkach po jej północnej stronie nawet jesienią i zimą było bardzo jasno. Głównie dlatego Marethyn miała tutaj swoje atelier. Była malarką i nie mogła się obejść bez dobrego światła.

Wczesnym rankiem, kiedy światło było delikatne i zdawało się kruche jak wafel, Sornnn przyglądał się stojącej przy sztalugach Marethyn. Były one ustawione pośrodku zalanego światłem atrium atelier; wielka i skomplikowana konstrukcja, poplamiona pigmentami i olejami, przypominała Sornnnowi most wiszący w trakcie budowy. To porównanie nie przyszło mu na myśl o tak sobie, uważał bowiem, że to właśnie sztalugi, a nie płótno czy farby, pomagają przychodzić na świat pomysłom Marethyn. Mina dziewczyny świadczyła, że to jej prawdziwy dom, miejsce, w którym mieszka. Świat pełen pasji i współczucia.

Kiedy tak patrzył, Marethyn odrobinę odwróciła głowę, na tyle, by lepiej ocenić, jak światło pada na modelkę. Stara Tuskugggun zaś, przygarbiona, lecz dumna, stała spokojnie, rozluźniona, chociaż musiała się wspierać o rzeźbioną laskę z drewna sercowca. Po prawej stronie miała mały, umazany farbami stolik, na którym stał dzbanek i filiżanka, napełnione herbatką z gwiazdzistych róż.

–Na pewno wszystko w porządku? – spytała Marethyn, nie przerywając malowania.
– Na pewno nie jesteś zmęczona, Tettsie?

Tak nazywała swoją babkę Neyyore. To było imię z dzieciństwa Marethyn, pełne miłości i czułości, zrodzone wśród śmiechów i zabawy, buziaków i smakołyków.

–Czuję się wspaniale, kochanie – powiedziała Tettsie, starając się zerknąć na obraz.
– Jak kobieta będąca po raz pierwszy w ciąży.

Marethyn się roześmiała. Jej śmiech, czysty, dźwięczny i głęboki, przeszył na wskroś serca Sornnna. Tamtej nocy, kiedy się kochali, omal jej wszystkiego nie powiedział. Czuł, jak to w nim wzbiera; i wcale nie była to potrzeba wypowiedziania się, a pragnienie poczucia wspólnoty. Lecz coś go mimo wszystko powstrzymało; brak niepodważalnego dowodu, który by go upewnił, że się co do niej nie myli. Dzielenie się osobistymi sprawami nie przychodziło mu łatwo, pod tym względem był dokładnie taki jak ojciec.

–A pamiętasz – zapytała Marethyn Tettsie – jak mnie zabierałaś do głębokich stawów w lasach?

–W najgorętsze dni lata – dopowiedziała Tettsie. Napiała się ulubionej herbatki i znów przybrała odpowiednią pozę. – Ależ twój ojciec by się gniewał, gdyby się dowiedział, że zabieram cię poza mury.

–Ale to cię nie powstrzymywało.

–Oczywiście, że nie – rzekła Tettsie. – Prawdę mówiąc, stale igrałam z losem.

Przypomniała sobie tamte wspaniałe chwile, przeszłość niekiedy była dla niej bardziej żywa niż teraźniejszość. Tettsie miała kształtną czaszkę, obciągniętą cienką skórą. Długo żyła i widać było, że czas jej nie oszczędzał. Lubiła swój wiek i to czyniło ją kimś wyjątkowym. Istotnie była kimś wyjątkowym, i to nie tylko w oczach Marethyn.

Marethyn zmieniła pędzle i bokiem innego nałożyła grubą warstwę farby, pracowała szybkimi, wprawnymi pociągnięciami; wyuczona technika udoskonalona intuicją.

–Nikt cię nie zdołał zastraszyć, Tettsie. Nie byłaś taka jak mama.

–Pamiętasz zagrodę cthaurosów, do której cię zabierałam? – Tettsie wołała nie rozmawiać o córce.

–Oczywiście. – Uśmiechnęła się Marethyn. – Chodziłyśmy tam co tydzień. Uczyłaś mnie jeździć. Czułam się cudownie i uważałam, że wspaniale wyglądasz, siedząc prosto, z wysoko uniesioną głową, i galopując po okolicy.

–Postawa jest najważniejsza podczas jazdy, nieprawdaż, kochanie? To dlatego jeździectwo stanowi metaforę życia. – Tettsie znów łyknęła swojej herbatki z gwiazdzistych róż i Marethyn zauważyła, jak bardzo drży jej ręka. – Ale myślę o konkretnej wizycie. Nadchodziła zima. – Tettsie miała wrażenie, że przeszłość jest tak blisko, że niemal czuła, jak muska jej ramię. – Woń belglennanu i nawozu, powolne świszczące oddechy cthaurosów... – Głęboko wciągnęła powietrze i powoli je wypuściła. – Pogoda była tak okropna, że zawróciłyśmy.

–Pamiętam.

–Wtedy po raz pierwszy miałaś w dłoni joniczny pistolet.

–Czułam się naprawdę niedobra. Miałam wrażenie, że z tobą prowadzę inne życie.

Tettsie się roześmiała. Miała dziewczęcy śmiech, podobny do śmiechu Marethyn, uroczy i melodyjny.

–Och, kochanie, ale narobiłaś szumu tamtego dnia!

–Trafiłam w oko qwawda. – Marethyn na chwilę przestała malować. – Trzy razy.

–To ja trafiłam. Tobie się to udało dopiero po trzeciej lekcji.

–A tak. Ale potem już nigdy nie chybiłam.

–Wydawałaś się urodzoną snajperką. To twoje artystyczne wyczulenie na niuanse i szczegóły. – Tettsie wydeła usta. – A pamiętasz tego Khaggguna, co stale zachodził do stajni? To był jego joniczny pistolet. Nasz mały sekret.

–Wspaniała rzecz. – Marethyn zmyła z pędzla zieleń i zanurzyła go w indygo. – Mama by mnie na zawsze zamknęła w hingatta.

–Zadbałam, żeby się o tym nie dowiedziała!

–I nadal woli o niczym nie wiedzieć, prawda? Kiedy się jej poskarżyłam, że Kurgan nie dopuścił Terrettta na rescendencję, utrzymywała, że nic o tym nie wie.

Tettsie spochmurniała na wzmiankę o Terrettcie.

–To smutne, lecz twoja matka jest zadowolona, pozostając w tej nieświadomości – powiedziała w przypiływie szczerości. – No cóż, pod każdym względem jest zwykłą Tuskugggun.

–Ojciec o to zadbał.

Tettsie przelotnie spojrzała Sornnnowi w oczy.

–Zrobił to, co wszyscy v’ornnańscy mężczyźni.

Pędzel Marethyn śmignął po płótnie.

–Kiedy będę mogła zobaczyć obraz? – spytała łagodnie Tettsie.

–Prawie skończyliśmy na dzisiaj. Nie chcesz usiąść?

–Nie. Nie chcę. To poza stojąca, a nie siedząca. Sama tak zdecydowałam.

Liczne zmarszczki znaczące twarz Tettsie, pogłębione rozdrażnieniem wywołanym rozmową, nadawały jej wygląd świątyni umarłego boga Enlila, rozpadającej się i pustej, lecz wciąż mającej tyle mocy, by ożywić dawno zapomniane wspomnienia.

Sornnn nie miał dobrych wspomnień o swojej matce. I jego rodzina – jak wszystkie v’ornnańskie familie – była zdominowana przez mężczyzn, a jego matki często nie było w hingatta, gdzie niby to miała stale przebywać i wychowywać go. Żony z wyższych kast, kiedy już urodziły dziecko, przenosiły się do hingatta – wspólnych rezydencji, w których grupy Tuskugggun dopełniały obowiązku wychowywania swoich dzieci i, jeśli miały szczęście i nie potrzebowały wiele snu, zajmowały się sztuką i rzemiosłem: tkactwem, malowaniem, rzeźbieniem, komponowaniem muzyki czy wykuwaniem zbroi, oczywiście kiedy dzieci już spokojnie spały. Matki Sornnna często nie było, więc pocieszał się zabawą pharezejańską kolorową kulą, którą mu podarowała na szóste urodziny. Była to niewielka, twarda, chłodna piłka, w której zamknięto trzy gazy z Phareseius Prime. Gazy te nie mogły się ze sobą mieszać, więc nieustannie się przemieszczały we wnętrzu kuli, chcąc się od siebie oddzielić, a zachodzące przy tym reakcje chemiczne tworzyły zmieniające się barwne wzory. Jeżeli trzymało się tę kulę odpowiednio długo w dłoni, czuło się miarowe pulsowanie, podobne do bicia v’ornnańskich serc. Sornnn od wielu lat nie myślał o tej kolorowej kuli. Co też się z nią stało? Pewnie przepadła wraz z resztą jego zabawek.

Bardzo kochał tę zabawkę, dopóki pewnego dnia nie wydarzyło się coś dziwnego. Matka wróciła do hingatta równie nagle, jak ją opuściła, i zmieniła się. Zachowywała się wobec niego z wyraźną rezerwą i był przekonany, że rozczarował ją tak, iż nigdy mu tego nie wybaczy. Jej chłód narastał, bez względu na to, co Sornnn robił, więc wreszcie się poddał i matka stała się mu obca. W rezultacie jeszcze bardziej Ignął do ojca i chciwie chłonał wszystko, czego go uczył Hadinn SaTrryn.

Kiedy Hadinnn zmarł przed paroma miesiącami, matka odwiedziła Sornnna. Nie powinna tego robić. Nie nosiła indygo, barwy żałoby, i nie zabawiła długo. Sornnn dostrzegł na zewnątrz dwumiejscowy elegancki poduszkowiec z wysokim, smukłym, przystojnym Bashkirem przy pulpicie sterowniczym. Osobnik ten siedział nieco przygarbiony, pięty oparł o lśniącą tytanową listwę, ramiona niedbale skrzyżował na piersi.

Sornnn powinien zachować spokój, lecz mu się nie udało. Zapomniał o wszystkim, czego się nauczył w Korrushu. Ojciec, jedyny V'ornn, którego wielbił, zginął nagle, tragicznie, i oto zjawia się matka, nie okazując odrobiny szacunku, w towarzystwie innego V'ornna. Nawet nie potrafił sobie przypomnieć, co mu powiedziała, bo wybuchnął gniewem i tak mocno uderzył ją w twarz, że krzyknęła.

–Zupełnie jak on – rzekła, przyciskając dłoń do piekącego policzka. – No cóż, sądzę, że nie powinnam być zaskoczona. – W jej oczach nie było gniewu, jedynie smutek.

Bashkir przybiegł, kiedy krzyknęła, i od razu natarł na Sornnna, lecz, o dziwo, matka mocno go chwyciła, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, szarpnęła go i wyprowadziła z rezydencji, nie oglądając się za siebie. Pomruk ich poduszkowca zakłócił grobową ciszę.

–Cóż ja bym bez ciebie zrobiła? – powiedziała Marethyn do babki.

–Znalazłabyś jakiś sposób na życie – odparła rzeczowo Tettsie – Podobnie jak ja.

Marethyn myślała szeroki pędzel, którym malowała. Farba bardzo mocno pachniała.

–Jak przetrwałaś, Tettsie? Jak to się stało, że dziadek nigdy nie traktował cię tak jak ojciec matkę?

–Próbowałam, kochanie. Lecz dawałam odpór w jedyny zrozumiały dla niego sposób. Stałam się źródłem wiedzy o jego rywalach. Stałam się nieocenionym sprzymierzeńcem.

Marethyn spojrzała na nią, zaskoczona.

–Więc to nie miłość...?

–Gdzie nie ma szacunku, nie może być i miłości. – Tettsie wzruszyła ramionami. – Akurat ty powinnaś to wiedzieć.

Marethyn nie mogła się powstrzymać od zerknięcia na Sornnna, który stał nieruchomo, milczący i poważny. Od początku jednak swobodnie się czuł przy Tettsie, co ogromnie cieszyło Marethyn.

–Powiedziałaś, że stałaś się jego sprzymierzeńcem...

–Owszem. Ale myślę, że twój dziadek prędko zaczął lekceważyć to, co robiłam, bo kiedy przychodziłam do niego... i proponowałam... Dla niego było to coś, o czym Tuskuggun nie powinna nic wiedzieć. Ja zaś nie tylko wiedziałam, ale byłam w tym szczególnie biegła. Zyskałam wpływy, ale mnie znienawidził.

–Dlaczego nie zrezygnowałaś?

–Bo już było za późno. Dla mnie. Nie mogłam się stać taka jak przedtem, żyć jak inne Tuskuggun, gnębione przez swoich mężów. To było dla mnie nie do przyjęcia.

–Ale kochałaś dziadka! – krzyknęła Marethyn. – Sama mi to mówiłaś.

–Owszem. – Tettsie uśmiechnęła się smutno. – Ale utrata tej miłości... To była cena, jaką zapłaciłam, żeby przeżyć życie tak, jak się żyć powinno.

Marethyn wyszła z za sztalug.

–No a dziadek?

–To znaczy?

–Nie kochał cię?

–Niegdyś. Tak mówił. Lecz v'ornnańscy mężczyźni... – Tettsie urwała, zerknęła na Sornnna i uśmiechnęła się. – Porozmawiajmy lepiej na inny temat.

–Nie – uparła się Marethyn. – Chcę wiedzieć, co zamierzałaś powiedzieć.

–No dobrze, skoro tego chcesz. – Tettsie mocniej zacisnęła dłoń na lasce. – Jestem zdania, że v'ornnańscy mężczyźni nie są zdolni do romantycznej miłości. Większość nie ma pojęcia, co to w ogóle jest. A ci, którzy, podobnie jak twój dziadek, twierdzą, że wiedzą, sami się okłamują. – Wzruszyła ramionami.

Marethyn popatrzyła na Sornnna.

–A co ty o tym myślisz?

Sornnn uniósł ręce.

–To rodzinna sprawa.

–Sprawa rodziny, do której zamierzasz wejść, o ile intuicja właściwie mi podpowiada – powiedziała bardzo spokojnie Tettsie.

–Babciu! – krzyknęła Marethyn.

Tettsie nie odrywała oczu od Sornnna.

–Powiedz, czy się mylę, Sornnnie SaTrrynie.

–Widzę, że zostanę w to wciągnięty, czy mi się to podoba, czy nie – rzekł, próbując obrócić wszystko w żart.

Tettsie wciąż na niego patrzyła.

–Dla mnie to najważniejsza sprawa.

–No, chyba że tak.

Marethyn podobało się, że Sornnn, tak jak i ona, szanuje życzenia Tettsie. Skinął głową.

–Uważam, że Tuskugggun są równie niezdolne do miłości jak mężczyźni.

–Jak mniemam, masz na to odpowiedni przykład – rzekła oschle Tettsie.

–Tak się składa, że mam. Moją matkę. Wymigiwała się od swoich obowiązków w hingatta, była zimna i nieczuła. Myślę, że mną gardziła, bo byłem chłopcem, a nie dziewczynką, której uczucia mogłaby dzielić.

–Tak się składa – powtórzyła jego słowa Tettsie – że znam twoją matkę, Sornnnie SaTrrynie. Przyjaźnimy się od wielu lat.

–Cooo?

–To prawda. To do mnie przychodziła, kiedy twój ojciec ją pobił.

–Dlaczego... Co ty mówisz? – Sornnnowi aż się zakręciło w głowie. – Ojciec nigdy by...

–A jak myślisz, dlaczego tak często nie było jej w hingatta? – Tettsie ruszyła ku niemu, utykając. – Była w szpitalu, a kiedy stamtąd wychodziła, to zostawała u mnie, bo nie chciała, żebyś widział siniaki, nie chciała, żebyś pytał, nie chciała, żebyś się dowiedział, jaki ojciec dla niej był.

Pod Sornnnem ugiwały się nogi.

–Ojciec był dobrym v'ornnem. – Gardło miał tak ściśnięte, że ledwo zdołał to wykrztusić.

–Obydwoje wiemy, że pod wieloma względami był dobrym V'ornnem – powiedziała litościwie Tettsie. – Lecz miał też inne cechy. Nie chcę go potępiać czy poniżać, chcę jedynie, byś go zobaczył w całej okazałości.

–Nic z tego nie pojmuję – rzekł Sornnn bliski obłędu.

Poczuł uścisk zadziwiająco silnej dłoni Tettsie.

–Bez względu na to, co myślisz o swoim ojcu, wiedz, że dla ciebie był zupełnie inny niż dla niej.

Wtedy sobie przypomniał, co matka powiedziała tamtego okropnego dnia, kiedy ojciec umarł; co powiedziała, kiedy ją uderzył: „Zupełnie jak on. Cóż, chyba nie powinnam być zaskoczona”. Sornnnowi zrobiło się niedobrze.

–Ale on by przecież nie mógł... Ja... jak mógłby?

–Bo był sparanoizowany, zazdrosny i bojaźliwy. – Tettsie spojrzała mu głęboko w oczy. – Rozumiesz mnie, Sornnnie SaTrrynie?

Sornnn przypomniał też sobie, co matka powiedziała, zanim ją uderzył: „Nie przyszłam tu z jego powodu. Chciałam się z tobą zobaczyć”.

Tyle wspomnień wirowało mu w pamięci. Potrząsnął głową, zdezorientowany i wytrącony z równowagi.

–Pozwól, że zadam ci proste pytanie. – Tettsie pachniała leciutko kwiatami i pudrem. Była to mieszanina woni, które Sornnn pamiętał z dzieciństwa, z hingatta, kiedy była przy nim matka. – Czy życie, które dla siebie wybrałeś, może cię uczynić bojaźliwym i zazdrosnym?

–Nie należę do V'ornnów tego rodzaju.

–A przecież nie wszystko w twoim życiu jest jawne. Mówię o twoim związku z Marethyn. – Umilkła na chwilę. – Mówię to, bo bardzo się troszczę o wnuczkę.

Sornnn kiwnął głową, z trudem przełknął ślinę. Wiedział, rzecz jasna, że taki moment musi nadejść.

–Jeśli dalej będziesz się za nią uganiał, to myśl także o niej, nie tylko o sobie. Pamiętaj, od czego ją odrywasz. Myśl zwłaszcza o tym, co jej zostanie, jeżeli ją porzucisz.

–Nigdy nie...

–Miej na to wzgląd, Sornnnie SaTrrynie!

Tettsie powiedziała to tak gniewnie, że tylko kiwnął głową jak mały chłopiec i rzekł:

–Tak, oczywiście, ja...

Wtem w oczach starej Tuskugggun pojawił się dziwny wyraz i kobieta powiedziała cichutko:

–Coś mi się wydaje, że teraz chciałabym usiąść. – Nagle oczy uciekły jej w głąb, zatoczyła się. Wsparła się mocno na lasce, która się złamała, i Tettsie całym ciężarem runęła na sztalugi, przewróciła je i razem z nimi upadła na podłogę. Portret zawirował na jednym z rogów, stonowane barwy i mistrzowskie pociągnięcia pędzlem zlały się i zamazały; potem obraz powoli znieruchomiał w smudze gęstego cienia. Sornnn ukląkł przy Tettsie, chłodnymi czubkami palców dotknął bladej, suchej, pomarszczonej skóry. Był świadom, że Marethyn wykrzykuje jej imię, był świadom, że szuka tętna Tettsie, które już ucichło, był świadom, jak ciężko mu na sercach, kiedy tulił babkę i wnuczkę, a Marethyn łkała z rozpacz i żalu jak mała dziewczynka.

Riane przespała całą noc i cały dzień. Kiedy się obudziła, Tezziq nauczyła ją jeść wedle obyczaju Gazi Qhan. Oczywiście zaczekała, aż postawią przed nimi półmiski. Zauważyła, że Riane jest bardzo głodna, i zachęciła ją, żeby się poczęstowała.

–Nie ma sztucców – powiedziała dziewczyna.

–Nie używamy sztucców.

Riane wzruszyła ramionami. Była tak wygłodzona, że aż bolał ją żołądek. Szybko wyciągnęła rękę ku półmiskom i mocno oberwała. Podskoczyła. Opanowała się, rzuciwszy okiem na stojących pod ścianami strażników.

–Jeszcze raz – powiedziała zimno Tezziq, nie dodając ani słówka wyjaśnienia.

Kiedy Riane znów sięgnęła po jedzenie, Tezziq uderzyła ją jeszcze mocniej. Dziewczyna instynktownie chciała jej oddać, lecz w mgnieniu oka dwaj strażnicy przytknęli jej do gardła sztylety. Opuściła rękę, a Tezziq w milczeniu skinęła na strażników, którzy niechętnie wrócili na miejsca. Najwyraźniej byli rozczarowani, że nie było im dane utoczyć komuś krwi.

–Jeszcze raz – rozkazała Tezziq. Kiedy Riane trzeci raz sięgnęła do półmiska, Tezziq uderzyła ją tak mocno w twarz, że jedzenie wyleciało dziewczynie z rąk.

–Rozkazujesz mi jeść – powiedziała z płonącymi oczami – a potem mnie za to karzesz! Czego ode mnie chcesz?!

–Będziesz teraz szlochać nad tą niesprawiedliwością, cudzoziemko? – zadzwiała Tezziq. – Zapomnij o sprawiedliwości. Teraz jesteś w Korrushu. Nauczysz się

dobrych manier albo zginiesz jak wściekły slingbok. – Dumnie uniosła brodę. – A teraz jedz.

Riane siedziała z rękami splecionymi na podołku.

–Głucha jesteś?! – krzyknęła Tezziq, czerwieniejąc. – Jedz, kiedy ci każę!

Riane siedziała nieruchomo. Tezziq skinęła głową.

–Dobrze. Wygląda na to, że mimo wszystko da się cię czegoś nauczyć. – Uniosła rękę. – Nawet kiedy jesteśmy pod gołym niebem, zmywamy z rąk kurz, zanim zaczniemy jeść.

Riane zobaczyła duży pleciony kosz z dwoma wilgotnymi ręcznikami. Wzięła jeden i wytarła dłonie.

–Możesz jeść – powiedziała Tezziq.

Dziewczyna sięgnęła po jedzenie i tak oberwała, że grzbiety dłoni jej poczerwieniały. Przestała się buntować i zmusiła się do spokojnego siedzenia.

–Co robię źle? – spytała.

–Bezwstydna cudzoziemka! – Tezziq uderzyła ją w twarz.

Riane głęboko odetchnęła.

–Naucz mnie jeść tak, jak się powinno, Tezziq, bardzo cię proszę.

Na ustach Tezziq pojawił się uśmiech, lecz jej oczy twardo patrzyły na dziewczynę.

–Jemy dwoma palcami i kciukiem jednej dłoni, wyłącznie tymi palcami. Rozumiesz, cudzoziemko?

–Tak.

Tezziq uderzyła ją w twarz.

–Tak, Tezziq.

–A teraz jedz tak, jak jedzą Gazi Qhan.

Riane dwoma palcami i kciukiem jednej ręki sięgnęła po kęs pożywienia i włożyła go do ust. Nie została ukarana. Sięgnęła po następny i od razu oberwała. Zmilczała, siedziała nieruchomo, patrząc na Tezziq i starając się zachować obojętną minę.

–Pogryź i połknij, a dopiero potem sięgaj po więcej – pouczyła ją Tezziq. – Świadczy to o grzeczności i zarazem pozwala ci w pełni delektować się smakiem każdego dania. Takie zachowanie przynosi zaszczyt i gospodarzowi, i tobie.

Riane żuła i starała się tym nie napawać. Lecz kiedy wzięła trzeci kęs, wiedziała, że Tezziq ma rację. Kiedy tak siedziała spokojnie i żuła każdy kęs, miała czas skupić się na jego smaku, konsystencji i aromacie. To był niezwykle spokojny i miły posiłek.

Kiedy się najadła do syta, Tezziq wskazała brodą duży pleciony kosz. Tym razem Riane nie potrzebowała wyjaśnień. Do czysta wytarła dłoń drugim ręcznikiem.

–No cóż, cudzoziemko – rzekła Tezziq, wstając – może jeszcze coś z ciebie będzie.

Riane szła za Tezziq z jednej komnaty do drugiej i wkrótce straciła orientację w labiryncie wewnętrznego pałacu. W końcu dotarły do małego, skromnego przedpokoju, w którym również tkwili strażnicy.

–Stań tutaj – poleciła Tezziq. Okrążyła Riane, kręcąc nosem. – Ten strój cuchnie, a poza tym jest brzydki. Zdejmij to.

Dziewczyna spojrzała niepewnie na strażników, a Tezziq zaśmiała się dźwięcznie.

–Nie zwracaj na nich uwagi – powiedziała. – Popatrz!

Podeszła do jednego z nich i obnażyła piersi. Ujęła je w dłonie i potarła nimi jego umięśniony tors. W ogóle nie zareagował. Tezziq wsunęła mu dłoń między nogi, masowała go.

–Widzisz? – Spojrzała przez ramię na Riane. – Wszyscy strażnicy w wewnętrznym pałacu są saddda; zmieniono ich. Nie mają genitaliów. – Widząc wyraz twarzy Riane, dodała: – Sądzisz, że inaczej Makktuub by im ufał? Pokusa byłaby zbyt wielka.

Widok piersi Tezziq i jej lubieżne zachowanie wywarły wiadomy wpływ na męską osobowość Annona. Serce Riane zaczęło bić szybciej i dziewczyna czuła wszystkie oznaki podniecenia.

Tezziq wróciła do niej i skinęła dłonią.

–Dość gadania. Rozbieraj się.

Riane przez chwilę stała nieruchomo. Bała się, że Tezziq zauważy jej podniecenie i stanie się podejrzliwa.

–Rób, co każę, albo zrobię to za ciebie! – warknęła Tezziq.

Riane rozebrała się. Nawet nie spojrzała na strażników, tak bardzo była świadoma

badawczego spojrzenia Tezziq.

–No, no, no – rzekła z zadumą Tezziq – ależ z ciebie piękność. – Chodziła wokół Riane. – Nogi i ramiona masz silne. Pośladki jędrne. A piersi... wspaniałe! Takie twarde brodawki!

Riane z trudem przełknęła ślinę, twarz jej płonęła.

–Szczęście ci dopisuje. Masz ciało, jakiego pożąda Makktuub.

Coś w jej głosie sprawiło, że Riane zapomniała o swoim ogromnym zażenowaniu. Czyżby dosłyszała nutkę zawiści, ukrytą niczym robak w przejrzalym clemecie?

–Taaak, aż nazbyt chętnie przyjmie cię w swojej sypialni.

Nie, pomyślała Riane. To smutek. A potem spojrzała w oczy Tezziq i zrozumiała. Po raz pierwszy poczuła w stosunku do tej pięknej kobiety coś innego niż wrogość. Czyż i Tezziq, podobnie jak ona, nie była uwięziona w haanjhala? Poczuła, jak jej gniew mija, opór słabnie.

–Nie poszłabym – powiedziała cicho – gdybym miała wybór.

–Jesteś głupia – rzekła szorstko Tezziq. – Seks to swego rodzaju władza. – Podeszła i stanęła tuż przy dziewczynie. – Jedyna, jaką ty i ja mamy.

–I co ci to dało?

–Jestem pierwszą ajjan Makktuuba, jego faworytą. To zaszczyt, że właśnie mnie ze wszystkich ajjan wybrał, bym mu dawała rozkosz.

–A jak inna wpadnie mu w oko?

Tezziq odwróciła wzrok.

–To nie twoja sprawa.

–Istniejesz wyłącznie dzięki niemu. Więc kiedy wybierze inną, będzie po tobie.

Tezziq odwróciła się i uderzyła ją w twarz.

–Bicie mnie niczego nie zmieni.

Teraz Tezziq tłukła Riane pięściami, dopóki ta nie złapała jej za przeguby i nie unieruchomiła. Strażnicy natychmiast ku nim ruszyli, ale powstrzymał ich ostry rozkaz Tezziq. Patrzyli złym okiem na obie dziewczyny i z pewnością snuli swoje tajemnicze myśli.

Riane i Tezziq wpatrywały się w siebie, aż w końcu po policzku Tezziq zaczęła spływać łza. Ajjan wydała zduszony krzyk, wyrwała się i odwróciła tyłem do Riane i do strażników. Dziewczyna zbliżyła się do niej.

–Wbrew temu, co możesz sobie myśleć, nie pragnę ani jego, ani tej władzy, jaką twoim zdaniem daje jego rozkosz – wyszeptała Riane do pleców Tezziq. – Bo mężczyźni tacy jak on nigdy się naprawdę nie nasycą, bez względu na to, jak upoją ich twoje sztuczki. Zawsze pragną tego, czego jeszcze nie znają. – Podeszła jeszcze bliżej. – Wiesz, że właśnie dlatego mnie chce. I, prawdę mówiąc, jakąż moc może mi to dać?

W Opactwie Gorącego Nurtu Eleana oparła się o chłodne kamienne bloki i patrzyła na słupy dymu wznoszące się z pogórza Djenn Marre. Tak była zaabsorbowana własnymi myślami, że nie zauważyła, kiedy stanęła za nią wysoka postać w zbroi.

–Powinnaś odpoczywać – odezwał się Rekkk Hacilar.

–Jak mogę odpoczywać? – Wskazała dym, gęsty i ciemny, wiszący nieruchomo, zasłaniający góry. – Widzisz, co się dzieje? Khaggguni znaleźli komórki ruchu oporu i palą naszych wojowników.

Rekkk wciąż jeszcze poruszał się ostrożnie. Rana, chociaż zewnętrznie całkowicie wygojona, od czasu do czasu gdzieś głęboko w środku go bolała. Goiła się jednak w zadziwiającym tempie. Przypisywał to zmianom, jakich w nim dokonał Nith Sahor, wszczepiając ten specjalny okummmmon po wewnętrznej stronie przegubu.

Eleana wyglądała na tak przygnębioną, że aż bolały go serca.

–Gdzie Thigpen? – zapytał, rozglądając się.

–Odeszła. Powiedziała mi, że wezwano ją w pilnej sprawie do Lodowych Jaskiń.

–To brzmi bardzo tajemniczo.

–Raczej złowieszczo.

Rekkk westchnął i usiadł obok Eleany.

–Nie mogę uwierzyć, że to mówię, ale brak mi jej.

Eleana kiwnęła głową.

–Mnie też.

Widział, że dziewczyna nie odrywa oczu od niemal nieruchomych słupów dymu, wiszących ponuro nad górami.

–Kiedy Wennn Stogggul doprowadził do zamordowania Eleusisa Ashery i został regentem, myślałam, że już nic gorszego nas nie spotka. – Eleana położyła dłoń na wypukłym brzuchu. – Myliłam się. Pod rozkazami Kurgana Stogggula i Olnna Ryddlina Khagguni zwiększyli liczbę patroli i wypadów. Jest jak w pierwszych dniach inwazji. Są brutalni, nieustępliwi. Powinnam być z moimi ziomkami.

–I zginąć?

–Wolę myśleć, że coś bym zmieniła – rzekła z goryczą. – Ale chowam się w tym sanktuarium.

–Czyżbyś tak szybko zapomniała, że szuka nas sam gwiazdny admirał?

–O niczym nie zapominałam – odparła sucho Eleana. Dym powoli się rozwiewał, bo nad zalesionymi zboczami powiał słaby wiatr. – Ale czuję się taka bezużyteczna.

–Chodźmy stąd. – Rekkk dotknął jej ramienia. – Nie wolno tak sobie rozdzierać serca.

Pozwoliła, żeby ją ku sobie odwrócił.

–Co zrobimy, Rekkku?

–Ty nic nie będziesz robić. Teraz powinnaś myśleć o dziecku. Nie możesz go narażać na niebezpieczeństwo.

–To nie odpowiedź, przynajmniej nie dla mnie. – Potrząsnęła głową. – Zwariuję, jeżeli dalej będę tak beczynn timer siedzieć. – Ścisnęła jego dłoń. – Giyan porwano. Dar Sala-at jest w Korrushu, pewnie grozi mu niebezpieczeństwo. Thigpen wyruszyła w jakąś tajemniczą misję, a my sobie siedzimy i oplakujemy nieobecnych przyjaciół. – Uśmiechnęła się smętnie. – Zwalczam w sobie instynkt założenia gniazda.

Rekkk popatrzył na nią spokojnie.

–Z tym instynktem chyba nie należy igrac.

–Gdybym nie mogła walczyć razem z wami, umarłabym ze wstydu.

Nagle dziewczyna wybuchnęła płaczem. Rekkk ujął ją za łokieć i poprowadził drózkami do środkowego atrium największej świątyni. W czterech rogach rosły drzewa clemettowe, a dokoła gąszcz krzewów purpurowych róż, o liściach wciąż zielonych i lśniących i gałązkach domagających się przycięcia. Garwoodowy labirynt pośrodku atrium był ledwo widoczny – splątane chaszczce z wyrwą tu i ówdzie.

–Smutny koniec, nieprawdaż? – Eleana otarła łzy, a potem popatrzyła na Rekkka. –

Kłóciłam się z Riane tuż przed jej odejściem.

–O co?

–Kiedy teraz o to zapytałeś, uświadomiłam sobie, że sama dobrze nie wiem. – Odgarnęła włosy z czoła. – Byłam zła, że sobie idzie i opuszcza mnie.

–Zbyt wiele od siebie wymagasz. Oczekujesz dziecka...

Spojrzała mu w twarz.

–Ale teraz mi się wydaje, że mogłam się złościć o coś zupełnie innego.

–O co konkretnie?

–Może... Chodzi mi o to, że kiedy jestem przy niej, to czuję coś takiego... jakieś napięcie... przeczucie...

–Nic dziwnego. W końcu jest Darem Sala-at.

Eleana skinęła głową.

–Oczywiście. Lecz jest również Riane i nosi sztylet, który dałam Annonowi, i kiedy jestem przy niej, to on wydaje się taki bliski... Och, to wszystko takie zagmatwane!

–Najwyraźniej jesteś nerwowo wyczerpana – westchnął Rekkk. – Musisz odpocząć.

Podprowadził ją do ławki i posiedzieli jakiś czas. Eleana machinalnie ścierała patykiem mech z popękanej kamiennej podpory. Wiatr kołysał bezlistnymi gałęziami drzew, a ich skrzypienie brzmiało w uszach Eleany jak przedśmiertne rżenie. Pamięć podsuwała jej obraz twarzy Riane na chwilę przedtem, nim ją uderzyła: odmalowały się na niej gwałtowne emocje, które natychmiast zostały opanowane. Zamknęła oczy, chcąc pozbyć się tego obrazu, i zamiast niego zobaczyła powykręcane i zwęglone ciała ziomków, a słupy czarnego tłustego dymu znaczyły miejsca, w których zginęli.

Rekkk objął ją ramieniem i powiedział:

–Jaka piękna pora dnia. Nisko wiszące słońce cętkuje złotem szary kamień... – Westchnął. – To nie jest beznadziejne. Nie wolno ci tak myśleć.

–Ale tak właśnie myślę! – zawołała. – Metodycznie wybijają ruch oporu. Tylko popatrz na północ, a ujrzysz dowód!

Potem Eleana usłyszała łopot skrzydeł, uniosła głowę i zobaczyła teyja, w całej krasie czerwono-błękitno-zielonego upierzenia, wzbijającego się z garwoodowego

gąszczu i trzymającego coś w dziobie. Usiadł na ławce i przechylił łebek, przyglądał się im lśnącymi oczkami. Potem upuścił Eleanie na podolek mały owalny przedmiot.

–Wygląda jak strąk – powiedziała, obracając ów przedmiot w palcach. – Ale jest z metalu.

–Tert i german – stwierdził Rekkk.

Eleana zamruwała, pozbywając się łez.

–V'ornnański.

Rekkk przytaknął.

–Nazywają to duscaantem. To khagguńskie urządzenie nagrywające. Wymyślny przyrząd szpiegowski.

Zerknęła na teyja, lecz Rekkk potrząsnął głową. Zabrał duscaanta z dłoni Eleany.

–Thigpen i Riane znalazły to w bibliotece.

–Przecież to niemożliwe – powiedziała. – Bibliotekę zapieczętowano zaklęciem Osoru, zanim V'ornnowie weszli na teren opactwa.

–Czyli mógł zostać tutaj umieszczony wyłącznie przed zjawieniem się V'ornnów.

Eleana otworzyła usta ze zdziwienia.

–Kundalański szpieg?

–Ramahanka. Tak mi powiedziała Thigpen, zanim odeszła.

–Ramahanka współpracująca z V'ornnami. – Eleana aż się wzdrygnęła. – Co mogło skłonić kapłankę Miiny, by zdradziła własnych rodaków?

–Należałoby zapytać raczej o coś innego. Jak to się dzieje, że Khagguni z takim powodzeniem wyluskują i niszczą komórki ruchu oporu w tym rejonie Północnego Kontynentu?

–Co masz na myśli?

–Swego czasu zostałem przydzielony do zachodniego kwadrantu, za lasem Borobodur. Kiedy dołączyłem do tamtejszych dowódców, przekonałem się, że odnoszą o wiele mniej sukcesów w zwalczaniu ruchu oporu niż tutejsze oddziały, w Krainie Zamarzniętych Stawów.

–Ramahański szpieg?

Rekkk przytaknął.

–Nasuwa się takie przypuszczenie. Informacje muszą skądś pochodzić.

Eleana zapomniała o rozpachy i zniechęceni

–Kiedy byłeś dowódcą szwadronu Khaggunów, skąd dostawałeś informacje?

–Z biura generała polnego Lokcka Werrrenta. – Spojrzał na Eleanę. – Co ci chodzi po głowie?

–Zastanawiałam się, kto w biurze Werrrenta ma nadzór nad ramahańskim szpiegiem.

Rekkk uniósł duscaant.

–Może to nam da jakieś wskazówki.

–Wiesz, jak to uruchomić?

Teyj zatrzepotał górną parą skrzydeł i zaczął śpiewać.

–Nie – odparł Rekkk – ale sądzę, że teyj wie.

Para wzbijała się niemal pionowo, tworząc kolumnę równie nierzeczywistą jak całe to miasto namiotów. A mimo to wydawała się niemal namacalna. Była przesycona zapachem suchych liści limoniku i zdawało się, że ta ostra woń nadaje kolumnie wagę alabastru.

Mżyło, kiedy Tezziq zaprowadziła Riane do namiotu łazienkowego; drobne krople deszczu uderzały w wodę pośrodku parującego basenu, tam gdzie namiot był otwarty. Kapały na głowę Riane, gdy rozkoszowała się gorącą kąpielą.

–Spójrz, tylko spójrz – odezwała się Tezziq, ujmując dłoń Riane. – Już masz pod paznokciami pył. Między innymi dlatego je malujemy.

Tezziq miała wspaniałe ciało: niewysoka, smukła, delikatnie umięśniona, bez skazy. Smagła skóra lśniła od olejków. Piersi były jak dojrzałe limoniki. Kępka pomiędzy nogami niewielka, mroczna niczym zmierzch. Riane natychmiast przypomniały się kąpiele w Opactwie Optywającej Jasności: długie miesiące przyzwyczajania się do swojego nowego kobiecego ciała, do ciekawskich spojrzeń innych dziewcząt, do zażenowania, że wciąż czuje męskie upodobania Annona, do radzenia sobie z budzącym się pożądaniem. Tezziq – w przeciwieństwie do ramahańskich akolitek z opactwa – świetnie wiedziała, jak hojnie została obdarzona przez naturę, i umiała to wykorzystywać. Każdy ruch, każdy gest, choćby najzwyczajniejszy, służył jednemu celowi. Albo była urodzoną kochanką, albo tak ją w haanjhala wyuczono. Ocierała się twardymi sutkami o plecy Riane, myjąc je miękką szczotką. Dziewczyna nie mogła powstrzymać drżenia.

Tezziq bez wątpienia to zauważyła, bo mocno przytuliła się do pleców Riane, nachyliła się przy tym i szepnęła jej do ucha:

–*Wa tarabibi*. To specjalny zwrot, używany wyłącznie pomiędzy najbliższymi. To znaczy „moja ukochana”. – Musnęła językiem ucho dziewczyny. – Mogę rozkładać nogi przed kapudaanem, kiedy tylko zechce, lecz sama wolę... delikatniejsze ciała. – Małe białe ząbki na mgnienie zacisnęły się na uchu Riane, a potem Tezziq znów zajęła się jej myciem.

Wokół nich unosiła się para, a łagodny deszczyk otaczał je fantasmagoryczną ścianą. Ciepło, ostry aromat liści limoniku, kąpiel o wyraźnie erotycznym podtekście – to wszystko sprawiało, że Riane była zarazem senna i podniecona. Do walki z tymi emocjami wykorzystwała swój strach i gorące pragnienie wyjścia na wolność. Ale to wcale nie było takie proste. Z rozgoryczeniem stwierdziła, że nie może się otrząsnąć z frustracji i poczucia winy, wywoływanych pokrętnymi relacjami z Eleaną. Nigdy się nie będzie mogła podzielić z ukochaną swoimi uczuciami i pragnieniami. Gdyby ją zapytano, to oczywiście zaprzeczyłaby, że ma ochotę na malutki skok w bok. A

przecież miłość tak mocna i szalona jak jej, tak okrutnie udaremniiona, nieuchronnie zaczęła szukać spełnienia i czyniła ją podatną na pokusy. Odległość jedynie nasiliła tęsknotę za Eleaną i pożądanie. Riane nie mogła mieć Eleany, lecz pożądanie nie zniknęło, paliło jak nie zagojona rana. Chwilowe ukojenie mogłoby być akurat tym, co potrzebne, lecz mogłoby również stać się zagrożeniem, w pewnych okolicznościach należy raczej trwać w niesłabnącym cierpieniu. Riane oparła głowę o nagie ramię Tezziq.

–Opowiedz mi o Makktuubie. Co ci szepcze po nocy rozkoszy?

W ciele Tezziq dało się wyczuć lekkie napięcie.

–Szpieg chciałby wiedzieć takie rzeczy, czyż nie?

Riane ujęła jej dłoń i położyła sobie tuż pod piersią.

–I nowicjuszka aijan też, bo musi wiedzieć o wszystkim, co się podoba jej przyszłemu kochankowi.

–Którą z nich jesteś? – Tezziq leciutko drżała. – Nowicjuszka aijan czy szpiegiem?

Riane odrobinę przesunęła dłoń Tezziq, tak że dziewczyna objęła jej pierś. Usłyszała tuż przy uchu, jak Tezziq wciąga powietrze, i pomyślała, że już jest jej. Dłoń Tezziq powolutku się zaciskała i w końcu to Riane zachłysnęła się oddechem.

–Nie myśl, że jestem głupia, cudzoziemko – syknęła tamta. – Nie tak łatwo mnie uwieść. Okazałaś mi lekceważenie i pogardę. – Puściła szczotkę i brutalnie wepchnęła rękę pomiędzy uda Riane. – Mogłabym cię wziąć tak brutalnie jak mężczyzna. Mogłabym...

Lecz ku jej zaskoczeniu Riane odwróciła się i mocno ją przytuliła, głaskała Tezziq tak delikatnie, jakby to skrzydła nagonogów ją muskały – bo wyczuła w dziewczynie palące pragnienie, żeby ktoś ją delikatnie obłaskawił, o czym, rzecz jasna, jej pan, kapudaan, nigdy nie pomyślał. Czy i ona sama zaakceptowała własne pragnienie, żeby ją tulono, obłaskawiano, pożądano?

–Jeżeli okazałam lekceważenie i krnąbrność – wyszeptała – to dlatego, że się bałam. Jeżeli okazałam pogardę, to dlatego, że się broniłam przed twoją nienawiścią. – Światło padało na wodę, migotało, odbijało się od ich splecionych ciał. Riane nie przestawała leciutko głaskać Tezziq. – Ale, jak sama widzisz, to się może zmienić w jednej chwili. – Opuszki palców dziewczyny muskały połyskujące wzgórki i cieniste zagłębienia, rysowały linie na drżącym ciele Tezziq. – Prawdę mówiąc, zupełnie nie gustuję w mężczyznach. Mdli mnie od tej dzikości, którą wnoszą w łóżko.

Tezziq zamknęła oczy, a kiedy je otworzyła, miała odrobinę ciemniejsze tęczówki.

–Kimkolwiek jesteś – powiedziała ochryple – wykazujesz ogromną pomysłowość.

Ujęła w dłonie głowę Riane i zachłannie ją pocałowała. Kiedy już była zaspokojona, wbiła wzrok w oczy dziewczyny.

–Może to właśnie na ciebie czekałam, bez względu na to, kim jesteś. – Na mgnienie wysunęła język, kiedy palce Riane przesunęły się pomiędzy jej udami; mocno złapała dziewczynę za nadgarstek. – Ale zapamiętaj sobie, cudzoziemko. Jeżeli mnie okłamiesz, jeżeli chociaż raz zawiedziesz moje zaufanie, to przysięgam na święte słowa Proroka, że wytnę ci serce i nakarmię cię nim.

Kurgan zauważył, że Nith Batotxxx w pałacu regenta omija lustra.

Przebywał w swoich prywatnych pokojach i sygnował swym podpisem stertę ogłupiających urzędowych dokumentów, kiedy usłyszał szept. W pierwszej chwili chciał zawołać Haaar-kyut. Ale coś go przed tym powstrzymało. Przez chwilę siedział zupełnie nieruchomo. Z balkonu dobiegł ostry krzyk czarnowrona. Po jakimś czasie głos znów zaczął szeptać. Kurgan zostawił nudną robotę i nadstawił ucha, uważnie nasłuchiwał. Głos wydawał się zarazem znajomy i obcy, mamił chłopaka. Kurgan bezszelestnie odsunął krzesło i wstał.

Chodził po komnacie, aż zlokalizował kierunek, z którego dobiegał głos. Cichutko podszedł do otwartych drzwi. Odczekał chwilę, bacznie nasłuchując. Głos był tak cichy, że Kurgan nie mógł odróżnić poszczególnych słów. Przesunął się odrobinę i stanął w otwartych drzwiach. Na szczęście było już dość późno. Okna jego komnaty wychodziły na wschód, więc cień Kurgana nie padał do pokoju, z którego dochodził głos. Chłopak znów się przesunął i teraz słyszał o wiele wyraźniej. Niestety, głos przemawiał w jakimś obcym języku. Kurgan wyciągnął szyję, powodowany nieposkromioną ciekawością. Wyjrawszy zza futryny dostrzegł Nith Batotxxxsa. Gyrgon stał przed niewielkim lustrem, jednym z nielicznych w pałacu. Choć to nieprawdopodobne, wydawało się, że przemawia do lustra. W języku innym niż v'ornnański. Prawdę mówiąc, w zupełnie nieznanym języku. Kurgan gapił się na niego. Miał wrażenie, że Nith Batotxxx rzeczywiście rozmawia z lustrem. A więc jednak był szalony!

A może było jakieś inne wyjaśnienie?

Kurgan przypomniał sobie, jak kiedyś znajdował się w tym właśnie pomieszczeniu, a Nith Batotxxx podszedł do bocznych drzwi, naprzeciwko tych, w których Kurgan teraz stał, i skinął na niego, żeby przyszedł do przyległej komnaty. Chłopak wciąż jeszcze czuł, jak się wtedy gniewnie zjeżył. A potem szedł z Gyrgonem do Wielkiej Sali. Kurgan zamówił ośmiokątne lustro do komnaty, w której trzymał kolekcję broni ręcznej, i jakiś V'ornn zostawił je oparte o ścianę holu. Gyrgon, zamiast przejść obok lustra, nagle przeprosił i zniknął, a jakiś czas później wszedł do Wielkiej Sali przez

inne drzwi. Chłopak wówczas nie skojarzył postępu Gyrgona z lustrem, ale teraz miał się nad czym zastanawiać.

Ciekaw był, z kim Gyrgon rozmawia w tym lustrze. Może lustra były nowymi szpiegowskimi urządzeniami Gyrgonów. Ale w takim razie dlaczego Nith Batotxxx starał się ich unikać?

Kurgan postanowił uzyskać odpowiedzi na swoje pytania; cofnął się od drzwi, przemierzył komnatę, w której podpisywał dokumenty, i wyszedł na korytarz. Były tam drzwi do sąsiedniej komnaty, dokładnie na wprost lustra. Kiedy do nich podszedł, okazały się zamknięte. Chwycił klamkę, głęboko zaczerpnął powietrza i ostrożnie odrobinkę je uchylił.

Zobaczył niewielki fragment komnaty i ramię Gyrgona. Powolotku uchylał drzwi, aż w jego polu widzenia znalazł się skraj lustra. Tak przechylił głowę, że mógł dostrzec odbicie Nith Batotxxksa – i z ogromnym trudem powstrzymał się od wrzaśnięcia.

Tezziq odprawiła służące; postanowiła, że sama zaplecie włosy Riane. W jej wykonaniu była to czynność długotrwała, powolna, senna, pełna czułości. Riane zaciskała w dłoni kosmiczny brzeszczot, który Minnum przyczepił jej do karku.

Dziewczęta ułożyły się na jedwabnych poduchach i Tezziq opowiedziała Riane o kapudaanie.

–Makktuub to niesłychanie dumny mężczyzna – mówiła cicho. – Pochodzi z długiej linii kapudaanów. Urodził się, by rządzić. To znaczy, że jest bezwzględny, brutalny, pobożny i bezlitosny. Jest wielkim kapudaanem, może największym od stu lat.

Riane uznała, że Tezziq wierzy w to całym sercem.

–Czy jest również sprawiedliwy?

–Sprawiedliwy? – Tezziq na chwilę przerwała zaplatanie. – Pobożność wyklucza sprawiedliwość. Poza tym sprawiedliwość to słabość, czyż nie? A Makktuub nie ma żadnych słabości.

Każdy ma jakąś słabość, pomyślała Riane, może to właśnie pobożność Makktuuba jest jego słabością. Lecz zachowała dla siebie te domysły. Tego kapudaan zdążył ją już nauczyć. Poprosiła więc:

–Opowiedz mi wszystko, co powinnam o nim wiedzieć.

Tezziq wróciła do zaplatania, a jej palce zręcznie wykonywały złożony wzór.

–Makktuub wybrał sobie z Mokakaddiru, którego praw wiernie przestrzega, pewne

powiedzenie – podjęła. – „Jeden grzech wiedzie do wszystkich pozostałych”.

Znów ta jego pobożność, pomyślała Riane.

–Czy Makktuub pochodzi z pobożnej rodziny?

–Wcale nie. Lecz kiedy przebywa w pałacu, to każdego dnia, dokładnie o północy, zjawia się tu świątobliwy mędrzec i przez dwie godziny naucza kapudaana Mokakaddiru.

–Skąd o tym wiesz?

–Ten mędrzec przychodzi przez bramę dla dostawców, w zachodniej części pałacu. To w pobliżu łaźni haanjhała. Raz go widziałam. To bardzo stary, brodaty Ghor.

–Ghor?

–Ghorowie to fanatyczna, ultrareligijna sekta. Twierdzą, że są w prostej linii potomkami uczniów Jiharrego, strażnikami Mokakaddiru. Przynależność do tej sekty jest dziedziczna; przywileje i obowiązki przechodzą z pokolenia na pokolenie. Bardzo poważnie traktują te obowiązki, które zwą „brzemieniem Jiharrego”. Nawet kapudaan ma się na baczności i nie kwestionuje ich woli, azmiirha, Ścieżki Sprawiedliwego.

–Czy i ty w to wierzysz? – spytała Riane.

Tezziq przez chwilę milczała i to bardzo wiele powiedziało Riane.

–Ja w nic nie wierzę – odparła wreszcie cicho. – Zaspokajam tylko własne pragnienia.

–Przecież masz nie tylko pragnienia, nieprawdaż? Masz też wolę przetrwania.

–Tak. Mam.

Riane powoli obracała się w ramionach Tezziq, aż ta puściła jej warkocze.

–Wola, nie wzmacniana, długo nie przetrwa – szepnęła. – Wiem to z własnego doświadczenia, bo jestem sierotą i nie mam nawet wspomnień o domu rodzinnym, żeby mnie wspierały. – Jej dłonie dotknęły ramion Tezziq jak pocałunek trzepotka. – Wiem jedno: tylko wiara pozwala przetrwać woli.

Tezziq wpatrywała się w Riane.

–Wiara w co?

–To pytanie dotyczy mnie czy ciebie?

–Ciebie. W co wierzysz, cudzoziemko?

–W lepszy świat.

Po chwili wahania Tezziq wybuchnęła śmiechem. Nie był to jednak radosny śmiech, lecz gorzki, z nutką goryczy.

–Mało brakowało, a byś mnie nabrała. Wiem, że nie mówisz poważnie.

–Mówię jak najbardziej serio – odparła Riane.

Tezziq potrząsnęła głową, spływające falą włosy zakołysały się na wysokości łopatek.

–Jak możesz mówić poważnie? Rozejrzyj się. Jesteś więźniem w dziwacznym świecie, nie masz nadziei na ucieczkę.

–Tym bardziej należy wierzyć w coś lepszego.

–Teraz to już na pewno ze mnie kpisz. – Tezziq się odsunęła.

Riane przytrzymała jej głowę i pocałowała ją, jak przedtem zrobiła to Tezziq.

–Riane...

Tezziq po raz pierwszy wymówiła jej imię i Riane była trochę zdziwiona, że to dla niej coś znaczy. Usłyszała bowiem głos Eleany. Zamknęła oczy i pomyślała o Eleanie, pragnęła, żeby Tezziq była Eleaną, i zarazem bała się tego, bo niebezpiecznie było choćby tylko wyobrażać sobie siebie z Eleaną. Bez swojego magicznego Trzeciego Oka czuła się ślepa, okaleczona, odcięta od aury tych, których kochała. Tkwiła w zupełnie pustym pomieszczeniu, w którym absolutnie nic nie przypominało jej, że nie jest całkiem sama. Tezziq jakoś się dostała do tego więzienia i ich wspólne zesłanie sprawiało, że nie mogły się bez siebie obejść.

–To moja niezachwiana wiara daje mi siłę. – Riane powiodła palcem po policzku towarzyszki. – A co daje siłę tobie, Tezziq?

Tezziq potrząsnęła głową. Oczy miała szkliste, była bliska płaczu.

–Prawdę mówiąc, nie wiem.

–No to zawrzyjmy umowę – powiedziała Riane. – Ty mnie nauczysz sekretów sztuki kochania, a ja cię nauczę, jak wydobyć na jaw to, w co wierzysz.

Tezziq wpatrywała się w nią.

–Tylko tego chcesz?

Riane zrozumiała. Tezziq pragnęła prawdy, więc ją usłyszała.

–Nie – szepnęła dziewczyna. – Jeżeli mam uciec, będzie mi potrzebna pomoc.

Tezziq przygryzła wargę.

–Prosisz o coś zakazanego.

–Wierzę w lepszy świat.

Bo cóż innego mogła jej powiedzieć?

Olnnn Ryddlin prowadził szesnastu starannie wybranych khagguńskich oficerów gęsto zalesionymi wzgórzami u stóp Djenn Marre. Wybrano ich spośród najbardziej obiecujących pierwszych kapitanów i pierwszych majorów. Olnnn poddał ich trudnej próbie, którą sam wymyślił. Wziął wraz z nimi udział w tej próbie, żeby zwiększyć ich lojalność; nie dawał sobie forów, dotrzymywał im kroku. Do ostatnich granic forsował swoją nogę, nie zważając na przeraźliwy ból w odsłoniętych kościach. Spędzili dwa tygodnie w głuszy wysokich partii Djenn Marre, bez swoich zbroi i bez fotonowych komunikatorów. Każdego dnia zmuszał ich do czternastogodzinnych marszów, przeważnie po stromych wzniesieniach. Oślepiało ich słońce, moczył lodowaty deszcz, szarpały ostre wichry. Nie zabrali racji żywnościowych i musieli jeść to, co zdołali złapać. Na początku strzelali jonicznym ogniem, ale to unicestwiało zdobycz, więc zaczęli zastawiać wnyki z okorowanych gałęzi i krótkich kawałków pnączy. Głód pobudzał ich pomysłowość. Nie wzięli również przenośnych natrysków. Przyzwyczaili się do swojej woni i od czasu do czasu kąpali w głębokich, kryształowo czystych jeziorkach, jakich pełno było w Krainie Ukrytych Jezior, po której wędrowali.

Przywykli do chłodu, uodpornili się i maszerowali z odsłoniętymi torsami. Spodobało im się to. Słońce i wiatr przyciemniły kolor ich skóry.

Tej bezksiężycowej nocy Olnnn prowadził ich niebezpiecznie wąską ścieżką, wijącą się w dół stromego grzbietu i wiodącą do ciasnego wąwozu. Daleko w dole czarna rzeka połyskiwała słabo w poświacie gwiazd.

To był ich końcowy egzamin. Ci, którzy przeżyją, otrzymają stopień komendanta szturmowego – był to nowy, ustanowiony przez Olnnna, stopień oficerski. Po pamiętnym spotkaniu z generałem polnym Lokckiem Werrrentem w Spice Jaxx's postanowił po swojemu interpretować rozkazy regenta.

Olnnn prowadził swój oddział – milczące postaci wśród nocnych odgłosów puszczy – do wąwozu. Wyczuwał napięcie swoich podkomendnych. Wiedzieli, co wkrótce

nastąpi. Wiedzieli, że niektórzy z nich mogą zginąć.

Postanowił stworzyć jednostkę dowódców, bezlitosnych i całkowicie lojalnych wobec niego, zabezpieczenie na chwilę, której nadejścia był pewny, kiedy to Kurgan Stogggul spróbuje sobie przywłaszczyć jego zaplecze. „Cieszysz się lojalnością wszystkich Khagggunów, i dopóki tak jest, nic ci nie grozi”, powiedział mu Lokck Werrrent. Mylił się jednak, bo nie znał Kurgana Stogggula tak dobrze jak Olenn. Właśnie ta lojalność bowiem zagrażała władzy regenta.

Tuż przed wąwozem ścieżka stała się trochę szersza i mniej stroma. Olenn ich zatrzymał. Przykucnęli i nasłuchiwali. Słyszał brzęczenie owadów, szum wiatru w gałęziach jodeł. Czuł woń grubego dywanu igieł pod ich stopami, żyzną wilgoć szlamu nagromadzonego na brzegu rzeki. Założył fotonowe soczewki. Teraz mógł widzieć w ciemnościach i przyjrzał się obozowi po drugiej stronie rzeki. Nie zauważył żadnego ruchu, ale wypatrzył wartownika – stał tyłem do rzeki, nie spodziewając się ataku od tej strony.

Olenn dał znak i jeden z jego ludzi, pochylony, zbiegł ku rzece i zsunął się do wody. Ryddlin obserwował go dzięki fotonowym soczewkom. Tylko czubek głowy wystawał ponad powierzchnię wody. Po kilku chwilach Khagggun wynurzył się z rzeki, bezszelestnie podbiegł do wartownika i poderżnął mu gardło jonicznym ostrzem. Teraz reszta partyzantów była zdana na ich łaskę.

Końcowy egzamin.

Olenn kazał im ruszać. Wskoczyli do wody i popłynęli. Nie lubili wody. Jak wszyscy V'ornnowie źle się czuli, nie mając pod stopami twardego gruntu. Lecz wyszkolenie robiło swoje – z determinacją parli naprzód.

Dzięki swoim soczewkom Olenn widział czekającego na nich Khaggguna. Za nim rozciągał się pogrążony we śnie obóz partyzantów. Nie była to pierwsza komórka ruchu oporu, którą niszczyli. Przez ostatnie dwa tygodnie, odrabiając wymyśloną przez Ryddlina lekcję, zabili wielu Kundalan.

Oddział właśnie przebył połowę drogi. Olenn, płynąc z wysiłkiem, na chwilę stracił z oczu Khaggguna stojącego na brzegu. Poprawił fotonowe soczewki i wtedy zobaczył, jak ten pełźnie ku nim, a z boku sterczy mu strzała. Otworzył usta, żeby ich ostrzec, i wbiła się w nie druga strzała. Rzucił się jak ryba na haczyku. Olenn się odwrócił. Powiódł wzrokiem za trajektorią strzały i ujrzał płynące ku nim cicho trzy kanoe. Były wyładowane kundalańskimi partyzantami. Wtedy pojął, że obóz jest pusty.

–Zasadzka! – zawołał.

Oddział zareagował na jego okrzyk z godną podziwu karnością. Lecz atak już się rozpoczął. Czarna woda spłynęła krwią i zobaczył, jak jego ludzie bezradnie młóca

kękami. Woda się spieniła i głowy Khaggunów zniknęły pod powierzchnią. Ryddlin podwoił wysiłki, ale i on był coraz bardziej zmęczony. Rozsądnie nakazał odwrót przez rzekę. W wodzie nie mieli szans z uzbrojonymi bojownikami w kanoe.

Wycofali się pomiędzy wysokie jodły; Olnn oszacował straty. Trzej ludzie zabici, sześciu poważnie rannych. Nie wiadomo, jakie szkody wyrządzili Khagguni. Ale i tak sporo się nauczyli, to była dobra nauczka – partyzanci są bystrzy i mają swoje sposoby.

Dla Olnna najważniejsze było to, że atak miał pozytywny skutek, bo scementował tych, co ocaleli, przekonał, żeby się trzymać razem, poświęcić życie jeden za drugiego i zemścić się za zabitych kolegów.

Po raz pierwszy razem planowali atak – jeden zespół, jeden umysł – i tuż przed świtem znów ruszyli na partyzantów. Jeden z ludzi Olnna został śmiertelnie ranny, ale za to zabili wszystkich dwudziestu partyzantów. Ryddlin z błyszczącymi oczami obserwował, z jaką dziką zajadłością jego ludzie uderzyli na wroga. Miał wrażenie, że nowo zadziergnięte więzy wyzwoliły w nich żądzę mordy.

Jeden z nich – już wkrótce komendant szturm Aceton Bled – przebijał pozostałych okrucieństwem. Jego gładka ciemnoskóra głowa miała kształt jonicznego pocisku. Twarz o wąskich ustach i zapadniętych policzkach wyglądała jak dzieło jakiegoś szalonego rzeźbiarza; stercząca broda była niczym kolba śmiercionośnej broni. Kompletnie wyzbyty strachu, upajał się zabijaniem i głosił, że każdy Deirus powinien mu zazdrościć więzi łączącej go ze śmiercią.

Bled szybko zdobył sobie sławę w oddziale. W trakcie pierwszej potyczki z partyzantami zabił dwóch, a trzeciemu rozszarpał gardło zębami. Potem obcinał głowy swym ofiarom, wpychał im w usta ich własne przyrodzenie i zatykał okrwawione głowy na żerdziach – dla przykładu, jak mówił, i jako ostrzeżenie, że tu jest i zabije ponownie, gdzie i kiedy mu się spodoba.

Olnn obserwował te wyczyny z rozbawieniem i aprobatą. Przelewanie krwi to było coś, co mógł respektować. Instynktownie wiedział, że z Acetona Bleda będzie dobry komendant szturm. Chyba że zginie podczas ostatecznej próby. Zwracał baczność uwagę na Bleda i snuł plany co do niego.

Oddział postanowił po rzezi – zgodnie z sugestią Bleda – żeby nie palić ciał Kundalan, ale zwalić je do otwartego masowego grobu jako ostrzeżenie dla ruchu oporu. Purpurowe słońce już się wzniosło ponad wschodnie górskie szczyty. Szron otulał zmarłych niczym całun. Ludzie Olnna upiekli bielaki i jedli, patrząc na rezultaty swojego końcowego egzaminu. Ich twarze lśniły od tłuszczu, śmiali się z ordynarnych dowcipów. Od czasu do czasu któryś kopał trupa lub spluwał w szkliste kundalańskie oko. Najwyraźniej chcieli dalej zabijać partyzantów. Poczuli krew, jak

drapieżcy, i serca im się paliły do morderczej walki.

Po posiłku zmienili obóz w zbiorową mogiłę. Bo tak im pasowało. Zbierały się chmary much, w górze kołowały duże czarne ptaki, pokrzykując żałośnie. Zawlekli ciała na brzeg wykopanego dołu i zepchnęli je kopniakami.

Podczas krótkiej uroczystości – której świadkami byli jedynie zabici Kundalanie – Olenn nadał im stopień komendanta szturm. Powiedział, że każdy z nich dostanie swój oddział. Że awansują. Że będą podlegać wyłącznie jemu. Milczeli i byli zadowoleni.

Ryddlin oddalił się nieco od oddziału i skinął na Acctona Blleda. Ruszyli brzegiem rzeki. Olenn intensywnie ostatnio rozmyślał nad tym, czemu Kurgan tak nalegał, żeby osobiście tropił zdrajców. Bezwiednie opuścił rękę i pogładził kości nogi. Taak, wciąż pałał żądzą zemsty. Lecz był również świadomy, że te poszukiwania oddaliły go od Kurgana i od Axis Tyr, i zaczął się zastanawiać, czy przebywanie z dala od centrum władzy jest rozsądne. To go skłoniło do podjęcia pewnej decyzji.

–Komendancie szturm – rzekł Ryddlin – świetnie się spisywałeś przez ostatnie dwa tygodnie. Dlatego jako pierwszy obejmiesz dowództwo.

–Doceniam twoje zaufanie, gwiazdny admirale.

–Jesteś również pierwszym, któremu zostanie przydzielone zadanie.

–Zapewniam, gwiazdny admirale, że wypełnię każde twoje polecenie.

–Rad to słyszę – Olenn skinął głową – bo powierzam ci nadzwyczaj ważną misję. Masz odnaleźć Rhynnona, Rekkka Hacilara, i jego skcettę, Giyan.

–Jestem zaszczycony, gwiazdny admirale. Uważam za moją osobistą powinność odnaleźć ich i przyprowadzić do ciebie.

–Żywych lub martwych – sprecyzował Olenn. – To nie ma dla mnie znaczenia.

–Ach, śmierć. – Usta komendanta szturm Blleda wykrzywiły się w uśmiechu. – Tym lepiej dla mnie. – Jego ostre zęby zaśniły w porannym słońcu.

Następnej nocy Riane zobaczyła, że ktoś przyszedł po Tezziq. Był to wysoki, wąski w biodrach mężczyzna, z wetkniętymi w kok sporymi czarnymi zębami jakiegoś zwierza. Jego włosy były jaśniejsze od włosów Othnama, były tak jasne, że wydawały się bezbarwne. Ledwo jej mignął, kiedy cicho wszedł do haanjhala. Wystarczyło, że rzucił okiem na Tezziq, a ona wstała i poszła za nim, nie oglądając się za siebie.

Kiedy Tezziq wyszła, Riane przewróciła się na drugi bok i zamknęła oczy, ale nie

mogła zasnąć, więc znów się przewróciła i patrzyła na wysoki sufit, marząc, by zobaczyć gwiazdy i blask księżyców. Pomyślała o Eleanie i serce się jej ścisnęło; pomyślała o Giyan w okowach Malasocca, mrocznej nocy duszy, i to zmroziło jej krew w żyłach. Już zima. Czas ucieka, demon Horolaggia oplata Giyan siecią, transmografikuje ją. Coraz bliżej było przesilenie zimowe.

Musiała zapaść w niespokojną drzemkę, bo śniła o dziwacznych zawodzeniach i rytmicznych uderzeniach, od których trzęsły się poduszki jej pośłania.

Nie miała pojęcia, ile minęło godzin, ale w końcu przesunął się nad nią cień. – Otworzyła oczy i ujrzała wracającą do haanjhala Tezziq. Riane uniosła się na łokciu, lecz ku jej zdumieniu Tezziq nie położyła się na swoich poduszkach, tylko natychmiast poszła do łaźni. Riane wstała i cichutko ruszyła za nią.

Stała cicho w bramce z wypolerowanego limonikowego drewna i patrzyła, jak Tezziq zdiera z siebie przejrzysty strój, wydając przy tym dziwne pomruki. Naga wśliznęła się do wody, na której blask księżyców tworzył maleńkie połyskliwe sierpy.

Tezziq pobrnęła na środek basenu, uniosła głowę i wydała niesamowity, żaloszny dźwięk. Zaraz potem się przygarbiła i załkała. Pocierała dłonią oczy, jakby chciała zetrzeć jakiś straszliwy widok.

Riane bez namysłu się rozebrała i weszła do wody. Powoli przesuwiała się na środek basenu, lecz zamarła, kiedy Tezziq nagle otworzyła oczy.

–Co tu robisz? – szepnęła surowo dziewczyna. – Powinnaś spać.

–Widziałam, jak wracasz – odparła Riane. – Czemu płaczesz?

–Wcale nie płaczę. – Tezziq otarła oczy. – Skąd ci to przyszło do głowy? – Odrzuciła głowę. – Idź spać.

–Przyśnił mi się jakiś koszmar – powiedziała Riane. – Słyszałam dziwne zawodzenie i poduszki podskakiwały jak przy trzęsieniu ziemi. Macie tu trzęsienia ziemi?

Na twarz Tezziq powrócił jadowity uśmiezek i Riane zadrżała.

–O, mamy trzęsienia – odparła cicho – ale nie takie, o jakich myślisz.

–Nie rozumiem.

–Skoro już tu jesteś... – Tezziq odwróciła się i podała jej miękką szczotkę. – Czuję się brudna.

–Przecież się kąpałaś, nim...

–Rób, jak mówię – warknęła Tezziq.

Riane odgarnęła długie włosy Tezziq spływające jej po plecach.

–Co to takiego? – Przesunęła palce po czerwonym symbolu wytatuowanym u nasady kręgosłupa.

–Szoruj mocno – nakazała Tezziq.

Riane spełniła polecenie.

–Tew to herb rodziny – wyjaśniła cicho Tezziq.

–Nie widziałam go u innych dziewcząt.

–Bo one wszystkie są Gazi Qhan.

Riane przerwała szorowanie.

–A ty nie jesteś?

–Szoruj – burknęła Tezziq. Lekko zadrżała, kiedy Riane znowu zaczęła ją myć. – Jestem Jeni Cerii – wyszeptała. – Przywieziono mnie tutaj w ramach pokojowego porozumienia pomiędzy kapudaanami. To Makktuub wpadł na pomysł, żeby dwaj kapudaani wymienili się pierwszymi ajjan. Na znak zaufania. Jasim, mój kapudaan, radośnie pozbawił głowy dar Makktuuba. Dobrze go znam, więc jestem przekonana, że się przy tym śmiał. Odesłał głowę Makktuubowi w worku na wino.

–Nie dbał o to, co się z tobą stanie?

–Przypuszczam, że raczej dobrze się bawił, wyobrażając sobie najrozmaitsze możliwe następstwa dla mnie.

–A przecież Makktuub nie odpłacił ma tym samym.

Tezziq zadygotała.

–Co zrobił? – zapytała Riane.

–Przez cały rok nic. A potem, wczesnym rankiem, w rocznicę zamordowania jego pierwszej ajjan, wysłał oddział na terytorium Jeni Cerii. Wymordowali setkę dzieciaków.

–Chroń nas, Miino. – Riane poczuła, jak zaciska się jej gardło. – Ale ty żyjesz. I zostałeś jego faworytą.

–Mocniej – szepnęła zduszonym głosem Tezziq. – Mocniej.

Riane przycisnęła szczotkę mocniej, niż było trzeba. Skóra Tezziq zaczęła się czerwienić.

–Nie słyszałaś?! Powiedziałam mocniej!

I wówczas Riane dostrzegła w księżycowej poświacie coś, co ją pozbawiło oddechu. Woda wokół Tezziq zabarwiła się na czerwono. Upuściła szczotkę, ujęła Tezziq za ramiona i odwróciła ku sobie.

–Poraniłam cię.

–Nie, krew wypływa mi spomiędzy ud. – Tezziq zamknęła oczy i głęboko odetchnęła. – To wcale nie był koszmarny sen – szepnęła.

–To znaczy?

–Rzecz w tym... – Jasne oczy Tezziq patrzyły spokojnie na Riane. – To dalszy ciąg zemsty Makktuuba. Każe mi do siebie mówić *wa tarabibi* i rozkrwawia mnie za każdym razem, kiedy z nim zlegnę.

12. Bardzo mroczne sprawy

–To potwór.

–Jest jeszcze gorsza niż konara Bartta, o ile to możliwe.

–Możliwe, i rzeczywiście jest gorsza.

Dwie konara, najlepsze przyjaciółki i krajanki, znajdowały się w niewielkim, dość ponurym, skąpo umeblowanym pomieszczeniu w nie używanej części Opactwa Optywającej Jasności. Siedziały na zakurzonych niewygodnych krzesłach o twardych oparciach i fatalnych siedziskach. Poza nimi dwiema i pajęczynami nie było tu na co patrzeć. Stara oliwna lampa rzucała na nie chwiejny blask.

–Konara Urdma natychmiast przejęła władzę po Bartcie – powiedziała konara Ingggres.

–I zawiesiła nasze dochodzenie w sprawie śmierci Bartty, gdy tylko się o nim dowiedziała – dorzuciła konara Lyystra.

Konara Ingggres żywo przytaknęła.

–Była bardzo rozgniewana. – Ingggres miała piwne oczy, rumiane policzki i krzepkie

ramiona. Zdrowo wyglądała i uprawiała sport, dlatego miała za zadanie dbać, żeby akolitki ćwiczyły trzy razy w tygodniu. – A czego można było oczekiwać? Nigdy mnie nie lubiła. Uważa, że spędzam zbyt wiele czasu w salach na tyłach biblioteki, zbierając materiały do Historii magii. Stale mi mówi, co zamieścić, a co opuścić, zupełnie nie dba o historyczną ścisłość.

–Pewnie dlatego, że w magii Osoru sprzed dziesięcioleci czai się wiele niebezpieczeństw. Czyż nie z tego powodu te książki przeniesiono do tylnych sal, gdzie tylko konara mają do nich dostęp?

–Tak twierdzi.

–No a poza tym jaka korzyść z badań nad Osoru? Lata temu przepędzono z opactw wszystkie Ramahanki mające Dar.

–To prawda. Ale dobrze znać własną historię. – Konara Inggres po raz kolejny rozważała, czy wyznać przyjaciółce, że odkryła w sobie Dar. Jednak już sam pomysł, że sporo swego czasu poświęca uczeniu się Osoru niósł dla niej tyle zagrożeń, że nie mogła się przemóc, by komuś o tym powiedzieć, nawet Lyystrze. – W końcu ci, co nie znają historii, są skazani na powtarzanie jej błędów.

–To słowo: „historia” – powiedziała konara Lyystra. – Czasem się zastanawiam, czy to dotyczy nas, Ramahanek. – Miała ziemistą twarz i nieco przygarbione ramiona, pochylała się ze względu na wzrost; pod dolną wargą tkwił, niczym kawałek suszonego owocu, spory pieprzyk. – Chodzi mi o to, że czcimy Miinę, nie mając pojęcia, czy ona w ogóle istniała.

–Czyż nie na tym polega wiara?

–Mówię o fakcie, o historii. – konara Lyystra zbyła argument przyjaciółki. – Święte teksty mówią, że niegdyś Miina była równie realna jak ty czy ja. Ale jeżeli to nieprawda? Jeżeli Miina nigdy nie istniała, jeśli jest tylko wytworem wyobraźni Druuge'ów?

–Chyba nie chcesz powiedzieć, iż uważasz, że nasza religia zbudowana jest na kłamstwie?

–Niezupełnie. – Trzeba powiedzieć, że najbardziej kobiece cechy konara Lyystry zanikły z powodu nieużywania lub nigdy się w pełni nie rozwinęły, w wyniku tego sprawiała wrażenie dziewczynki, która nigdy nie doświadczy pełnego rozkwitu kobiecości. – Wiemy, że Venca to i język Druuge'ów, i ich magia. Jeżeli to prawda. Jeżeli cała moc w kosmosie spoczywa w siedmiuset siedemdziesięciu siedmiu literach Venca, to czyż nie można słusznie głosić, że język jest boginią, że Miina jest stwarzana za każdym razem, kiedy ktoś się tym językiem posługuje?

–To nauka, może jakaś odmiana semantyki, a nie religia. – Konara Ingggres mogła być zbulwersowana, lecz nie była; najwspanialsze w przyjaźni jest to, że można być odmiennego zdania i wyciągnąć z tego ważne nauki.

–Wytłumacz mi różnicę.

–Religia daje pociechę tym, co jej potrzebują. A nauka? Nauka stawia pytania, na które nie można lub nie powinno się odpowiadać. Głosi, że bogini nie żyje. Że właściwie nigdy nie istniała. Wystarczy, że przyjrzesz się v'ornom, żeby to zauważyć. A kiedy nadciąga burza, co musi się przydarzyć w życiu każdego, to nauka nie daje schronienia, nie przynosi ulgi.

–Umierasz w chwili, kiedy przestajesz zadawać pytania – oznajmiła konara Lyystra. – Popatrz tylko, co nasza religia zrobiła dla nas. Skodyfikowała język, przyczyniła się do rozwoju rolnictwa, dzięki wielu świętom sprzyjała życiu społecznemu, stworzyła strukturę państwa, w którym żyliśmy. Czy to religia?

–Nie bierzesz pod uwagę tego, że cała ta cywilizacja, o której mówisz, nie zaistniałaby bez naszej wiary w Miinę. Jak myślisz, co by się stało, gdybyś potrafiła udowodnić, że wielka bogini to wytwór wyobraźni Druuge'ów? Tylko wiara nas jednoczy w obliczu v'ornnańskiego zagrożenia.

–Może masz słusność – przyznała konara Lyystra. – Twierdzę jednak, że czyn Druuge'ów był dobry, bez względu na istnienie Miiny. Nasza wiara w nią wydobyła nas z anarchii, ucywilizowała. Co więcej, pozwoliła nam pojąć, że kosmos to nie tylko to, co postrzegamy naszymi pięcioma zmysłami. Czyż nie zgodzisz się, że w porównaniu z takim objawieniem to, co bogini mówi lub nie, nie ma właściwie większego znaczenia?

–Oczywiście, że się nie zgodzę – rzekła zapalczywie konara Ingggres. Ta dyskusja sprawiała jej ogromną przyjemność i pozwalała oderwać się od rozmyślań nad smutnym stanem opactwa. – Wydaje mi się, że słowo Miiny jest teraz ważniejsze niż kiedykolwiek. Zapominasz, że zło, które wyczuwamy, wtargnęło do opactw w chwili, kiedy zaczęliśmy odchodzić od jej Świętych Ksiąg. Im bardziej się od nich oddalamy, tym większą kontrolę nad Dea Cretan zyskuje zło.

–Wszędzie widzisz zło, a ja po prostu chcę studiować Venca – odparła konara Lyystra. – Cóż, jedno jest pewne. Konara Urdma wynajduje coraz to nowe sposoby karania nas za buntowniczość. Ostatni to ta wlokąca się nocna służba. Lecz ani przez chwilę nie żałuję, że zakwestionowałam oficjalne wyjaśnienie śmierci konara Bartty.

–Ja też nie – powiedziała konara Ingggres. – I wciąż bym się chciała dowiedzieć, co się przydarzyło konara Bartcie.

–Krzyżyk jej na drogę, że tak powiem. Konara Urdma naśladuje swoją mentorkę. Brak jej jednak wredności tamtej. Myślę, że z czasem znajdziemy na nią jakiś sposób.

Kapłanki od czasu do czasu milkły, przekrzywiały głowy i nasłuchiwały cichych nocnych odgłosów opactwa. Świstał wciskający się w szczeliny wiatr; cicho zgrzytały głazy fundamentów, kiedy opactwo nieustannie osiadało w górskim stoku; przemykały się szukające pożywienia gryzonie; niekiedy rozlegały się czyjeś kroki, słyhać było szum spływającej wody – i znów cisza zapadała jak ciężka kurtyna po przedstawieniu. Konara dobrze znały te wszystkie hałasy. Były tutaj tak długo, że odgłosy te były im swego rodzaju towarzyszami, przynosiły ulgę, działały jak nasenna mikstura kojąca niespokojne umysły.

–Wyglądało na to, że konara Urdma wiedziała, co się przydarzy Bartcie.

Konara Inggres skinęła potakująco głową.

–Czekała na okazję przejęcia władzy.

–Zamilcz. – Napięcie wywoływało u konara Lyystry pewien dysonans. – Konara Urdma jest naszą przywódczynią.

Konara Inggres pochyliła się.

–Święte pisma z każdym dniem coraz bardziej się zmieniają. – Była trochę młodsza od przyjaciółki, lecz równie bystra. Każdego dnia sprawdzała, skąd wieje „polityczny wiatr”, a konara Lyystra nauczyła ją, że należy iść z wiatrem, by nie zwałił z nóg, lecz trudno jej było zamilczeć. – Sama to widzisz. Nauki Miiny, które poznawałam jako dziecko, zostały przeinaczone i wypaczone. A wszystko to służy jednemu celowi: skupieniu całej władzy w rękach rządzących konara.

Konara Lyystra ostrzegawczo potrząsnęła głową.

–Muszę przed kimś otworzyć serce, bo inaczej mi pęknie. Już nie czynimy świętego dzieła Miiny. Nie służymy jej, co powinniśmy robić. Już nie jesteśmy w stanie łaski. Stałyśmy się politycznymi pionkami, zredukowano nas do tańczących marionetek. Jesteśmy bezradne, żyjemy w strachu i podtrzymujemy kłamstwo większe, niż potrafimy sobie wyobrazić.

–Zamilcz, mówię!

–Już po północy. Kto może nas podsłuchać? Nikt nie przychodzi do tej części opactwa.

–Konara Bartta przychodziła – powiedziała Lyystra, rzucając wokół niespokojne spojrzenia, jakby oczekiwała, że zmaterializuje się duch Bartty – chociaż nie wiemy

po co.

–Konara Bartta nie żyje. Spłonęła w pożodze, która spopieliała wewnątrz pokoju odległego od nas o niecałe dziesięć metrów.

–Tego samego, do którego konara Urdma zakazała nam wchodzić.

–Utrzymywała, że mogą tam być jakieś szkodliwe pozostałości. – Konara Inggres nagle wstała, oczy jej płonęły. – Zróbmy to.

–Co? – spytała konara Lyystra, chociaż doskonale wiedziała, co przyjaciółka ma na myśli.

Konara Inggres, bez zbędnych słów, pochyliła się, podniosła konara Lyystrę i wetknęła jej w dłoń lampę oliwną.

–To szaleństwo – zaprotestowała bez przekonania konara Lyystra, kiedy już były przy drzwiach.

Jej przyjaciółka zaśmiała się cicho.

–Mówisz jak konara Urdma.

Ruszyły powolutku ciasnym, wilgotnym, pełnym pajęczyn korytarzem, przy każdym kroku nasłuchując podejrzanych hałasów. Nic nie usłyszały, więc podeszły do drzwi pokoju, w którym rozszalał się pożar.

–To dziwne – odezwała się konara Inggres – że ogień, choć tak straszliwy, płonął wyłącznie we wnętrzu. Spójrz tutaj. – Wskazała. – W korytarzu nie widać ani odrobiny sadzy, żadnego nadpalenia. Czyż tak się zachowuje ogień?

–Ogień to przeciwieństwo wody – odparła konara Lyystra. – Woda płynie, starając się uzyskać ten sam poziom. Ogień rozprzestrzenia się ciągami powietrza, powodowanymi przez szczeliny i inne nierówności.

–Zgodnie z tym, co mówisz, powinien się wyrwać na korytarz lub rozszerzyć na przyległe pokoje. – Konara Inggres uklękła i wskazała szeroką na dwa palce szparę pomiędzy drzwiami a progiem. – Czemu tak się nie stało?

Konara Lyystra łypnęła na drzwi i westchnęła.

–Tu jest zakłęcie blokujące. Konara Urdma, w typowym napadzie paranoi, mocno je zapieczętowała.

Konara Inggres wstała, rozłożyła ramiona, lekko stuliła dłonie.

Twarz konara Lyystry pobladła.

–Co robisz?

–Chcemy zobaczyć, co jest w środku, nieprawdaż?

–Ale jeśli...

–Nie martw się. Jak skończymy, przywrócę zaklęcie blokujące. Konara Urdma nigdy nie zauważy różnicy.

–Ale jak...

Konara Lyystra zamilkła, bo wyczuła, że zaklęcie zniknęło. Jak ona to zrobiła? – zadumała się. Jakiego zaklęcia użyła?

Konara Inggres chwyciła klamkę i drzwi ze skrzypnięciem otworzyły się do wewnątrz. W środku było zupełnie czarno, wyczuwało się ostrą woń smoły i słabszą czegoś innego, jakby słodkawy zapach wokół grobu.

Konara Lyystra uniosła wysoko oliwną lampę i przestąpiły próg. Coś w tym pokoju sprawiło, że ścisnęło ją w dołku i nie zdołała powstrzymać cichutkiego jęku. Jakaś jej część chciała zawrócić i uciec. Wstrząsnął nią dreszcz, zaszczekała zębami.

–Co to za zapach? Strachu?

–Tak, strachu – szepnęła konara Inggres. – Ale czego jeszcze?

Kamienne ściany, sufit, podłoga były po pożarze czarne i pokryte pyłem. Na ścianach widać było głębokie rowki – to wytopiły się w żarze żyły kruszcu; nadawało to pokojowi wygląd klatki, w której trzymano rozszalałą bestię.

Ostrożnie przeszły na środek pokoju, gdzie leżała kupka popiołu. Konara Lyystra opuściła lampę, a konara Inggres uniosła rąbek sukni i przykucnęła.

–Ktoś tu był – odezwała się konara Inggres. – Widzisz ślady palców w popiele?

–Czegoś szukał – potwierdziła konara Lyystra. – Ale czego?

–Założę się, że konara Urdma wie. – Konara Inggres wstała. – To ona zapieczętowała ten pokój. Na pewno przeprowadziła własne dochodzenie.

–Masz rację. Musiała podejrzewać, że konara Bartta tu przychodzi. – Konara Lyystra nerwowo oblizwała wargi. – Może byśmy już poszły? Tu jest coś, co mnie przyprawia o dreszcze.

–Módl się do Miiny.

–Modlę się. Ale bogini nie ma w tym pokoju.

Konara Inggres była zbyt zajęta, żeby odpowiedzieć. Wpatrywała się w układ kupki popiołów. Powiodła wzrokiem za najdłuższą smugą sięgającą do mrocznego kąta wypalonego pokoju.

–Daj mi to.

Wzięła od przyjaciółki lampę i ruszyła w tamtym kierunku, a konara Lyystra tuż za nią. Mrok niechętnie się cofał przed blaskiem lampy.

–Ach, co my tu mamy? – Konara Inggres pochyliła się i podniosła coś, co rzucono w najdalszy kąt. Rąbką sukni oczyściła to ze spieczonej warstewki: w blasku lampy matowo zaśnił mały kawałek brązu. Oczyściła go do końca i uniosła, powoli obracając w palcach. – Co o tym powiesz?

Konara Lyystra, głęboko zaniepokojona, wzięła od niej przedmiot i dokładnie obejrzała.

–To stare, ręcznej roboty... To wygląda na... Gdybym nie wiedziała... – Przygryzła wargę.

–No? Co o tym myślisz?

–Widziałam rysunki. W księdze. Schematy. – Konara Lyystra spojrzała przyjaciółce w oczy. – To dźwignia od had-atta.

–Co? Flet jest nielegalny. – Had-atta był przyrządem, stosowanym dawniej, jak mówiono, w celu wykrywania herezji; smukły kryształowy cylinder wolniutko wsuwano w gardło podejrzanej. W ten sposób przekonywano się, czy Ramahanka była heretyczką i zerwała więzy z Miiną. – Zniszczono je ponad sto lat temu.

–Najwyraźniej nie wszystkie.

Teraz rozumiały, dlaczego całe pomieszczenie było przesycone wonią strachu.

Konara Inggres skinęła głową.

–Konara Bartta regularnie tutaj przychodziła...

–Leyna Astar, konara Laudenum, akolitka Riane. Te zaginione Ramahanki...

–Zmarłe w wyniku różnych wypadków.

–Tak nam mówiono.

–A naprawdę były torturowane. Słodka Miino.

Z daleka dobiegł stłumiony dźwięk dzwonu oznajmiającego przybycie gości i obie kobiety podskoczyły.

–O tej porze? – zirytowała się konara Inggres.

–Teraz moja kolej – stwierdziła konara Lyystra, najwyraźniej zadowolona, że może wyjść z tego okropnego pokoju. Oddała dźwignię przyjaciółce. – Dobrze tego strzeż. – A kiedy pośpiesznie wychodziła za próg, dodała: – Nie siedź tutaj sama. Jak najszybciej zapieczętuż to na nowo.

Konara Inggres, bacznie wpatrująca się w dźwignię, w zamyśleniu skinęła głową.

Giyan stała przy oknie z szybkami w ołowianych ramkach w gabinecie konara Urdmy w Opactwie Optywającej Jasności i chłonęła czarną noc. Poniżej, na wielu poziomach skalnego występu, leżało ciemne i ponure Stone Border. Oczami nie z tego świata patrzyła na miejsce swojego urodzenia, jakby jednym złowieszczym spojrzeniem mogła spalić każdego mieszkańca, jakby mogła zetrzeć ze stoku góry całą tę narośl.

Wiedziała, że z czasem do tego dojdzie.

Zjawiła się przed frontowym wejściem opactwa, otulona w długą czarną pelerynę, i pociągnęła za sznur dzwonu, oznajmiając swoje przybycie. Jej oczy poruszały się gwałtownie pod zamkniętymi powiekami. Kiedy olbrzymie drzwi się uchyliły, oczy Giyan – zmienione przez początki Malasocca – przybrały zwyczajny wygląd.

Uśmiechnęła się do akolitki. Riane nie rozpoznałaby tego uśmiechu, bo wcale nie przypominał zwykłego uśmiechu Giyan. I nie bez powodu. Pod kundalańską jaźnią Giyan czaiło się coś bardzo mrocznego, uciekinier z Otchłani, arcydemon Horolagggia. Jeszcze nie do końca się w niej zagnieździł. Ale na tyle nad nią zapanował, by nią manipulować. To on decydował o tym, co Giyan mówiła i robiła. Prawdę mówiąc, uśmiech był przerażający, lecz akolitka zobaczyła tylko to, co miała zobaczyć; odwzajemniła uśmiech, cofnęła się i wpuściła Giyan wraz z pewnym bardzo mrocznym istnieniem do opactwa i do wszystkiego, co tam trwało w niegodziwości i ignorancji.

To Bartta kontynuowała i dodała nowe zmiany w naukach wielkiej bogini Miiny, zapoczątkowane przez konara Mossę podczas jej twardych rządów w opactwie. Teraz nadeszła kolej konara Urdmy. Zło, które zaczęło się przedostawać do opactwa dzięki konara Mossie, rozkrzewiało się pod władzą Bartty, pod rządami konara Urdmy zaś, jej bystrej uczennicy, miało w pełni rozkwitnąć.

Giyan szła za akolitka przez ogrody i atria do wnętrza opactwa, gdzie poprosiła inną akolitkę, żeby zadzwoniła na dyżurną konara. Akolitka była niewysoka, o delikatnych rysach, smukła jak trzcina. Była zbyt młoda, żeby pamiętać Giyan czy choćby o niej słyszeć. Więc w beztroskiej nieświadomości wprowadziła Giyan do gabinetu, zapytała, czy podać jej coś do jedzenia lub picia, i odeszła.

Giyan odwróciła się od okna i przerwała ponure rozmyślenia. W filigranowych lampach z brązu płonęła oliwa zmieszana z kadzidłem. Spiralki dymu odrywały się od lamp i ulatywały ku ciężkim belkom stropu. Giyan wydobyła spod peleryny czarną torbę z wężowej skóry. Niedbale położyła ją na brzegu biurka. Potem odwróciła się i wpatrzyła w swoje odbicie, widoczne w zawieszonym na ścianie lustrze. Wyraźnie było widać cierniową koronę na głowie oraz kolce przebijające dłonie. To były fizyczne oznaki toczącej się w jej wnętrzu walki o jej duszę. W tej sferze były widoczne wyłącznie w lustrach. Horolagggia podejrzewał, że zrobił błąd, ruszając na Giyan, kiedy była przy niej dziewczyna – bo kiedy zainicjował Malasocca, to ciernie były widoczne dla przenikliwych oczu czarodziejki. Dziewczyna bez wątpienia je widziała i chociaż Horolagggia poznał, że to zaledwie nowicjuszka i dlatego nie zrozumiała, co widzi, to jednak pewnego dnia mogła wykorzystać tę wiedzę przeciwko niemu.

Giyan uniosła lewe ramię, jej palce poruszały się w znanym Horolagggii rytmie, kreśliły znane mu znaki i posrebrzane szkło lustro spłynęło na podłogę, pozostawiając puste ramy. Wyjęła z torby rulon ciasno zwiniętej błony, lśniącej i migoczącej. Rozwinęła go w ramach po lustrze. Pojawiło się w nim nowe, zwyczajne odbicie, reagujące wyłącznie na jej wolę. Usłyszała, że ktoś wchodzi do gabinetu, i przestała podziwiać swoje dzieło.

–Dobry wieczór, konara Lyystro. A może powinnam powiedzieć dzień dobry – odezwała się swoim najbardziej czarującym głosem. – Stokrotnie przepraszam, że pojawiaam się w tak niedogodnej porze, lecz przybyłam tu tak późno, że wszystkie gospody w Stone Border były już pozamykane i nie mogłam się w żadnej zatrzymać.

–Opactwo Optywającej Jasności jest zawsze otwarte... – Krew odpłynęła z ziemistej twarzy konara Lyystry. – Miłościwa Miino! Giyan? Czy to ty?

–Tak, to ja.

–Przejeżdżasz przez...?

–Wróciłam do opactwa, do domu – powiedziała Giyan i otworzyła ramiona, a konara Lyystra padła w jej objęcia.

–Och, jak to długo trwało, Giyan! – Konara Lyystra nie panowała nad emocjami. – Nie ośmielałyśmy się mieć nadziei.

–Wiem, wiem. A jednak wróciłam i jestem tutaj. – Giyan głaskała ją po głowie. – A ty zostałam konara. – Odsunęła Lyystrę na długość ramienia, promiennie się uśmiechnęła. – Jestem pewna, że na to zasłużyłaś.

Konara Lyystra skromnie pochyliła głowę.

–A teraz nalej mi słodkiego lodowina, żebym mogła wznieść toast.

–Konara, też coś. Zawsze byliśmy blisko. – Konara Lyystra podeszła do kredensu, gdzie na grawerowanej miedzianej tacy stał dzban i smukłe kielichy należące niegdyś do konara Mossy. – Musisz się do mnie zwracać tak jak zawsze. Nalegam.

Giyan roześmiała się łagodnie.

–Skoro tak. – Przyjęła kielich. Lodowino miało delikatny czerwony odcień, znak, że było w najlepszym gatunku; poprzednie gatunki miały barwę żółtawą lub zielonkawą. Uniosła kielich. – Za ciebie, Lyystro, i twoje duchowe wywyższenie.

Kielichy się zetknęły i kryształ zaśpiewał. Lecz na twarzy konara Lyystry nie malowała się radość.

–Owszem, jestem konara, lecz, niestety, co do mego duchowego wywyższenia... – zamilkła.

Giyan się zachmurzyła.

–Nie rozumiem.

–To domena konara Urdmy, a przed nią twojej siostry.

–Ten gabinet.

–Nie – powiedziała konara Lyystra. – Opactwo.

Giyan nachmurzyła się jeszcze bardziej.

–A Dea Cretan?

–Istnieje tylko z nazwy – westchnęła konara Lyystra.

–Ciężko mi przekazywać złe wieści, lecz konara Bartta poblądziła.

–Ona...

–Nie żyje, spłonęła w tajemniczych okolicznościach, a nam zabroniono dochodzenia, co się stało.

Giyan odstawiła niemal nietknięte lodowino.

–Kto zabrania? – spytała ponuro.

–Konara Urdma, która zajęła miejsce twojej siostry i wprowadziła się do pokoi Bartty już w dniu jej zgonu. No sama powiedz, czy twoim zdaniem to się godzi?

Giyan potrząsnęła głową.

–Co gorsza, zatracono nauki Miiny. Gorzej niż zatracono: przeinaczono. Wygnano cię, bo masz Dar Osoru. Przepędzono wszystkie Ramahanki mające dar. Teraz naucza się tu tylko Kyofu i codziennie wydłużają się listy zakazanych słów. Nie wolno nam na przykład wspominać o Ja-Gaar, świętych zwierzętach Miiny, a ich podobizny zniszczono lub zniekształcono.

–To oburzające! Nie do pomyślenia! – Giyan otwierała torbę z węzowej skóry, stojąc tyłem do konara Lyystry. Potem położyła coś na czubku języka, odwróciła się i uniosła palec. – Dobrześ zrobiła, ostrzegając mnie zawczasu. Moje serce płacze za siostrą, której tak długo nie widziałam. Z twoich słów zaś wynika, że jest tu wiele do zrobienia.

Na twarzy konara Lyystry odmalowała się ulga.

–Całkowicie się z tobą zgadzam. To na ciebie czekałyśmy, żebyś zniszczyła wygodne gniazdo, jakie zło umościło sobie w naszym ukochanym opactwie.

–Więc chodźmy, dzielna Lyystro – rzekła Giyan, biorąc ją pod ramię. – Wspólnie naprawimy krzywdy, które spotkały dzieci Miiny!

Kiedy zbliżały się do drzwi, odwróciła konara Lyystrę ku sobie, chwyciła za ramiona i pocałowała. Zanim wystraszona Ramahanka zdołała zareagować, Giyan wepchnęła jej język w usta. Konara Lyystra zachłysnęła się oddechem i spróbowała wyrwać się Giyan. Była silna, lecz nie wystarczająco.

Nagle osłabła. W jej ustach zagnieździło się coś czarnego i wijącego. Pochylona, krztusiła się i próbowała wypluć to coś. Ale nie udało jej się. Potem poczuła rozdzierający ból w podniebieniu, jakby przeszywał ją ognisty miecz, i osunęła się na kolana.

Giyan tuliła spoconą głowę konara Lyystry i nuciła demoniczną piosnkę, a Lyystra dygotała, drżała i jęczała.

Aż w końcu się dokonało. Konara Lyystra sapnęła, Giyan wzięła ją pod ramię i postawiła na nogi, spojrzała jej w oczy: były teraz całkiem białe, takie jak jej. Przesunęła dłoń przed twarzą tamtej – powieki Lyystry opadły, a oczy zaczęły się

poruszać. Kiedy znieruchomiały, Giyan cofnęła dłoń. Oczy konara Lyystry były znów takie same jak przedtem.

–Zlecam ci usunięcie luster – powiedziała Giyan. – Wszystkie lustra w opactwie muszą zostać zniszczone. Co do jednego.

–Tak, Matko. – Konara Lyystra posłusznie skinęła głową.

–Gdyby któraś pytała, odpowiesz, że zło, które się wdarło do opactwa, zamieszkało w lustrach. Jasne?

–Tak, Matko.

Konara Lyystra już miała odejść, ale Giyan na chwilę ją zatrzymała.

–Już w porządku – rzekła cicho. – Wszystko będzie dobrze.

Konara Lyystra uśmiechnęła się sztywno.

–O tak – powiedziała. – Znakomicie.

Kurgana – jeszcze zanim zobaczył w lustrze to oblicze czy też cokolwiek to było – nawiedzał szczególny koszmar. Nie, żeby w tym koszmarze widział to okropieństwo. I wcale tego nie pragnął. Uważał, że nie zna strachu, ale to coś w lustrze spowodowało, że poczuł w ustach metaliczny smak. Przez resztę dnia nie mógł nic jeść i unikał Nith Batoxxksa tak długo, jak mu się udawało. Kiedy teraz musiał rozmawiać z Gyrgonem, to mroziło mu krew w żyłach.

Nie potrafił opisać tego, co widział w lustrze. Ilekroć próbował to sobie przypomnieć, wstrząsał nim zimny dreszcz. Tamtej nocy, gdy tylko cały pałac zasnął, Kurgan zakradł się do tej komnaty i rozbił lustro na drobne kawałeczki. No i teraz już tego nie było – tego urządzenia komunikacyjnego czy też, czego się najbardziej obawiał, nośnika prawdziwego odbicia Gyrgona.

Koszmar go prześladował, lecz miało to pozytywne skutki, bo przypominało mu, ile jeszcze nie wie. Ojciec, Wennn Stogggul, nigdy sobie tego nie uświadomił. I to stało się przyczyną jego upadku. Z głupoty odciął się od zachodzących wokół wydarzeń. Taki ciemny V'ornn – i na dodatek arogancki – dojrzał do tego, żeby wpaść w sidła, które Kurgan sprytnie zastawił. Miał nadzieję, że jego to nigdy nie spotka. Nigdy nie powtórzy błędów ojca.

Dlatego też uznał, że potrzebuje wiarygodnego informatora o codziennych wydarzeniach w mieście. Jakiegoś V'ornna, który wiele słyszy i mógłby donosić zarówno o faktach, jak i pogłoskach przekazywanych w pospiesznych szeptach i ukradkowych rozmowach. Wiedza o nieustannych zmianach i przetasowaniach

pozwole mu zachować przewagę. Potrzebował właściwej osoby. W końcu obmyślił, kto to powinien być, i wydał rozkazy, żeby ją tej nocy przyprowadzono do jego prywatnych komnat.

Kiedy się zjawiała, było już dobrze po północy. Promenada pewnie się trzęsała od wybuchów gwałtownych emocji na pobliskiej arenie kallistotos, a wrzaski na pewno zagłuszały głosy rybaków, którzy wkrótce wypłyną w morze. „Krwista Fala” jest zapewne zatłoczona, duszna od spoconych ciał, rozbrzmiewają tam głośne rozmowy. We wszystkich ciemnych zakamarkach pewnie się roi od tajemnic.

–Miło cię znów widzieć, regencie – powiedziała Rada, doprowadzona przed jego oblicze przez dwóch Haaar-kyut. – Mogę zapytać o przyczynę tego wezwania?

Kurgan siedział przy kominku, niecierpliwie oczekując jej przybycia. Ogień płonął za nim, tworząc coś w rodzaju cesarskiej korony. Widział, że nie była zadowolona. To był najgorętszy czas w jej lokalu, a ona stała w pałacu regenta, zamiast zajmować się klientami. Ucieszyło go to. To była właściwa reakcja. Pokazał, że ma nad nią władzę.

–Usiądź – powiedział. – Napijemy się.

Naciągnęła sifeyn na namaszczonej wonnymi olejkami głowę, ale i tak widział jej połyskujący diadem. Blask ognia podkreślał jej urodę, choć to nie miało dla niego znaczenia. Bo Kurgan widział nie Radę, a tę Kundalankę, którą wraz z Annonem spotkali w lesie. Kąpała się w strumieniu i rozpuściła włosy, które spłynęły jej po plecach. Ten widok wypełniał jego oczy, umysł, lędźwie i nie mógł się opanować.

–Masz mi coś ważnego do powiedzenia, regencie?

Głos Rady gwałtownie ściągnął Kurgana na ziemię. Lecz wspomnienie Kundalanki zaparło mu dech w piersi.

–Chciałbym skorzystać z twoich talentów.

–Dziwi mnie to. Sądzę, że nic o nich nie wiesz, regencie.

–Mylisz się. – Kurgan odszedł od kominka i rozciągnął się na sofie. – Usiądź, proszę. – Kiedy usłuchała i przysiadła na skraju stojącego naprzeciwko niego fotela, nalał im ognistego numaaadis z dzbanka stojącego na khagguńskim stoliku z kutego brązu. Podał jej kieliszek i wziął swój. – Wiele razy widziałem cię przy pracy w „Krwistej Fali”. Widziałem, jak sobie radzisz z trzy razy większymi od ciebie Mesaggunami i Sarakkonami. Wszyscy cię szanują. Chcę to wykorzystać.

–Ta obcesowość, jak przypuszczam, wynika z twojego gwałtownego awansu.

–Prawdę mówiąc, dłużej przyjmowałem rozkazy, niż je wydaję.

Zacisnęła usta.

–Mam ci współczuć, regencie?

–To nie był rozkaz.

–Zapewniam, że to lepiej dla nas obydwójga. – Rada napiła się numaaadis.

–O co chodzi? – spytał Kurgan. – Nie smakuje ci numaaadis?

–Jest dobre – odparła. – Ale ten pałac... wydaje mi się taki przygnębiający.

–A mnie odpowiada. Ciemny, pusty, spokojny. Mam czas uporządkować myśli.

–A jakież to myśli, regencie?

–Ostatnio prześladowuje mnie pewien koszmar.

–Przykro mi to słyszeć, regencie.

–Za mało mnie znasz, żeby tak było naprawdę. – Kurgan zapatrzył się w ogień. Płomienie często go hipnotyzowały i popadał w krótką zadumę, rodzaj snu na jawie, w którym nieskrępowanie szalała jego wybujała ambicja. Ale od kiedy zobaczył w lustrze to oblicze...

–Zawsze ten sam koszmar. Jestem zanurzony w czarnej wodzie. Co dziwne, nie mam kłopotów z oddychaniem. Ale jeszcze dziwniejsza jest twarz przede mną. To twarz kobiety, piękna, lecz śmiertelnie blada, sinobiała, jej oczy przeszywają mnie na wskroś.

–Może to v'ornnańska bogini, konkubina umarłego boga Enlila.

–Nie v'ornnańska, kundalańska – powiedział cicho. – Ma włosy gęste jak las i długie jak morski wąż. Też są zupełnie białe.

Radę to rozbawiło.

–Czy ona coś do ciebie mówi, ta Kundalanka?

–To właśnie najosobliwsza część. Błaga mnie o pomoc.

Rada odstawiła kieliszek.

–Czy wolno mi zapytać, regencie, dlaczego mi o tym opowiadasz?

–Pewnie dlatego, że nie mam komu.

–To strasznie smutne.

Wstał i wyciągnął rękę, Rada ujęła ją bez słowa, a Kurgan postawił ją na nogi. Stała tuż obok niego.

–Nie chcę, żebyś sobie poszła – powiedział cicho. – Nie teraz.

Zaprowadził ją do sypialni i rozebrał. Nie mógł się powstrzymać, przyparł ją do ściany i wziął. Miał wrażenie, że pod koniec krzyknęła, lecz on miał w pamięci jakieś echo, blask słońca odbijający się od powierzchni wody w strumieniu, oplatające go gęste włosy, bujne ciało, swoje gwałtowne ruchy. Tak by chciał, żeby Rada miała włosy, długie, ciemne, gęste. Oplatające go.

No ale w końcu była tylko Tuskugggun.

Kiedy się ubierała, usiadł na brzegu starannie zasłanego łóżka i powiedział:

–A gdybyś tak już nie potrzebowała zarabiać na życie?

Spojrzała na niego. Nic nie mógł wyczytać z jej miny.

Jakby nic pomiędzy nimi nie zaszło. Bo i, zdaniem Kurgana, nic takiego się nie zdarzyło.

–Mogę tylko prowadzić „Krwistą falę” – rzekła. – Kiedy matka umarła... – Wzruszyła ramionami. – Była hazardzistką. Jest fura długów.

–Fura dla ciebie. Nie dla mnie, zaręczam.

–Drogi regencie – Rada przechyliła głowę – co masz na myśli?

–Jesteś właścicielką tawerny, w której nie obowiązuje kastowość. Dzięki temu to miejsce spotkań szerokiego przekroju populacji miasta. Jestem tym żywo zainteresowany.

Kurgan wyciągnął pałeczkę laaga i zapalił. Głęboko się zaciągnął i podał laaga Radzie. Kiedy paliła, rzekł:

–Proponuję zwyczajną wymianę. Spłacę twój dług. – Patrzył na jej wilgotne, lekko rozchylone usta, z których ulatywały smużki dymu. – W zamian będziesz mi przekazywać krążące w „Krwistej Fali” wiadomości, plotki i pogłoski.

–„Zwyczajna wymiana”. Nic, co ma związek z tobą, nie jest zwyczajne, regencie. – Oddała mu laaga. – Powiedz, co mi umyka?

W tym momencie dyskretnie zapukano do drzwi. Na twarzy Kurgana odmalowało

się rozdrażnienie. Kiedy pukanie się powtórzyło, wstał z łóżka, owinął się szlafrokiem i podszedł do drzwi.

Tuż za progiem stał Nith Batoxxx.

–Nie chciałbym zakłócać twojej prywatności – rzekł.

Kurgan wiedział, że Gyrgon właśnie tego chciał, i jeszcze bardziej nim pogardzał za małostkowość tego postępu. Lecz nie okazał tego, przekroczył próg i zamknął za sobą drzwi. Starał się nie trząść, stojąc tak blisko Gyrgona.

–Rozkazałeś, żeby zaprzestano nadawania Khagggunom statusu wyższej kasty – odezwał się Nith Batoxxx. – Tak powinno się stać. Lecz zmiana status quo nigdy nie powinna zachodzić pierwsza.

–To sprawa mojego ojca – odparł Kurgan. – Nie mam z tym nic wspólnego.

–Wprost przeciwnie. – Rubinowe oczy Nith Batoxxksa płonęły. – Jesteś Stogggulem. Ponosisz za to odpowiedzialność. Jeżeli wśród Khagggunów dojdzie do jakichś niepokojów, to masz je zdecydowanie uśmierzyć. Nie będę tolerować najmniejszego przejawu buntu w żadnej z kast. Jasne?

–Jak najbardziej – odparł Kurgan.

Nith Batoxxx przez chwilę stał nieruchomo.

–I nie będę tolerować twojej bezczelności. – Postąpił krok ku chłopakowi. – Myślisz, że jesteś niezwyciężony. – Zaiskrzyły wzbudzone jony. – Przyszedłem, żeby ci powiedzieć, że się mylisz.

Po tych słowach Gyrgon odwrócił się i odszedł. Dopiero gdy zniknął za rogiem, Kurgan uświadomił sobie, że drży. Najpierw jako tako się opanował i przybrał obojętną minę, a potem wrócił do sypialni.

Rada, całkowicie ubrana, stała na balkonie. Otworzyła na oścież balkonowe drzwi i w pokoju było chłodno. Kurgan przyglądał się jej przez chwilę. Potem przeszedł przez pokój i stanął obok niej. Odwróciła się, kiedy go usłyszała. Miała w palcach resztkę laaga.

–Spłacisz mój dług?

–Natychmiast. Jeżeli...

Rada się uśmiechnęła.

–Męstwo i hart ducha, jak powiadają Sarakkoni. Jeżeli co, regencie?

–Jeżeli mi powiesz, co łączy sarakkońskiego kapitana Couriona z Nith Batoxxksem.
– Teraz on się uśmiechnął na widok jej miny. – Widziałem Couriona i Gyrgona razem w twoim biurze. – Wtedy właśnie, niecałe sześć tygodni temu, odkrył, że Stary V’ornn to Nith Batoxxx. – Przecież nie mogli tam być bez twojej wiedzy i zgody.

–Courion i Nith Batoxxx regularnie przeprowadzają transakcje. Gyrgonowi spodobała się moja tawerna. Jest tłoczno i hałaśliwie, a klienci ochoczo pozostają we własnym gronie. – Rada złożyła dłonie, splótła palce. – Przez moje ręce przechodzi mnóstwo pieniędzy. Dla własnego bezpieczeństwa zainstalowałam pamięciową sieć neuralną.

–Pamięciowe sieci neuralne są nielegalne.

–Naprawdę? Nie miałam o tym pojęcia. – Zaśmiała się gardłowo. – No cóż, któregoś dnia będę się musiała jej pozbyć.

–Mógłbym na ciebie donieść.

–Proszę bardzo. Mam wysoko postawionych przyjaciół.

Kurgan się roześmiał.

–Nielegalna pamięciowa sieć neuralną zarejestrowała rozmowy Nith Batoxxksa z Courionem o bardzo nielegalnym charakterze – zdradziła Rada.

–A o co w nich z grubsza chodziło?

–Nith Batoxxx niezmiernie się interesuje salamuuunem.

–Ja też. Konsorcjum Asherów ma wyłączność na ten narkotyk. Tylko oni wiedzą, gdzie się go wytwarza. Mój ojciec wierzył, że Asherowie zamordowali dziadka, żeby uchronić swój sekret. Ale czemu Nith Batoxxx miałby ukrywać spotkania z sarakkońskim kapitanem w sprawie salamuuunu?

–Courion, jak wszyscy kapitanowie, jest przemytnikiem, nieprawdaż?

–Fakt. Robi świetne interesy na laaga. Ale nie na salamuuunie. Bo to zwyczajnie niemożliwe. Asherowie, którzy przejęli kontrolę nad konsorcjum po zabiciu Eleusisa i jego rodziny, są jeszcze bardziej bezwzględni w sprawach dystrybucji salamuuunu niż ich poprzednik.

–Jednakże pamięciowa sieć nie pozostawia wątpliwości, że Courion i Batoxxx kontaktują się w sprawach salamuuunu.

Kurgan wpatrywał się w oczy Rady. Był z niej zadowolony. Dostarczyła pierwszego

konkretnego tropu na drodze zgłębienia tajemnicy Gyrgona. Gdyby udało mu się odkryć, o co chodzi w tych jego konszachtach z Sarakkonem, to miałby wreszcie haka na Gyrgona. W tym celu powinien spędzić trochę czasu z Courionem.

–Dobrze się spisałaś – powiedział Radzie. – Ale od tej chwili nie powinniśmy się bezpośrednio kontaktować. Nie chcę, żeby któryś z bywalców „Krwistej Fali” nabrał podejrzeń. Ale co jakiś czas oczekuję informacji. Rozumiesz?

–Tak, regencie.

–Korzystaj z data-dekagonów. – Dał jej znak. – Chodź. Odprowadzę cię i przy okazji poznam z jednym z najbardziej zaufanych Haaar-kyut. Raz w tygodniu zjawi się w „Krwistej Fali”. Sama go obsłużysz. Umieścisz data-dekagon na dnie jego kielicha. Dzięki temu twoje informacje dotrą do mnie bez wiedzy kogokolwiek innego.

Potakująco skinęła głową. Odwróciła się, ale Kurgan zatrzymał ją jeszcze na chwilę.

–Powiedz mi, Rado, co wiesz o siedmiu portalach.

–Nic nie wiem. Co to takiego?

Kurgan wzruszył ramionami, nie zdradził, jakie ważne to było dla niego. Nith Batosxxx desperacko pragnął odnaleźć te portale; powiedział, że sownie wynagrodzi tego, kto mu dostarczy informacji.

–Dobrze nadstawiaj uszu. Popytaj. I przekaż mi, czego się dowiedziałaś.

Cicho zamknął za nią drzwi.

Terrettt zaczął zapamiętywać swoje sny – a przynajmniej jeden. Ten sen często powracał, nocą lub za dnia, sam nie wiedział kiedy, i zostawiał ślad w tej części jego mózgu, która normalnie funkcjonowała. Pamiętał go więc, czy tego chciał czy nie. Śnił ten sen od jakiegoś czasu, właściwie od tak dawna, że wracał do niego jak do domu. Tyle że ten dom był przerażającym miejscem.

Po pierwsze, było tam ciemno; po drugie – zimno. Tak zimno, że Terrettt zaczynał się trząść, gdy tylko poczuł otaczającą go lodowatą czarną wodę. A potem tylko trwał zanurzony głową w dół w tej wodzie, która była zimna i przejrzysta, i dziwnie oślizła. Właśnie ta oślizłość najbardziej przerażała Terrettta, bardziej nawet niż ziab, bardziej niż mrok, których ani trochę nie lubił. Nie lubił ciemności, bo uważał, że to z niej biorą się głosy, które słyszał, nieustający gwar, kakofonia dźwięków i furia wypełniająca jego mózg niczym rozszalała horda. To była bardzo specyficzna ciemność, nie indygowy mrok zmierzchu – jak Terrettt przywoływał w pamięci i ukazywał na gorączkowo malowanych obrazach – nie aksamitny mrok księżycowego wieczoru i nawet nie gorzka czerń burzowej nocy. Nie, to było coś więcej, coś

głębszego, mroczniejszego, odmiennego, zrodzonego z ponurych pomruków i złowieszczych inkantacji, przy współudziale zawiści, nienawiści, mściwości i perwersyjnego pragnienia odebrania życia i zdmuchnięcia go jak wątłego płomyka świecy.

W swoim śnie Terrettt był zanurzony w tym mroku, w tej wodzie, co smakowała gorzkością i żółcią. Był świadomy, że znajduje się tam jeszcze ktoś, i był świadomy, że ten ktoś... czeka. Niecierpliwość i euforia i... tak, strach, powodowały dreszcze, woda ślizgała się po jego nagim ciele niczym węże o okrutnych oczach, aż dostawał gęziej skórki. Nie cierpiał węży, ich pełzania, milczącego szpiegowania, czarnych niepoznawalnych myśli. I dlatego tak nienawidził oślizłej wody. Ale nie mógł się poruszyć. Choć tak pragnął wydostać się z wody, chociaż ogarniał go taki strach, że lzy strumieniem płynęły mu z oczu, był jak sparaliżowany. Zupełnie bezradny.

Czuł, jak to unosi się z głębin pod nim. Co to było? Nigdy się nie dowiedział, zawsze się budził, kiedy to się zbliżało. Ale mimo wszystko coś o tym i tak wiedział. Tkwiące w tym zło było tak silne, tak intensywne, że napływało ku niemu jak swąd spalonych domów i zniszczonych marzeń, posmak, który sprawiał, że chciał krzyczeć i krztusił się.

Ileż to razy Terrettt bał się, że udusi się własnymi wymiocinami, lecz nigdy nie otworzył ust. Żołądki podchodziły mu do gardła, a serca tak łomotały, jakby chciały się wyrwać z piersi, zabierając ze sobą jego istnienie. A jego nerwy tak wibrowały, że marzył już tylko o słodkiej pustce utraty przytomności.

Czuł, jak wznosi się ku niemu to bezgraniczne zło, czuł zbliżającą się rozwartą paszczę, zachłanną i groźną niczym zatrute, pazurzaste bramy N'Luuury.

Nadchodziło. Nadchodziło.

Kiedy już-już miało go pożreć, Terrettt otwierał oczy, łkając.

Wtedy przybiegał Kirlll Qandda, zaalarmowany gardłowymi krzykami, upiornym wrzaskiem i rytmicznym łomotem, z jakim Terrettt uderzał ciałem o ścianę, wrzeszcząc w myślach – zabierzcie to, zabierzcie to, zabierzcie to!

Znał dotyk Kirllla Qanddy, wiedział, że Deirus go nie skrzywdzi, a mimo to ta część jego umysłu, która śniła koszmary, skowyczała i drżała, trzęsła się i dygotała na skutek dotknięcia pielęgniarza. Próbował ugryźć Kirllla Qanddę i nie wiedział dlaczego, pojmował jedynie, że tak mu nakazuje ta rozmiękczona część jego umysłu, zatopiona w czarnej wodzie studni znajdującej się w jego głowie. Bo – kiedy Terrettt starał się o tym myśleć, wszystko się rozmazywało – co jeżeli to wcale nie jest Kirlll Qandda, ta istota z długimi smukłymi palcami i oddechem o woni gnijących clemettów, jeżeli ten pokój w Błogosławiącym Duchu jest snem, iluzją, koszmarem,

co jeżeli trwa zanurzony głową w dół w studni, czekając, i jeżeli to jest...

Terrett wrzeszczał i rzucał się, atakował, kalecząc – sam już nie wiedział – siebie czy kogoś innego. Groza miotła się w nim jak żywa istota; świadomość istnienia studni, tego, dokąd ona wie, co się czai w jej głębi, rozsadzała mu mózg, sprawiała, że chciał się poszarpać paznokciami, rzucić się z okna i spłynąć w łagodnym powietrzu, i uderzyć o bruk daleko w dole, nareszcie wyswobodzony.

Wtedy siłą otwierano mu oczy, a on się odchyłał do tyłu, wiedząc, co się zaraz stanie, i nienawidząc tego, bojąc się i czując paskudny posmak, a spray pokrywał mu oczy, silnie działające chemikalia w ciągu sekundy wnikały w jego organizm. Terrett, drżąc, wypuścił powietrze z płuca, niczym z nadmuchanego balonu, i opuściło go przerażenie, uciekło odeń życie (przynajmniej takie, jakie potrafił opisać) i czuł, jak tworzy mu się na twarzy gruba maska, maska znużenia, a może nawet spokoju. Natychmiast zapominał o studni, o jej okropnej, nieprzeniknionej czerni i o tym, co się ku niemu z głębin wznosiło. I już nie potrafił powiązać jednej myśli z drugą, i tak naprawdę wcale tego nie chciał.

Niejasno zdawał sobie sprawę z tego, że Kirlll Qandda niesie go do łóżka, że Marethyn, jego siostra, z pobladłą i zatroskaną twarzą, okrywa go i życzy mu miłych snów. Których miał całe mnóstwo. Strasznie żałował, że przysparza jej tylu zmartwień. Kochał Marethyn całym sercem. Chętnie by się dla niej poświęcił, żeby była szczęśliwa. Prawdę mówiąc, radośnie by powitał taką możliwość, bo wówczas byłby pewny, że miał jakiś cel, że jego życie było coś warte.

Dużo później wstał i wysikał się do zlewu, w którym starannie i pieczołowicie mył swoje pędzle. Powodowany niezaspokojonym pragnieniem, chwycił farby. Rozcieńczył barwniki własnym potem, który spływał po jego ciele, i zabrał się do malowania, usiłując w całkiem inny sposób wyrazić swoje przerażenie i strach, wszystko, co widział i czuł, wszystko, co ten sen dla niego znaczył lub mógł znaczyć. Ale choćby nie wiem jak się starał, obraz nie oddawał ani tego, co widział, ani tego, co chciał wyrazić. Jego pamięć, jak zwykle, zawodziła, narkotyki w sprayu tak zmieniały wspomnienia, że Terrett przywoływał jedynie ich cienie, odblaski, duchy, złagodzone, okrojone, pełne luk, co zawsze go przygnębiało. Przy pracy stękał i mruczał, zgarbiony nad paletą, bardziej przypominając zwierzę niż V'ornna, a zwłaszcza Stogggula.

Nic dziwnego, że rodzina nigdy go nie odwiedzała. Z wyjątkiem Marethyn, która potrafiła coś dostrzec pod tą jego niekomunikatywnością i gwałtownymi wybuchami. Słuchała, kiedy mówił, a raczej próbował się wysłowić. Lecz to wyglądało tak, jakby wciąż tkwił w swoim śnie. Słyszał w umyśle słowa, układał je we frazy i zdania – zanim otworzył usta. Lecz co się potem z nich wydobywało? Bełkot. Jak u wariata wszystkie starannie obmyślane zdania topiły się w strużce śliny wyciekającej pomiędzy wyszczerzonych zębów.

Po raz kolejny podniósł wzrok, chcąc odświeżyć sobie pamięć topograficzną mapą, którą Marethyn zawiesiła na ścianie. Wrócił do malowania i niemal natychmiast pędzel śmignął po papierze. Nic nie było ważniejsze od uwolnienia się od ogarniającego go we śnie i trwającego potem przerażenia, które dniem i nocą pustoszyło mu umysł szaleńczym gwarem głosów, licznymi mackami sięgało chciwie po część jego mózgu. Ale on im nie pozwoli, o nie. Stawał się agresywny, atakował ich, wrzeszczał na nich i na jakiś czas znikali. Potem sen powracał i Terrettt znów trwał głową w dół w czarnej wodzie, patrząc w głębinę, czekając, aż on się pojawi...

Potrząsał głową, ślinił się, stękał, boleśnie i z mazołem szczepiał myśli, aż miał cały ciąg, który mógł wyrazić na płótnie w barwach i fakturze. To były jego malowidła, jego bezcenne obrazy, i dopóki Marethyn je miała, to ufał, że któregoś dnia zobaczy je naprawdę i pojmie, że są wieściami przeznaczonymi dla niej. Bo tylko ona jedna przychodziła, spędzała z nim czas, nie uważała go za wariata. Terrettt był przekonany, że pewnego dnia zrozumie, spostrzeże, co on maluje, i pojmie, co to naprawdę jest.

Potem zapominał, o czym myślał, zapominał, że w ogóle potrafi myśleć. Wrzeszczał i wrzeszczał, aż w końcu tupot nóg przerywał jego krzyki.

–Już dobrze – powiedział Kirlll Qandda. – Przynajmniej na razie.

Marethyn pogładziła spocone czoło Terrettta.

–Jak długo będzie spać?

–Wystarczająco długo – odparł Kirlll Qandda – żeby odzyskać siły.

Marethyn usiadła przy łóżku Terrettta. Była bliska płaczu. Przebywała tu od czasu, kiedy Kirlll Qandda się z nią skontaktował, miała wrażenie, że spędziła tu całą noc, aż po ten ponury i męczący ranek. Ogromnie tęskniła za Sornnnem, chciała, żeby tu przy niej był, ale przynajmniej na parę godzin przestała myśleć o śmierci Tettsie.

–I nadal nie ma żadnej poprawy.

Kirlll Qandda splótł dłonie.

–Żałuję, że nie mam lepszych wieści. Nic z tego, co wypróbowałem, w najmniejszym stopniu nie wpłynęło na jego stan, który nie daje się zdiagnozować. Jak zapewne wiesz, jeżeli się nie postawi właściwej diagnozy, to nie można zastosować odpowiedniej terapii.

Marethyn się rozplakała.

–Ach, moja droga, nie przejmuj się tak – rzekł Deirus, wykręcając sobie dłonie. –

Zawsze mówię nie to, co trzeba.

–To już zbyt wiele dla mnie – załkała dziewczyna.

–Och, jak mogłem być taki tępý? Przecież zaszczyciłaś mnie prośbą, żebym się zajął ciałem twojej babki.

Wszystko odbyło się szybko i bez wielkiej pompy. Tuskugggun – nawet Tuskugggun z wyższej kasty, jak Tettsie – nie miały prawa do rescendencji. Kirlll Qandda zbadał ciało, a potem została skremowana.

–Nie ulegało wątpliwości, że byliście sobie bardzo bliskie. – Deirus mlasnął językiem. – A jeżeli chodzi o Terrettta, to nie powinnaś tracić nadziei. Ja nie straciłem.

Marethyn spojrzała na niego.

–Nie?

–Oczywiście, że nie. Pracuję teraz nad wieloma zupełnie nowymi metodami. – Quandda uniósł smukły palec. – Poczekaj tu chwilę, oddychaj miarowo i głęboko.

Wyszedł z pokoju Terrettta. Wkrótce wrócił, niosąc mały kieliszek. Przykucnął przed nią i zacisnął jej palce na nóżce kieliszka.

–Musisz się wzmocnić, Marethyn Stogggul.

Z przyjemnością wypila ogniste numaaadis.

–Myślałam, że alkohol jest tu zakazany.

–Každy V'ornn od czasu do czasu potrzebuje czegoś na wzmocnienie. – Uśmiechnął się Deirus.

–Dzięki – powiedziała, oddając mu pusty kieliszek. – Zarówno teraz, jak i przy Tettsie byleś bardzo uprzejmy i pełen zrozumienia.

–To drobnostka.

–Nie. To z całą pewnością nie jest „drobnostka”. Tutaj tylko ty jeden okazujesz choć odrobinę życzliwości mojemu bratu.

–Jakżeż mógłbym inaczej? – Quandda rozłożył ręce.

–To brzmi bardzo po kundalańsku.

Kirill Qandda długo się jej przyglądał.

–Czy jesteś sympatyczką...?

–Słucham???

–Nie, nie. – Zamachał rękami. – Nieważne.

–Słyszałam, co powiedziałeś. Nie zapomnę tego.

Deirus pobladł.

–Nie, źle mnie zrozumiałeś. Nigdy nie zawiodę twojego zaufania. Prawdę mówiąc, sama myślałam...

–Wiesz, jest nas bardzo niewielu.

–Nie – powiedziała, a jej serca nagle zaczęły bić szybciej. – Nie wiem.

–Cóż, to prawda – szepnął i nerwowo się zaśmiał.

–Dziwne, że to mówisz. – Marethyn również zniżyła głos. – Niedawno byłam w pewnym magazynie pełnym przedmiotów z Korrushu i innych kundalańskich ziem.

–Cóż w tym dziwnego?

–To należy do Bashkira.

–Naprawdę?

–I było tam trochę skrzynek, sądząc po pieczęciach, khagguńskich, i miałam wrażenie... wiesz, po prostu wrażenie.

–Czy to był magazyn Sornna SaTrryna? – Kiedy spojrzała na niego badawczo, dorzucił pospiesznie: – Nie mogłem go nie zauważyć, stał przy tobie, kiedy badałem twoją babkę.

–Tettsie była najlepszą przyjaciółką jego matki.

Marethyn zerwała się, jakby nagle zdała sobie sprawę, na jak śliskie tory wkroczyła rozmowa, i nastąpiła chwila pełnej napięcia ciszy, od której dziewczynie zjeżyły się włosy na karku.

–Jeszcze raz dzięki, Kirillu Qanddo – powiedziała w końcu. – Za wszystko.

–Chciałbym mieć lepsze wieści. – Deirus odprowadził ją do drzwi. – Nie trać nadziei.

Może następnym razem tak będzie.

–Czy tu musi być tak ciemno? – zapytała Eleana.

–Teyj powiedział, że tak – odparł Rekkk.

–Smolista czerń. – Wyczuwała obecność Hacilara, ale nie widziała go; a gdzież się podział ten gyrgoński ptak? – Ani jednej oliwnej lampki?

–Teyj mówi, że nawet jednego fotonu światła.

Zeszli stromymi schodami, najpierw z poczerniałego drewna, potem kamiennymi, gładkimi i wydeptanymi, do mieszczącego się pod opactwem labiryntu wąskich korytarzy i niskich izdebek. Było tu zimno i wilgotno i wyczuwało się coś złowrogiego, jakby zbliżali się do miejsca, w którym spoczywały kości pohańbionych Ramahanek. Panowała tu atmosfera opuszczenia i smutku, podkreślana przez sterty zakurzonych i zdobnych w diademy ikon, przez popękane i oplecione pajęczynami rzeźby zwierząt, wyszczerbione i zniszczone przez czas ołtarze i chrzcielnice, w których zagnieździło się robactwo. Resztki podupadłej, niegdyś kwitnącej cywilizacji, zaginionej teraz i zagadkowej nawet dla samej siebie.

–Skąd wiesz, co teyj mówi? – spytała Rekkka Eleana.

–Coś się stało, kiedy mnie leczył.

–Chcesz powiedzieć, że wetknął w ciebie jakieś gyrgońskie urządzenie?

–Nie sądzę – odparł Rekkk. – I tak już jestem po części Gyrgonem. Nith Sahor mnie zmienił, wszczepiając mi w ramię ten prototypowy okummmmon. Sam go zrobił.

–To nie wyjaśnia, czemu...

–Kiedy teyj mnie leczył, podłączył się do mnie, prawdopodobnie przez okummmmon. To środek łączności.

–Twój jest czymś więcej – stwierdziła Eleana. – Widziałam, jak przemieniasz rzeczy, wkładając je w okummmmon.

Teyj wydał krótki, modulowany dźwięk i Rekkk powiedział:

–Teraz cicho, bo on uruchamia duscaant.

–Czemu mówisz o nim tak, jakby nie był tylko zwierzęciem?

Uciszył ją ostry, przenikliwy krzyk teyja.

Ciemność przeszło jaskrawe światło, które emanowało zewsząd. Potem nagle utworzyło kulę, mleczną i pulsującą. Mleczność przeszła w przejrzystość i ukazało się wnętrza biblioteki opactwa, w której ukryto duscaant. A potem – jakby gwałtownie się otworzyły tajemne drzwi – Rekkk i Eleana znaleźli się w bibliotece, patrząc na to, co się tam działo, na fragmenty przeszłości, które duscaant zarejestrował dla swoich gyrgońskich władców.

Ramahanki krzątały się, nie mając pojęcia o istnieniu urzędnika. Rozmawiano o zaklęciach i lekcjach, plotkowano, wymieniano uwagi, żartowano. Jakaś Ramahanka zastanawiała się, czy aby za bardzo nie tyje; inna, siedząc przy długim stole, zwierzała się sąsiadce, że wzięła z biblioteki książkę, żeby się w nocy pouczyć, i zapomniała ją odnieść. Rozległo się głębokie i melodyjne bicie dzwonów, zapanowała cisza, a potem rozpoczęły się modlitwy. I to właśnie te obrazki z codziennego życia, ta tak niedawna historia budziła niepokój i zażenowanie Eleany, bo dziewczyna dotkliwie odczuwała krzywdę wyrządzaną przez podglądacza, wtargnięcie w to, co powinno pozostać nietykalne. Położyła dłonie na wypukłym brzuchu, jakby instynktownie chciała chronić dziecko, bo miała wrażenie, że to akt jeszcze ohydniejszej przemocy niż rzeź i słupy czarnego dymu bijące w ciemniejące niebo jesiennym popołudniem. Bo to czaiło się w mroku, niewidoczne, i wchłaniało życie.

Eleana przewodziła grupie partyzantów, więc lepiej niż większość Kundalan знаła wartość potajemnie zbieranych informacji i jakaś jej część bardzo chciałaby mieć duscaanta ukrytego w sztabie generała polnego Lokcka Werrrenta. Lecz teraz rozwijało się w niej dziecko i tamto życie wydawało się odległe i mgliste. Przycisnęła dłoń do czoła. Co się z nią działo? Rosła jako dziecko wojny. Khagguni zamordowali jej rodziców, przyjaciół i ziomków. Zawsze miała serce wojownika i nim się kierowała. A teraz nachodzą ją jakieś dziwne uczucia, wzdraga się przed przemocą. Przekierowywała energię z gniewu na obronę. Dziecko w niej żyło, pływało, kopało, oddychało, kiedy ona oddychała, jego bliźniacze v'ornnańskie serca biły w rytm jej własnego. Było takie nieświadome niczego, bezradne i bezbronne jak te dawno zmarłe Ramahanki, które chodziły, rozmawiały i modliły się wokół niej w ciemnym blasku obrazów z duscaanta. Zrobi wszystko, żeby go ochronić przed pustoszącą świat dziką bestią.

Oświetlenie nagle się zmieniło, w pogrążonej w mroku bibliotece płonęły brązowe lampy oliwne, ich pomarańczowe płomyki odbijały się w dużych oknach. W rogu pojawiła się na krótko płatanina v'ornnańskich liter i cyfr. Nowy zapis.

W pustej bibliotece siedziały obok siebie dwie Ramahanki; persymonowa barwa ich szat świadczyła, że to konara najwyższej rangi. Na stole pomiędzy nimi leżała otwarta gruba księga, ale żadna do niej nie zaglądała. Pochylały się lekko ku sobie, jakby pod wpływem przepływającej pomiędzy nimi magnetycznej mocy.

–...wszystko, co musisz lub będziesz musiała wiedzieć – rzekła konara ze

spiczastym nosem.

–Nie możesz oczekiwać, że się zgodzę – powiedziała druga konara; szeroko rozstawione oczy sprawiały, że stale wyglądała na zdziwioną. – Co ty sobie myślisz?

–Proponuję ci jedyny sposób ocalenia i ciebie, i twoich Ramahanek. – Pierwsza konara miała wysokie, wypukłe czoło, połyskujące w blasku lamp.

–Nie, konara Mossa. To wykluczone.

–Ależ wysłuchaj mnie, wysłuchaj. – Konara Mossa ujęła dłonie tamtej. – Przybyłam do ciebie trzeci raz w ciągu trzech miesięcy. Teraz mówię do ciebie jako twoja szczerą, długoletnią przyjaciółką. Jak wiesz, przybyłam z daleka. A dlaczego? W nadziei, że przywrócę ci rozsądek.

–Ale musiałaś zawrzeć układ. Będę musiała zrobić to, co proponujesz.

–Przez wzgląd na wszystkie tutejsze Ramahanki.

–Musi być jakiś inny sposób.

–Nie ma, konara Yasttur, bobym go znalazła.

–Zastanawiam się, czy aby na pewno – powiedziała konara Yasttur. – Czy nie wybrałaś po prostu tego, co wygodniejsze, i dlatego przystałaś na ich jedyną propozycję?

–Ile lat mają twoje akolitki? – spytała oschle konara Mossa.

–Są moimi podopiecznymi, moimi ukochanymi dziećmi.

–Więc zrób to dla nich, konara Yasttur. Przez wzgląd na ich życie. Dla dobra naszego zakonu. – Jeszcze bardziej się ku niej pochyliła. – Jeżeli nie, to V'ornnowie was wymordują. Tak powiedzieli.

–Nie mogę uwierzyć, że zawarłaś układ z wrogiem – syknęła przez zęby konara Yasttur.

–Lepszy wróg znany... – powiedziała cicho konara Mossa.

–Łudzisz się – odparła szorstko konara Yasttur. – Ci łupieżcy... odzierają nas systematycznie z naszej kultury, naszego codziennego życia, naszej historii, z wszystkiego, czym jesteśmy i co nas wyróżnia... – Urwała, zakryła twarz fałdą persymonowej szaty.

–Moja droga, odwiedziłam cię tej nocy tak, jak robiłam to zawsze.

–I zdradziłaś straszliwy sekret.

–Jak przyjaciółka.

Konara Yasttur podniosła wzrok.

–Ach, Miino, chroń nas przed naszymi wrogami i naszymi przyjaciółmi.

Twarz konara Mossy stała się nieprzenikniona, jakby zamknęło się jakieś okno. Klepnęła się w uda i wstała. Popatrzyła na konara Yasttur i rzekła:

–A więc nie przekonam cię, żebyś posłuchała głosu rozsądku.

–Rozsądku potępionych – odezwała się konara Yasttur.

–Zatem przyjdą i zniszczą was wszystkie. – Konara Mossa nagle posmutniała. – Nie mam mocy, by ich powstrzymać.

–A zrobiłabyś to, gdybyś mogła?

–Ależ oczywiście. Co ty myślisz...?

–Zniżyłaś się do ich poziomu, zaakceptowałaś ich brutalność, nieuchronność ich zwycięstwa. Zaraziłaś się od nich złem i nie spływa już na ciebie boski blask bogini. Oto co wiem.

Konara Mossa się zachmurzyła.

–To ty się łudzisz, stara przyjaciółko. Zostanę zapamiętana jako bohaterka zakonu. Robię to, co trzeba, żeby Ramahanki ocalały z tej rzezi.

Konara Yasttur wstała i spojrzała przyjaciółce w oczy.

–A czy pomyślałaś o tym, że twoja decyzja, twoja zdrada, stanie się narzędziem zniszczenia naszego zakonu. – Yasttur uniosła rękę. – Jesteś służką Miiny, jesteś uświęcona świętością wielkiej bogini. Jeżeli dobro nie będzie opromieniać opactw, to zapadnie wieczna noc. – Konara Mossa się odwróciła, a chrapliwy, histeryczny śmiech Yasttur przeszedł w szloch. – Czyż nie pojmujesz? Po co V'ornnowie sami mieliby się wysilać, skoro nakłonili takich jak ty, by wykonywali ich nikczemne polecenia?

Rozbłysło światło, przez wysokie okna wlewał się złocisty blask porannego słońca. Znów zamigotały w rogu obrazu v'ornnańskie symbole, oznaczające nowy zapis. Biblioteka była zupełnie wyludniona, tak jak to się dzieje wyłącznie u kresu wszystkiego. Za oknami widać było oddział Khagggunów w pełnym bojowym rynsztunku; śmigaly kordy, kiedy mordowali Ramahanki.

Tuż przed końcem zapisu pojawiła się wleczona za włosy konara Yasttur. Zdarto z niej resztki poszarpanych szat i rzucił się na nią cały oddział – najpierw oficerowie, zdjąwszy okrwawione zbroje, a potem żołnierze, oblizując wargi i miętosząc twardymi łapami obnażone ciało. Usta miała otwarte. Na pewno krzyczała, lecz rozświetlonemu słońcem obrazowi z duscaanta nie towarzyszył dźwięk.

13. Namiar

Kirlll Qandda właśnie odczytywał ostatnie holoskany aktywności mózgu Terretta, kiedy Jesst Vebbn wetknął głowę do boksu i powiedział:

–Jesteś potrzebny.

Kirlll wstał bez słowa protestu, choć był zajęty. Nie miał wyboru. Jesst Vebbn był Genomatekiem, do którego został przydzielony i którego polecenia musiał bez sprzeciwu i pytań wykonywać.

–O co chodzi? – spytał, idąc obok Genomatekka.

–Przybył nowy transport – odparł zwięźle Jesst Vebbn. – Jedno z nich umiera.

Jesst Vebbn szedł tak szybko, że Kirlll musiał przyspieszać, by dotrzymać mu kroku, lecz Jesst we wszystkim był trzy razy szybszy, także w mówieniu. Był wysokim, clemettowatego kształtu osobnikiem o przykrótkich rękach i nogach, co nadawało mu dość komiczny wygląd. Miał typową twarz patologa, o nieprzeniknionym i chłodnym wyrazie. Jeżeli miał jakieś uczucia, to Kirlll jeszcze nie zdołał ich dostrzec.

Kirlll widział już khagguńskich wartowników. Z całej duszy nie znosił Khaggunów oraz programu, którym kierował Jesst Vebbn. Khagguni rozstąpili się na widok Jessta, lecz na Kirllla łypali z niesmakiem bliskim wstrętu. Nie ma się czemu dziwić? Jego obecność zwiastowała rychłą śmierć.

Jesst poprowadził go przez poczekalnię, w której spisywano dzieci. Stały rządkiem, Jesst zdawał się nie zwracać na nie uwagi, ale Kirlll mocno przeżywał strach i niepokój malujący się na każdej twarzyczce. Nie potrafił się przyzwyczaić do tak zwanych „rekombinacyjnych eksperymentów”, nakazanych przez Gyrgonów. Te dzieciaki – smutne następstwa gwałtu dokonanego przez skrwawionych w walce Khaggunów na Kundalankach – i tak były skazane.

–Biedactwa. – Kirlll nie zdołał ugryźć się w język. – Urodziły się, by cierpieć.

–Typowy Deirus. Źle się wyraziłeś – odezwał się Jesst, idąc szybkim tempem. – Program, do którego nieszczęśnicy są włączani, daje im cel. Spójrz, jak chlipią i

placzą. Czegóż można się spodziewać po zwierzętach. Gdyby miały odpowiedni iloraz inteligencji, to byłyby dumne, wiedząc, że oddadzą życie za rozwój wiedzy Gyrgonów.

Kirlll zagryzł wargi i zadowolił się morderczym spojrzeniem na kark Genomatekka. Wreszcie minęli obszerną poczekalnię i znaleźli się w wąskim korytarzu z boksami, w których przeprowadzano badania, po obu stronach. Boksy powoli zapełniały się dziećmi-hybrydami. Dość łatwo było to zauważyć. Ekspresja vormiańskich genów zacierała kundalańskie cechy. Lecz były różnice w budowie wewnętrznej, i to znaczne. Gyrgonów, rzecz jasna, najbardziej interesowały właśnie te różnice.

Jesst zatrzymał się w połowie korytarza, odsunął zasłonę.

–Tutaj – powiedział. Został w drzwiach, kiedy Kirlll wszedł, nie był w stanie podejść do umierającego dziecka.

Co jakieś dwadzieścia metrów stał khagguński wartownik, jakby te nieszczęsne dzieciaki mogły zagrozić przechodzącym z boksów do boksu Genometekkom.

–Jaka wada? – zapytał fachowym tonem Jesst.

Kirlll podszedł do dziecka, chłopczyka nie mającego więcej niż cztery lata. Mały był bardzo blady, spocony, oddychał płytko i nieregularnie. Wlepił w Kirllla szeroko otwarte oczy; przerażenie sprawiło, że pociemniały i przestały być dziecinne.

–Uspokój się – powiedział do niego Kirlll. – Przyszedłem, żeby ci pomóc.

Wprawne dłonie Deirusa cały czas uciskały i badały ciało chłopca. Wyjął przenośny holoskaner, włączył go.

–Spójrz no tylko – rzekł, wodząc nim nad klatką piersiową chłopczyka. – Słyszysz, jak szumi? To znaczy, że cię wyleczą.

–Przestań paplać – odezwał się zniecierpliwiony Jesst – i mów, czegoś się dowiedział.

–Urodził się z podwójnym kompletem serc – powiedział Kirlll, patrząc na hologram.

To zainteresowało Jessta.

–Czyż nie powinien być dzięki temu silniejszy?

–Jedno serce jest kundalańskie, drugie podwójne, v'ornnańskie. Najwyraźniej nie pasują do siebie.

–Jaka szkoda – odezwał się Jesst. Skrzyżował ramiona na piersi, oparł się o

futrynę. – Możesz mu jakoś pomóc? – Widząc wymowne spojrzenie Kirllla, dodał: – Nie jestem takim potworem, za jakiego mnie uważasz.

–Bardzo elokwentnie rozprawiałeś o zwierzęcej dumie.

–To było w poczekalni, publicznie. Tak powinienem mówić – oznajmił Jesst. – Nie wierzysz mi. – A kiedy Kirlll nie odpowiedział, dorzucił: – To był cytat z holotekstu. Jestem pewny, że o tym wiesz.

–Czytałem to – rzekł Kirlll.

Jesst odczekał chwilę i powiedział:

–Wiem, że nie pochwalasz naszego programu.

–Nie pochwalam niczego, co powoduje lub przedłuża cierpienie, choćby to się działo ku chwale wyższej gyrgońskiej nauki. – Kirlll patrzył, jak mały bawi się holoskanem. – Ale jakie to ma znaczenie? Zdanie Deirusa się nie liczy.

Jesst spojrzał na dziecko.

–Będziesz musiał zrobić sekcję – powiedział cicho.

Kirlll przytaknął i rzekł:

–Tak bym chciał go uratować.

–I ja bym tego chciał.

–Oooo, nie wątpię. – Kirlll uśmiechnął się łagodnie do chłopczyka. – Nabytek o podwójnym komplecie serc. Tylko sobie wyobraź te eksperymenty.

–Co cię tak dręczy? – zapytał Jesst.

Kirlll odwrócił się ku niemu i, wciąż badając malca ręką, powiedział:

–Jest niewinny, podobnie jak pozostałe dzieci. Nie prosiły się na świat, nie one zdecydowały o swoim życiu, swoich genach. Są efektem brutalnych czynów dokonywanych przez przedstawicieli naszej rasy.

–Khaggguni nie są z naszej rasy – rzekł nieoczekiwanie Jesst.

–Gyrgoni też nie, a wykonujemy ich polecenia.

–A mamy wybór? – Jesst rozłożył ręce.

–Ty masz. Mógłbyś poprosić o inny przydział.

–I zaryzykować, że moje miejsce zajmie Genomatekk o krwiożerczych sercach?

Kirlll głęboko wciągnął powietrze i powoli je wypuścił. Potrząsnął głową, obrócił się ku dziecku i powiedział:

–Spróbuję mu jakoś pomóc.

Ale mały dostał konwulsji. Nie było dla niego ratunku, żadne umiejętności ani zasoby Genomatekków nie mogły go ocalić. Smutne, ale to dobre rozwiązanie, pomyślał Kirlll, dając znak Jesstowi, żeby trzymał ręce i nogi malca. Wyciągnął jeden z małych pojemników, z których korzystał przy Terrettcie i – przytrzymując trzepoczące powieki chłopca – trysnął mu sprayem w oczy. Konwulsje niemal natychmiast ustały.

–Co się teraz stanie? – zapytał Jesst.

–Zaśnie. – Kirlll odłożył pojemnik. – A sen będzie coraz głębszy i mały w końcu umrze. – Deirus miał dziwne uczucie, że joniczna wiązka przeszywa mu pierś. – Nie odejdę, dopóki żyje.

–Obaj zostaniemy. – Jesst znowu zadziwił Kirllla. – Nie czuwajmy jednak w milczeniu.

–O czym chciałbyś rozmawiać?

–Wszczęto dochodzenie w twojej sprawie.

Kirlll spojrzał obojętnie na Genomatekka.

–Wewnętrzne dochodzenie – kontynuował Jesst. – Jestem pewny, że to nic groźnego. To się zdarza od czasu do czasu. – Wzruszył ramionami. – Sam nie przywiązuję do tego wielkiej wagi, ale trzeba to załatwić na czas, bo inaczej osobiście odpowiem za zwłokę.

–Co to za dochodzenie?

–Może to jednak nie jest odpowiednia pora. – Jesst spojrzał na umierające dziecko.

–Przyda mi się odmiana.

Jesst skinął głową.

–Dochodzenie dotyczy twoich kochanków.

–A co z nimi?

–Dobrze wiesz. To mężczyźni.

–Jestem w końcu Deirusem.

–Nawiasem mówiąc – Jesst podrapał się w kark – prawo, ustanowione przez Bractwo Gyrgonow, zakazuje kontaktów seksualnych pomiędzy osobami tej samej płci. – Uśmiechnął się sztucznie. – Ale to przecież wiesz. – Genomatekk przerwał na chwilę. – O, nie mam wątpliwości, że jesteś użyteczny dla matrix, Kirlllu Qanddo. Naprawdę. Ale są inni... – Jesst urwał, nie wiedząc, jak kontynuować. – To dla mnie okropne.

–Pomyśl, jak ja się czuję.

Jesst odchrząknął.

–Chcę jasno dać do zrozumienia, że moim zdaniem to dochodzenie jest pozbawione podstaw, że to zupełna strata czasu. I że jesteś jednym z moich najlepszych Deirusów. Ale i tak muszę spytać.

–Słucham.

–Jak się wydaje, w pewnych kręgach żywi się podejrzenia wobec Konsorcjum SaTrrynów.

–Jakiego rodzaju podejrzenia?

–A ponieważ byłeś ich Deirusem... to znaczy, czyż nie zajmowałeś się ciałem Hadinnna SaTrryna?

–Tak. Poprosił mnie o to Sornnn SaTrryn – odparł Kirlll.

–Nie był to twój pierwszy kontakt z ich rodziną. Masz z nimi styczność od jakichś dwudziestu lat?

–Dwudziestu siedmiu.

Jesst kiwnął głową.

–Oficjele czegoś szukają.

–Czego?

–Kontaktów z... no... hmmm... kundalańskim ruchem oporu.

–Do czego zmierzasz? – zachmurzył się Kirlll.

Jesst pochylił się ku niemu i zniżył głos.

–Właśnie do tego. Jeżeli, powiedzmy, SaTrryn wspomaga wroga i jeżeli, powiedzmy, ty też jesteś w to zamieszany...

–Ależ wymyślasz! – parsknął Kirlll.

–Och, nie ja. Nie, wcale nie ja. – Jesst przytknął palec do nosa. – Ale w pewnych kręgach...

Kirlll po raz pierwszy żywo zareagował.

–W jakich kręgach?

–Baaardzo wysoko. Nic więcej nie mogę ujawnić. – Jesst odsunął się trochę. – Tak czy owak, nic dobrego z tego dla ciebie nie wyniknie, rozumiesz?

–To niedorzeczne.

–Ty i ja to wiemy. Ale są jeszcze inni.

–Nie twierdzę... Ale jeżeli... – Kirlll nie mógł spojrzeć Genomatekkowi w oczy. – A gdybym coś wiedział? Gdybym miał informację, która by pozwoliła aresztować zdrajcę.

–To by cię oczyściło ze... ze wszystkich zarzutów – powiedział cicho Jesst.

–Nawet tych dotyczących mojego prywatnego życia?

–Tak.

–Mały umiera – powiedział Kirlll. Przyłożył palec do szyjki dziecka. Tętno było słabe i nieregularne. Ledwo wyczuwalne. I prawie natychmiast ucichło.

–Nie miał najmniejszej szansy – orzekł Jesst.

–To tylko wszystko pogarsza. – Joniczny ogień w piersi Kirllla zapłonął jeszcze mocniej.

Jesst odchrząknął.

–Nie twierdzę, że wiem, kim jest zdrajca. – Kirlll Qandda wciąż dotykał dziecka, ale teraz cofnął dłoń, co świadczyło o tym, że pogodził się z nieuniknionym. – Ale być może ostatnio usłyszałem coś, co mogłoby być cenne dla tych „innych”.

–Powinieneś mi powiedzieć, co wiesz – nalegał Jesst.

–Muszę to przemyśleć.

–Byle to nie trwało zbyt długo. W każdej chwili mogą wycofać ofertę. A wtedy...

–Co wtedy?

Jesst spojrział Kirllowi w oczy.

–Byłbym zmuszony kontynuować dochodzenie w twoich prywatnych sprawach.

–Nie zostawiasz mi zatem wyboru.

–Niestety.

Kirll wziął joniczny skalpel, poczuł, że dziwne, dojmujące uczucie powoli mija. Odmówił krótką modlitwę za duszę dziecka, pośmiertną pieśń, którą ułożył lata temu raczej dla siebie niż dla zmarłych. Potem wykonał pierwsze cięcie, precyzyjne i dokładne, jak wszystko, co robił.

Przez cały następny dzień Tezziq uczyła Riane i była tak wymagająca, że w porze kolacji dziewczyna była zupełnie wyczerpana. Zjadła, wykąpała się i padła na swoje poduchy.

Gwałtownie wyrwano ją z pozbawionej snów drzemki. Tezziq nią potrząsała.

–Nadchodzi – szepnęła jej na ucho. – Baliq nadchodzi.

–Kto? – zapytała rozespana Riane i natychmiast się obudziła, widząc znajomą postać w drzwiach. Mężczyzna stał na rozstawionych krzepkich nogach, krzyżując na piersiach muskularne ramiona. Riane usiadła. – Nie martw się – szepnęła. – Nie pozwolę mu cię zabrać.

–Nie po mnie przyszedł – odszepnęła Tezziq. – Tylko po ciebie.

–Cooo? – Riane strach ścisnął za gardło. – Przecież ci mówiłam...

–Tak. – Tezziq przytuliła ją, czuła, jak dziewczyna drży. – Wiem.

–To musi być jakaś pomyłka. Miałaś zaledwie parę dni na uczenie mnie. – Spojrzała Tezziq w oczy; czuła się chora na myśl, że zostanie wydana na pastwę żądz Makktuuba. – To na pewno zbyt krótko.

–Przyszedł Baliq. Musisz iść. – Tezziq łagodnie zepchnęła ją z poduszek na wyłożoną dywanami podłogę. – Nie masz wyboru.

Matka powiedziała jej niegdyś, że zawsze jest wybór, jakaś inna możliwość, lecz umysł Riane był tak sparaliżowany strachem, że nie potrafiła nic wymyślić. Wsunęła stopy w pantofelki, które dostała od kapudaana.

Szła z Baliikiem, przerażona. Ogarnęło ją poczucie nierealności, znieczuliło ją, osłabiło jej wolę. Przypomniało się jej, co kapudaan zrobił Tezziq, i struchlała. Z wysiłkiem skoncentrowała się na Baliiku i starała się uspokoić, bacznie mu się przyglądając.

Był mocno umięśniony, ale w przeciwieństwie do innych strażników, których Riane widziała, nie był masywny i ciężki. Włosy odgarnął w tył, lecz nie zebrał ich na czubku głowy, tylko spiął klamrą z rzeźbionego cesarskiego krwawnika w długi koński ogon. Poruszał się z taką samą gracją jak kuomeshale, jakby był ożywioną częścią krajobrazu.

Nie odezwał się do niej ani słowem, kiedy prowadził ją pałacowymi korytarzami, lecz często czuła na sobie jego badawcze spojrzenie. Wszystkie przejścia wyglądały tak samo, aż wreszcie dotarli do korytarza obwieszzonego cudownymi jedwabnymi dywanami, przeznaczonymi do tego, by na nie patrzeć, a nie chodzić po nich. Różnorodne wzory odznaczały się doskonałą geometrią: środkową część – kolistą, kwadratową, prostokątną lub sześciokątną, zależnie od kaprysu lub fantazji artysty-tkacza – okalały pasy, biegnące spiralnie na zewnątrz i tworzące coraz bardziej złożony wzór.

Dywany stawały się coraz bardziej wymyślne, aż wreszcie Riane i Baliq skęcili w korytarz o pobielanych ścianach. Prowadził do schodów z połyskliwego brązu, uformowanego w plecionkę łodyg pnączy i malutkich gwiazdzistych kwiatuszków. Wspięli się po nich i znaleźli się na otwartym, rozległym tarasie górującym nad miastem. Mieli przed sobą ułożoną z dywanów drózkę.

Był wczesny wieczór, na niebie migotały gwiazdy, widać też było dwa sierpy księżyców, tak wąskie, że ich zieleń zdawała się niemal biała. Łagodny wietrzyk niósł wszechobecny czerwony pył oraz bogate aromaty smażonego mięsiwa i warzonego ba'du.

Riane dostrzegła Makktuuba, rozłożonego na wzorzystej sofie stojącej wśród poprzycinanych limonikowych drzewek rosnących w donicach. Sofa była obciągnięta morą. Z jednej jej strony stał stolik, uginający się od gotowanych na parze, nadziewanych owoców, z drugiej – ozdobnie rzeźbiony ekran z lyssomowego drewna, odgradzając kapudaana od gwaru znajdujących się niżej ulic i bulwarów.

Kapudaan poruszył się, kiedy Baliq przyprowadził Riane. Pstryknięciem palców odprawił albinosa. Dziewczyna żałowała, że Baliq odchodzi. Był silny, lecz raczej niegroźny. Nie przypominał strażników sterczących pod ścianami jak kołki i

patrzących tępo przed siebie. Było w nim coś, co czekało na ujawnienie, jakieś napięcie, a także czujność, jakby czekał na właściwy czas i miejsce, żeby pokazać, kim jest. Teraz nie miało to jednak znaczenia, bo Baliq sobie poszedł i została na tarasie sama z Makktuubem.

–No tak. – Makktuub uśmiechnął się ciemnymi oczami o opadających powiekach; był to jednak uśmiech wymuszony i pełen napięcia. – Jak ci poszło ze śliczną Tezziq?

–Jest bardzo biegła w sprawianiu przyjemności – odparła Riane.

–Dobrze cię traktuje? – Gestami dłoni podkreślał swoje słowa. – Panuje nad swoją zazdrością? Brak ci czegoś?

–Wolności.

Kapudaan gwałtownie usiadł i Riane zeszywniała, przeczuwając najgorsze. Jego oczy płonęły wściekłością i dziewczyna przez chwilę była pewna, że ją uderzy, bo wstał z sofy. Lecz on stał i przyglądał się jej.

Starła się coś wyczytać z jego miny. Był w nim jakiś niepokój. Tkwił w nim od dawna, niczym ruina na pustkowiu stepów, zaginiona i niemal zapomniana. Była przekonana, że chciał coś powiedzieć, ale nie mógł tego z siebie wydusić. Z ulicy w dole dobiegły nagle krzyki, zawodzące modły na chwilę umilkły – sprzeczka zakłóciła melodyjny zaśpiew. Potem ucichła i znów rozbrzmiały modlitewne śpiewy, jakby nic ich nie przerwało.

–Jeżeli chcesz mnie wziąć do łóżka – odezwała się Riane – to się nie zgodzę. Chcę odzyskać wolność.

–Jiharre może spełnić twoją prośbę – mruknął Makktuub, teraz już wyraźnie nieswój – ale jedynie niebiosy wiedzą kiedy.

Patrzyła ze zdumieniem, jak pospiesznie odchodzi dywanową ścieżką i schodzi spiralnymi schodami do wnętrza pałacu. Przez chwilę nie wiedziała, co robić. Wiatr rozwiewał jej włosy, z dołu dobiegały odgłosy miasta. Nie mogła się powstrzymać od podejścia na skraj tarasu. Oparła się o sięgającą pasa barierkę i patrzyła na nocną panoramę Agachire. Po drugiej stronie ulicy, węższej niż aleja przed frontem pałacu, zobaczyła inny taras, a za nim niewyraźny zarys następnego. Ulica była zatłoczona pieszymi i powolnymi kuomeshalami. Kobiety przyrządzały jakieś potrawy lub układały w stosy chlebowe placki. Starcy śpiewali, obejmując się ramionami w pasie, i kołysali się miarowo. Zakochani patrzyli sobie w oczy, lecz się nie dotykali. Za to karmili się nawzajem suszonymi owocami i słodkościami z papierowych tutek, kupionych u ulicznych sprzedawców. Kupcy sprzeczali się z klientami, dzieci zaś biegały tu i tam. Riane właśnie się zastanawiała, czy przeżyje skok z tarasu, kiedy

zza rzeźbionego ekranu wyszła jakaś postać.

Dziewczynie zaparło dech w piersiach. Stała jak wryta, bo ta postać była tu tak zupełnie nie na miejscu. Stał przed nią Gyrgon, okryty połyskującą w blasku gwiazd zbroją. Hełm miał wysoki i kanciasty, uszaty i rogaty, całkowicie zamknięty, z groźnie zmarszczonym nadczołem, w które wtopiono rząd metalowych pazurów. Ta szczególna jonowa exomatrix nadawała mu straszliwy wygląd. I tak powinno być, to był bitewny ryszunek.

–Sądzę, że już najwyższy czas, żebyśmy się poznali, Riane – odezwał się Gyrgon, idąc ku niej. – Nazywam się Nith Settt.

Wyciągnął dłoń w czarnej rękawicy, w której trzymał coś znajomego, i serce Riane zmyliło rytm. O droga Miino, nie, pomyślała dziewczyna.

–Powiedz mi, proszę – rzekł cichym i syczącym głosem Nith Settt, sunąc ku niej – skąd to masz.

I uniósł wysoko opończę Nith Sahora, żeby Riane mogła się jej dobrze przyjrzeć.

Tettsie spoglądała na nich – królewska i władcza – i nie było wątpliwości, że w mistrzowskich pociągnięciach pędzla i stonowanych kolorach portretu, nad którym Marethyn pracowała od tygodni, uchwycona została jej osobowość.

–To cała ona – stwierdził Sornnn. – Wspaniałe dzieło.

–Nie mogę w to uwierzyć – odezwała się Marethyn. – Ten portret był taki ważny, a ona go już nie zobaczy.

Mogłoby się wydawać, że to banalne, a nawet egocentryczne podsumowanie życia tak długiego jak życie Tettsie, lecz wcale tak nie było. W ten sposób Marethyn czyniła śmierć, tę ogromną tajemnicę, bardziej zrozumiałą. No i pozwalało jej się to jakoś uporać ze zgonem Tettsie. Dzięki temu radziła sobie z codziennymi sprawami i spała nocą, choć sen często był niespokojny, zakłócany obrazami, których wolała nie pamiętać i nie interpretować.

Znajdowali się w jej zamkniętym na głucho atelier. Miejsce, w którym upadła Tettsie, zakrywał haftowany całun o barwie indygo. Zgodnie ze zwyczajem, pozostanie tam przez cały miesiąc, a potem zostanie pieczołowicie umieszczony w tertowej tubie.

Kiedy Marethyn zajmowała się pochówkiem babki, Sornnn, jako naczelny faktor, przebywał w Kwiatonowym Hallu, ponurym, olbrzymim pomieszczeniu byłego kundalańskiego składu, poddanego typowej paskudnej v'ornnańskiej przemianie. Rozstrzygał przeciągający się zajadły spór, który odziedziczył z czasów, kiedy naczelnym faktorem był Wennn Stogggul, pomiędzy dwoma konsorcjami, Nwerrrn i

Fellannnggg, o prawa do minerałów na zachodnim skraju lasów Borobodur. To była jedna z tych skomplikowanych i drobiazgowych spraw, które rozbudzały w Sornnnie tęsknotę za wspaniałym, nietkniętym, bezkresnym pejzażem Korrushu.

–Była moją mentorką i busolą – odezwała się Marethyn. – Co pocznę bez niej?

Sornnn ujął ją za ramiona, odwrócił ku sobie, bo nie miał pojęcia, co robić. Był bezradny wobec smutku Marethyn i jej bezbronności.

–Wiele się od niej nauczyłaś. Teraz już sama jesteś swoją mentorką i busolą.

–Naprawdę tak uważasz?

Znów ją odwrócił i teraz patrzyła na portret.

–Spójrz na nią, Marethyn. To twoja babka, ale i twoje dzieło. To, co tutaj widzę, pochodzi od ciebie: siła i duma, upór i gniew, i czuła troskliwość.

A Marethyn zaśmiała się i zapłakała jednocześnie, szepcząc coś, czego Sornnn nie dosłyszał, i dobrze, bo to było coś osobistego pomiędzy nią a Tettsie, tak jak powinno być pomiędzy wnuczką i babką, które były bardzo podobne i tak wiele dla siebie znaczyły.

Tettsie zawsze wiedziała, czego chce, podyktowała również stosowne rozporządzenia dotyczące swojej śmierci i już dawno temu dała Marethyn ten data-dekagon. Odtworzyli nagranie i stwierdzili, że Tettsie życzyła sobie, by jej prochy zostały rozsypane nad głębokimi stawami za murami miasta, stawami, w których razem z Marethyn kąpały się w gorące letnie popołudnia; prosiła, żeby jej dom wraz z całą zawartością został sprzedany, a uzyskana suma przekazana Dobbro Mannksowi, Bashkirowi notariuszowi, który założy fundusz powierniczy. Ze sprzedaży miały być wyłączone jedynie dwa przedmioty: podarowana Marethyn szkatułka z czerwonego jadeitu oraz przeznaczony dla Petrre Aurrr, matki Sornnna SaTrryna, naszyjnik z veradu, jej ulubiony, z niewielką, ale za to nieskazitelną nieobiańską gwiazdoperłą. Tettsie prosiła Marethyn, żeby osobiście doręczyła naszyjnik Petrre Aurrr.

–Jeżeli poproszę, żebyś przekazał naszyjnik, Sornnnie, zrobisz to?

–Równie dobrze możesz to sama zrobić. Tettsie była twoją babką.

Marethyn podała mu płaskie czarne etui.

–Tak. Myślę o tym, czego by Tettsie chciała – powiedziała, chociaż Sornnn dobrze wiedział, że chodziło jej o coś zupełnie innego.

Tak więc Sornnn udał się, z etui pod pachą, do domu matki.

Petrre Aurrr mieszkała w kundalańskim domu, eleganckim i przestronnym, w głębi wschodniej dzielnicy; dom miał obszerne atrium, obsadzone karłowatymi clemettami, teraz bezlistnymi, jak również roślinami zimozielonymi, kołysanymi powiewami ostrego jesiennego wiatru. Było tuż po zachodzie słońca; zachodni horyzont zasnuwały pomarańczowe i cynobrowe obłoki, lecz wyżej niebo było już lśniąco kobaltowe.

Matka Sornnna była ładną kobietą, wysoką i majestatyczną. Ubierała się w stroje barwy zakrzepłej corzej krwi, który to soczysty odcień dobrze pasował do jej jasnych oczu. Miała smukłe dłonie rzeźbiarki, a z jej twarzy można było wyczytać historię jej życia.

Kiedy Sornnn stanął na progu jej domu, patrzyła na niego przez chwilę z osłupieniem.

–Mogę wejść?

–Tak. Tak, oczywiście.

Ta krótka wymiana zdań dobrze oddawała pewną sztywność i skrępowanie w ich wzajemnych stosunkach.

W wystroju domu z zadziwiającą inwencją połączono cechy obu kultur. Meble v'ornnańskie, proste i o surowej linii, przykryto miękkimi i ozdobnymi kundalańskimi tkaninami. Sornnn był zdziwiony, że surowość i wykwint tak dobrze współgrają. Przyjrzał się wszystkiemu – meblom, dywanom, kufrom, kredensom, półkom zastawionym pamiątkami i bibelotami – i nie dostrzegł niczego, co by pamiętał, niczego z jej poprzedniego życia i z życia jego rodziny. A był to dom jego matki.

Wyciągnął rękę z płaskim czarnym etui.

–Mam...

–Podać ci coś do picia? – spytała w tej samej chwili.

Zapadła cisza, w której można było wyczuć gniew i rozżalenie Sornnna.

Matka patrzyła mu w oczy, nie zwracając uwagi na etui.

–Wybacz – powiedziała. – Właśnie zmarła stara znajoma.

–Wiem. Ja... – Odchrząknął, bo gardło miał tak wysuszone jak Wielki Voorg. – Znam jej wnuczkę. – Te czcze, obojętne słowa wydały mu się tak głupie i wstrętne, że aż

gorsze od fałszu. Postukał w etui. – To od twojej starej przyjaciółki.

Matka, zdumiona, wzięła etui i otworzyła je powoli, niemal w nabożnym skupieniu.

–Ach – westchnęła i rozplakała się. Usiadła w fotelu obitym ozdobną kundalańską tkaniną, położyła na kolanach otwarte pudełko; patrzyła przez rozsunięte drzwi na drzewka w atrium i machinalnie gładziła naszyjnik. – Lubiła to clemettowe drzewko. W lononie, kiedy roi się od nagonogów, stawała na palcach i zrywała najdojrzalsze owoce. Potem szła do kuchni i przyrządzała przepyszny deser. Jadłyśmy go przez wiele dni, siedząc przy stole i zaśmiewając się. Świetnie się bawiłyśmy, jedząc i rozmawiając! A teraz to wszystko... jest jak przesypujące się pomiędzy palcami ziarnka piasku. – Otarła oczy. – Choćbym się nie wiem jak starała, to i tak żadnego z nich nie zatrzymam.

–Ani jednego miłego wspomnienia o twojej prawdziwej rodzinie – rzekł, czując posmak gorzkiego, dobrze znanego gniewu.

Już był przy drzwiach i kładł dłoń na ozdobnej kundalańskiej klamce, kiedy matka się odwróciła.

–Musisz iść? Tak szybko? Niczym cię nie poczęstowałam.

–To i lepiej – odparł zduszonym głosem.

Wstała, patrząc na niego.

–Mam o tobie wiele miłych wspomnień, Sornnnie.

To jedno zdanie, tak oczywiście kłamliwe, wyzwoliło wściekłość, nad którą obiecywał sobie panować.

–To się wydaje dość dziwne – powiedział przez zaciśnięte zęby – jeżeli się weźmie pod uwagę, jaka stałaś się wobec mnie niemila.

Długo mu się przyglądała.

–Tak.

–I tylko tyle masz do powiedzenia? – Ku swemu przerażeniu stwierdził, że drży.

–Nic na to nie można było poradzić.

Gniew Sornnna wybuchnął z całą siłą.

–Co, na N’Luuurę, chcesz przez to powiedzieć?!

Odwróciła się.

–Co złego zrobiłem?

–Och, Sornnnie. – W jej głosie brzmiał ból i udręka. Kiedy na niego spojrzała, oczy miała pełne łez. – Skoro nie chcesz w żadne moje słowa uwierzyć, błagam cię, byś uwierzył chociaż w jedno: to nie miało nic wspólnego z tobą.

–Więc o co chodziło?

Potrząsnęła głową.

–Zostaw te sprawy w spokoju. Wierz mi, lepiej, żebyś...

–Oczywiście. Kłamstwa i milczenie. Czegóż więcej mógłbym się po tobie spodziewać?

Oczy jej zmatowiały i przez chwilę sądził, że go nie usłyszała lub że nie odpowie. Znów się poczuł jak dziecko, zdezorientowane, dręczone gniewem, tęsknotą. Przypomniał sobie, jak rzucił przez pokój pharezejańską kulą, odwrócił się wtedy plecami do zabawki i do matki. Otworzył drzwi i wyszedł.

–No dobrze – powiedziała w końcu jasnym głosem.

Zatrzymał się i spojrzał na nią, bo przecież – choć był zły – ona była jego matką i jakaś jego część zawsze ją kochała i potrzebowała jej.

–Wejdź do środka, Sornnnie – powiedziała cicho.

Zobaczył ją z profilu. Miała zmęczoną twarz, lecz wciąż była piękna.

–Proszę.

Wrócił, zamknął drzwi. Serca mu się ścisnęły ze wzruszenia, ogarnęła go nagła panika i omal jej nie poprosił, żeby zachowała dla siebie swoje sekrety. Ale zmilczał.

–Polecono mi, a właściwie rozkazano, żebym udawała obojętność.

–Nie wierzę ci – rzucił.

–Nie mogę sprawić, żebyś mi uwierzył, Sornnnie, ale jeżeli nadal będziesz myślał, że cię okłamuję, do niczego nie dojdziemy.

Zaczerpnął głęboko powietrza i powiedział lodowato:

–A więc ktoś ci rozkazał, żebyś była wobec mnie zimna i obojętna. Kto?

Westchnęła.

–Twój ojciec.

–Kłamiesz! – Poczuł, jak przebiega go dreszcz. Ruszył do drzwi i otworzył je.

–Był zazdrosny. – Matka szła za nim, nie przestając mówić. – Nie chciał się tobą dzielić ani ze mną, ani z nikim innym. Najpierw się nie zgodziłam. Groził mi. Nie zwracałam na to uwagi. Powiedziałam mu, że obrzydliwie byłoby tak z tobą postąpić. Że nie mogłabym tego zrobić. Wtedy mnie uderzył i bił, aż...

Odwróciła się i znów zapatrzyła w atrium.

–Kiedy to clemettowe drzewko nie ma liści, nie podoba mi się jego kształt, ani trochę. Stanowczo wymaga przycięcia.

–Czy to... czy to prawda...

–Nie chciałam, żebyś się kiedykolwiek o tym dowiedział. Modliłam się do Enlila.

–Teraz muszę wszystko usłyszeć.

Mówiła ledwo słyszalnym, zduszonym szeptem:

–Pobiłby mnie na śmierć. Musiał mieć nade mną kontrolę, stawiał stopę na mojej szyi i coraz mocniej naciskał. – Płakała cicho, strumienie łez spływały jej po policzkach. – Sądzę, że chciał się przekonać, co mnie złamie. Co mnie pozbawi siły, uporcu, marzeń o niezależności. – Zacisnęła w dłoni naszyjnik. – I dowiedział się co takiego. – Zwróciła ku niemu piękną, udręczoną, zapłakaną twarz. – Ty.

Sornnnowi szumiało w głowie, twarz mu pałała. Pomyślał o rodzicach, o ich dziwacznych stosunkach, o uczuciach – intymnych, inspirujących, przytłaczających – jakie się ujawniają, kiedy kobietę i mężczyznę łączy tego rodzaju związek. Według niego ojciec był wspaniałym i wielkodusznym człowiekiem, pragnącym – co stanowiło cenną i niezwykłą cechę – zrozumieć inne kultury i korzystać z ich dorobku. Sornnn tak postrzegał siebie i po prostu uznał, że dotyczy to i ojca. Lecz kto wie, co skłania V’ornnów do takiego, a nie innego postępowania? Czyżby źle zrozumiał lub w ogóle nie pojął tego, co kierowało ojcem? Kiedy już był w stanie się ruszyć, podszedł do matki i ukląkł przy niej. Wszystkie te lata, które upłynęły w nienawiści do niej. Cały ten zmarnowany czas – jak to ona powiedziała? – przesypujący się bezpowrotnie pomiędzy palcami niczym ziarenka piasku.

Patrzył, jak podchodzi do rzeźbionego kufra z drewna sercowca i otwiera go. Kiedy wróciła do niego, trzymała w dłoniach jakiś przedmiot. Wiedział co to takiego, jeszcze zanim mu go podała. – Pieczołowicie go przechowywała; jej wspomnienia o synu

Isniły nietknięte w pharezejańskiej kuli.

–Jeżeli kiedykolwiek zwątpiłeś, że cię Kocham...

–Mamo...

–Od dawna tak do mnie nie mówiłeś. – Przyglądała się jego twarzy, kiedy trzymał swoją zabawkę. Uśmiechała się ze smutkiem i zarazem radością i wiedziała, jak to matka, że jego serca znów biją jak w dzieciństwie.

Noc zakradła się do atrium i zabarwiła na indygowo wszystkie drzewka. Sornnn siedział w jasno oświetlonej, wysoko sklepionej kuchni, a matka przygotowywała mu pyszności z ostatnich clemettów, jakie zamroziła pod koniec lononu. Jedli, rozmawiając najpierw o Tettsie, a potem o bardziej osobistych sprawach, o wspomnieniach i nieporozumieniach, o których Sornnn jeszcze przed tygodniem myślał, że nigdy nie będzie ich roztrząsał. Skończyli pyszny deser i doskonale się bawili.

Sornnn miał wrażenie, że dłoń Tettsie dotyka jego ramienia, a Petrre Aurrr muskała spoczywającą w zagłębieniu jej szyi nieobiańską gwiazdoperłę.

Delikatna poświata księżyców spływała na taras i nadawała dywanom barwę to ciemnego błękitu, to śmietankowej bieli. Zawodzenia wiernych wznosiły się i opadały wraz z podmuchami wiatru. Nith Settt skrzyżował ramiona na okrytej pancerzem piersi.

–Jeżeli nie odpowiesz na moje pytania, zgmiotę cię jak tewrata.

Riane spojrzała na niego, starając się zapanować nad wrodzonym Annonowym strachem przed Gyrgonami.

–Nie możesz się dostać do mojego umysłu jak do umysłów tych z twojej rasy.

–A przynajmniej nie tak łatwo. – Nith Settt uśmiechnął się złowrogo. – Będzie cię bardziej bolało.

–Nie znasz innych metod poza przymusem?

–Strach to moje drugie imię – oznajmił Nith Settt. – Zawsze tak było. – Wykonał nieznaczny gest i opończa Nith Sahara się złożyła. – Może powinniśmy zacząć od łatwiejszych pytań – podjął po chwili. – Dlaczego przybyłaś z tak daleka, żeby się zobaczyć z Perrnodt?

–Powiedziałałam Makktuubowi prawdę. Chcę się u niej uczyć.

–I zostać imari.

–Tak.

–Nie wierzę ci. Po pierwsze, brakuje ci uległości imari.

–Perrnodt mnie naucz.

–Po drugie, skąd wiedziałaś, że w Korrushu jest dzuoko i jak do niej trafić?

Znaleźli się na grząskim gruncie.

–Usłyszałam o niej od jej dawnej imari.

–Kłamiesz!

Gyrgon podszedł bliżej i Riane poczuła jego zapach, poprzez korzenny aromat wiatru w Agachire wyczuła osobliwą mieszaninę olejku goździkowego i palonego piżma.

–I mam na to dowód. – Nith Settt zaczął krążyć wokół niej. Poświata księżyców migotała i lśniła na jego wypolerowanej zbroi. Było to jak lśnienie i migotanie czegoś żywego, ledwie dostrzegalny oddech, niesłyszalny głos. – Oto i on. – Potrząsnął paczuszką, w którą zmieniła się opończa. – Pojawiłaś się w Korrushu owinięta w gyrgonią sieć neuralną, ty, Kundalanka. – Wymachiwał pakiecikiem przed nosem Riane. – Gdzie to ukradłaś, partyzantko?

–Nie jestem partyzantką – powiedziała Riane.

Nith Settt znieruchomiał.

–Wiesz, co się dzieje, kiedy ktoś okłamuje Gyrgona? – Wyciągnął obleczoną w rękawicę dłoń. – Wydobędę z ciebie prawdę. – Pomiedzy czubkami palców przeskakiwały zielonkawe łuki wzbudzonych jonów. – Choćbym miał to robić synapsa po synapsie, neuron po neuronie.

Niosące śmierć czubki palców były tuż przy twarzy Riane; dotknięcie Gyrgona zabija – ileż razy Annon to słyszał, kiedy był dzieckiem?

–Sama procedura nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Po prawdzie, jako naukowiec uważam to za dość pouczające. Za to ty, partyzantko, już nigdy nie będziesz taka sama jak przedtem. Twój mózg zostanie stopiony i usmażony. Zmienisz się w zaślinione, powłóczące nogami, pozbawione własnej woli zero. Ale będziesz wszystko pamiętać. Jak ci się podoba taka przyszłość?

Gdzieś w dole dzieci biegały ulicami, pokrzykując w pozorowanych potyczkach.

Modlitewne śpiewy to wznosiły się, to cichły, zależnie od kaprysów wiatru. Sierpy dwóch księżyców, wyostrzone przez przejrzyste powietrze, błyszcząły w mroku.

–Co Gyrgon robi w Korrushu? – zapytała wreszcie Riane. – Wydawało mi się, że V’ornnowie nie są zainteresowani morzami ani stepami i pustyniami.

–Kundalanie nie zadają pytań V’ornnom!

–Czemu mi na to nie pozwolisz? Sam twierdziłeś, że za chwilę nie będę w stanie nic nikomu powiedzieć.

Nith Settt chrząknął.

–Podbijamy wszystkie rasy. Każdą we właściwym czasie i w odpowiedni sposób. Jesteśmy tu w niewielkiej liczbie, by służyć jako doradcy pięciu plemionom w ich wyniszczającej bratobójczej wojnie.

–Wedle Makktuuba ta wojna nigdy się nie skończy.

–Ależ skończy się, skończy – rzekł Nith Settt – kiedy z wszystkich pięciu plemion nie pozostanie nikt żywy.

Riane wstrząsnął lodowaty dreszcz.

–A więc doradzacie kapudaanom, bezustannie siejąc ziarno niezgody.

–To fanatycy religijni. Dajemy im tylko to, czego najbardziej pragną. Mieszkańcy Korrushu są krwiożerczy.

–Gwarantuję, że nie tak jak wy.

–Już czuję smak twojej krwi, partyzantko – Nith Settt uśmiechnął się złowieszczo. – Prowadzimy badania nad potęgą wierzeń religijnych. Wśród tych stepowych plemion wierzenia są naprawdę silne. Ich religia czyni z nich głupców i ślepców. Sądzą, że zostawimy ich w spokoju, bo zbierają cenne dla nas korzenne przyprawy. Uważają, bo religia skłania ich do okłamywania się, że nie zmusilibyśmy ich do zbierania dla nas tych korzeni. Więc radośnie z nami handlują i przyjmują nasze rady, kiedy ich udzielamy, nie uświadamiając sobie, że są tewratami w naszej klatce.

–Pewnego dnia zbudzą się z tego snu i powstaną przeciwko wam.

–Tak jak Kundalanie? Jak czciciele martwego boga Enlila? Jesteśmy Gyrgonami! Jesteśmy wszechmocni! – Nith Settt uniósł i szeroko rozłożył ramiona. – Rozejrzyj się wokół. To żalodne, prymitywne istoty.

–Tylko według waszych wypaczonych norm.

Gyrgon spojrział na nią gniewnie.

–Dość tej paplaniny. Teraz powiesz mi to, co chcę wiedzieć.

–Nie uwierzysz mi.

–Jeżeli skłamiesz, zostaniesz ukarana. Mów.

Riane zrobiła głęboki wdech.

–Nie ukradłam opończy. Znalazłam ją.

–Miałaś rację. Nie wierzę ci.

–Gyrgon nie żył. Był owinięty opończą.

–Nieprawda. – Nith Settt przekrzywił głowę. – Wiesz, że każda sieć neuralna ma sygnaturę swojego właściciela?

Riane milczała, lecz jej umysł gorączkowo pracował. Opończa zabrała ją i Eleanę z Muzeum Nieprawdziwych Wspomnień oraz przeniosła ją do Korrushu. To mogło oznaczać tylko jedno. Że Nith Sahor żyje, chociaż nie potrafiła sobie wyobrazić, jak to możliwe. To zaś, oczywiście, musiało pozostać tajemnicą. Pomyślała ironicznie, że Nith Sahor znalazł się teraz w takiej samej sytuacji jak Annon: żył i desperacko starał się to zataić przed licznymi wrogami, do których należał Nith Settt.

–To należało do Gyrgona zwanego Nith Sahor – poinformował ją Nith Settt.

–Zauważyłam, że użyłeś czasu przeszłego. Więc wiesz, że on nie żyje. Przynajmniej w to uwierzyłeś.

–Tak.

–Umarł w kępie sysalowców, na północ od Axis Tyr. Kiedy go znalazłam, otaczała go gromada śnieżnych rysi. Pewnie rozplatały opończę, żeby mieć łatwiejszy dostęp do niego.

–Smutna i samotna śmierć.

–Przepędziłam je. Zakopałam go i zabrałam opończę. Uznałam, że to należna zapłata za mój trud.

–Ta opończa jest teraz bezużyteczna. Każda sieć neuralna jest genetycznie powiązana z właścicielem. Kiedy Nith Sahor zmarł, przestała działać. – Nith Settt potrząsnął głową. – Ale jest coś... Ty, Kundalanka, pogrzebałaś Gyrgona? Czemu go nie zostawiłaś śnieżnym rysiom?

–I w ten sposób dotarliśmy do różnic pomiędzy Kundalanami i V'ornnami.

Nith Settt znowu chrząknął.

–My jesteśmy silni. Wy jesteście słabi.

–Jeżeli szacunek dla życia, każdego życia, oznacza słabość...

–Oznacza.

–Cóż więc jeszcze zostało do powiedzenia?

–Wiele. – Gyrgon wyciągnął połyskującą rękawicę ku twarzy Riane. – Jeszcze nie odpowiedziałas na wszystkie moje pytania. Chcę wiedzieć, po co szukasz dzuoko Perrnodt.

Riane czuła elektromagnetyczne impulsy jonicznych łuków, które niczym skalpel cięły jej skórę. Syczały i brzęczały, aż ją od tego rozboleły zęby.

Rękawica na chwilę się cofnęła.

–Ostatnia okazja, partyzantko – oznajmił Nith Settt. – Twój świat wkrótce skurczy się do rozmiarów twojego ciała i możesz mi wierzyć, że będzie zawierał wyłącznie nieskończony ból.

Riane popatrzyła na groźną rękawicę, na budzący grozę hełm Gyrgona.

–Czy zupełnie straciłeś umiejętność zawierania kompromisu?

–My, V'ornnowie, mamy takie powiedzenie: „Nie dopuszczaj do kompromisu, a zwycięstwo będzie twoje”.

–Nie tutaj i nie tego wieczoru – powiedziała Riane. Uniosła prawą rękę do karku, jakby chciała się podrapać.

–Co robisz? – Z czubków palców Nith Settta strzelił oślepiający joniczny płomień.

Riane skierowała na Gyrgona cylinder, który dostała od Minnuma, i nacisnęła złocisty krążek. Zupełnie się nie spodziewała takiego efektu i omal nie wypuściła cylindra. Z jego wierzchołka wystrzeliła goronowa wiązka, wąski opalizujący strumień. To był silnie skupiony promień, samozapętający się, otwierający wrota do wszędzie i nigdzie.

Kiedy kosmiczny brzeszczot przechwycił joniczny ogień Gyrgona, nie było ani błysku, ani huk, ani niczego, co wedle praw fizyki powinno się wydarzyć, kiedy się stykają dwa odmienne rodzaje energii. Wyglądało to tak, jakby coś powstrzymało

szalejący płomień. Wiązka goronowa wchłonęła wzbudzone jony.

Nith Settt, wstrząśnięty, cofnął się.

Riane wykorzystwała chwilową przewagę, odskoczyła od Gyrgona i rzuciła się ku barierce tarasu. Wiedziała, że drugiej szansy nie będzie. Usłyszała za sobą syk jonicznych płomieni i ostro skręciła w prawo, zanim zdążyły jej dosięgnąć. Poczula jedynie osobliwy chłód, kiedy przemykały obok. Trafiły w barierkę, wybijając w niej metrowy otwór.

Nie było czasu do namysłu. Riane skoczyła. Odbiła się prawą stopą od barierki i znalazła się w powietrzu. W górnym punkcie łuku zwinęła się w kulę, żeby lepiej wykorzystać impet. Potem łupnęła o powierzchnię sąsiedniego tarasu, przetoczyła się i podniosła, głęboko wciągając powietrze. I zaczęła uciekać.

Wokół niej płonęły i migotały pochodnie i oliwne lampki Agachire, rozświetlając chłodną rzešką noc słabym pomarańczowym blaskiem. Z lotu ptaka miasto musiało wyglądać jak palce wielkiej dłoni rozpostartej na bezkresnym stepie.

Riane obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że Nith Settt szeroko rozłożył ręce. Otoczony zimnym błękitnym jonicznym płomieniem lewitował, aż uniósł się w powietrze na prawie dwa metry. Joniczny płomień przybrał nagle ciemniejszą barwę i Gyrgon poleciał naprzód niczym pocisk, w czasie czterech uderzeń serc przebył odległość dzielącą tarasy. Nie osiadł jednak, lecz leciał szybciej, niż Riane biegła. Przyspieszyła, dopadła przeciwległego skraju tarasu i przeskoczyła przez barierkę niemal w tej samej chwili, gdy Nith Settt wypuścił w jej kierunku kolejny strumień jonów, który przeleciał tuż nad jej głową. To ją trochę rozproszyło, bo uderzyła w obmurowanie następnego tarasu. Zawisła na gzymsie lewą ręką, wzięła w zęby kosmiczny brzeszczot i dopiero wtedy chwyciła się i prawą ręką. Zaczęła się podciągać, lecz w tej samej chwili strumień jonów uderzył w obmurowanie tarasu. Rozprysnęły się wypalane cegły, oślepiając ją, i poczuła, jak gzyms rozpada się jej pod palcami. Wraz z odłamkami poleciała w dół i spadła na grzbiet kuomeshala, idącego mniej więcej w środku karawany. Upadek pozbawiło ją oddechu, lecz miała na tyle przytomności umysłu, żeby wyłączyć kosmiczny brzeszczot.

Idące w karawanie kuomeshale, spłoszone hukami i deszczem odłamków cegieł, wierzgnęły i ruszyły chwiejnym galopem, niezgrabnym, ale dość szybkim. Ludzie na ulicy rozpiechli się we wszystkie strony, przewracając wózki i małe paleniska, chlebowe placki toczyły się jak koła, wrzaski i ochryple krzyki zastąpiły modlitewne śpiewy.

Riane wczepiła się w baryłki umocowane pomiędzy garbami zwierzęcia. Poprzez mgiełkę wiszącą w nocnym powietrzu dostrzegła przelotnie Nith Settta, wychylonego poza barierkę i rozglądającego się, wypatrywał jej, miażdżąc w pięściach cegły.

Riane – dławiąc się kurzem, szcękając zębami i wdychając ostrą woń kuomeshali – modliła się do Miiny, żeby Nith Settt nie mógł jej odszukać za pomocą swojej technomancji. Słyszała nieco ochryple śpiewne pokrzykiwania przewodników karawany, biegnących obok zwierząt, starających się je uspokoić i utrzymać w jako takim porządku. Karawana zwalniała, galop przechodził w kłus. Riane ze swojej grzędy widziała spocone twarze przewodników, uspokajających kuomeshale śpiewnymi głosami i nadających im kierunek batami.

Znaleźli się winnej dzielnicy Agachire. Namioty były tutaj mniejsze, mniej wymyślne, chociaż równie barwne. Oświetlone pochodniami ulice wiły się, omijając rozrzucone bezładnie po obu ich stronach gęste skupiska namiotów. Szczęk broni, miarowe uderzenia tarcz niosły się i zdawały się przenikliwie niczym ostry zimowy wiatr. Towarzyszyły im śpiewane ochryplymi głosami sprośne piosenki, typowe dla wojaków i złodziei.

Riane nagle wyczuła czyjąś obecność. Biegł przy niej jeden z poganiaczy kuomeshali. Jak wszyscy poganiacze, dla ochrony przed kurzem był otulony peleryną z kapturem. Wyciągnęła kosmiczny brzeszczot, ale go nie włączyła.

–Nie obawiaj się – szepnął ochryple poganiacz. – Chodź ze mną. Zabiorę cię w bezpieczne miejsce. – Nie zmienił kroku ani nie odwrócił głowy.

Dziewczyna milczała, czepiając się baryłek.

–Musisz teraz uciekać – ponaglił. – Strażnicy kapudaana rozbiegli się po mieście i szukają cię. – Odwrócił się ku niej. – Niektórzy są tuż przed nami.

W blasku pochodni dostrzegła jego twarz.

–Paddii!

Ojciec dziewczynki, którą uratowała.

–Tak, tak. – Otoczył ją krzepkim ramieniem. – Szybko! Teraz!

Riane puściła baryłki, a Paddii ją podtrzymał. Stała na ziemi, a on ruszył biegiem, trzymając ją za rękę i ciągnąc za sobą. Po chwili karawanę zatrzymano i usłyszeli ostre pytania strażników kapudaana i odpowiedzi poganiaczy.

Riane biegła i poruszała zeszywniałymi palcami. Nogi już miały gimnastykę. Paddii prowadził ją łukowatymi ulicami i krętymi uliczkami, kierując się – jak się jej zdawało – ku północy.

–Skąd wiedziałeś? – spytała, kiedy już wystarczająco się oddalili od strażników.

–Kuzyn mi powiedział. Baliiq. – Zerknął na nią. – Nic ci nie jest? Nie maltretowali cię?

–Z wyjątkiem Gyrgona...

–Kogo???

–Nieważne. – Potrząsnęła głową.

Czy Nith Settt był tu potajemnie? Jeżeli tak, to za kogo Gazi Qhan wzięli lewitującą nad tarasem i strzelającą zimnym płomieniem postać? Nie miała czasu na zastanawianie się nad tym, bo Paddii zniknął w namiocie. Riane poszła w jego ślady i znalazła się w niewielkim pomieszczeniu, które kiedyś mogło być wykorzystywane jako skład, lecz teraz wyglądało na opuszczone. Słaby wiatr wybrzuszał ściany namiotu, a odbłask dalekich pochodni upiornie przeświecał przez pasiastą tkaninę.

–Masz. – Paddii rzucił jej tobolek ubrań. – Lepiej się przebierz, żebyś nie wyglądała jak córa haanjhala.

I wyszedł z namiotu. Widziała, jak stoi tyłem do wejścia i pilnuje.

Pospiesznie zdjęła przejrzysty, wybrudzony strój i włożyła stare, znoszone spodnie, spraną koszulę – czyste i pachnące dziwnymi ziołami – pas z garbowanej skóry, szeroki i solidny. Była tam również para butów, zniszczonych i nieokreślonej barwy; Riane natychmiast wsunęła w nie stopy. Trzymała w dłoni piękne pałacowe pantofle, które dostała od Makktuuba.

–Zostaw je. – Paddi przyjrzał się jej. – Ten kolczyk w nosie może być kłopotliwy, ale teraz nic na to nie można poradzić.

Kiedy zabierał ją z namiotu, spytała:

–Dokąd idziemy?

–Tam, gdzie Othnam i Mehmmer na ciebie czekają.

–To wszystko było starannie zaplanowane, prawda?

–Od chwili, kiedy wyszli z pałacu kapudaana. Czekaliśmy jedynie na sygnał od Baliika. Gdyby Makktuub nie przywołał cię na taras, mój kuzyn znalazłby jakiś pretekst, żeby cię tam zaprowadzić. – Paddii uśmiechnął się szeroko i oddał jej sztylet, który w drodze do Agachire oddał Othnamowi, po czym ucałował ją w oba policzki. – A co, myślisz, że Othnam mógłby nie dotrzymać słowa? Obiecał, że cię zaprowadzi do dzuoko Perrnodt, i przysięgam na proroka Jiharrego, że to robi.

14. Wskrzeszenie

Kamahańska czarodziejka Bartta, bliźniaczka Giyan, ni umarła, ni żywa, wisiała w hipostazowej sieci zaklęcia, które rzuciła, zanim pożoga ogarnęła had-atta i niewielką podziemną izdebkę w Opactwie Opływającej Jasności, w której dawno temu ukryła magiczny flet. To, że dała się tak zaskoczyć pożarowi, tkwiło w jej pamięci niczym kamyk w bucie. Bezustannie cierpiała z powodu tej porażki.

Prawdę mówiąc, Bartta w ogóle nie mogła myśleć, przynajmniej w zwyczajnym znaczeniu tego słowa. Wisiała w hipostazowej sieci, nie do końca uplecionej, pozbawiona poczucia czasu i przestrzeni.

Istniała o tyle, o ile potrafiła myśleć.

Aż Giyan wróciła do Opływającej Jasności i znalazła ją, co się nie udało innym ramahańskim kapłankom. Ale też Giyan miała nad nimi przewagę.

Konara Lyystra i konara Inggres potrafiły wyczuć jedynie słabe niepokojące sygnały, Giyan miała moc, która pozwoliła jej wykryć Barttę w magicznej hipostazie. Właściwie zrobił to Horolagggia. Giyan – przy całej swojej dobroci i szlachetności – pewnie by się dwa razy zastanowiła, czy Barttę uwolnić, bo ta strawiła większą część kończącego się właśnie roku na fizycznym i psychicznym torturowaniu Riane. Gdy tylko Bartta odkryła tożsamość Daru Sala-at, usiłowała zrobić Riane pranie mózgu, by wykorzystać ją do wzmocnienia i zwiększenia własnej władzy i mocy. Gdyby Giyan o tym wiedziała, nie tolerowałaby tego i – choć Bartta była jej siostrą – nigdy by jej tego nie wybaczyła.

Lecz Horolagggia miał swoje plany co do bliźniaczek. I dlatego Giyan zaraz po powrocie do opactwa po niemal osiemnastoletniej nieobecności miała użyć swej mocy do rozplatania hipostazowej sieci. Należało to zrobić bardzo ostrożnie, bo chociaż Bartta tkwiła w środku jak w pułapce, to właśnie ta sieć ocaliła ją od śmierci – otuliła i ocaliła przed szalejącym w izdebce pożarem, który strawił had-atta, narzędzie tortur Riane.

W tym celu Giyan postanowiła wykorzystać oportunistyczną i dość głupią konara Urdmę. Nie musiała wprowadzać do jej organizmu Cernspory, jak to zrobiła w przypadku konara Lyystry.

–Twierdzisz, że konara Bartta wciąż żyje? – spytała niepewnie konara Urdma.

Ramahanki stały w osmalonej izdebce. Konara Urdma oczywiście rozpoznała Giyan, chociaż tak wiele lat upłynęło od chwili, kiedy Giyan i inne Ramahanki mające Dar Osoru przepędzono z opactwa. Giyan mało obchodziło, że konara Urdma patrzy na nią z niepokojem. Za to o leciutki dreszcz rozkoszy przyprawiało ją to, że Urdma jej pomaga, chociaż, sztywna jakby połknęła kij, trzyma się trochę z boku i wyraźnie widać, że sama myśl o powrocie Bartty sprawia, że czuje się zagrożona w swej

dopiero co zdobytej władzy. Bardzo mroczna istota w Giyan żywiła się strachem, więc zamierzała – tak szybko jak to możliwe – rozpocząć w opactwie zajęcia z pięknej sztuki wzbudzania w innych strachu. Będzie tego uczyć, rzecz jasna. Pomyśleć tylko, demon nauczający Ramahanki! Cóż za ironia losu!

Giyan rozłożyła ramiona i powietrze w niewielkiej izdebce stało się lodowate. Hipostazowa sieć zaczęła się powoli wyłaniać, jakby wywabiana z wilgotnych cieni w zasięg migotliwego światła oliwnej lampki.

Najpierw była zaledwie mroczkiem na granicy pola widzenia konara Urdmy. Zobaczyła to – lub sądziła, że widzi – lecz kiedy skupiła się, żeby się dokładnie przyjrzeć, nic nie dostrzegła.

–Nie jestem zaznajomiona z tym, co robisz. Czy to zaklęcie Osoru? – spytała Giyan.
– Uważam, że Osoru to niebezpieczna forma magii.

–To nie jest Osoru – zapewniła ją Giyan. – Nie wprowadzę tego na powrót do opactwa.

Giyan nie kłamała, ponieważ Horolagggia, jak wszystkie demony, nie miał dostępu do Osoru. To między innymi z tego powodu tak wiele energii przeznaczył na Malasocca. Giyan nieustannie z nim walczyła, wykorzystując swój imponujący arsenał zaklęć Osoru. Horolagggia zaś pragnął poznać te czary. Często zgrzytał zębiskami z wściekłości, że nie potrafi pojąć czy choćby zapamiętać nawet jednego zaklęcia Osoru. Malasocca to wszystko odmieni.

Sploty hipostazowej sieci zaczęły miejscami migotać jak płomyk oliwnej lampki. Kawaleczki stawały się coraz większymi fragmentami, aż wreszcie ukazała się całość.

Konara Urdma zachłysnęła się oddechem.

–Czy to naprawdę konara Bartta?

Horolagggia, tkwiący wewnątrz Giyan, zaśmiał się bezgłośnie. Jakież wspaniałe rezultaty przynosiło ryzyko, które podjął! I to w tak krótkim czasie! O tak, słusznie postąpił, przejmując inicjatywę, działając z szybkością błyskawicy, kiedy inni się wahali, sparaliżowani zapowiedzią straszliwych następstw. Miina już dawno zniknęła z tej sfery, a smoki stały się bezsilne. Tak jak przewidział.

–Chodź ze mną – nakazał Horolagggia Urdmie głosem Giyan. – Teraz będzie mi potrzebna twoja pomoc.

Giyan, z konara Urdmą u boku, rzekła:

–Jak już mówiłam, hipostazowa sieć nie zdążyła się w pełni uformować, więc

rozplatanie jej to skomplikowany i delikatny proces. To dlatego musimy się tym obie zająć. Powinnaś być bardzo ostrożna i ściśle się stosować do moich poleceń. Jeżeli tak nie zrobisz, jeżeli dopuścisz się choć najmniejszego odstępstwa, to wyplątanie konara Bartty się nie powiedzie.

–Chcesz powiedzieć, że wtedy ona umrze?

Giyan zaśmiała się w duchu z głupoty konara Urdmy.

–Tak, z całą pewnością.

Uniosła lewą rękę i maleńka iskierka uniosła się z czubków palców, skierowała się ku miejscu zaczepienia zewnętrznej warstwy magicznego kokonu. Iskra uderzyła w punkt złączenia i – z osobliwym trzaskiem – uniósł się niewielki fragment sieci.

–O, świetnie, sieć została rozpięta – powiedziała Giyan. – Teraz przechodzimy do tego, co naprawdę trudne. – Na jej bezgłośny rozkaz w lodowatym powietrzu zmaterializował się duży owalny koszyk; od jego barwy konara Urdmę bolały oczy, kiedy zbyt długo mu się przyglądała. Giyan podała go jej. – Ja będę odwijać sieć, a ty trzymaj pod nią kosz i łap warstwy. Nie wolno ci dotknąć odwiniętych warstw sieci, nawet przez nieuwagę. To bardzo ważne!

–A co się stanie, jeżeli dotknę sieci? – zapytała konara Urdma, biorąc koszyk.

–Sieć natychmiast zostanie skażona i konara Bartta umrze w jej wnętrzu – wyjaśniła Giyan i dodała: – Stań tutaj. – Potem skinęła głową i znów uniosła rękę.

Rozległ się trzask, aż konara Urdma się skrzywiła.

–Nie ruszaj się – napomniała ją Giyan. – Ręce ci drżą, uspokój się. Oto schodzi pierwsza warstwa.

Kiedyś, dawno temu, rodzice zabrali Urdmę na wybrzeże w odwiedziny do dawno nie widzianego wujka i zobaczyła, jak rybacy wyciągają z Morza Krwi oplecioną wodorostami sieć pełną srebrnych, rzucających się ryb. A w samym środku tkwiło coś ciemnego i wijącego się, mającego wiele macek, które falowały i machały, jakby chciały coś pochwycić, owinać się wokół tego i zmiażdżyć. Warstwa, którą Giyan odwijała z kokonu, przypominała Urdmie tego stwora, którego obraz nawiedzał ją w snach, dopóki przebywała na wybrzeżu. Nigdy z taką radością nie wracała do Stone Border. Warstwa sieci sphywała w magiczny kosz, który Urdma trzymała w drżących dłoniach. I wcale nie leżała na czarnym dnie płytkiego kosza, lecz rytmicznie pulsowała jak żywa istota.

–Uwaga – mówiła Giyan. – Oto druga warstwa.

Konara Urdma widziała, jak Giyan z całych sił się koncentruje. Nie przesadzała, mówiąc o stopniu trudności swojego zadania. Konara Urdma zaczęła się zastanawiać, co powinna zrobić. Gardziła konara Bartta, chociaż się od niej uczyła; gardziła nią, bo Bartta wyśmiewała jej ambitne zamierzenia. Uważała, że Urdma jest słaba. Przekazała jej odrobinę władzy, a potem z ogromną przyjemnością od czasu do czasu tę władzę kwestionowała, ot tak, dla podkreślenia, jakie miejsca obydwie zajmują w hierarchii opactwa.

„Nawet nie muszę cię zastraszać”, powiedziała jej kiedyś pogardliwie Bartta. „Za mało masz wyobraźni i zdolności, żeby spiskować przeciwko mnie. Nie zasługujesz na poważne traktowanie”.

A oto do kosza ześliznęła się kolejna warstwa, obrzydliwie połyskując, i Urdma odrobinę inaczej się ustawiła.

A cóż się stało, kiedy wreszcie znalazła się na czele Dea Cretan i radowała każdą chwilą triumfu nad Bartta? Pojawia się niewiadomo skąd bliźniaczka Bartty, niegdyś wygnana, i natychmiast niektóre z młodszych konara mówią do niej „Matko”.

Do kosza spłynęła trzecia warstwa.

Konara Urdma od razu poczuła, że trzeba coś z tym zrobić, ale dopiero przed chwilą zdołała wymyślić co. Cóż za ironia, że to sama Giyan podsunęła jej pomysł i dostarczy środków. Skończy z Bartta, skazając hipostazowa sieć, a potem rzuci te warstwy z kosza na Giyan i jej też się pozbędzie. Powinna jednak zachować cierpliwość. Pośpiech mógłby wzbudzić podejrzenia Giyan. To musi wyglądać na wypadek, jakby się zachwiała pod ciężarem kosza, kiedy sieć będzie jeszcze przyczepiona do Bartty.

Urdma odczekała, aż prawie cała hipostazowa sieć pulsowała w koszu, i lekko się zachwiała. Prawe ramię osunęło się w dół wraz z koszem i wierzchnia warstwa sieci ześliznęła się na jej przedramię.

–Och – westchnęła, kiedy to się owinęło wokół jej nadgarstka. Miała wrażenie, że sieć wyskoczyła z kosza i oplatała ją tak szybko i dokładnie, że nie miała czasu zareagować czy choćby krzyknąć. Reszta sieci zsunęła się z Bartty i owinęła wokół Urdmy. Lecz ona nie była już tego świadoma; czuła jedynie ból trawionej warstwy po warstwie skóry.

Giyan trzymała troskliwie w ramionach bezwładne i zdeformowane ciało bliźniaczki. Barttę od stóp do głów pokrywał brązowawy śluz z kłaczkami białawej galaretowatej substancji. Spłynie, kiedy Bartta znów zacznie wdychać powietrze.

Konara Urdma, oplataną magicznym kokonem, coraz mocniej się skręcała i rzucała. To też miało się wkrótce skończyć.

Giyan uśmiechnęła się do kokonu i powiedziała cicho, niemal śpiewnie:

–Co czuje osoba zjadana żywcem? Konara Urdmo, proszę, bądź tak miła i opisz każde doznanie. – Zachichotała paskudnym rechotem Horolagggii. – Ostrzegałam cię, nieprawdaż? Mówiłam, żebyś nie dotykała sieci. Wiedziałam, że się nie powstrzymasz. Chęć uśmiercenia Bartty była wypisana na twojej twarzy. Więc skłamałam. Nie rozpaczaj jednak. Odegrałaś swoją rolę. Hipostazowa sieć jest bardzo niebezpieczna, zwłaszcza jeżeli, tak jak ta, nie jest w pełni ukształtowana. Jedynie dostarczając sieci coś w zamian, mogłam Barttę bezpiecznie z niej wydostać. Więc dałam jej ciebie. Sieć to żywa istota, o czym bez wątpienia sama możesz teraz zaświadczyć. Ogień ją poranił, bo Bartta nie miała czasu, żeby ją w pełni ukształtować, zanim rozszalał się pożar. Przez cały ten czas cierpiała, czuła ból, jakiego nawet nie potrafisz sobie wyobrazić. – Przekrzywiła głowę, patrząc na miotający się kokon. – A może właśnie świetnie zdajesz sobie z tego sprawę.

Brązowa maź wysychała, kłaczkki białej galarety robiły się coraz mniejsze i pękały jak bąbelki. Zaczynała się ukazywać skóra Bartty, czerwonawa, usiłująca się przystosować do braku substancji, które ją osłaniały, i pokryta bliznami – co było nieuniknione – w miejscach, gdzie zakłęcie nie było kompletne. Blizna znajdowała się po prawej stronie. Biegła od ściągniętego w dół kącika ust, przez żuchwę, bok szyi. Była szeroka, nierówna, brzydka; żadne zakłęcie nic na nią nie poradzi. Cóż, Bartta i tak jest już zdeformowana, pomyślała Giyan, jakie znaczenie ma dodatkowe oszpecenie?

Giyan wygodniej ułożyła siostrę. Horolagggia pomyślał, że powinien zwiększyć krzepę swojej nosicielki, gdy tylko Malasocca na to pozwoli. Giyan przycisnęła wargi do ust Bartty i wepchnęła język do środka – demoni zarodnik stoczył się z języka, przylgnął do podniebienia bliźniaczki i wniknął w nie.

Horolagggia usłyszał dobiegający z olbrzymiej dali triumfalny okrzyk Mygggorry i powiedział głosem Giyan: – Teraz nadszedł nasz czas, siostró, twój i mój.

*** * ***

Za każdym razem kiedy Kurgan widział Starego V'ornna, budziła się w nim nieufność. Świadomość, że Stary V'ornn tak naprawdę jest Nith Batoxksem, świadomość, że Nith Batoxxx jest albo szalony, albo... cóż, Kurgan nie miał pojęcia co. I to był cały problem, a przynajmniej jego część. Lecz kiedy Stary V'ornn chciał się z nim zobaczyć, Kurgan nie mógł odmówić, bo wzbudziłby podejrzenia. A jedyną rzeczą, której Kurgan zamierzał unikać, było niepokojenie Gyrgona.

Chłopak nie mógł teraz uwierzyć, że tak mu się niegdyś podobała niewielka willa artysty, należąca obecnie do Starego V'ornna; że szczególnie lubił to, iż główne pokoje wychodzą na bujny ogród, który sam pomagał Staremu V'ornnowi stworzyć.

Teraz to wszystko przyprawiało go o gęsią skórę. I chociaż wcale a wcale nie miał ochoty się do tego przyznawać, to w sprawie Nith Batoxxksa i tego okropieństwa, które dostrzegł w lustrze, potrzebował pomocy.

Tego wieczoru, pomimo chłodu, drzwi willi były otwarte na oścież. Suche czerwone i niebieskie liście leżały na ziemi, wzbijane od czasu do czasu powiewami wiatru. Wyraźnie było słychać bulgotanie sadzawki. Samotny czarnowron, siedzący na bezlistnej gałęzi, przyglądał się Kurganowi wychodzącemu z willi do ogrodu.

–Tutaj.– Głos Starego V'ornna, pomimo jego wieku mocny i dźwięczny, dobiegł spomiędzy listowia niczym krakanie czarnowrona.

Chłopak podszedł i stwierdził, że Stary V'ornn, klęcząc, kopie w wilgotnej ziemi przy sadzawce zardzewiałą kundalańską łopatą.

–Czy wiesz coś o Indole al'Hul? – Uniósł niewielki grzyb o kloszowatym kapeluszu, jego różowawy czubek był jasny, a blaszki pod spodem ciemne.

Kurgan wzruszył ramionami.

–Indole al'Hul w jednym z tubylczych narzeczy, zapomniałem w którym, znaczy „Macierz Grozy”. – Stary V'ornn obrócił w sękatych palcach smukły trzonek grzyba. – Fascynujący grzybek. – Miedziana skóra V'ornna, mocno naciągnięta na kościach, lśniła matowo w rombówkach światła rzucanego przez filigranowe lampiony z brązu, które zapalił jesiennym popołudniem. – Pomyśleć tylko, co z centralnym systemem nerwowym robi choćby mały kawałeczek!

Kurgan przysiadł obok Starego V'ornna, który – co chłopak odkrył już wiele lat temu – bardzo lubił wygłaszać swoje zagmatwane nauki.

–A co robi? – spytał, z pewnym wysiłkiem wracając do roli pilnego ucznia.

–To zależy. Jeżeli będzie pochodzić bezpośrednio z rośliny, to całkowicie i nieodwołalnie wyłączy system – odparł Stary V'ornn. – Zażycie wydestylowanego i oczyszczonego wyciągu spowoduje rozmaite działania psychotropowe.

–Innymi słowy, ofiara straci rozum – odezwał się Kurgan, ulegając nastrojowi lekcji.

–Można to i tak nazwać. – Stary V'ornn przełamał cienką nóżkę grzyba i obserwował powoli sączący się bladożółty płyn. – To może być nieźle. Ta substancja otwiera umysł na otaczające nas światy, jedne nad drugimi, niewidzialne i niesłyszalne, a przecież realne. – Szelmowski uśmieszek nadał mu wygląd wagarującego chłopaka. – Wygląda na to, że Kundala jest skarbnicą takich cudeniek. A Ramahanki znają je wszystkie. A przynajmniej znały. – Wstał, upuścił grzyb i otrzepał ziemię z kolan i dłoni. – Ramahanie znali niegdyś wiele sekretów.

Ruszyli drózkami ogrodu, aż dotarli do jego środka. Stary V'ornn dał znak, aby usiedli na ławce obok sadzawki z szemrzącą czarną wodą, tryskającą z trzewi planety. Kurgan mocniej otulił się płaszczem, chroniąc się przed zimnym wiatrem, lecz Stary V'ornn – o dziwo – zdawał się nie zauważać narastającego chłodu.

Kiedy usiedli, Stary Vomn wyciągnął skądś ciemną butelkę i dwa kryształowe kieliszki.

–Czekałem na odpowiednią chwilę – rzekł, napełniając kieliszki ognistym numaaadis. – Szczególną chwilę. – Podał kieliszek Kurganowi. – Żeby wypić za twoje szybkie wyniesienie na stanowisko regenta Kundali. – Stuknęli się kieliszkami, zadźwięczał kryształ. – Gratuluję ci, Kurganie Stogggulu!

Kurgan wypił i czekał na dalszy ciąg. Na tyle znał Starego V'ornna, by podejrzewać, że nie zaprosił go tu tylko po to, żeby mu pogratulować. Jeszcze nie poruszyli właściwej sprawy. Bo te spotkania zawsze miały jakiś cel, ukryty jak sadzawka w centrum ogrodu. Takie były obyczaje Starego V'ornna. Gdyby Kurgan był bardziej samokrytyczny, zorientowałby się, że i on nabrał podobnych zwyczajów.

–Jak oceniasz numaaadis? – zapytał Stary V'ornn.

–Pierwsza klasa – odparł Kurgan.

–Dobry rocznik, bez dwóch zdań. No dalej, osusz kieliszek. Tego wieczora jest więcej do wypicia. – Na twarzy V'ornna znów pojawił się szelmowski uśmiezek.

Kiedy Kurgan spełnił życzenie Starego V'ornna, kieliszek wysunął mu się z dłoni i upadł na kamienną drózkę.

Stary V'ornn łypnął na chłopaka.

–Nic ci nie jest, regencie?

Kurgan nie był w stanie odpowiedzieć. Chłód, który go przedtem przenikał, zniknął, zastąpiony falą silnego i niemiłego ciepła, oblewającą go od stóp do głów. Rozsadzało mu głowę. Barwy pulsowały w rytm podmuchów wiatru w nagich gałęziach drzew. Czarnowron śmiał się z niego. Jego krew miała smak napoju, który właśnie przyjął.

–Indole al'Hul jest szczególnym grzybem nawet dla Ramahan. – Głos Starego V'ornna niósł się po ogrodzie niczym grzmot. – Nigdy go zbyt dobrze nie znali i raczej z niego nie korzystali. I trudno się dziwić, zważywszy na jego nazwę. Ale możesz mi wierzyć, ma swoje zalety.

Stary V'ornn ściągnął Kurgana z ławy, lecz kolana chłopaka były zupełnie miękkie i

nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Prawie osunął się na ziemię.

–Destylowałem to i oczyszczałem bardzo starannie.

Kurgan nic nie czuł. Był zbyt zajęty pilnowaniem, żeby wszystkie barwy ogrodu nie spłynęły. Ale to wymagało większego wysiłku niż ten, na jaki mógł się zdobyć, więc z pomocą Indole al'Hul przeszedł ze stanu zaburzonej świadomości w głęboki i niezmacony trans, w którym głos Starego V'ornna rozlegał się jak szum oceanicznej fali, był niczym rodzaj zakłóceń w jego pulsującym umyśle, fotoniczną łącznością na granicy słyszalności.

Stojący za nim Stary V'ornn spostrzegł, że oczy Kurgana błysnęły białkami, i zmienił się w Nith Batoxxksa. Lecz każdy, kto go znał, powiedziałby, że nie był to właściwie Nith Batoxxx, bo okalała go mroczna i nieokreślona otoczka, zacierając to, co Ramahanie nazwałiby emanacją jego istoty. Gdyby byli tam jacyś świadkowie, ten półcień raziłby ich oczy, spowodował zaciśnięcie się gardeł, pozbawiłby ich oddechu. Przypominał strumień antymaterii, mrok migoczący jak zimny płomień, nieustannie zmieniający kształt.

–I tak dotarliśmy wreszcie do sedna naszej dzisiejszej lekcji. – Głos też był inny, różnił się nieco zarówno od głosu Nith Batoxxksa, jak i Starego V'ornna.

Położył dłoń o smukłych palcach na ciemieniu Kurgana i na chwilę się zachmurzył.

–Czy Indole al'Hul działa? Nie mogę być tego pewny nawet ja, który tobą zawładnąłem, Gyrgonie.

Nachylił się i popatrzył w sadzawkę, w której – jak w zniszczonym lustrze w pałacu regenta – pojawiło się odbicie, które Kurgan kiedyś podejrzwał.

–Sporo się można dowiedzieć o danej osobie z jej czepka noworodka. Lecz najwyraźniej to i tak za mało. Przykro mi przyznać, że się co do ciebie myliłem.

Zagwizdał dziwaczną melodyjkę i jaskrawooki czarnowron rozwinął skrzydła, przeleciał nad ogrodem i usiadł mu na ramieniu. Zaczął podskakiwać i sięgać żółtym dziobem ucha Kurgana.

–Nie, nie – napomniała go istota, która zawładnęła Nith Batoxxksem. – Nie wolno, nie wolno.

Czarnowron wydał przenikliwy krzyk i uspokoił się.

–Ach, Kurganie Stogggulu, uważałeś się za innego niż pozostali V'ornnowie! – Istota w Nith Batoxxksie umilkła i obserwowała okalający ją syczący półcień. Natychmiast go wymazała, wiedząc, że nie może dopuścić, by ktokolwiek ujrzał jej

prawdziwe ja, wypełzające poza ciało gyrgońskiego nosiciela. – Gdybyś wiedział, jakiś od nich odmienny! – westchnęła, gładząc lśniące pióra czarnowrona. – Lecz niemądrze byłoby dzielić się z tobą tą wiedzą, bo jesteś wybuchowy i nieprzewidywalny!

Nith Batoxxx sięgnął po lampion.

–Czas, żeby się przekonać, co ujawni o tobie Indole al’Hul.

Uniósł lampion i obejrzał kark Kurgana. Pomacał skórę pomiędzy dwoma wypukłościami u szczytu kręgosłupa chłopaka.

–Nic! – Gwałtownie uniósł głowę, oczy mu pałały. – Czy to możliwe, że znów się pomyliłem? A jednak...

Jego głos zlał się z szumem wiatru. Czarnowron, czując nadciągającą burzę, podfrunął i usiadł na najwyższej gałęzi drzewa, ciasno przyciskając skrzydła do boków. Istota w Nith Batoxxksie przez jakiś czas trwała całkowicie nieruchomo. Potem Gyrgon chwycił obramowanie sadzawki i wpatrzył się w nią, aż czarna woda zaczęła się pieniść. Wtedy zanurzył głowę i barki w zmaczonej, kłębiącej się czerni, otworzył usta – których żaden V’ornn by nie rozpoznał – i wydał ryk wściekłości, słyszany aż w magicznym portalu Otchłani.

Kiedy Jesst Vebbn znalazł się w rejonie korzennych przypraw, słońce już prawie zachodziło i na targu pełno było kupujących, którzy tu wpadli, wracając do domu, gdzie czekało ich przygotowywanie wieczornego posiłku. Toteż wąskie przejścia pomiędzy kramami były zatłoczone kundalańskimi służącymi bogatych bashkirskich rodzin.

Jesst źle się czuł poza dzielnicą portową, a prawdę powiedziawszy, poza grubymi murami otaczającymi tereny Błogosławiącego Ducha. Tak długo służył Gyrgonom, że pewnie – jak podejrzewał – przejął od nich awersję do zewnętrznego świata. Lecz na wyraźne żądanie Bronnna Palllna ich spotkania odbywały się w miejscach, gdzie mogły uchodzić za zdawkową wymianę zdań pomiędzy nieznanymi.

Jesst od lat leczył żonę Bashkira. Chociaż właściwie nic jej nie dolegało. Już podczas drugiej wizyty zdał sobie sprawę, że potrzebna jej troska i zainteresowanie, których skąpił jej Bronnn Pallln. Bronnn Pallln wiedział, że jest zdrowa jak cor, że marnuje cenny czas Jessta. Inni Geomatekcy najwyraźniej nie byli tak cierpliwi i wyrozumiali. Bashkir okazywał swoją wdzięczność, hojnie płacąc Jesstowi za każdą wizytę. Takich pieniędzy Jesst by inaczej nie zarobił. I dlatego nie odmówił, kiedy Bronnn Pallln się zjawił i poprosił go o przysługę.

Bronnn Pallln uwielbiał cynamon i Jesst znalazł Bashkira przy straganach z piętnastoma odmianami cynamonu, sprowadzanymi co tydzień z Korrushu. Bronnn

Palln mógł, rzecz jasna, wysłać służącego, lecz był takim smakoszem, że wolał sam próbować i kupować cynamon.

–Spróbuj tego gowitu – rzekł, kiedy Jesst do niego podszedł. Wyciągnął dłoń, na której leżała szczypta drobniutkich ciemnoróżowych okruchów. – No dalej – nalegał. – Jest pierwsza klasa.

Jesst, tak jak go nauczył Bronnn Palln, wziął odrobinę cynamonu i położył na języku. Nawet ta odrobinka miała tak mocny smak, że łzy napłynęły mu do oczu.

–I co, mam rację? – spytał Bronnn Palln.

Jesst musiał przyznać, że tak.

Bashkir skinął na sprzedawcę cynamonu, uniósł trzy palce i sprzedawca zaczął napełniać torbę.

–A jak nasz połów? – zainteresował się Bronnn Palln.

Jesst podał mu data-dekagon.

–Jest tu zapis mojej rozmowy z Deirusem SaTrrynów, Kirlllem Qanddą. Znajdziesz tam to, co ci potrzebne.

Bronnn Palln, ze źle skrywanym zadowoleniem, schował dekagon do kieszeni.

–Wspaniale.

–Jest pewien szkopuł.

Bronnn Palln wzniosł oczy ku niebu i teatralnie westchnął.

–Zawsze jest jakiś szkopuł.

–Będziesz miał do czynienia z siostrą regenta.

–Oratttony?

–Tą drugą. Pariaską.

–Marethyn. O N'Luuuro, czemu?

–Wszystko jest na data-dekagonie.

–Bądź uprzejmy oświecić mnie już teraz – rzekł Bronnn Palln tonem nie znoszącym sprzeciwu.

–Wedle Deirusa Marethyn Stogggul wie, gdzie się mieści tajna kwatera bashkirskiego zdrajcy.

–Ach tak – Bronnn Palln rozmyślał przez chwilę. – O, jakież mam szczęście, że to ta pariaską – zaśmiał się. – Biorąc pod uwagę uczucia, jakimi darzy ją Kurgan, wątpię, czy przejmie się tym, jak ją potraktuję. – Skinął głową. – Dobrze się spisałeś.

Zamierzał odejść, więc Jesst powiedział:

–Chciałbym swoją zapłatę.

Bronnn Palln liczył swoje paczki.

–Cierpliwość jest cnotą.

–To cnota biedaków. Już obiecałem zaliczkę na nowy dom.

Bronnn Palln wzruszył ramionami.

–Jak się okazuje, nie było to rozsądne. – Wziął od sprzedawcy torbę cynamonugowitu.

Jesst poczerwieniał z gniewu.

–A nasza umowa?

–Nagonóg jeszcze nie został złapany.

–Nie masz zamiaru mi zapłacić, prawda?

Bronnn Palln pomyślał o traktującym go pogardliwie Wennnie Stogggulu; o tym, jak to jest mieć władzę nad innymi, i stwierdził, że to mu się podoba.

–Nie wiń mnie za roztrwonienie czegoś, czego nigdy nie miałeś.

–Przecież się umówiliśmy. Obiecałeś mi zapłacić, kiedy dostarczę informacje, i właśnie je dostarczyłem. Czyż słowo Bashkira nie jest święte?

–Wyłącznie dane innemu Bashkirowi! – oznajmił Bronnn Palln i odszedł.

15. Knowania

Generał polny Lokck Werrrent, dowódca sił khagguńskich w kwadrancie Zamarzniętych Stawów, ustanowił swoją kwaterę w Świetlistym Tamburze, górskim mieście na północny wschód od wioski U Zbiegu Dolin. Świetlisty Tambur był

niegdyś niewielką osadą, służebną wobec Opactwa Świetlistego Tambura, którego ruiny wciąż jeszcze trwały na usianym gruzem wzniesieniu, górującym nad miejskim rynkiem. Khaggguni zburzyli opactwo i w następnych latach osada, o dziwo, rozrosła się w miasto średniej wielkości, rolnicze centrum mające udział w żywieniu coraz liczniejszej v'ornnańskiej populacji Axis Tyr. To tutaj wytwarzano większość serów z corzego mleka, które dzięki zieleniącym się na stokach polom gggleyu było najwyższej jakości. Gggley stosowano w procesie fermentacji. Była to delikatna, ziołopodobna roślina, rosnąca wyłącznie w tej górskiej okolicy i nie nadająca się do dłuższego transportu.

Generał polny Lokck Werrrent rozmyślnie ustanowił swoją kwaterę w Świetlistym Tamburze. Miasto leżało niemal pośrodku kwadrantu, lokalizacja znakomita z taktycznego punktu widzenia.

Okazało się jednak, że Werrrent musi sporo czasu spędzać w Axis Tyr, zwłaszcza od kiedy Kurgan Stogggul zastąpił ojca na stanowisku regenta.

Kiedy generał przebywał służbowo w Axis Tyr, dowodzenie przejmował adiutant flankowy Jin Wiiin. Wiiin działał z mechaniczną sprawnością. Stał się niezastąpiony, umożliwiając generałowi polnemu zajmowanie się w stolicy skomplikowaną wojenną polityką.

Dobrze się stało, że adiutant flankowy Wiiin cieszył się zaufaniem swojego zwierzchnika, bo był chudym, słabo umięśnionym osobnikiem o zbyt blisko osadzonych oczach, wąskich ustach i cerze trwale oszpeconej ciężkim atakiem kraeliańskiej gorączki wywoływanej przez ogniorobaka, brzydkie blizny jakoś nie chciały się poddać żadnej genomowej kuracji. Nawet najmarniejsza looorm uważała, że jest odpychający. Choć mówiono, że nie ma żadnych upodobań, to jego podkomendni nie mieli wątpliwości, że lubi nadzorować sprawnie działające oddziały Khagggunów. I chociaż miał również i inne zainteresowania – na przykład uwielbiał tropić perwillony w górskich pieczarach – to jego otoczenie uważało, że prowadzi przeraźliwie szare życie. Nie było jednak nic dalszego od prawdy, bo Wiiin przepadał za potajemnymi spotkaniami z ramahańską wtyczką generała polnego, dostarczającą informacji o planach i ludziach partyzantki.

Tego wieczora pracował do późna – nawet jego najgorsi wrogowie nie mogli mu zarzucić, że jest wałkonem – i oto pojawił się jeden z jego Khagggunów z przekazaną przez dowództwo wiadomością dla generała polnego. Werrrent przed tygodniem wyjechał na południe, do Axis Tyr, i o ile Wiiin wiedział, miał tam jakiś czas pozostać.

Wiiin odprawił Khaggguna i rozpieczętował wiadomość. Zachmurzył się. Dziwna była ta informacja, odręcznie napisana po kundalańsku, a w prawym górnym rogu kartki, w v'ornnańskiej pisowni, widniało nazwisko generała polnego Lokcka Werrrenta. Przeczytał wiadomość dwa razy i zapamiętał. Potem spalił na popiół,

który roztarł w palcach.

Wstał, sprawdził godzinę, włożył napierśnik bojowej zbroi. Zszedł na dół, pospiesznie przeszedł podwórcem do stajni, dał znak, żeby mu przyprowadzono cthaurosa, dosiadł go i wbił mu pięty w boki.

Trzy czwarte kilometra jechał wprost na wschód, potem skręcił na południe i – zgodnie z instrukcjami – posuwał się w tym kierunku, dopóki nie dotarł do północnego skraju zagajnika sysalowców o rombokatym kształcie. Tam zatrzymał cthaurosa i czekał.

Noc była zimna. Silny wiatr z północnego wschodu niósł przenikliwy ziąb lodowców Djenn Marre. Wiiiin zadrżał, myśląc, że to będzie długa, mroźna zima. Dwa księżycy, jasnozielone sierpy, rzucały upiorny blask na zagajnik kolczastych drzew i górską okolicę.

–Nie jesteś generałem polnym Lokckiem Werrrentem.

Odwrócił się i wbił wzrok w zagajnik.

–Ktoś ty? – powiedział, dobywając korda. – Pokaż się albo po tobie.

Z cienia wyszła młoda Kundalanka w persymonowych szatach ramahańskiej konara. Szła powoli, Wiiiin pomyślał, że porusza się z wysiłkiem, z rękami złożonymi na wydatnym brzuchu.

Wsunął oręż do pochwy.

–Jesteś ranna? – zapytał.

–Wysłałam wiadomość generałowi polnemu Lokckowi Werrrentowi – powiedziała konara. – Gdzie on?

–Adiutant flankowy Jin Wiiiin – przedstawił się, zsiadając z cthaurosa. – Zastępuję generała polnego zarówno w ważnych, jak i w błahych sprawach.

–Czy jesteś wtajemniczony we wszystkie sekrety, adiutancie flankowy Wiiiinie?

–Nie rozumiem.

–Wiem o duscaancie.

Wiiiin zeszywniał.

–Jakim duscaancie?

Konara tajemniczo się uśmiechnęła.

–No, no, adiutancie flankowy, albo reprezentujesz generała polnego, albo nie.

–O duscaancie, który generał polny ukrył w Opactwie Świetlistego Tambura.

–Nie – powiedziała powoli i dobitnie konara. – O duscaancie, który generał polny ukrył w Opactwie Gorącego Nurtu.

–A tak. Teraz sobie przypominam. Wniosła go tam konara Yesttur.

–Nie. Ukryła go konara Mossa.

Wiiin skinął głową, wyraźnie usatysfakcjonowany.

–A ty jesteś?

–Konara Eleana.

–Gdzie moja stała łączniczka?

–Konara Bartta miała nieszczęśliwy wypadek.

–A tak, nie żyje. Miałem na myśli jej następczynię, konara Urdmę.

–Jest chora. – Eleana omal się nie zakrztusiła. Nie miała pojęcia, o kim on mówi.

Nachmurzył się.

–Nie spodziewałem się tego.

Rzeczywiście, pomyślała Eleana, co się dzieje w opactwie?

–Od zgonu konara Bartty w opactwie panuje zamieszanie.

–I przejęłaś, hmmm, obowiązki konara Urdmy.

–Wyłącznie na czas jej choroby.

Wiiin zrobił mocno niezadowoloną minę.

–Tego obowiązku nie powinno się jej powierzać. Często choruje i nie zdąża na czas.

–Wybrała ją konara Bartta.

Wiiin odetchnął głęboko. Nie lubił mieć do czynienia z Ramahankami, nie potrafił się zdobyć na to, żeby im w pełni zaufać. Chociaż te akurat Ramahanki, poczynając od

konara Mossy, dotrzymywały umowy i dostarczały dokładnych informacji, podstępnie wydobywanych od partyzantów będących przeciwnikami Kary, nowej religii.

–No dobrze. Przejdźmy do rzeczy. Co masz dla mnie?

–Pięćdziesiąt kilometrów na zachód od tego miejsca jest obóz partyzantów. – Było to beczelne kłamstwo, lecz cóż innego mogła Eleana powiedzieć?

–Tak? Konara Urdma na pewno dokładnie określiła parametry. Wymagamy konkretnych danych o ruchach partyzantów, żeby móc chronić wasze opactwo.

–Adiutancie flankowy, wiele dni podróżowałam z...

–Tak, tak, ze Stone Border – rzekł niecierpliwie. – I co z tego?

Popatrzyła nań spokojnie ciemnymi oczami.

–Jestem nowa w tych sprawach. Staram się to załatwić najlepiej jak potrafię.

–Niezbyt dobrze – oznajmił adiutant flankowy Wiiiin, wsiadając na cthaurosa. – Masz dwa tygodnie na zebranie dokładnych informacji. Potem... – Wzruszył ramionami. Zawrócił wierzchowca i pogalopował z powrotem.

Eleana, nieruchoma i milcząca, patrzyła, jak mija cętkowane poświatą księżyców wzniesienie i znika z oczu.

–Dobra robota – odezwał się Rekkk Hacilar, wychodząc z zagajnika sysalowców; teyj siedział mu na ramieniu. Trafili tutaj dzięki v'ornnańskim napisom pojawiającym się na początku każdego nagrania duscaanta. Napisy te zawierały nie tylko datę i godzinę, ale i nazwisko khagguńskiego oficera, który zamówił to szpiegowskie urządzenie: generał polny Lokck Werrrent. Rekkk wykorzystał swój okummon do wykonania dla Eleany jedwabnych szat konara. Wspólnie napisali – w kundalańskim i v'ornnańskim – pilną wiadomość, która sprowadziła tu Wiiiina.

–Konara Urdma – powiedział Rekkk. – Teraz znamy imię naszej zdrajczynie.

–Tyle że się nie pojawiła. Zaczynam mieć niemiłe przeczucia co do opactwa. – Eleana westchnęła, przycisnęła dłonie do brzucha. – Stąd do Stone Border jest daleko i droga wiedzie stromo pod górę. Naprawdę nie wiem, czy dam radę.

Rekkk otoczył ją ramieniem i wprowadził między drzewa, potem posadził tak, żeby oparła się o szeroki pień. Dał jej się napić z bukłaka i powiedział:

–Ja sam ani nie mogę wejść do opactwa, ani nikogo tam umieścić.

–Gdybyż tylko Thigpen tu była! Kochana Thigpen! Ona by znalazła sposób, żeby nas tam przetransportować.

Rekkk zapatrzył się w rozjaśniony blaskiem księżyców mrok.

–Nie martw się. Dostarczę nas tam.

–Powiadam, że jest sposób na zakończenie sporu pomiędzy Konsorcjami Nwerrrnów i Fellannggów – odezwał się Bronnn Palln.

–Wyobrażam sobie – zarechotał Dobbro Mannx. – Skłoń regenta, żeby unieważnił ich roszczenia, a wtedy twoje konsorcjum będzie mogło eksploatować bogate w minerały tereny na zachód od lasów Borobodur. – Bashkirski notariusz znów zarechotał i uniósł tłusty paluch. – Nie, chwileczkę, do tego musiałbyś być naczelnym faktorem.

–O ile pamiętam, Konsorcjum Pallnów od dawna było respektowane przez Stogggulów. – Generał polny Lokck Werrrent popatrzył na Bronnna Pallna. – Czyż nie tak?

Pomimo wystawności przyjęcia w bogatej rezydencji Mannksa we wschodniej dzielnicy Palln miał kwaśną minę. Takie uczty odbywały się co tydzień i spotykali się na nich mniej więcej ci sami ludzie. Najpierw spożywali przepyszne dania pulchnego szefa kuchni, a potem – najedzeni i na wpół pijani – przechodzili do biblioteki lub ogrodu, jeżeli było ciepło, na partyjkę warrnixksa i zwykle grali o niewielkie stawki.

Generał polny był zmuszony parę razy powtórzyć pytanie, zanim Palln burknął:

–I owszem.

–Więc może nie miałbyś nic przeciwko temu, żeby nowy członek wyższej kasty poczynił niewielkie inwestycje...

–Oho! – wykrzyknął Mannx. – Coś mi się wydaje, że generał polny ma aspiracje. Zrezygnujesz z dowództwa, żeby stać się Bashkirem?

–Niczego takiego nie pragnę – odparł generał polny. – Chciałbym jedynie popróbować.

–Uważaj, generale – odezwał się Glll Fullom, stary i szanowany patriarcha swojego Konsorcjum Pierwszej Rangi. – Twój status wyższej kasty to sprawa bardzo świeża. Rozsądnie byłoby zaczekać.

Lokck Werrrent dumiał przez chwilę w milczeniu, a jego myśli były jak kłębiące się na horyzoncie burzowe chmury. Od pamiętnej rozmowy z gwiazdny admirałem

Olnnem Rydddlinem na temat tego, co się kryło za obietnicą nadania Khaggunom statusu wyższej kasty, miał ucho wyczulone na wszystko, co mogłoby potwierdzić podejrzenia Olnna.

–Co masz na myśli? – zapytał trochę cierpko. – Że my, Khagguni, nie zasługujemy na wyniesienie do wyższej kasty?

–Ależ nie. – Gwałtowność repliki generała polnego najwyraźniej zaskoczyła Gilla Fulloma. – Po prostu udzieliłem ci moim zdaniem dobrej rady.

Zapanowała krótka, trochę krępująca cisza.

–A wracając do spraw dotyczących ciebie i regenta, Bronnie Pallnie – odezwał się pogodnie Mannx, który miał wprawę w prowadzeniu takich spotkań – wyraźnie usłyszałem „ale”, wiszące w powietrzu niczym odór gnijącego quillona.

–Żadnych ale – powiedział nieco defensywnie Palln.

–Wybacz tę dociekliwość – podjął Mannx – lecz muszę powiedzieć, że byłem dość zdziwiony, kiedy Wenn Stoggul mianował naczelnym faktorem Sornna SaTtryna zamiast ciebie.

–W czym rzecz, nie lubisz Sornna SaTtryna? – odezwał się z nutką irytacji generał polny. Czasami złościła go gadanina nie Khaggunów. – Słyszałem wyłącznie pochwały na temat mediacyjnych talentów naczelnego faktora.

–Są tacy – rzekł z przesadną uprzejmością Fullom – którzy uważają, że SaTtrynowie byliby już i tak wystarczająco potężni, nawet gdyby ich potomek nie został naczelnym faktorem. – Zanurzył palec w pozostałej na talerzu resztkę potrawy i zamieszał. – Są też i tacy, którzy sądzą, że nieskrywana miłość Sornna SaTtryna do Korrushu wpływa nań demoralizująco.

–Jesteś jednym z nich? – zapytał generał polny.

Fullom się uśmiechnął i oblizał palec.

–Chciałem powiedzieć, Bronnie Pallnie – Mannx rozłożył ręce – że zasługujesz na to stanowisko. Czyż nie jest tak? Jesteś starszy. Masz do tego prawo, prawda?

–Tak naprawdę – rzekł Bronn Palln, starając się uciszyć Mannksa, który głośno wyrażał jego własne myśli – mam o wiele lepsze kontakty z Kurganem Stoggulem niż niegdyś z jego ojcem. A nawet, generale polny, osiągnąłem pewne porozumienie z samym gwiazdny admirałem.

–Ach tak? – odezwał się Werrrent i wbił w Bronna Pallna zimne spojrzenie. –

Wyjaśnij nam to, proszę.

Palln natychmiast pożałował swoich słów. Jak mógł zapomnieć, że Khagguni byli chorobliwie zazdrośni o wszelkie układy?

–Nie ma o czym mówić – odparł.

–Och, daj spokój. – Mannx rozejrzał się po siedzących za stołem. – Nikt tutaj w to nie wierzy, a na pewno nie ja.

Bronnn Palln był wściekły i zapalał do nich nienawiścią za to, że go tak przypierali do muru.

–Moje rozmowy z gwiazdnym admirałem są ściśle poufne – rzekł szorstko.

–Oho! – Mannx klasnął w pulchne dłonie jak chłopiec w dzień swojego Wyniesienia. – A więc na coś się zanosi.

–A nawet gdyby? – Bronnn Palln przelotnie pomyślał, co też robi, brnąc w to coraz bardziej, ale był już naprawdę rozgniewany i nie dbał o nic; poza tym ta lekkomyślność sprawiała mu nawet ogromną przyjemność.

–Jesteśmy wśród przyjaciół. – Mannx rozłożył ręce, a potem splótł dłonie na wydatnym brzuchu. – Uważam, że powinienes nam powiedzieć, jeżeli jesteś wtajemniczony w zamiary gwiazdnego admirała. Oczywiście w najgłębszej tajemnicy. – Zaśmiał się. – A po cóż innego się co tydzień spotykamy?

Bronnn Palln uciszył ich gestem. Powiódł wzrokiem po zebranych. Przykuł ich uwagę i czuł się z tego powodu tak wspaniale, że mógł zrobić tylko jedno.

–Gwiazdny admirał od jakiegoś czasu podejrzewał Sornnna SaTrryna – rzekł. – A ja odkryłem, że potomek SaTrrynów nie jest godzien zajmować stanowisko naczelnego faktora. – Serca były mu jak oszalałe, postanowił iść na całość.

–Co mówisz? – Generał polny wyłamywał sobie palce.

–Mam dowody, że jest zdrajcą udzielającym pomocy kundalańskim partyzantom i dostarczającym im khagguńską broń.

Zapanowała pełna zdumienia cisza.

–SaTrrynowie cieszą się nieskazitelną reputacją, w tym i Sornnn SaTrryn – oznajmił generał polny Werrrent. – To najcięższy zarzut, niosący ze sobą najpoważniejsze konsekwencje.

Jakby o tym nie wiedział! Lecz kości warrnixsa zostały rzucone i Bronnn Palln

krótco się zastanawiał, czy w ogóle zamierzał coś takiego zrobić, zanim wieczór się rozpoczął. Prawdopodobnie tak. Już raniem zamierzał poprosić regenta o audiencję. W końcu miał to, o co go prosił gwiazdny admirał Olnnn Rydddlin – głowę Sorinna SaTrryna na tacy, które to ponure trofeum zapewni mu tak długo oczekiwaną nominację na stanowisko naczelnego faktora. Tego wieczoru, w gronie przyjaciół i ziomków, nie mógł się powstrzymać od przechwałek. I czemuż nie miałby się chwalić swoim dokonaniem? Ponad wszystko chciał być naczelnym faktorem. Wennn Stogggul odebrał mu tę możliwość, lecz nowy regent – za pośrednictwem Olnna Ryddlina – na nowo mu ją zaoferował.

–Nie zrażaj się szorstkością generała polnego, Bronnnie Pallnie – odezwał się Fullom. Prawie pomrukiwał z zadowolenia. – Tak się składa, że wielu Bashkirów podziela podejrzenia gwiazdznego admirała.

–Nie dbam o zdanie Bashkirów. – Generał polny wzruszył ramionami. – Ale jeżeli masz dowód, to co innego.

Bronnnowi Pallnowi aż się zakręciło w głowie. Bronił go sam Gill Fullom! Gill Fullom, który nigdy przedtem nie miał dlań dobrego słowa. Nareszcie czuł, że ma władzę – było to nowe i wspaniałe doznanie, które zamierzał utrzymać. Palln, z uczuciem że nerwy mu za chwilę popękają jak zbyt napięte struny, wyjął data-dekagon, który dostał od Jessta, z nagranyimi rewelacjami Kirllla Qanddy na temat Sorinna SaTrryna. Położył urządzenie na stole.

Generał polny wpatrywał się w niego przez chwilę, a potem wyjął czytnik i wsunął do niego kryształ.

–Co to takiego? – wykrzyknął Mannx. – Cóż to za dowód?

Werrrent podał mu czytnik, a Mannx porwał go zachłannie, szybko przejrzał zapis i oddał czytnik Gillowi Fullomowi.

–Nierozsądnie byłoby wyciągać pochopne wnioski – odezwał się ponuro Werrrent, patrząc na kopię zapisu.

–Zgadzam się. – Bronnn Palln usłyszał własny głos. – Zgadzam się. Przede wszystkim chciałem pokazać to natychmiast regentowi i niech on działa.

–W tej sprawie doradzałbym ostrożność – rzekł cicho Fullom. – W końcu mówimy o Kurganie Stogggulu. Wszyscy wiemy, co spotkało jego ojca.

–Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał niespokojnie generał polny.

Fullom spojrzał i zwrócił się właśnie do niego:

–Wiem z dobrego źródła, że Wennn Stogggul złamał słowo dane gwiezdnemu admirałowi Kinnnusowi Morsze. Na pewno wiesz, że rozkazał go zamordować.

–To słowa zdrajcy – burknął Werrrent.

–Nie, jeżeli to prawda.

–Ale nie masz dowodu – rzekł Werrrent.

Stary Bashkir potrząsnął głową.

–Znamy się już bardzo długo, generale polny. W różnych sprawach możemy się nie zgadzać, ale wiem, że jesteś szczerym patriotą. Ufam więc, że mi wybaczysz, jeżeli powiem, że patrioci nie powinni być ślepi.

–Stogggulowie są znani z zawziętości – odezwał się Mannx.

–Biorąc pod uwagę te zarzuty – stwierdził Palln – uważam, że dla nas wszystkich byłoby lepiej, gdybym to ja był naczelnym faktorem. – Spojrzał na Fulloma w obawie, że stary patriarcha zareaguje na to negatywnie, jednak to generał polny popatrzył na niego znacząco.

–Chociaż te zarzuty przeciwko Sornnnowi SaTrrynowi są bardzo poważne, to wymagają konkretnego potwierdzenia. Na przykład odnalezienia tajnego biura SaTrryna – powiedział Werrrent.

–Cała trudność polega na tym – stwierdził Fullom – że SaTrryn ma wiele składów. Który to może być?

–Mam na to odpowiedź – odezwał się Bronnn Palln. – Była tam Marethyn Stogggul.

–Przecież to siostra regenta! – zawołał Mannx.

–Wszyscy wiemy, że rodzina nią gardzi – powiedział generał polny. – Regent również.

–Czemuż miałyby nam cokolwiek powiedzieć? – zapytał Fullom.

Po chwili krępującej ciszy Bronnn Palln oznajmił:

–Może nie zrobi tego dobrowolnie.

Wszyscy znów na niego patrzyli i czuł lekki dreszczyk. Zwrócił się do Werrrenta:

–Powinniśmy się zająć Marethyn Stogggul.

–Nie należy igrać z Konsorcjum Stogggulów – stwierdził Werrrent. – Mają wielu potężnych przyjaciół i sojuszników. Jeżeli ta informacja okaże się nieprawdziwa lub nie da się potwierdzić... – zamilkł, a ich przeraziło to, co nie zostało powiedziane.

–Rzecz w tym, by wybrać odpowiedni moment. – Myślał głośno Fullom. – Generał polny ma słuszość. Będziemy mieć jedną jedyną szansę. Musimy ją jak najlepiej wykorzystać. Mógłby nakazać swoim Khaggunom, żeby ją zgarnęli.

–Na tym etapie wplątywanie w to Khaggunów nie byłoby rozsądne – ostrzegł Werrrent.

Fullom skrzyżował piegowate ramiona na chudej piersi:

–A więc, Bronnnie Pallnie, wszystko zależy od ciebie.

Bronnn Palln całe życie czekał na tę chwilę. I kiedy wreszcie nadeszła, nie czuł trwogi ani strachu. Oto spełniały się jego marzenia i miał zamiar wykorzystać szansę.

–Sam się nią zajmę – rzekł bez wahania. – Możecie mi wierzyć, że to będzie dla mnie przyjemność.

Wkrótce po tym, jak Aceton Biled otrzymał stopień komendanta szturm, zaczęła krążyć na jego temat pewna pogłoska.

Plotka ta – jak to zawsze u Khaggunów, powtarzana bez końca – dotyczyła czaszki brzytwozębego drapieżcy z Corpius Segundius; i to nie pierwszego lepszego, jak to zaraz uściślali opowiadacze, lecz korrrai, najgroźniejszego ze wszystkich trzynastu gatunków. Nikt nigdy, rzecz jasna, nie widział tej czaszki, ale to nieważne. Twierdzono, że należała do Acctona Bileda, który ją odrąbał od potężnego cielska po straszliwej walce. Teraz zaś, szeptano, trzyma tę niesamowitą pamiątkę przy łóżku i co wieczór, przed zaśnięciem, powierza jej sekrety zbyt straszne, żeby dzielić się nimi z żywymi.

To, że tę dziwną historyjkę opowiadano i przyjmowano z całą powagą, dobitnie świadczyło o respekcie, jakim darzyli Bileda Khagguni.

Olnnn Ryddlin oczywiście słyszał tę pogłoskę. Prawdę mówiąc, znał każdą jej wersję, również tę, że Biled zajadał się surowym i krwawiącym mięsem korrraia, kiedy ten jeszcze się wił w przedśmiertnych drgawkach. Wedle Olnna prawdziwość takich pogłosek nie miała znaczenia. Interesujące zaś było to, że się w ogóle pojawiały.

Wciąż jeszcze nad tym rozmyślał, wysiadając z khagguńskiego poduszkowca na jednej z coraz bardziej zapuszczonych shanstonowych drózek przecinających wewnętrzny podwórzec Opactwa Gorącego Nurtu. Kilka kilometrów na zachód

znajdowało się senne, zakurzone miasteczko Middle Seat.

–To tutaj się ukrywali?

–Tak nam powiedział informator, zanim zginął – odparł komendant szturmu Bled.

Dwaj oficerowie ruszyli dróżką.

–Długo trwało, zanim umarł? – spytał Olnnn takim tonem, jakim Bashkir zapytałby o cenę tony wanadu.

–Procedura przebiegła całkiem sprawnie – zapewnił go Bled.

–Żadnej okazji do rozrywki?

–Uznałem, że gwiazdny admirał chce szybko uzyskać wiadomości.

–Słuszne założenie.

Khagguni z oddziału Bleda, w pełnym bojowym rynsztunku, stali w nieregularnych odstępach. Komendant szturmu wspaniale się prezentował w swojej zbroi. Wybrał dla swojego oddziału barwę palonej umbry, jarzącą się w słońcu.

–Rzeczywiście tu byli – rzekł Bled, wszedłszy do kuchni i sypialni. – Nawet przez jakiś czas.

Wprowadził Olnnna do biblioteki. Gwiazdny admirał podszedł do roztrzaskanego okna.

–Co się tutaj stało?

–Nie mam pojęcia. Nie znaleźliśmy śladów jonicznych salw. Tak czy inaczej, zbiegów już tu nie ma.

Olnnn podniósł kawałek kolorowego szkła i stwierdził, że to właściwie dwa lub trzy odłamki, które zostały stopione w jeden przez to coś, co trafiło w okno. Pomyślał o dziurze w ścianie pralni pod kashiggenem „Nimbus” i zastanowił się, czy jest jakiś związek pomiędzy jednym i drugim źródłem energii. Schował szkło do kieszeni i ruszył wzdłuż stołu, aż dotarł do leżących na nim otwartych ksiąg.

–Potrafisz to przeczytać, komendancie szturmu?

–Nie, sir.

–Czy któryś z V’ornnów z twojego oddziału czyta po kundalańsku?

–Tak, sir.

Olnnn odwrócił się i spojrzał na niego.

–Znakomicie. I co on na to?

–Nie potrafił przeczytać tych ksiąg, gwiazdny admirał. Nie są napisane w znanym mu współczesnym kundalańskim.

–Czy w ogóle na coś się przydał?

–Powiedział, że jego zdaniem są to księgi o magii.

–Czary. – Olnnn skinął głową. – A co ty myślisz o tym, że te księgi leżą otwarte na stole?

–Powiedziałbym, że zbiedzy czegoś szukali – odparł bez wahania Biled.

Olnnn nie miał wątpliwości, że komendant szturmów zastanawiał się nad tym jeszcze przed jego przybyciem.

–Z pewnością czegoś ważnego. – Przesunął palcami po stronicach. – Ciekawym, co to było.

W tym momencie poczuł drżenie w nodze w magiczny sposób pozbawionej skóry, mięśni i ścięgien. W kościach, które Malistra zaczarowała, kiedy go ratowała przed skutkami zaklęcia Giyan. Wrażenie przypominało bąble unoszące się ku powierzchni stawu. Zaniepokojony Olnnn zacisnął palce na gołej połyskującej kości udowej i nic nie powiedział.

16. Następstwa

Spójrz na nią, Othnamie, wniknął w nią fulkaan.

Othnam skinął głową, a uśmiechnięta Mehmmer uściskała Riane z całej siły.

–Wydobyta z jaskini kapudaana – powiedział. – Teraz naprawdę jesteś jedną z nas.

Znawali się w niewielkim obozie na północnym skraju Agachire, w pewnym oddaleniu od miasta, tak że miejskie światła przypominały ognisko na stepie. Nie było tutaj – w przeciwieństwie do tej części Agachire, którą przemierzała karawana – żołnierzy, nie słyszało się sprośnych piosenek ani grubiańskich odzywek. Noc rozbrzmiewała melodyjną recytacją wierszowanych modlitw i śpiewem. Tuż przed namiotem stojący w kręgu mężczyźni śpiewali cykl modlitewny; pochylili ku sobie głowy, objęli się ramionami w pasie i kołysali rytmicznie w tył i w przód. Riane

zapamiętała taką grupę z ulicy poniżej tarasu i ciekawa była, czy to ta sama.

Riane była teraz wśród Ghorów, do których, jak się wydawało, należeli Othnam i Mehmmer. Nosili czarne szaty, byli śniadzi, niemal całkiem zasłaniaли się białymi sinschalami haftowanymi w czarne runy.

Teraz, z bliska, dostrzegła, że krąg tworzyli mężczyźni i kobiety. Kiedy się kołysali, śpiewając modlitwy, widziała cienki pasek garbowanej skóry, zawiązany wokół lewego ramienia, pomiędzy łokciem a barkiem, każdego z nich. Owe ga'afarra, podobnie jak gęsto tkane szale okalające ich głowy, zawierały słowa proroka Jiharrego.

–Po pierwsze, chcę was poprosić, żebyście mi pomogli wrócić do pałacu i uwolnić Tezziq. Przysięgam, że jej pomogę. Bez względu na to, co Makktuub każe jej robić, jest porządną kobietą i zasługuje na życie poza tą przeklętą haanjhala.

Rodzeństwo wymieniło spojrzenia. Othnam zaklął pod nosem, potrząsając głową. Niemniej powiedział coś cicho do Paddiego, nakazując mu przekazanie Ghorom strzegącym Perrnodt, że ich przyjdzie się opóźni. Paddii skinął głową, krótko się pomodlił za ich bezpieczeństwo i wyszedł z namiotu.

–Możesz oczekiwać od nas pomocy – powiedziała Mehmmer do Riane – lecz nie współodczuwania.

–Ajjan to twoja sprawa – ostrzegł Othnam. – My nie chcemy z nią mieć nic wspólnego. Zrozumiałaś?

–Jak najbardziej – odparła Riane. – Niczego więcej bym od was nie oczekiwała.

Mehmmer postąpiła ku niej groźnie.

–Tak się nam odwdzięczasz za wyrwanie z łap kapudaana?

Złapała za bułat, ale zanim zdążyła go dobyć, brat chwycił ją za przegub i powstrzymał.

–Zgodziliśmy się, że możemy mieć odmienne zdanie w sprawie ajjan – rzekł ponuro. – Lecz zapamiętaj jedno, Riane. Nasza wiara jest naszą wiarą. Nie oczekuj, że się zmienimy.

Riane już miała coś ostro odpowiedzieć, kiedy przypomniała się jej Thigpen. Nie pierwszy raz żałowała, że nie ma przy niej Rappa. Strasznie za nią tęskniła. Właśnie teraz ogromnie by się jej przydały rady i mądrość Thigpen. Spróbowała sobie wyobrazić, co by jej powiedziała: „Kimże jesteś, kluseczko, żeby osądzać tych tubylców, którzy dopiero co ocalili ci życie?”

Poza tym wciąż miała swoje tajemnice. Nie powiedziała im, że ma jeszcze jeden powód, by jak najszybciej wrócić do pałacu kapudaana. Koniecznie musiała odzyskać opończę Nith Sahora, zanim Nith Settt znów ją rozwinie i przekona się, że nadal działa. Wtedy by pojął, że Nith Sahor wcale nie umarł.

–Dzięki, Othnamie, za twoją cierpliwość i mądrość – powiedziała Riane pojednawczo. – Dzięki i za to, że oddałeś mi sztylet.

Othnam lekko się skłonił.

–Kiedy mi go dałaś na przechowanie, zrozumiałem, jak wiele dla ciebie znaczy. Dzięki za zaszczyt, jaki mi uczyniłaś.

–Chociaż nie we wszystkim się zgadzamy, to i tak więcej nas łączy, niż dzieli.

Mehmmer gwałtownie potrząsnęła głową.

–Lepiej ruszajmy, skoro mamy pomóc twojej przyjaciółce ajjan.

Owinęli Riane w czarne szaty Ghorów i biały sinschal, potem wyprowadzili ją z namiotu. Grupa Ghorów przerwała modły i w milczeniu patrzyła na nich mądrymi oczami. Nie uśmiechnęli się, lecz w ich badawczych spojrzeniach nie było wrogości. Jeden z nich, brodacz o zapadniętych policzkach i skórze barwy korrushowego pyłu, skinął na Othnama, który zatrzymał dziewczyny. Riane z bliska dostrzegła, że mężczyzna ma takie same oczy jak Othnam – niesamowicie niebieskie, ze szmaragdowymi cętkami. Patrzył teraz w jej oczy. Powiedział, że nazywa się Mu-Awwul.

–Tak, zjawiałaś się. Nareszcie.

–Nie rozumiem – powiedziała Riane. – Oczekiwałeś mnie?

–Othnam i Mehmmer opowiedzieli mi, jak zabiłaś przebranego sauromicjana. Dawno podejrzewaliśmy, że przedostają się tu, żeby zdobyć władzę w naszym regionie, lecz dotąd nie mieliśmy dowodu ich przewrotności. – Broda Mu-Awwula była długa i kędzierzawa, przetykana siwizną, miękka. – Powinnaś mi coś powiedzieć, nieprawdaż?

–Przybyłam do Korrushu w poszukiwaniu dzuoko Perrnodt.

–To już wiemy.

–Mam nadzieję, że pomoże mi odnaleźć Maasrę.

–Ach! – Zakolysał się na piętach. – A po co ci Maasra? – Jego niesamowite oczy

wpatrywały się w twarz Riane, zdawało się, że przewiercają na wylot.

–Uwięziono kogoś ważnego dla mnie, kogoś, kogo kocham. Może ją uratować jedynie Zasłona Tysiąca Łez.

–Wielu Ghorów umarło z powodu Maasry – rzekł Mu-Awwul. – I wielu Jeni Cerii, bo oni również chcieliby ją mieć. Cudzoziemcy też zapuszczali się głęboko w Korrush i tracili życie podczas daremnych poszukiwań.

Riane podupadła na duchu.

–Twierdzisz, że ona nie istnieje?

–Istnieje. – Mu-Awwul kiwnął głową. – Przez cały czas jeden strażnik przekazywał ją drugiemu.

–Gdzie jest ten strażnik? Gdzie znajdę zasłonę?

Mu-Awwul badawczo przyglądał się Riane.

–W czym rzecz? Jeszcze mi nie powiedziałaś tego, co chcesz powiedzieć. – Poglądził brodę. – To tajemnica, lecz ja ją znam. Powiedz to teraz.

Riane przełknęła ślinę, zerknęła na Mehmmer i Othnama.

–Nie ufasz im? – zapytał Mu-Awwul.

–Zawdzięczam im życie.

Stary Ghor uniósł ogorzałe od słońca ręce. Miały fakturę czerwonej ziemi Korrushu. To były sprawne ręce, żyłaste, o silnych kościach, a kierował nimi bystry umysł. Ujął w dłonie twarz Riane i pochylił ku sobie głowę dziewczyny.

–Jak przewidziałem, nasze modły zostały wysłuchane. – Siedmiokrotnie ucałował Riane w czubek głowy. – Prorok zesłał nam swój najcenniejszy dar. – Puścił dziewczynę i rzekł do Othnama i Mehmmer: – Jest tak, jak się tego domyślałem, kiedy mi powiedzieliście, że w waszym obozie pojawiła się Kundalanka w towarzystwie waszego spotulniałego lymnala.

Potem powiedział do Riane:

–Jesteś posłanniczką Jiharrego, Riane. Wiedza, którą nam przynosisz, może odmienić cały Korrush.

–Jeżeli tylko będziemy mieć odwagę działać zgodnie z nią – odezwał się Othnam.

–Najtrudniej wyzbyć się wrogości – dodała Mehmmer.

–Prorok dokonał trudnych czynów – rzekł Mu-Awwul. – Czemuż miałby mniej wymagać od swoich dzieci?

–Mówicie tylko o Ghorach?

Całe zgromadzenie wstrzymało oddech, a Mu-Awwul gestem nakazał wszystkim milczenie.

–Jesteś z Axis Tyr, więc wybaczymy ci twoją ignorancję. – Przeszył Riane przenikliwym spojrzeniem. – Jiharre czcił Miinę. I Sarakkoni oddają jej cześć pod postacią ich prorokini, Yahe. Wszystkie rasy Kundali są ze sobą powiązane, Riane. Bez względu na odmienności, łączy nas jedno: kult Miiny.

Ujął jej rękę. Skórę miał szorstką jak papier ścierny.

–Masz czyste serce, co nigdy nie było tajemnicą. Jak już mówiłem, wielu zmarło, szukając Maasry. Maasra jest niczym żywa istota. Osądza, wyciąga wnioski, działa. Jeżeli masz ją odnaleźć, to odnajdziesz. Jeżeli nie, to umrzesz, jak ci przed tobą, którzy okazali się niegodni.

–Jeżeli to ostrzeżenie miało mnie odwieść od poszukiwań, to nic z tego. – Riane wiedziała, że wiele ryzykuje, przerywając mu. – Tysiącrotnie przepraszam, mędrco, lecz jestem zdesperowana. Muszę odnaleźć zasłonę, zanim na zawsze utracę moją ukochaną Giyan. Pomóż mi, błagam.

–Radzę, żebyś dalej szukała.

–Szukam Perrnodt. Nith Settt też.

Mu-Awwul skinął głową.

–Perrnodt zna sanktuarium, w którym teraz spoczywa Maasra. Nith Settt poszukuje Maasry. Chce odbudować Za Hara-at. Bez Maasry mu się to nie uda. Nie mamy pojęcia, skąd o tym wie.

–Mu-Awwulu – odezwała się z powagą Riane – z żalem muszę ci powiedzieć, że to nie jedyny cel Gyrgona. Nith Settt powiedział mi, że już od jakiegoś czasu są w Korrushu i doradzają kapudaanom pięciu plemion, jak prowadzić wojnę. Nastawiają ich przeciwko sobie nawzajem. Wydaje mi się, że Agachire właśnie się gotuje do totalnej wojny z Jeni Cerii. To niegodziwa intryga Gyrgonów. Chcą, żebyście się nawzajem powybijali i ze znaną jedynie Gyrgonom przyjemnością patrzą, jak się wyniszczacie.

Kiedy Riane umilkła, zapanowała całkowita cisza, jakby sam czas stanął w miejscu. Dziewczyna patrzyła, jak pobrużdżona, ogorzała twarz starca odzwierciedla zmienne emocje. Nikt się nie poruszył, nikt się nie odezwał. Zdawało się, że powietrze iskrzy od tej ujawnionej potworności.

–Tak. Jesteś prawdziwą wysłanniczką Jiharrego. – Mu-Awwul zamknął w swoich dłoniach rękę Riane.

Dziewczyna poczuła, że coś zostawia jej w dłoni. Potem zaczął recytować w języku, którego nie знаła. Spojrzała na Othnama, a ten przetłumaczył:

–W czasach przed początkiem czasu – zaczął Othnam z taką samą osobliwą śpiewną intonacją jak Mu-Awwul – prorok Jiharre przemierzał góry, poszukując pomocy Stworzyciela, i w końcu natrafił na szczególną mieszanicę jasności i cienia, i pojął, że to coś wyjątkowego, nie zmieniało się bowiem ni o zachodzie słońca, ni o wschodzie księżyca, ni oświetlone słońcem stojącym w zenicie. I tak Jiharre rozpoznał w tym znak od Stworzyciela i ujmując ten światłocień w stulone dłonie, usłyszał w swym umyśle modlitwę o jedność i te najświętsze słowa przekazał swoim potomkom, oni zaś przekazali to swemu potomstwu, jako się godzi czynić ze świętością.

Mu-Awwul zaczekał, aż Othnam skończy tłumaczyć, i dopiero wtedy cofnął dłoń. Riane zobaczyła, że ma w ręce niewielki lśniący kamień; miał nieregularny kształt, był ciemnozielony z pomarańczowymi żyłkami. Wyrzeźbiono na nim ptaka z szeroko rozpostartymi skrzydłami.

–Fulkaan – rzekła z szacunkiem Mehmmer. – Towarzysz Jiharrego.

–Oraz jego posłaniec – dodał Mu-Awwul. – Z wizerunku fulkaana bije moc i jjhani.

–Jjhani? – Riane spojrzała na Othnama.

–To znaczy... – Skrzywił się Othnam.

–To rodzaj... duchowej płodności – wpadła mu w słowo Mehmmer.

Riane skinęła głową.

–Dzięki – rzekła Mu-Awwulowi i skłoniła głowę. – Będę strzec talizmanu Jiharrego jak skarbu.

–Tak, strzeż go – odparł Mu-Awwul. – Ale też korzystaj z niego.

–Korzystać? Jak?

–Pojmiesz to, kiedy nadejdzie czas. – Po raz ostatni dotknął Riane swoimi żyłastymi rękami. – Dziękuję ci za dar, który nam przyniosłaś. Oby cię zawsze wiodła azmiirha.

I powrócił do kręgu. Znow objęli się w pasie, zetknęli głowami i wznowili modlitwę.

Riane, Othnam i Mehmmer pospiesznie opuścili obozowisko Ghorów i ostrożnie ruszyli płataniną wąskich uliczek. Ze wszystkich stron wznosiły się duże i małe namioty. Dwa razy wypatrzyli strażników kapudaana i musieli ich ominąć. Niemniej pozostałe pół kilometra, dzielące ich od pałacu, udało się im pokonać w dobrym tempie i bez przygód.

Przykucnęli w cieniu, naprzeciwko dużego zbiorowiska pasiastych namiotów.

–I co teraz? – zapytała Mehmmer.

–Sporo czasu zajęło nam wymyślenie, jak cię stamtąd wydostać – odezwał się Othnam. – Wprowadzenie cię tam na nowo może się okazać jeszcze trudniejsze.

–Niekoniecznie – powiedziała Riane. – Zawsze o północy pewien świątobliwy mąż przychodzi potajemnie do bramy dla dostawców w zachodnim murze pałacu i zostaje wpuszczony. Naucza Makktuuba Mokakaddiru. – Spojrzała na nich. – Ale wy to przecież wiecie, bo ten człowiek jest Ghorem.

Zaniepokojeni Othnam i Mehmmer wymienili spojrzenia.

–Mylisz się, Riane. Żaden Ghor nie naucza kapudaana świętych pism.

–Jesteście tego pewni?

–Tak – potaknęła Mehmmer. – Co więcej, żaden Ghor nie wszedłby do pałacu potajemnie, nocą.

–Więc jest to ktoś ubrany jak Ghor – stwierdziła Riane. – Tezziq powiedziała mi, że to Ghor.

–Ta ajjan!

–Nie miałyby powodu mnie okłamywać.

–A od kiedyż to ajjan potrzebuje powodu, żeby kłamać? – burknęła Mehmmer.

Othnam sprawdził położenie księżyców na niebie i rzekł:

–Zostało nam zaledwie parę minut, żeby znaleźć tego człowieka i zatrzymać go.

–To nonsens – rzekła kwaśno Mehmmer.

–A jeżeli nie? – spytała Riane.

Mehmmer niechętnie kiwnęła głową.

–Jeżeli istotnie podszywa się pod Ghora, to bardzo bym chciała wiedzieć, kto w Agachire bluźni przeciwko Jiharremu i Mokakaddirowi i dlaczego.

–To jasne – rzekł ponuro Othnam. – Ktoś, kto chce mieć dojsście do Makktuuba.

–Znowu ten przeklęty Gyrgon?

–Właśnie – odezwała się Riane. – Gyrgoni potrafią zmieniać swą postać.

Mehmmer się skrzywiła.

–Jakież to bluźnierstwa szepcze się potajemnie naszemu kapudaanowi?

Zaczęli się kierować ku zachodniej stronie pałacu. Musieli przejść skrajem bazaru, plątaniną wąskich i krętych uliczek i przejść pomiędzy wózkami i zaimprovizowanymi straganami, na których sprzedawano wszystko: od suszonych owoców, poprzez tanie kapcie i wspaniałe naszyjniki z drogich kamieni, po skromne czarne ga'afarra.

Co dziwne, o tej późnej porze bazar roił się od kupujących i sprzedających, handlarzy i złodziei. Mehmmer wyjaśniła, że bazar otwierano o zachodzie, żeby skwar dnia nie niszczył delikatnych korzennych przypraw. Powietrze było przesycone ciężkimi aromatami korzeni i palonego ba'du oraz krzykami energicznego targowania się. Migotliwe światło pochodni odbijało się od pasiastych ścian namiotów okalających bazar. Tłum był w nieustannym ruchu i miało się wrażenie, że jakaś niewidzialna ręka przesuwca cienie w uliczkach, kreśląc nieznanne symbole na połyskujących piramidach korzeni i krzywych bocznych ściankach rozklekotanych wózków. Na pierwszy rzut oka wyglądało to na zwykły chaos bazaru. Lecz Riane wyczuła coś mroczniejszego, wyczekiwanie, które się pojawia w pełnych niepokoju chwilach przed wypowiedzeniem wojny.

Szli jedno za drugim, powoli i ostrożnie, niczym przez ogród zarośnięty jeżynami. Othnam pierwszy, za nim Riane, Mehmmer na końcu. Przebyli chyba jedną trzecią drogi skrajem bazaru, kiedy Othnam nagle się zatrzymał. Na jego znak przycupnęli w cieniu namiotów. Riane dojrzała czterech pałacowych strażników o nagich torsach; czuwali, wpatrując się w tłum paciorkowatymi oczami, na pewno jej szukali.

–Tędy – szepnął Othnam i poprowadził ich boczną uliczką.

Potem kilka razy zmieniali kierunek marszu, aż wreszcie Riane straciła orientację. Wreszcie skręcili za róg i w świetle pochodni ujrzała zachodni mur pałacu. Trzymali się w cieniu, rzucanym na pasiaste ściany namiotów, i wkrótce wypatrzyli wejście dla

dostawców. Dobiały ich odgłosy miasta: śmiech bawiących się dzieci, ciche modlitewne śpiewy, zawzięte targowanie się kupców, plotki rozsiewane wśród plemienia na wojennej stopie.

–A jeżeli się nie pojawi? – szepnęła Mehmmer.

–Przyjdzie – uspokoiła ją Riane, chociaż polegała jedynie na słowach Tezziq.

Othnam patrzył na niebo nad zachodnią częścią pałacu.

–Już po północy. Musieliśmy się z nim minąć.

–Nie – odezwała się Mehmmer. – Nie minęliśmy się. Schowali się głębiej w wydłużających się cieniach, bo zza rogu wyszedł niewysoki brodac, odziany w czarne szaty Ghorów, z głową owiniętą tradycyjnym białym sinschalem, i ruszył w ich stronę.

Riane wśliznęła się w najgęstszy mrok, przykucnęła i znieruchomiła; głowę miała opuszczoną, twarz osłoniętą. Fałszywy Ghor ją minął. Uniosła głowę dopiero wtedy, kiedy usłyszała, że Mehmmer go zatrzymała.

–Jak dość do dzielnicy Giyossun?

Głos przebierańca był gderliwy, zdradzał niecierpliwość.

–Jesteś po złej stronie miasta.

Mehmmer twardo stała przed nim, tarasując mu drogę.

–No tak, ale jak mam...

–Nie mam czasu na takie głupoty, kobieto – rzekł szorstko.

–Tysiącrotnie przepraszam – powiedziała Mehmmer. – Ale i ja jestem Ghorem. Nie znam Agachire i pytam o...

–Mam spotkanie z samym kapudaanem.

Fałszywy Ghor usiłował ją wyminąć, lecz Mehmmer go nie przepuściła.

–Nie mógłbyś poświęcić chwili i pomóc krewniaczce?

Riane wstała i cichutko wyszła na ulicę.

–Nadużywasz mojej cierpliwości.

–Na pewno nie muszę ci przypominać słów proroka Jiharrego...

–Z drogi!

Mężczyzna już miał odepchnąć Mehmmer, kiedy jakieś przecucie kazało mu się odwrócić. Riane walnęła go w skroń ręką sztyletu. Przewrócił oczami i padł na ziemię.

–Ohydna kreatura – odezwał się Othnam, wychodząc z cienia. – Z trudem się powstrzymałem, żeby go nie przebić sztyletem.

Pochylił się i już wyciągał rękę ku fałszywemu Ghorowi, kiedy Riane zachłusnęła się oddechem i odciągnęła go.

–Chroń nas, Miino – szepnęła.

–O co chodzi? – spytała zatroskana Mehmmer.

–Spójrzcie na jego lewą dłoń – odparła.

–Ma sześć palców! – wykrzyknął Othnam.

Mehmmer przyjrzała się dokładnie.

–A ten szósty jest całkiem czarny.

–To piętno Miiny – powiedziała Riane. – Jest sauromicjanem, dawno temu przepędzonym z ramahańskich opactw za niegodziwość.

–I szeptał Makktuubowi na ucho, ani chybi zatruwając umysł kapudaana. – Mehmmer wyciągnęła bułat. – Musimy go zabić.

Podcięła mu gardło. Krew trysnęła, natychmiast zakrzepła i zrobiła się równie czarna jak szósty palec. Rana zasklepiła się, stała się blizną i wreszcie całkiem zniknęła. Mehmmer odsunęła się, wstrzymując oddech, a Othnam ukląkł i wbił swój sztylet w serce sauromicjana. Znow trysnęła krew, znow od razu zakrzepła i rana się zagoiła.

–Sauromicjana chroni jakieś potężne zaklęcie – odezwała się Riane. – Trzymajcie się od niego z daleka.

Lecz Othnam nie słuchał. Wyciągnął rękę i dotknął brody, która okazała się równie fałszywa jak przynależność sauromicjana do Ghorów. Odrwał ją, poluzował sinschal Riane i przykleił brodę dziewczynie.

–No i proszę – powiedział. – Przynajmniej ten niegodziwiec na coś się przydał.

Mehmmer popatrzyła na nich.

–Nie możemy go tak zostawić. Widział nasze twarze.

Riane wiedziała, że Mehmmer ma rację. Gdyby po prostu sobie poszli, to sauromicjan na pewno ruszyłyby ich tropem, odzyskawszy przytomność. Lecz pozbawiona własnej magii nie mogła złamać zaklęcia, którym się osłonił. Pomasowała sobie skroń. Co to Minnum mówił o sauromicjanach?

„Poznasz go po znamionach, którymi go w swojej mądrości naznaczyła wielka bogini: u lewej dłoni ma szósty palec, czarny i wstrętny jak śmierć”. Kiedy to rozważała, jej uwagę przykuły dwie frazy – „w swojej mądrości” oraz „czarny i wstrętny jak śmierć”. Czemu Minnum użył właśnie tych słów? Powiedział Riane, że zabroniono mu uczyć, ale może usiłował dać jej wskazówki, jak ma sobie poradzić z sauromicjanem, gdyby się na jakiegoś natknęła?

Wpatrywała się w pomarszczoną, śniadą twarz, wykrzywioną i złowieszczą jak ostrze noża. Spojrzała na lewą dłoń, z szóstym palcem, czarnym jak śmierć.

...wielka bogini w swojej mądrości...

Riane dobyła sztylet i uklękła obok sauromicjana. Przytknęła ostrze do jego dłoni, przypomniała sobie zaklęcie i odłożyła sztylet. Jedną ręką chwyciła sauromicjana za lewy przegub, drugą złapała czarny palec i gwałtownie odgięła go w tył. Kość trzasnęła jak wyschnięty patyk, skóra pękła. Z rozłamanego palca wydobył się wstrętny odór, niczym z otwartego grobu, aż się zakrztusiła.

Sauromicjan wygiął się w łuk i dostał drgawek; jego ciało wiło się po ubitej czerwonej powierzchni ulicy. Z najtajniejszej głębi mężczyzny wydobył się niesamowity lament, przyprowadzając Riane o lodowaty dreszcz. Jego ciało nagle pokryła mleczna ciecz, sącząca się z każdego otworu, każdego poru skóry. Niemal natychmiast zmieniła się ona w ciemniejszy opar, promieniujący takim żarem, że Riane chwiejnie się cofnęła w ramiona Othnama.

–Cóż to, na Jiharrego...!

Ten ohydny proces rozkładu zahipnotyzował całą trójkę. Ciało zadygotało w ostatnim, strasliwym spazmie, lament gwałtownie ucichł, opar zniknął, przez chwilę trwał jedynie szkielet, którego kości miękły i rozpuszczały się, wsiąkały w ziemię.

Bronnn Palln rozmyślał, jak by tu się zbliżyć do Marethyn Stogggul. Prawdę mówiąc, od czasu pamiętnego przyjęcia w rezydencji Dobbro Mannksa o niczym innym nie myślał, dziewczyna śniła mu się po nocach.

Wreszcie postanowił ją odwiedzić wtedy, kiedy będzie zupełnie bezbronna. Godzinę

po tym, jak zamknęła swoje atelier przy ulicy Wróżb, wylądował prywatnym poduszkowcem na małej polance w pobliżu głębokich stawów, kilka kilometrów na północny wschód od Axis Tyr. Marethyn, klęcząca obok jednego ze stawów, podniosła wzrok i Palllna ucieszyło widoczne w jej oczach przerażenie.

–Co tutaj robisz, Bronnnie Palllnie? – spytała urywanym głosem.

–Poluję. – Wyjął z kabury sportowy joniczny pistolet. – Jak wiesz, Kundala słynie z dużych drapieżników. – Ruszył ku niej. – Taka bezbronna Tuskugggun jak ty nie powinna tu sama przebywać, bo to niebezpieczne.

–Niepotrzebnie się martwisz. Bywam tu od dziecka i nigdy nic się nie stało.

Chciała wstać, lecz ciężka łapa spoczęła na jej ramieniu i przytrzymała ją.

–No to miałaś ogromne szczęście. – Pallln wymachiwał jonicznym pistoletem. – Ale nigdy nic nie wiadomo. Podobno widziano tu perwillony.

–Perwillony mieszkają w jaskiniach.

–Taaak? – Zesznurował usta. – A skąd to Tuskugggun ma taką wiedzę? – Uśmiechnął się znacząco. – Pewnie od Soronna SaTrryna, co?

–Ja... ja nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Bronnn Pallln spojrział na nią tak pobłażliwie, jak Genomatekcy patrzyli czasami na Terretta.

–Jesteś artystką, nieprawdaż? Mnie tam sztuka w ogóle nie interesuje. Prawdę mówiąc, nie potrafię pojąć, po co w ogóle istnieje. Zastanawiam się, dlaczego poświęcasz się jakimś bzdurom, kiedy mogłabyś zająć się czymś pożytecznym, na przykład wychowywaniem dzieci.

–O co ci chodzi? Czego chcesz?

Bronnn Pallln czuł, jak Marethyn napina mięśnie pod jego dłonią.

–Jestem nadzwyczaj zajęтым V'ornnem. A cóż mi zajmuje tyle czasu? Tropienie zdradzieckiej działalności twojego kochanka, Soronna SaTrryna.

–On nie jest moim...! – krzyknęła, bo wbił jej paznokcie w ramię.

–Nie przerywaj mi ani nie zaprzeczaj, Marethyn. To pierwsza lekcja, którą powinnaś zapamiętać.

Nie odpowiedziała, lecz jej falująca w przyspieszonym oddechu pierś zdradzała, jak

bardzo ją wystraszył. Palln, zadowolony z tego i pewny sukcesu, podjął:

–Zjawiłem się tu dzisiaj, żeby cię przez grzeczność ostrzec. Przez wzgląd na kontakty z twoją rodziną i respekt, jakim darzę twojego brata. Twój związek z Sornnnem SaTrrynem, nie trudź się zaprzeczaniem, proszę, to tragiczna pomyłka. Narażasz się na ogromne niebezpieczeństwo.

–Co takiego? Co masz na myśli?

–Po pierwsze, Sornnn SaTrryn nie nadaje się na naczelnego faktora. Pomijając fakt, że zbyt wiele czasu spędza w Korrushu, a za mało się zajmuje swoimi obowiązkami w Axis Tyr, to wobec innych Bashkirów zachowuje się arbitralnie i arogancko, co nasila tarcia pomiędzy konsorcjami, zamiast je łagodzić.

–To, co mówisz, jest niedorzeczne, zawistne. Nienawidzisz go, bo pragniesz jego stanowiska.

–Po drugie – kontynuował Bronnn Palln – jak już mówiłem, jest zdrajcą.

Marethyn zaśmiała się cierpko.

–Musisz mnie uważać za kompletną idiotkę.

–Wtedy bym się tu nie zjawił. Pozwoliłbym, żeby cię stracili razem z twoim kochaniem. Ale nie dopuszczę do tego. – Pochylił nieco głowę. – Wysłuchaj mnie uważnie, Marethyn. Mam dowód, że to on jest Bashkirem sprzedającym khagguńską broń kundalańskiej partyzantce. To wcale nie takie absurdalne, biorąc pod uwagę jego zboczoną miłość do Korrushu. – Tak jej wbił palce w mięśnie, że aż się skrzywiła. – Dobrze ci radzę, żebyś go rzuciła, zanim twój brat dowie się o jego przewrotności. Jeżeli tego nie zrobisz, to... cóż, lepiej ode mnie znasz Kurgana Stogggula. Sama się domyśl, co z tobą zrobi.

–Nie chcę tego słuchać.

–Ale musisz. Dla własnego dobra.

Łzy napłynęły Marethyn do oczu, szloch wyrwał się jej z piersi.

–Wiesz, co to oznacza.

–Tak. Widzę, że kochasz Sornnna SaTrryna, ale on cię oszukał. Najwyraźniej chciał cię wykorzystać jako przykrywkę dla swoich zdradzieckich działań.

–Nigdy mnie nie kochał – lamentowała Marethyn. – Wykorzystywał mnie.

–Przykro mi, że musiałem cię tak szorstko potraktować, ale co innego mogłem

zrobić, skoro jesteś tak uparta i nieustępliwa? – Bronnn Palln puścił dziewczyną, uniósł jej zalaną łzami twarz, tak że spojrzeli sobie w oczy. – Istnieje jednak sposób, żeby cię ocalić.

–Naprawdę?

Uśmiechnął się, słysząc w jej głosie nutkę służalczości. Do tej pory nikomu się nie udało złamać Marethyn Stoggul.

Przyjrzał się jej bacznie i dostrzegł to, co jej okropny charakter dotąd przesłaniał. Była piękną, godną pożądaną Tuskuggun. A może, pomyślał, jak to wszystko się już skończy, wezmę ją do łóżka albo nawet się z nią ożenię, zrobię jej dziecko i zmienię ją w prawdziwą Tuskuggun? Im dłużej o tym myślał, tym bardziej mu się ten pomysł podobał. No bo cóż lepiej scementuje jego związek z Konsorcjum Stoggulów? Kurgan będzie musiał respektować V'ornna, który okiełznał jego krnąbrną siostrę. Podniósł ją.

–Wiem, że Sornnn SaTrryn zabrał cię do swojego składu. Miejsca swojej zdradzieckiej działalności.

–Do tego służy ten budynek? A zastanawiałam się, czemu trzyma tam tak wiele kundalańskich przedmiotów. – Znowu zaczęła płakać.

Głupia Tuskuggun, pomyślał Bronnn Palln; przepelniona emocjami, nad którymi nie panuje, więc łatwo zapanować nad nią i wykorzystać ją. Przysunął twarz do jej twarzy.

–Marethyn, zaprowadzisz tam generała polnego Lokcka Werrrenta i będziesz wolna i bezpieczna, a Sornnn SaTrryn zostanie aresztowany i oskarżony o zbrodnie przeciwko V'ornnom.

Spojrzała mu głęboko w oczy, usta miała leciutko rozchylone.

–Przysięgniesz mi to, Bronnnie Pallnie? Inaczej go nie zdradzę.

Bronnn Palln pocałował ją najpierw w jeden policzek, potem w drugi.

–Marethyn Stoggul, na wszystko, co ma dla mnie znaczenie, przyrzekam cię chronić i opiekować się tobą.

–To równie oczywiste jak paskudna blizna na twojej gębie. Wojna zacznie się od Jeni Cerii.

–To zbyt oczywiste. Zacznie ktoś inny. Powiedziałbym, że pierwsi uderzą Rasan Sul. Od lat szukali sposobów na powiększenie swoich terenów zbierania korzeni.

Dwaj pałacowi strażnicy przy bramie dla dostawców zawzięcie dyskutowali, kiedy Riane pojawiła się przed nimi. Spodziewali się Ghora, więc dali znak, że ma wejść. Nasunęła sinschal na czoło, pochyliła głowę, wpatrując się w czubki poplamionych i zakurzonych kapci, ale strażnicy tak byli pochłonięci gorączkowymi spekulacjami, że nie musiała się nimi przejmować.

Kiedy już była w środku, szybko i cicho dotarła do haanjhala. Tam powiedziała jednemu z saddda, że kapudaan chce, by mu przyprowadzono pierwszą ajjan. Sprowadzono Tezziq. Riane ujęła ją za ramię i pociągnęła za sobą korytarzem.

Tezziq w języku migowym wymyślonym przez Makktuuba nieustannie pytała, czego kapudaan od niej chce. Riane nie zważała na to, szukając jakiejś pustej komnaty. Wreszcie znalazła, wciągnęła Tezziq do środka i częściowo odkleiła fałszywą brodę.

–Riane! – Tezziq szeroko otworzyła oczy. – Żyjesz!

–Jasne, że żyję. – Riane ją uściskała.

–Ale sądziłam... Baliq powiedział, że zeskoczyłaś z tarasu i zabiłaś się. Nie uwierzyłam mu, ale po pałacu zaczęła krążyć taka sama plotka. I oto jesteś.

–Obiecałam – powiedziała Riane, odsuwając ją od siebie na długość ramienia. – A teraz cię stąd wyprowadzę, lecz najpierw muszę odzyskać coś, co mi skradziono.

–Co?

–Powiedz, czy kiedy byłaś z Makktuubem, zauważyłaś wysoką postać w lśniącej zbroi?

–Gyrgona? Tak. Wiem o nim. Makktuub czasem o nim mówi, później.

–Czy on mieszka w pałacu?

Tezziq potaknęła.

–W małej i skromnej izdebce, jak dla żebraka, przylegającej do komnat kapudaana.

–Zaprowadź mnie tam.

–Nie, nie mogę! – Piękną twarz Tezziq wykrzywił grymas przerażenia. – Błagam cię. Poproś o coś innego.

Riane złapała ją za ramię.

–Koniecznie muszę odzyskać to, co Gyrgon mi ukradł.

–Widziałam, jak bucha z niego zimny ogień. Widziałam, do jakiego okrucieństwa jest zdolny.

Tezziq drżała, ale skinęła głową, wzięła Riane za rękę i ruszyła płataniną korytarzy. Ilekroć zbliżały się do jakiegoś strażnika, Riane szła przodem, jakby to Ghor, duchowy przewodnik kapudaana, prowadził Tezziq. I w taki sposób przeszły od haanjhala do komnat Makktuuba.

–To tutaj – powiedziała Tezziq, dygocząc i nieruchomiejąc przed wejściem do namiotu. – Pozwól mi tam zajrzeć i sprawdzić, czy on jest.

Riane patrzyła niespokojnie, jak Tezziq przecina korytarz i wślizguje się do namiotu. Panowała cisza. Po chwili Tezziq wysunęła głowę i dała znak.

Izdebka mocno pachniała olejkiem goździkowym i palonym piżmem. Różniła się od wszystkich innych pomieszczeń w pałacu, a pewnie i w całym Agachire. Nie było tu poduch ani dywanów, niskich grawerowanych stolików z brązu czy jakichś ozdób. Prawdę mówiąc, znajdował się tam jedynie metalowy jajowaty pojemnik, długości jakichś trzech metrów. Wygrawerowano na nim napis w v’omnańskim.

Dziewczęta stały nieruchomo i w milczeniu patrzyły na wielki pojemnik.

–Co tam napisano? – wyszeptała Tezziq.

–K’yonnno – odszepnęła Riane. – To gyrgońska teoria Ładu i Chaosu.

–Nie rozumiem. – Tezziq zmarszczyła brwi.

–Pierwsze prawo K’yonnno mówi, że hipostaza i harmonia są równoznaczne. Mówi się, że Gyrgoni chcą znaleźć klucz do nieśmiertelności, która, jak się nad tym zastanowić, jest krańcową hipostaza i, przynajmniej w ich pojęciu, niebiańską harmonią.

–Ale Jiharre naucza, że wszystko ma swój czas, miejsce i cel. To trzecie nie może istnieć bez dwóch pierwszych. – Tezziq się wzdrygnęła. – Nie potrafię sobie wyobrazić czegoś okropniejszego od bezcelowego życia.

–Zgadzam się z tobą – odparła Riane. – I to nas tak bardzo różni od Gyrgonów.

–A co to takiego?

–Nie jestem pewna – Riane podeszła do dużego pojemnika – ale coś mi się wydaje, że Gyrgon w tym śpi.

Położyła dłonie na grubej wypukłej pokrywie. Była gładka i tak lśniąca, że ujrzała

odbicie Ghora, za którego się przebrała. Musnęła kolczyk w nozdrzu. Potem znalazła zatrask pojemnika, zwolniła go i wyprostowała się. Pokrywa uniosła się cicho i Riane zajrzała do środka. Zobaczyła zespół obwodów sieci neuralnej. Podłączone w niektórych miejscach do sieci przewody i giętkie łącza leżały zwinięte, czekając na Gyrgona, by podłączyć się do jego biozbroi.

Przyjrzała się dokładniej i zauważyła w płataninie małą czarną paczuszkę. Opończa Nith Sahora. Sięgnęła po nią, lecz w tej samej chwili Tezziq złapała ją za ramię i bezgłośnie wyszeptała:

–Ktoś nadchodzi.

Riane weszła do pojemnika, wciągnęła za sobą przerażoną Tezziq i opuściła pokrywę. W samą porę, bo głosy już rozbrzmiewały w pokoju. Gdy tylko pokrywa się zamknęła, sieć neuralna się włączyła, bez wątpienia zamierzając uspić Nith Settta. Było tam mnóstwo miejsca; sypialny pojemnik okazał się dwa razy głębszy, niż to się na pierwszy rzut oka wydawało.

Riane wsłuchiwała się w głosy i rozpoznała Makktuuba. W słabym świetle wskaźników sieci neuralnej zobaczyła raczej, niż usłyszała, jak Tezziq wymawia imię jego rozmówcy: Sawakaq. Był to kapłan, który zaprowadził ją, Othnama i Mehmmer do kapudaana.

–...powinno się zacząć dwadzieścia minut temu – mówił Makktuub.

Riane przemieściła się w drugi koniec sypialnego pojemnika, żeby lepiej słyszeć.

–Ghor punktualnie przeszedł przez bramę dla dostawców. Pytałem strażników – odparł Sawakaq. – Potem zniknął.

–Wewnątrz pałacu? – W głosie Makktuuba słyhać było gniew. – Kolejny dziwny i niewytłumaczalny przypadek, który trzeba dopisać do tych, które się ostatnio wydarzyły.

–Co najmniej niepokojący – przyznał Sawakaq. – Radzę podwoić strażę w pałacu.

–Wspaniałe zabezpieczenie, chyba że Jeni Cerii właśnie na to liczą. Nie, lepiej rozkaż, żeby podwoili patrole na granicy z Jeni Cerii. Jeżeli znów zechcą się zamęt w Agachire, to spotka ich przykra niespodzianka.

–A co z Gyrgonem? – zapytał Sawakaq. – Wyraźnie polecił, żeby go informować o wszelkich zmianach w naszych planach.

–Jak widzisz, jesteśmy w jego pokoju. Przyszliśmy, żeby go poinformować, ale go tu nie ma, a on sam nikogo nie powiadamia o swoich zamiarach. – Głos Makktuuba

stał się bardziej przytłumiony, co świadczyło o tym, że kapudaan podszedł do wyjścia. – Odnajdź Ghora. Wykorzystaj wszelkie możliwości, bo chcę, żeby go bezzwłocznie do mnie przyprowadzono.

–Tak, kapudaanie.

Przez chwilę słyhać było oddalające się kroki, a potem zapadła cisza. Riane wstrzymała oddech. Leżała tuż przy Tezziq, czuła ciepło jej ciała, widziała wewnątrz sypialnego pojemnika odbijające się w szklistych oczach. Usta Tezziq były rozchylone, jakby chciała coś powiedzieć.

–Chwileczkę – szepnęła Riane. Uniosła ręce i popchnęła pokrywę.

Najpierw pomyślała, że pokrywa się zatrzasnęła albo zaklinowała, i aż się spociła. Ale chyba po prostu trudniej było ją unieść, kiedy się kucało w środku, niż kiedy się stało na zewnątrz, bo kiedy Riane bardziej się przyłożyła, pokrywa drgnęła. Dziewczyna powoli wstała, a do środka wpadło światło.

Oczy Tezziq były na wpół zamknięte, źrenice ciemne i rozszerzone. Riane przyłożyła ucho do jej piersi i wyczuła płytki, nierówny oddech.

–O nie, na N'Luuurę! – szepnęła.

Przewody, niczym żywe stworzenia, wniknęły w ciało Tezziq w zgięciu łokci, w tylnej części ud, przez pępek.

Konara Inggres zapaliła modlitewną świecę i poczuła znajomy zapach pomarańczy i bylicy. Przyglądała się płonącemu knotowi, uplecionemu przez leyna, zwęglonemu na czubku. Przypatrywała się też samej grubej świecy: воск był cętkowany i pięknie prześwitywał, niczym wiekowa skóra. Pamiętała, jak robiła podobne świece, kiedy była nowicjuską, i doświadczyła poczucia ciągłości dzięki temu wspomnieniu. Na zniszczonym drewnianym stole stał cynowy półmisek, do którego wrzucano resztki grubo krojonego owsianego chleba, żółte i błyszczące na wpół stopionym corzym masłem. Ten znajomy widok dawał jej ukojenie, więc zeszła tego wieczora do refektarza. Jako dziecko często się tam zakradała w tym samym celu. Tego wieczoru nękał ją niepokój. Do jej hermetycznego świata, w którym się urodziła i spędziła całe życie, nagle coś się wdarło, a najgorsze było to, że nie miała pojęcia co i w jakim celu.

–Wiedziałam, że cię tu znajdę.

Drgnęła, chociaż rozpoznała głos. Pojawiła się szeroko uśmiechnięta konara Lyystra.

–Chociaż Matka się w to wszystko wmieszała i uwolniono nas od karnych

obowiązków, coraz rzadziej się widzimy.

–Inne obowiązki przeszkadzają – odparła obojętnie konara Inggres. Trwała nieruchomo, kiedy konara Lyystra sadowiła się naprzeciwko niej przy stole. Powstrzymana siłą woli panika na chwilę nią zawładnęła, aż zadygotała. – Ostatnio tyle się zmieniło.

–Mówisz pewnie o nagłym zgonie konara Urdmy.

–Między innymi.

Szeroki uśmiech nigdy nie znikał z twarzy konara Lyystry.

–Naczyńko pękło jej w głowie. To była wada wrodzona, o której nikt nie wiedział i nikt nie podejrzewał.

–Są też inne sprawy – odezwała się nieufnie konara Inggres.

–Czyżbyś miała na myśli konara Barttę? Wiedziałyśmy, że coś nie jest w porządku, kiedy się znalazłyśmy w izdebce, w której ukryła had-atta. Sama mówiłaś...

–Wiem, co mówiłam – przerwała jej nieco zbyt ostro konara Inggres.

Konara Lyystra przekrzywiła głowę.

–Żeby wyłuskać konara Barttę z hipostazowej sieci, trzeba było kogoś z magicznymi zdolnościami Matki. Wiedziałaś. Instynkt cię nie zawiódł.

Konara Inggres objęła się ramionami. Przerażało ją to, że wyraz twarzy konara Lyystry nigdy się nie zmieniał. Ani to jej nieco szkliste spojrzenie. Od tamtej nocy, kiedy się zjawiała Giyan. Co się wydarzyło w gabinecie konara Urdmy, kiedy Lyystra poszła przywitać Giyan? Konara Lyystra nie wspominała o tym, a w miarę upływu czasu konara Inggres coraz bardziej bała się pytać.

–Nie wydajesz się zbyt zadowolona z jej powrotu – powiedziała konara Lyystra, wyrывая Inggres z zadumy.

–Niewiele wiem o Giyan.

–Miałam na myśli konara Barttę.

Ten szeroki uśmiech działa mi na nerwy, pomyślała konara Inggres, zupełnie jakby Lyystra wiedziała coś, o czym nie wie nikt inny.

–Wiem, co sądzisz o konara Bartcie. Ale zapewniam cię, że teraz, kiedy jest tutaj Matka, wszystko będzie w porządku.

Konara Inggres uznała, że uśmiech Lyystry jest zdecydowanie złowrogi. Wystraszyło ją jeszcze jedno: przyjaciółka powiedziała „wiem, co sądzisz o konara Bartcie”, jakby nigdy nie podzielała jej niechęci do Bartty. To dlatego Inggres starała się jej unikać, a kiedy, tak jak teraz, to się nie udawało, była powściągliwa i nieufna.

–Z czasem na pewno zacznę myśleć tak jak ty – skłamała.

Konara Lyystra sięgnęła po kawałek owsianego chleba i włożyła go do ust, a jej szeroki uśmiech nie zmienił się ani odrobinę. – Wspaniale – rzekła. – Wszystkie na to liczymy.

17. Chimera

Nim na dobrze rozgościła się wilgotna, bezksiężycowa noc jesiennych idów, nadciągająca zima zniszczyła ostatni wędnący liść. Na Morzu Krwi kołysały się światła okrętu Couriona, smaganego falami. Cztery latarnie, wymyślnie ozdobione niczym głowa Sarakkona, rozmieszczono po jednej na wypukłym dziobie i smukłej rufie oraz na śródkręciu – na bakburcie i sterburcie.

Courion robił wrażenie. Jak większość Sarakkonów był wysoki i smukły, dobrze umięśniony i wysportowany. Miał gładką twarz o wysokich kościach policzkowych i władcym wyrazie, ciemne inteligentne oczy, lekko wygięte usta, przez co stałe wyglądał na nieco rozbawionego, i połyskliwą, czerwonawą skórę. Wygoloną, podłużną czaszkę pokrywały wytatuowane tajemnicze symbole, które widać było również na krzepkich ramionach wyłaniających się z kamizeli z rekiniej skóry. Miał gęstą czarną brodę, kręconą i namaszczonej olejkami, w którą wplatał rany wycięte z lapis lazuli i jadeitu. Palce ozdobił wielkimi pierścieniami z gwiazdnymi szafirami, rubinami i rysimi oczkami. Końce szerokiego pasa z wysuszonej morskiej winorośli, splecionego w wymyślnie węzły, zataczały krótki łuk przy każdym przechylenie statku. Kurgan zauważył, że układ węzłów jest inny u każdego Sarakkona. Były one ogromnie ważne, ale żaden V'ornn nie miał pojęcia, co oznaczają.

–Od kiedy zostałeś regentem, nie widzieliśmy cię aż do dzisiejszego wieczoru – odezwał się Courion. – Nawet na kallistotos.

Kurgan się roześmiał. Obserwował linkę swojej wędki, zrobioną z ogona rai, który sam wyprawił w mieszaniu rtęci i morskiej soli, tak by zwiększyć wytrzymałość i zachować giętkość.

–Bardzo się nudzimy, pozbawieni wspaniałej rozrywki, jaką jest zakładanie się przeciwko tobie.

–Pewnie chciałbyś mnie skłonić do powrotu na ring.

–Dobrze walczyłeś, z odwagą godną wojownika.

Kurgan kiedyś nierozważnie się założył z sarakkońskim kapitanem i przegrał zakład. Ponieważ nie mógł zapłacić, Courion zażądał, żeby walczył w kallistotos. Zyskał przez to wśród Sarakkonów niejaki respekt, co się nie udało żadnemu innemu V'ornnowi. No, może z wyjątkiem Nith Batoxksa.

–Ale teraz jestem regentem, a regent Kundali ma więcej spraw na głowie niż tylko kallistotos.

–To wielka szkoda.

–Zawsze jednak znajduję czas na trenowanie sztuk walki. – Kurgan musiał mówić, żeby przepona powstrzymywała jego trzy żołądki od zbuntowania się, V'ornnowie z

natury nie lubią morza.

–To dobrze – stwierdził Courion. – Sprawne ciało to zaleta.

Kurgan mógł, rzecz jasna, zobaczyć się z Courionem w dowolnie wybranym miejscu, lecz potraktował tę rybacką wyprawę jako próbę swojej wewnętrznej siły. Prawdę mówiąc, nie pragnął być taki jak wszyscy inni V'ornnowie, Nith Batoxxx zaś – tak oportunistyczny jak Kurgan wywrotowy – pielęgnował tę jego nietypową cechę.

–Muszę mieć oko na całą planetę. Przeważnie nudna robota, chociaż czasem mnie zaskakuje.

–Czemu? Te trybiki i ośki, cała maszyna jest okropnie jednostajna.

–Masz, oczywiście, słusność – zgodził się Kurgan. – Ale kompensuje mi to bliższy kontakt z Bractwem Gyrgonów.

–Z tego, cośmy się o was, V'ornnach, dowiedzieli, wynika, że to dotyczy każdego regenta. – Courion parę razy szarpnął w górę wędkę.

Kurgan stanął w nieco szerszym rozkroku, żeby go nie rzuciło na gładki drewniany reling rufowy.

–A zwłaszcza z Nith Batoxxxem. Pamiętasz go. Spotkałem go na tym statku.

–Na pewno nie zapomnielibyśmy Gyrgona. – Courion mocno szarpnął wędkę, kij mocno się wygiął.

–Możesz wierzyć lub nie – Kurgan mówił lekkim, niemal żartobliwym tonem – ale ciekawi go coś kundalańskiego. Siedem portali do krainy bogactw, tak przynajmniej twierdzi.

–Oho! To coś dla nas! – wykrzyknął Courion. – Pragniemy bogactw!

–Wątpię, czy mówi mi całą prawdę. Wiesz coś o tych portalach?

Courion potrząsnął głową.

–Niestety, nie. – Wzruszył ramionami. – Jedyne portale, jakie znamy, są na naszym okręcie.

–A tak w ogóle to co Nith Batoxxx robił na twoim okręcie?

–Pomóż mi teraz – rzekł krótko Courion. Trzymał mocno wędkę i zaczynał nawijać linkę. – Chyba złapaliśmy największą z chimer.

Nagle, jakby na potwierdzenie jego słów, morze zaczęło się burzyć niecałe trzy metry od rufy. Kurgan zobaczył coś, co go przeraziło. Z wody wyskoczył wielki stwór.

Właściwie mignęło mu tylko ciemne, lśniące cielsko, prawie w całości składające się z monstrualnego łba, które natychmiast zniknęło w rozbryzgach piany. Courion, zapierając się o reling rufowy, ciągnął ile sił.

–Matko Yahe, to ta czarna! – zawołał Courion.

Nadbiegła cała załoga, zarówno ci, co utrzymywali kurs, jak i ci, którzy skończyli służbę lub byli pod pokładem, i Kurgan słyszał, jak krzyczeli coś do siebie, podekscytowani. Najwyraźniej chimera takich rozmiarów trafiała się rzadko, i to na dodatek czarna jak smoła! Byli ogromnie podnieceni. Akurat w tym momencie chimera znów wyskoczyła z wody, więc wszyscy, w tym i Kurgan, dobrze się jej przyjrzeni. Była olbrzymia, może osiągała nawet połowę długości statku, z długim, zwężającym się ku końcowi, rozszczepionym ogonem, ostrym jak nóż, i sterczącymi z grzbietu trzema groźnie wyglądającymi płetwami. Czarna barwa jej skóry robiła niesamowite wrażenie w migotliwym blasku latarni, przez co chimera wyglądała na większą i groźniejszą, niż w istocie była. Lecz najohydniejsza była jej paszcza, na pozór tak duża jak ona sama. Kiedy stwór był w powietrzu, skręcił muskularne ciało i Courionem rzuciło o reling. Zimne czerwone ślepie wpatrzyło się z wściekłością w sarakkońskiego kapitana. Potem stwór znów zanurzył się w fale, wzbijając fontannę, która przemoczyła Couriona, Kurgana i wielu z załogi.

Wszyscy wyjrzeni za burtę. Woda, wzburzona dziką szarpaniną stwora pragnącego się uwolnić z haka, fosforyzowała. A Courion wciąż wyciągał wędkę, nawijał linkę i poluzowywał ją, kiedy chimera znów wyskakiwała. W ciągu następnych kilku godzin stwór próbował wszystkiego, nawet przepłynął pod statkiem. Courion twierdził, że po to, by kil przeciął linkę.

–To by oznaczało, że ma wolę – odezwał się Kurgan. Był już zmęczony i wyobrażał sobie, jak Courion musi być wyczerpany. – A wola oznacza świadomość.

–Nie znasz tego potwora – stwierdził zwięźle Courion, skracając linkę. – Matko Yahe, znów ucieka.

–Czemu nie pozwolisz, żeby cię zluzował ktoś z załogi, choć na krótko?

Courion potrząsnął głową.

–Bo wtedy wyciągnięcie chimery nic by nie znaczyło. Każdy musi się tym zajmować sam, dopóki trwają łowy i stwór jest poza statkiem.

Kurgan, obserwując napięte mięśnie ociekającego potem Couriona, musiał

podziwiać odwagę i hart sarakkońskiego kapitana. Nawet Khaggun z satysfakcją patrzyłby na tę nieustępliwość.

Kiedy Courion wreszcie zdobył przewagę nad wielką chimera, było już po północy. Stwór po raz ostatni, raczej bez przekonania, spróbował uciec, potem obrócił się do góry brzuchem i Courion energicznie zaczął nawijać linkę, przyciągając go coraz bliżej do rufy statku, na której stali, wyczerpani. Już prawie od godziny u boku Couriona stał jeden z marynarzy, mocno trzymając w sękatej dłoni długi drąg zakończony hakiem z brązu.

–Blisko – odezwał się cicho Courion. – Już bardzo blisko.

Trzymał wędkę niemal pionowo, a wyczerpana chimera kołysała się coraz bliżej nich. Kurgan bacznie obserwował stwora, a widok ogromnej paszczy, połyskującej wieloma rzędami trójkątnych, ostrych jak igły zębów, od czasu do czasu bezradnie kłapiących, nie był mu zbyt miły.

–No dobrze – rzekł do niego Courion. – Jak już będzie przy burcie, damy ci wędkę. Trzymaj ją dokładnie pod tym kątem, jaki jej nadamy, i nie zdejmuj ręki z kołowrotka, żeby linka się nie poluzowała. – Spojrzał na Kurgana. – To ogromnie ważne, bo jedynie linka trzyma chimere. – Uśmiechnął się szeroko pomimo wyczerpania. – Nie martw się. Będziesz trzymał wędkę tylko przez chwilę, żebym mógł stwora wyciągnąć osęką.

Chwilę później chimera uderzyła o kadłub i statek zadygotał. Z bliska była tak ogromna, że Kurgan z trudem to pojmował. Jego umysł bardzo chciał zmniejszyć stwora przynajmniej o połowę.

–Trzymaj pod takim kątem – odezwał się Courion, podając mu wędkę. – Tak, dokładnie tak. – Troszkę poprawił. – Oprzyj się udami o reling i, na litość Yahe, nie popuść kołowrotka, bo stracimy chimere.

Kurgan kiwnął głową i Courion cofnął dłoń. Chłopak czuł drgawki stwora, jakby to były sejsmiczne wstrząsy przenoszone przez napiętą linkę i wędkę. Chimera wyglądała na spokojną, bardziej martwą niż żywą, sądząc po czerwonym ślepiu z boku długiego zwężającego się łba, zamglonym i nieruchomym, wpatrującym się w przestrzeń. Omywały ją przejrzyste fale i uderzały nią o kadłub. Oko pozostawało nieruchome.

Courion wziął od marynarza długą osękę, wychylił się przez reling i machnął osęką ku chimierze. Wprawnym ruchem wbił hak w górę paszczy bestii, żeby lepiej mu było manewrować. W tym czasie marynarze opuścili blok i wyciąg z grubym łańcuchem, nawiniętym na ręczny kołowrót, żeby łatwiej wydobyć chimere z wody. Courionowi pozostawiono zaczepienie bestii o potężny hak, zamocowany w wyciągu,

opuszczanym aż do pienistych grzbietów fal.

Kurgan poważnie potraktował swoje zadanie. Wiedział, że nie jest w swoim żywiole, więc zdał się na doświadczenie sarakkońskiego kapitana, ufając, że z każdym wykonanym poleceniem nauczy się czegoś, o czym żaden V'ornn przed nim nie miał pojęcia. Toteż skupił się na utrzymaniu odpowiedniego kąta nachylenia wędki i dbał, żeby linka się nie poluzowała. Prawa dłoń aż mu zbieleła, tak mocno ją zaciskał na kołowrotku. Drżał lekko, ale nie ze strachu, lecz z radości, że uczestniczy w rozstrzygającym momencie tych nadzwyczajnych łowów. Oczy trochę go piekły od przesyczonego solą wiatru, nozdrza mu się rozdymały, wciągając woń krwi chimery, ciekącej z miejsca, w które wbił się głęboko hak i które dodatkowo poszarpał zadziorowaty koniec Courionowej osęki.

Opuszczono blok i wciąg, a Courion częściowo wyciągnął z wody łeb chimery. Prawie do połowy wychylał się poza reling. Tę część manewru – biorąc pod uwagę rozmiary stwora i haka – należało wykonać bardzo uważnie. Jeszcze trochę uniósł osękę, wyężdżając siły i o kilka centymetrów wyciągnął chimerę nad powierzchnię wody.

W tej chwili wydarzyło się coś niesłychanego. Kurgan, wpatrzony w bestię, związał linkę, w miarę jak Courion wyciągał chimerę z wody, i dostrzegł to, lecz jedynie N'Luuura wie, czy zobaczył to jeszcze ktoś inny.

Wielkie czerwone ślepie, mętne i nieruchome, zniecka mrugnęło i pojaśniało. Umysł Kurgana pewnie nie zdążył pojąć, jakie to ma znaczenie, za to jego ciało – i tak już nastawione na samoobronę – z całą pewnością zrozumiało.

Chimera, dając oszałamiający popis przebiegłości i siły, wyskoczyła ze spienionej wody. Szarpnęła się przy tym w bok od statku, pociągając za sobą osękę i Couriona. Kapitana aż uniosło w powietrze. Uderzył kolanami o górną część relingu i kiedy chimera już opadała do wody, zaczął się przechylać za burtę.

Choć bestia dokonała swego podstępного czynu w czasie nie dłuższym niż jedno uderzenie serc, Kurgan widział to jakby w zwolnionym tempie. Widział wielkie czerwone ślepie płonące wściekłym oburzeniem. Patrzyło na Couriona czy na niego? Nie potrafił tego rozstrzygnąć nawet potem, kiedy już było po wszystkim, lecz nie mógł się wyzbyć niepokojącego wrażenia, że dostrzegł złośliwą inteligencję tam, gdzie się jej najmniej spodziewał. Jednakże w tamtej chwili zareagował instynktownie. Puścił wędkę i złapał Couriona w pasie, wciągał go na pokład i przytrzymał, hak osęki zaś został wyrwany z okrwawionej paszczy chimery.

Riane, pomrukując, usiłowała uwolnić Tezziq od gyrgońskich przewodów, lecz wyładowanie rzuciło nią o ścianę sypialnego pojemnika. Potrząsnęła głową, żeby się w niej rozjaśniło. Tezziq patrzyła na nią szklistymi oczami, bezskutecznie próbowała

coś powiedzieć.

–Spokojnie. Wyciągnę cię stąd.

Omiotła wzrokiem światełka wskaźników rozmieszczonych w neuralnej sieci pojemnika. W takich sytuacjach Annonowa znajomość v'ornnańskiego okazywała się nieoceniona. Riane zmuszała się, żeby czytać powoli i uważnie, tłumiąc niepokój, naglający do wydostania się stąd, zanim ktoś nadejdzie.

Napisy mówiły, że każdy przewód ma odrębne zadanie. Co więcej, każdy ma oddzielne źródło zasilania, więc nie przestałyby działać nawet w jakiejś krytycznej sytuacji. Przewód w pępku dostarczał substancji odżywczych; te w zgięciu łokci – mieszaninę elektrolitów regenerujących, często nadmiernie obciążony, układ nerwowy Gyrgona; te za kolanami zaś przewodziły koktajl związków chemicznych, warunkujących aktywność mózgowych fal delta, czyli najgłębszy sen. Obok każdego punktu zasilania znajdowała się skala pozwalająca precyzyjnie ustalić ilość dostarczanych przewodami płynów. Riane przekonała się, że normalna dawka wynosiła dla Gyrgona około jednej piątej maksimum.

Szybko się zorientowała, że aby odłączyć przewody bez szkody dla Tezziq, należy najpierw odłączyć od sieci neuralnej źródła zasilania. Natychmiast się też przekonała, że kiedy ktoś próbował to zrobić niewłaściwie lub na siłę, od razu włączały się obwody awaryjne. Usłyszała, że Tezziq cichutko chlipnęła, i przerwała.

–Boli?

Oczy Tezziq, o rozszerzonych źrenicach, poruszały się szaleńczo i Riane zaczęła się obawiać, jaki wpływ mogą wyrzeć gyrgońskie związki chemiczne na organizm Tezziq. Dziewczyna sprawiała wrażenie, że śpi z otwartymi oczami, ale czy śniła gyrgońskie sny?

Riane ucałowała spocone czoło Tezziq.

–Wytrzymaj jeszcze trochę – szepnęła. – Raz-dwa cię stąd wyciągnę.

Wróciła do źródeł zasilania, przyjrzała się im dokładniej – były to pulsujące światełkami zestawy baterii żelowych, żel-paki. Kiedy spróbowała odłączyć pierwszy, poczuła szarpnięcie i ból. Potrząsnęła ręką, żeby odzyskać w niej czucie, i spróbowała jeszcze raz. Z takim samym rezultatem. Tym razem odzyskanie czucia w ręce trwało dłużej. Wpatrzyła się w źródło zasilania, intensywnie myśląc. Impuls świetlny pojawiał się co trzydzieści sekund. Dotknęła obwodu pomiędzy impulsami i nie poczuła wstrząsu. Więc zaczęła pracować, licząc bezgłośnie i cofając palce tuż przed pojawieniem się impulsu. Udało się jej odłączyć żel-pak. Wróciła do Tezziq i bez problemu wyciągnęła przewody z jej łokci. Jedynym śladem po nich był obrzęk i zaczerwienienie skóry.

Tezziq cicho jęknęła i wzdrygnęła się. Riane dotknęła jej policzka, a potem wróciła do neutralnej sieci. W taki sam sposób odłączyła drugi żel-pak. Wyjęła przewody z kolan Tezziq.

Jeszcze tylko jeden, pomyślała.

Ale kiedy przyjrzała się trzeciemu żel-pakowi, stwierdziła, że jest on zupełnie inny. Impulsy pojawiały się co pięć sekund. Zbyt mało czasu, żeby zdążyła cokolwiek zrobić. Spróbowała jednak i wytrzymała dwadzieścia sekund, potem ból był zbyt silny. Wsunęła dłonie pod pachy, czekała, aż minie odrętwienie. Przyglądała się impulsom i kiedy poczuła, że palce wróciły do normy, wyjęła kosmiczny brzeszczot i łupnęła nim w żel-pak. Nieznany stop przebił powierzchnię żel-paka i absorbował impulsy, „wypił” energię z żel-paka.

Tezziq leciutko westchnęła, a kiedy Riane wyciągała jej przewód z pępka, krzyknęła, jakby bardzo ją zabolęło. Zacisnęła palce na ramionach Riane, wbiła w nie paznokcie.

Gniew sprawił, że Riane dźgnęła kosmicznym brzeszczotem w ogniwo neuralnej sieci. Trysnęły wzbudzone jony, lecz kosmiczny brzeszczot od razu je wchłaniał i wkrótce sypialny pojemnik został całkowicie pozbawiony energii. Ten akt zniszczenia sprawił Riane satysfakcję.

Chwyciła żel-pak, ukryła go w szatach, a potem wyniosła Tezziq z sypialnego pojemnika. Dziewczyna cicho pojękiwała, jej oczy poruszały się pod na wpół zamkniętymi powiekami. Riane złapała równowagę, rozwinęła opończę Nith Sahora. Minnum mówił, żeby nie posługiwała się magią w Korrushu, chyba że pod kierownictwem Perrnodt, bo inaczej przyciągnie uwagę sauromicjan. Nie miała pojęcia, czy to ostrzeżenie odnosi się również do v'ornnańskiej technomancji, ale i tak nie miała wyboru. Nie mogła wyjść z pałacu w taki sam sposób, w jaki do niego weszła.

Narzuciła opończę na ramiona, uniosła jej skraj wolną ręką, szczelnie otuliła siebie i Tezziq. Poczowała, jak opończa ochronnie je osłania; łagodny półmrok, jak w jaskini, zdawał się ogarniać wszystko. Riane z całej siły przycisnęła Tezziq do siebie i pomyślała o Othnamie i Mehmmer. Włączyły się obwody neuralnej sieci i uniosły je z pałacu.

W późnych godzinach nocnych statek spokojnie płynął z wiatrem do Axis Tyr, Kurgan i Courion zaś rozsiedli się wygodnie w półkolistej kabinie kapitana pod pokładem. Runy wyrzeźbiono lub wygrawerowano na każdej drewnianej i metalowej powierzchni i wytrawiono w każdej szybie. Nad łóżkiem wisiała spreparowana rają; chropowata jasna skóra lśniła od lakieru, przepiękne skrzydła były sztywne niczym kordy.

Courion otworzył butelkę sarakkońskiej brandy, gęstego gorzkawego trunku, którego Kurgan nigdy przedtem nie próbował, ale od razu wiedział, że mógłby doń nabrać upodobania. Przez jakiś czas popijali w kojącej ciszy, co było czymś nowym dla nich obu. Stopniowo zaczęli rozmawiać o tym i owym, lecz nie o tym, że Courion otarł się o śmierć.

Kurgan wdychał aromat osobliwych sarakkońskich korzeni, unoszący się z ich olejków i maści, wyrobów ze skóry i ubrań, z ciemnopomarańczowego wosku, z którego robili formy do swoich tajemniczych run. Czuł pod stopami łagodne kołysanie statku i próbował zgrać swoje ruchy z tym rytmem; V'ornn na oceanie – dziwne i niepokojące zjawisko, bo v'ornnańska tradycja odrzucała oceany i pustynie jako jałowe obszary, pozbawione bogactw, które można by zagarnąć. A oto był tutaj, kołysał biodrami, tak jak to podejrział u Sarakkonów, starał się dopasować swój środek ciężkości do kaprysów fal. Przekonał się, że bardzo mu odpowiada poczucie siły, jakie mu to dawało, to nie znane innym V'ornnom panowanie nad morzem.

–Dobrze się spisałeś – rzekł w końcu Courion. – Ocaliłeś nas przed morzem.

–Cóż za ironia losu, nieprawdaż? – Kurgan pociągnął łyk brandy i trzymał trunek w ustach, dopóki nie poczuł pieczenia.

–Na temat chimery krąży wiele legend. Toteż sarakkońscy kapitanowie szanują ją i zarazem się jej boją – powiedział Courion. – Niewielu by się ośmieliło próbować ją złowić. A jeszcze żaden nie obnosił się z upolowaniem czarnej. Wielu uważa, że igranie z chimerą to szukanie nieszczęścia. A już zwłaszcza z czarną, bo są one nadzwyczaj rzadkie i, w myśl legend, inteligentne.

Kurgan pomyślał o wpatrzonym weń czerwonym ślepiu, które wyraźnie zdradzało złe zamiary stwora.

–Mówisz o czarnej chimerze tak, jakbyś już kiedyś ją spotkał.

–Większość Sarakkonów nigdy jej nie widziała. A my teraz napotkaliśmy taką po raz drugi. Za pierwszym razem byliśmy na pokładzie pierwszego okrętu, na którym służyliśmy, płynęliśmy z Celiocco na Południowym Kontynencie.

–Nie byłeś jeszcze wtedy kapitanem.

–Nie. I przez wiele lat potem też nie. – Courion wpatrywał się w trunek w kieliszku, jakby szukał odpowiedzi na długo nie zadawane pytanie. – Byłem zaledwie niedoświadczonym matem. No i niewielką wagę przykładalem do krążących na wybrzeżu opowieści o kapitanach. Tak się złożyło, że okazały się mniej więcej prawdziwe. Nasz kapitan był zwariowany. O kursie nic nie mówił nawet Pierwszemu. Po dwóch tygodniach rejsu wypatrzyliśmy ogromną czarną chimerę, taką jak ta dzisiaj, i dostaliśmy rozkaz, żeby ją ścigać. Kapitan nalegał, żeby ją torturować przed

zabiciem. Morze było czarne jak noc od jej krwi. Kapitan wyśmiewał się z udręki chimery, a ona w ostatniej chwili zawróciła i staranowała okręt, wybiła dziurę w kadłubie poniżej linii zanurzenia. Statek poszedł na dno jak kamień, z całą załogą. Tylko ja przeżyłem.

–Jak ci się udało...?

–Miałem niezwykle szczęście. – Courion wzruszył ramionami.

–A teraz ty i czarna chimera...

–Związani ze sobą? Załoga rzeczywiście tak myśli.

–A ty?

–Uważam, że to wspaniała historyjka.

Na chwilę zapadła cisza. Kurgan patrzył na Couriona, trochę teraz spiętego, chociaż swobodnie wyciągniętego w blasku lampy. Pomyślał o Wezwaniu, kiedy to Nith Batoxxx celowo ukazał mu jego własny lęk – tonięcie po upadku ze statku Couriona. Ale czy wtedy tonął? Powinieneś się obawiać czegoś innego, powiedział mu Nith Batoxxx, ciekawe, że jeszcze nie wiesz czego.

Czarnej chimery? Ale przed tamtym Wezwaniem Kurgan jeszcze nic o niej nie wiedział. A Nith Batoxxx powiedział, że wszystko to wyczytał w jego umyśle.

–Nie odpowiedziałeś, kiedy pytałem, co Nith Batoxxx robił na twoim okręcie.

–Uważam, że to jego powinieneś o to zapytać.

Kurgan chrząknął.

–Próbowałeś kiedyś zapytać o coś Gyrgona?

Courion odrzucił w tył głowę i zaśmiał się gromko. Kurgan pochylił się ku niemu i cicho, lecz wyraźnie powiedział:

–Wiem.

Courion usiadł prosto.

–Co wiesz, regencie?

Kurgan usiadł obok niego. Rozszerzonymi nozdrzami wdychał korzenny zapach Sarakkona.

–Pogadajmy przez chwilę o interesach. Jak mogę zdobyć trochę salamuuunu?

–Wiesz to równie dobrze jak my. Udaj się na seansik do kashiggenu.

–Tak, oczywiście. Ale wtedy trzeba drogo zapłacić, no i ten ustalony przez Asherów przydział. Tak między nami, musi być przecież jakiś inny sposób.

–Czemu mnie pytasz? – Courion wzruszył ramionami. – Jestem Sarakkonem.

–Właśnie! – Kurgan klepnął się w udo. – Bo cóż Sarakkon wiedziałby o tym, o czym żaden V’ornn, poza Asherami, nie ma pojęcia?

Courion siedział nieruchomo, milczał.

–Nith Batoxxx niezmiernie się interesuje salamuuunem. Nie zaprzeczaj. Wiem, że tak jest.

Kurgan o tym wiedział, bo ujawniła to nielegalna sieć pamięciowa Rady.

–Nie można o tym rozmawiać. – Courion odwrócił wzrok.

–Jeżeli Nith Batoxxx zamierza wyrwać Asherom kontrolę nad handlem salamuuunem, to byłbym tym jak najbardziej zainteresowany. – Kurgan ponownie napełnił swój kieliszek. – Ale jedno ci powiem. Na twoim miejscu byłbym niezmiernie ostrożny, jeżeli on chce cię w to wplątać.

–A dlaczego? – spytał Courion zdławionym głosem.

–Prawdę mówiąc, zaczynam podejrzewać, że zwariował.

Courion zaczął się śmiać.

–Jego zachowanie zdradza, że ma dwie różne osobowości. Nie wierzysz mi? Jego głos czasami staje się złowieszczy i jakby z niego wypływa. I jego postura się zmienia, jedno ramię staje się wyższe od drugiego. Nie zauważyłeś tego?

Sarakkoński kapitan osuszył swój kieliszek. Wyraz jego twarzy nieco się zmienił.

–Przyznaję, że zastanawiałem się nad tymi dziwnymi, krótkotrwałymi zmianami.

–Nasilają się, nieprawdaż? – Kurgan odstawił kieliszek. – Kilka dni temu przyłapałem go na rozmowie z lustrem. Mówił w zupełnie mi nie znanym języku. Już samo to byłoby niepokojące. Ale w lustrze zobaczyłem też jego odbicie.

Statek nieco się zakołysał we wzmagającej się bryzie, potem żagle się wydęły i pomknął ku dzielnicy portowej.

–Co ma pięć oblicz, z tego dwa zwierzęce? – zapytał Kurgan.

Courion potrząsnął głową.

–Upiłeś się, regencie?

–Wiem, co widziałem. Pięć przerażających oblicz, z których każde chciało uzyskać przewagę. Niesamowite, jakby się patrzyło na żyjący, oddychający Chaos.

–Słyszeliśmy, że Gyrgoni mogą przybierać dowolny kształt.

Kurgan potrząsnął głową.

–Nie. To zupełnie co innego. – Przesunął dłońmi po swojej bezwłosej czaszce. – Jest w nim coś niezwykłego. Groźnego.

Courion wzruszył ramionami.

–Wygląda na to, że nie chwytasz, iż Gyrgon z radością daje słowo tylko po to, żeby je złamać. Uwielbiają bawić się nami.

–A czy nie tak postępują V'ornnowie wobec innych ras? – Dzwon obwieścił zmianę wachty i Courion wstał. – Czas wyjść na pokład.

Wdrapali się stromymi schodkami na końcu wąskiego korytarza. Podczas ich nieobecności chmury zasłoniły gwiazdy. Noc była zupełnie czarna. Przed nimi spało Axis Tyr, oplecione siecią świateł. Courion ruszył na dziób, a Kurgan za nim. Kapitan chwycił pokrytą wodorostami linę i wprawnie utrzymując równowagę, postawił stopę na grubszym końcu bukszprytu. Nad ich głowami wydymały się i łopotały żagle.

Courion wydał serię rozkazów. Natychmiast zawrzało, marynarze wspinali się na reje, szykując się do stopniowego zwijania żagli.

–Gyrgoni i tak są groźni – rzekł niecierpliwie Kurgan – nawet jeśli nie są szaleni. Nie wiem, do czego ten jest zdolny.

–Jednego nie rozumiem – odezwał się Courion. – Całej tej rozmowy o Gyrgonie. Przecież do niego należysz.

–Do nikogo nie należę.

–Na tym okręcie złożyłeś mu hołd lenny. Nosisz jego okummmmon.

–Sam go sobie wytnę. Kiedy nadejdzie czas.

–Młodzieńcza głupota! – W głosie Couriona nie było jednak kpiny.

„Powinieneś się obawiać czegoś innego”. Czegóż to należy się obawiać?

–Mówię śmiertelnie poważnie – oznajmił Kurgan. Coś się wydarzyło, kiedy parę dni temu poszedł do willi Starego V’ornna. Nie wiedział co. Jakby mu wyborowano w głowie małą dziurkę, miał lukę w pamięci dotyczącą końca wieczoru, której nie potrafił zapełnić, bez względu na to jak się starał. Bardzo go to niepokoiło. Nienawiść do Nith Batoxxksa sięgnęła szczytu. Kurgana wściekała myśl, że w jakiś sposób nim manipulowano.

Courion się poruszył.

–Dla ciebie zaufanie jest czymś bardzo nieuchwytnym. Nie mylę się chyba, regencie?

–Nie – przyznał Kurgan. – Dla nas, V’ornnów, zaufanie to coś zbyt niepokojącego i trudnego, żeby się go trzymać.

–Wszystko bym oddał, żeby się wyzwolić z poddaństwa Gyrgonom.

–Powiesz mi, dlaczego rozmawia z tobą o salamuuunie?

Byli niczym oaza spokoju pośród krzątający załogi. Nikt do nich nie podchodził ani nawet na nich nie patrzył. Sarakkońska załoga była równie zdyscyplinowana jak oddział Khaggunów.

–Nie pozostaje nam nic innego jak ci zaufać? – stwierdził wreszcie Courion. Pochylił się ku Kurganowi. – Chodzi o salamuuun. Jego chemiczny skład oparł się nawet Gyrgonom, prawda?

–Tak. Kiedy ktoś próbuje zbadać podstawową cząsteczkę, coś ją destabilizuje.

–Tak się składa, że znaleźliśmy naturalny związek, który w dużym stopniu daje taki efekt jak salamuuun. – Sarakkon otworzył wewnętrzną kieszeń skórzanej kamizeli i wyjął coś żółtobiałego, co przypominało kwiat o zniszczonych płatkach. – To oqeyya. – Położył go na dłoni Kurgana. – To grzyb rosnący wyłącznie w kalderze Oppamonifeksa, największego wulkanu na Wielkim Południowym Arryksie. Nith Batoxxx jakiś czas temu zupełnie przypadkiem o tym usłyszał. Był w przebraniu w „Krwistej Fali”.

Kurgan znał to przebranie – Stary V’ornn. Ale nie powiedział tego Courionowi. Oddał mu grzyba.

–Oqeyya suszy się przez trzy tygodnie na dużej wysokości. Potem moczy w gęstej mieszaninie ziół i oleju carna. Potem znów się suszy, wymywa w morskiej wodzie i praży. Zostaje zielony popiół, który ma silne właściwości psychotropowe.

–Czy ta Oqeyya jest dobrym substytutem salamuuunu? – Kurganowi serca mocno biły na samą myśl o dumpingowaniu Konsorcjum Asherów. Ten nowy narkotyk by ich zrujnował.

–Jeszcze nie. Ma jeden czy dwa toksyczne efekty uboczne – przyznał Courion. – Ale Gyrgon nam obiecał, że z jego pomocą raz-dwa się tych ubocznych efektów pozbędziemy.

–Oto moja rada: nigdy nie ufaj Gyrgonowi. A zwłaszcza temu.

–A jaki wybór nam dał?

Kurgan stanął swobodnie, zadowolony z postępów, jakie poczynił tej nocy.

–To już wspólnie musimy ustalić.

Kuomeshale człapały na północ w lekko fioletowym zmierzchu, wzbijając czerwony kurz.

–Czas – odezwał się Othnam – żebyś się czegoś dowiedziała o proroku Jiharrem.

–Koura – powiedziała Mehmmer. – Tak zostało zapisane.

Przed nimi rozciągało się pasmo Djenn Marre, niczym ząbkowany nóż. W charakterystycznym dla stepu świetle góry wydawały się odległe zaledwie o dzień powolnej jazdy. Ich ośnieżone szczyty, błyszczące oślepiająco w cichej przedwieczornej porze, wydawały się nie poddawać nawet nieustannemu wirowaniu Kundali.

Othnam i Mehmmer smagali kudłate boki swoich wierzchowców krótkimi giętkimi prętami. Riane robiła to samo, żeby nie pozostać w tyle. Przerzuciła sobie przez kolana bezwładną Tezziq, której głowa i stopy uderzały o kuomeshala w rytm jego długich kroków. Riane zdjęła z niej szaty ajjan i ubrała ją w skromny strój Ghorów wyjęty z juków Mehmmer. Kierowali się na północ, do miejsca, gdzie Ghorowie zabrali Perrnodt. Zwinięta opończa Nith Sahora była schowana w szatach dziewczyny. Nie przeniosłaby całej czwórki.

–Jiharre żył na dachu świata – rzekł Othnam – na najwyższych szczytach Djenn Marre, gdzie, jak wierzymy, Kundala spotyka się z niebem. Jego słowa przerażały i jego rodzinę, i mieszkańców miasta, którzy byli strasznie zabobonni. Uznali go za czarownika i stronili od niego. Lecz ich niechęć go nie uciszyła. Był prorokiem, a jeżeli jego słowa nie odpowiadały przekonaniom słuchaczy, to trudno. Robił to, do czego został powołany, w co gorąco wierzył, bo inaczej jest się niczym, życie staje się czcze i równie dobrze można się zwinąć w kłębek, zamknąć oczy i czekać na śmierć.

Bladoniebieskie cienie spelzały powoli ze stoków gór, tłumiały blask dnia.

–Jiharre został wypędzony, odseparowany od swojej rodziny i przyjaciół, którzy się od niego odwrócili. Spalili jego ubrania i rzeczy osobiste, rozsypali popioły pomiędzy rozszczepionymi korzeniami mossarchowca i polali je wrzącą wodą, a wszystko po to, żeby go całkiem zapomnieć, żeby już nigdy nie wymówić jego imienia. Jego lud się od niego odwrócił, bo ośmielił się zakwestionować ich wierzenia i przesady, bo wierzył w coś większego, potężniejszego, we władającą kosmosem jednoczącą moc, i właśnie owa moc przemawiała do niego w świętych wizjach, one zaś opowiadały mu o nadciągającym zagrożeniu ze strony wielkiego zła i o tym, co powinien uczynić. I tak Jiharre poszedł sam, bez lęku, na pustkowie Korrushu i założył Za Hara-at, Pięć Ziemijskich Spotkań, miasto o takiej potędze, że chroniło przed odwiecznym zagrożeniem.

Za podróżnikami przycupnęło pasiaste, trochę chaotyczne, oświetlone lampami Agachire, lśniąc na stepie jak rozsypane klejnoty, z krętymi ulicami pachnącymi korzeniami i ba'du, z kolacjami pichconymi na trzaskającym ogniu, z religijnymi śpiewami wznoszącymi się jak wonny dym ofiarny – miasto szykujące się na nadejście mroku i wojny.

Cała trójka jechała blisko siebie, pochylona, żeby się lepiej chronić od wiatru. Riane bolały już nogi od siedzenia pomiędzy garbami, bo kuomeshal był większy i szerszy od cthaurosa. Jedną ręką podtrzymywała Tezziq, a drugą miarowo smagała wierzchowca. Tezziq się nie poruszała, nie odzyskała przytomności i to niepokoiło Riane. Im dłużej ajjan pozostawała nieprzytomna, tym bardziej się o nią martwiła.

–Już dość daleko odjechaliśmy – odezwała się w końcu. – Powinniśmy zająć się Tezziq.

Usłyszeli jej głos pomimo wiatru, lecz nie odłożyli biczy. Riane wbiła pięty w boki swojego kuomeshala, ruszyła galopem i wyprzedziła ich. Wtedy zawróciła gwałtownie wierzchowca, zagradzając tamtym drogę.

Othnam i Mehmmer zatrzymali kuomeshale.

–Nie powinniśmy przystawać – powiedział Othnam. – Bez względu na powód.

–A już zwłaszcza dla ajjan – dodała szyderczo Mehmmer.

–No to jedźcie beze mnie.

Riane uderzyła biczem kuomeshala w czubek łba, jak ją nauczyła Mehmmer, i zwierzę przyklęło najpierw na przednich nogach, potem na dwóch parach tylnych.

–Wiesz, że nie możemy tak zrobić. – Othnam patrzył na nią z góry. – Nie rozumiem.

–Czemu to robisz? – warknęła Mehmmer.

–Bo ona mi pomogła. – Riane poliała wodą z bukłaka policzki i usta Tezziq. – Bo jest moją przyjaciółką.

–Ona jest menne, nieczysta, niewierna – rzekła Mehmmer.

–Nie lepsza od kuomeshala.

–Właśnie tak V’ornnowie myślą o nas – powiedziała Riane. – Niższa forma życia, nadaje się wyłącznie do harowania i umierania.

–Nie powinnaś jej dotykać – ostrzegł Othnam. – Skalasz się.

–Dlaczego? Nie jestem Ghorem.

–Jesteś wysłanniczką Jiharrego – powiedziała Mehmmer.

–Wedle waszej tradycji prorok Jiharre zakwestionował wierzenia i zabobony własnego ludu. Sam mi to powiedziałeś. Jeżeli nie potrafisz wyzbyć się wrogości, to jesteś skazany na śmierć w grze Gyrgonów.

–Perrnodt to dla ciebie najważniejsza sprawa – stwierdził Othnam. – Zaczekamy piętnaście minut, nie dłużej.

Riane, nachylona nad ciałem dziewczyny, wyszeptała:

–Tezziq, Tezziq. Musisz się obudzić. – Uderzała ajjan po policzkach i Tezziq z trudem otworzyła oczy. – O, już lepiej. – Uśmiechnęła się Riane. – Proszę. Jeszcze trochę wody.

Tezziq piła, a Riane dodała:

–Przepraszam. Powinnam lepiej cię chronić. Nie wiem, co bym zrobiła bez twojej przyjaźni. – Wskazała cienie sunące na wschód przez pofałdowany Korrush. – A teraz jesteś tutaj, uwolniona z pałacu, z więzienia.

Tezziq powoli rozejrzała się wokół i zaczęła cicho płakać.

–Ach, Riane, *wa tarabibi*, brak mi słów, żeby ci jak należy podziękować. – Potem uniosła głowę i wzdrygnęła się. – Kto to? Ghorowie? – Głos jej drżał. – Zabiją mnie przy pierwszej okazji.

–To Othnam i Mehmmer, brat i siostra. Owszem, są Ghorami, lecz przysięgli, że będziesz przy nich bezpieczna.

Tezziq przytuliła się do Riane i potrząsnęła głową.

–Nie, nie. Nie znasz Ghorów. To fanatycy. Kłamią i oszukują, jeżeli to służy ich celom. Często to słyszałam od mojej rodziny, zanim mnie tutaj przywieziono.

Riane pogłaskała ajjan po głowie.

–Nie skrzywdzą cię, Tezziq. Przysięgam.

–Wierzę ci, *wa tarabibi* – szepnęła jej na ucho ajjan. – Ale i tak powinnaś mieć na nich oko.

–Będę – obiecała Riane. Posadziła Tezziq obok siebie i dała jej garść suszonych owoców. – Jedz powoli podczas jazdy. Sądzisz, że masz dość sił?

–Dość sił, żeby zrobić wszystko, co zechcesz – odparła Tezziq ze słabym uśmiechem. Potem obrzuciła Othnama i Mehmmer gniewnym spojrzeniem i wsiadła na kuomeshala.

18. Pułapka

Jesteś pewna, że to tutaj? – odezwał się generał polny Lokck Werrrent. – Wiele z tych bashkirskich twierdz wygląda zupełnie tak samo.

Marethyn, stojąca przed wyniosłą fasadą składu, odparła:

–To tutaj.

Na tle ciemniejącego nieba przesunął się khagguński poduszkowiec. Skręcił na południe, błyskając zielokawym strumieniem jonów. W dzielnicy portowej już zapalono światła. Nad areną kalllistotos, niczym krwawiąca rana, rozlewał się jaskrawy blask reflektorów.

–Mogłabyś mi pokazać? – zapytał generał polny. – To znaczy w środku.

Marethyn skinęła głową. Serca biły jej szybko i przywoływała obrazy Tettsie, jazdy na cthaurusie, czerwonozłotych jesiennych lasów. Była przerażona i zarazem rozbawiona. Z wysiłkiem powstrzymywała drżenie.

Werrrent joniczną strzelbą roztrzaskał zamek. Potem dał znak i razem weszli do środka. Uważał, żeby nie dotknąć Marethyn, żeby za blisko do niej nie podejść.

–Chciałbym powtórzyć, że nie jesteś o nic podejrzewana – rzekł szorstko, lecz nie opryskliwie. – Wymaga się od ciebie jedynie prawdy.

–Jasno to oznajmiłeś już na początku – powiedziała Marethyn, doskonale nad sobą panując. – Ale dziękuję za życzliwość.

Werrrent odchrząknął, zapalił fotonową latarkę. Echo ich kroków niosło się wąskimi przejściami, zastawionymi po obu stronach równiutkimi stosami skrzyń, beczulek, skrzynek. Powietrze było gęste od kurzu i drobinek uszczelniacza, co drażniło gardło Marethyn. Zakaszłała, osłaniając usta ręką, i rozładowała choć trochę trudne do zniesienia napięcie.

Generał polny Werrrent oświetlał latarką herb konsorcjum widoczny na każdej mijanej skrzyni, skrzynce, beczule.

–Zapytam ponownie. Jesteś pewna, że to to samo miejsce? – odezwał się surowo, niczym do małego dziecka, które jeszcze nie całkiem rozumie, co się do niego mówi.

–Tak – odparła Marethyn jak najbardziej stanowczym tonem.

I poprowadziła Werrrenta mrocznymi korytarzami składu do niewielkiej skromnej izdebki, w której kochali się z Sornnem. Drzwi były zamknięte. Trochę trwało, zanim Werrrent poradził sobie z zamkiem. Kopniakiem otworzył drzwi. Jakiś czas wpatrywał się w ciemność; jego dłoń spoczywająca na talii Marethyn powstrzymywała ją od wejścia do środka, zanim on zdąży się rozejrzeć. Dzięki latarce raz-dwa odnalazł lampy i zapalił je. Izdebka wyglądała tak, jak Marethyn ją zapamiętała: wspaniały dywan, półki pełne kundalańskich przedmiotów, długie skrzynki w jednym z rogów. Nie było tylko kwiatów w wazonie, właściwie nie było żadnego flakonu na niskim stoliku.

–Czy wolno mi zapytać, co tutaj robiliście? – Werrrent zobaczył, że dziewczyna się zarumieniła, i dodał: – No, no, moja droga, jestem V'ornnem z kosmosu, o wszystkim słyszałem.

–Myślę o moim bracie – powiedziała Marethyn. – Jeżeli się dowie, że Sornn SaTrryn i ja...

–Masz moje słowo, że niczego się nie dowie o twoim prywatnym życiu. Mówiłaś...

–Była już późna noc. Chyba byliśmy trochę pijani. W każdym razie odwrócił mnie ku sobie i tak mocno pocałował, że poczułam to aż w czubkach palców stóp. My... nie było gdzie się skryć. Tak się złożyło, że staliśmy przed wejściem, chichocząc jak dzieci, i chyba sobie myśleliśmy „a czemu by nie?”

Generał polny kiwnął głową.

–Szczypta pikanterii, nieprawdaż?

Marethyn zapłonila się na samą myśl, że generał polny przez moment oczyma wyobraźni widział ją nagą.

–Naprawdę nie chciałabym o tym mówić.

–Rozumiem. Często tu przychodzicie?

–O nie. Tylko wtedy. Sądzę, że byliśmy potem zakłopotani. W końcu jesteśmy dorośli.

–Rozsądna decyzja. – Werrrent rozpoczął oględziny. – Nie ruszaj się – ostrzegł – i uważaj, żeby niczego nie dotknąć.

Podszedł do biurka, poszperał w nim, wysunął szuflady i opróżnił je, przejrzał zawartość, ale niczego nie znalazł. Rozejrzał się i zobaczył dwie długie skrzynki stojące wrogu. Zbliżył się do nich i przyglądał im się przez chwilę.

–Khagguński stop – mruknął.

–Co to znaczy?

Nie zwrócił na nią uwagi. Ostrożnie zdjął górną skrzynkę i położył na zakurzonej podłodze. Wyjął swój joniczny sztylet i otworzył pokrywę. Marethyn weszła kilka kroków w głąb izdebki, żeby mu zajrzeć przez ramię. Zobaczyła sześć równiutko ułożonych nowych jonicznych strzelb.

Generał polny wyjął jedną z nich, odwrócił, spojrzął na numer seryjny umieszczony pod spodem niższej lufy. Obejrzał tak wszystkie strzelby. Nałożył komunikator, który przylgnął do jego potylicy. Komunikator miał cienkie ramię, kończące się krysztalową soczewką cztery centymetry od lewego oka Werrrenta. Generał otworzył fotonowy kanał i długo niezrozumiale szwargotał. Marethyn uznała, że kodowo potwierdzał swoją tożsamość.

–Jestem w szóstym składzie przy... – Spojrzął na nią.

–Przy Aquasius Street – odparła cichutko.

–Racja. Aquasius Street. – Werrrent patrzył na joniczne strzelby. – Podaj mi symbole uzbrojenia skradzionego w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Seryjne numery. Tylko strzelb jonicznych.

Odczekał chwilę, potem informacje pojawiły się na ekraniku przed jego lewym okiem, powiększane przez soczewkę.

–Dobrze. Natychmiast przyślij tu oddział w pełnym bojowym rynsztunku. – Wstał,

zdjął komunikator. – To khagguńska własność, skradziona przed dwoma tygodniami – rzekł, najwyraźniej do Marethyn.

Wrócił do biurka, dobył korda i posiekał je na kawałki.

–Czego... czego szukasz? – spytała. W jej głosie słyhać było przerażenie.

–Jakichś zapisków o transakcjach z partyzantką.

Werrrent głęboko wciągnął powietrze, znów się rozejrzał. Machnął kordem i cały rząd korrushańskich przedmiotów zleciał z najniższej półki i roztrzaskał się o podłogę. Czubkiem buta odgarnął skorupy. Dobrał się do górnych półek i powtórzył całą operację.

Marethyn ujrzała, jak kamienny posążek fulkaana spada i pęka. Zobaczyła, jak coś podskakuje i niknie pod jego szczątkami. – Potem generał wyłuskał to czubkiem buta i oto w zimnym świetle lamp, niczym wyciągnięty oskarżycielsko palec, ukazał się obciążający data-dekagon.

–Jesteś pewna, że to niezbędne? – Konara Inggres starała się ukryć strach przed konara Lyystrą, prowadzącą ją do drzwi niegdysiejszego gabinetu konara Urdmy.

–Matka chce cię widzieć – rzekła konara Lyystra, mocno trzymając ją za łokieć. – Chyba nie masz zamiaru okazać nieposłuszeństwa?

–Oczywiście, że nie. – Konara Inggres obróciła się ku niej, chcąc zyskać na czasie. – Ale nie powiedziałaś, po co chce mnie widzieć? Mam tyle roboty i tak niewiele czasu...

–Dla Matki zawsze jest czas.

Słodki uśmiech konara Lyystry był niczym cios nożem w brzuch. Gdzie się podziała jej przyjaciółka? – zastanawiała się po raz tysięczny konara Inggres. Co jej zrobiono?

–Posłuchaj mnie, Lyystro.

–Tak?

Konara Inggres ugryzła się w język. Nawet jej ostry ton nie pozbawił z twarzy przyjaciółki maski spokoju. Nie pozostało jej nic innego, jak poddać się łagodnemu naciskowi konara Lyystry. Otworzyła drzwi gabinetu i z rosnącym strachem weszła do środka.

Giyan podniosła na nią wzrok. Konara Inggres czuła tuż za sobą konara Lyystrę,

jakby ta była Khaggunem pilnującym więźnia.

–Ach, konara Inggres. – Giyan uśmiechnęła się jak najserdeczniej, wstała zza biurka i pospieszyła powitać swojego gościa. – Jak to miło, że przyszłaś. – Ujęła w dłonie, dziwnie chłodne i suche, niczym skóra bagiennej jaszczurki, rękę Inggres. – Usiądź, napijemy się lodowina.

Konara Inggres przysiadła na skraju krzesła, a konara Lyystra naląła lodowina do dwóch kielichów. Kiedy je podała, Giyan odprawiła ją niczym zwyczajną akolitkę.

Giyan podała kielich Inggres i przysunęła krzesło, siadając naprzeciwko niej. Była tak blisko, że niemal stykały się kolanami.

–No i jak sobie radzimy z najnowszymi zmianami w opactwie? – zapytała Giyan.

Miała denerwujący zwyczaj zadawania pytania bez odpowiedniej modulacji, więc często trudno się było zorientować, czy oczekuje odpowiedzi, czy po prostu coś komentuje.

–Sądzę, że... nieźle.

–To nie wstyd przyznać się do trudności. – Giyan na chwilę pochyliła się ku Inggres, uspokajająco poklepała ją po kolanie. – Mój powrót. Wskreszenie konara Bartty. Przedwczesna śmierć konara Urdmy. Każda z tych zmian mogłaby niepokoić. A co dopiero wszystkie trzy naraz! – Cmoknęła językiem o podniebienie, wydając paskudny dźwięk, jakby owad pocierał tylnymi odnóżami o drut.

–Trochę trudno to pojąć.

–Oczywiście. – Giyan znów poklepała ją po kolanie. – Rada jestem, że to przyznałaś. To dowodzi, że wszystkie jesteśmy Kundalankami.

Czy w oczach Giyan pojawił się błysk ironii, zastanowiła się konara Ingres, czy też popadam w paranoję?

–Konara Lyystra powiedziała mi, że byłaś odrobinę... jakże ona to określiła... chłodna, tak, chłodna.

–Nie wydaje mi się...

–Och, moja droga, ona się po prostu o ciebie martwi. I chce cię chronić.

–Martwi?

–Oczywiście. Ten cały stres wywołany zmianami – głos Giyan odrobinę się zmienił – i chronieniem swoich tajemnic...

–Tajemnic? – Konara Ingggres miała wrażenie, że wszystko w niej lodowacieje.

–Konara Lyystra szczerze mi wyznała twoją niechęć do konara Bartty, do zmian zachodzących w nauczaniu prowadzonym w opactwie.

Konara Ingggres, wpatrzona w zimne, błękitne oczy, mogła jedynie w przerażeniu zagryzać wargi.

–Nie obawiaj się. – Giyan mrugnęła do niej. – Program nauczania zostanie zmieniony. Całkowicie się z tobą zgadzam. Wypaczenia wprowadzone przez konara Mossę i Barttę są skandaliczne. Zamierzam rozmówić się z siostrą. Pewnie nie będzie to miła pogawędka, ale przynajmniej szybko dostrzeże swoje błędy. – Uśmiech Giyan zdawał się wręcz nienaturalnie szeroki. – Wiedz, że kiedy chcę, potrafię być bardzo przekonująca – westchnęła. – A tak między nami, to szczęście, że wielka bogini Miina tak pospiesznie zabrała konara Urdmę. Bo, jak sama rozumiesz, musiałabym ją pozbawić stanowiska, a to byłoby dla opactwa jeszcze bardziej szkodliwe niż zesłana jej szybka i litościwa śmierć. No tak. – Złożyła dłonie. – Masz jakieś pytania?

Konara Ingggres potrząsnęła głową. Jeszcze nigdy nie bała się tak przeraźliwie jak w tej chwili. Ledwo się mogła powstrzymać od szczękania zębami. Wstała i wyjąkała słowa pożegnania. Na sztywnych jak kłody nogach podeszła niepewnie do drzwi, a kiedy przestąpiła próg, poczuła, że oblała się zimnym potem.

Tego wieczoru Rada ujrzała, jak do „Krwistej Fali” wchodzi wyznaczony przez regenta Haaar-kyut. Chociaż był pierwszym kapitanem, nosił mundur trzeciego oficera. Przepchnął się przez hałaśliwy tłum i usiadł przy stoliku. Rada odprawiła gestem kelnerkę i sama przyjęła od niego zamówienie. Przyniosła mu kielich miodu z data-dekagonem na dnie.

Zachowywał się bardzo profesjonalnie, niczym się nie zdradził, że ją zna. Nie powiódł za nią wzrokiem, kiedy szła przez zadymioną salę. A gdy postawiła przed nim kielich swojego najlepszego słodkiego miodu, uśmiechnął się do niej.

Słyszała pewne interesujące pogłoski i sporo czasu zabrało jej zdecydowanie, co zarejestrować na data-dekagonie i jak to sformułować. Jedna z wiadomości dotyczyła rozprzestrzeniania się laaga, sarakkońskiego narkotyku, wśród miejskiej młodzieży. Druga mówiła o narastającym wzburzeniu Khagggunów, którzy jeszcze nie osiągnęli statusu wyższej kasty. Był też incydent dotyczący jednego z Genomatekków z Błogosławiącego Ducha: napadli go nie zidentyfikowani sprawcy. Plotka głosiła, że byli to Khaggguni. Kurgan chciał, żeby postarała się czegoś dowiedzieć o portalach, lecz na ten temat nie miała żadnych wieści. Pytała kilku znajomych i pośredników, ale bez skutku. W ostatniej chwili postanowiła, że opowie o braku sukcesów na tym polu. Dostała ciekawe zadanie i – ku własnemu zdumieniu – szybko się do niego zapaliła. Nie miała już długu do spłacenia, a tajnej służbie

towarzyszył dreszczyk emocji.

Patrzyła z drugiego końca tawerny jak Haaar-kyut osusza swój kielich i wyjmuje z ust data-dekagon. Zapłacił i wyszedł.

Zajrzała do kuchni, żeby upewnić się, że wszystko idzie jak trzeba. Ze stojących na wielkim piecu licznych czarnych garnków unosiła się para. Fala ostrych aromatów podrażniła jej powonienie. Przeszła za kucharzami, próbując z każdego perkoczącego garnka i skinieniem głowy chwając smak. Przystanęła za jednym z kucharzy i klepnęła go w plecy. Skończył dodawać pieprz do gulaszu, warknął jakieś polecenie swojemu pomocnikowi, zdjął fartuch i zniknął, wychodząc tylnym wyjściem.

Rada, zadowolona ze swoich pracowników, wróciła do hałaśliwej sali akurat w samą porę, żeby obserwować bójkę pomiędzy wielkim Mesaggunem a ciężkim Sarakkonem z czaszką pokrytą ohydnyimi tatuażami. Odczekała chwilę, a potem ich rozdzieliła. Chociaż naprawdę było szkoda. V'ornn był większy, lecz ona postawiłaby na Sarakkona.

19. Koura

Wysoko na niebie płynęły leciutkie obłoki, niesione prądami termicznymi. Poniżej na południowym nieboskłonie przysiadły ciemniejsze, gęstsze chmury i pewnie już się pozbywały wilgoci.

A oni wciąż jechali na północ. Othnam powiedział, że Ghorowie strzegli Perrnodt w świętym miejscu, jakieś dwadzieścia kilometrów na północ od Agachire. Wedle oceny Riane byli już niemal u celu, chociaż szczególne światło w Korrushu stale wprowadzało w błąd przy ocenie odległości.

Widziała przed sobą kępę cierniodrzewów, sękatych i szarawo-czarnych; ich gałęzie były obwieszane owocami, poskręcane korzenie wnikały głęboko w ziemię, szukając wody i substancji odżywczych. Przypomniała się jej kępa kolczastych sysalowców, gdzie – jak jej powiedziano – Nith Sahor stracił życie. Lecz jeżeli tak się stało, to jak je odzyskał? Jeszcze jedna z niezliczonych gyrgońskich zagadek.

Othnam uniósł rękę, dając znak, żeby zwolnili. Zbliżali się do cierniodrzewów. A potem się zatrzymał i wszyscy czworo stali w milczeniu obok siebie, wstrzymując oddech.

–Co się dzieje? – spytała wreszcie cichutko Riane.

–Nie wiem – odparł Othnam.

–Nie ma lymmnala – powiedziała Mehmmer.

–Żadnego strażnika. Nikt nie wyszedł nas powitać.

Riane aż ścisnęło w dołku, kiedy patrzyła, jak rodzeństwo dobywa bułatów i poganiam kuomeshale biczami. Poszła za ich przykładem i wkrótce wjechali w zagajnik.

Mehmmer zachłysnęła się oddechem, a Othnam wymamrotał:

–O dobry Jiharre, nie.

Po północnej stronie kręgu drzew powieszono na najwyższych gałęziach czterech Ghorów. U ich stóp leżały dwa martwe i wypatroszone lymmnale.

–Paddii! – krzyknęła Riane.

Kuomeshale parskaly, potrząsały swymi brzydkimi łbami i trudno było podprowadzić je bliżej kołyszących się ciał. Othnam ruszył po lewej, Mehmmer znalazła się w środku, a Riane pogoniła wierzchowca ku wiszącemu po prawej ciału i odcięła Paddiiego.

–Wszyscy nie żyją – powiedział Othnam.

–Z wyjątkiem Perrnodt. – Mehmmer zatoczyła krąg na kuomeshalu. – Zniknęła.

Othnam podjechał do nich.

–Kto popełnił tę zbrodnię? Strażnicy Makktuuba?

–Nie. – Mehmmer potrząsnęła głową. – Zastanów się, bracie. Przypomnij sobie szpiega, którego straciliśmy niedaleko stąd.

–Zemścili się na nas Jeni Cerii. Zamordowali naszych braci i porwali Perrnodt.

–Ale dokąd ją zabrali? – spytała Riane, obracając się w siodle.

Panowała cisza. Słońce stało nisko na niebie, kilka obłoków wiszących wysoko i nieruchomo znaczyło pozbawioną wyrazu, obojętną twarz świata. Gdzieś pewnie padało, a tutaj krążyły czarne padlinożerne ptaki, bez wysiłku przepływające od jednego do drugiego prądu termicznego, równie cierpliwe jak sam Korrush.

Tezziq patrzyła na to z nieruchomą twarzą, a Riane pomogła Othnamowi i Mehmmer wykopać w czerwonej ziemi szeroki na trzy metry dół, mniej więcej okrągły. Potem wraz z Othnamem ułożyli w nim wszystkie ciała – zarówno Ghorów, jak i wiernych lymmnali – a Mehmmer czystym silnym głosem śpiewała modlitwę za zmarłych. Nawet gdyby Tezziq chciała im pomóc, choć najwyraźniej nie zamierzała, nie

pozwoliliby jej na to. Nie pozwolili jej nawet zbliżyć się do miejsca pochówku, kazali jej zostać przy kuomeshalach. Nie sprzeciwiała się. Odwróciła się do nich tyłem i zapatrzyła na ciemne i ponure pasmo Djenn Marre, pewnie myślała o domu, którego nie spodziewała się już nigdy zobaczyć.

Mehmmer śpiewała modlitwę za zmarłych, a Riane patrzyła tępo, jak Othnam kreśli na każdym z ciał linię jasną lepką substancją. Potem skrzesał iskrę i natychmiast pojawiły się płomienie. Cofnął się i przyłączył do Mehmmer w połowie strofy. Riane słuchała ich śpiewu i myślała o Paddiim, radośnie tulącym swoją nowo narodzoną córeczkę, o Paddiim biegnącym obok kuomeshala, na którego grzbiecie się schroniła, o Paddiim oddającym jej sztylet, o Paddiim przybywającym tu z Agachire, żeby powiedzieć strzegącym Perrnodt Ghorom, że Riane, Othnam i Mehmmer trochę się spóźniła. Paddii zginął przez nią. Bo chciała ocalić Tezziq i tajemnicę Nith Sahora. Wiedziała, że postąpiła słusznie, lecz to nie mogło pomóc ani Paddiimu, ani jego rodzinie, więc zmówiła własną modlitwę, błagając boginię Miinę o wybaczenie. I przekonała sama siebie, że płomienie, trawiące zwłoki, słyszały modły za dopiero co odeszłe dusze.

Dym wzbijał się ku niebu, oni zaś pospiesznie i cicho rozmawiali, jakby złe moce przesyciły powietrze, którym oddychali.

–Teraz sytuacja się zmieniła – odezwał się Othnam.

–Musimy wracać po posiłki.

–A co z Perrnodt? – zapytała Riane.

Nie otrzymała odpowiedzi.

Podeszła do cierniodrzewów, na których powieszono Ghorów, wskazała na zachód i spytała:

–Co się tam znajduje?

–Tylko pustkowie. – Wzruszyła ramionami Mehmmer.

–No i in’adim, wyschnięte zagłębienia.

–Też niebezpieczne – dodała Mehmmer. – Dno wygląda na suche, lecz często jest to jedynie skorupa kryjąca głębokie doły z ruchomymi piaskami.

–Co z Perrnodt? – powtórzyła Riane. – Zabiją ją? Zabiorą na swoje terytorium i uwiężą? Zażądają okupu? Zgwałcą ją i będą torturować?

–Któż to wie? – Mehmmer ze smutkiem potrząsnęła głową.

–Nie jesteŝmy Jeni Cerii.

Riane spojrzala na Tezziq, wciãż stojãcã tyłem do nich.

–Tezziq – powiedzila cicho.

Dziewczyna odwróciła siê i spojrzala na nich.

–Co jej zrobiã?

–Czemu jã o to pytasz? – zaniepokoiła siê Mehmmer.

–Ona pozostaje w zażyłych stosunkach wyłączenie z fallusem Makktuuba – stwierdził Othnam.

–Wiesz, Tezziq? – spytała Riane, ignorujãc rodzeństwo.

–Nawet gdybym wiedzila... – Tezziq spojrzala gniewnie na Othnama i Mehmmer – to czemu mialabym powiedziec?

–Bo pytam.

–Co to ma znaczyc? – spytal Othnam.

–Marnujemy cenny czas – dodala Mehmmer.

Riane powoli podeszla do Tezziq.

–Czy potrafilabyŝ z pełnã świadomościã doprowadzic do czyjejŝ śmierci?

Tezziq wreszcie spojrzala na Riane.

–Wiesz, że nie.

–Perrnodt nie jest Ghorem. A nawet gdyby byla, to niczego by nie zmienilo.

–To bylyby ogromna różnica!

–Dlaczego?

–Bo Ghorowie... – Tezziq zerknęła na rodzeństwo i ściszyła głos. – Mówila ci, że oni są źli. Te opowieści, które słyszałam...

–Sã tylko opowieściami – wpadła jej w słowo Riane. – To Mehmmer i Othnam pomogli mi uciec z pałacu Makktuuba.

–W zamian za co?

–Za nic. Niczego ode mnie nie chcieli.

–Czy to prawda? – spytała Tezziq, patrząc na nich. – Bezinteresownie pomogliście uciec Riane z haanjhala?

Rodzeństwo wymieniło wymowne spojrzenia.

–Oczywiście – powiedziała Mehmmer.

–Nie. – Othnam postąpił krok naprzód. – Właściwie nie jest to prawda.

–Bracie!

–No proszę! – Triumfowała Tezziq. – A nie mówiłam?

–Pozwól mu mówić – powiedziała Riane i zwróciła się do Othnama: – Kiedyś cię pytałam, dlaczego mi pomagacie. Czyżbyś skłamał?

–Nie. Ale to nie była cała prawda. – Othnam westchnął. – Cała prawda jest taka, że chcieliśmy...

–Makktuub kazał zabić naszych rodziców – wtrąciła szybko i gniewnie Mehmmer. – Bo pozostali wierni swojej wierze, nie chcieli się skompromitować, nie chcieli spełnić jego rozkazu.

–Makktuub nazwał to niewłaściwym postępkim – powiedziała Riane.

–Zawsze tak jest. Kat może skryć straszliwą prawdę za eufemizmami, nieszczęsne ofiary zaś zostają uciszone. – Othnam kiwnął głową. – Tak czy owak, była to fatalna w skutkach decyzja.

–Przysięgliśmy sobie, że będziemy postępować bardziej rozsądnie, by utrzymać pokój pomiędzy Ghorami a kapudaanem – powiedziała Mehmmer – lecz chętnie byśmy się na nim zemścili. I chcieliśmy mu ciebie odebrać, bo cię pragnął.

–Właściwie to nie wierzę, iż to Makktuub chciał mnie uwięzić – odezwała się Riane, wspominając, jaki nieswój był kapudaan na tarasie. – To Gyrgon, Nith Settt. Zaczął mnie wypytywać o Perrnodt, zanim udało mi się uciec. To z jej powodu tak się mną interesował.

–Dlaczego? – spytał Othnam.

–Zapytamy ją – stwierdziła Riane – gdy ją odnajdziemy. – Jeżeli ją odnajdziecie – odezwała się Tezziq.

–Jak powiedział Othnam, musimy szybko wracać do obozu Ghorów po posiłki –

wtrąciła Mehmmer.

–Jeśli tak zrobicie, Perrnodt na pewno zginie.

Wszyscy troje spojrzeli na Tezziq. Riane pierwsza odzyskała głos.

–Co masz na myśli?

–Jeżeli szybko jej nie odnajdziemy, to ją zabiją – powiedziała Tezziq.

–Skąd możesz to wiedzieć? – spytała szyderczo Mehmmer.

–Jestem Jeni Cerii – wyjaśniła Tezziq.

Mehmmer umilkła, Othnam zaś, jak zauważyła Riane, był wstrząśnięty.

–Powiedz nam, co wiesz, Tezziq – poprosiła Riane.

–Zabiorą ją do in’adim.

–Dlaczego właśnie tam?

Tezziq starała się zapanować nad sobą.

–Jeni Cerii wykorzystują in’adim jako kryjówki, stamtąd robią wypadki przeciwko twojemu plemieniu. Jeżeli Perrnodt żyje, to tam ją znajdziemy.

Kiedy słońce miało się już ku zachodowi, Olnnn wrócił na targ korzenny. Był bez zbroi i miał nieduży plecak. Od spotkania w „Spice Jaxx’s” z Lokckiem Werrrentem nie dawało mu spokoju coś, co generał polny powiedział. „Nawet sobie nie wyobrażasz, ilu partyzantów zgubiliśmy w tym labiryncie. Znikają tam; to przechowalnia nikczemników, wywrotowców i buntowników”.

Minęła go trójka kundalańskich służących, zerkając nań ukradkiem. W pobliżu kręcił się obszarpany garbus, przyglądał się stertom korzeni, czekając na okazję, żeby coś ukraść i uciec. Kundalanka o niemilej i zniszczonej twarzy, robiąc zakupy, spoglądała na niego niespokojnie. Tłusty kupiec, chwilowo beczynny, też na niego łypał; bez wątplenia zastanawiał się, czemu gwiazdny admirał kręci się tu, nie będąc na służbie. On sam zaś nie wiedział, z którymi z tych wyrzutków powinien porozmawiać – z nikczemnikami, wywrotowcami czy buntownikami. Co do jednego był za to przekonany – jeżeli w ogóle ma odnaleźć uciekinierów, musi wiedzieć, dokąd się udają. Czyli najpierw powinien się dowiedzieć, czego szukają. A to oznacza, że musi dotrzeć na samo dno ścieku płynącego pod Axis Tyr. Uznał, że najlepiej zacząć tutaj.

Usiadł przy jednym z wystawionych na zewnątrz stolików „Spice Jaxx’s” i zamówił dwa kufle gorącego dziesięciokorzennego miodu. Przyglądał się, jak kupcowi z

sąsiedniego straganu dostarczano worki aromatycznego cynamonugowitu.

Cały kłopot polegał na tym, że nie umiał rozmawiać z tymi spoza kasty Khaggunów. Na swoje szczęście wiedział o tym. A więc potrzebował przewodnika. Żałował, że nie może poprosić Malistry o radę lub o zaklęcie, które skierowałyby go na właściwą drogę. Ale czarodziejka nie żyła i nawet jej kundalańskie czary nie sprowadzą jej z powrotem. Myśląc o niej, przypomniał sobie inną kobietę. Nie była Kundalanką, lecz miała rozległe znajomości.

A oto i ona – z gołą głową, w diademie, zagniewana – szła, eskortowana przez dwóch Olnnowych Khaggunów.

–Mam nadzieję, że lubisz dziesięciokorzenny miód – rzekł, kiedy ją podprowadzili do jego stolika.

–Tak – odparła Rada, siadając. Patrzyła, jak odprawia Khaggunów. – A nie boisz się być ze mną sam na sam, gwiazdny admirale?

–Nie zaczynamy źle naszego spotkania – powiedział tak uprzejmie, jak tylko potrafił.

–To już się stało – rzuciła szorstko. – Wyprowadzili mnie, na twoje polecenie, z „Krwistej Fali” jak pospolitą przestępczynię.

–Z odsłoniętą głową wyglądasz jak zwykła przestępczyni. Albo jak loorm.

–Bo chcę tak wyglądać.

–Ale nie w moim towarzystwie. Udawaj, że jesteś przyzwoitą Tuskuggun. Załóż sifeyn.

Uniosła ręce i nasunęła zwiewny kaptur na lśniącą od olejków głowę.

Uśmiechnął się.

–Tak jest o wiele lepiej – mówił do niej jak do krnąbrnego dziecka. – A teraz się napij. Chcę cię ugościć.

Rada spojrzała nań buntowniczo. Olnn Wzruszył ramionami.

–Jak sobie chcesz.

–Dzisiaj nic nie jest tak, jak chcę. – Jej suknie miały barwę ciemną jak dwudniowy siniak, jej uroda zaś kontrastowała z tym brzydkim kolorem jak modrak z czarną ziemią. – Dziwnie pojmujesz gościnność, gwiazdny admirale.

–Jestem Khaggunem. I w ogóle mam szorstki sposób bycia. – Wzruszył ramionami. – Znam się tylko na wojnie.

–I zabijaniu.

–Wojna to zabijanie.

–Równie dobrze mógłbyś mówić w obcym języku.

Olnn się uśmiechnął.

–Więc nie będziemy rozmawiać o wojnie.

Rada upiła trochę miodu.

–To by mi odpowiadało.

Garbus na targu doczekał się wreszcie okazji, capnął garść cynamonugowitu i chciał umknąć. Olnn uniósł rękę i jeden z jego Khaggunów wychynął z tłumu, złapał garbusa za łachmany i zawłókł do stoiska z cynamonem.

Rada, obserwując zajście, powiedziała:

–Nic nie umyka twojej uwagi.

–Zostało złamane prawo. Przestępca musi zostać ukarany.

–Taki błahy występpek. Taki biedny przestępca.

–Powiedz mi, jaki byłby pożytek z prawa, gdyby nie było egzekwowane?

–A jaki pożytek z gwiazdnego admirała, który ślepo prawo stosuje? – odparowała.

Olnn odsunął kufel.

–Potrzebuję twojej pomocy.

–Czyli koniec przyjacielskiej pogawędki.

Ryddlin zdobył się na zignorowanie jej sarkazmu i zastanawiał się, czy nie skłoniła go do tego jej uroda. Ciekawie było patrzeć na nią poza jej ciemnym nocnym lokalem. Gdyby nie ten jej ostry język, to byłaby nawet pociągająca.

–Potrzebny mi przewodnik – powiedział.

–Ach tak. A po co ci ten przewodnik, gwiazdny admirał?

–Szukam kundalańskiej czarownicy.

Roześmiała się.

Spojrzał na nią z mieszaniną pożądania i pogardy.

–Wiem, że sam żadnej nie znajdę, bo jestem Khagggunem. Zdaję sobie sprawę, że niewiele ich zostało na Kundali.

Rada ściągnęła usta, jakby się głęboko namyślała.

–Coś mi się zdaje, że mamy z tym coś wspólnego.

–Obwinia się nas o wszystkie kundalańskie nieszczęścia – rzekł obojętnie Olenn.

–A kogóż jeszcze należałoby winić?

–Samych Kundalan. Na długo przed naszym przybyciem zsuwali się po równi pochyłej.

Rada skończyła swój miód.

–Czemu miałabym się zgodzić zostać twoją przewodniczką?

–Bo tak ci każę.

–A gdybym odmówiła?

–Lepiej nie.

Olenn powiedział tylko tyle, lecz to wystarczyło, by Radę przeszył lodowaty dreszcz. Słyszała opowieści o nowym gwiazdnym admirale i była skłonna wierzyć w większość z nich. Kpinami i hardością maskowała strach, jaki w niej budził. Złościło ją, że budził w niej takie uczucia. Już czuła na karku jego but, a w ustach smak ziemi i niemal zapłakała z poczucia niezasłużonej krzywdy.

Postanowiła pokryć słabość bezczelnym pytaniem.

–Powiedz mi, gwiazdny admirale, o co chcesz poprosić czarodziejkę?

–Chcę, żeby przeczytała pewne ustępy w kilku księgach.

Rada wpatrywała się w niego, zbierając się na odwagę.

–Zbiedzy czegoś szukają – dodał. – Uważam, że aby ich złapać, trzeba najpierw się dowiedzieć, czego szukają.

–O ile znajdziemy jakąś czarodziejkę.

–Tylko mi nie wmawiaj, że żadna nigdy się nie pojawiła w „Krwistej Fali”. Odszukaj ją.

Oczy Rydddlina błyszczały jak w gorączce i Rada znów się przeraziła. Wsunęła dłonie pomiędzy uda, żeby nie drżały.

–A dlaczego uważasz, że czarodziejka powie ci prawdę?

–Ty mi to powiesz, Rado.

Od północnego wschodu nadjeżdżali Khagguni na cthaurosach. Było ich pięciu. Nie tak wielu, pomyślał Sornnn, lecz i tak aż nadto. Trzej pierwsi funkcjonariusze trzymali w pogotowiu joniczne strzelby.

Sornnn popatrzył na okrągłego Bronnna Pallna. Przyjął zaproszenie Pallna na nocne łowy na claiweny, duże, sześciopięciorogie drapieżniki, mogące przebywać zarówno pod wodą, jak i na lądzie, żyjące na terenach Olbrzymich Fosforycznych Bagien.

–Generał polny Lokck Werrrent we własnej osobie – powiedział Sornnn. – Nie wiesz, Bronnnie Pallnie, co się dzieje?

Bronnn Palln wzruszył ramionami, udając głupiego.

–Stać! – zawołał generał polny. – Szykuj się do złożenia zeznań.

–Tak się odzywasz do naczelnego faktora? – zawołał Sornnn. – Czemu nas zatrzymujesz w środku nocy, generale polny?

Lokck Werrrent zatrzymał cthaurosa jakieś sześć metrów od Sornnna i Pallna.

–Mógłbym zapytać, co porabiacie na tym odludziu o tak późnej porze.

–Twoja troska o nasze bezpieczeństwo, generale polny, jest godna podziwu – rzekł jowialnie Bronnn Palln. – Skoro już musisz wiedzieć, to polujemy na claiweny, chociaż, na N’Luuurę, wątpię, czy w promieniu dziesięciu kilometrów znalazłaby się jakaś bestia przy tym hałasie.

Generał polny nie odpowiedział. Wyciągnął rękę. Trzymał w niej data-dekagon, który znalazł w sekretnej izbie składu.

–Oto dowód, niepodważalny i niezbity. – Generał polny uniósł kryształ, który zaśnił w blasku księżyców. – Dokładne wyliczenie całego skradzionego uzbrojenia khagguńskiego i późniejszej jego sprzedaży kundalańskiej partyzantce. To najcięższa zbrodnia przeciwko narodowi V’ornnów, domagająca się najwyższej kary.

Co masz na swoją obronę, Bronnnie Pallnie?

–Ja? – zaśmiał się Bronnn Palln piskliwym śmiechem, w którym pobrzmiwała nutka niedowierzania. – Bez wątpienia chodzi ci o Sornnna SaTrryna, generale polny.

–Mam na myśli ciebie, sir.

–Ale skład...

–Skradziona broń została znaleziona w twoim składzie, Bronnnie Pallnie, jak również rejestr twoich zdradzieckich transakcji.

–To... to musi być... to na pewno pomyłka. – Oczy Bronnna Pallna były wielkie jak talerze. – W którym składzie, jeżeli wolno spytać?

–W szóstym przy Aquasius Street – odparł generał polny.

–Moje konsorcjum ostatnio rzadko zagląda do tego składu, chyba że inne są chwilowo przepełnione.

–Dzięki czemu świetnie się nadaje do twojej zdradzieckiej działalności – rzekł przebiegle Werrrent.

–Ale... ale to Sornnn SaTrryn ma wyraźne skłonności do Korrushu, ja zaś...

–Masz mnie za głupca, Bronnnie Pallnie? Ostatnią głupotą ze strony zdrajcy byłoby publiczne obnoszenie się ze swoimi upodobaniami. Do czasu wyroku regenta zostałeś uznany zdrajcą stanu.

Dał znak i dwaj Khagguni stanęli po bokach cthaurosa Bronnna Pallna. Jeden pochylił się i wziął lejce z rozdygotanych dłoni Pallna.

–Przekazałem ci informację. – W głosie Pallna slychać było narastającą desperację. – Marethyn Stogggul i Sornnn SaTrryn... – Odwrócił się znienacka. – To twoja sprawa, Sornnnie SaTrrynie. Ty mnie wrobiłeś.

–Dosyc – odezwał się generał polny bez cienia współczucia. – Czy zechciałbyś oświecić zdrajcę, Sornnnie SaTrrynie?

–Niezręcznie mi o tym mówić, lecz Marethyn i ja trochę się... roznamiętniliśmy. Byliśmy pijani i...

–Kłamca! – Twarz Bronnna Pallna nabiegła krwią i stał się tak niespokojny, że jego cthauros zaczął parskać i przestępować z nogi na nogę, zmuszając obu Khaggunow, by go z całej siły przytrzymywali.

Generał polny położył dłoń na karku wierzchowca Pallna, tym jednym gestem uspokajając cthaurosa i uciszając jeźdźca.

–Kontynuuj, proszę – rzekł do Sornnna.

**–Byliśmy nad wyraz miłośnie usposobieni – powiedział Sornnn do Bronnna Pallna.
– Wybacz, że się włamaliśmy do twojego składu, ale był opustoszały i w pobliżu i nie sądziliśmy, że może wyniknąć z tego coś złego...**

–To najbezcześniejsze kłamstwo.

–Marethyn Stogggul potwierdza tę opowieść – powiedział Werrrent. – A kto potwierdza twoją?

–Porozmawiaj z Genomatekkiem, Jesstem Vebbnem. Powie ci, że to ja go wynajęłam, żeby się wywiedział, kim jest zdrajca.

–Już z nim rozmawialiśmy – poinformował go generał polny. – Chętnie współpracował i powiedział nam, że poprosiłeś go, by sfabrykował fałszywy dowód przeciwko naczelnemu faktorowi.

–Co za oślizły mały...! – zaryczał Bronnn Palln, przypominając sobie, jak zuchwale oszukał Vebbna. – To stek kłamstw! Na najeżone szpikulcami wrota N’Luuury, generale, czyż nie pojmujesz, że oni knują przeciwko mnie?!

–O tak, oczywiście! – rzekł ironicznie generał polny. – Sornnn SaTrryn, siostra regenta, Genomatekk Jesst Vebbn: wszyscy oni żywią do ciebie urazę i na dodatek zmawiają się z partyzantką. – Potrząsnął głową. – Nie dociera do ciebie, jak to głupio brzmi? – Dał znak Khagggunom. – Zabierzcie go. Wkrótce do was dołączę. A jeżeli więzień będzie dalej rzucał inwektywy, to zamknijcie mu gębę.

Kiedy zniknęli, Werrrent powiedział:

–Przepraszam za jego oszczerstwa, naczelnny faktorze.

–Nie musisz – odparł Sornnn.

–Zawiść jest gorzka, nieprawdaż, naczelnny faktorze?

–To po prostu trucizna – przyznał Sornnn.

Generał polny poprawił się w siodle.

–Chciałbym cię o coś spytać.

Sornnn zawrócił swojego cthaurosa.

–To dość drażliwa sprawa.

To ogromnie zaciekało Sornna.

–Słucham, generale.

–Jesteśmy dwoma patriotami rozmawiającymi pod osłoną nocy.

–Doskonale to rozumiem, generale polny.

–Tak. Wiedziałem, że zrozumiesz. – Lokck Werrrent ściągnął wodze swojego wierzchowca; cthauros wyczuł, że coś pełźnie przez bagno, i najwyraźniej nie chciał mieć z tym nic wspólnego. – Ciekaw jestem twojej opinii w sprawie bardzo ważnej dla... dla państwa. – Zniżył głos. – Sądzisz, że regent, Kurgan Stogggul, zamierza kontynuować rozpoczęte przez ojca wynoszenie Khagggunów do statusu wyższej kasty?

Sornn przyglądał się badawczo surowej twarzy Werrrenta.

–Oczekujesz szczerzej odpowiedzi?

–Jak najbardziej. Inaczej bym nie pytał.

–Wenn Stogggul bez żadnych skrupułów zwrócił się przeciwko swojemu gwiazdnemu admirałowi – powiedział Sornn. – Do szaleństwa pragnął władzy. Z tego, co widzę, jego syn nie różni się od niego. Poza jednym: moim zdaniem jest o wiele inteligentniejszy.

Mina generała polnego nie zdradziła jego rozterek.

–Proszę, mów dalej.

–Szczerze mówiąc, generale polny, nigdy nie pojmowałem, dlaczego regent zamierza jeszcze wzmacniać potęgę Khagggunów. Ciekawiło mnie, jakie ma wobec was plany.

Lokck Werrrent skłonił się sztywno.

–Doceniam twoją szczerłość.

–Martwię się o nas. – Sornn skierował swojego cthaurosa w stronę Axis Tyr. – Martwię się o nas wszystkich.

To było paskudne miejsce – ściany zabazgrane wyzwiskami, przeraźliwie brudna podłoga. Cuchnęło moczem, gnijącymi odpadkami, ubóstwem. Wszędzie było pełno robactwa. Olnn ze wstrętem zmarszczył nos i szarpnął Radę za łokieć.

–Co to za kawały? – burknął. – Żadna czarownica by tu nie mieszkała.

–Jeżeli mnie jeszcze raz dotkniesz – powiedziała lekko drżącym głosem – to sobie pójdę i obejdiesz się smakiem, nie dostaniesz tego, czego chcesz.

–Nie masz pojęcia, czego chcę.

Przyjrzała mu się badawczo.

–Na twoim miejscu, gwiazdny admirale, nie założyłabym się o to.

Stali przez chwilę tuż przy sobie, w impasie; strach i pragnienie się równoważyły, żadna z tych gwałtownych emocji nie mogła przeważać.

–Prawdę mówiąc, nigdy nie spotkałem podobnej do ciebie Tuskuggun. Sam nie wiem, czy cię uderzyć, czy chwycić i... – Olnnn zamilkł, widząc gniewne spojrzenie Rady. Uniósł ręce. – Dobrze, dobrze. Przynajmniej na tyle cię znam.

Ruszyli przez labirynt ohydnych nor poniżej ulicy Wróżb i Olnnn powiedział:

–Jaka szkoda, że jesteś kobietą. Gwarantuję, że byłby z ciebie wspaniały wojownik.

–Szkoda, że jestem V'ornnianką.

Rydddlin osłupiał.

–A dlaczego?

Spojrzała na niego.

–Gdybym była Kundalanką, mogłabym być wojowniczką.

–Gdybyś była Kundalanką – odparł sucho – mogłabyś już nie żyć.

Usłyszał ciche popiskiwanie jakiegoś niewielkiego zwierzęcia, tupot małych łapek, ale się nie odwrócił. Zza otwartych drzwi dał się słyszeć kaszel, buchnął słodko-kwaśny odór choroby.

–Przypomnij mi, że trzeba wypalić tę ropiejącą ranę.

–Tak, gwiazdny admirale – odparła tym samym tonem. – To słuszna decyzja.

–To moja decyzja. Jestem Khagggunem.

–I jesteś z tego taki dumny!

–Słuchaj no. – Przysunął twarz do jej twarzy. – Wielu moich towarzyszy zginęło, żeby zapewnić bezpieczeństwo tobie i tobie podobnym. Ilu? Tak wielu, że straciłem rachubę. Ale widzę ich we śnie. Nawiedzają mnie w snach i szepczą, jacy są dumni. To ich duma i bohaterstwo ocaliło nas przed Centophenni.

Mierzyli się wzrokiem. Coś pomiędzy nimi zaiskrzyło.

Olnn tak się zdumiał, że aż cofnął się o krok.

–Tędy – powiedziała Rada, głosem nieco schrypniętym od emocji.

Wprowadziła go do pomieszczenia tuż przy końcu korytarza. Chociaż ponure, było jednak mniej wilgotne i hałaśliwe niż pozostałe, które mijał. Światło sączyło się z szybu wentylacyjnego i przez małe okienko, umieszczone wysoko na mocno zniszczonej ścianie. Paliła się jedna lampa, niska i o smukłej szyjce, z porządnie wypucowanego brązu. Nalano do niej wonnego olejku, bo unosił się tu bogaty korzenny aromat. Olnn dostrzegł w blasku lampy, że nie było tutaj brudu i śmieci. Na podłodze wyłożonej dużymi kamiennymi płytami leżał dywan. Pośrodku siedział mały, tak chudy, że wyglądający na wycieńczonego człowieczek. Bez wątplenia był to mężczyzna.

Olnn spojrzał na niego zde gustowany.

–Potrzebna mi czarodziejka – odezwał się. – Możesz mi powiedzieć, gdzie...

–Rado – rzekł człowieczek. – Po co przyprowadziłaś tutaj tę maszynę do zabijania?

–Wybacz mi, Sagiira. Nie miałam wyboru.

–Zawsze jest jakiś wybór, moje dziecko.

–Dość tego. – Olnn wysunął się naprzód. – Jeżeli nie sprowadzisz tu czarodziejki, stary, to spotka cię coś przykrego.

–Już są poważne następstwa. – Sagiira uniósł ramię zasuszone jak u mumii. – Dotknąłeś jednej ze świętych ksiąg Miiny. – Trzymał głowę pod takim kątem, że Olnn nie mógł dostrzec oczu w tej jakby trupiej czaszce. – Powiedz mi, maszyna do zabijania, jak twoja noga?

Olnn odruchowo dotknął zaczarowanych kości.

–O co ci chodzi? – Wiedział jednak; pulsowanie w nagich kościach nie ustawało ani na chwilę; czyż nie zaczęło się zaraz potem, jak przesunął palcem po stronicy jednej z otwartych ksiąg leżących na stole w Opactwie Gorącego Nurtu?

–Czemu pytasz? – rzekł Sagiira. – Skoro już wiesz?

Olnnn spojrział na Radę.

–Zrobiłam, o co prosiłeś – powiedziała cicho. – Oto jedyny czarodziej, jakiego znam.

–Ale on jest mężczyzną – zaprotestował Olnnn. – Nie ma mężczyzn-czarodziejów.

Sagiira pokręcił głową.

–Czego nie wiesz, maszyno do zabijania.

–Nie nazywaj mnie tak! – warknął Olnnn.

–Jesteś, czym jesteś.

Olnnn poszperał w plecaku i wyjął księgę. Sagiira trochę się przechylił, żeby ją wziąć, i blask lampy na chwilę oświetlił jego twarz. Olnnn się zorientował, że starzec jest ślepy. Miało się wrażenie, że wyłupiono mu oczy.

–Urodziłeś się ślepy? – Rydddlin nie zdołał się powstrzymać i zapytał.

–Niegdyś widziałem. – Sagiira przesunął dłońmi po księdze. – Lecz dawno temu odebrano mi wzrok. – Otwarta księga leżała na jego chudych kolanach. – Czy ty w ogóle pojmujesz, maszyno do zabijania, co to znaczy stracić wzrok? Nie, oczywiście, że nie. Nie masz pojęcia, czym wzrok jest lub może być.

–Jasne, że rozumiem.

–Nie. Jesteś V'ornnem. – Patykowate palce Sagiiry zatrzymały się na stronicy, wystukiwały jakiś rytm. – W dawnych czasach widziałem przyszłość. To była najważniejsza część mojej magii. A teraz jestem ślepy w pełnym znaczeniu tego słowa. Rozumiesz? – Zaśmiał się, ukazując brązowe zęby i zaognione dziąsła. – Widziałem, jak się zbliżacie, maszyno do zabijania. Widziałem, co nam zrobicie. Próbowałem ich powstrzymać, ale nie chcieli mnie słuchać. Grozili mi i z głupoty się do nich przyłączyłem, za ten wielki grzech zostałem oślepiiony. – Przekrzywił głowę. – Nie rozumiesz ani słowa z tego, co mówię, prawda? – Potrząsnął głową. – Ta księga ma tytuł *Objaśnianie Znaków*. Ale to już wiesz, co? Twoje kości ci powiedziały. Mówią do ciebie, maszyno do zabijania.

Olnnn wpatrywał się w czarodzieja szeroko otwartymi oczami.

–Skąd wiesz?

–Tkwiący w nich czar ożył w chwili, kiedy dotknąłeś księgi. Czyż nie wspominałem, że to święta księga Miiny?

–Wspominałeś, Sagiira – odparła cicho Rada.

–Ach, ach! – Pokręcił głową. – Czas orze mnie pazurami niczym perwillon. – Zamknął księgę, przytulił ją do zapadniętej piersi. – Kiedyś potrafiłbym to przeczytać. Znałem to na pamięć. A teraz jestem okaleczony, nieodwracalnie.

–Muszę odnaleźć pewnych zbiegów. – Olnnn desperacko starał się zmienić temat. – Przeglądali tę księgę, szukali czegoś. Co to było?

–Musisz iść za nimi na północ, żeby się tego dowiedzieć – odparł Sagiira. – Ale to nie uciekinierami powinieneś się przejmować.

–Jedno z nich omal mnie nie zabiło. To przez nią moja noga...

–To twoja noga powinna cię trapić – stwierdził Sagiira. – A raczej to, co się w niej kryje. Czar. – Zmarszczył nos. – Czuję go.

–Jaki czar? Ta skcetta zostawiła czar?

–Nie Giyan – powiedział cicho Sagiira. – Ta druga czarodziejka.

–Malistra?

Czarodziej potaknął.

–Nie wierzę ci – rzekł szorstko Olnnn.

–Ale uwierzysz. – Co dziwne, Sagiira odwrócił się ku Radzie. – Bo nie możesz powstrzymać tego, co Malistra dla ciebie zaplanowała.

Rzeczywiście, Olnnn poczuł, że pulsowanie w jego nodze bardzo się nasila. Krzyknął. Upadł na podłogę, bo poczuł w zaczarowanej nodze przeraźliwy ból.

–Nadciąga, maszyna do zabijania. Jesteś gotów? Nie, nie sądzę.

Olnnn wił się w straszliwym bólu, zaciskał dłonie na brzegu dywanu czarodzieja. Oczy wychodziły mu z orbit, z trudem chwycił powietrze.

–Nie. Nawet taka jak ty maszyna do zabijania nie jest przygotowana na to.

Olnnn poczuł coś na nodze, a może w niej. Tak, w niej. Na kości udowej pojawiało się wybrzuszenie. Patrzył, zafascynowany i przerażony, jak z porowatych warstw gołej kości wyślizguje się wąż barwy miedzi, a do ciasno zwiniętych splotów doczepia się płaski, trójkątny łeb.

–Malistra! – wychrypiał.

–Tak, miała wielką moc – rzekł Sagiira. – Sądzę, że oszukała nas wszystkich. Nawet swojego pana.

Olnnn zbyt cierpiał, żeby doszukiwać się sensu w słowach czarodzieja. Miał większe problemy.

Wąż, wijąc się, połyskiwał w świetle lampy. Niespodziewanie zaczął syczeć. Wbił w Olnna obsydianowe oczy, wysuwał rozdwojony język.

–Ssssłuchaj uważzzznie, Olnnie. Sskoro sssłyszysz mój głossss, to znaczy, że odczyniono czar sssskryty w kośśściach twojej nogi. Na pewno jessssteśśś z kobietą. Lubissss ją? A ona ciebie? Mam nadzieję, zzzzże tak. Bo teraz juzzz na zawssssze jesssteście złączeni.

Olnnn kątem oka zauważył malujące się na twarzy Rady przerażenie.

–Nigdy przedtem nie potrzebowaśśś kobiety – ciągnął wąż. – Ale teraz tak. Bo tylko ona możzżże złagodzić twój ból. Jedynie przez dwanaśśście kolejnych kundalanssssskich godzin możesssz się obejśśść bez jej towarzysstwa. Nie więcej.

–Dlaczego? – zawołał Olnnn. – Czemu mi to robisz?

–Żeby cię chronić. Massssz przeciwnika. Potężnego przeciwnika, który udaje twojego przyjaciela.

–Kurgan Stogggul – powiedział Olnnn.

Wąż wysunął rozdwojony język.

–Zabije cię przy pierwsssszej okazji. Raczej wcześśśniej niż później. Widziałam go wewnętrznym okiem, kiedy cię leczyłam, i sssstąd te zabezpieczenia. – Wąż prześliznął się po jego kościach. – Kurgan ma w ssssobie ossssobliwą moc. – Wąż uniósł łeb i wysunął rozdwojony język. – Dałam ci ssssiłę potrzebną, żeby go zabić, ale musssssisz to znaleźć w ssssobie i zmienić.

–O czym ty mówisz?

–Kaźda władza deprawuje, Olnnie. Tego mnie nauczyło życie. Najlepssssze zamiary sssssą niczym wobec deprawacji dussssszy przez władzę. Jeżeli zabijessssz Kurgana, to twoja władza i pressstiz sssstukrotnie wzrossssną. To cię całkowicie zepsssuje, jeżeli pozossstaniessz taki jak teraz. To cię znissssszczy. Kobieta zadba, żeby władza cię nie znissssszczyła.

–A skąd wiesz, że i mnie jego władza nie zepsuje?! – krzyknęła Rada.

Wąż zwrócił ku niej łeb, jego oczy płonęły zimnym blaskiem.

–A co byśś zrobiła z taką władzą, niewiassssto?

–Ja? ...nie mam pojęcia.

Łeb węża gwałtownie wysunął się w przód.

–Na pewno ssssą jakieś rachunki do wyrównania, wrogowie do ussssunięcia.

Miałabyś sssswoje sssspossssoy, rozkosssszowała ssssie...

–Co? Nie! – Rada się wzdrygnęła. – Jesteś zła. Do szpiku kości.

–Widzissssz? – Wąż się uśmiechnął, rzecz niespotykana u gada. – Nie pragnissssz takiej władzy, nie chcesssz jej. Ocalissssz go przed nim ssssamym.

–Cooo? Nie chcę...

Wąż przekazał wiadomość i zaczął się rozpadać. Miedziane łuski uderzały o podłogę. Zaczął wysychać, ciemnieć, pękać i skręcać się jak papier w żarze. Wkrótce nie było po nim śladu.

–To nie mogła być prawda – rzekła osłupiała Rada. Popatrzyła na czarodzieja. – To musiało być przywidzenie.

Olnn zaciskał dłoń na kościach nogi.

–Ból jest całkiem realny. – Z trudem oddychał.

–Obydwoje dobrze zrobicie, jeżeli posłuchacie Malistry – stwierdził Sagiira.

–Nie chcę mieć z tym nic wspólnego – powiedział Olnn.

–Ani ja – dodała Rada.

–Głupie gadanie – westchnął Sagiira. – Usidliło was zakłęcie i nie macie wyjścia.

20. Bliźniaczki

Znalazłaś mi jakiegoś podrzędnego nosiciela – powiedziała Bartta. Przesunęła dłońmi, nadal jeszcze czerwonymi po przebytej męce, po garbatym, pokrzywionym ciele i oczy jej zapłonęły. – Celowo mi to zrobiłaś! – wrzasnął tkwiący w niej arcydemon Mygggorra i teatralnym gestem wskazał Giyan. – Popatrz tylko na siebie: wysoka, o złocistych włosach, piękna. Tylko mi nie mów, że nie wzięłaś sobie najlepszego.

–Na pierwszy rzut oka może tak wyglądać – powiedziała, krzywiąc się, Giyan. – Ale nawet sobie nie wyobrażasz, jak zawzięcie ten nosiciel ze mną walczy. Trudno uwierzyć, że w tych czasach Kundalanie wydali taką potężną czarodziejkę jak ta.

Bartta pociągnęła nosem.

–Tylko tak mówisz.

Twarz Giyan przez chwilę była zniekształcona.

–Gdybyż tak było, bracie. Niemal wszystkie siły poświęcam, żeby ją więzić w Nadświecie.

Dla konara Inggres, schowanej we wnęce za kamienną ścianą, przy której znajdował się kominek, ta dziwna rozmowa była pełna niezrozumiałych podtekstów. Kiedy Giyan powiedziała: „to błogosławieństwo, że wielka bogini Miina zabrała konara Urdmę”, wszystkie obawy konara Inggres się potwierdziły, bo każda Ramahanka wiedziała, że Miina nie zabiera kapłanek. Kiedy umierały, jeden z Pięciu Świętych Smoków – który, to już zależało od konkretnej Ramahanki – brał je w paszczę i wkładał w nowe ciała, żeby mogły się znów narodzić. I dlatego konara Inggres wiedziała od tamtej chwili, że jej podejrzenia były słuszne. Giyan nie była tą, za którą się podawała, Bartta też. Więc kim były? Mówiły o nosicielach. Co to znaczy? I czego one chcą, po co się tu znalazły?

Kiedy ujrzała Barttę zmierzającą ku byłemu gabinetowi konara Urdmy, ogarnęło ją straszliwe przeczucie. Porzuciła myśl o obowiązkach czekających na nią na drugim końcu opactwa i pospiesznie skręciła za róg. Korytarz dla służby był na szczęście pusty, wśliznęła się do małego schowka, dobrnęła w zupełnej ciemności do przeciwległej ściany i nacisnęła zamaskowany bolec. Odsunęły się tajemne drzwi i Inggres wcisnęła się do środka. Skulona w ciasnej wnęce, z sercem łomoczącym i podchodzącym jej do gardła, zbliżyła oczy do otworków.

Krótkotrwałe, lecz gwałtowne zamieszanie wyrwało konara Inggres z zamyślenia. Znów spojrzała przez otworki, akurat w porę, żeby zobaczyć palce Bartty zaciskające się na gardle Giyan.

–Skoro jesteś tak zmęczona, to bez trudu zabiorę to, co od początku powinno być moje.

Giyan straszliwie ryknęła i spoliczkowała Barttę z taką siłą, że ta przeleciała przez gabinet i łupnęła o kamienną ścianę.

–Uważaj, co mówisz! – krzyknęła. – Nie zapominaj, że to ja postanowiłam złamać Prawo. – Przeszła przez niewielki pokój i złapała nieco ogłuszoną Barttę za szaty, potrząsnęła nią jak wicher gałązką. – To ja ryzykowałam i mnie się należy nagroda. –

Plunęła Bartcie w twarz. – Poza tym nigdy mi nie dorównywałaś, więc porzuć próżne ambicje.

–A co z demonią wojną? Kiedy się zacznie? – Mygggorra starał się przybrać służalczy ton Bartty i skierować straszliwy gniew Horolagggii na inne sprawy.

–A tak, długo oczekiwana wojna. – Giyan skupiła uwagę na czymś innym, puściła bliźniaczkę i powoli wróciła do biurka konara Urdmy. – Otwarty jest tylko jeden portal, więc tylko my, arcydemony, możemy się wysliznąć wraz z nielicznymi wybrańcami w zmienionej postaci. Żeby inwazja mogła się na dobre rozpocząć, należy jednocześnie otworzyć wszystkie portale.

–Do tego jest nam potrzebny Odźwierny. – Bartta poprawiła szaty. – Lecz jego tożsamość nadal jest jedną z tajemnic Miiny.

Błękitne jak niezabudki oczy Giyan roziskrzyły się.

–To nie jest zadanie dla ciebie.

Bartta się zjeżyła.

–A co, uznano, że nie jestem godna?

–Każda z nas ma do odegrania konkretną rolę – rzekła Giyan. – Na tym polega siła naszego planu.

Bartta tupnęła nogą.

–To sposób na to, by trzymać mnie w ryzach.

Giyan przyglądała się jej przez chwilę, potem wstała i, śmiejąc się, klepnęła siostrę w garbate plecy.

–Wszystko sprowadza się do ciebie, nieprawdaż? – Przeszała się śmiać. – To dlatego ty podlegasz mnie, a nie ja tobie.

Konara Ingggres usiłowała choć odrobinę wygodniej się ustawić. Tę „szpiegowską” wnękę wykonano na polecenie konara Mossy w czasach, kiedy włądała Opactwem Opływającej Jasności. Wedle rozeznania konara Ingggres, poza nią i Lyystrą nikt nie wiedział o jej istnieniu. One zaś natrafiły na nią zupełnie przypadkowo, a zaniedbane wnętrze świadczyło o tym, że nawet konara Bartta nie miała o niej pojęcia.

Rozległo się pukanie do drzwi i konara Ingggres znów z uwagą zajrzała do gabinetu. Giyan powiedziała:

–Wejść.

I pojawiła się konara Lyystra. Miała szkliste oczy i poruszała się bardzo sztywno, co Inggres zauważyła z mieszaniną konsternacji i lęku.

–Zniszczono wszystkie lustra – oznajmiła konara Lyystra.

–To dobrze – odparła Giyan. – Przyprowadziłaś kandydatkę?

–Tak, Matko.

Konara Inggres stała się jeszcze bardziej czujna, serce tłukło się jej boleśnie.

–Przyprowadziłam konara Tyyr.

Giyan skinęła głową i kiedy Lyystra już miała wyjść, rzekła:

–Konara Inggres może się nie nadawać na kandydatkę. Jeżeli to się potwierdzi, trzeba ją będzie wyeliminować jak konara Urdmę.

Konara Inggres przycisnęła pięść do ust, żeby powstrzymać krzyk.

–Uważam, że zdołam ją przekonać – powiedziała konara Lyystra.

–Nie dopuść, żeby przyjaźń twojej nosicielki z nią wpływała na twój osąd – odezwała się konara Bartta. – Wszystkie konara powinny...

Giyan uniosła dłoń i Bartta zamilkła.

–Masz tydzień. Nie więcej – powiedziała Giyan do Lyystry. – Zrozumiano?

–Tak, Matko.

–Dobrze. Teraz wprowadź kandydatkę.

Konara Lyystra zniknęła, a Giyan wyjęła zza biurka czarną torbę z wężowej skóry, z niej zaś wydobyła mały przedmiot o kształcie jajka. Potem zrobiła coś dziwnego. Położyła sobie to coś na języku. Konara Inggres była przekonana, że zanim ten „obiekt” zniknął w ustach Giyan, wysunął dziesięć krótkich łapek.

Chwilę później w drzwiach pojawiły się dwie konara. Konara Tyyr była blada i trzęsła się, lecz pozwoliła, żeby Lyystra zaprowadziła ją przed oblicze Giyan.

–Dobry wieczór, konara Tyyr – odezwała się z uśmiechem Giyan.

–Dobry wieczór, Matko.

–Czy konara Lyystra powiedziała ci, dlaczego cię tu przyprowadziła?

–Tak, Matko.

–Powtórz mi to.

–Musisz poddać mnie próbie, która wykaże, czy mogę osiągnąć wyższy stan świadomości.

–Żebyś mogła stać się bliższa wielkiej bogini Miinie.

Konara Tyyr wpatrywała się w Giyan.

–Czy robisz to dobrowolnie?

–Tak, Matko.

Giyan skinęła głową i na krótko zamknęła w dłoniach rękę konara Tyyr.

–Ależ jesteś zmarznięta, moja droga. Musimy cię rozgrzać. – Z tymi słowy złapała konara Tyyr za ramiona i mocno pocałowała ją w usta.

Konara Inggres mocno się wykręciła, żeby lepiej widzieć, dojrzała więc, jak otwierają się usta Giyan, zobaczyła, jak dziesięcionogi jajowaty stwór przechodzi z języka Giyan w usta konara Tyyr. Zaraz potem Tyyr dostała drgawek i Giyan musiała ją tak mocno trzymać, że jej palce zostawiły sine pręgi na ramionach konara. Skończyło się to tak nagle, że konara Inggres na chwilę zwątpiła w to, co widziała. Potem oczy konara Tyyr stały się równie szkliste jak oczy Lyystry.

–Pojawiłeś się – stwierdziła Giyan.

Konara Tyyr potakująco skinęła głową.

–Jestem wolny.

–Jeszcze nie całkiem – powiedziała łagodnie Giyan, kiedy konara Lyystra prowadziła konara Tyyr ku drzwiom. – Uważaj. Unikaj długich rozmów z innymi Ramahankami, a jeżeli spostrzeżesz lustro, to je zniszcz, nie przechodź przed nim. Jasne?

–Tak.

–Konara Lyystra we wszystko cię wprowadzi.

Konara Inggres, skuloną w ciasnej wnęce, oblał zimny pot. Jakiegoż to bluźnierczego rytuału była świadkiem? Kim była ta Giyan? Najwyraźniej nie była tą samą młodą Ramahanką, którą wypędzono z opactwa ponad dwadzieścia lat temu. Potem była oficjalną nałożnicą regenta Axis Tyr, aż do jego śmierci. Teraz uciekła

przed nową władzą V'ornnów. Ale to wszystko nie tłumaczyło jej dziwnego zachowania.

–No to do roboty – mówiła Giyan. – Musimy popracować nad zmianami w ramahańskim programie nauczania. Dopóki nie wykszolimy kadry, to ja i ty, droga Bartto, będziemy prowadzić wszystkie zajęcia. Będą się odbywały w głównej kaplicy, pod okiem podobizny bogini Miiny.

Zarechotała, a jej śmiech zmroził konara Ingggres krew w żyłach. Był tak odrażający, tak zły, że trudno było uwierzyć, by mógł się wydobyć z gardła jakiegokolwiek Kundalanina.

–A jak myślisz, Bartto, czego będziemy uczyć? W sztuce uzdrawiania będziemy nauczać wpajania lęku. W herbologii zaś, jak sporządzać trucizny pozbawione smaku i koloru, zupełnie nie do wykrycia. W wieszczej historii będziemy słać mądrość naszego ukrywającego się ojca.

Konara Ingggres płakała. Nie pojmowała niczego, lecz wiedziała, że oto jest świadkiem początku końca takich Ramahanek, jakie stworzyła Miina. Ogarnęła ją rozpacz, jakiej jeszcze nigdy nie doświadczyła. Czuła się samotna, przerażona, bezradna. Paraliżowała ją obecność takiego zła w sanktuarium Miiny. Miała wrażenie, że bliskość Bartty i Giyan pozbawia ją zdolności jasnego myślenia. Dygotała, przemarznięta. Jakby wypływała z niej siła życiowa – i to jeszcze bardziej ją przerażało. Zaczęły jej się trząść ręce, przyciśnięte do kamiennej ściany; mocno zacisnęła usta, żeby szczerkanie zębami nie zdradziło jej obecności Bartcie i Giyan. Zamknęła oczy i wyrecytowała w myślach siódmą modlitwę:

O wielka bogini Pięciu Księżyców,

któraś jest w świętej tajni nocy,

wysłuchaj swej pokornej służki,

żyjącej wedle twych Praw, kierującej się twym Słowem.

Dozwól, by w chwili śmierci zabrały mnie twoje groźne dzieci.

Dozwól, o bogini, bym poczuła ich łagodny pocałunek,

bym nie traciła nadziei

I do końca mych dni spełniała twoje święte dzieło.

Ingggres twarz miała mokrą od łez. Była niczym zagubione, pozbawione matki dziecko.

Kierowali się na północ. W pofałdowanym stepie tu i tam pojawiały się wyrzute skały o osobliwej szarawozielonej barwie. Teren zaczął się wznosić. Skałki występowały coraz częściej i wkrótce zmieniły się w góry, a potem w góry tkwiące na większych górzach. Othnam nazywał je Barkami Jiharrego. Po tym poznali, że zbliżają się do in'adim.

Jadący przodem Othnam ściągnął wodze i kuomeshal przeszedł ze zwawego klusa w spokojnego stępa.

–Powinniśmy tutaj zsiść – odezwała się Tezziq. – Kuomeshale nie lubią in'adim, a poza tym pieszo będzie nam łatwiej tam podejść.

Othnam i Mehmmer wymienili spojrzenia.

–A jeżeli ona chce po prostu w ten sposób wrócić do swoich? – spytała Mehmmer.

–Moja siostra ma słuszość – rzekł Othnam. – Kto wie, jakie tajemnice kapudaana i pałacu może przekazać Jeni Cerii.

–Nie jestem szpiegiem – powiedziała Tezziq. – Nie chowam w sercu miłości do Jasima i nie mam ochoty wracać w jego łapy.

–Ona po prostu chce być wolna – odezwała się Riane. – A wolność to cel, który, jako Ghorowie, powinniście pojmować.

Tezziq potrząsnęła głową.

–Nie wierzą mi. Widzę to po ich twarzach.

Riane klepnęła swojego kuomeshala, który z trudem przyklęknął. Zsiadła, a za nią Tezziq.

–Uważam, że kiedyś musicie wreszcie okazać trochę ufności i uwierzyć, że nie wszyscy Jeni Cerii są waszymi wrogami.

–Pewno masz jakąś rodzinę, z którą chciałabyś się znowu spotkać – powiedziała Mehmmer do Tezziq.

–Prawie całe życie spędziłam w haanjhala, najpierw Jasima, potem Makktuuba – odparła Tezziq. – Miałam siostrę i trzech braci, ale ich nie pamiętam. A co do rodziców... – Wzruszyła ramionami. – To oni sprzedali mnie Jasimowi, kiedy miałam osiem lat. Zanim zasnął, szeptał mi na ucho wiele tajemnic. Haanjhala stało się moim życiem. Czemu miałabym chcieć znów zobaczyć rodziców?

–Ja i Tezziq idziemy dalej – oznajmiła Riane Othnamowi i Mehmmer, którzy mieli

zawzięte miny. – Będę wam wdzięczna za pomoc, nawet gdybyście postanowili teraz zawrócić.

Brat i siostra znowu wymienili znaczące spojrzenia.

–Ona jest ajjan i na dodatek Jeni Cerii – odezwała się Mehmmer.

–Ostrzeżliśmy cię – dodał Othnam. – Teraz ty za nią odpowiadasz.

–Oby Jiharre i święty fulkaan zawsze byli z tobą, Riane – rzekła na pożegnanie Mehmmer.

Potem zawrócili kuomeshale i odjechali ku Agachire.

Niebo było białe, bezkresne. Złowieszczy masyw Djenn Marre wydawał się bliższy niż kiedykolwiek, w tajemniczym Wielkim Ryfcie ciemniały kłębiące się chmury. Riane i Tezziq chłostał niosący piasek wiatr wiejący z Wielkiego Voorgu na południowy wschód i musiały ciasniej owinąć głowy sinschalami.

–Będę za nimi tęsknić – powiedziała Riane.

–Dlaczego? Są Ghorami.

–Więc powinnam się ciebie bać i nienawidzić cię, jak oni, bo jesteś ajjan i Jeni Cerii?

Tezziq potrząsnęła głową.

–Lepiej nam będzie bez nich. Nigdy by dobrowolnie za mną nie poszli.

Riane przywiązała lejce kuomeshala do skałki, wzięła z juków bukłak i parę innych rzeczy i ruszyły na północ, kierując się ciągle pod górę, ku in’adim. Marsz nie był łatwy, bo twarda powierzchnia Korrushu zmieniła się w piach. Tezziq pokazała Riane, jak iść, mocno uginając nogi w kolanach, lekko pochylając się przy podchodzeniu lub trochę odchylając się w tył przy schodzeniu z piaszczystej wydmy – to pomagało utrzymać równowagę.

W taki sposób wędrowały jakąś godzinę. Kiedy zbliżały się do grzbietu najwyższej jak dotąd diuny, Tezziq opuściła w dół otwartą dłoń i dziewczęta padły na brzuch, i zaczęły się czołgać. Zatrzymały się tuż przed falistym grzbietem diuny, ostrożnie uniosły głowy i spojrzały w głąb in’adim.

Riane ujrzała szereg dużych, półksiężycowatych wyżłobień o nieco zakłęśniętym zaskorupałym dnie, po którym wiatr od Wielkiego Voorgu przeganiał wężyki piasku. Ani śladu obozowiska Jeni Cerii. Minęły grzbiet diuny i zaczęły schodzić w dół,

kierując się na północny wschód, zgodnie z układem in'adim.

–Jak daleko mogli wywieźć Perrnodt? – spytała Riane.

–Zależy, co zamierzają z nią zrobić – odparła przez ramię Tezziq. – Ale nie wydaje mi się, że gdzieś daleko. Na pewno będą ją chcieli trzymać tam, gdzie czują się najbezpieczniej, czyli tu, w in'adim.

Lecz w in'adim, jak daleko Riane mogła sięgnąć okiem, był tylko piasek. Żadnej skałki, drzewa, źdźbła trawy – nic, nawet najdrobniejsza kępka porostów nie widniała na Barkach Jiharrego. A piasek, kiedy go nabrała w dłoń, okazał się gruboziarnisty i szorstki jak tarnik; był brązowawoszary niczym zakrzepła kundalańska krew. Posuwały się naprzód bardzo powoli, bo trudno było iść po zdradzieckiej diunie, a in'adim ograniczały pole widzenia.

Na pierwszego Jeni Cerii natknęły się tak niespodziewanie, że Tezziq musiała popchnąć Riane na piach. Obie leżały na wpół zakopane w piasku i z mocno bijącymi sercami obserwowały wojownika wychodzącego z nieckowatego in'adim. Szedł prosto na nie. Na szczęście osłoniło je wyrzucenie w stoku diuny, przynajmniej na razie. Ale nie na długo. Tezziq najwyraźniej myślała tak samo, bo przysunęła usta do ucha Riane i wyszeptała:

–Musimy go szybko i cicho zabić. Jeżeli powie innym, że tu jesteśmy, to wszystko stracone.

Riane skinęła głową. Tezziq miała słuszność, nie było wyboru. Wyciągnęła sztylet i ułożyła się wygodniej. Jeni Cerii był bardzo blisko i Riane zbierała się w sobie, by zrobić to, co konieczne. Wiedziała, że musi go zabić pierwszym ciosem, zanim zdąży krzyknąć. Nadchodził. Napięła mięśnie. Zamierzała podciąć mu gardło; nawet jeżeli sztylet trochę się ześliznie, to Jeni Cerii będzie miał usta pełne krwi i nie zdoła dobyć głosu. Chciała wykorzystać swoją przewagę, więc odczekała, aż był tuż-tuż, i dopiero wtedy się poderwała. Zamierzyła się, gotowa uderzyć, i w ostatniej chwili zamarła. Puls tętnił jej w skroniach, krew szumiała w uszach. Zeszła ze ścieżki Jeni Cerii i dała Tezziq znak, żeby zrobiła to samo. Ajjan, chociaż zdziwiona, posłuchała. Jeni Cerii je minął i zniknął za grzbietem in'adim. Riane wróciła do Tezziq.

–Co się stało? – spytała Tezziq. – Czemu go nie zabiłaś? Mógł nas dostrzec. Miałyśmy ogromne szczęście, że nas nie zauważył.

–Tak myślisz. – Riane się odwróciła, spojrzała w głąb in'adim i wskazała palcem.

Tezziq zeszywniała, widząc nadchodzącego drugiego Jeni Cerii.

–Widzisz? – szepnęła Riane. – Nadchodzi z tego samego kierunku co pierwszy. – Powiodła palcem za postacią. – Jak podejdzie bliżej, zwróć baczną uwagę na jego

stopy.

–Stopy?? Co... – I Tezziq zobaczyła. – Nie dotykają piasku.

Dostrzegła to, co w ostatniej chwili powstrzymało Riane.

–To niemożliwe.

–Byłoby niemożliwe – odparła Riane – gdyby to naprawdę byli Jeni Cerii.

Tezziq potrząsnęła głową.

–Przecież to wojownicy Jeni Cerii.

–Nie – wyjaśniła Riane – to hologramy. – A widząc zdumienie Tezziq, dodała: – To rodzaj projekcji, wytwór gyrgońskiej technomancji.

–Twierdzisz, że oni nie są żywi? Ale wyglądają jak prawdziwi.

–I o to chodzi – powiedziała Riane.

–Ale po co tutaj są? Co robią?

–Po pierwsze po to, żebyśmy uwierzyli, iż Perrnodt została uprowadzona przez Jeni Cerii. – Riane intensywnie myślała nad ostatnimi wydarzeniami, jedna teoria gonila drugą.

–A tak nie było?

–Nie. Zastanawiałam się nad tym. Dumałam, czemu Perrnodt nigdy nie opuszcza swojego kashiggenu. Przecież gdyby Gyrgon Nith Settt czegoś od niej chciał, poszedłby do kashiggenu i wydobył to od niej. Jedyne wytłumaczenie, jakie przyszło mi do głowy, to że z jakichś nie znanych mi przyczyn nie mógł się do niej dostać, dopóki była w kashiggenie.

–Więc doprowadził do tego, że musiała stamtąd wyjść.

Riane przytaknęła.

–Uważam, iż Nith Settt uświadomił sobie, że moja ucieczka doprowadzi do tego, że Ghorowie zabiorą ją z kashiggenu, zanim zostanie otoczony.

–I Gyrgon ruszył ich tropem, zabił Ghorów i uprowadził ją.

–To właśnie oznaczają hologramy.

Kolejny znów kroczył ku nim i Tezziq wyciągnęła rękę, jakby chciała, by przez nią przeszedł, lecz Riane w ostatniej chwili chwyciła ją za ramię.

–Hologramy nie widzą, ale są czujkami. Wyczułyby nas, gdybyśmy się znalazły jakieś trzydzieści centymetrów od nich. Khagguni, v'ornnańska kasta wojowników, wykorzystują je jako zwiadowców w nieprzyjaznym środowisku.

Dziewczyny przykucnęły za diuną.

–Gdzie jest punkt etapowy Jeni Cerii?

–Okolo pięć kilometrów na północny wschód stąd. Ale przecież już nie wierzysz, że mają coś wspólnego z uprowadzeniem Perrnodt.

–Otóż to. Dlatego uważam, że Gyrgon będzie się trzymał z dala od ich obozu. Wszystkie hologramy nadchodziły z północnego zachodu. Powinnyśmy iść w tamtym kierunku.

–Będziemy musiały przeciąć in'adim.

–Żaden kłopot – stwierdziła Riane, rozwijając opończę Nith Sahora. Otuliła je nią, lecz nic się nie stało. – To bardzo dziwne. – Zasepiła się, sprawdziła wewnętrzną stronę giętkiej neuralnej sieci. – Nie chce działać.

Pomyślała o tym, co to oznacza, i natychmiast poczuła chłód. Czyżby Nith Sahor nie żył? Czy dlatego jego opończa nie działa? Modliła się do Miiny, żeby powód był inny.

Zwinęła opończę, wpatrując się w niewinnie wyglądającą nieckę.

–Przeprowadzisz nas?

–Chyba tak – odparła Tezziq.

Zgięte wpół zsuwały się ze stromej diuny, powodując obsuwanie się zwałów piachu. Dotarły do skraju niecki, Tezziq nabrała garść piasku i cisnęła przed siebie. Piasek wsiąkł w dno zagłębienia.

–Jakie są te ruchome piaski? – zapytała Riane.

–To zależy od prądów – odparła Tezziq. – Mogą być lepkie jak miód albo wodniste jak kleik.

Nabrała drugą garść piasku i rzuciła w lewo. Też zniknął. Lecz kiedy rzuciła piasek w prawo, pozostał na powierzchni.

–Napełnij kieszenie – pouczyła Riane i dziewczęta wypełniły piaskiem wszystkie kieszenie. – Musimy być ostrożne, lecz nie wolno nam się ociągać – ostrzegła Tezziq – bo in’adim słynie z nagłych przemieszczeń jak prądy w oceanie. To, co teraz jest twarde, w następnej chwili może się usunąć spod stóp. Musimy stale iść naprzód.

Z tymi słowy zeszła na dno in’adim, stawiając stopę przy maleńkim wzniesieniu piasku. Sypała piasek i szła. Riane podążała jej tropem, stąpając po śladach stóp Tezziq. Zorientowała się, że nie idą po linii prostej. Raczej zataczały krąg i często wracały po własnych śladach. Jak w labiryncie, w którym drogę wybiera się na oślep.

Ale przynajmniej stale posuwały się naprzód, chociaż trudno było ocenić, jak daleko już uszły po dnie niecki. Ilekroć się wydawało, że idą wprost przed siebie, zatrzymywał je wzniesienie ruchomego piasku, który by je wciągnął, gdyby nań stąpnęły. Riane dodatkowo denerwowało to, że na płaskiej powierzchni in’adim były doskonale widoczne. Nie tylko nie było się tu gdzie schować, ale też nie mogłyby uskoczyć przed bezpośrednim atakiem Gyrgona.

Zmierzchało, zmieniało się światło. Bezbarwne niebo zmieniło się w misę z przepięknej błękitnej porcelany, opasaną zwiewnymi wstęgami unoszących się wysoko obłoków. Ze wszystkich stron otaczały je diuny, więc powietrze było nieruchome i spokojne. Riane opanowało znużenie i senność. Raz czy dwa ku swemu przerażeniu stwierdziła, że oczy się jej zamknęły i że, idąc na oślep, omal nie zboczyła ze śladów Tezziq. Wysoko w górze krążyły jakieś ptaki – duże, czarne, nie do rozpoznania z tej odległości, unosiły je prądy termiczne.

Nagle, niczym bąbel na powierzchni stawu, pojawiło się kolejne wspomnienie z tajemniczej przeszłości Riane. Wdrapywała się na stromą skałę, wbijała palce w głęboki śnieg i lód aż do ukrytej pod nimi zlodowaciałej skalnej ściany. W górze – bezchmurne, purpurowo-błękitne niebo. Pod nią – przyprawiająca o zawrót głowy urwista skała, ubity śnieg żyłkowany lśniącym lodem. Wiatr wył wśród Djenn Marre, mówiła do niego, jakby był żyjącą istotą, starym przyjacielem. I wciąż wdrapywała się wyżej i wyżej, rozrzedzone powietrze raniło jej płuca. Dłonie i stopy miała zeszywniałe, lecz nieustannie, chociaż powoli, się wspinała. Na niebie wisiało słońce, niczym purpurowa plama, paląc jej skórę.

Jednocześnie lód i ogień. I wtedy usłyszała dobiegającą z daleka, odbijającą się echem wśród gór, pieśń nad pieśniami i przepełniła ją ogromna radość. Wreszcie go odnalazła. Przestała się wspinać i czekała, zawieszona w przestrzeni, oddalona od wszystkiego. Tylko ona i Djenn Marre, i pieśń nad pieśniami, rozlegająca się coraz bliżej i bliżej, aż wreszcie usłyszała miarowy łopot olbrzymich skrzydeł. Odwróciła się ku słońcu, przymrużyła oczy i zobaczyła zbliżający się cień, i otworzyła usta, żeby wypowiedzieć słowa, których właściwej wymowy uczyła się przez tyle lat...

Riane, idąc za Tezziq, zamrugła i potrząsnęła głową. Co przywołało to

wspomnienie? I co ono oznaczało? Czego szukała pośród najwyższych szczytów Djenn Marre? Czego tak długo i mozolnie się uczyła? Znowu potrząsnęła głową. I to wspomnienie, jak wszystkie inne, nasuwało więcej pytań, niż przynosiło odpowiedzi. Miała wrażenie, że spogląda na wielką układankę, do której ma zaledwie kilka elementów. Przestała myśleć o tej nowej tajemnicy i skupiła się na pomaganiu Tezziq w rozsiewaniu piasku i stawianiu kolejnych kroków. Lecz jakoś nie mogła się uwolnić od myśli o Gyrgonie, który zamordował Ghorów i uciekł z Perrnodt.

Na odległej diunie pojawił się Nith Settt, jakby przywołany jej myślami. Riane rozpoznała znajomy wysoki, kanciasty hełm z uszami finbata i groźnymi rogami, z rzędem paskudnie wyglądających metalowych pazurów sterczących z nasępionego nadczola.

–Wiedziałem, że się pojawisz, Riane – powiedział. – Ale się nie spodziewałem, że przywleczesz ze sobą tę skcettę Jeni Cerii.

–Musimy iść. Natychmiast. – Riane pociągnęła Tezziq za szatę.

Nith Settt uniósł ramię, skierował ku nim dłoń w czarnej rękawicy. Błysnął zielony joniczny płomień.

W tej samej chwili rozpadła się łacha twardego piasku, na której stały. Tezziq wrzasnęła i poleciała do przodu. Riane skoczyła w tył, bezskutecznie próbując chwycić ajjan. Wylądowała na twardym piachu, wyciągnęła się jak długa i starała się dosięgnąć Tezziq. Kątem oka widziała Nith Settta, który przykucnął, swobodnie oparł dłoń na kolanach i obserwował dramatyczną scenę.

–Coś mi ukradłaś, Riane. – Jego głos rozbrzmiewał nad płaskim dnem in’adim. – Chcę to odzyskać.

Riane, zajęta ratowaniem Tezziq, nie mogła sobie pozwolić nawet na spojrzenie ku niemu, a tym bardziej na jałowe pogaduszki. Wyciągnęła się ponad ruchomymi piaskami i zdołała zacisnąć rękę na skraju szaty Tezziq.

–Puść mnie! – krzyknęła Tezziq. – Piasek pod tobą w każdej chwili może się zapaść. Ratuuj się, póki możesz.

–Mądra rada, Riane! – zawołał Nith Settt. – Lepiej dostosuj się do niej tak szybko jak możesz.

Riane zignorowała ich słowa. Ciągnęła Tezziq ku sobie, żeby złapać ją oburącz. Nie było to łatwe. Te ruchome piaski były lepkie, oklejały wszystko i mocno trzymały. Riane czuła, jak jej mięśnie napinają się z wysiłku. Już-już miała złapać Tezziq drugą ręką, kiedy dno niecki znowu się zapadło i wciągnęło ajjan.

–Daj sobie spokój, Riane – powiedział Nith Settt. – Ajjan to stracona sprawa.

Zamknij się, pomyślała Riane, zamknij się. Wysunęła się bardziej nad ruchomymi piaskami i zagłębiła rękę w lepkim błocie. Było ciemne i dziwnie ciepłe. Przypomniała się jej legenda, że in’adim powstały z krwi proroka Jiharrego. Musiała się tak wyciągnąć, że dotykała policzkiem powoli się przesuwejacej powierzchni ruchomych piasków. Czy to tylko jej wyobraźnia, czy naprawdę czuła słodko-słony zapach krwi? Chwyła Tezziq i oburącz ją ciągnęła. Głowa i ramiona ajjan pojawiły się nad powierzchnią. Biedaczka zachłysnęła się powietrzem, zakaszła i wypluła ciemną lepka ciecz, zupełnie jakby wymiotowała krwią.

–Możesz się poruszyć? – zapytała ją Riane. – Odrobinę.

–Daremny wysiłek – odezwał się Nith Settt. – Po co w ogóle próbujesz?

Tezziq z największym wysiłkiem parła naprzód, Riane widziała w jej oczach przerażenie.

–Jeszcze odrobinę, Tezziq. Proszę. – Sama przesunęła się do przodu, lecz poczuła, jak piach pod nią się zapada.

–Już się zaczęło! – krzyknęła Tezziq. – Nie ma już czasu. Cofnij się, Riane.

Łacha piasku, na której leżała Riane, dzieliła się i trudno było zgadnąć, który z wytwarzających się „języków” będzie na tyle twardy, żeby ją utrzymać. Piach się kruszył, Tezziq usiłowała się wyrwać, lecz to tylko wzmagalo determinację, z jaką Riane ją trzymała. Przyciągała ku sobie ajjan ile sił w rękach.

–Imponujące – rzekł Nith Settt, wstając.

Riane zupełnie o nim zapomniała. Gyrgon skinął dłonią w rękawicy.

–Szkoda, że to wszystko na próżno. – Strzelił siny strumień jonicznego ognia i trafił klękającą Tezziq, ajjan wygięła się w tył, młócąc rękami w powietrzu.

–Nie! – krzyknęła Riane i skoczyła ku niej.

Ale już było za późno. Tezziq spadła w ruchome piaski. Patrząc nieruchomymi oczami, zniknęła pod powierzchnią.

–*Wa tarabibi* – szepnęła Riane.

–Teraz mam cię tylko dla siebie – oznajmił Nith Settt i posłał ku Riane strumień jonów. – Podziwiam twoją siłę i pomysłowość. Lecz walka skończona. Nie zabiję cię tak jak ajjan. Przynajmniej jeszcze nie. Coś mi się zdaje, że jesteś wyjątkową

Kundalanką. Dam ci zaznać spokoju śmierci dopiero wtedy, kiedy mi powiesz wszystko, co masz o sobie do powiedzenia.

–Chyba nie wierzysz, że cokolwiek ci powiem?

–Och, wiem, że powiesz. Oczywiście, że tego nie chcesz, o nie. Lecz nawet wyjątkowa Kundalanką jest tylko Kundalanką. – Kula jonicznego ognia sunęła ku Riane. – Wiem, jak sobie z wami radzić.

Riane ruszyła biegiem. Kula jonicznego ognia leciała za nią. Zmieniała kierunek, kula także. Zbliżała się. Riane biegła zygzakiem i słyszała śmiech Gyrgona. Kula z każdą chwilą była bliżej. Zimny płomień wypełnił niebo. Słyszała świst powietrza.

–Nie uciekniesz! – krzyknął Nith Settt. – Choćbyś nie wiem co zrobiła!

Riane zmieniła taktykę. Najwyraźniej nie ucieknie przed jonicznym ogniem. Czyli należy stawić mu czoło. Wyciągnęła spod przemoczonego odzienia żel-pak, który odłączyła w sypialnym pojemniku Nith Settta. Czy to zadziała? Nie wiedziała, ale nie miała innej możliwości. Odwróciła się i cisnęła żel-pak w kulę jonicznego ognia. Zderzyły się. Błysnął biały płomień, podmuch eksplozji rzucił dziewczynę na plecy. Przetoczyła się, spazmatycznie chwytając powietrze, sięgnęła po kosmiczny brzeszczot. Mocno zacisnęła oręż w dłoni. Wstała, serce tłukło się jej boleśnie. W uszach jej dzwoniło, przed oczami latały ogniki. Kula jonicznego ognia zniknęła.

Jak przez mgłę widziała Gyrgona zasłaniającego twarz ramieniem. Wybuch szarpnął nawet nim, co dodało jej odwagi. Skoczyła ku niemu. Trzymała przed sobą kosmiczny brzeszczot i naciskała złocisty przycisk. Zderzyła się z Gyrgonem. Skrzywiła się z bólu, jaki wywołały w ramionach i barkach jony generowane przez zbrojną exomatrix Nith Settta. Nacisnęła złoty krążek. Nic się nie stało. Nie pojawiło się kosmiczne ostrze.

Kosmiczny brzeszczot miał jeszcze jeden ładunek. Musi być jakiś sposób uruchomienia...

Ręce Nith Settta wyciągnęły się ku jej szyi. Tkwiący w jej wnętrzu Annon przypomniał sobie, że ich dotknięcie podobno zabija, ale pamiętał również to, co powiedział Eleusis Ashera – że przeżył dotknięcie Gyrgona. Nith Settt zacisnął palce na gardle Riane i dziewczyna poczuła, jak strumień jonów przeciąża jej synapsy, wywołując ból. W oczach zamigotały jej wielobarwne ogniki, zalewała ją czerń, kiedy to traciła, to odzyskiwała przytomność.

Nagle coś przyszło jej do głowy i dwa razy, krótko i szybko, nacisnęła złoty dysk. Strzeliła wiązka goronów, rozwinęło się helisoidalne nieskończone ostrze, cięło przez strumienie jonów, absorbowowało wzbudzone jony, wsysało je. Resztką sił, bez tchu, wycelowała kosmiczny brzeszczot, który przeciął vormiańską bitewną zbroję, a metal

stał się biały niczym lód. Nith Settt drżał i dygotał, z jego gardła wydobył się niesamowity dźwięk, niosący się echem po in'adim. Kosmiczny brzeszczot wchłaniał gyrgońską energię.

–Kim jesteś? – wyszeptał Nith Settt. Jego hełm się rozpadał.

–Jestem twoją śmiercią – odparła Riane przez zaciśnięte z bólu i gniewu zęby. – Jestem Zemstą. – Patrzyła bez litości na jego zbielałą czaszkę, na czerniejące, dymiące zatopione w niej obwody. – Jestem Dar Sala-at.

Zamglony szczyt 2

No i widzisz, co się stało.

Gyrgon został odesłany do piekielnej strefy, z której przybył.

Uważaj, co mówisz, mój drogi. Znasz tę strefę i wiesz, że wcale nie jest piekielna. – Czarna smoczyca, z łuskami opalizującymi w magicznej mgle na szczycie Niebiańskiej Kaskady, potrząsnęła kształtnym łbem. – Nie mówiłam jednak o Gyrgonie, bo nawet ja przyznaję, iż lepiej, że nie żyje.

I spójrz tylko, kto go wysłał w wieczną podróż! – zakrzyknął grzmiącym głosem wielki czerwony smok.

Tak, tak. Dar Sala-at.

Nauczyła się, że można ich zabić.

Ważna lekcja, przyznaję. Ale jakim kosztem. Co sobie myślał Minnum, dając jej kosmiczny brzeszczot? Mówiłam ci, że sauromicjanom nie można ufać.

Mówiłaś, że kłamią, i istotnie tak jest – przyznał czerwony smok. – Lecz zaufanie to zupełnie inna sprawa, nieprawdaż?

Niekiedy zadziwia mnie, Yigu, twoja fascynacja semantyką.

Smok zionął ogniem.

Rad jestem, moja droga, że po upływie tylu eonów jeszcze potrafię cię zadziwić.

Powiedziałabym, że potrafiłbyś zadziwić każdego. Nawet samą Miinę. Ale zanim zaczniesz się puszyć, wyjaśnij mi, proszę, jak Dar Sala-at ma sobie poradzić z mąącymi sauromicjanami?

To przykra sprawa – stwierdził Yig.

Istotnie. Sauromicjanie to plaga. Zaparli się Miiny.

A Ramahanie nie?

Ramahanie nie zwrócą się przeciwko Darowi Sala-at.

Nie bądź tego taka pewna, Paow. Przecież Pyphoros i Horolagggia zdołali się tu zaczepić.

Zło już od dawna panoszyło się w opactwach, które przetrwały – rzekła smoczyca. – To jedynie kulminacja. To Ambat, czas Daru Sala-at, chwila Transformacji. Albo zostaną całkowicie zniszczeni, albo nastąpi przełom i zostanie im przywrócona uprzednia chwala.

Jakiż to może być Ambat? – Yig machnął potężnym ogonem barwy ognia. – Proroctwo jeszcze się nie dopełniło. Jeszcze nie wszyscy gracze się włączyli.

Ale wkrótce to nastąpi. Pyphoros się wmieszał i ostatni z wolna zyskuje świadomość, jak przepowiedziano.

Pyphoros! To niezwykle niepokojące, że był tu ponad wiek i podstępnie siał zło.

Interesujące, że takiego sobie wybrał nosiciela.

Tak, interesujące, lecz nie dziwne - rzekł Yig. – Pyphoros zawsze dążył do władzy. Czyż to nie część schizmy?

Nie mów o schizmie - odparła szorstko Paow. – To zakazane.

W tych czasach zbyt wiele jest zakazane. - Yig tupnął wielką szponiastą łapą. – Czuję się jak Selin w okowach z czerwonego jadeitu...

Przerwał, bo Paow się zasepiła, a właściwie zrobiła minę, która u smoków wyraża zmartwienie. Jej spiczaste uszy przywarły do połyskliwych łusek łba, nozdrza się rozděły.

Ktoś się zbliża?

Pomimo grzmotu wodospadu słyhać było łopot olbrzymich skrzydeł. Błysnął błękit i przez magiczną mgłę spłynęła Eshir, smok powietrza, i wylądowała obok pobratymców.

Jakie nowiny o naszej siostrze? – spytała nerwowo smoczyca.

Seelin pozostaje na głębokości dwudziestu tysięcy sążni - odparła słodkim, melodyjnym głosem Eshir. – Stróż jest tak dobrze chroniony, że nie można go tknąć.

Bez Selin nie może zajść Transformacja wpisana w Ambat – rzekł gniewnie Yig.

A to wszystko oznacza, najdroższy – odezwała się Paow – że jeszcze nie wszystkie elementy są na miejscu. Mówiłam ci, że gra dopiero się rozpoczyna.

I wszystko sprzysięgło się przeciwko nam - mruknął z niecierpliwością Yig.

Paow położyła czarną łapę na jego potężnej przedniej łapie.

Obiecay mi, proszę, mój drogi, że już nie będziesz się wtrącał.

Co? – zapytała Eshir. – Co się stało?

No dalej, powiedz jej - burknął Yig. – I tak wcześniej lub później się dowie.

Paow westchnęła.

Mój ukochany małżonek, dowiedziawszy się o wtargnięciu Horolagggii do tej sfery, wpadł na pomysł, by włączyć do gry Minnuma.

Sauromicjana?

We własnej osobie.

I przez niego – wtrącił Yig – Dar Sala-at zabił Gyrgona, Nith Settta.

To ci dopiero nowina! – wykrzyknęła Eshir. – Pyphoros był już zbyt blisko Zastony Tysiąca Łez.

Jednak ewentualne konsekwencje - odezwała się Paow. – W tych mrocznych czasach...

Te czasy są mroczne przez arcydemoną - odezwał się Yig. - Mnie się zarzuca, że jestem gwałtowny, ale tylko spójrz na nich! Horolagggia niegodziwie złamał Pierwotne Zasady ustanowione przed początkiem czasu, przed pojawieniem się Kundalan. Zasady, o których oni nic nie wiedzą; Zasady, których przestrzeganie my, smoki, musimy pod nieobecność Miiny egzekwować. Należy go za to wykroczenie szybko ukarać.

Och nie, mój drogi! Co ty sugerujesz? Nie pozwolę, żebyś znów się narażał na niebezpieczeństwo.

Czyż nie jestem tak dzielny jak Selin? Nawet ze swojego uwięzienia zdołała się przenieść duchem na Kundalę, żeby pomóc Darowi Sala-at.

Takie jest jej przeznaczenie. Ona i Dar Sala-at są związane.

Co z tego, że Dar Sala-at i ja nie jesteśmy? – Yig potrząsnął rogatą głową, posłał w mgłę gejzer płomieni. – Nie trap się tak, najdroższa. Choć okoliczności z każdym dniem coraz mniej nam sprzyjają, i tak zwyciężymy.

Oby Miina cię wysłuchała – rzekła nabożnie Eshir.

Gdziekolwiek jest w kosmosie – szepnęła Paow, splatając ogon z ogonem małżonka.

Wszystkie trzy smoki wyciągnęły długie szyje i ponad opalizującymi pasmami mgły zajrzały w bezmiar innych sfer, nawet dla nich pozostających tajemnicą.

Księga trzecia

Wrota z Czerwonego Jadeitu

Czerwony jadeit jest obdarzony niezwykłą dla minerałów zdolnością przewodzenia ciepła. Wrota z Czerwonego Jadeitu to regulator, złożony z szeregu, by tak rzec, śluz, utrzymujących we właściwych proporcjach gwałtowne uczucia gniewu, pożądania, miłości...

Przezyste Źródło

Święty Pięcioksiąg Miiny

O-Rlien Ka to urok mający otworzyć Wrota z Czerwonego Jadeitu. Niechaj wróg stoi na linii twojego wzroku; wypowiedz zaklęcie z najwyższą ostrożnością.

Księga Zaparcia się Wiary

21. Kolizja

Eleana usłyszała charakterystyczne buczenie poduszkowca Khaggunów, wyskoczyła z ukrycia i pobiegła. Dobrze znosiła ciężę, więc bieganie nie sprawiało jej trudności, byle nie na długim dystansie. Dziecko troszkę uciskało jej płuca i brakowało jej wtedy oddechu.

Czujka natychmiast ją wypatrzyła i statek zmienił kurs, opadł niżej. Trzej Khagguni lecieli wprost ku zachodzącemu słońcu.

Oddech palił jej gardło i musiała mocno nad sobą panować, żeby biec, bo instynkt nakazywał jej odwrócić się i stawić im czoło. Lecz Rekkk wymyślił taki plan, a ona się na to zgodziła; a skoro już wyskoczyła z kryjówki, nie miała innego wyjścia.

Trzymała się ustalonej trasy wiodącej pomiędzy dwa skupiska gładów. Dalej grunt stromo opadał ku porośniętemu chaszczami brzegowi rzeki. Znajdowała się ponad piętnaście kilometrów od Opactwa Gorącego Nurtu, więc nie musiała się obawiać, że doprowadzi tam Khaggunów.

Kiedy przebiegała pomiędzy gładami, poczuła dziwny dreszcz strachu, ale szybko nad tym zapanowała. Ufała Rekkkowi, a on ją zapewnił, że skoro wiązki jonów mogłyby się odbić od tych gładów, to Khagguni nie będą ryzykować i strzelać do niej z prędko lecącego poduszkowca. Słyszała buczenie silników, głośniejsze teraz,

bo byli już bliżej. A kiedy poduszkowiec wzbił się trochę wyżej, żeby nie zawadzić o czubki gładów, usłyszała, jak czujka rozmawia z pilotem.

Eleana i poduszkowiec minęli skałki. Ziemia tak gwałtownie usunęła się jej spod stóp, że aż zagryzła wargi. Dokładnie w tym momencie Rekkk wychynął ze swojej kryjówki za najdalej na Wschód wysuniętym gładem. W szczelinę specjalnego, zrobionego przez Nith Sahora, okummonu wsunął kamień, a właściwie kamyczek. Wyobraził sobie, czym ma się on stać, i wycelował w wybrany punkt na podwoziu poduszkowca. Kamyczek, napędzany technomancją Gyrgona, wyleciał z okummonu niczym z fonicznej wyrzutni i z głośnym stukiem wbił się w lewą dyszę.

Statek natychmiast przechylił się w lewo i Eleana, nasłuchująca odgłosów, padła na ziemię, jak jej nakazał Rekkk, i przetoczyła się w prawo, żeby nic się jej nie stało, kiedy poduszkowiec uszkodzoną lewą burtą uderzy w ziemię. Pochyłość była tak stroma, że statkiem gwałtownie rzuciło, a jego załoga straciła równowagę. Kiedy się objęli o ściankę kokpitu, Rekkk już biegł ku nim z dobytym kordem, a wzbudzone jony przebiegały pomiędzy bliźniaczymi ostrzami.

Ostrza Rekkkowego korda przeszły przez zbroję pierwszego Khaggguna, przecinając rękę i kilka żeber. Khagggun padł w kałuży krwi, a Rekkk wytrącił broń drugiemu i wbił mu kord w serca.

Ten pospieszny atak okazał się błędem, bo Rekkk stał i jeszcze nie wyjął korda z ciała umierającego Khaggguna, kiedy ten trzeci kopnął go ciężkim butem w głowę. Hacilar stęknął, chwajnie się cofnął, pośliznął na śliskiej stromiźnie i puścił kord.

Trzeci Khagggun wykorzystał swoją przewagę, wyskoczył z poduszkowca i zamachnął się groźną joniczną maczugą. Rekkk przetoczył się w bok, ale i tak otrzymał cios w ramię. Mięśnie mu zdrętwiały, nie mógł chwycić sztywnymi palcami własnej maczugi. Przetoczył się w drugą stronę, o włos unikając drugiego potężnego uderzenia. Maczuga odbiła się od gąbczastego gruntu, a potem ze świstem przecięła powietrze, kiedy Khagggun zamachnął się, by zadać śmiertelny cios.

Rekkk desperacko zmusił się do ruchu, niezdarnie wyciągał z osłony własną joniczną maczugę. Jednak dla leżącego nie był to dobry oręż, bo nie można się było solidnie zamachnąć. Z trudem podniósł się na kolana, lecz maczuga stojącego nad nim Khaggguna już zaczęła opadać. Kolczasta kula ze świstem przecinała powietrze, jej kontury rozmazywały się w pędzie. Nagle Khagggun wygiął się w tył, wyrzucił w górę ramiona, joniczną maczuga wypadła mu z dłoni. Rekkk zobaczył sterczący z piersi tamtego czubek korda Eleany. Tak potężnie pchnęła Khaggguna między łopatki, że ostrza przebiły go na wylot. Osunął się na kolana, młócąc rękami, a ona wyciągnęła z niego kord i powolnym ruchem odcięła mu głowę.

–Niech to N'Luuura – wydyszał Rekkk. – Dobrze cię wyszkoliłem.

Eleana się uśmiechnęła, podniosła jego kord i podała mu go, kiedy wstał.

–Nauczyłeś mnie również, że wojownik nigdy nie powinien wypuszczać broni z ręki.

–Bałem się o ciebie. I o dziecko. – Rekkk odwzajemnił uśmiech. Dobrze było, na N’Luuurę, znowu walczyć. W opactwie tracił siły od zamartwiania się.

Wytarli ostrza o gruby lśniący mech i wyciągnęli z poduszkowca oba ciała. Potem zepchnęli wszystkie trzy trupy do bystrej wody, by spłynęły z prądem. Oczekali, aż znikną za zakrętem, i zaczęli się wdrapywać stromą pochyłością brzegu. W połowie drogi Rekkk usłyszał cichy okrzyk, odwrócił się – Eleana siedziała na ziemi, szeroko rozsunęła nogi, głowę opuściła pomiędzy kolana.

–Eleano! – krzyknął, obejmując ją ramieniem.

–Nic mi nie jest – powiedziała cicho. – Ja... – Wtem zakaszła i zwymiotowała.

Rekkk podtrzymał jej głowę.

–Ależ ze mnie głupiec – mruknął. – Nie powinienem pozwolić ci biec. Wysilek...

–Och, zamknij się i przestań mnie traktować jak inwalidkę! – burknęła.

Podał jej bukłak. Wyplukała usta, trochę się napiła. Oparła głowę na jego ramieniu.

–Och, Rekkku, ciąża jest o wiele trudniejsza, niż sądziłam.

–To po prostu nowe doświadczenie.

–Nie, nie. Wiesz, że to coś więcej.

Odgarnął jej włosy z twarzy.

–Czego od siebie oczekujesz, Eleano? Urodziłaś się i zostałam wychowana do walki: zabić, żeby przeżyć, wyssałaś to z mlekiem matki. A teraz zaczynasz się uczyć czegoś innego. Życie to nie tylko okaleczanie i zabijanie, nie tylko intryga i zdrada. Są w nim także inne chwile. – Delikatnie dotknął jej wyдутego brzucha. – Wspaniałe chwile, które będą trwały, jak ta wojna wreszcie się skończy.

Eleana zamknęła oczy.

–A jeżeli dziecko się urodzi... a Giyan tu nie będzie?

–Będzie.

–A jeżeli nie?

Rekkk cmoknął ją w czubek głowy.

–To i z tym sobie poradzimy.

–A Riane?

–Ona jest Darem Sala-at. Wróci z Korrushu silniejsza, z potężniejszą magiczną mocą. – Uniósł głowę Eleany. – Tak napisano w waszych prorocत्वach, nieprawdaż?

–Tak twierdzą Ramahanki. Ale sama nigdy nie widziałam tych prorocत्व ani nie znam nikogo, kto by je widział.

–Nawet Giyan?

–Tego nie wiem.

–Więc powinnaś uwierzyć, że ona je widziała – powiedział Rekkk cicho. – Musisz uwierzyć, że prorocत्व istnieją i są prawdziwe. – Uśmiechnął się do niej. – Nawet Nith Sahor w nie wierzy.

Dziewczyna była zbyt zmartwiona, żeby dotarło do niej, co powiedział Hacilar. Potem Rekkk się roześmiał.

–No pomyśl! V'ornn starający się przekonać partyzantkę, że kundalańskie prorocत्व naprawdę istnieją! Sama widzisz, jaka to niedorzeczność.

Skinęła głową.

–Ale ty nie jesteś taki jak inni V'ornnowie.

Rekkk mocniej objął ramieniem jej barki. Dała mu znak, a on pomógł jej wstać.

–Już nic mi nie jest. Naprawdę. – Odsunęła jego dłoń. – Chcę, żeby moje dziecko czuło, że jestem silna.

Eleana szybko, pewnie wspięła się na pochyły stok i już razem dotarli do pochylonego na lewą burtę poduszkowca. Rekkk potrząsnął głową, obserwując Eleanę, a potem przykucnął i wyjął kamyczek z lewej dyszy odprowadzającej jony, wyłączył napęd. Eleana trochę dziwnie się czuła we wnętrzu khagguńskiego poduszkowca; partyzantka nigdy żadnego nie zdobyła. Rekkk zagwizdał i wkrótce nadleciał czerwono-błękitno-zielony teyj. Zaśpiewał, kiedy ich dostrzegł, i nadal śpiewając, przysiadł na skraju kokpitu.

–Trzymaj się – powiedział Rekkk.

Eleana przytuliła teyja do siebie, tuż nad wypukłością brzucha. Ptak starannie złożył

cztery skrzydła i zaśpiewał łagodnie nie znaną im piosnkę.

–Posłuchaj – zaśmiała się. – On śpiewa dziecku.

Rekkk powoli podniósł poduszkowiec, który jęcząc i dygocząc, oderwał się od ziemi. Potem skierował go wprost na północ, żeby ominąć wszystkie większe miasta. Ziemia szybko uciekała w tył, małe drzewa zlały się w zieloną smugę. Przecięli pręgę czerwonego blasku, ujrzeli, jak ostatni skrawek słońca niknie za zachodnim horyzontem, i zawisła nad nimi spokojna kobaltowa misa niebios. Daleko na południu nisko płynęły chmury zwinięte niczym smok; przez chwilę jaśniały różem, a potem zszarzały.

Zapadała noc. Wiatr ucichł, lecz błyszczące gwiazdami niebo zsyłało chłód i Eleana mocniej się otuliła peleryną. Sięgnęła do sakwy, którą przygotowała, zanim opuścili Gorący Nurt, i podała Rekkkowi kawałek suszonego mięsa. Potrząsnął głową, więc włożyła kawałeczek do ust i żuła, właściwie nie czując smaku. Oczy jej łzawiły, policzki drętwiały. Usiadła, opierając się o metalowe przepierzenie, wzięła garść suszonej leesty i pokruszyła ją w dłoni. Teyj poruszył parą dolnych skrzydeł i przysiadł na opuszcze kciuka Eleany. Zerknął na nią.

–No jedz – powiedziała. – Rekkk może nie jest głodny, ale ty na pewno.

Teyj pochylił szkarłatno-zielony łebek i ostrym zakrzywionym dziobkiem wyjadał kawałeczki suszonej leesty. Eleana nuciała, ucieszona jego apetytem. Coś zwykłego i normalnego w jej nienormalnym życiu. Pogładziła ogon ptaka. Teyj przestał na chwilę jeść i znów na nią zerknął błyszczącym czarnym okiem, które wszystko widziało. Potem ponownie zabrał się do jedzenia. Eleanę nagle ogarnęło zmęczenie, oparła głowę o ściankę i zasnęła.

Obudził ją natarczywy dźwięk, nieregularny sygnał.

Nadal lecieli z maksymalną prędkością. Rekkk utrzymywał w tej ciemności kurs za pomocą v'ornnańskich fotonowych instrumentów nawigacyjnych.

–Co to takiego? – spytała, wstając. Tuż obok trzepotał teyj.

–To kod oddziału Khaggunów – odparł Rekkk. – Centrala próbuje wywołać załogę, bo się nie zameldowali.

Eleana zupełnie się obudziła, przetarła oczy.

–Sądziłam, że grupy z oddziału powinny się meldować co pięćdziesiąt godzin.

Rekkk chrząknął.

–Najwyraźniej nowy gwiazdny admirał kazał się częściej meldować tym, co nas szukają.

Sygnał nie ustawał.

–Nie możesz tego wyłączyć?

–Nie. Ale i tak wkrótce to już nie będzie miało znaczenia.

–Co masz na myśli?

Popatrzył na nią poważnie ciemnymi oczami.

–Gdybym był dowódcą nasłuchu i nie mógł wywołać któregoś z załóg, to natychmiast wysłałbym uzbrojony poduszkowiec, żeby sprawdził, co się stało.

–Ale przecież nas nie znajdują. Postarasz się o to.

–Niestety, urządzenie odbierające i wysyłające sygnał jest integralną częścią statku i nie mogę go wyłączyć. Wskaże im precyzyjnie naszą lokalizację. Wiedzą, gdzie jesteśmy.

Eleanę ogarnął strach.

–Wiedziałaś, że tak się stanie?

–Tak. Lecz sądziłem, że mamy więcej czasu.

Wstrząsnął nią dreszcz.

–Ile czasu nam zostało?

–Zależy, jak blisko jest następny poduszkowiec. – Hacılar wzruszył ramionami. – Powiedziałbym, że mamy najwyżej godzinę.

Eleana podeszła bliżej, teyj usiadł jej na rękę.

–Co zrobimy?

Rekkk milczał. Wpatrywał się w nawigacyjne wskaźniki. Eleana się obejrzała, jakby już wyczuwała pościg. Poduszkowiec leciał z maksymalną prędkością.

Olnnn, co było dla niego typowe, chciał zabić Radę. A nawet próbował, nie raz, a dwa razy.

Za pierwszym razem wtedy, kiedy wracali z labiryntu nor poniżej ulicy Wróżb. Nie

rozmawiali. Nie było o czym.

W górze rozległo się buczenie, przelatywał nad nimi poduszkowiec z jednym z nowo ustanowionych przez Olnnna patroli. Słyszał, jak dwóch Bashkirów głupio się kłóci, z powodu jakiejś handlowej transakcji, a inny Bashkir – tłusty i sflaczały, bo sprzyjały temu obyczaje tej kasty – wybucha pijackim śmiechem, idąc z looorm. Młody Mesagggun szedł z Tuskugggun, trzymali się za ręce i coś do siebie szeptali. Olnnn łypnął ponuro na kundalańskiego służącego, który przemykał obok jak gryzoń spieszący do swojej nory.

I jak wyrćmę płomień, tak jego wabiła i ogarniała wściekłość.

Zaułek, w którym wreszcie się znaleźli, był wąski i opustoszały. Uliczne latarnie świeciły żółto-zielonym światłem. Zwiędłe liście tworzyły gruby dywan. Zewsząd dobiegał nocny gwar miasta, uporczywe brzęczenie milionów beztrosko łązących tu i tam robaków.

W powietrzu wyczuwało się zagrożenie, przemoc.

Olnnn patrzył ponuro na idącą przed nim Radę. Związany z Tuskugggun. Aż krew w nim wrzała na myśl o tej straszliwej niesprawiedliwości. Niespodziewanie złapał ją za nadgarstek i obróci ku sobie, tak że poczuł jej twarde piersi. Zgniół jej wargi swoimi.

–Nie – wykrztusiła – bo cię zabiję. – Albo tak to miało zabrzmieć.

Niezbyt dobrze ją usłyszał, ale i tak nic go to nie obeszło. Przycisnął plecy Rady do wilgotnej, ociekającej wodą ściany, przywarł do niej z całej siły, a kiedy zaczęła się wyrywać, uderzył ją tak, że jej głowę, niczym u lalki, bezwładnie odrzuciło w bok. Potem podciął jej nogi i rzucił się na nią, napawając się jej gorącym ciałem. Kobieta z trudem oddychała, dalej się szarpała, ale ten opór – rzecz niezwykła u Tuskugggun – tylko wzmacniał determinację Olnnna. Weźmie ją, potem zabije i skończy z tym wszystkim. Ze wszystkim. Skończy po paru paskudnych chwilach. Po całej wieczności przemocy, do jakiej dochodzi w Axis Tyr. Uważał, że to odpowiednia kara, sprawiedliwa odpłata za jej niewyparzony język, za jej wpływ na niego. Siłą rozepchnął jej nogi, szarpnięciem obnażył piersi i przycisnął do nich twarz; ugryzła go w ucho, do krwi, więc znów ją uderzył, tym razem pięścią. Krzyknęła i w tej chwili palący ból ogarnął zaczarowane kości Olnnna. Zsunął się z niej, zupełnie pozbawiony sił.

Rada popatrzyła mu w oczy i powiedziała:

–Twoja gwałtowność cię zabije. To nauka płynąca z tego zaklęcia. Ile czasu trzeba, żebyś to pojął?

Rydddlin ciężko dyszał, nękany straszliwym bólem.

–Chcę się uwolnić od tego przeklętego czaru – wycodził przez zaciśnięte zęby.

–To pozwól mi się zabić – syknęła. – To jedyny sposób.

I trwali tak, śmiertelni wrogowie, złączeni najściślejszą więzią, której nie mogli ani zaakceptować, ani zerwać. Po jakimś czasie Olenn zaczął się śmiać i odsunął się od Rady. Błyszczącymi oczami obserwował, jak poprawia odzienie. Straszliwy ból powoli mijał.

–Śmieję się, śmieję – odezwała się ponuro. – Jesteś bydlakiem i pewnego dnia cię zabiję. Możesz być tego pewny.

Zapamiętał te słowa, choć wcale tego nie chciał. Paradoksalnie dodały mu otuchy.

Drugi raz próbował ją zabić w blasku dnia. I co z tego? W końcu był gwiazdny admirałem i ktoś, oprócz regenta, mógł kwestionować jego postępowanie?

Rada była w jego namiocie i coś powiedziała, nieważne co. To ten jej sposób bycia, drwiący ton, błysk w oczach podkreślający jej odwagę. Jak śmiała się go nie bać? Jego, który swym gwałtownym usposobieniem budził respekt u najbardziej zahartowanych w bojach generałów. Kimże ona była? Zwyczajną Tuskuggun, a wśród takowych budził lęk i skłonność do służalczego posłuszeństwa.

Olenn krzyknął chrapliwie, poderwał się, dobył korda i włączył go. Namiot wypełniło brzęczenie wzbudzonych jonów iskrzących pomiędzy bliźniaczymi klingami. Ruszył na nią.

–No dalej, zabij mnie – powiedziała. – Zabij natychmiast.

Olenn miał taki zamiar. Czuł żądzę mordy. Ale nie mógł. Już przeszywał go ból zaczarowanych kości, czuł, jak prawe ramię traci siłę. Wypuścił z dłoni kord. Stał lekko przygarbiony.

–Nie mogę tak dalej. – Ryddlin tak mocno zaciskał pięści, że spod wbitych w dłoń paznokci sączyła się krew. – Muszę kogoś zabić albo oszaleję.

Rada podeszła do niego, spojrzała mu w oczy:

–Sama nie wiem, czy powinnam cię nienawidzić, czy się nad tobą litować.

Zacisnął skrwawione dłonie na jej gardle, a ona przycisnęła palce do jego tchawicy. Wyszukała kciukami miękki punkt pomiędzy chrząstkami.

–Zawrzyjmy układ – warknął. – Pozabijajmy się nawzajem, a przy okazji zniszczymy to przeklęte zaklęcie.

–Czuję twój zapach.

–Iść do walki to jedno – wychrypiał. – Nawet jeżeli wróg ma przewagę liczebną, nawet na spotkanie pewnej śmierci z rąk Centophenni. Ale to coś innego. – Oczywiście płonęły. – Kundalańska magia tak przeinaczyła moje życie, że już go nie poznaję.

–Cuchniesz tchórzostwem.

Plunął na nią, a ona tylko się uśmiechnęła.

–Teraz mam przynajmniej na ciebie wpływ – powiedziała miękko. – Nie jestem już jakąś tam Tuskuggun, istotą niegodną twojej uwagi, no, chyba że akurat chcesz ją zgwałcić. Zogniskowałam wszystkie twoje uczucia, choć takie ograniczone.

–Nie rozumiem cię. – Olnnn powoli kręcił głową. – Nie mogę tak żyć.

–Zaczynasz rozumieć, gwiazdny admirale. Najwyraźniej o to chodziło Malistrze. Musisz się zmienić.

–Jestem V'ornnem. Jestem Khaggunem. Tylko tak umiem żyć.

–Więc umrzesz, jak to przepowiedział Sagiira. A jeżeli ty umrzesz, to ja też, bo to zakłęcie oplatało nas obydwój. Ale jedno ci powiem, gwiazdny admirale. Nie zawrę z tobą paktu o podwójnym samobójstwie. Nie mam zamiaru umierać już teraz. Jeżeli to oznacza, że siłą lub podstępem mam cię trzymać przy życiu, to z całą pewnością właśnie tak zrobię. Zmienię cię, czy ci się to podoba, czy nie.

–Złapałem ich na radarze – odezwał się Rekkk. – Lecą od południowego wschodu.

Jego głos nie zdradzał niepokoju ani żadnych innych emocji. Eleana zauważyła to, szykując się do walki. Położyła dłoń na brzuchu i zapłakała bezgłośnie, że jej dziecko wpadnie w tę samą co ona sieć przemocy i gwałtowności. Lecz nie powstrzymało jej to od sprawdzenia korda.

–Doganiają nas?

–Powolutku.

–To znaczy, że im nie uciekniemy.

–Wiatr im sprzyja.

–Więc i ty go wykorzystaj.

–Mógłbym. Ale to by nas zniosło całe kilometry na zachód. – Spojrzał na nią. – Działka joniczne powinny być w schowku, tam, gdzie stoisz.

Sięgnęła w dół, zwolniła magnetyczny zamek wedle wskazówek Rekkka i wyjęła jedno z paskudnych działek.

–Będziesz musiał bardzo stabilnie prowadzić poduszkowiec.

–To może być trudne, gdy się zbliżą.

–Więc działko jest bezużyteczne.

–Mimo to przygotuj się do użycia go.

Potrafiła rozpoznać rozkaz, kiedy go usłyszała, i posłuchała, w końcu wkroczyli na wojenną ścieżkę, rozprawiając się z załogą tego poduszkowca. Przykucnęła przy tylnej wrędze prawej burty i oparła potrójną lufę jonicznego działka o górną krawędź. Czuła silne wibracje silników i wiedziała, jak bezowocne to będą wysiłki. Mimo to spojrzała w celownik. Na razie widziała tylko ciemność, lecz już wkrótce coś dostrzeże.

Wyczuła zmianę w wibracjach silników. Zniżali lot i zwalniali. To ci dopiero, pomyślała. Kiedy ścigający ich zestrzelą, spadną z mniejszej wysokości.

–Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – odezwała się, kiedy stale zwalniali i zniżali lot.

–Chcę, żeby myśleli, że szukam miejsca do lądowania.

–A co naprawdę robisz?

–Szukam miejsca do lądowania.

–Chcesz mnie rozśmieszyć?

–Sam nie wiem. A udaje mi się?

–Powiem ci, jak z tego wyjdziemy.

Ustawiła celownik działka na największe powiększenie i chyba coś dojrzała, migotało jak gwiazdka na zamglonym niebie. Nastawiła przyrządy na wykrycie strumienia jonów i gdy tylko celownik zgrał się ze wskazaniem komputera, wystrzeliła. Nie spodziewała się, że trafi z takiej odległości, i rzeczywiście nie trafiła, lecz dała znać, że są gotowi do walki.

Rekkk przechylił poduszkowiec i poprowadził go pomiędzy dwoma rzędami drzew. Śmigają obok nich szarobrązowe gałęzie, a poduszkowcem zaczęło szarpać. Drzewa utrudniały Eleanie wycelowanie w ścigający ich statek. Nie odpowiedzieli na jej salwę, wciąż jeszcze dzieliła ich zbyt duża odległość. Poza tym, z ich punktu widzenia, nie było pośpiechu. Dostrzegli poduszkowiec buntowników; to tylko kwestia czasu,

kiedy go zestrzelał i zabijał lub pojmał tych, którzy nim lecą.

Rekkk przeleciał nisko nad wzgórzem, zadrzewioną dolinką i niewielkim pastwiskiem corów, znajdującym się pomiędzy dwiema kępami wysokich jodeł kuello. Eleana rozpoznała ten pagórkowaty teren. Znajdowali się na północ od miejsca, w którym się urodziła, i na zachód od rzeki Chuun. Dobrze znała te rejony: gęsto zalesione i skaliste. To tutaj ścigała Khaggunów lub oni ścigali ją.

Lecieli nisko, kilka metrów nad wznoszącym się gruntem. Dokładnie przed nimi wyłoniło się poszarpane, zamglone pogórze Djenn Marre i Eleanie łyzy napłynęły do oczu – wróciła do domu.

Rekkk przywołał ją, żeby pilotowała poduszkowiec, idąc za jego wskazówkami.

–Trzymaj się tak nisko, jak zdołasz – odezwał się z za jej pleców.

Pozbywał się purpurowej zbroi Haaar-kyut, tak wiernie mu służącej od czasu, kiedy wiele tygodni temu zabrał ją z koszar Khaggunów w Axis Tyr.

Eleana właśnie walczyła z silnym prądem zstępującym, który mógł ich rzucić na urwiste skały, kiedy Rekkk przejął stery i przechylił statek w prawo, żeby uniknąć sterczących po lewej skałek, i wyrównał lot.

Rozległ się głuchy grzmot z prawej i skały oraz drzewa rozpadły się w błękitnym ogniu.

–Są w zasięgu działka jonicznego – stwierdził Rekkk.

Eleana wróciła do tylnej prawej wręgi i podniosła swoje działko. Ścigający ich poduszkowiec nagle znalazł się w jej polu widzenia, strzeliła. Chybiła o włos, tamci skręcili ostro w prawo.

Rekkk zwiększał ciąg i ledwie o centymetry przemknęli nad granią. Poduszkowiec podskoczył, kiedy podwozie ostrzegawczo zgrzytnęło o skałę. Wysoko ponad nimi wybuchnęły szczyty drzew i opadły tłącymi się szczątkami.

Teyj krzyknął przenikliwie. Eleana zostawiła działko i zajęła się wyrzucaniem z kokpitu płonących szczątków. Nie było to łatwe, bo przechyliły poduszkowca rzucały nią od wręgi do wręgi.

Wszystko wokół nich się rozpadało i nawet lecąc tak nisko, z coraz większym trudem umykali z linii ognia ścigającego ich poduszkowca.

–Nie uda się nam! – krzyknęła Eleana.

–Nie trać nadziei! – odkrzyknął Rekkk.

W tym momencie salwa trafiła w prawe skrzydło. Eleana chwyciła trzepoczącego się teyja, lecz poleciała w tył tak gwałtownie, że puściła działko, które wypadło. Czołgała się do schowka z bronią, kiedy dostali drugi raz. Zdawało się, że poduszkowiec krzyczy, niemal pionowo zadarł dziób; Rekkk starał się odzyskać nad nim panowanie. Zwisający płat lewego skrzydła wyrył głęboką bruzdę w niewielkiej polance, potem zawadzili nim o sterczące skałki i metalowy kadłub zaczął się wgniatać.

Noc rozjaśniły oślepiające fale błękitnego ognia. Rekkk podniósł Eleanę, przerzucił ją przez mocno przechyloną burtę poduszkowca i wyskoczył za nią. Pobiegli pomiędzy płonącymi drzewami, nisko pochyleni, osłaniając dłońmi nos i usta. Ich poduszkowiec zmienił się w kulę błękitno-zielonego ognia, a potężna fala uderzeniowa obróciła ich, zbiła z nóg, poniosła przez splątane korzenie i pola paproci. Podnieśli się i pobiegli. Teyj kierował się ku rozkołysanym konarom drzew. Wrogi poduszkowiec, połyskując działkami jonicznymi, nadleciał nad płonący skalny grzbiet. Szybko wyskakiwał zeń cały oddział Khagggunów w zbrojach barwy ciemnego bursztynu, dowodzony przez komendanta szturmego Acctona Billeda.

Komendant szturmego Billed, kiedy tylko znalazł się na ziemi, rozkazał, by trzy czwarte oddziału szukało tych, co przeżyli. Pod jego surowym spojrzeniem podzielili się na dwójki i rozbiegli, dzieląc najbliższy teren na kwadranty.

Khaggguni weszli pomiędzy płonące drzewa rosnące na wysokiej grani. Billed zaś nakazał pozostałym, żeby przeszukali tłące się szczątki rozbitego poduszkowca. Jednego z trzecich kapitanów zatrzymał. Wyciągnął kord i przyłożył podwójną klingę do gardła Khaggguna.

–Nie słyszałeś, trzeci kapitanie, że chcę tych zdrajców żywych?

–Słyszałem, komendancie szturmego.

Oddział powstał przed paroma tygodniami. Billed sam ich wybrał, ale miał za mało czasu, żeby ich zgrać. Musiał być całkowicie pewien każdego Khaggguna.

–A mimo to strzeliłeś do nich.

Trzeci kapitan obliznął wargi.

–Odpowiadałem na ich salwy. Celowałem w skrzydło. Dopiero kiedy wystrzeliłem, zdałem sobie sprawę, że poduszkowiec już uderzył w ziemię.

–Czy to usprawiedliwienie?

–Usprawiedliwienie się jest niedopuszczalne – warknął trzeci kapitan.

–Właśnie – przytaknął Biled.

–Sir!

Uwagę Bileda zwrócił funkcjonariusz drugiego stopnia idący przez spopielony teren.

–Żar był zbyt wielki, żeby znaleźć jakieś ludzkie szczątki, ale... – W prawej ręce trzymał coś poczerniałego i nadal dymiącego.

Biled zabrał kord z gardła Khaggguna i wziął dymiący kawałek, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

–Fragment bojowej zbroi. – Przesunął palcem po osmalonej powierzchni. – Bez wątplenia.

–Purpurowej – przytaknął funkcjonariusz drugiego stopnia. – Rhynnnon Rekk Hacilar nosił skradzioną zbroję Haaar-kyut.

–Nie ma wątpliwości – stwierdził Biled. – To jego. – Oddał kawałek zbroi. – Jeżeli są jeszcze jakieś szczątki, to je znajdźcie i zanieście do poduszki.

–Rozkaz, sir! – Funkcjonariusz drugiego stopnia zaszalutowali i żwawo odszedł ku wrakowi.

Biled spojrział na Khaggguna.

–Można by sądzić, że Rhynnnon nie żyje. Ale co z tą kundalańską skcettą?

–To była poważna katastrofa. Nastąpiła bardzo szybko – powiedział Khagggun, wiedząc, że pozostała mu jedynie zuchwałość. – Być może obydwój spłonęli. Lecz jeżeli skcettą jakoś przeżyła, to ją wytropimy.

–„Być może” mnie nie zadowala, trzeci kapitanie. Interesują mnie wyłącznie fakty. Ale co do jednego masz rację: jeżeli zbiedzy przeżyli tę katastrofę, to ich wytropimy.

22. Marzenia i objawienia

Nie płacz tak, *wa tarabibi*. – Tezziq położyła dłoń na rozpalonym czole Riane. – Jesteś ranna, *wa tarabibi* – szepnęła. – Leż i odpoczywaj. Zaopiekuję się tobą.

–Nie mogę odpoczywać – protestowała Riane, chociaż miała wrażenie, że głowa jej pęka. – Muszę cię chronić.

–Przed czym? – Uśmiechnęła się Tezziq i pocałowała Riane ustami chłodnymi jak

marmur. – Nikt nie może mnie skrzywdzić, dopóki jestem z tobą, *wa tarabibi*. Zabrałaś mnie z mojego wysłanego jedwabiem więzienia, zwróciłaś mi wolność. O cóż więcej mogłabym cię prosić?

I wtedy – ku przerażeniu Riane – skóra zaczęła odpadać płatami z twarzy Tezziq, spływała na pierś Riane niczym wosk. Dziewczyna dygotała od ogarniającego ją chłodu.

–Tezziq! Tezziq! – krzyknęła do uśmiechającej się do niej trupiej czaszki. – Ach, Miino, nie!

I obudziła się, przerażona, a sen oplątywał jej umysł niczym straszliwe macki.

–Tezziq – wyszeptała Riane spieczonymi wargami. – *Wa tarabibi*.

–Siostro! – zawołał Othnam. – Wreszcie się ocknęła.

Pochylił się i delikatnie podsunął bukłak do ust Riane. Kiedy się porządnie napiła, powiedziała:

–Wróciliście, żeby nam pomóc. Wiedziałam, że tak zrobicie.

–Nie mogliśmy cię tak zostawić – powiedział z charakterystycznym krótkim uśmiechem. Jego zęby błyszcząły bielą w opalonej twarzy.

–Ajjan? – spytała Mehmmer, przysiadając obok.

–Nie żyje – wyszeptała Riane. – Wciągnęło ją in’adim.

–Krew Jiharrego nie toleruje niewiernych.

–Krew Jiharrego nie zrobiła mi nic złego – odparła Riane. – I w ogóle to nie sprawka in’adim. Nith Settt ją zabił. Oddała życie, żeby mnie ocalić.

–Musisz coś zjeść, Riane – rzekła stanowczo Mehmmer. – Walka z technomagiem ogromnie cię wyczerpała.

–Straciłam wspaniałą przyjaciółkę – rozpacziała dziewczyna. – Nie jestem głodna.

–Zapomnij o swojej przyjaciółce. Już nie możesz jej pomóc.

–Zjem – powiedziała cicho – jeżeli wyrecytujesz cykl modlitewny za zmarłych.

Natychmiast usłyszała piękny kontralt Mehmmer zanoszącej modły za duszę Tezziq.

–Gdzie jedzenie? – spytała Riane.

Othnam popatrzył na nią smutno.

–Należy pomyśleć o Perrnodt – wyszeptał.

Zawodzenia Mehmmer huczały dziewczynie w głowie. Riane usiadła, objęła głowę rękami. Kiedy otworzyła oczy, Othnam i Mehmmer zniknęli. Czy w ogóle tutaj byli? Nie mogła się pozbyć szumu w uszach. Czy można śnić we śnie? Oparła się o piasek. Czy Othnam i Mehmmer przywidzieli się jej tak samo jak Tezziq? Czy rodzeństwo Ghorów starało się przyjść jej z pomocą? A może wcale tu nie wrócili? Była jednak przekonana, że wrócili.

„Należy pomyśleć o Perrnodt”.

Perrnodt! Riane oparła się na rękach, zanurzając dłonie w czerwonym piachu, żeby znowu nie upaść. Odwróciła głowę i zobaczyła szczątki Nith Setta. Podpełzła do martwego Gyrgona. Tak jej się przy tym kręciło w głowie, że omal nie zemdlą. Przysiadła zupełnie nieruchomo i starała się oddychać tak głęboko, jak tylko mogła, potem pełzła dalej.

Martwy, bez hełmu, wyglądał jak szkielet nadpalony w ogniu nieznanego pochodzenia. Zbroja była popękana, powycinana jak płatki kwiatu, jaki może ci się przyśnić. Weradowy sztyft w jego ciemieniu połyskiwał matowo w blasku porannego słońca. Cuchnęło zgnilizną i Riane zaczęło mdlić.

Przeszukała szczątki Gyrgona. Jego manierka pękła podczas wybuchu i woda natychmiast wyparowała, lecz dziewczyna znalazła w rozdartym metalowym cylindrycznym pojemniku trochę jedzenia, było gorące i jeszcze dymiło, lecz wyglądało na nadające się do spożycia. Jadła i tak szybko wracała do sił, jakby spożywała ciało swojego wroga, dające jej nadnaturalną moc.

W głowie się jej raz-dwa rozjaśniło. Wstała i przeszła kawałek, schowała się za wysoką diuną. Ktoś, bez wątpienia Nith Settt, wykopał w diunie pieczarowate schronienie.

–Kim jesteś? – zapytał z tej pieczary kobiecy głos. – Gdzie Gyrgon? – Głos wydawał się rozlegać dziwnie daleko.

–Jestem Riane.

Dziewczyna przykucnęła, osłoniła oczy przed blaskiem słońca i po raz pierwszy spojrziała na Perrnodt siedzącą przy tylnej ścianie pieczary. Miała mniej więcej tyle samo lat co Giyan, włosy miała czarne jak noc, długie i kręcone. Była wysoka, lecz wiotka jak gałązka, o skórze bardzo jasnej i delikatnej, przez co zdawała się

ogromnie wężła i krucha. Oczywiście miała jasne, a rysy twarzy zbyt surowe, by można ją uznać za piękną. Ta surowość przydawała jej jednak wewnętrznej mocy.

–Gyrgon nie żyje – powiedziała Riane. – Długą drogę przebyłam, żeby cię odnaleźć.

Perrnodt przysunęła się bliżej.

–Jestem tutaj uwięziona. Gyrgon ustawił jakieś pole jonowe.

Riane usiłowała powstrzymać pulsowanie w głowie. Stojące jeszcze nisko poranne słońce tylko pogarszało sprawę. Stała przed polem jonowym i dokładnie je obejrzała. Światłne drobinki kreśliły sinusoidy w wejściu do wykopanej przez Gyrgona pieczary.

Wróciła do trupa i zaczęła odzierać go z exomatrix. Chciała się przekonać, czy nie ma tu – jak w przypadku kapsuły sypialnej – jakiegoś źródła energii, które można odłączyć. Kawałki popękanej exomatrix oddzielały się niczym skrawki skorupy jakiegoś zwierzęcia. Riane bardzo dokładnie sprawdzała za każdym razem wklęsłą wewnętrzną powierzchnię, ale nie znalazła niczego w rodzaju żel-paka.

Co więc zasilalo exomatrix? Czyżby pole siłowe samego Gyrgona? Jeżeli tak, to ma pecha. Ale czy na pewno? Wpatrywała się długo w Nith Settta i rozmyślała. Potem osłoniła dłońmi weradowy sztyft w jego ciemieniu. Słońce już na niego nie świeciło, a on dalej słabo połyskiwał. Riane westchnęła, wyciągnęła sztylet i łupnęła ręką w czaszkę Gyrgona, która pękła jak skorupka jajka, i dziewczyna wyjęła weradowy sztyft. Miał fasetki jak obrobiony kryształ i był tak samo półprzejrysty. Kiedy spojrzała na niego z bliska, ujrzała fotonowe włókna, podobne do tych z pola jonowego.

Z „kryształem” w dłoni wróciła do pieczary. Ten koniec weradowego sztyftu, który tkwił w czaszce Nith Settta, był ostry niczym kolec. Riane cięła nim pionowo przez pole jonowe. Zamigotało. Ostrożnie dotknęła pola dłonią i odgięła je. Pospiesznie dokończyła cięcia weradowym sztyftem. Potem przeszła pomiędzy rozciętymi częściami.

Usłyszała trzask, poczuła nagły, ostry ból w uszach, ale udało się jej przejść. Zabrała Perrnodt w bezpieczne miejsce.

Dowlokły się w głęboki cień rzucany przez diunę i Perrnodt niemal natychmiast zemdląła. Riane znów rozboleła głowa, i to bardziej niż przedtem. Dziewczyna wiedziała, że muszą coś zjeść i się napić. Żywności Gyrgona już nie było, a jej kuomeshal z jukami był po drugiej stronie in’adim.

Riane po raz kolejny owinęła się opończą Nith Sahora, zamknęła oczy i wyobraziła sobie miejsce, w którym zostawiła zwierzę. Nic się nie stało. Znów spróbowała.

Bezskutecznie. To już drugi raz opończa nie zadziałała w in'adim i w jego pobliżu. Dlaczego? Riane potrząsnęła głową i natychmiast tego pożałowała, bo ból się nasilił. Nie mogła się tym teraz martwić. Musiała rozwiązać bardziej naglące sprawy przetrwania.

Będzie się musiała zapuścić do obozowiska Jeni Cerii.

Zastanawiała się, czy powinna tu zostawić Perrnodt – samą, bez żadnej ochrony. Ale czy miała wybór? Bez żywności obie wkrótce umrą. Gdyby tak wrócili Othnam i Mehmmer! Lecz nie wrócili. Musiała się pogodzić z tym, że ją opuścili. I tak bardzo jej pomogli i to tak wielkim kosztem, że nie potrafiła źle o nich myśleć.

Wstała, wyszła w słoneczny blask, żeby po długości cienia rzucanego przez diunę ocenić położenie słońca. Uznała, że ma około dwóch godzin na odnalezienie Jeni Cerii, ukradzenie żywności i powrót. Potem Perrnodt dostanie się w żar popołudniowego słońca.

Strzepnęła ostatnie drobiny piasku z czarnych włosów Perrnodt i wyruszyła. Przypomniła sobie rozmowę z Tezziq i kierowała się prosto na północ, idąc równolegle do skraju in'adim. Bacznie wypatrywała patroli Jeni Cerii.

Przecięła piaszczysty teren pokryty skąpą karłowatą roślinnością: płaski, monotony, brzydki. Jej ghorowski strój wreszcie wysechł, lecz był sztywny od brudu, potu i błota, w którym omal się nie utopiła w in'adim. Szaty ciążyły jej jak aksamitna zasłona i dwukrotnie mocniej grzały. Zaczęła się pocić, a im bardziej się pociła, tym bardziej chciało się jej pić. Starła się trzymać ocienionych miejsc, lecz w miarę jak słońce wznosiło się ku zenitowi, chłodniejsze miejsca znikaly.

Słońce raziło jej oczy, potykała się, oddychała z trudem. Nagle usiadła, zamachała rękami, spłynęła na nią wizja...

Wokół niej wznosiły się Djenn Marre, ostre purpurowe obrzeżone lodem krawędzie. Czyste, rześkie powietrze, rozrzedzone niczym mgiełka obłoków, wypełniało jej płuca. Czuła znajomy chłód nawet w pełnym blasku słońca. Wspina się skalnym kominem, korzystając z niepewnych podpór dla rąk i stóp. Daleko w dole komin zmienia się w skalne urwisko, głązy częściowo wypełniają ogromną lodową szczelinę. Gdyby spadła... Lecz taka myśl nigdy nie przyszła jej do głowy. Potrafi się wspinać, jest nieustraszona i świetna w tym, co robi.

To pierwsza Riane, istniejąca zanim w jej umierające ciało przeniesiono duszę Annona. Riane sprzed upadku, który prawdopodobnie spowodował utratę pamięci, sprzed gorączki duur, która ją zniszczyła.

Riane, czystej krwi Kundalanka.

Kiedy spogląda w górę, dostrzega coś usadowionego na samym szczycie skalnego komina. Patrząc pod tym kątem, nie może rozpoznać co to. Ale jest bardzo duże.

Kontynuuje wspinaczkę, oddychając przez na wpół otwarte usta. Co kilka chwil robi przerwę, żeby oszczędzać siły. Popija wodę z manierki zrobionej z czegoś miękkiego, lecz trwałego, czego nazwy nie zna. Niebo jest niezwykle czyste, zadziwiająco fioletowe. Blask słońca dotyka skóry niczym ostrze. Riane zatrzymuje się w głębokim cieniu nawisu i odchyła głowę, wpatrując się w to coś siedzące na szczycie komina. Od tygodni obserwowała ten tajemniczy kształt, zastanawiając się, co też to może być. Dzisiaj postanowiła zaspokoić swoją ciekawość.

Przebyła już niemal trzy czwarte skalnej ściany. W przeciwieństwie do innych znanych jej kominów ten prawie w ogóle się nie zwęża. Skala jest twarda i gładka. Kiedy nie ma o co zaczepić palców, wbija w skałę jakieś małe metalowe przedmioty, nie może sobie przypomnieć ich nazwy. Dyndają na lince wokół jej prawego nadgarstka. Sama tę plecioną linkę zrobiła ze skóry dużego zwierzęcia, które zabiła. Wie, jak to zwierzę wygląda, lecz jego nazwa wyleciała jej z pamięci.

Ten przedmiot ma długi, wygięty „dziób”, z jednej strony jest ostry, z drugiej – rozklepany na płasko. Kiedyś dźgnęła ostrym końcem jakiegoś napastnika w oko. Pamięta jego grube łapy zaciśnięte na swoich barkach, brutalnie przewrócił ją, krzepkie kolana rozsunęły jej nogi. Jego zmierzwione włosy, zapaszek niczym woń połyskliwej sierści, odór tego zwierzęcia, które zabiła. Nie potrzebowała obrońcy. Z całej siły uderzyła tym przedmiotem. Napastnik tak się zapamiętał, że zauważył ostrze dopiero wtedy, kiedy mu się wbiło w oko. Ale wtedy było już za późno. Dotarło aż do mózgu. Zrzuciła go z siebie, kiedy jeszcze się miotał.

Patrzyła w górę, w fioletowe niebo, na szczyt komina. To coś ma z tej odległości nieostry kształt. Teraz jest już bardzo blisko, lecz cienie są tak głębokie, że nadal nie może rozpoznać, co to jest.

Stworzenie podrywa się ze skalnego komina i splywa ku niej. Jest tak wielkie, że przesłania słońce. Riane drży z zimna i patrzy zafascynowana, jak nadlatuje...

Riane przewróciła się na gorący piach przy in'adim, jęknęła. Ziarnka piasku przykleiły się jej do ust, wypluła je. Natychmiast tego pożałowała, bo straciła przy tym trochę cennego płynu.

Wpatrywała się w niebo zbielejące od słonecznego żaru, zamrugowała. Kolejna wizja, kolejny fragment zapomnianej przeszłości Riane. Cóż oznacza? Co siedziało na szczycie skalnego komina? Co widziała? Miała wrażenie, że ta wizja jest ogromnie ważna.

Właśnie rozmyślała nad tą zagadką, kiedy usłyszała głosy. Dochodziły z za niskiego

wzniesienia tuż przed nią. Podpełzała na szczyt. Ujrzała przed sobą dwóch Jeni Cerii w szatach w biało-niebieskie pasy. Byli uzbrojeni w długie zakrzywione bułaty. Mieli bujne brody, twarze ciemne i błyszczące niczym nasączone olejkami drewno, ogorzałe od słońca i wiatru. U pasa mieli bukłaki, sprawiające wrażenie pełnych lub prawie pełnych. Bez wątplenia mieli też ze sobą żywność.

Riane w jednej dłoni zacisnęła sztylet, w drugiej – śmiercionośny kosmiczny brzeszczot. Przykucnęła, szelestem zdradziła swoją obecność. Jeni Cerii od razu spojrzeli w jej stronę. Poruszali się z zadziwiającą prędkością. Biegając, dobyli bułatów. Nie zamierzali jej o nic wypytywać. Bo i po co? Wtargnęła na ich terytorium. Ich tajne obozowisko było o kilometr lub dwa stąd. Nic ich nie obchodziło, kim jest; chcieli ją zabić.

Riane cisnęła kosmicznym brzeszczotem. Uderzył biegnącego przodem Jeni Cerii w lewe kolano. Mężczyzna upadł, łapiąc się za nogę, Riane zaś zamarkowała unik w prawo, ściągając tam pierwszy cios drugiego Jeni Cerii. Ostrze ze świstem przecięło powietrze. Dziewczyna pochyliła się do przodu i dźgnęła napastnika sztyletem w bok. Stęknął, odwrócił się i nie zwracając uwagi na płynącą z rany krew, uderzył ją na odlew. Dostała płazem bułata w głowę i upadła. Jeni Cerii natychmiast się na nią rzucił, czuła jego lepka krew. Klinga zbliżała się do jej szyi. Wbiła napastnikowi sztylet w prawe przedramię. Skrzywił się, lecz nie wydał nawet jęku, nadal się pochylał, starając się przyłożyć ostrze do jej gardła. Obróciła wbity w jego ramię sztylet, cięła mięśnie, aż trafiła na tętnicę i przecięła ją. Trysnęła struga krwi, oczy Jeni Cerii błysnęły białkami. Zrzuciła go z siebie.

Wstała i odwracała się ku Jeni Cerii, którego unieruchomiła, kiedy nagle prawe ramię jej zdrętwiało i sztylet wysunął się z bezwładnych palców. Natychmiast zniknął w piasku. Jeni Cerii i ranę w ramieniu zobaczyła jednocześnie. Wojownik przykuśtykał i uderzył ją głową. Upadła, na poły ogłuszona, on zaś złapał za kaptur jej ghorowskiej szaty i zepchnął ją z niskiego wzniesienia. Wylądowała prawie w tym samym miejscu, w którym wcześniej cisnęła kosmiczny brzeszczot. Usiłowała wstać, ale Jeni Cerii mocno ją kopnął tuż poniżej żeber. Szczercząc zęby w uśmiechu, walnął ją pięścią w to samo miejsce. Riane jęknęła, zwinęła się w kłębek. Uderzył ją w ranę na ramieniu i kiedy zwijała się w straszliwym bólu, uniósł bułat i wpatrywał się w jej kark, zamierzając zadać śmiertelny cios. Zadowolony, wsparł o bok Riane stopę zranionej nogi. Przeniósł ciężar ciała na zdrową nogę i zamachnął się bułatem. Dziewczyna stwierdziła, że może poruszyć tylko jedną ręką. Szarpnęła nią i trafiła przedramieniem w zranione kolano przeciwnika. Jeni Cerii zawył i zwałił się na nią. Przygniótł ją, uszkadzając jej biodro. Uda też jej zdrętwiały. Dzieliła ich klinga bułata. Sięgnęła po nią, lecz odtrącił jej rękę i znów się zamachnął. Ból w biodrze był straszliwy. I dopiero w tym momencie Riane uświadomiła sobie, że upadła na kosmiczny brzeszczot. Bez zastanowienia wyciągnęła go spod siebie i włączyła. Bułat opadał ze świstem, niosąc jej śmierć.

Wtedy znienacka zadziałał kosmiczny brzeszczot. Przeciął klingę i rozciął na dwoje Jeni Cerii.

Riane, prawie nieprzytomna, leżała w kałuży krwi, wpatrywała się w szumiący cicho kosmiczny brzeszczot i zastanawiała się, co się stało.

Giyan miała bliskie i jedyne w swoim rodzaju relacje ze śmiercią. Wydawało się nieprawdopodobne, że pamięta, jak po urodzeniu owinięto jej szyję pępowiną, że przypomina sobie zawziętą minę matki szykującej się do zabicia zwiastujących nieszczęście bliźniaczek. Jednak pamiętała.

Jedynie szybka interwencja ojca ocaliła noworodkom życie. Oplatała ją kolejna nić magicznej sieci i Giyan krzyknęła bezgłośnie. Nić żyła, zdawało się, że tworzą ją miliony maleńkich owadów o haczykowatych żądłach.

Od dzieciństwa miała wrażenie, że śmierć – rozgniewana tym, że odebrano jej to, co się jej słusznie należało – zawsze się trzyma w pobliżu. W ciemnych korytarzach lub leżąc późną nocą w łóżku, słyszała szept wiatru, skrzypienie niewidocznych drzwi czy desek podłogi, widziała na ścianie sieć uplecioną z cieni gałęzi – i wiedziała, co to naprawdę jest. Widywała śmierć w snach jako urzekającego, przystojnego mężczyznę, podobnego do Eleusisa. Jak gdyby Eleusis po śmierci wniknął w nią. Jak gdyby po opuszczeniu śmiertelnego ciała z łatwością przychodziło mu użyczenie swej twarzy śmierci.

Niść pełzała milimetr po milimetrze. Giyan niekiedy się zdawało, że dzieje się tak dlatego, żeby zadać jej jak największy ból. Lecz i tak poddawała się temu bez walki. I postępowała tak od samego początku. Wystarczająco dużo przeczytała o Malasocca, żeby wiedzieć, że im mocniej by z tym walczyła, tym straszliwszy ból zadawałyby jej nici.

Teraz zaś – uwięziona pod postacią swojej awatary w Nadświecie, zaplątana w arcydemonią sieć pomysłu Horolagggii – czuła powolne zbliżanie się śmierci. Było to jak dzwonięcie w uszach, jak pukanie do drzwi jej duszy, jak pospieszny tętent końskich kopyt. Wyczuwała obecność śmierci jak bezgłośnie opadanie popiołów na płytę nagrobną.

Niść zaczynała się na prawej nodze, kończyła na lewym biodrze. Pojawiała się nowa nić, skłaniając Giyan do kolejnego krzyku w niespokojną nicość Nadświata.

Nie obawiała się śmierci, bała się o swoje dziecko. Cóż za gorzka ironia losu, że ten sam magiczny akt, który ocalił Annona przed wrogami, zarazem na tyle uchylił portal, że Horolagggia zdołał uciec. Gdybyż tak miłość do syna nie skłoniła jej do przerywania kręgu Nanthery! Wtedy w ostatniej chwili zmieniła swe zamiary. Nie mogła znieść myśli, że go straci, nie mogła patrzeć, jak jego jaźń przenosi się do innego ciała.

Chciała z powrotem swojego Annona. Daremnym i szaleńczym działaniem przerwała krąg Nanthery, nieświadomie naruszając magiczną pieczęć zamykającą portal na tyle, że arcydemon zdołał się wysliznąć.

Niebo przybrało jadowicie żółtą barwę, która przechodziła w ciemnoczerwoną ponad ciemnymi, najbliższymi Otchłani górami. Demonie znaki spadały ulewą z burzowych chmur.

Wokół niej rozbrzmiewały jęki hord demonów od eonów uwięzionych w Otchłani, zdawały się dobiegać z rozległego bezdenne jeziora skrytego we mgle.

Druga nić osiągnęła swój cel, pojawiła się trzecia. Ani chwili przerwy.

Giyan w postaci Ras Shamra łkała z bólu stapiania się z arcydemonem. Kontrolował jej ciało, które przebywało w opactwie, był w nim, manipulował nim jak marionetką. Lecz jakaś jego część zawsze tutaj była, tkąła tę straszliwą sieć, która powoli, lecz nieustannie oplatała ją kokonem. Kiedy tkanie sieci dobiegnie końca, kiedy Giyan znajdzie się w kokonie, umrze, a Horolaggia zamieszka w jej ciele na stałe.

Czyż naprawdę nic nie mogła zrobić? Tak właśnie twierdziły teksty, które czytała o Malasocca.

Kolejna nić wywołała palący ból i Giyan z trudem powstrzymała się od krzyku. Ziemia była mokra od jej krwi. Czowała, jak wycieka z niej życie.

Demony nieustannie atakowały materię Nadświata. Gdzieś w górach ożył wulkan. Lawa i popioły sprawiły, że niebo jeszcze bardziej pociemniało. Wszędzie cuchnęło spalenizną.

Pręga stalowoszarego blasku naznaczyła zieloną jak morze shanstonową posadzkę, muzycy przyspieszyli rytmu, a tancerze instynktownie na to zareagowali. Shanstone za dnia mozolnie polerowano do lustrzanego połysku, nocą zaś równie energicznie matowiono. Tancerze tworzyli zwartą grupę, byli rozgorączkowani, i jakby w na pół religijnej ekstazie, niczym derwisze, jakby zaraz coś miało się wydarzyć.

Muzyka rozbrzmiewała trzy piętra poniżej poziomu wyludnionej, zalanej blaskiem gwiazd Devotion Street. Kwintet był v'ornnański – tworzyły go, rzecz jasna, Tuskugggun, bo to one były artystkami – lecz muzyka stanowiła konglomerat wspaniałych kundalańskich melodii w tonacjach molowych oraz v'ornnańskich harmonicznym dysonansów trójgłosowych. Szybkie, rytmiczne tempo, charakterystyczne dla tej muzyki, narzucała młodzież. Dla kwintetu i tancerzy nie miało znaczenia, czy była to młodzież jednej czy drugiej rasy, czy może obu.

Cthonne było zatłoczone. Młodziki, nawet jeszcze nie nastolatki, stłoczeni, spoceni, wytrzeszczali oczy, uśmiechali się, poddawali działaniu muzyki, światła,

spotęgowanych w tłumie emocji. Marethyn obserwowała V'ornnów, tak z wyższej, jak i z niższej kasty, oraz Kundalan – każda grupa miała własną część parkietu, własny styl tańczenia, a może i nie, bo im dłużej patrzyła, tym wyraźniej dostrzegała, że się uczyli od siebie nawzajem lub przynajmniej nieświadomie przejmowali ruchy. Bo falista linia rozgraniczająca była równie płynna jak piaski Wielkiego Voorgu, po jednej i po drugiej stronie przedstawiciele obu ras tańczyli obok siebie lub nawet – przez moment – wspólnie.

Marethyn była zaniepokojona i zachwycona. Kiedyż powstało to podziemne życie, skąd się wzięły dzieci rwące się do dorosłości, łamiące zasady, sprzeciwiające się rozwarstwieniu v'ornnów i prawu Gyrgonów? Buntownicy, zupełnie jak ona.

–Jacy szczęśliwi! – krzyknęła Marethyn Sornnnowi w ucho. – Nigdy byś nie uwierzył, że są wrogami.

–Bo nie są – odparł.

Do pręgi stalowoszarego światła dołączył błękitnawobiały owal tak chłodny, że niemal słyszało się posykiwanie suchego lodu. Do kwintetu dołączyła druga perkusistka, w szacie z kapturem, grająca nie tradycyjnymi vormiańskimi pałeczkami z tytanowego stopu, lecz zgrubiałymi opuszkami palców. Zmienił się rytm i muzyka stała się niczym fale łagodnie uderzające o brzeg. Druga perkusistka zaczęła też śpiewać, niczym w transie. Tekst piosenki mówił o bolesnej stracie, o rozpacz, o radości, jaką daje niezależność.

Sornnn pochylił się do swojej towarzyszki:

–Powiedz mi jedno, Marethyn. Jak bardzo się bałaś wtedy, z Bronnnem Pallnem i generałem polnym Lokckiem Werrrentem?

–Bardzo się bałam.

–Tylko się bałaś? – zapytał z leciutkim uśmiechem.

Spojrzała na niego.

–Nie. Byłam też podekscytowana i rozbawiona.

–Wcale się nie dziwię. Wspaniale odegrałaś swoją rolę. Zwiodłaś ich wszystkich: Deirusa, Pallna, Werrrenta.

–Mam nadzieję, że było warto.

–Wiesz, że tak. Zneutralizowaliśmy podstępnego intryganta, Bronnna Pallna, i groźnego wroga, Olnna Ryddlina, który, jak wielu Bashkirów, i boi się mnie, i

nienawidzi za moje zainteresowanie Korrushem. – Popatrzył na nią. – Opowiedz mi o swoim strachu.

Marethyn pomyślała o chwili, kiedy to przesunęła palcem po zakurzonych półkach w składzie, a Sornnn tak szarmancko zadbał o to, by tego więcej nie zrobiła. Bo to nie był skład SaTrrynów, a on nie chciał, żeby ktokolwiek – zanim pułapka się zatrzaśnie – wiedział, że tu byli.

–A ty mi powiedz, jak ci się udało wnieść tę broń do składu Bronnna Pallna.

Zastanawiał się przez chwilę.

–To nie było trudne. Bronnn Palln nie płaci zbyt dobrze wielu swoim pracownikom, w tym i nadzorcy załadunku w składzie. Toteż z przyjemnością przyjął on hojną zapłatę zaoferowaną mu przez mojego człowieka za godzinę nieobecności. – Sornnn przechylił głowę. – A teraz o twoim strachu.

–O co chodzi, Sornnnie?

–Chcę wiedzieć, czy nie będziesz się zbyt bała, ponownie odgrywając podobną rolę.

–O ile to będzie w słusznej sprawie.

–Bo masz silny instynkt samozachowawczy. – Pochylił się bardziej. – Twój strach będzie cię chronił. Sprawি, że będziesz jasno myślała w każdej sytuacji.

Marethyn uważnie przyglądała się tancerzom w ekstazie, bo nagle się wystraszyła, że tak nie będzie. W stroboskopowych światłach i pulsującym rytmie było coś pierwotnego i potężnego, zsynchronizowanego z płynącą w jej żyłach krwią, odciągało ją to od wszystkiego, od sekretu, który teraz nosiła w sercach. Jego sekretu. Bo wiedziała, że chodzi tu o coś więcej niż tylko o Bronnna Pallna i Kurgana Stogggula, o coś więcej niż życie Sornnna, tak przecież dla niej ważne. Lecz teraz nic mu o tym nie powie. Bo to on musi zacząć mówić.

Sornnn zdobył skądś drinki i przeszli na galeryjkę nad ogromną salą. Uderzył w nich żar setek roztańczonych ciał. Perliło się kadzidło, powietrze było aż gęste. Owalna plama światła, towarzysząca stalowoszarej prędze, zmieniła kolor na jasny brąz.

Stali oparci o balustradę i patrzyli w dół na obszerną salę i kłębiący się tłum, aż Marethyn trochę się zakręciło w głowie. Może był to skutek tego konwulsyjnego rytmu lub ekscytacji pobytem tutaj, w sekretnym klubie tanecznym, w którym V'ornnowie i Kundalanie bawili się razem, bez śladu wrogości. Nie chciała się bać, więc przytuliła głowę do ramienia Sornnna.

–Jednego tylko żałuję – powiedziała – że wykorzystałam moją przyjaźń z Kirillem Qanddą. Jest taki dobry dla Terrettta, on jeden w Błogosławiącym Duchu. Tak, byłam podekscytowana i rozbawiona, ale też się wstydzę.

Młodzi na dole wyglądali jak lśniąca wielonoga bestia lub jak jednokomórkowa istota, amorficzna i anonimowa. Marethyn wyczuwała płynący przez klub strumień energii, była świadoma, że ona i Sornnn są obserwatorami, stojącymi z boku, osamotnionymi. Obudziła się w niej dziwna tęsknota, niczym ból.

–Z Kirilla Qanddy i tak chcieli coś wydusić. Spójrz na to z tej strony. Może informacje od ciebie uratowały mu życie.

Kiedy tak na nich patrzyła – tańczących ekstatycznie, zapamiętała, zahipnotyzowanych rytmem – pojęła nagle, ile ryzykują, zbierając się tutaj. V’ornnów i Kundalan złączyło wspólne działanie – wspólny bunt. Tak jak to przepowiadał Eleusis Ashera, kiedy proponował odbudowę Za Hara-at, miasta w Korrushu, w którym V’ornnowie i Kundalanie mogliby żyć jak równi sobie. I dlatego go zamordowali, do czego podzegał jej własny ojciec.

–Ale jeżeli się o niego martwisz, to porozmawiaj z nim – doradził Sornnn.

–I co mu powiem?

Przez galeryjkę przeszedł młody V’ornn w czerni i srebrze, jego miedzianoskóra czaszka lśniła od potu; niczym we śnie wtopił się w cienie przy ścianie. Marethyn oderwała wzrok od tancerzy. Młodziak oparł się ramieniem o ścianę i zapalił laaga. Głęboko się zaciągnął gryzącym dymem.

–Pamiętaj, że nie możesz się z niczym zdradzić.

Potaknęła.

–Twoje czyny przyniosły wspaniałe rezultaty. – Sornnn wziął ją za rękę. – To się nazywa wyzwolenie.

Światła przygasły, muzyka stała się kojąca, kołysała łagodnie, stała się wytchnieniem, ciszą przed kolejną muzyczną burzą, która wstrząśnie klubem. Sornnn się rozglądał, jakby się spodziewał kogoś wypatrzeć w tym kontrolowanym szaleństwie.

–Jest coś, co chciałbym ci powiedzieć – szepnął Marethyn na ucho. Nadal się rozglądał. – O moim ojcu.

Od śmierci Tettsie nie rozmawiali o ojcu Sornnna. Za to pod osłoną nocy zaprowadził Marethyn do swojej matki, którą natychmiast pokochała. Obydwie,

Marethyn i Petrrre Aurrr, udały się nad głębokie stawy i wsypały popioły Tettsie do ciemnej chłodnej wody. Marethyn musiała jeszcze zebrać siły, żeby otworzyć szkatułkę z czerwonego jadeitu, którą zostawiła jej babka. Jeszcze nie była w stanie jej dotknąć; rana była zbyt świeża. Potrzebowała czasu, żeby przywyknąć do myśli, że Tettsie naprawdę odeszła.

–Tak myślałem i uważałem, że to prawda – mówiąc, muskał wargami jej ucho. – Mój ojciec był wspaniałym biznesmenem. Odsunął się od V'ornnów, bo kiedy poznał plemiona Korrushu, pokochał ich obyczaje, kulturę, filozofię życiową. Dzięki nim nauczył się kochać Kundalę i od tej chwili poświęcił życie próbom ratowania planety i jej mieszkańców. Był dobroczyńcą i dostarczycielem broni dla ruchu oporu. Teraz zaczynam na niego patrzeć trochę inaczej.

–Ze względu na matkę.

–Tak, lecz jest jeszcze coś. Tettsie sprawiła, że przestałem na niego patrzeć oczami uwielbiającego go dziecka. Teraz widzę go takim, jaki naprawdę był. I chociaż nie wątpię, że kochał Korrush i jego mieszkańców, to sądzę, że przede wszystkim pociągał go w tym element ryzyka. Rozmowa z matką, poznanie jej zdania na temat ich związku sprawiły, że znalazło się wyjaśnienie dla wielu dziwactw i incydentów. – Pochylił się niżej, jego usta dotykały ucha Marethyn. – Pojmujesz sens tego wszystkiego, prawda? V'ornn uwielbiający ryzyko wybija pięścią z własnej żony chęć niezależności, bo we własnym domu, miejscu, w którym sypia, nie będzie tolerował pragnienia ryzyka i niezależności, którymi Tuskugggun na pewno skaziłaby jego dzieci. – Sornnn przycisnął czoło do głowy Marethyn, a ona położyła mu dłoń na karku. – Im większe ryzyko, tym bardziej pociągało mojego ojca. Po prostu nie mógł się powstrzymać. A to zatruło jego relacje z matką i dosłownie zniszczyło jego rodzinę, bo bez matki byliśmy nieszczęśliwi.

Odsunął się na chwilę, rozejrzał, nie nerwowo, lecz czujnie, obserwował klub na wypadek, gdyby zaszła jakaś – choćby najdrobniejsza – zmiana nastroju. Muzyka natarczywie przyzywała.

–Sądzę, że Tettsie o tym wiedziała – powiedział. – I że właśnie to starała się mi powiedzieć, przed tym starała się mnie ostrzec. Nie chciała, żebym za tobą gonił, żebym cię wciągał do mojego sekretnego świata, dopóki nie będę całkiem pewien, co do ciebie czuję. Nie chciała, żeby cię spotkało to, co moją matkę.

Marethyn od razu poczuła, jak strach wraca.

–Sornnnie...

–Pozwól mi skończyć, zanim całkiem stracę odwagę. – Ujął jej dłoń. – Pokochałem cię w chwili, w której cię ujrzałem, lecz gdybym nie mógł ci zaufać, to nie byłoby

sensu tego ciągnąć. Rozumiesz? Ze względu na to, kim jesteś. Bo nie jesteś taka jak inne Tuskugggun, bo jesteś silna i pragniesz dla siebie czegoś więcej.

–Uważasz, że jestem silna, i wyobrażasz sobie, że również i nieustraszona.

–Już wiesz, bo sądzę, że wiesz, dlaczego Olenn Ryddlin wciąż ma mnie na oku. Mam mówić dalej?

–Dziękuję. Za to, że mnie kochasz i tak mi ufasz. – Wzięła go za rękę. Patrzyła mu w oczy i miała wrażenie, że już jest daleko stąd. – Ale nie wiem. Chcę, żebyś mi wszystko powiedział. A przecież właśnie tego się boję, aż pozbawia mnie to tchu.

Pochylił się i pocałował ją w policzek.

–Jesteś artystką, Marethyn. Może powinnaś zostać tylko artystką.

Zarzuciła mu ramiona na szyję.

–Zabierz mnie do domu, Sornnie.

Wtedy ją pocałował, długo i mocno, pulsujący rytm muzyki przeniknął ich i nie słabł przez całą powrotną drogę do atelier Marethyn.

Z tyłu atelier, na poddaszu, znajdowała się galeryjka, z dużym świetlikiem w dachu. Kiedy Marethyn lata temu je kupiła, wstawiła tutaj łóżko i kilka niezbędnych jej zdaniem mebli, bo często pracowała wiele godzin lub natchnienie spływało na nią w najdziwniejszych chwilach. Więc nierzadko tutaj sypiała, pod gwiazdami. Zawsze uważała to miejsce za bardzo prywatne i romantyczne, a już zwłaszcza wtedy, kiedy dzieliła je z Sornnem. Prawdę mówiąc, kiedy teraz sypiała tu sama, czuła się osamotniona i tęskniła za nim, za jego cichym spokojnym oddechem kołyszącym ją do snu.

Kiedy zaś tak jak teraz, po powrocie z klubu, kochali się, poddasze zmieniało się w świątynię jaśniejącą migotliwymi gwiazdami i należąca wyłącznie do nich. Ich namiętność nie знаła granic, dawali sobie coraz większą rozkosz, a kiedy już się zaspokoili i leżeli spleceni w uścisku, pijani pożądaniem i sobą nawzajem, to Marethyn łkała ze szczęścia, o którym przedtem nawet nie marzyła.

Szeptali.

–Sornnie.

–Tak?

–Ukochany.

–*Wa tarabibi.*

–Tak. *Wa tarabibi.*

Śmiał się, słysząc, jak wymawia korrushańskie tak pełne znaczeń słowa.

–Sornnnie, jeszcze nigdy nie byłam taka szczęśliwa.

Uniósł się na łokciu.

–Ja też, *wa tarabibi.*

Nie rozmawiali znów o tamtym, o tym, co pozbawiało ją tchu. Uszanował to, co powiedziała – jedyny mężczyzna, który tak postąpił. I to sprawiło, że jeszcze bardziej go kochała.

Ujęła w dłonie jego twarz i spojrzała mu w oczy.

–A teraz nie mogę spać. – Odsunęła się od niego niechętnie. – Muszę malować. – Zapaliła lampy w atelier i powiedziała: – Zrozumiem, jeżeli zechcesz...

–Będę na ciebie patrzeć – powiedział cicho. – Aż do świtu. Dopóki nie skończysz.

Marethyn pocałowała go i nie zawracając sobie głowy ubieraniem się, podeszła do sztalug i założyła nowe płótno. Stwierdziła, że jest nieco rozgorączkowana, co zapowiadało godziny wytężonej pracy. Serca biły jej szybko, myśli przebiegały przez głowę. Wciąż czuła go w sobie, wciąż słyszała natarczywą muzykę.

Gdy tylko dotknęła pędzlem płótna, znów pochłonęły ją tamte dźwięki, wibracja, stroboskowe światła, skoncentrowana energia, dostrojone do miarowego, uporczywego rytmu muzyki, i już wiedziała, co chce namalować.

Wsluchiwała się w rozbrzmiewający w niej rytm, pozwoliła mu nad sobą zapanować, stać się jego częścią, kierować pędzlem – znalazła się w strumieniu energii, we wnętrzu wielkiej jednokomórkowej istoty pulsującej do wtóru szarpiącego trzewia rytmu. Cały czas jej spojrzenie malarki przetwarzało drobne szczegóły w całość. Przypomniła sobie Kundalankę z odrzuconą w tył głową, jej rozkołysane długie włosy; V'ornna o stalowych oczach i pełnym wyższości uśmiechu, pochylającego się i kołyszącego; kundalańską parę, tańczyli tak blisko siebie, jakby byli jedną osobą; v'ornnańską parę, byli zwrócenii do siebie plecami i wykonywali identyczne ruchy jakby dzięki telepatii; a także całe mnóstwo innych szczegółów. A wszystko to wyraźnie i precyzyjnie. Wyczuwała osobliwość tego wszystkiego, nieodłączny niepokój – wykrywała to niczym ulotne odcienie skryte pod wierzchnią warstwą farby.

Jeszcze nie rozpoznała wszystkiego, co było tam skryte – w końcu był to dopiero początek, uchwycenie kontrolowanego transu, chęć przeanalizowania wspomnień z klubu, namalowania ich i zrekonstruowania wyraźnych, zrozumiałych części – lecz była pewna, że w zatłoczonym cthonne brakowało poczucia porażki. Brakowało tam również – wyczuwalnych w każdym napotkanym przez , nią Kundalaninie – nieustającego rozczarowania, wielkich i małych zdrad, zawiedzionych nadziei. Było za to poczucie spokoju, generowane przez muzykę i energię, które zmuszały do odwrotu beznadziejność i rozpacz, tak wyraźne wszędzie na Kundali. Teraz to dostrzegła. To była zapowiedź jedności, wyciszenia bólu zadawanego przez kosmos.

Pomyślała o młodziaku w czerni i srebrze, dającym sobie laagowego kopa, i namalowała go, wciśniętego w kąt, wychudłego i zgarbionego jak stary V'ornn. W tym był strach i groźba, które wyczuwała tuż-tuż. Rozbudzanej w cthonne nadziei towarzyszyła ściskająca serca rozpacz. Ci młodzi byli rozdrażnieni, doprowadzeni do ostateczności nieustannym lękiem – szkodliwym i destrukcyjnym produktem ubocznym stu lat wrogości, nienawiści, brutalności wojny, zaciekłego odwetu, rasistowskich prześladowań, bezmyślnego okrucieństwa.

Marethyn pomyślała o swojej wstępnej ocenie. Byli wypadkiem czekającym na wydarzenie się. Bardzo możliwe. W prędkie stalowoszarego światła namalowała rozżarzony do białości punkt, przebijający się przez ciało i kość do ich najtajniejszego wnętrza, który rozświetli i odkryje ich moc, głęboko ukrytą pod kruchością, szorstkością, poczuciem samozatrąty.

O brzasku przerwała malowanie i zaparzyła herbatki z gwiazdzistych róż, zrobiła śniadanie. Cały czas czuła na sobie spojrzenie ciemnych oczu Sornnna, co budziło w jej ciele rozkoszne mrowienie. Na półce w kredensie zobaczyła – dotąd nie otwarte – puzderko z czerwonego jadeitu, które zostawiła jej Tettsie. Znieruchomiła, patrząc na nie. Dotykała szyi ubrudzonymi farbą palcami, zaciskała w dłoni kryształowy kluczyk, zawieszony na cienkim tertowym łańcuszku. Słyszała swój własny oddech. Nie zdejmowała tego łańcuszka od ogłoszenia testamentu Tettsie; zawsze czuła pomiędzy piersiami nieznaczny ciężar kluczyka. Sornnn nigdy tego nie komentował, lecz lubił całować kluczyk, kiedy całował i pieścił jej piersi. To jej uświadomiło, że kluczyk stał się częścią niej.

Miała wrażenie, że zapadła w senne odrętwienie. Sięgnęła – jakby nie swoimi rękami – i przestawiła puzderko z czerwonego jadeitu na shanstonowy blat. Paliło jej palce chłodnym płomieniem.

Jakby z daleka usłyszała, że Sornnn ją woła, pyta, czy wszystko w porządku. Nie odpowiedziała. Drżącymi palcami zdjęła z szyi łańcuszek z kluczykiem i wsunęła go w mały zamek. Przekręciła i wstrzymała oddech, kiedy puzderko się otworzyło.

W środku był jedynie niewielki kryształ ułożony na satynowej wyściółce. Chwilę

trwało, zanim pojęła, że to data-dekagon. Wzięła go w dłoń i – zanim zdążyła się zastanowić – wsunęła w dataport.

Na niewielkim krystalicznym ekranie natychmiast pojawiła się twarz Tettsie. Uśmiechała się swoim pięknym uśmiechem. Łzy napłynęły Marethyn do oczu.

–Najdroższa Marethyn – powiedziała Tettsie – wiem, że oplakujesz moją śmierć. Nie mogę cię pocieszyć ani nie pocieszyłabym cię, gdybym mogła. To część naturalnego procesu przeżywania straty. Jednak mimo bólu powinnaś uhonorować moje życie.

To oświadczenie zdumiało Marethyn.

–Na pewno się zdziwisz, słysząc to, bo byłaś wtajemniczona we wszystkie, no, prawie wszystkie, trudności mojego życia. A zapewniam, że były poważne. Lecz uwierz mi, że zostałam sownie wynagrodzona. Teraz, kiedy już nie żyję, mogę wyznać, jak bardzo mnie bolało, że muszę przed tobą tyle ukrywać. To nie był mój wybór, ale absolutna konieczność. Zapytaj Sornnna. On o tym wie. Dobrze wie.

Nastąpiła krótka pauza, jakby Tettsie przerwała nagrywanie, żeby zebrać myśli. Marethyn odwróciła się i przekonała, że Sornnn zszedł cicho z galeryjki. Przyglądał się jej, stojąc obok całunu Tettsie.

–Ty wiesz – powiedziała do niego, bo zaczynała pojmować. Wyciągnęła rękę. – Podejdź.

Sornnn stanął obok niej, a nagranie znów ruszyło.

–Sądzę, że on tu jest – mówiła jej babka. – Obok ciebie. Trzyma cię za rękę. Jest porządnym V'ornnem, a ty potrafisz ocenić, czy jest dla ciebie odpowiedni, czy nie. Możesz się zastanawiać, skąd tyle o nim wiem. To również jest częścią mojego skrytego życia. Chcesz o tym posłuchać, kochanie? Dobrze się zastanów. Jeżeli chcesz, żebym dalej mówiła, to nic nie rób. Jeśli nie, to wyjmij data-dekagon i zadбай, żeby został zniszczony.

Chwila ciszy. Słoneczne promienie wpadały pod ostrym kątem do atelier. Marethyn wyobraziła sobie, że słyszy, jak słońce się porusza, jak ze skrzypieniem starych kości zaczyna nieudolnie zakreślać łuk na niebie. Złapała Sornnna za rękę.

–No. Zdecydowałam – odezwała się Tettsie. – Znakomicie! Teraz wszystko usłyszysz.

Twarc babki stała się bardziej skupiona i Marethyn zdała sobie sprawę, że Tettsie się pochyła.

–Przez większość życia z twoim dziadkiem byłam okropnie nieszczęśliwa. Przez

jakiś czas potrafiłam jedynie postrzegać siebie zgodnie z jego wyobrażeniami. Ku swemu przerażeniu przekonałam się, że, podobnie jak wszystkim Tuskugggun, wpojono mi podstawowe zasady „bycia kobietą”. Potem, jak już ci opowiadałam, zbuntowałam się. Lecz w końcu odkryłam, że był to bardzo powierzchowny bunt. Pomyśl tylko, kochanie, jaka byłam tym wstrząśnięta! Czułam się zraniona. I zrozpaczona! A potem, dziesięć lat temu, zaraz po śmierci twojego dziadka spotkałam kogoś. Natknęłyśmy się na siebie na targu korzennym, chociaż znalazłyśmy się tam z zupełnie innych przyczyn. Ja udałam się na targ, bo byłam zagubiona i chciałam się jeszcze bardziej zatracić. Ona robiła zakupy. Zaczęłyśmy rozmawiać. Przypuszczam, że w tamtych czasach nosiłam swoją rozpacz niczym sifeyn. Zabrała mnie do „Spice Jaxx’s”, wypiliśmy po drinku. Potem po drugim, później coś zjadłyśmy, potem nadeszła pora herbaty. Przegadałyśmy całe popołudnie! O czym rozmawiałyśmy? Pewnie o wszystkim. Lecz najważniejsza była jej wizja, jak Tuskugggun mogą najkorzystniej spożytkować swoje życie. Jak my, Tuskugggun, mogłybyśmy to życie odmienić i dzięki temu zrozumieć, kim jesteśmy. To właśnie ona mi powiedziała, jak mężczyźni „modelują” nas, Tuskugggun. Jak przez całe stulecia uczy się nas postępować i zachowywać tak, jak sobie tego życzą mężczyźni, i w dodatku mamy się podporządkowywać ich wyobrażeniu o nas zupełnie odruchowo! I tak oto, kochanie, zaczęło się moje sekretne życie. Poprzez tę Tuskugggun poznałam Hadinnna SaTrryna, a potem Sornnna. Pewnie znowu się zdziwiłaś. To zrozumiałe. Jestem przekonana, iż sądziłaś, że świetnie mnie znasz. Zawsze tak sądzimy o tych, których kochamy. Ale to nieprawda. Nigdy nie wiesz wszystkiego, a nawet nie powinnaś. Chciałam się z tobą podzielić tą moją tajemnicą, kochanie, po twoim ślubie z Sornnnem. Jeżeli tego słuchasz, to znaczy, że mnie już nie ma. Miałam słabe zdrowie. Wiedziałam o tym. Wybacz, że ci tego nie powiedziałam. Bo i po co? Nic byś nie mogła zaradzić i tylko byś się martwiła.

Tettsie cmoknęła językiem o podniebienie. – „Ależ ta moja Tettsie jest tajemnicza!” Słyszę, jak mówisz to do siebie. Więc wyjawię tę tajemnicę. To, że się wyzwoliłam, że nauczyłam się żyć pełnią życia, wedle własnej woli – to wszystko dzięki temu, że razem z ową Tuskugggun i Hadinnnem oraz Sornnnem zaczęłam pomagać kundalańskiemu ruchowi oporu. Oni wkładali w to swoje umiejętności i bystrość, ja – pieniądze, których miałam mnóstwo dzięki twojemu dziadkowi. Nawet nie potrafię wyrazić, jaką radość sprawiało mi wspomaganie tymi pieniędzmi sprawy wolności. Może to zbyt uproszczenie, kochanie, lecz niewola Kundalan jest i naszą niewolą. Ich wolność zaś naszą wolnością. Kiedy to zrozumiesz, wszystko staje się jasne. Poniewczasie uświadomiłam sobie, iż się wstydzę, że jestem V’ornnianką. Lepiej późno niż wcale! Pojęłam, że nie potrafię ani zrozumieć, ani wybaczyć mojej rasie tego, jak traktuje inne gatunki. Nie zgadzam się z rasistowską polityką podbijania światów. Sama widzisz, jak głęboko wpojono nam pewne rzeczy. Nikt nawet nie usiłuje kwestionować tego, co przez tysiąclecia stało się v’ornnańskim stylem życia. Zrozumiałam, że moja osobista rozpacz maskuje głębszą prawdę: że pogardzam sobą i całą moją rasą. Postarałam się to zmienić. Ty też możesz. Ale tylko jeżeli tego

chcesz. Jak wiesz, większość moich pieniędzy pozostaje w zarządzie powierniczym Dobbro Mannksa. Mogłabyś zapytać, czemu tak zdecydowałam, zamiast zostawić je tobie. Z kilku powodów. Po pierwsze, chcę, żeby poszły na ruch oporu. Po drugie dlatego, że skoro wysłuchałaś nagrania aż dotąd i poznałaś moją tajemnicę, to musisz podjąć decyzję. Chcę, żebyś kontynuowała moją działalność. Ale przecież nie ma znaczenia to, czego ja chcę. Nie pozwól, żeby stara Tuskugggun, i to na dodatek nieżywa, wtrącała się w twoje życie. Jesteś niezwykle utalentowaną artystką. Nie muszę ci tego mówić. A sztuka bez wątpienia może dawać ogromną satysfakcję. Ale czy to ci wystarcza, Marethyn? Sądzę, że cię znam. Mimo że już powiedziałam w tym nagraniu, że żaden V'ornn tak do końca nie zna drugiego, to jestem wystarczająco stara – i martwa! – żeby sobie po raz ostatni pozwolić na takie stwierdzenie. Sornnn jest teraz przy tobie, prawda? Tak, jasne, że jest. Lecz nie pytaj, co o tym myśli, kochanie! Ma co do ciebie własne zamiary i dobrze o tym wiesz! No i jest mężczyzną. Nietuzinkowym, ale jednak mężczyzną. To musi być twoja decyzja. Tylko twoja. Jeżeli postanowisz kontynuować moje zadanie, zanieś ten data-dekagon Dobbro Mannksowi. Zakodowałam go i dla jego dataportu. Będziesz miała dostęp do pieniędzy przeznaczonych na wiadomy cel. A Sornnn... Sornnnie, przedstawisz moją ukochaną wnuczkę naszej wspólnej przyjaciółce. Jeżeli postanowisz pozostać artystką, Marethyn, to daj, proszę, ten data-dekagon Sornnnowi. On zdecyduje, kiedy i jak spożytkować pieniądze na rzecz ruchu oporu.

Tettsie się uśmiechnęła. Tak bardzo przypominała samą siebie z czasów, kiedy latem zabierała małą Marethyn nad głębokie stawy, że serca dziewczyny zabiły radośnie.

–Wiem, Marethyn, że to dla ciebie wzruszająca chwila. Wiem również, że masz zwyczaj długo się zastanawiać przed podjęciem decyzji, zwłaszcza tych, które uważasz za ważne. Błagam cię, żebyś nad tą się nie zastanawiała. Wysłuchaj swoich serc, swojego ducha i nie pozwól, by wpłynął na ciebie jakikolwiek V'ornn, nawet ja. Możesz pamiętać o mnie na wiele sposobów. Jednym z nich jest mój portret, który malujesz. Jeżeli właśnie to wybierzesz, tym lepiej dla ciebie. Błagam cię, nie rób tego dla mnie, dla żadnego innego V'ornna, tylko dla samej siebie. Nie możesz wymyślić sposobu na samorealizację, spełnienie; musisz go wyczuć. To coś instynktownego, jak malowanie, więc nie powinno ci to sprawić trudności. Cokolwiek postanowisz, kocham cię. Nawet nie wiesz, ile dałaś mi radości! Zegnaj, moje najdroższe dziecko. Ufam, że twój wielki i szlachetny duch wskaże ci właściwą drogę. Zaufaj mu, jak ja to zrobiłam, a nie popełnisz błędu.

Uśmiechnięta twarz Tettsie zamigotała i zniknęła. Po twarzy Marethyn spływały łzy. Sornnn mocno ją przytulił. Czuła, jak ich serca biją jednym rytmem. W jej umyśle niczym modlitwa rozbrzmiewał głos babki. Ponad ciepłym od słońca barkiem Sornnna widziała rozpoczęty obraz. Przyglądała mu się nie po to, żeby ocenić technikę czy barwy, lecz by ożywić wspomnienie o cthonne. Coś ważnego ją tam ciągnęło.

Nie rozmyślaj długo nad decyzją, ostrzegła ją Tettsie, zawierz swojej intuicji artystki. I cóż jej ta intuicja podpowiada? Marethyn uwielbiała być artystką. To jej dawało wolność i niezależność, jakimi cieszyły się jedynie nieliczne Tuskugggun. A mimo to zaczęła odkrywać w sobie jakiś niepokój, wyraźne przeczucie, że w życiu może być jeszcze coś ponad to, co ona zyskała. Potem pojawił się Sornnn i miała również miłość. Lecz z nim była nie tylko miłość. Wspólnie zaczęli potajemne życie. Tak, to prawda. Po wysłuchaniu nagrania Marethyn pojęła, że w chwili, kiedy zgodziła się pomóc Sornnnowi, zaczęła być taką V'ornnianką, jak chciała jej babka. Ta decyzja ją ekscytowała, ale i przerażała, dlatego odepchnęła to od siebie. Bo w głębi ducha wiedziała, że chodzi o coś więcej. Wiedziała, że Sornnn chce się podzielić z nią swoją tajemnicą. A w cthonne, wśród ogólnego szaleństwa, jej lęk przeważał i wycofała się. Teraz zaś usłyszała wszystko z ust nieżyjącej babki. Powinna być wstrząśnięta, zdumiona, zdenerwowana. Lecz nie była. Za to – po raz pierwszy od czasu, kiedy zaczęła się czuć nieswojo we własnym życiu – wszystko stało się jasne i sensowne.

Tettsie miała słuszność. Marethyn w ogóle nie musiała się namyślać. I żadna decyzja nie wydała się jej tak słuszna. To było całkowicie instynktowne.

Obróciła się w ramionach Sornnna i spojrzała mu w twarz, powiedziała:

–Tak. Dokonałam wyboru. Ja, Marethyn Stogggul. Tak.

–Teraz nie będzie już odwrotu, Marethyn.

–Nie chcę się wycofać.

Była przerażona i podekscytowana, i bardzo pewna tego, co robi. Te wszystkie emocje sprawiły, że drżały jej ręce. Pomyślała o Tettsie, o starości, i wiedziała, że kiedy przyjdzie na nią czas, to chciałaby – tak jak jej babka – być dumna ze swojego życia.

Wreszcie zrozumiała, dlaczego Sornnn zabrał ją wczorajszego wieczoru do cthonne. Bo to było wcielone w życie marzenie Eleusisa Ashery, miejsce, gdzie V'ornnowie i Kundalanie żyli obok siebie w spokoju i zgodzie.

Narodzili się ponownie dzięki jej pędzlowi, wszyscy, i widziała ich oczyma Sornnna. Zdawała sobie też sprawę, że ci młodzi są jak bomba czekająca na zdetonowanie.

23. Nie brać więźniów

Kurgan niechętnie wrócił do swoich przeraźliwie nudnych obowiązków regenta. Przekonał się, że w miarę upływu czasu kompletnie stracił cierpliwość do subtelności dyplomacji i zawitych formalności protokołu. Warczał na każdego konina, który

wszedł mu w drogę. Zgrzytał zębami z frustracji, powoli i nieodwołalnie przygniatały górą drobnych szczegółów.

Nic dziwnego, że robił sobie przerwy tak często, jak tylko mógł, i przewieszony przez balustradę tego czy innego balkonu głęboko się zaciągał dymem laaga. Podobało mu się wywoływane przez narkotyk wrażenie, że się rozdyma, aż wypełnia sobą cały pałac. Otwiera usta i połyka cały budynek. Zachichotał na tę myśl.

Często miał ochotę kogoś zabić. Schodził wtedy do cel przesłuchań, zbudowanych przez Gyrgonów pod pałacem, wybierał sobie jakiegoś więźnia i obrabiał go w radosnym skupieniu, pogwizdując myśliwską piosenkę, której, kiedy był o wiele młodszy, nauczył go Stary V'ornn. Nieunikniona śmierć nadchodziła nagle i zbyt szybko, przez co odczuwał jeszcze większą pustkę niż przedtem i wyładowywał swój gniew na pierwszym Haaar-kyut, który miał pecha się na niego napatoczyć.

Pewnie właśnie dlatego nie zszedł tego dnia do cel przesłuchań, kiedy miał już dość tych wszystkich bzdur. Palił w samotności na jednym z balkonów wychodzących na zatłoczoną ulicę.

Myślał o Courionie, zastanawiał się, kiedy da o sobie znać, i wtedy zobaczył młodą Kundalankę. Był przekonany, że to ta sama, którą już kiedyś widział z tego samego balkonu, o ile się nie mylił. Ta, którą wziął siłą nad strumieniem tamtego dawno minionego złocistego popołudnia, kiedy Annon jeszcze żył. Ich ostatnie polowanie.

Odrzucił niedopałek laaga i zawołał Haaar-kyut. Młody Khagggun zjawił się natychmiast i Kurgan pokazał mu kobietę, zanim zdążyła zniknąć w tłumie.

Haaar-kyut wydał rozkaz, żeby ją przyprowadzić, a Kurgan wrócił do komnaty i obejrzał najnowszy data-dekagon od Rady. Zaczynał się zastanawiać, czy dobrze zrobił, werbując ją. Jak dotąd informacje od niej były mało ważne. Uznał jednak, że powinno go to cieszyć. Potem natrafił na doniesienie o niepokojach wśród Khagggunów. Drugi raz o tym wspominała. Czyż nie rozkazał Olnnowi Rydddlinowi, żeby stłumił niezadowolenie Khagggunów niższego szczebla, wynikające z zawieszenia ich praw do wyższej kasty? Czym się zajmuje ten gwiazdny admirał? Na pewno nie złapał jeszcze Rekkka Hacilara i tej kundalańskiej czarownicy Giyan.

Tak mocno łupnął pięścią w stół, że do komnaty wpadli dwaj Haaar-kyut z dobytymi kordami. Odprawił ich machnięciem ręki.

Niech to N'Luuura!

Usłyszał czyjś głos i odwrócił się. Spodziewał się ujrzeć Haaar-kyut z Kundalanką, więc się uśmiechał, ale zobaczył wkraczającego na taras gwiazdneho admirała. Dał więc upust swojej złości. Obszedł dokoła Olnna Rydddlina, głośno węsząc.

–Cóż to za zapaszek wyczuwam? Odór niepowodzenia ciągnie się za tobą niczym smród corzego łajna.

Gwiezdny admirał zdołał się roześmiać, lecz Kurgan był przekonany, że udało mu się wetknąć szpilę, choćby i szpileczkę, pomiędzy blaski błękitno-złotej zbroi Olnna.

–Rad jestem, żeś w dobrym humorze, regencie – powiedział Olnn. – Mam dobre wieści.

–Przyniosłeś głowę Rhynnona.

–Nie, regencie.

–No to czarownicy Giyan? Tej skcetty?

–Nie, regencie.

–No to co ma mi sprawić przyjemność?! – wybuchnął Kurgan.

–Mamy w areszcie zdrajcę, który zaopatrywał ruch oporu.

Kurgan znieruchomiał, zaskoczony.

–Naprawdę? A ko jest tym zdrajcą?

–Bashkir Bronnn Palln.

–A to ciekawe. – Kurgan przytknął palec do ust. – Nigdy bym nie pomyślał... no ale czemu nie? Ojciec go wyrolował w sprawie naczelnego faktora. Jasne, że by spartolił robotę, mając ten urząd. Aż dziw, że i tego nie spaprał.

–Na koniec spaprał, regencie.

Kurgan potakująco skinął głową.

–A gdzież jest teraz ten zdrajca? Bez wątpienia w jednej z moich cel przesłuchań?

–Nie, regencie. Zgodnie z przepisami zdrajców v'ornnańskiej modalności, aż do przekazania trybunałowi, trzyma się w khagguńskim więzieniu.

–Mam gdzieś przepisy. Chcę, żeby Bronnn Palln znalazł się tutaj. Chcę go sam przesłuchać.

–Ależ regencie. Nie możesz...

–Nie mogę?! – wrzasnął Kurgan. – A od kiedy to mój gwiezdny admirał poucza

mnie, co mogę, a czego nie mogę?!

–Regencie, ja tylko... myślę o najwyższym dowództwie. Będą niezadowoleni z takiego złamania...

–Przestań głądzić, gwiazdny admirale. – Kurgan lekceważąco machnął ręką. – Rób, co każę.

–Rozkaz, sir!

–No to znikaj. Obowiązki na ciebie czekają.

Olnnn wykonał w tył zwrot, a Kurgan wyszczerzył się w uśmiechu. Zatarł dłonie. Nareszcie coś rozkoszniętkiego!

–Nie mogę się już doczekać.

Ledwo gwiazdny admirał zdążył wyjść, a już zjawił się młody Haaar-kyut z Kundalanką. To powinno uradować Kurgana, lecz tak się nie stało. Przyjrząwszy się jej, pojął, że to nie ta, co ją zgwałcił nad strumieniem.

Zaklął.

Annon nie żył, a tamta kobieta przepadła.

Ale tę i tak wziął, wypiętą niczym zwierzę, gwałtownie i brutalnie. Podrapał ją do krwi. Nie wydała żadnego dźwięku, nawet nie jęknęła, i to jeszcze bardziej go rozwścieczyło. Wplątał palce w jej gęste włosy. W umyśle tańczyły mu obrazy Couriona i Nith Batoxxksa. Zamknął oczy, próbując przywołać tamto złociste popołudnie, tamtą kobietę, która tak go podnieciła.

Udawał, że to ta sama, sapiąc na niej i dysząc.

Lepszy rydz niż nic. Kiedy skończył, wyrzucił ją jak bochenek spleśniałego chleba, bo nie była tamtą, i już nigdy nie chciał jej zobaczyć.

Odór śmierci przyciągnął stada czarnowronów. Były, jak wszystkie padlinożerne ptaki, ogromnie płochliwe, choć tak duże. Błyszczącymi złocistymi oczami usiłowały patrzeć jednocześnie we wszystkich kierunkach. Przy najcichszym odgłosie podrywały się splamioną krwią chmurą, a po chwili znów osiadały na bielejących kościach i gnijącym mięsie.

Pojawiali się zwiadowcy komendanta szturm Blleda. Jeden po drugim wychodzili z ukrycia, na ugiętych nogach przebywali dystans od linii drzew do masowego grobu, a wszystko to cicho sprawnie. Potem zjawił się komendant szturm Blled we własnej

osobie, z dwoma Khaggunami.

–Dotąd mogli dotrzeć – oznajmił komendant szturm Blled, sprawdzając naręczny czytnik. – O ile któreś z nich jeszcze żyje.

Jego oficer łącznościowy odebrał wąskopasmową wiązkę fotonów.

–Nadal nie ma żadnego dowodu, że ktokolwiek uszedł cało – poinformował dowódcę. – Za to znaleźli we wraku kolejne kawałki zbroi Rhynnona, tak że zrekonstruowali mniej więcej całość.

Komendant szturm Blled wraz z Khaggunami, obszedł dokoła cuchnący dół. Jego Khagguni powrócili ze zwiadu z niczym. Dał znak i dwaj Khagguni zeszli w przyprawiające o mdłości grzęzawisko. Jeden z nich natychmiast zaczął wymiotować. Z trudem dobrnął do obrzeża masowego grobu i zaczął wylazić.

–Wracaj, trzeci kapitanie, i wypełnij swój obowiązek – rzekł komendant szturm Blled.

–Z całym szacunkiem, sir – zagadnął trzeci kapitan – dlaczego marnujemy czas na szukanie duchów?

Komendant szturm Blled natychmiast do niego podszedł i niedbałym machnięciem korda odciął mu głowę. Ciało chwilę podrygiwało, a potem Blled jednym kopniakiem strącił je na stertę rozkładających się kundalańskich zwłok.

–Jeszcze jakieś pytania?

Żaden z Khaggunów nie puścił pary z ust, a kiedy komendant szturm dał znak, drugi z trzecich kapitanów od razu wskoczył do grobu.

Czarnowrony wrzasnęły i wzbily się w niebo, co tak skołowało Khaggunów, że parę razy wypalili z ręcznych działek jonicznych, zanim komendant szturm kazał im przestać. Ignorowali straszliwy odór, łzawienie oczu; od czasu do czasu dźgali kordami grzęzawisko. Wstrzymywali oddech i szli przez zbiorową mogiłę. Kiedy dotarli do przeciwległego krańca, brakowało im tchu i wdrapali się po oślizłej ścianie grobu, klnąc w duchu N’Luuurę, kiedy w końcu się wydostali. Koledzy trzymali się od nich z daleka, po przyjacielsku trochę się z nich nabijali.

Komendant szturm Blled się zasępił, a potem skinął głową.

–No cóż...

Po raz ostatni się rozejrzał i na jego znak wycofali się, znikając w lesie, z którego się wynurzyli.

Nad mogiłą znów zapanowała cisza i czarnowrony powróciły, chciwie szarpiąc i swoich martwych pobratymców, i dwunożne istoty, na których ciałach od tygodni ucztowały.

Jeden z czarnowronów, większy i agresywniejszy od innych, wykopał nową warstwę gnijących zwłok. Pozostałe ptaki ruszyły ku jego odkryciu, więc wrzasnął i tłukł ostrym dziobem, dopóki strach nie zwyciężył łakomstwa i rywale nie powrócili do obdziobanych trupów, gdzie musieli się zadowolić odrywaniem od kości twardych resztek ścięgien.

Czarnowron kopał coraz głębiej, napychając się na wpół zgniłym mięsem i nie spuszczając podejrzliwego spojrzenia z pobratymców; upewniał się, że się trzymają w odpowiedniej odległości. Na pewno dlatego nie zauważył nagłego ruchu pod sobą. Joniczny sztylet przebił pierś ptaszyska, zanim zdążyło się poderwać do lotu. Czarnowron rozpostarł skrzydła, drżąc i dygocząc, lecz złoty blask zniknął z jego oczu; już nie żył.

Stado przerwało posiłek i ochoczo się na niego rzuciło, kiedy wielki czarny zewłok wpadł pomiędzy nie.

Rekkk wysunął głowę z cuchnącego grzęzawiska i powiedział:

–Niech N’Luuura porwie te czarnowrony.

Szybko, lecz uważnie się rozejrzał, a potem wyciągnął Eleanę z galaretowatego błočka. Zaciskała w garści pustą obudowę khagguńskiego fotonowego komunikatora, z której Rekkk zrobił dla nich rurki do oddychania.

–Udało się – oznajmił z zadowoleniem. – Odeszli.

Eleana poprowadziła do małego strumyka, jakieś trzysta metrów na północny wschód, płynącego bystro przez rozpadlinę w omszałych skałkach. Najlepiej jak zdołali zmyli z siebie odór śmierci. Nie wiedzieli, gdzie się podział teyj. Byli zbyt wyczerpani, żeby iść dalej. Eleana wyszukiwała jadalne grzyby i paprocie, a Rekkk rozglądał się za miejscem odpowiednim na nocleg. Znalazł pieczarę, płytką, ale suchą, u podnóża masywu stromo wznoszącego się chyba aż do Stone Border. Jediną wadą pieczary było to, że wychodziła na masowy grób, niesamowicie lśniący w jasnym blasku księżyców.

Nie odważyli się rozpalić ogniska, więc zjedli na surowo to, co znalazła Eleana. Nie było to zbyt smaczne, ale przynajmniej choć trochę przestało ich ssać w żołądkach. Rekkk chciał objąć pierwszą wartę, lecz Eleana nie mogła zasnąć.

–Jesteśmy blisko Stone Border – powiedziała – ale ten odcinek jest najbardziej stromy.

Rekkk spojrział na masyw.

–Tam jest Opactwo Optywającej Jasności. A w nim konara Urdma, zdrajczyni odpowiedzialna za śmierć tych wszystkich partyzantów. Tylko my wiemy o jej zdradzie. Musimy się dostać do opactwa i unieszkodliwić ją.

–A pomyślałeś o tym, jak wejdziemy do środka?

Hacilar dotknął jej brzucha.

–Tobie nie odmówią, Eleano.

–Może to dobry sposób – powiedziała. – Dopóki ich nie wystraszysz na śmierć.

24. Zanik pamięci

Kiedy Riane wróciła do diuny, nogi Perrnodt już paliło słońce. Przerzuciła dzuoko przez ramię i przeniosła ją na drugą stronę, gdzie właśnie zaczynał się kłaść cień. Ułożyła ją tak, że cała się zmieściła w wąskiej smudze cienia. Jak tylko to zrobiła, Perrnodt otworzyła oczy.

Riane osunęła się na kolana, powoli napiła dzuoko, potem sama się napiła.

–Jak się czujesz? Zemdlałaś, gdy tylko cię przeciągnęłam przez pole jonowe Gyrgona.

Perrnodt dała znak, że nic jej nie jest, i poprosiła o wodę.

Riane przyglądała się, jak pije. Miała na sobie strój w biało-niebieskie pasy, jednego z zabitych Jeni Cerii. Ubranie było poplamione krwią i rozdarte w miejscu, w którym je przebił jej sztylet, ale dało się je nosić. Nie można było tego powiedzieć o odzieży drugiego, poszarpanej przez kosmiczny brzeszczot.

Riane cały czas – wygrzebując sztylet z piasku, a potem wracając do dzuoko – dumiała nad nagłym odzyskaniem mocy przez oręż. Kiedy zrzuciła brudny strój Ghorów, znalazła kamyk od Mu-Awwula, ten z wizerunkiem fulkaana. Leżał, zapomniany, w tej samej kieszeni, do której włożyła kosmiczny brzeszczot – i to ją tak zaciekało. Położyła kamyk przy kosmicznym brzeszczocie. Przesunął się bliżej i poczuła magnetyczny impuls. Kamyk dotknął brzegu kosmicznego brzeszczotu i ten zaczął pulsować.

Czy o tym właśnie mówił Mu-Awwul, dając kamyk? „Z wizerunku fulkaana bije moc ijyhani”, rzekł wówczas.

Wtedy uznała, że to przenośnia. W końcu dawał jej talizman Jiharrego, symbol

szczęścia i – wedle jego określenia – jjhani, duchowej płodności. Teraz stwierdziła, że rozumiał to dosłownie. W kamyku była moc, wystarczająca do ponownego uruchomienia kosmicznego brzeszczotu. Pozostawało tajemnicą, jak owa moc zdołała się zestroić z orężem. Riane zamierzała to wyjaśnić, gdy tylko znów zobaczy Mu-Awwula.

–Czuję się lepiej – powiedziała Perrnodt, wzdychając. – Ale umieram z głodu. Masz może choć odrobinę jedzenia?

Riane wyjęła trochę suszonego mięsa z torby na ramię, którą odebrała martwemu Jeni Cerii. Dzuoko stwierdziła:

–Sądząc po twoim stroju, musiałaś się natknąć na zwiadowców Jeni Cerii.

Kiedy jadły, Riane opowiedziała jej o obozie Jeni Cerii. Potem przeszła do najnowszych wydarzeń.

–Wiem, że jesteś Ramahanką. Powiedziano mi, że znasz sanktuarium, w którym ukryto Maasrę.

Perrnodt przyjrzała się jej podejrzliwie.

–Ktoś tak młody wie tyle niebezpiecznych rzeczy. Mówisz, że zabiłaś sauromicjana oraz Gyrgona?

–Szczątki Nith Settta leżą tam. – Wskazała Riane. – Sauromicjan zginął w pobliżu pałacu kapudaana, w Agachire.

Perrnodt spojrzała w tym kierunku i siedziała zupełnie nieruchomo. Przez chwilę nic się nie działo. Potem Riane poczuła drżenie, jakby ziemia się zatrzęsła, lecz ziemia trwała nieruchomo. Ujrzała, jak oczy Perrnodt błyskają białkami, i już wiedziała, co to za drżenie. Perrnodt przecięła powietrze. Poruszała się, a raczej pewna jej część się poruszała. Nie thrippingowała. To było coś zupełnie innego.

Po chwili drżenie ustało, oczy Perrnodt patrzyły zwyczajnie.

–Tak. Nith Settt istotnie nie żyje.

Sposób, w jaki to powiedziała, wszystko Riane wyjaśnił.

–Uważałaś, że mogę być na usługach Gyrgona.

–Ten Gyrgon, którego tu przysłano, był jakiś dziwny – mówiła z osobliwą intonacją, zupełnie jakby śpiewała. – Wiedział o istnieniu Maasry. Skąd? Chciał zdobyć Maasrę. Po co? Przedtem Gyrgoni nie okazywali najmniejszego zainteresowania

przepowiedniami czy wiedzą Ramahan.

Riane przypomniała sobie Nith Sahora. Wiedziała, że wcale tak nie było. Lecz Nith Sahor stanowił wyjątek wśród Gyrgonów. Wtem coś jej przyszło do głowy.

–Zasłona Tysiąca Łez pojawia się w proroctwie?

–I to więcej niż raz – odparła Perrnodt. – Napisano, że Dar Sala-at zażąda Maasry, która zaginie i zostanie odzyskana w krwawej walce. A Dar Sala-at zostanie przy tym zdradzony.

Riane czuła, jak mocno bije jej serce. Dziwnie było słuchać o własnej przyszłości tak, jakby już była przeszłością. Czy to oznaczało, że nie ma wolnej woli? Który z jej wyborów – bo życie, a zwłaszcza jej, składa się z nieustannych wyborów – doprowadził do tego konkretnego losu? Czyżby nie znalazła sposobu na uchronienie Maasry przed zaginięciem? Czyżby nie zdołała zapobiec krwawej wojnie? I cóż jej po mocy, po byciu Darem Sala-at, skoro jej droga jest już wyznaczona?

I wtedy przypomniało się jej coś jeszcze. Napisano w proroctwie, że spośród sprzymierzeńców Daru Sala-at jeden będzie ją kochać, drugi ją zdradzi, a trzeci spróbuje zniszczyć, tak ostrzegała ją niegdyś Giyan. Teraz Perrnodt powtórzyła to ostrzeżenie.

–Czym dokładnie są te proroctwa, o których wciąż słyszę? Czy to księga lub cykl ksiąg, przetłumaczonych i zinterpretowanych przez Ramahanki?

Perrnodt uśmiechnęła się lekko.

–Mówiłaś, że pobierałaś nauki w Opactwie Optywającej Jasności. Ale jesteś jeszcze młodziutką nowicjuską. Proroctwa są dla...

–Nie jestem zwykłą ramahańską nowicjuską – oznajmiła Riane. – Jestem Darem Sala-at.

Perrnodt ani nie krzyknęła ze zdumienia, ani się nie roześmiała. Przyjęła tę rewelację z pewnym sceptycyzmem. Riane przypomniała sobie słowa Giyan, że nawet Ramahanki będą miały wątpliwości, bo jest przecież kobietą, że będą przeciwnicy. Miała ogromną nadzieję, że Perrnodt nie zaliczy się do ich grona.

–To ci dopiero – powiedziała w końcu Perrnodt.

–To by wyjaśniało, jak zdołałam zabić sauromicjana i Gyrgona, nieprawdaż?

–Tak, to prawdopodobne wyjaśnienie – przyznała Perrnodt. – Ale może jesteś po prostu sprytna.

–Czy za swego pobytu w opactwie znalazłaś nowicjuszkę na tyle bystrą, że zdołałaby pokonać takich wrogów?

Perrnodt milczała.

–Która by potrafiła thrippingować?

–Właściwie nie. – Uśmiechnęła się. – Ale bardzo wątpię, czy ty potrafisz.

–Na razie się nie mylisz. – Riane dotknęła pieprzyka za prawym uchem. – Lecz spójrz na to.

Perrnodt przez chwilę się wahała, a potem się pochylila. Riane odwróciła głowę, żeby tamta lepiej widziała. Dzuoko cichutko westchnęła.

–Wiesz, co to jest – powiedziała Riane. – Dla bezpieczeństwa ukryto mój Dar na czas pobytu w Korrushu.

–Mądra decyzja. – Perrnodt przyciskała dwa palce do szyi dziewczyny. – Kto to zrobił?

–Sefiror Minnum.

Perrnodt cofnęła się, jakby coś ją ukłuło.

–Ten łotrzyk ci powiedział, że jest sefirorem?

Riane potakująco skinęła głową.

–A nie jest?

–Wybrał słowo z Venca i...

–Wiem, co ono oznacza – przerwała jej Riane. – Sefiror to ktoś z mistycznej wspólnoty.

–No, no. Nowicjuszka zna słowo z Venca.

–Znam więcej niż jedno słowo.

–Niemożliwe, żeby nowicjuszka nauczyła się Pierwotnego Języka – powiedziała w Venca Perrnodt.

–A przecież mówię płynnie – odparła Riane w tym samym języku.

Teraz Perrnodt zareagowała.

–Droga Miino! – wykrzyknęła. – Powiedziałaś mi prawdę. A więc Dar Sala-at jest kobietą... – Potrząsnęła głową, nie mogła w to uwierzyć.

–Musisz mi opowiedzieć o Minnumie – stwierdziła Riane. – Uwierzyłam mu. Zaufałam i pozwoliłam zablokować mój Dar.

–Najpierw jedno. – Perrnodt skinęła na nią. – Przybliź się odrobinę.

Riane usłuchała, a Perrnodt położyła na niej obie dłonie. Dziewczyna poczuła, jak przenikają chłód. Dzuoko dotknęła fałszywego pieprzyka i w umyśle Riane natychmiast pojawiła się cała jej wiedza Osoru. Zachłysnęła się oddechem, zadrżała.

–Twoja wewnętrzna moc... – Perrnodt się wyprostowała, potrząsnęła głową. – Jedno trzeba przyznać Minnumowi: precyzyjnie wykonuje robotę.

–Jeżeli nie jest sefirorem...

–Minnum nie jest sefirorem.

–To kim jest? Powiedział, że on jeden pozostał przy życiu, jest ostatnim z nich.

Perrnodt się roześmiała.

–Gdybyż tak było! Niestety, nie jest. Wokół kryją się jemu podobni. Sama mi o jednym opowiedziałaś.

–Jaaa?

Perrnodt potakująco skinęła głową.

–Minnum jest sauromicjanem.

–Jest mężczyzną-czarodziejem – oznajmiła Riane. – Potrafił zamknąć mój Dar, więc co do tego nie kłamał.

–Ale kłamał prawie we wszystkim innym. O, nie potępiaj go za to, moja droga. Nie może się powstrzymać. Jego kłamliwość to klątwa, część kary.

–Mówił mi, że Miina karze go za grzechy.

–Tak? – Perrnodt wyraźnie się zdziwiła. – To ciekawe. Wyobrażam sobie, ile musiało go kosztować powiedzenie ci prawdy.

–I powiedział mi, żebyś cię odszukała.

–Minnum ci to powiedział???

–Musiał wiedzieć, że powiesz mi o nim prawdę.

–To znaczy, iż wierzy, że jesteś tą, za którą się podajesz.

–Ale nie jest sefirorem?

–Nie. Sauromicjanie i sefirorzy różnią się pod każdym względem. Po pierwsze, sauromicjanie to wyłącznie mężczyźni, sefirorzy zaś to i mężczyźni, i kobiety. Po drugie, posługują się zupełnie inną magią. Sauromicjanie posługują się magią, która jest odgałęzieniem, a w istocie przeinaczeniem, Kyofu. Powiedziałam przeinaczeniem, bo to nekromancja. Jest nieczyste. Łączy się z tym zabijanie i wykorzystywanie martwych ciał jako podstawy czarów. Wykorzystali i inne wpływy, tworząc mieszaninę, którą uważają za potężniejszą od Kyofu i od Osoru.

–A jest potężniejsza?

–Nie wiem. Wiem za to, że jest nieczysta. A skoro jest nieczysta, to nie mogą korzystać ze strumieni mocy krzyżujących się pod powierzchnią Kundali. Kontakt ze strumieniami mocy zabiłby sauromicjana. Sefirorzy praktykują magię korzystającą po części ze strumieni mocy. Jest pradawna i czysta. To połączenie Osoru i Kyofu.

–To Qadi'ir.

–Tak. To Widzące Oko. Lecz od sauromicjan różni ich coś jeszcze – powiedziała Perrnodt. – Sefirorzy to Druudzi. – Spojrzała na Riane. – Słyszałaś o nich, dziecko?

–O tak, spotkałam ich.

I Riane opowiedziała jej, jak natrafiła na trzech świątobliwych mężów w Middle Seat, jak ją uratowali przed trzema agresywnymi Khagggunami, śpiewając i wykorzystując jej Trzecie Oko do wciągnięcia jej w kanał, uczynili z niej soczewkę skupiającą ich magię – magię słów.

–Wielka bogini Miino! – szepnęła Perrnodt, całując Riane w rękę. – Teraz rozumiem, czemu Minnum wierzy. Naprawdę jesteś Darem Sala-at.

Teraz Riane rozpoznała śpiewną intonację, wiedziała, dlaczego Perrnodt jest tak biegła w Venca.

–Jesteś Druuge'em, Perrnodt! – wyszeptała. – Jesteś Druuge'em!

Za zdrajcę Bronnna Pallna był odpowiedzialny dowódca szwadronu Coolm. Więzień, w podwójnych jonicznych łańcuchach, siedział w khagguńskim więzieniu o grubych murach przy Grey Vapor Street. Coolmowi wcale się to nie podobało, lecz nie potrafił wzbudzić w sobie słusznego gniewu. Wiedział, że jego towarzysze polują

na kundalańskich partyzantów, a on musiał się opiekować tłustym bashkirskim zdrajcą. Doszedł do wniosku, że nic go to nie obchodzi.

Nie był już pierwszej młodości. Został okaleczony w walce; jego słynna niegdyś brutalność zmieniła się w znużoną obojętność, która ledwie od czasu do czasu budziła w nim samym niesmak. Ostatnio nabrał zwyczaju odwiedzania nocami coraz to innej loorm, żeby odpędzić wspomnienia. Niektórzy z jego kolegów wierzyli, że Kundala jest końcem drogi, że Gyrgoni – bierni i pogrążeni w żalosnej zadumie – nigdy nie wydadzą rozkazu odlotu. Dowódca szwadronu Coolm, który sam się pogrążył w podobnym otępieniu, nie wyrażał swojego zdania w tej gorąco dyskutowanej sprawie. Był jednak na tyle przytomny, że zwrócił uwagę na coraz częstsze i gwałtowniejsze powtarzanie się tej dyskusji w szwadronach. Można by to było nazwać obsesją. Lepiej było zatrzymać te myśli dla siebie, bo jeżeli plotki okażą się prawdziwe... Podejrzewał, że wszyscy ogromnie nisko upadli od owej chwili, kiedy to – niewiele ponad sto lat temu – wylądowali jako zwycięzcy na Kundali.

Ignorował bezustanne jęczenie więźnia, jedynie spojrział nań z pogardą. Rozmyślanie o straszliwym bólu zbliżającego się przesłuchania nie sprawiało mu wiele radości, bo nie będzie miał w tym udziału. Był zwyczajnym strażnikiem, a tę robotę mógłby przecież wykonywać zwyczajny funkcjonariusz trzeciej rangi. Nie żeby się tym przejmował; był zmęczony po przydługiej wieczornej wycieczce. Poza tym był Khagggunem i miał obowiązek wypełniać rozkazy. A polecenia dla niego pochodziły od samego generała polnego Lokcka Werrrenta i Coolm zamierzał dobrze wykonać tę paskudną robotę.

Pewnie dlatego doznał czegoś w rodzaju przeczucia, widząc zbliżającego się z eskortą groźnego gwiazdnego admirała Olnna Ryddlina. Dowódca szwadronu Coolm kazał stanąć swoim Khagggunom na baczność. Na jednego warknął, żeby wreszcie raz na zawsze uciszył więźnia. Miał dość jego jękliwych zapewnień o niewinności. No i nie chciał, żeby gwiazdny admirał wysłuchiwał tego bełkotu.

Coolm oblizwał wargi. Po co się tu zjawił gwiazdny admirał? Czyżby on, Coolm, coś spieprzył? Zauważył, że Ryddlin nie ma żadnej ochrony. O dziwo, towarzyszyła mu Tuskuggun w mundurze w błękitno-złoty barwach samego gwiazdnego admirała!

–Dzień dobry, dowódco szwadronu – odezwał się gwiazdny admirał. – Przeszedłem, żeby osobiście przesłuchać więźnia.

Dowódca szwadronu Coolm otwarcie gapił się na Tuskuggun i był tak zaskoczony, że zapomniał języka w gębie.

–Natychmiast wpuść mnie do celi – rozkazał ostro gwiazdny admirał. – A ty i twoi Khagguni macie stąd zniknąć.

–Sir?

–To ściśle tajne przesłuchanie.

–Rozkaz, sir. – Dowódca szwadronu Coolm stanął na baczność. – Natychmiast, sir.

Na jego znak jeden z Khaggunów otworzył drzwi do celi Bronna Pallna. Wszedł stamtąd Khaggun towarzyszący więźniowi.

–Szczęka ci opadła, dowódco szwadronu – rzekł szorstko gwiazdny admirał. – Co ci jest? Potrzebny ci Genomatek?

–Nie, sir. Absolutnie nie! – wykrzyknął, ogromnie skonfundowany. – Ale, sir, tu jest Tuskuggun... Chodzi mi o to, czy będzie z tobą, kiedy ty...

–To mój sztabowy adiutant.

–Ja nie... – Coolm gwałtownie umilkł, lecz jakaś nagła przekora kazała mu upierać się przy swoim. – Nie znam takiego stopnia, gwiazdny admirał.

–No to się doinformuj – burknął Olnn, wchodząc energicznie do celi. – Jak się nazywasz? – zapytał jeszcze ponuro.

–Dowódca szwadronu Dorrt Coolm, sir. Rozkaz, sir. Doinformuję się.

–Aż do odwołania jesteś zwolniony z tego stanowiska, dowódco szwadronu Dorrt Coolmie. Zamelduj się u adiutanta w zachodnim zaopatrzeniu po natychmiastowy nowy przydział. Skoro jesteś tak zestresowany, być może stwierdzisz, że przewożenie dostaw bardziej ci odpowiada.

–Tak, sir. Dzięki, sir.

I tak Coolm znalazł się na N'Luuurowej liście gwiazdnego admirała. I to w obecności całego swojego oddziału. Co też sobie o nim myśleli? Przeklął swoją niewyparzoną gębę. No ale przynajmniej go nie zdegradował. W porę ugryzł się w język, więc nie pograżył się jeszcze bardziej. No ale ta Tuskuggun w mundurze Khagguna... Aż mu się zebrało na wymioty na ten widok. Musi ukatrupić pierwszego Kundalanina, który wejdzie mu w drogę. Po minach poznał, że wszyscy jego Khagguni myślą dokładnie to samo.

–Znam ten wyraz twarzy – powiedziała Rada do Olnna, kiedy Coolm i jego Khagguni odmaszerowali. – Mają w sercach żądzę mordy.

–Lepiej się do tego przyzwyczaj. Sporo się na to napatrzysz w nadchodzących

dniach i tygodniach. Czemu się tym martwić? My, Khaggguni, zawsze mamy w sercach żądzę mordy; czasami mi się wydaje, że już tacy się urodziliśmy. Jesteśmy wojownikami. Uznaj to za niezbędną cechę.

Rada zaśmiała się cierpko. Olenn przyjrzał się jej.

–A tak w ogóle, to powinnaś być uzbrojona i groźna. Nie chciałbym, żeby cię zranili w jakiejś burdzie.

–Zapobiegłam wielu burdom, gwiazdny admirał.

–Mimo to jesteś u mego boku. Potrzebny ci bardziej odpowiedni strój.

Spojrzała na kulącego się ze strachu Bronna Pallna.

–Lepiej wyjmę mu knebel z ust.

–Czemu chcesz to zrobić?

Rada przyjrzała się z zaciekawieniem Ryddlinowi.

–Powiedziałeś dowódcy szwadronu, że chcesz przesłuchać więźnia.

–Jeżeli mu wyjmiesz knebel z ust – rzekł Olenn – będzie wrzeszczał.

Na te słowa i tak już pobladła twarz Bronna Pallna zszarzała i faktycznie zaczął on wrzeszczeć pomimo knebla.

–Co za smród! – Rada odsunęła się od niego. – On narobił w spodnie, gwiazdny admirał.

Olenn Ryddlin bez słowa złapał Bronna Pallna za kark i pchnął w przeciwną stronę kraniec celi. Widząc, że Rada idzie za nim, kazał jej stanąć przy drzwiach i pilnować, żeby nikt im nie przeszkodził.

–Co zamierzasz zrobić? – zapytała podejrzliwie.

–Rób, co ci kazałem – warknął.

Potem się odwrócił i syknął do Bronna Pallna:

–Wszystko spartaczyłeś, ty bashkirska skettto.

Z całej siły uderzył Pallna w twarz. Bashkir się zachwiał, oparł o ścianę, wytrzeszczał oczy w straszliwym przerażeniu. Potem nagle ugięły się pod nim kolana i Olenn musiał go utrzymywać w pionie.

–Jeżeli wyniesienie do wyższej kasty miałoby oznaczać, że stanę się do ciebie podobny, to się tego wyrzekam.

Bezgłośny krzyk usiłujący wydobyć się z gardła Bronnna Pallna ucichł nagle, kiedy Olenn zaczął walić głową biedaka o ścianę. Trysnęła krew, więc zręcznie się odsunął i odwrócił na czas, żeby zobaczyć spieszącą ku niemu Radę.

–Coś mi się wydaje, że więzień nie przetrwał pierwszego przesłuchania.

–Ty... ty go zabiłeś. Zamordowałeś, ot tak. – Omal nie dostała ataku apopleksji z wściekłości. – Jak mogłeś?!

Powstrzymał ją przed udzieleniem pomocy Bronnnowi Pallnowi, który z coraz słabiej bijącymi sercami osuwał się po ścianie; wreszcie została na niej tylko smuga turkusowej krwi skapującej na jego lśniąca od potu głowę.

Rada chciała uderzyć Ryddlina, lecz nie pozwolił na to.

–Po pierwsze, musisz się nauczyć, żeby mi się w takich sprawach nie sprzeciwiać. Po drugie, ten Bashkir był zdrajcą v'ornnańskiej modalności. Zdobyliśmy dowód, że stał na czele spiskowców sprzedających broń kundalańskiemu ruchowi oporu. – Ujrzał w jej oczach dziką nienawiść, więc zaczął nią lekko potrząsać. – Po trzecie i najważniejsze, miał wiadomości, które mogły mnie skompromitować w oczach regenta.

–Więc go zamordowałeś.

–Nie mogłem dopuścić, żeby pogadał z regentem – rzekł Ryddlin cicho, z wściekłością. – Nakłoniłem tę skcettę, żeby znalazł sposób zrujnowania Sornna SaTrryna będącego teraz w łaskach u regenta. A jemu jakoś się udało wplątać samego siebie w to wszystko. Teraz rozumiesz? Gdyby regent go dostał w swoje łapy, to wszystko by się znalazło w niebezpieczeństwie, wszystko.

Celę wypełniał zaduch śmierci. Rada miała wrażenie, że Bronnn Palln wpatruje się w nią nabiegłymi krwią oczami, oskarżycielsko i ze zgorszeniem.

Zamknęła oczy, lecz nie przestała go widzieć, zadygotała. A Olenn powiedział łagodnie, niemal czule:

–Widzisz, niełatwo być wojownikiem.

25. Narodziny narbucka

Wiatr szumiał wśród sosen marre. Wszędzie dokoła coś się poruszało. Trójka

winożuczków, dużych, czarnych i lśniących, przemaszerowała po igliwiu niecały metr od miejsca, w którym jedli.

–Kiedy leżałam w tym grobie nieruchomo niczym trup – odezwała się Eleana – przypomniał mi się dziadek. Dziwne. Od lat o nim nie myślałam. Tak dawno umarł, że już nie pamiętam, jak wyglądał.

Wygodniej oparła się o Rekkka; była szczelnie opatulona peleryną.

–Zabierał mnie na przechadzki. Byłam bardzo mała. Sadzał mnie sobie na ramionach. Moje nogi dyndały na jego piersi. Przytrzymał mnie krzepkimi dłońmi. Łaskotał mnie w podeszwy bosych stóp. O, Miino, pomóż mi przypomnieć sobie jego twarz!

–Opowiedz mi jeszcze o nim – powiedział łagodnie Rekkk.

–Nie zapomniałam jego dużych, prawie kwadratowych dłoni. Jeszcze teraz czuję ich siłę, jak wtedy, kiedy dziadek mocno trzymał mnie za kostki. Zabierał mnie do samego serca lasu, tam gdzie inni bali się chodzić. Zielone liście i mgliście złocisty blask słońca. Głosy ptaków. Owady latały dookoła mojej głowy. Nigdy się nie bałam. Czy to nie dziwne? A może nie. Dziadek sprawiał, że czułam się bezpieczna. – Westchnęła, zatopiona we wspomnieniach. – Kiedy już byliśmy w głębi lasu, obracał się ze mną powoli w koło i mówił: „Czuję otaczający mnie świat i to jest dobre, bo dzięki temu dokładnie przypominam sobie przeszłość i widzę oczami duszy, jak przedtem było”.

Rekkk się poruszył.

–Zanim my, V’ornnowie, się zjawiliśmy.

–Tak – powiedziała bardzo cicho Eleana. – Zawsze zaczynał w ten sam sposób, jakby to był jakiś rytuał. Jakby jego zadaniem było przekazanie mi historii, żeby przyszłe pokolenia, które...

Rekkk milczał. Patrzył na straszliwą mogiłę.

–Mów dalej. W porządku.

Eleana czuła, jak oddycha jej dziecko, jak oddycha Rekkk, jakby byli częścią tego samego organizmu.

–...żeby przyszłe pokolenia, zrodzone i wychowane pod władzą V’ornnow, mogły poznać Kundalę taką, jaka niegdyś była. I jaka znów może się stać.

Hacilar objął dziewczynę i wyszeptał:

–Możesz coś dla mnie zrobić? Chciałbym udawać, że twój dziadek nadal żyje, że ten jeden raz zabrał mnie z tobą w głąb lasu, że mi opowie, jak to niegdyś było.

Eleana zamknęła oczy i starała się przywołać obraz dziadka, wysokiego, ogorzałego od słońca Kundalanina, który całe życie spędził pod gołym niebem. Miał duży haczykowany nos, dość dobrze to pamięta, wydatne usta i śmiejące się oczy, lecz nie mogła tych szczegółów złożyć w całość i poczuła ukłucie w sercu.

–Opowiadał mi wiele historii o wielkiej bogini Miinie i czarodziejskich istotach, które niegdyś chodziły po stokach Djenn Marre. Ze wszystkich stworzeń Miiny najbardziej lubiałam narbucki.

–Co to takiego ten narbuck?

–No dobrze – powiedziała Eleana rozmarzonym głosem. – Wyobraź sobie doskonale czarnego cthausa, trzy razy większego niż zwykle cthausy, wyobraź sobie, że ma sześć nóg, białe kopyta, długą wygiętą szyję, dumną głowę i wyraziste jasne oczy. A teraz jeszcze wyobraź sobie, że na grubej przypominającej hełm wypukłości pomiędzy oczami tkwi zwężający się ku końcowi spiralny róg, prosty jak strzała, biały i lśniący jak poświata księżyców, długi na dwa metry.

–Czy te narbucki naprawdę istnieją?

–Niegdyś istniały – wyszeptała. – Tak mi mówił dziadek, a on nigdy nie kłamał ani nawet nie koloryzował. To by było sprzeczne z jego pojmowaniem historii, która była dla niego święta.

–Co ci o nich opowiadał?

Wiatr zatańczył u wlotu pieczary, zakołysał długimi gałęziami kuello. Kołyszące się cienie sprawiały, iż miało się wrażenie, że na poły obdziobani przez czarnowrony zmarli się poruszają.

–Nie chcesz opowiedzieć V'ornnowi?

–Nie, Rekkku. Właśnie ty jeden spośród wszystkich V'ornnów powinieneś to usłyszeć. Tylko że... – potrząsnęła głową – właśnie sobie uświadomiłam, że nigdy przedtem nikomu o tym nie mówiłam.

Mocniej ją przytulił, położył dłoń na jej brzuchu.

–A teraz będziesz miała dziecko i jemu będziesz opowiadać. Żeby jego przeszłość, historia jego narodu, była dla niego równie żywa jak terażniejszość.

Eleana spojrzała na cuchnącą mogiłę, żywy wyrzut gorzkiej terażniejszości, przed

którą gorąco pragnęła ustrzec syna.

–Jako V'ornn znam moc i znaczenie przeszłości jedynie poprzez jej nieobecność – odezwał się Rekkk. – V'ornnowie nie mają przeszłości spisanej czy dokładnie pamiętanej; historia naszego rodzinnego świata nie przetrwała. Promieniowanie po katastrofie, która zmusiła nas do ucieczki w kosmos, przedostało się do naszych baz danych. Minęło trochę czasu, zanim się zorientowaliśmy, że nasza historia niszczy, że każdego dnia tracimy kolejne jej fragmenty. Desperacko usiłowaliśmy odzyskać to, co utraciliśmy. Bezskutecznie. Pozostały fragmenty, którym, jak się przekonaliśmy, nie można było wierzyć. Kiedy promieniowanie wniknęło do matrycy danych, to przekształciło się w coś w rodzaju wirusa, zmieniając kod. Staliśmy się sierotami, wędrowcami.

–Zdobycami, grabieżcami. Odbieracie innym to, co sami utraciliście.

–Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób. Ale nie mam nic na naszą obronę.

–Widzę, że nadal żyje we mnie wojownik.

–A co sobie wyobrażałaś?

–Że macierzyństwo... Że dziecko na zawsze mnie odmieni.

–Po co się niepotrzebnie martwić? Już się zmieniłaś i nie jesteś tą samą przywódczynią ruchu oporu, którą ja i Giyan poznaliśmy przed miesiącami.

Przyjrzała mu się.

–Ty się najbardziej zmieniłeś, Rekkku.

–V'ornnowie nie powinni się zmieniać.

–Dlatego to mówię.

Uśmiechnął się lekko i cmoknął ją w policzek.

–Spełnisz moją prośbę? Tak bym chciał posłuchać o narbucku.

Eleana odwróciła się, oparła plecami o jego pierś, znów się zapatrzyła w rozświetloną poświatą księżyców noc. Bezpieczna, czując bicie jego serc, zdumiewała się tą chwilą, której parę miesięcy temu nawet by sobie nie potrafiła wyobrazić.

–Mój dziadek kochał lasy, góry, w których się urodził i spędził całe życie. Nawet gdy miał niewiele lat więcej niż ja teraz, wolał je od towarzystwa innych Kundalan. Brał łuk i strzały, wszystko własnej roboty, i całe dni spędzał w lasach, ucząc się wiedzy

tej ziemi. Nigdy się nie trapił o przetrwanie; las był dla niego świątynią. Mówił mi często, że wyobrażał sobie, że las powstał specjalnie dla niego. Tak czy inaczej, rankiem w swoje piętnaste urodziny szedł zdradliwą, lecz piękną granią, kiedy zobaczył narbucka. Chociaż nie wiedział co to za zwierzę. Bo i skąd? Nie miało rogu. Ale było wielkie i tak białe, że wydawało się bezbarwne. Szło granią na swoich sześciu nogach z taką gracją, jakby tańczyło. I było coś w tym zwierzęciu, otaczała je jakaś aura czy też czymś emanowało, było to coś, czego dziadek nie umiał określić, ale później, kiedy mi tę historię opowiadał, wiedział już, że było to święte zwierzę. I oczywiście miał rację, bo narbuck jest jednym ze stworzeń Miiny; pierwsza ich para spłynęła z Perły w trakcie stwarzania Kundali.

–Ten narbuck, którego twój dziadek zobaczył... – Ocknął się z zamyślenia Rekkk. – Dlaczego nie miał rogu?

–Właśnie do tego zmierzam.

Rekkk popatrzył nad jej głową na czubki kuello. Na kołyszącej się gałęzi siedziała koroniasta sowa, mocno przyciskając do ciała cętkowane skrzydła, i patrzyła na niego, na mogiłę, na wszystko jednocześnie, w ten właściwy sowom denerwujący sposób.

–Więc to „coś”, ta świętość podbiła serce dziadka i kazała mu iść za narbuckiem. Nie było to wcale łatwe, bo grań miejscami tworzyła krucha skała. Dziadek od czasu do czasu tracił grunt pod nogami, bo niewielkie kawałki skały osuwały się w dół. Lecz za każdym razem, kiedy tak się działo, dowiadywał się czegoś o naturze tej grani, która była przecież czymś żywym, jak mi mówił. I dziadek wcale nie miał zamiaru się zatrzymać czy zawrócić, chciał iść dalej, bo wydawało mu się ogromnie ważne zobaczyć, dokąd idzie narbuck. Dziadek nie wiedział, skąd mu się wzięło to przekonanie; po prostu się nim kierował, jak pływający chłopiec pozwala się nieść nurtowi rzeki.

Koroniasta sowa odwróciła głowę, coś przykuło jej uwagę. Poświata księżyców przez moment odbiła się w jej wielkich jasnych oczach, sprawiając, że stały się niesamowicie przejrzyste.

–I tak ranek przeszedł w popołudnie, a popołudnie w zmierzchu, a dziadek wciąż szedł za narbuckiem ogromną granią. Wspinali się, ale nie cały czas. I tak dziadek po tylu godzinach marszu znalazł się tak wysoko w Djenn Marre, jak jeszcze nigdy nie zaszedł. Pogoda się zmieniła i widział ciemne chmury śpiące przedtem daleko na północy, wtulone za niebosiężny masyw Djenn Marre, a teraz zbliżające się w porywach wiatru. Po raz pierwszy dziadek poczuł ukłucie strachu na myśl, że zbliżająca się burza zastanie go na grani. Ale było za późno, żeby zawrócić. Mógł jedynie iść za narbuckiem i modlić się do Miiny, żeby zwierz zawiódł go w bezpieczne miejsce. W tej chwili usłyszał pierwszy grzmot odbijający się echem w głębokich

wąwozach po obu stronach grani. Czuł, jak spada ciśnienie, i wiedział, że to będzie potężna burza.

Koroniasta sowa rozłożyła skrzydła, sfrunęła z gałęzi i bezszelestnie poleciała w noc. Rekkk stracił ją na chwilę z oczu, kiedy skręciła i poszybowała w dół. Wiatr szumiał w jodłach. Potem sowa pojawiła się w zupełnie innym miejscu; w jej dziobie coś się szamotało.

–Zaczęło się robić ciemno, potem deszcz siekł go po twarzy. Ulewa i silny wiatr omal nie zrzuciły go z niepewnej grzędy, utrzymał się, machając ramionami. Odzyskał równowagę i zauważył, że narbuck się zatrzymał. Stał z lekko odwróconą głową. Patrzył na dziadka, jakby na niego czekał. A dziadek, czepiając się śliskiej skały nogami i rękami, ruszył ku narbuckowi. Rozległ się grzmot, tym razem głośniejszy, huk targnął powietrzem, aż dziadka zaboląły uszy. Kiedy był tuż obok narbucka, zwierzę ruszyło, białe kopyta stąpały po kruchej skale, nie strącając nawet kamyczka. Dziadek przyjrzał się mu i postanowił iść po jego śladach. Deszcz i wiatr przybrały na sile. Błyskawice rozdierały chmury, które zdawały się wisieć ledwo metr lub dwa nad głową dziadka. I kiedy się zdawało, że burza strąci ich z grani, narbuck skręcił w lewo, w stromą i wąską ścieżkę, niemożliwą do wypatrzenia, jak przysięgał później dziadek, nawet za dnia. Ze dwadzieścia minut lub dłużej schodzili stromo w dół. Dziadek nic nie widział. W kompletnej ciemności położył dłoń na boku narbucka i pozwolił się prowadzić. A potem stromizna nagle się skończyła. Dziadek poczuł pod nogami płaski grunt, poczuł woń wilgotnej skały i zrozumiał, że szli olbrzymim pęknięciem w skalnej ścianie.

Koroniasta sowa znów się znalazła w blasku księżyców. Złożyła skrzydła i usiadła na gałęzi znacznie bliżej wylotu pieczary. Upolowała sobie kolację. Miało się wrażenie, że patrzy wprost na Rekkka. Potem pochłonęła małego ssaka, ze skórą i kośćmi.

–Wyszli ze szczeliny. Deszcz lał jak z cebra, z odgłosów i porywów wichru dziadek wywnioskował, że byli na sporej, otwartej, nieckowatej przestrzeni. Narbuck stanął i tym razem jego bezruch świadczył o tym, że święte zwierzę dotarło do celu. Zagrzmiało, huk poniósł się echem po niecce, wyraźniej określając jej kształt i rozmiary. Była rozległa, o wiele większa niż dziadek sobie wyobrażał, i przez chwilę się zastanawiał, skąd taka duża otwarta przestrzeń w obrębie górskiego łańcucha. Potem narbuck parsknął i unióś głowę, a dziadek uznał, że należy się cofnąć. Na odpowiednią odległość, nie za blisko i nie za daleko. Grzmiało nieustannie, tak ogłuszająco, że ziemia drżała i dziadek zasłonił uszy rękami, co w ogóle nie pomogło. I wtedy chmury dokładnie nad nimi się rozjaśniły, jakby od środka, i dziadek przez mgnienie widział naturalną arenę, do której doprowadził go narbuck. Aż mu dech zaparło, bo była wielka ponad wszelkie pojęcie i dziadek wiedział, że istnieje tylko jedno wyjaśnienie. Zaprowadzono go w święte miejsce, które sama Miina wycięła w Djenn Marre. I już nie było czasu na zastanawianie się, bo oślepiające światło,

energia burzy, strzeliło w dół i ugodziło narbucka pomiędzy oczy. Zwierzę ryknęło, zagłuszając grzmot, i osunęło się na kolana. Trwało tak, drżące i milczące. Już nie było białe, lecz czarne jak najgłębsza noc, jakby w jednej chwili zostało zwęglone. Dziadek się zastanawiał, czy umarło, i serce go zabolalo na tę myśl. Podbiegł do niego i pogłaskał spocony i gorący bok. Poczulo jego dotknięcie i wygięło piękną długą szyję, obracając ku dziadkowi głowę, i wtedy zobaczył róg, osadzony przez błyskawicę, a może była to sama błyskawica dłonią wielkiej bogini zamieniona w róg. Przez chwilę dziadek nie wiedział, czy jeszcze żyje, czy już nie, czy naprawdę jest w tej tajemniczej świętej misie, czy może na grani, śmiertelnie ugodzony piorunem, majaczy w gorączce, umiera. A potem stała się najdziwniejsza rzecz podczas tej najdziwniejszej nocy. Narbuck pochylił głowę, kierując róg ku dziadkowi. Deszcz spływał po spiralnie kręconym rogu, którego krawędzie zdawały się ostre niczym nóż i lśniły, jakby osadzono w nich oszlifowane klejnoty. A dziadek, ponieważ wiedział, że narbuck tego chce i po to go tu sprowadził, wyciągnął drżącą rękę i zacisnął ją na rogu. I w tej chwili ujrzał promieniejącą cudowną twarz Miiny.

Koroniasta sowa odleciała, zniknęła w ciemności, kiedy Rekkk rozpamiętywał stworzenie narbucka. Obserwował kołyszące się miarowo czubki kuello. Wciąż rozmyślał nad historią opowiedzianą przez Eleanę, ale miał też w pamięci sowę. Wiedział od Giyan, że koroniasta sowa jest posłanniczką Miiny. Często przynosi odpowiedzi na trudne pytania, lecz równie często bywa zwiastunem gwałtownej śmierci.

–Przez cały czas naszego pobytu na Kundali nie było błyskawic – odezwał się Rekkk.

–I dlatego przestały się pojawiać narbucki.

–Dlaczego?

–Z powodu niszczycielskiego działania V'ornnów. Macie to we krwi. Miina by nie dopuściła, żebyście zabili świętego narbucka.

–A przecież ta wasza wielka bogini pozwala, żeby mordowano jej dzieci.

–Wiesz dlaczego. Byliśmy nieposłuszni. Ramahanie uzurpowali sobie władzę, dla własnych egoistycznych celów chcieli przejąć kontrolę nad Perłą. Za to bluźnierstwo bogini straciła nas do dołu, w którym nieustannie czujemy odór własnej śmierci.

–Co może to zakończyć? – zapytał Rekkk. – Jak Kundalanie zdołają odzyskać jej łaski?

–I to wiesz – odparła Eleana. Z jej ust unosiła się para. – Proroctwo mówi, że nadejście Daru Sala-at jest początkiem Wielkiej Transformacji.

Mgła otulała gałęzie drzew, unosiła się jak dym z mogiły. Rekkk się zastanawiał, dokąd poleciała koroniasta sowa. Polowała w ciemnościach czy wróciła do Miiny?

–A co ze mną? – spytał. – Co się stanie z V’ornnami, jeżeli wasze proroctwo się spełni?

–Kto to wie? – Eleana wzruszyła ramionami. – Wątpię, czy wie to nawet Giyan.

Popołudnie mijało, cienie się wydłużały i gęstniały. Riane niecierpliwie chciała rozpocząć nowy etap podróży, lecz wiedziała, że ze względu na bliskość obozowiska Jeni Cerii nie powinny iść za dnia. Poza tym ciężkie przeżycia bardzo je wyczerpały. Siedziały więc u podstawy diuny, jadły i piły, nabierały sił.

–Giyan – powiedziała Perrnodt. – Od tak dawna nie słyszałam jej imienia, lecz często o niej myślę. Znałyśmy się, choć krótko, w Opactwie Opływającej Jasności, w którym rozpoczynałaś naukę.

–Czemu żyjesz tak daleko od Wielkiego Voorgu?

–Nie wszyscy Druudzi spędzają życie na Wielkim Voorgu. Ale lepiej, żeby wierzyli w to ci, którzy wiedzą o naszym istnieniu. – Perrnodt westchnęła. – Nasze ścieżki są zapisane w proroctwie. Moja się rozpoczęła od stwierdzenia duchowego upadku opactwa.

–Pewnie stwierdziłaś, że jest znaczny.

–Przerażający.

–A jeszcze się pogłębił. – Riane spojrzała na Perrnodt. – Jak się znalazłaś w Korrushu? Jak to się stało, że tu skończyłaś?

Perrnodt się uśmiechnęła.

–Wcale tu nie skończyłam, jak to ujęłaś. Zostałam przywołana przez wielką boginię.

Riane przyciągnęła kolana do piersi.

–Miina do ciebie przemówiła?

–Ach, nie, dziecko, nie słowami. Wyczułam ją tutaj... – Perrnodt wskazała środek czoła. – I tutaj... – Położyła dłoń na sercu. – Nie mogłam nie iść.

–Tak było zapisane. Wiem.

Perrnodt się uśmiechnęła.

–Więc opuściłaś opactwo i przybyłaś tutaj.

–Nie. Najpierw na jakiś czas zatrzymałam się w Axis Tyr. Niespodziewanie poznałam kogoś. Złamałam śluby i urodziłam mu dzieci. – Zielonkawe oczy zdawały się przenikać Riane. – Młodsze powinno być teraz prawie w twoim wieku.

–Nie widziałaś ich?

–Taka była kara za mój grzech. Opuściłam je, żeby tutaj przybyć. Miałam wizję. Ukazano mi moją ścieżkę. Nie sprzeciwiłam się.

Riane pomyślała, że to ogromnie smutne.

–Jesteś... masz dar widzenia?

–Czemu pytasz, dziecko?

–Bo i ja mam wizje. Chcę wiedzieć, czy w końcu... – urwała, zagryzła wargi.

–Słyszałaś, że mający dar widzenia tracą rozum.

–Tak. Na koniec. Tak mi powiedziano.

–To niezupełnie tak. Są przypadki... – Perrnodt zamknęła oczy. – Wiele bym dała, żeby znów zobaczyć Giyan.

–Więc musisz mnie zaprowadzić do sanktuarium Maasry.

–Jeszcze nie, Darze Sala-at. Jeszcze nie jesteś gotowa.

–Ale Giyan... Sieć arcydemonów coraz ciśniej ją oplata. Widziałam ją. Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, jak ona cierpi!

–Ach, Darze Sala-at. Wielkie współczucie to cecha twojego charakteru. Ale nie możesz dopuścić, żeby doprowadziło cię ono do podjęcia szaleńczej decyzji. Skoro mówię, że nie jesteś jeszcze gotowa, żeby pokonać Horolagggę, to musisz uwierzyć, że tak jest.

Riane się poderwała.

–Starsi stale mnie pouczają, czego nie wolno mi robić!

–Usiądź przy mnie, niecierpliwa młoda istoto – powiedziała z uśmiechem Perrnodt. – Potraktuję cię tak, jakbyś była moim własnym dzieckiem. Dzieckiem, którego nie widziałam i nigdy nie zobaczę. Wreszcie rozumiem, czemu Miina mnie tu przywołała. No chodź. Nauczę cię wszystkiego, co musisz wiedzieć.

26. Stan wyższej świadomości

Głowa Bronna Pallna, zatknięta na khagguńskiej pice, tkwiła przed pałacem regenta niczym sztandar podbitej rasy. Kurgan zgrzytał zębami z wściekłości, ilekroć ją widział. Jak ten zdrajca mógł tak szybko umrzeć? Cemu Olenn Ryddlin był tak nieuważny?

I było coś jeszcze, czego nie dopuszczał do świadomości. Widok tej odciętej głowy przypominał mu o śnie, który coraz częściej powracał, o śnie, w którym pewna kobieta była biała niczym lód, a długie jasne włosy wiły się wokół jej twarzy jak platynowe i weradowe węże. „Pomóż mi!”, wołała bezgłośnie, „Pomóż mi, błagam!”

Cemu Olenn Ryddlin sam przesłuchiwał więźnia, zamiast, zgodnie z rozkazem Kurgana, przewieźć go do pałacu?

Kurgan był tak zły, że wezwał generała polnego Lokcka Werrrenta. Dobrze wiedział o bliskich kontaktach Werrrenta z Olennem Ryddlinem, lecz był zupełnie pewny jego lojalności wobec regenta i v'ornnańskiej modalności. Jednak nie od tego zaczął rozmowę, bo nie chciał, żeby generał polny się zorientował, że właśnie z tego powodu go wezwał.

–Musimy natychmiast przerzucić oddziały – powiedział Kurgan, kiedy Werrrent przed nim stanął. – Wyślij dwa szwadrony do Za Hara-at. Mesagguni i bashkirscy architekci muszą być lepiej chronieni niż do tej pory.

Werrrent był ogromnie zaskoczony.

–Wybacz to pytanie, regencie, ale przed czym? Przed prymitywnym plemieniem brudasów?

–Nie wiem – odparł Kurgan, podając generałowi polnemu data-dekagon. Przypomniał sobie uczucie, jakiego doznał, kiedy z Sornnem SaTrrynem był tam parę tygodni temu. Miał wrażenie, że coś krąży pośród ruin. – Jeżeli musisz, to sam przeczytaj raport. Ktoś lub coś zabija V'ornnów, którzy się zbyt głęboko zapędzą w wykopaliska. Musimy wysłać posiłki, żeby nasi architekci mogli bezpiecznie się zorientować w planie miasta. – Kurgan milczał przez chwilę. – Wiem, że projekt Za Hara-at jest prywatną sprawą, uzgodnioną pomiędzy moim konsorcjum a SaTrrynami. Będę jednak wielce zobowiązany, jeżeli wyświadczysz mi tę przysługę i...

–Rozumiem. – Generał polny skinął głową. – Spełnię twoje życzenie, regencie.

–Znakomicie. – Kurgan zatarł dłonie. – Odpowiednia nagroda...

–Zapewniam cię, regencie, że nie jest potrzebna żadna nagroda.

–No dobrze. Masz moją wdzięczność.

Werrrent chciał odejść, lecz Kurgan go zatrzymał. Generał zawrócił i czekał.

–Skoro już tutaj jesteś – rzekł niedbale Kurgan – to zechciej mnie oświecić co do śmierci Bronnna Pallna w khagguńskim więzieniu.

Ranek był paskudny, chłodny, wilgotny, posępny. Ołowiane chmury wisiały nisko. Od czasu do czasu deszcz bębnił o dachy.

–Obawiam się, regencie, że niewiele mogę dodać do oficjalnego raportu w tej sprawie.

–Który już czytałem – rzekł szorstko Kurgan. – Bronnn Palln miał nadwagę. I chore serca.

–Dochodzi do tego przesadny strach.

–Przesadny strach?

–Tak, regencie. Widywałem to już u więźniów. To prawda, że strach może zabić.

–Bronnn Palln miał zmiażdżoną potylicę!

Werrrent wyjrzał przez okno.

–Deirus wspaniale wszystko naprawił, nieprawdaż?

–Sam chciałem przesłuchać zdrajcę! – zagrzmiał Kurgan.

–Rozumiem, regencie.

–Naprawdę? Wątpię. – Kurgan splótł dłonie za plecami i chodził po komnacie, a generał polny musiał się stale odwracać, żeby nie stać do niego tyłem. – Początkowo wydawało się logiczne, że Bronnn Palln zdradził, pominięty przy nominacji na naczelnego faktora. Lecz potem zacząłem się zastanawiać. Mój ojciec okpił Bronnna Pallna i jego ojca; oskubał ich z pieniędzy, a cóż oni zrobili? Wylewnie mu dziękowali za mądre rady i pomoc. – Kurgan prychnął. – Czy to wskazuje na Bashkira dość bystrego, żeby potrafił zorganizować kradzieże z khagguńskich magazynów?

–Nie musiał być bystry, wystarczyły mu odpowiednie kontakty – zauważył Werrrent. – Zdążyliśmy się przekonać, że nie brakuje bystrych partyzantów. Pomimo swego rozpaczliwego położenia są zaciętymi i odważnymi wojownikami. Brak im środków, kontaktów z V'ornnami. – Potrząsnął głową. – Niech to N'Luuura, gdyby kiedykolwiek

dostali charyzmatycznego wodza...

–Wnioskuje z tego przemówienia, iż uważasz, że Bronnn Palln był winny.

–W jego składzie znaleźliśmy mnóstwo broni, kordy i joniczne działa, w zasadzie wszystko, czego brakowało w magazynach. Tak, był zdrajcą.

–Więc wróćmy do tego, co też sobie myślał gwiazdny admirał.

–Pewnie uważał, że wykonuje swoją robotę, regencie. Bardzo na niego naciskałeś...

–Tak ci powiedział?

–Mógł tak powiedzieć, owszem.

Kurgan stanął tuż przy Lokcku Werrrencie.

–To niespokojne czasy. Słyszę różne rzeczy.

–Jakie, regencie?

–Że Khaggguni nie są zadowoleni z zaprzestania wszczepiania okummmmonów.

–Nie mogę temu zaprzeczyć, regencie. Ich niezadowolenie rośnie z dnia na dzień.

Kurgan skinął głową. To potwierdzało doniesienia Rady. Wiedział, że Werrrent by go nie okłamał.

–Wyraźnie rozkazałem gwiazdnemu admirałowi, żeby uciszył te niepokoje.

–Sądzę, że są pod kontrolą, regencie.

–Ale na jak długo? Powiedziałem gwiazdnemu admirałowi, żeby się nie patyczkował. Nie możemy dopuścić do buntu Khagggunów. Był stanowczy?

–Nie potrafię tego powiedzieć. Lecz co do Khagggunów pod moimi rozkazami...

–O, nie wątpię w ciebie, generale polny. Ani trochę. Jesteś doświadczonym, zahartowanym w bojach żołnierzem. Podczas gdy gwiazdny admirał, cóż, chyba nie muszę ci tego mówić, jest młody, wybuchowy i taki impulsywny, nieprawdaż?

–Ze strony Khagggunów nie ma się czego obawiać – oznajmił Lokck Werrrent. – Dopóki mówi się nam prawdę.

Kurgan skinął głową.

–Więc jestem usatysfakcjonowany.

Generał polny lepiej niż większość v'ornnów pojmował, kiedy mu rozkazują odejść. Był już w połowie drogi do drzwi, kiedy usłyszał:

–A przy okazji...

Werrrent się odwrócił.

–Słucham, regencie.

–To osobista przysługa.

–Służę mojemu regentowi. – Skłonił się sztywno generał.

Kurgan podszedł i rzekł cicho:

–Miej na niego oko, dobrze? Nie oficjalnie, rzecz jasna. Tak pomiędzy nami. – Przywołał swój najserdeczniejszy uśmiech. – Nie chodzi o to, że mu nie ufam, sam rozumiesz, lecz na gwiazdnym admirałe ciąży taka odpowiedzialność, ma tyle obowiązków. Nie chcę, żeby go przytłoczyły, żeby zapominał o mniej ważnych jego zdaniem sprawach. – Otoczył ramieniem szerokie bary Werrrenta. – Wiem, że mogę ci ufać, generale polny. Wy dwaj tak długo się znacie. Mogę być pewny, że ty jeden z wyższego dowództwa nie masz mu za złe jego młodego wieku. W końcu i mnie nie masz za złe mojej młodości. – Skinął głową. – Rozumiesz, do czego zmierzam, nieprawdaż? To dla dobra gwiazdnego admirała.

–Wedle twego życzenia, regencie.

–Naszego wspólnego życzenia. – Kurgan odprowadził Lokcka Werrrenta do drzwi. – I jeżeli wszystko pójdzie dobrze, to czeka cię awans. Z całą pewnością.

–Mózg V'ornna – wyjaśniał Marethyn Kirlll Qandda – jest podzielony na dziewięć głównych płatów – mówiąc, wskazywał na podświetlony holoskan. – A mianowicie składa się z podwójnego przodomózgowia, z czterech płatów poprzecznych, po dwa z każdej strony, tu i tutaj, pod tymi sześcioma zaś znajduje się sylwiat, w którym odbierane są bodźce zmysłowe, sinerea, płat główny wytwarzający kortazynę i inne związki oraz atiwar, czyli mózg pierwotny.

Marethyn, wezwana przez Kirllla Qanddę, stała obok niego w niewielkim ciasnym pokoiku w Błogosławiącym Duchu. Pełno tu było aparatury badawczej i diagnostycznej, holoe ekranów, fotonowych rzutników i wszelkiego rodzaju jonicznych symulatorów oraz data-dekagonów. Lecz dziewczyna w ogóle nie zwracała na nie uwagi. Przepęłniało ją poczucie winy wynikające z tego, że posłużyła się Kirlllem. A było ono tym większe, że wiedziała, iż bez wahania zrobiłaby to znów, żeby ocalić

Sornnna.

Kirill przesunął palec.

–Atiwar częściowo tkwi w sylwiacie. I dlatego prawie nie można się do niego dostać. To najbardziej pofałdowany ze wszystkich płatów i najmniej poznany.

–Och, Kirillu. – Marethyn potrząsnęła głową. – Czuję się jak studentka pierwszego roku anatomii.

Twarz Deirusa pobladła.

–Ogromnie przepraszam, Marethyn Stogggul. Mój zapal wziął górę nad zdrowym rozsądkiem.

–Nie, nie. Jestem pewna, że to tylko... no cóż, jestem artystką, nie naukowcem.

–To wyłącznie moja wina – rzekł żałośnie. – Tak mi przykro.

Marethyn zdała sobie sprawę, że odkąd się tu znalazła, unika oczu Deirusa. Teraz spojrzała w nie i dostrzegła w nich poczucie winy, przekonanie, że zdradził jej potajemną schadzke z Sornnnem.

–Wiedz, że Bronnn Palln nigdy mnie nie obchodził – powiedziała cicho. – Nigdy mu za grosz nie ufałam.

Qandda pochylił głowę.

–Kiedy się jest Deirusem... Poddają cię niewyobrażalnej presji. Żyjesz pod stałym przymusem.

Stał tam i patrzył na nią jak zbity wyrpiesz. Stłumiła chęć objęcia go ramieniem.

–Powiniennem jednak stawić opór. – Gwałtownie potrząsał głową. – Jesteś porządną V'ornnianką. Rozumiem to.

–Kirillu, ja... – Jednakże bez względu na to, co czuła, nie mogła zawieść zaufania Sornnna. – Opowiedz mi o Terrettcie, proszę.

Deirus oblizwał wargi i skinął głową, wskazując na podświetlony fotonami panel.

–To są skany mózgu Terrettta. – Wyświetlił kolejny holoskan, a potem następne. – Jak sama widzisz, płat atiwaru jest najtrudniejszy do zmapowania. – Wyświetlił ostatni skan. – Przynajmniej do teraz. Wypracowałem metodę pozwalającą wyizolować atiwar i uzyskać jego trójwymiarowy obraz. – Powiodł palcem po zarysie niewielkiego ciemnoszarego klina. – Patrzymy teraz na tę część Terrettowego

atiwaru, której przedtem nie udawało się uwidocznić. Jest pod każdym względem nieprawidłowa.

–Skąd to wiesz? – spytała Marethyn. – Dopiero co mówiłeś, że do tej pory nie można go było dokładnie zeskanować.

–Jednak podczas niezliczonych autopsji widzieliśmy całe mnóstwo płatów atiwaru. – Sięgnął po data-dekagon. – Chciałabyś zobaczyć dokumentację? Mam kryształ Z...

–Może innym razem – powiedziała Marethyn. – Teraz chcę się dowiedzieć, co to odkrycie oznacza dla Terretta.

–Ależ wszystko! – rzekł Kirlll Qandda z takim ożywieniem, jakiego jeszcze nigdy nie widziała. – Uważam, że wykryłem przyczynę umysłowych aberracji twojego brata.

Marethyn uważniej się przyjrzała ciemnoszaremu klinowi.

–A więc to wada wrodzona.

–Otóż to prawdopodobnie najbardziej fascynująca sprawa. Nie wierzę, że się urodził z taką anomalią atiwaru.

Marethyn drgnęła, odsunęła się od holoskanu, jakby właśnie ożył.

–Ale jak inaczej można to tłumaczyć?

–Wykonałem pewne wstępne testy. Chciałem je skompletować, zanim cię przywołałem. – Wsunął data-dekagon do portu komunikacyjnego i na holoekranie pojawiły się spirale niezrozumiałych matematycznych równań. – Nie mogę tego stwierdzić z całą pewnością, lecz stawiam hipotezę, że Terrettowi w bardzo młodym wieku wstrzyknięto wprost do atiwaru mieszaninę chemicznych związków.

–A cóż to za oskarżenie? – Marethyn poczuła, jak ogarnia ją chłód. – Jakiż Genomatekk dopuściłby się tak ohydneho czynu?

–Żaden. – Kirlll Qandda splótł długie palce. – Żaden Genomatekk w tamtych czasach nie dysponował odpowiednią wiedzą.

–Więc kto?

Marethyn patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Nagle musiała usiąść, a on, jakby to odgadując, podsunął jej krzesło.

–Gyrgoni – wyszeptała. – Ale po co?

–A czemu Gyrgoni robią to czy tamto? – Kirlll wzruszył ramionami. – To pewno był jakiś eksperyment.

–Na Stogggulu? – Marethyn gwałtownie potrząsnęła głową. – Niemożliwe.

–Dla Gyrgonów nic nie jest niemożliwe – rzekł łagodnie. – Wiesz to równie dobrze jak i ja.

Zacisnęła pięści. Łzy napłynęły jej do oczu. Biedny Terrettt!

–Ale co chcieli osiągnąć? Domyślasz się?

–Jeszcze nie skończyłem analizy związków.

Podskoczyła.

–Ale na pewno masz jakąś... jak to nazwałś?

–Hipoteza. Tak się składa, że mam. – Pokiwał kościstym palcem. – Ale wątpię, czy ci się spodoba.

–I tak jestem nieszczęśliwa – odparła. – Co jeszcze mogłoby to pogłębić?

Deirus skinął głową.

–Jak już mówiłem, atiwar jest najmniej poznaną częścią mózgu Vqrrna. Tak się jednak składa, że się tym z własnej woli zajmuję. Żaden V'ornn nie wie, jakie właściwie są funkcje atiwaru. Niektórzy Genomatekcy-badacze posuwają się do twierdzenia, że jest to płat szczątkowy, który już do niczego nie służy. Absolutnie się z nimi nie zgadzam. Moje badania wykazały, że atiwar między innymi łączył niegdyś V'ornnów z... jak by to powiedzieć... wyższym stanem świadomości. I wcale nie jest szczątkowy, lecz nadal aktywny.

Marethyn zmarszczyła brwi.

–Stan wyższej świadomości?

–Właśnie. Potraktuj to jako pomost między świadomością, stanem, w którym ty i ja się teraz znajdujemy, a czymś... „innym”.

Potrząsnęła głową.

–Dalej nie rozumiem.

–Stan wyższej świadomości – powiedział cicho Kirlll Qandda – może być fazą snu, czymś, czego doświadczamy, wybudzając się ze snu głębokiego. Może być też

empathią czy telepatią, czy wreszcie zdolnością widzenia przyszłości. Ramahanki twierdzą, że praktykując swoją magię, osiągają wyższy stan świadomości. Rzecz w tym, że wszystkie te przykłady mają jedną wspólną cechę. Chodzi tu o niezależnienie się od miejsca i czasu oraz o tajemniczą i ulotną więź z inną płaszczyzną istnienia.

Serca Marethyn zaczęły bić szybciej.

–To szaleństwo.

–No cóż, tak. Brak znajomości medycznych teorii nie należących do głównego nurtu tej dziedziny bez wątpienia skłoniłby Genomatekków do uznania tych wysoce dysocjacyjnych stanów za obłąd.

Złapała Kirilla za ramię.

–Chcę go zobaczyć. Natychmiast.

–Muszę cię ostrzec...

Ścisnęła ją w gardle.

–A więc nie jest obłąkany!

Kirill spojrzał na nią mądrymi oczami.

–Posłuchaj uważnie. To był gyrgoński eksperyment, a niestety, nie wszystkie ich eksperymenty kończą się pomyślnie.

Marethyn dygotała.

–Co mówisz?

–Mieszanina związków miała zmienić charakter jego atiwaru. Lecz na tym nie koniec. Ponieważ została podana w tak młodym wieku, wnioskuje z tego, że miała również spowodować rozrost atiwaru. I to się Gyrgonom udało. Atiwar Terrettta jest większy i bardziej rozwinięty niż jakikolwiek inny z naszej bazy danych. Na jego nieszczęście później coś poszło nie tak.

–Ale co właściwie? – zapytała ochryplym szeptem.

–Tego się właśnie musimy dowiedzieć – odparł. – I powinniśmy tego dokonać bez żadnej zewnętrznej ingerencji. – Umilkł, dając jej czas na dokładne pojęcie znaczenia tych słów. – Rozumiesz, Marethyn Stogggul?

Kiwnęła głową, oszołomiona.

–Nikommu nie powiem.

–I o to chodzi. – Kirlll Qandda odprowadził ją do drzwi. – Teraz cię do niego zaprowadzę.

Terrett siedział w swoim pokoju naprzeciwko okna i niewidzącymi oczami wpatrywał się w Morze Krwi, które, ciemne i szarozielone, chlupotało, rozbijając się o pale promenady. Wszędzie dokoła leżały jego najnowsze obrazy, niczym grzyby rosnące w lesie. Terrett zdawał się emanować niemal namacalnym bezruchem, docierającym w najciemniejsze kąty pokoju. Wdzierał się nawet w topograficzną mapę Północnego Kontynentu Kundali, którą mu wiele miesięcy temu kupiła i która, poza jego malowidłami, stanowiła jedyną barwną plamę w oślepiająco białym pokoju.

Malowidła szeleściły jak jodły, kiedy Marethyn ostrożnie je zbierała, tworząc wąską ścieżkę dla siebie i Kirllla Qanddy. Trochę czasu jej to zajęło; czasem przystawała i przyglądała się trzymanym w dłoniach obrazom.

–Stają się dziwaczne i nieharmonijne – powiedziała z bólem w sercach.

–Wykazuje coraz większą fiksację na punkcie tych siedmiu plam – stwierdził Deirus. – Przedtem umieszczał je na obrzeżach malowideł, teraz zaś są bliżej środka, wypełniają niebo lub morze. Stały się elementem dominującym.

–Też to zauważyłam – powiedziała Marethyn, wpatrując się uważnie w jedno z malowideł. – Od tamtej pory robię listę wszystkich obrazów, które mają siedem elementów.

Kirlll Qandda podniósł dwa malunki z podłogi.

–To może nie mieć żadnego znaczenia. To znaczy żadnego znaczenia dla nas. On często ulega fiksacji na jakimś punkcie.

–Ale mogą też być bardzo istotne – odezwała się Marethyn. – I tę możliwość wybieram.

Przycisnęła do piersi malowidła brata i podeszła do niego. Nie dał po sobie poznać, czy w ogóle ich słyszał, czy wiedział, że już nie jest sam w pokoju. Marethyn pochyliła się i pocałowała brata w blade i wilgotne od potu czoło.

–Terrettcie, Terrettcie! – odezwała się cicho, lecz natarczywie. – To ja, twoja siostra, Marethyn.

Nie odezwał się, nie poruszył. Zdawało się, że ledwo oddycha.

–Jak się czujesz, Terrettcie?

Uklęła, otoczyła ramieniem chude, kościste barki. Czują jego woń i chociaż się do tego przyzwyczaiła, to nagle świadomość jego stanu umysłu, o jakim to wszystko świadczyło, doprowadziła ją do płaczu.

Terrett obrócił się, wpatrywał się w nią wyblakłymi oczami. Jakby ciche, żalosne dźwięki, które wydawała, wyrwały go z tego nienaturalnego snu na jawie.

–Wiem, Terrettcie, co ci zrobili Gyrgoni. Wiem, że nie jesteś obłąkany!

–To nie jest rozsądne... – zaczął Kirlll Qandda, lecz uciszyła go gestem.

–Nie jesteś obłąkany, Terrettcie. – Położyła mu na kolanach plik najnowszych malowideł, na każdym widniało siedem barwnych plam. – Słyszysz?

Skinął głową. A przynajmniej tak uznała. Musiała w to wierzyć, bo co innego jej pozostało? Nigdy nie wierzyła, że jest obłąkany, nawet kiedy najpierw Genomatekcy, a potem i Deirus przedstawiali jej na to tak zwane niezbite dowody. Mówili jedno, lecz jej serca podpowiadały jej coś zupełnie innego. Myślała o bracie jak o więźniu zamkniętym w źle funkcjonującym umyśle. Lecz wiedziała, że głęboko w nim istnieje cząstka dostrzegająca barwy i światło, kształty i strukturę, perspektywę i układy przestrzenne w wyjątkowy sposób i potrafiąca je połączyć w precyzyjnie skomponowaną całość. Kto więc miał prawo nazywać go wariatem? Nikt!

Terrett wessał ślinę ciekącą mu z kącika ust i przesunął palcami po szorstkiej powierzchni leżącego na samym wierzchu malowidła, ale Marethyn ledwo to zauważyła.

–Ach, Kirlllu Qanddo! – zawołała, odwracając się ku Deirusowi. Dziękuję! Zwróciłeś mi brata!

–Proroctwa nie są spisane w księdze – powiedziała Perrnodt w przerwie pomiędzy niewyobrażalnie trudnymi lekcjami Osoru i Kyofu. – Już spotkałeś moich współplemieńców, więc znasz nasze tradycyjne stroje. Widziałeś, że dół twarzy zakrywamy saabaya, zasłoną z najczystszej nie barwionego muślinu. Saabaya pokrywają napisy w Venca. I to są proroctwa, niegdyś ustnie przekazywane z pokolenia na pokolenie, a teraz pieczołowicie i skrupulatnie spisywane na każdej nowej saabaya. Zawsze je mamy ze sobą.

–Ale jakie są początki proroctw? Kto je wygłosił?

–Smoki, Darze Sala-at. Pięć Świętych Smoków Miiny. Mają dar jasnowidzenia. To ich proroctwa.

Riane skinęła głową.

–Sądziłam, że pochodzą od Ramahanek, które zostały wieszczkami.

–Nie. Wszyscy, którzy się poddali temu elementowi swojego Daru, stracili rozum – rzekła posępnie Perrnodt.

Riane przeszył dreszcz.

–Co się stało. Darze Sala-at?

–Uważam, że Giyan ma dar wieszczzenia.

Riane zakołysała się i Perrnodt ją objęła. Pozornie nie kończący się dzień w Korrushu z oszalamiającą prędkością przeszedł w noc niosącą przenikliwy ziąb. Na aksamitnym niebie płonęły gwiazdy. Gdzieś daleko zawył lymnal i kobiety przypomniały sobie, jak niebezpiecznie blisko Jeni Cerii się znajdują.

–Dla Kundali nastały złe czasy – odezwała się Riane. – V’ornnowie...

–V’ornnowie! Oni są jedynie symptomem – mknęła Perrnodt. – To nasza choroba, Darze Sala-at. Cierpiałas w Opactwie Optywającej Jasności tak jak i ja. Znasz groźny charakter tej choroby. Jestem całkowicie pewna, że V’ornnowie, ta złośliwa zaraza, ta przeklęta plaga, zostali na nas zesłani przez Miinę. Wielka bogini w swojej mądrości wie, że leczenie wymaga nadzwyczajnych środków. Zło musi sięgnąć zenitu, sytuacja musi stać się nie do wytrzymania, żeby Kundalanie przemówili jednym głosem, żeby wielka bogini wreszcie wszystko odwróciła. Bo cóż jeszcze może nas ocalić oprócz głębi naszej rozpacz? Dopiero wtedy uznamy zło mylnie wybranej ścieżki, kiedy staniemy w obliczu groźby unicestwienia. Cały problem tkwi w kundalańskiej skłonności do samookłamywania się.

–Co ty mówisz? Że lek jest gorszy od choroby?

–Twierdzę, że to dwie strony tej samej monety. Jedna nie może istnieć bez drugiej. To Doskonała Równowaga, istota kosmosu. Jest powielana zawsze i wszędzie. Żeby ją dostrzec, potrzebujemy Daru i odpowiedniego wykszolenia. I to właśnie musisz mieć, żeby pokonać wrogów. A możesz mi wierzyć, że są bardzo liczni. Musisz nas nakłonić do bardzo bolesnych zmian. Większość będzie stawiać opór. Ich wiara zostanie poddana ciężkiej próbie i wielu będzie się wzdragać, a nawet buntować przeciwko tym zmianom, bo są nieznane i dlatego zbyt przerażające. Zwrócą się przeciwko tobie, przyłączą do twoich wrogów, będą chcieli cię zabić, żeby znane im życie nie zostało zrujnowane.

–Nie rozumiem – powiedziała Riane. – Żyją teraz – w niewoli V’ornnow. Są terroryzowani, torturowani, zabijani bez powodu.

–To wszystko prawda, Darze Sala-at. A mimo to wielu wybierze stan obecny, bo to

wszystko, co znają. Wzrastali, przyzwyczajając się do cierpienia. To nielogiczne, bezsensowne, a jednak ręczę, że to prawda, bo tak się już za mojego życia zdarzało. Nie pობłądź, zakładając, że V'ornnowie są największym zagrożeniem dla Kundali. I pierwszym. To długa historia. Warstwa po warstwie pogrzebana w czerwonej ziemi Korrushu, w Pięciu Ziemskich Spotkaniach.

–ZaHara-at.

–Tak. – Oczy Perrnodt lśniły. – Za Hara-at.

–Szkoda, że mnie nie było, kiedy przeżywało największy rozkwit.

–Może tu byłaś w innym życiu. – Perrnodt zatarła dłonie. – Teraz pokaż mi, jak thrippingujesz.

Riane zamknęła oczy, przyzwała kłębiącą się mgłę Nadświata. Nakazała sobie wirować i przeniknąć przez wiele płaszczyzn kosmosu.

Nic się nie wydarzyło. Otworzyła oczy.

–Nie możesz thrippingować, prawda?

Riane z zaciekawieniem spojrzała na Perrnodt.

–Skąd wiesz?

–Jak ci mówiłam, Darze Sala-at, masz w sobie potężną moc. Lecz nie przetrwasz długo pośród wrogów, nie wiedząc jak, gdzie i kiedy z niej korzystać. – Ułożyła dłonie wewnętrzną stroną ku górze. – Kiedy Druudzi przed eonami odkryli thripping, wykorzystywali go do eterycznych eksploracji. Dokonywano tego tylko i wyłącznie w opactwach. Nawet mając Dar i mononculus, żeby cię chronił przed falami radiacji pomiędzy sferami, thripping możesz rozpocząć wyłącznie w świętym miejscu. Umieszczenie opactw nie jest przypadkowe. Każde zbudowano nad przecięciem się strumieni mocy biegnących głęboko w płaszczu Kundali. Istnieje oczywiście więcej takich węzłów niż opactw, lecz nie możesz thrippingować, jeżeli nie jesteś w promieniu trzydziestu metrów od któregoś z nich. Toteż jest nadzwyczaj ważne, żebyś potrafiła swoim Trzecim Okiem wykryć strumienie mocy.

–Przecież tu, gdzie jesteśmy, w in'adim, jest święte miejsce. Wedle Ghorów to tu zabito proroka Jiharrego.

–Znakomita odpowiedź – stwierdziła Perrnodt. – Ale wyjaśnienie ci się nie spodoba. Masz słusność. Pod in'adim znajduje się węzeł potężnej mocy. Jednakże jest w nieładzie i dlatego nieaktywny. To kolejny przykład na to, jak rozpełza się zło atakujące Kundalę. Planeta to żyjąca całość, żywy organizm. Strumienie mocy są

jego tętnicami. Im więcej takich zakłóceń się pojawia, tym większe zagrożenie, że cała sieć strumieni zaniknie.

–I co się wtedy stanie? – spytała Riane ze ściśniętym gardłem.

–To tylko domysły – stwierdziła Perrnodt. – Lecz wydaje się możliwe, że wraz ze strumieniami mocy zniknie cała magia.

–Nie możemy do tego dopuścić.

–Pokładamy w tobie nadzieję, Darze Sala-at. – Perrnodt usiadła wygodniej. – Możemy podjąć naukę?

Riane skinęła głową.

–Kiedy byłam w Opactwie Optywającej Jasności, czasami słyszałam pieśń strumieni mocy.

–Nie wątpię. – Perrnodt zamknęła rękę Riane w swoich dłoniach. – Teraz cię nauczę, jak ją słyszeć przez cały czas.

27. Lustro, lustro

Konara Inggres nie mogła spać. Nie czuła się już bezpiecznie w zakamarkach opactwa, więc leżała nieruchomo w łóżku i wpatrywała się w wilgotny kamienny sufit izdebki. Co jakiś czas cichutko pojękiwała. Przepelniał ją przeraźliwy strach. Spójne, rzeczowe myśli wypierało chaotyczne przewidywanie najgorszych konsekwencji. Kiedy z trudem wypęzła z wnęki za gabinetem konara Urdmy, usiłowała pojąć, co widziała i słyszała. Na próżno. Teraz w każdej plamie cienia widziała szczerzące się w uśmiechu zło. Panicznie się bała.

Czym się stały Giyan i Bartta? Co Giyan zrobiła konara Lyustrze i konara Tyyr i czemu lustra były takie ważne dla tych niewiernych, które tak podstępnie wśliznęły się do opactwa?

W końcu, pomimo modlitw i medytacji, niepokój dręczący jej umysł ogarnął także ciało i zmusił ją, żeby usiadła. Stwierdziła, że jest zlana zimnym potem, że brak jej choćby odrobiny wewnętrznego spokoju; postanowiła wziąć prysznic. Odór jej własnego strachu przyprawiał ją o mdłości. Poza tym choć w sypialniach Ramahanek nie wolno było mieć luster, to w łaźni lustro było.

Kiedy tam dotarła, łaźnię oświetlał jedynie blask lamp z korytarza. Weszła, stanęła przed lustrem i przyglądała się swojemu odbiciu, które na pierwszy rzut oka wyglądało zupełnie zwyczajnie. Później jednak, podobnie jak wtedy, kiedy znalazła

się w izbie, w której Bartta ukryła had-atta, zaczęła dostrzegać coś, co czaiło się na samej granicy jej świadomości. Przywołała tę specyficzną magiczną wiedzę, którą potajemnie zdobyła podczas niezliczonych godzin szperania na zapleczu biblioteki i dzięki której potrafiła złamać rzucone przez Barttę na izbę z had-atta zaklęcie blokujące, a potem je przywrócić tak sprawnie, że nikt nie zauważył różnicy. Korzystając z pewnych tekstów, wyćwiczyła swoje Trzecie Oko w wychwytywaniu najdrobniejszych pozostałości magicznych uroków.

Patrzyła w lustro i zaczęła dostrzegać migoczącą czerń, ciemne płomienie liżące obrzeża lustra. Zaciekawiona, zdjęła je ze ściany. Lecz w ramie nic nie było. „Lustro” zostało na ścianie.

Postawiła ramę na podłodze i przeszła od ściany do ściany, patrząc na szklisty czworokąt, chcąc się lepiej zorientować, co to właściwie jest, bo nie przypominał żadnego lustra, które widziała czy o którym słyszała. Rzuciła Transwersyjny Sprawdzian, zaklęcie Osoru pomagające odkryć źródło nieznanych uroków. Dotknęła palcem powierzchni czworokąta. Palec zagłębił się aż do pierwszego stawu i choć go prawie natychmiast cofnęła, jeszcze przez moment miała wrażenie, że zanurzyła go w lodowatej wodzie.

Dokładniej się przyjrzała czworokątowi. Transwersyjny Sprawdzian trochę jej powiedział. Wiedziała na przykład, że to nie było zaklęcie ani Osoru, ani Kyofu. Jakież więc było i kto je rzucił? Konara Ingggres chętnie by się założyła, że to robota Giyan lub tego, co opanowało ciało Giyan. Niestety, te domysły nie przybliżyły jej ani trochę do właściwej odpowiedzi. Miała jedynie fragmentaryczną wiedzę o przejęciu władzy nad ciałem, uzyskaną przy okazji potajemnego uczenia się Osoru na zapleczu biblioteki, dokąd robiła krótkie, potajemne wyprawy, tak żeby nie wzbudzić podejrzeń innych konara. Uznała, że powinna tam wrócić i odszukać wszystko, co tylko zdoła, na ten mało znany temat.

Ale najpierw musiała znaleźć prawdziwe lustro. Już całkiem zapomniała, że chciała wziąć prysznic.

Starannie powiesiła ramę na dawnym miejscu i już miała wyjść z łaźni, kiedy usłyszała z korytarza zbliżające się ukradkowe stąpnięcia. W samą porę zdążyła się cofnąć. Serce podeszło jej do gardła, kiedy patrzyła na przemykającą się grupę młodych akolitek. Na ich czele szła postać w czarnej szacie z twarzą osłoniętą kapturem. Kiedy ją mijala, konara Ingggres poczuła zimny dreszcz. Potem zauważyła coś, co ją przeraziło. Jedna dłoń tej postaci miała sześć palców. A ten szósty był czarny, jakby zwęglony w żarze. Z zakazanych tekstów wiedziała, że zakapturzona postać musi być sauromicjanem. Sądziła, że już dawno wymarli, że karząca dłoń Miiny odebrała im życie, a tu jeden z nich kręci się potajemnie po opactwie.

Sauromicjan poprowadził akolitki korytarzem do ciasnego pomieszczenia. Tam

zaczął coś do nich mówić i konara Inggres z bijącym sercem podkradła się, żeby posłuchać.

O zgrozo, mówił o Giyan jako o Matce, która odnowi duchowo opactwo, przywróci Ramahankom należną im władzę nad Kundalą. Te biedaczki najwyraźniej nie wiedziały, że Ramahanie nigdy nie odgrywali takiej roli. Lecz zapytały – ma się rozumieć nieśmiało – jak Matka je wyzwoli spod tyranii V'ornnów. Sprytny sauromicjan najwyraźniej był przygotowany na to pytanie, bo natychmiast odpowiedział niskim namaszczonym tonem, że już wkrótce zaprowadzi je do Daru Sala-at. A wtedy przysięgną poświęcić życie zbawcy zapowiedzianemu w prorocत्वach.

Konara Inggres wiedziała, że były to najpodlejsze kłamstwa. Lecz akolitki nie miały ani jej doświadczenia, ani Daru, więc uwierzyły. Cofnęła się, przygnębiona, ale wiedziała, że chwilowo nie zdoła powstrzymać rozpełzającego się po opactwie zła. Wszystko w swoim czasie.

Przystanęła, już sama, w korytarzu, otarła rękawem pot z twarzy i cicho wyruszyła na poszukiwanie lustra. To pozornie tak proste zadanie okazało się niemal niewykonalne. Lustra, o których wiedziała, zniknęły lub zostały zastąpione takim samym magicznym czworokątem, jaki odkryła w łaźni. Zapuszczała się coraz głębiej w zakamarki opactwa, aż wreszcie natrafiła na wykopaliska, przy których Riane pracowała z shima Veddą. Były opuszczone od czasu, gdy Bartta wepchnęła shima Veddę do cysterny i uśmierciła ją. Refektarz, który Vedda i jej współpracowniczki odnawiały, został porzucony na rzecz nowego, znajdującego się na takim poziomie, że mogły go rozjaśniać nie tylko lampy, ale i wpadające przez okna światło. Prawdę mówiąc, większość Ramahanek wołała nowsze pomieszczenia, ale konara Inggres zastanawiała ta nagła zmiana planów.

Teraz znalazła się w starym refektarzu wyglądającym dokładnie tak, jak go zostawiły Riane i shima Vedda owego pamiętnego wieczoru, kiedy znalazły pod podłogą pęknięcie otwierające drogę do leżących niżej zabytkowych Kellsów. Konara Inggres, jak wszystkie Ramahanki, знаła legendę o Kellsach. Kiedy wielka bogini Miina stworzyła opactwo, umieściła w jego sercu trzy święte pomieszczenia, znane jako Kellsy, z których mogła – sama nie będąc widziana – obserwować zbożne dzieło swoich uczennic. Zniknęła drabinka sznurowa, po której Riane zeszła w dół, a pęknięcie zapieczętowano zwykłym urokiem, którego emanacja natychmiast przyciągnęła uwagę konara Inggres, choć znajdowało się pod ciężkim, zakurzonym i osnutym pajęczynami sprzętem shima Veddy. Konara Inggres wyteżyła siły, odsunęła przeszkody na bok. Przez chwilę stała, trochę zasapana, wsparta pod boki, i wpatrywała się w urok, analizując jego elementy inkantacyjne. Wyszpeptała inkantację, wykonała odpowiedni gest i złamała urok. Pogrzebała tu i tam i znalazła niewielką stertę drewna i nasączone smołą trzciniowe pochodnie. Zapaliła jedną z nich, dwie wetknęła za pasek i uklękła nad pęknięciem w podłodze, teraz nieco

szerszym niż wówczas, kiedy je znalazły Riane i shima Vedda, a to w wyniku silnych wstrząsów w ubiegłym miesiącu.

Wsunęła płonąca pochodnię do znajdującego się poniżej trójkątnego pomieszczenia i ujrzała tuż pod sobą coś, co wyglądało na cytrynowy stół. Opuściła się ostrożnie, stanęła na tym stole, złapała równowagę i siejąc iskry z pochodni, zeskoczyła na czarną bazaltową podłogę Kellu.

Od razu się przekonała, że stała chwiejnie nie na stole, lecz na wspaniałej rzeźbie z cytrynu, przedstawiającej świętego węża Miiny. A przynajmniej wiedziała dzięki swojemu szperaniu w księgach, że niegdyś był poświęcony Miinie. Obecnie nauczano akolitki, że wąż jest awatarą Pyphorosa, symbolem kłamstwa i oszustwa, i dlatego jest wstrętny wielkiej bogini. Przykucnęła obok rzeźby, powiodła dłonią po łuskach. Potem odwróciła się, uniosła pochodnię i ujrzała wnękę w ścianie, gdzie jedna Miina wie przed iloma wiekami ustawiono rzeźbę. Zdumiała się. Nie miała pojęcia, jak wąż się zsunął ze ściany na podłogę, bo pomimo dokładnych oględzin wnęki nie znalazła ani śladów łomu, ani pozostałości zaklęcia. Nie miała jednak najmniejszych wątpliwości, że znalazła się w świętym miejscu, więc zanim wznowiła poszukiwania, uklękła przed wężem z cytrynu, o imieniu Ghosh, i pomodliła się o wybaczenie i szybki powrót wielkiej bogini.

Trwała tak jeszcze chwilę po zmówieniu modlitwy, pogrążona w medytacji, żeby zebrać rozbiegane myśli i przepędzić z serca strach. Potem wstała i ruszyła w dół, jak kiedyś Riane, uruchamiając mechanizm we wnęcie, w której przedtem stał Ghosh. Zjechała na liczącym dwa metry kwadratowe fragmencie kamiennej podłogi do Kellu poniżej. Ten Kell był doskonałym czarnym sześcianem. Znajdowały się tu dwie godne uwagi rzeczy. Jedną z nich była studnia, której ciężka bazaltowa pokrywa leżała z boku, dugą – rzeźba trzech zwierząt, wielkich i gibkich, o przerażających kocich łbach, pokrytych złocistą sierścią w kruczoczarne cętki. Miały smukłe umięśnione ciała i silne szczęki. Długie, wąskie ogony wyginały się łukowato nad grzbietami. W otwartych paszczach widać było trzy rzędy ostrych zębów. I tak jak w przypadku Ghosha, konara Ingggres dostrzegła, w którym miejscu ściany były niegdyś osadzone. Teraz stały na wierzchołkach równobocznego trójkąta, jakby czekając, że coś się wynurzy z nieruchomej czarnej wody.

Studnia podsunęła konara Ingggres pewien pomysł. Poszukała w pamięci odpowiedniej inkantacji, a potem, trzymając dłonie nad powierzchnią wody, rzuciła zaklęcie Otwórzcie się Pierwsze Wrota. Początkowo wyglądało na to, że nic się nie dzieje; a ponieważ Ingggres nigdy przedtem nie rzucała zaklęcia Osoru, nie wiedziała, czego się spodziewać. Nachyliła się nad studnią i zobaczyła, że nad powierzchnią wody tworzy się biaława mgiełka. Najpierw była jak delikatne niteczki tworzone przez ślizgające się po stawie wodne pająki, lecz szybko utworzyła nieprzejrzystą zasłonę. Przesunęła nad mgłą otwartą dłoń, w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, i mgła zaczęła się unosić, znikać, zanim dotknęła jej

otwartej dłoni. Wreszcie całkiem zniknęła i pozostał jedynie unoszący się na powierzchni wody niewielki, obramowany miedzią dysk lśniący w blasku pochodni. Inggres wyjęła go z wody, odwróciła się i uśmiechnęła do swego odbicia w lustrze.

Stwory, otoczone aureolą złotobrazowego blasku, zdawały się poruszać w powolnym ceremonialnym tańcu po obrzeżu dużego owalu. Pozbawione głów i ramion, ukazywały blaszki swej połyskującej zbroi. A zbroja ta – skrzydlata, ze lśniącego, barwionego na ciemno metalowego stopu, najeżona szpikulcami, szponami, ostrymi krawędziami – wyglądała bardzo groźnie.

–I co ty na to? – spytał Olenn.

–Co ja na to? – odparła Rada. – Nigdy nie przyszło mi do głowy, że będę chodzić w zbroi.

–Skoro jesteś u mego boku, to musisz mieć zbroję i musisz się nauczyć władać kordem.

–Zdecydowałeś się, gwiazdny admirale? – Oboje odwrócili się ku płatnerzowi, którym, jak to u V'ornów, była Tuskuggun. Ta była drobną, ciemnoką, dość nijaką kobietą o imieniu Leyytey; cechowała ją przesadna zasadniczość. Wskazała smukłą, bladą dłońią o palcach zabarwionych miedzią. – To jeden z moich najnowszych modeli i byłby dla ciebie znakomity.

–Zbroja nie jest dla mnie – wyjaśnił Olenn – lecz dla mojego nowego sztabowego adiutanta.

–Przykro mi, gwiazdny admirale, lecz będzie musiał się tu pofatygować. Inaczej nie będę mogła dobrać odpowiedniej zbroi.

–To mój sztabowy adiutant. – Olenn wskazał Radę.

–Tak jest, gwiazdny admirale – odparła natychmiast Leyytey i zaczęła oprowadzać ich po ekspozycji. – Czy w takim razie wolno mi zaproponować tę? – Wskazała zbroję barwy matowego brązu. – Łatwo ją dopasuję do... mniejszego rozmiaru.

–Dopilnuj, żeby to natychmiast zrobiono – rozkazał Olenn. – I jeszcze kord o najostrzejszych śmiercionośnych klingach.

Kiedy Leyytey przechodziła za Olennem, Radzie się wydało, że przez jej twarz przemknął znaczący uśmieszek. Rada poczuła, że się rumieni z upokorzenia i gniewu, wywołanych świadomością, że Leyytey musi ją uważać za najnowszą kochanicę gwiazdneho admirała.

Rada spędziła trochę czasu, obserwując, jak Olenn załatwia różne sprawy,

przyjmuje raporty dostarczane przez flotę poduszkowców i wysyła rozkazy. Poduszkowce ją interesowały. Były kształtne i nieduże. Zastanawiała się, jaką też mogą rozwijać maksymalną prędkość. Zjadła lekkie śniadanie, składające się z leaesty, i stanęła w pobliżu zbrojowni. Po przeciwnej stronie rojnego bulwaru wznosiła się wyniosła biała fasada Błogosławiącego Ducha. Co jakiś czas przed wejściem pojawiał się Gyrgon – jakby się wynurzał z magicznej mgły – i równie tajemniczo znikał. Pojawiali się i znikali z grobowymi minami, a jeżeli tak się zdarzyło, że jakiś V'ornn miał pecha i znalazł się na wyciągnięcie ręki od któregoś z nich, to zamierał w bezruchu i tak tkwił, dopóki Gyrgon nie zniknął.

Usłyszała, jak Olnnn zapalczywie dyskutuje z jednym ze swoich pierwszych kapitanów. Rozmawiali o regencji. Dziwiło ją, ile czasu poświęca gwiazdny admirał na wykonywanie w większości błahych rozkazów regenta. Widziała, jak to złości Olnnna, co się potwierdziło, kiedy usłyszała, jak okropnie zaczął kłąć, gdy tylko pierwszy kapitan dziarsko odmaszerował. Na podstawie tego, co usłyszała, zaczęła podejrzewać, że pomiędzy Kurganem Stogggulem a Olnnnem Rydddlinem nastąpił rozdzwiek, a to ją zaciekało jeszcze bardziej niż poduszkowce.

Godzinę później, kiedy jej ekwipunek był gotowy, Olnnn nauczył Radę wkładać zbroję. Potem od razu zaprowadził ją na miejsce walk kalllistotos. Arena była pusta, bo walki odbywały się wyłącznie nocą.

–No i jak się w tym czujesz? – zapytał, kiedy się znaleźli pomiędzy linami.

–Troszkę dziwnie – odparła Rada – ale tylko wtedy, kiedy chcę zbyt szybko zmienić pozycję.

–Masz dobrą postawę i wyćwiczone mięśnie. I jesteś silna.

Leyytey nadała zbroi połyskliwą błękitnozieloną barwę, kolor gwiazdnego admirała; na ramionach i piersi widniał jego złoty herb. U boku Rada nosiła kord. Leyytey kazała jej chwytać oburącz, jak ją nauczył Olnnn, wiele modeli kordów, dopóki z zadowoleniem nie stwierdziła, że właśnie ten idealnie pasuje do wzrostu i wagi Rady. Kiedy w atelier przyjrzała się sobie w zbroi, opanowało ją dziwne i przyprawiające o lekki zawrót głowy uczucie. Zawsze nienawidziła zbroi, widząc w niej symbol męskiej dominacji i arogancji Khagggunów. Lecz teraz pancerz wlewał w nią nowe siły i Rada musiała walczyć z poczuciem, że jest niczym liść miotany wzmagającym się wichrem.

–Dobądź korda i trzymaj go tak, jak cię nauczyłem – nakazał Olnnn, kiedy stanęli naprzeciwko siebie pośrodku areny.

Ranek był chłodny i rześki, bez dokuczliwej wilgoci kilku poprzednich dni. Wszystko błyszczało jak świeżo wypolerowane przez noc. Padające pod ostrym kątem słoneczne promienie zaczęły dopiero docierać na plac kalllistotos. Chłodna pustka

rozległego placu sprawiała, że Rada czuła się mała. Wyczuwała męski charakter tego miejsca – wszystko było kanciaste, ciężkie i ogromne; miała wrażenie, że czuje woń krwi i cierpienia, przesycającą arenę.

–Broń się – rzekł znieczeka Olenn i zamierzył się na nią kordem.

Przy pierwszym zetknięciu się kling Rada zachwiała się i omal nie wypuściła korda. Jej dłonie przeszywał ból, przedramiona nieprzyjemnie mrowiły.

–Nie mam o tym najmniejszego pojęcia – skłamała.

–To będziesz miała motywację, żeby się jak najszybciej nauczyć. – Olenn ponownie uderzył w jej klingi, niezbyt mocno, nie tak, jakby była wrogiem, choć nie było to też przyjacielskie stuknięcie. – Jak widzisz, kord ma dwa ostrza, ustawione równolegle i bardzo blisko siebie. Kiedy je odbezpieczasz, przepływają pomiędzy nimi wzbudzone jony, a klingi zaczynają wibrować z prędkością tysiąca drgnień na sekundę. Wszystko przebija. Jeżeli wbijesz kord we wroga, to go dosłownie niemal rozedrze na strzępy. Lecz strumień jonów rządzi się własnymi prawami i może być równie niebezpieczny dla tego, kto się nim nieumiejętnie posługuje. – Ryddlin kontynuował w tym stylu, mówiąc Radzie to, co już i tak wiedziała.

Teraz ona go zaatakowała; oczywiście tak, żeby wykazać swoją nieporadność. Miewała w swoim życiu okazję do posługiwania się kordem. Prawdę mówiąc, nawet miała jeden, zabrała go martwemu Khaggunowi na pogórzach Djenn Marre; trzymała go – na wypadek, gdyby okazał się potrzebny – pod podłogą w swoim kantorku w „Krwistej Fali”. Ostatnio zabrała go do domu i ukryła tak, że nikt poza nią go nie znajdzie. Codziennie ćwiczyła, z mozołem poznając wszelkie sztuczki posługiwania się nim.

Olenn zmuszał ją do okrażania areny, ona zaś stopniowo pozbywała się nieporadności, aż w trzeciej godzinie wyczerpującego treningu starli się w serii szybkich pchnięć zaczepno-obronnych.

–Szybko się uczysz – orzekł Olenn – jak na Tuskuggun.

Kpił, lecz Rada wyczuwała, że jest zaskoczony i że zrobiła na nim wrażenie. Ona zaś nie mogła już bardziej nim pogardzać. Była przekonana, że już nigdy nie pozbędzie się tej gęsiej skórki, skłaniającej ją do stałej czujności od momentu, w którym ją zaatakował. Przez niego już nigdy nie będzie taka jak przedtem. Zawsze pogardzała tymi głupimi Tuskuggun, które były zależne od mężczyzn. A teraz i ona była z jednym związana; i jeszcze na dodatek był to Khaggun! Pragnęła go upokorzyć tak, jak on ją upokorzył. Zdawało się jej, że tylko upokorzenie go może ją podnieść na duchu.

I właśnie to sprawiło, że w końcu zapomniała o ostrożności i zaczęła z nim walczyć

jak równy z równym. Może nie dorównywała mu siłą, lecz była nieustępliwa i wytrwała, a dodatkową przewagę dawał jej element zaskoczenia.

Czerwonawy dysk słońca wzniósł się wyżej i wydawało się, że zalewa krwią arenę, kiedy starli się po raz ostatni. Rada skrzyżowała swój kord z bronią Olnna u nasady ostrzy, potem szybko go cofnęła i „przeplotła” czubki kling obu kordów, energicznie je przy tym skręcając, a kiedy Ryddlin stał osłupiały, zdecydowanie pchnęła, tak że ostrza jej korda przesunęły się o całą długość kling Olnna, zakłócając przepływ strumienia jonów. Był to niebezpieczny sztych, którego nigdy wcześniej nie próbowała. Gdyby nie został wykonany jak należy, to sprzężenie zwrotne zablokowanego strumienia jonów mogłoby poważnie uszkodzić jej system nerwowy.

Stęknęła z wysiłku i pchnęła kordem; nasady kling się skrzyżowały, gardy uderzyły o siebie. Czuła na policzku oddech Olnna, widziała, jak malujące się na jego twarzy zdumienie przechodzi w poczucie upokorzenia. Stali tuż obok siebie, zaciskając zęby, skry zastopowanego strumienia jonów otaczały ich swego rodzaju półcieniem.

Ryddlin skrzywił się z bólu, który mu zadawała, i wykonał nieznaczny ruch nadgarstkami – tak zręcznie i szybko, że tego nie zauważyła – i rozbroił ją; nawet nie wiedziała, kiedy puściła rękojeść. Jej kord leżał pomiędzy nimi. Olnn był zadyszany, zdumiony, Rada zaś nakazała sobie nie patrzeć w dół, nie schylić się, nie przyklęknąć, by sięgnąć po oręż.

–Już byś nie żyła, gdybyśmy byli wrogami – powiedział ochryple.

–Przecież jesteśmy wrogami.

Ryddlin nie cofnął się, nie przytknął jej kling do gardła; stał w szerokim rozkroku, na lekko ugiętych kolanach i wpatrywał się w nią, jakby tylko ona jedna została na całym świecie. Miała wrażenie, że jego wzrok ją pochwyił niczym wielka dłoń, była przerażona i czuła się ogromnie urażona. Przerażona, że tak nagle i niespodziewanie się przed nim zdradziła, urażona, bo nadal miał nad nią władzę.

Więc kiedy dotknął jej okrytego zbroją ramienia dłonią w rękawicy, strząsnęła ją, odwróciła się i wyszczerzyła zęby do kilku Mesaggunów, którzy się zatrzymali w drodze na swoją zmianę, żeby popatrzeć na niecodzienne przedstawienie. Ku jej uldze natychmiast odeszli w swoją stronę, zalęknieni, że ściągną na siebie gniew zbrojnego Khagguna.

–Rado.

Usłyszała za plecami głos Ryddlina. Wymówił jej imię cicho, ale i tak poniosło się echem po placu, jakby z niej drwiąc. Obróciła się ku niemu dopiero wtedy, kiedy powtórzył jej imię.

Podniósł jej kord. Swój wsunął już do pochwy u lewego boku.

–Gdzie się...?

Drgnęła, słysząc pytanie, którego się obawiała.

–Mówiłam ci, że jestem urodzonym wojownikiem.

–Nie wierzę ci.

–No pewnie. Jestem Tuskugggun. – Wzruszyła ramionami. – Cóż, pewnie po prostu miałam szczęście.

Wpatrywał się w nią badawczo, milczący i nieprzenikniony. W końcu podał jej kord, gardą ku niej.

–Tego ranka zdobyłaś prawo do noszenia go.

Chciała plunąć mu w twarz, tak jak on plunął jej. Ale wtedy okazałaby się taka jak on. Poza tym z zaskoczeniem stwierdziła, że usta ma suche niczym Wielki Voorg. Nie pozostało jej nic innego jak wyciągnąć rękę. Ujęła kord, poczuła jego ciężar i doskonale wyważenie. Długo czekała na tę chwilę, miała wrażenie, że całe życie. Ale nigdy sobie nie wyobrażała, że stanie się to w takich okolicznościach.

–Gwiezdny admirał – odezwała się pod wpływem impulsu – jest coś, czego...

Czekał, patrząc na nią w milczeniu.

Nie chciała mu wszystkiego od razu powiedzieć, nie chciała, żeby myślał, że to dla niej łatwe.

–Regent wezwał mnie niedawno, może jakiś tydzień temu. Zaproponował układ. Martwił się, że jako regent traci kontakt z codziennym życiem Axis Tyr.

Na wąskich ustach Olnna pojawił się cień uśmiechu.

–Tak naprawdę chodzi mu o spiski, o których mógłby nie wiedzieć. W końcu to jeden z takich spisków doprowadził do śmierci jego ojca.

Rada potaknęła.

–W zamian za to, że będę jego oczami i uszami w Axis Tyr, zgodził się spłacić dług, którym matka obciążyła „Krwistą Falę”.

Olnn skrzyżował ramiona na piersi.

–A ty przyjęłaś uprzejmą i hojną ofertę Kurgana Stogggula?

–A jak myślisz? Jest regentem.

Olnnn przymrużył oczy.

–Czemu mi o tym mówisz?

–Tamtej nocy wziął mnie siłą. Nie mogłam temu zapobiec. Wtedy.

–Ale teraz jesteś ze mną i to całkiem inna historia.

–Wydaje mi się, że regent nie jest już twoim przyjacielem.

–Jesteś wścibska – rzekł szorstko.

–Prowadzę tawernę. – Wzruszyła ramionami. – Jedno wiąże się z drugim.

–Ale teraz jesteś na zupełnie innym terenie. I taka cecha może być zaletą lub doprowadzić cię do zguby. – Przekrzywił głowę. – Lecz znam cię na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że takie uwagi cię nie zniechęcą. Mów dalej.

–Tej nocy regentowi i mnie przeszkodziło natarczywe stukanie do drzwi. Rzuciłam okiem i zobaczyłam, że w korytarzu, tuż przed sypialnią, stoi Gyrgon Nith Batosxxx. Regent zamknął za sobą drzwi, lecz przyłożyłam do nich ucho i podsłuchiłam ich rozmowę.

Olnnn się nie rozeźmiał. Rada dosłyszała w jego głosie nutkę respektu.

–Bardzo proszę, mów dalej.

–Rozmowa dotyczyła programu wyniesienia Khagggunów do statusu wyższej kasty.

Olnnn natychmiast się rozejrzał. Godziny mijały i plac kalllistotos wypełniał się tłumem charakterystycznym dla takich części miasta. Jedni spieszyli dokądś w swoich sprawach, lecz inni stali pod ścianami i kolumnami, niedbale się o nie opierali, paplali i rozglądali się. Olnnn w milczeniu skinął jej głową. Zeszli z areny i szybkim krokiem ruszyli ku pobliskiej promenadzie, gdzie – jak przypuszczała Rada – Olnnn zdoła ich utrzymać w bezpiecznej odległości od ewentualnych szpiegów.

Morskie ptaki nawoływały w chłodzie poranka. Na wschodzie wciąż jeszcze było widać różowość świtu – wąski prożek tuż nad niskimi szarymi chmurami. Wiejąca ku brzegowi bryza przyniosła im czystą, orzeźwiającą, słonawą woń morza. Kiedy mijali stojące w porcie statki, Olnnn rzekł:

–Teraz już możesz bezpiecznie opowiadać.

Rada powiedziała mu o tym, co podsłuchała: że Gyrgoni byli przeciwni wyniesieniu Khaggunów; że się obawiali, iż stworzy to niebezpieczny precedens dla innych kast; że wstrzymanie tego procesu było pomysłem Kurgana Stogggula, z którym Nith Batouxxx całkowicie się zgadzał.

–Nith Batouxxx powiedział, że nie będzie tolerował żadnych niepokojów wśród innych kast. Że regent powinien się zdecydowanie rozprawić z każdym przejawem buntu w kaście Khaggunów.

–Wiedziałem! – Olnnn uderzył pięścią o otwartą dłoń. – Od tygodni to podejrzewałem. Brakowało mi tylko dowodu, no i mam go!

–Wiele Ramahanek, nawet niektóre z najstarszych konara, zakłada, że strumienie mocy biegnące przez wnętrza Kundali są takie same. Lecz tak nie jest.

Kolejna noc w Korrushu wstała ze swego stepowego łoża i zgasła światło dnia; natychmiast zaczęło się ochładzać. Perrnodt siedziała za Riane i splatała jej włosy w mistefan, na modłę Druuge'ów. Robiła tę misterną fryzurę i kontynuowała nauczanie. Nigdy go nie przerywała. Ani kiedy wędrowały na północ, omijając duży obóz Jeni Cerii, ani kiedy jadły, a nawet podczas krótkich przerw w marszu, kiedy się załatwiały. Nie było mowy o śnie. Szły i powtarzały to, co Riane już umiała. Perrnodt nauczyła Riane krótkich, trzyminutowych drzemek w ciągu dnia, które lepiej odświeżały niż ośmiogodzinny sen. Dlatego szybko posuwały się naprzód, mimo chłodu zimowych ranków i silnego ziąbu po zachodzie słońca. Każdy dreszcz przypominał Riane o upływającym czasie. Była już połowa zimy. Kiedy nadejdzie przesilenie, będzie za późno na ocalenie Giyan przed Horolagggia. Przystanie istnieć. Horolagggia zapanuje nad jej umiejętnościami, wspomnieniami, wszystkim, czym była, nawet i jej Darem.

–Słuchasz mnie? – spytała ostro Perrnodt. – Nie czas na marzenia na jawie. Wszystkie moje lekcje są równie ważne.

Riane przytaknęła i przeprosiła.

–To Pięć Świętych Smoków pod nadzorem Miiny stworzyło strumienie mocy – podjęła Perrnodt. – Ponieważ każdy ze smoków reprezentuje jeden z pięciu żywiołów, ziemię, powietrze ogień, wodę, drewno, to strumienie wykazują cechy charakterystyczne dla tego smoka, który je stworzył. I tak na przykład strumienie mocy biegnące pod Opactwem Optywającej Jasności zostały stworzone przez Paow, czarną smoczącą drewna. Jest ona smoczącą wizji. Natomiast strumienie mocy pod Środkowym Pałacem w Axis Tyr stworzył Seelin, zielony smok wody i transformacji.

Riane natychmiast pojęła, dlaczego to właśnie Seelina ujrzał przelotnie Annon, kiedy Drzwi Skarbnicy na krótko się otworzyły.

–A strumienie mocy pod Opactwem Nasłuchującej Kości, w którym mieści się teraz gyrgońska Świątynia Mnemoniki?

–Są to niezwykle, nawet jak na Kundalę, strumienie mocy. Stworzyła je wspólnie para smoków, Paow i Yig. Yig jest czerwonym smokiem ognia i mocy. Smoki często się łączą, lecz rzadko tworzą stadła, ale wtedy pozostają razem już na zawsze. Biada temu, kto spróbuje rozdzielić parę smoków.

–A czemu ktoś miałby chcieć to zrobić? – spytała Riane.

–Żeby zniszczyć ich moc. – Perrnodt się odsunęła, przechyliła głowę i przyjrzała się swojemu dziełu. – No tak. Ostatni raz splatałam mistefan jakiś czas temu. Całkiem nieźle wyszło.

Rozdzieliła włosy Riane na trzy części, trzy grube złote pasma, i poprzepłatała je ciasno, tworząc warkocz spływający wzdłuż pleców dziewczyny niczym v'ornnański kord. Noc już zapadła, kiedy wstały i zwinęły skromne obozowisko.

–Teraz idziemy tam – rzekła Perrnodt, kiedy podjęły marsz – gdzie jest ukryta Maasra, do najświętszego miejsca Kundali. – Wskazała ręką dokładnie północ. – Idziemy do Im-Thera, a dokładniej, daleko w głąb ruin Za Hara-at.

Kiedy szły, Perrnodt dokonała pewnych poprawek w mistefanie Riane.

–Miejsce to wybrano z wielu powodów, przede wszystkim dlatego, że węzeł pod nim jest jedyny w swoim rodzaju, jako że jest to splot strumieni stworzonych przez wszystkie smoki. Co oznacza, że wszystkie pięć żywiołów splata się w jednym miejscu. A to znaczy, że moc jest olbrzymia. I niezwykle niebezpieczna.

–Daj mi na to przykład – odezwała się Riane.

–Nieostrożne, niewłaściwe posłużenie się nią może doprowadzić do rozerwania materii rozdzielającej sfery. Z przeniknięcia się rozdzielonych dotąd sfer powstałby niewyobrażalny chaos. W poszczególnych sferach istnieją moce wrogie innym. Ich zetknięcie się doprowadziłoby do natychmiastowego zniszczenia sfer złączonych materią, w tym i naszej.

Riane cicho gwizdnęła z podziwu. Olbrzymia moc. Perrnodt nie przesadzała.

–Maasra, twór na poły świadomy, ma zdolność czerpania z odrobiny tej mocy – ciągnęła Perrnodt. – W ten sposób chroni się przed tymi, którzy chcą ją zdobyć i wykorzystać do własnych celów.

–Więc nie musimy się obawiać tych... – Przerwała, słysząc charakterystyczny szum powietrza. W ich pole widzenia wpadła ze świstem futrzasta kulka i znajomy głos

powiedział:

–Zabić Gyrgona i sauromicjana! Aleś się wpakowała, kluseczko!

–Thigpen! – zawołała Riane, zatrzymując się. – Jak mnie znalazłaś?

–Rzuciłam opale, a jakże inaczej?

–Miałaś mnie więcej nie nazywać kluseczką.

–Zmieniłam zdanie – rzekła lekko urażona Thigpen. Strzepnęła niewidoczny pyłek z futerka w pomarańczowo-czarne pręgi. – Będę cię nazywać kluseczką, dopóki będziesz psocić.

Riane uśmiechnęła się szeroko.

–Na Miinę, dobrze cię znowu widzieć, stara przyjaciółko.

–Mogę powiedzieć to samo.

Thigpen uniosła się na czterech tylnych łapkach i patrzyła, mocno mrużąc oczy.

–Mogę spytać, czemuś tak sobie zdefasonowała nos?

Riane dotknęła kolczyka ajjan.

–Kazał mi to zrobić kapudaan Gazi Qhan.

Thigpen prychnęła.

–Trudno to nazwać przyjacielskim gestem, przynajmniej moim zdaniem.

–To długa historia.

–Rappa! – Perrnodt znieruchomiała. – To ci dopiero niespodzianka.

Przez chwilę obie milczały. Riane się zawstydzila i przedstawiła je sobie.

–Nauczycielka Daru Sala-at – rzekła Rappa z ulgą. – To najlepsze wieści!

–A skoro już o wieściach mowa – odezwała się zaniepokojona Riane – to co u Eleany i Rekkka? – Nie zapomniała wizji o śmiertelnym upadku Rekkka, choć zepchnęła ją w głąb umysłu.

–Niestety, nie mam pojęcia – wyznała Thigpen. – Musiałam ich nagle opuścić i od tamtej pory byłam zajęta czymś innym.

–Hmmm, to wymaga wyjaśnienia.

–Były pewne zakłócenia. – Wąsiki Thigpen zaczęły się poruszać, niezawodna oznaka zaniepokojenia.

–Jakiego rodzaju?

Thigpen podejrzliwie łypnęła na Perrnodt.

–W porządku, możesz jej ufać, Thigpen. Ona jest Druuge'em.

–Taaaak? – Rappa szeroko otworzyła oczy. – A nie jest ubrana jak Druudzi.

–Czemu kręcisz? – spytała Perrnodt. – Twoja rasa od stuleci jest na Wielkim Voorgu. Towarzyszą nam.

Riane popatrzyła na Thigpen.

–Dlaczego mi nie powiedziałaś?

–Nie mówię ci wszystkiego – odparła szorstko Thigpen. – Po co, u licha, miałabym ci zawracać głowę błahostkami, skoro i tak masz tyle do nauczenia się?

–Nie nazwałabym tego błahostką!

–O Druuge'ach dowiesz się w swoim czasie, kluseczko. Nie do mnie należy mówienie o nich.

–Ma rację co do tego – wtrąciła Perrnodt. – Ale wróćmy do bieżącej sprawy. Mam niepokojące wrażenie, że jest pilna.

–Za chwilę – powiedziała Riane. – Mam kolejne pytanie. Przyszło mi do głowy, że wiedziałaś, iż Minnum nie może być sefirorem, za którego się podawał. Minnum nie jest Druuge'em. To sauomicjan.

–Widzę, że nauczycielka nie traciła czasu – rzuciła oschle Thigpen.

–Mniejsza o to. Czemu mnie okłamałaś?

Thigpen westchnęła.

–Musiałyśmy się dowiedzieć, czym jest Maasra. W tym celu musiałyśmy odnaleźć dialektyka, no i dlatego...

–Musiałyśmy znaleźć kogoś, kto by rzucił Ulotne Przywrócenie – dokończyła Riane.

–No właśnie – przytaknęła Thigpen. – Sauromicjana. Kiedy mi powiedziałaś, że natknęłaś się na sefirora, byłam zachwycona, ale i coś podejrzewałam. I okazało się, że moje podejrzenia się potwierdziły.

–Ale go nie wydałaś.

–A uwierzyłabyś mu wtedy?

Riane potrząsnęła głową.

–Nie.

–No właśnie. – Thigpen rozłożyła przednie łapki.

–Ale ty mu zaufałaś. Sauromicjanowi.

–Widziałam już wcześniej, jak się rzuca Ulotne Przywołanie. Czyli w tej sprawie nie mógł nas oszukać, bo bym się zorientowała. I nie oszukał.

–Ale w innych sprawach nakłamał.

–To oczywiste. Wtedy troszczyłam się wyłącznie o rzucenie zaklęcia. – Thigpen wyszczerzyła zęby. – Gdyby spróbował nas w tym oszukać, to byłam gotowa się z nim rozprawić. – Przygładziła przednimi łapkami wąsiki. – Złóścisz się na mnie, kluseczko?

–Rozważam to – odparła na wpół poważnie Riane. – Ale opowiedz nam o tych zakłóceniach.

Thigpen opadła na sześć łapek.

–Przedtem lepiej rzućmy okiem na to, co przed nami.

Riane i Perrnodt się odwrócili. Niedaleko kołowały na niebie długoskrzydłe padlinożerne ptaki. Pospieszyły w tamtą stronę.

–Czuję woń śmierci – wyszeptała Perrnodt.

Niecałe trzysta metrów przed nimi leżało coś ciemnego.

Riane rozpoznała zesztyniałą dwójkę kuomeshali i jej serce zaczęło bić szybciej.

–Kluseczko, nie! – krzyknęła Thigpen.

Lecz Riane już biegła do kuomeshali. Szczątki leżały splątane, jakby zwierzęta zabiło jedno potężne uderzenie. Dziewczyna znieruchomiała na widok ich łbów.

Wyglądały jak rozsądzone od środka.

–Sauromicjanie – stwierdziła Perrnodt, stając obok Riane.

–Wiedziałaś. – Wąsiki Rappa drgały spazmatycznie. – Sauromicjanie są mściwi. Zawsze tacy byli. – Położyła przednią łapkę na ręce Riane. – Obawiam się, że to ty wzbudziłaś w nich chęć zemsty, zabijając jednego z nich.

–Othnam, Mehmmer i ja nie mieliśmy wyboru.

–Jestem o tym przekonana – powiedziała łagodnie Thigpen. – Jednakże każde działanie ma swoje następstwa.

Patrzyły, jak Riane odpycha na bok ciężkie, sztywne nogi zwierząt, żeby się dostać do juków.

–Thigpen ma rację, Darze Sala-at. Skoro w pobliżu są sauromicjanie, to lepiej stąd znikajmy.

–Poznaję te juki – odezwała się Riane, szukając coraz bardziej nerwowo. – Poznaję te kuomeshale – Przeskoczyła nad martwymi zwierzętami. – Należały do moich przyjaciół, Othnama i Mehmmer.

–To rodzeństwo Ghorów, które się zaprzyjaźniło z Darem Sala-at podczas pobytu w Agachire – wyjaśniła Perrnodt Thigpen. Potem usłyszały krzyk i pobiegły ku dziewczynie.

Kłęczą obok dwóch ciał, mężczyzny i kobiety. Ubrani byli w czarne stroje Ghorów, które wyglądały tak, jakby je poszarpały dzikie bestie. Strzępy powiewały na wietrze. Obnażone torsy były czarne od krwi. Wyjęto wnętrzności. Leżały obok, porozcinane.

Riane przypomniała sobie, jak Minnum mówił, że sauromicjanie są nekromantami. Wróżą, zabijając i czytając z wnętrzności ofiar.

–Othnam i Mehmmer – wyszeptała.

–Sauromicjanie odprawiali swoją czarną magię – rzekła posępnie Perrnodt.

–Zostali zabici bardzo niedawno. – Thigpen łypała na krążące nad nimi padlinożerne ptaszyska. – Inaczej zostałyby już tylko gołe kości.

Perrnodt przytaknęła, spojrzała na Riane.

–Mówiłaś tym swoim przyjaciołom, że jesteś Darem Sala-at?

–Tak – szepnęła Riane. Byli z nią, kiedy powiedziała Mu-Awwulowi, kim jest.

–To źle. – Thigpen niespokojnie się rozejrzała. – Naprawdę źle, kluseczko.

–Teraz i sauromicjanie wiedzą – stwierdziła Perrnodt.

Riane, przerażona i zmartwiona, uciekła się do nieugiętej determinacji Annona-wojownika. Nie czas na uleganie emocjom. Żal musi poczekać na swoją kolej.

–Znasz ghorowskie modły za umarłych, Perrnodt? – wycedziła przez zaciśnięte zęby.

–Współczuję ci, Darze Sala-at, lecz nie mamy czasu. Teraz najważniejsze jest, byśmy jak najszybciej opuściły to przeklęte miejsce. Najwyraźniej znalazłyśmy się na terytorium sauromicjan.

Perrnodt i Thigpen łagodnie podniosły Riane i ruszyły w drogę. Pilnowały, żeby się nie oglądała za siebie. Padlinożerne ptaki krążyły coraz niżej.

Riane czuła, jak łzy spływają jej po twarzy. Troje jej przyjaciół z Korrushu nie żyło. Przeze mnie, myślała, gdybym się tu nie pojawiła...

–Zakłócenie, kluseczko – odezwała się Thigpen, nie mogąc już patrzeć na rozpacz Riane. – Tam, gdzie się urodziłam.

Miała na myśli miejsce w głębi Jaskiń Lodowych, gdzie po raz pierwszy spotkała Riane, wysoko nad Niebiańską Kaskadą w Djenn Marre.

Riane przełknęła ślinę. Poświęcenie całej uwagi towarzyszącym jej przyjaciółkom pomoże odwrócić myśli od bliskich osób, które utraciła. A było coś jeszcze. Wąsiki Thigpen poruszały się w szalonym tempie.

–Zakłócenie wystąpiło w Pierwszej Cenote, świętym jezioru w pobliżu naszego miejsca narodzin – powiedziała Thigpen. – To dlatego tak pośpiesznie musiałam opuścić naszych przyjaciół.

–Skąd o tym wiedziałaś? – przerwała jej Riane. – Byłaś setki kilometrów stamtąd.

–Dostałam wiadomość. Porozumiewamy się telepatycznie.

–Jak to miło, że wreszcie o tym wspomniałaś.

–Telepatia Rappa działa wyłącznie w obrębie naszego gatunku – wyjaśniła pośpiesznie Thigpen.

Riane skinęła głową.

–No dobrze. Mów dalej.

–Pamiętasz Pierwszą Cenote.

–Oczywiście. Wśród Rappa krąży przepowiednia, że Dar Sala-at spojrzy w Pierwszą Cenote i ujrzy potęgę kosmosu.

Thigpen przytaknęła i szerzej wyjaśniła Perrnodt:

–Riane mówiła mi, że czuje niepokój, kiedy się zbliża do cenote. Wtedy tego nie pojmowałam, bo zawsze uważaliśmy, że, podobnie jak jezioro u stóp Niebiańskiej Kaskady, Pierwsza Cenote jest poświęcona Miinie. Kiedy ją poprosiłam, żeby spojrzała w wodę, zobaczyła Pyphorosa, co ją głęboko zaniepokoiło, a mnie zdumiało. Powiedziałam wtedy, że dzieje się coś złego.

–Tak było – przytaknęła Riane.

–Nie miałam pojęcia, co to było, a późniejsze wydarzenia wymazały mi z pamięci tę zagadkę. Kiedy jednak wezwano mnie do Pierwszej Cenote, od razu pojęłam.

Oczy Rappa były mroczne, zapadnięte, i Riane z niepokojem uświadomiła sobie, że wyziera z nich udręka.

–Zakłócenie, to, że zobaczyłaś demona – wyszeptala Thigpen – wynikało z tego, że, jak wykryli moi współplemieńcy, Pyphorosowi udało się w jakiś sposób wykorzystać Pierwszą Cenote do ucieczki z Otchłani.

Riane serce podeszło do gardła. Nie ośmieliła się im powiedzieć, że pieczęć na portalu została złamana, kiedy Giyan przerwała magiczny krąg Nanthery, bezskutecznie próbując odzyskać Annona. Takie wyznanie zdradziłoby, że duch Annona żyje w niej. W następnej chwili Thigpen powiedziała coś, co ponownie nią wstrząsnęło.

–Najbardziej przerażające jest to – powiedziała Rappa – że, jak się przekonaliśmy, pęknięcie w pieczęci Pierwszej Cenote jest stare. Ma ze sto lat albo i więcej.

Riane rozmyślała gorączkowo. To by znaczyło, że są pęknięcia w dwóch portalach. Giyan praktykowała Nantherę przed niecałym rokiem.

–O wielka bogini. – Perrnodt była ogromnie zatroskana.

–Wysłuchaj mnie, Darze Sala-at. Mówiłaś, że nie należy się obawiać, iż Maasra wpadnie w łapy zła. W istocie zaś należy się tego bardzo obawiać. Bo kiedy Za Hara-at było w pełni rozkwitu, to Pyphoros i jego armia demonów byli zamknięci w Otchłani, Nawet i teraz w ruinach starożytnej cytadeli kryją się tajemnice, za których poznanie Pyphoros wiele by dał. Zastona Tysiąca Łez stanowi klucz do nich wszystkich. Skoro już wiemy, że on powrócił do tej sfery, możemy być absolutnie

pewne, że knuje, jak zdobyć zasłonę.

Riane przez pewien czas zastanawiała się nad tym. Potem powiedziała:

–Musimy po prostu zadbać, żeby mu się to nigdy nie udało.

Perrnodt westchnęła.

–Zapewniam cię, że to wcale nie takie proste.

–Chcesz dać za wygraną, zanim jeszcze zaczęłyśmy działać?

Perrnodt zarządziła przerwę w podróży. Siedem razy przeczesła palcami włosy. Za każdym razem stawały się mniej kręcone. Kiedy w końcu spłynęły gładką falą na jej plecy, zamiast tworzyć splątaną gęstwę wokół głowy, spokojnie powiedziała:

–Teraz usiądź za mną. Podziel moje włosy na trzy pasma. Zamierzam cię nauczyć, jak pleść mistefan.

Thigpen się przyglądała, a kiedy Perrnodt poczuła, że Riane dotyka jej włosów, dodała:

–Mistefan to wśród nas symbol o wielkim znaczeniu, Darze Sala-at. Powiadamia innych, że jesteśmy gotowi do walki.

Thigpen wypatrywała sauromicjan, a Perrnodt dawała Riane wskazówki. Kiedy skończyły, Druuge wstała i wskazała na północ.

–Maszerujmy najszybciej jak możemy. Niecałe trzysta metrów przed nami kończy się martwa przestrzeń. Znajdziemy się nad węzłem strumieni mocy i będziemy mogli thrippingować do Za Hara-at.

28. Tkacz sieci

Kurgan przyglądał się siedzącej przy kołowrotku starej Tuskugggun. Była bardzo skupiona. Mozolnie wysnuwała nić ze sterty cuchnących szmat. To był jej cały świat.

Zrujnowany budynek przycupnął na szczycie najwyższego w Axis Tyr wzniesienia; roztaczał się stąd widok na całe miasto. Niecałe sto metrów dalej wznosiła się ogromna Świątynia Mnemoniki. Do kundalańskiego shanstonu dodano gyrgońskie sieci neuralne, zwieszające się z blanków wysokich murów. W mgiełce wczesnego poranka kołysały się niczym olbrzymie sztandary, nadając budowli quasi-organiczny wygląd, jakiego pierwsi budowniczcy nawet by sobie nie potrafili wyobrazić.

–Co ona robi? – Kurgan spytał przyciszonym głosem Couriona.

–Nie wiem. Czasem się zastanawiam, czy ona sama wie.

Obok paleniska leżał groźnie wyglądający wyrpies i obserwował ich podejrzliwie. Z dolnej szczęki sterczały wygięte żółte kły.

–Jasne, że jest szalona – ciągnął Courion. – Bo kto normalny mieszkałby tak blisko Gyrgonów?

Kurgan wyjrzał przez okno. Na pustej ulicy stały jakieś małe zwierzęta z gorączkowo błyszczącymi ślepiami i zapadniętymi brzuchami. Kulily się w cieniach rzucanych przez stare kundalańskie domy, splądrowane w początkach okupacji. Popękane fasady tkwiły opuszczone i żalosne, były niczym gotowe stanowisko archeologiczne czekające na odnalezienie. Panowała tutaj przeraźliwa, przytłaczająca drętwość. Niektórzy powiadali, że był to zamierzony efekt działania kołyszących się sieci neuralnych.

Courion przeszedł za plecami staruchy.

W końcu się skontaktował z Kurganem.

–Starannie rozważyłem twoje ostrzeżenia co do tego Gyrgona i sądzę, że znalazłem rozwiązanie naszych wspólnych problemów – oznajmił. – Cała rzecz w tym, na jakie ryzyko jesteś gotowy.

–Żeby się na zawsze pozbyć Nith Batoxxksa – odparł Kurgan – jestem zdecydowany na każde ryzyko.

Ich cienie padły na kołowrotek, ale Tuskugggun nie zwróciła na to uwagi. Nuciała jakąś melodię czystym altem, kontrastującym z jej zaawansowanym wiekiem.

Na tyłach popękanej budowli, wyglądającej jakby się miała zaraz zawalić, znajdowały się dwa niewielkie pokoiki. Jeden z nich najwyraźniej służył Tuskugggun za sypialnię: stało tam proste łóżko, leżały sterty odzienia, ale nie było żadnej lampy. Jakby obłęd cofnął kobietę w mroczne przedhistoryczne czasy. Drugi pokój był jeszcze mniejszy, składzik zapchany bezużytecznymi rupieciami. W kątach wisiały pajęczyny. Dziurę w dachu zatkało wygrzebanymi skądś kawałkami drewna i wełny. Zostawiali za sobą ślady odcisnięte w grubej warstwie kurzu.

Kurgan ujrzał, jak Courion odsuwa na bok stertę śmieci. Pod nimi w brudnych deskach podłogi widać było zarys klapy. Courion ją otworzył, skinął na regenta i zniknął.

Coś skłoniło Kurgana, żeby się odwrócił ku głównej izbie. Kołowrotek się kręcił,

miarowo popychany długimi, żylastymi palcami staruchy. Ona zaś spoglądała na niego obojętnie.

–No co? – Uniósł podbródek. – Chcesz mi coś powiedzieć?

Starucha w milczeniu przędła.

Kurgan wzruszył ramionami i stanął na pierwszym szczeblu drewnianej drabiny; zlął do jakiegoś ciasnego pomieszczenia. Poczul woń pleśni niesioną strumieniem powietrza. Obrócił się w stronę, z której wiało. Courion zapalał pochodnię. W jej blasku Kurgan zobaczył, że znajdują się w wąskim tunelu ze sklepieniem łukowato stropem. Dotknął dłonią ścian. Shanstonowe płyty były idealnie spojone.

–Doprowadzi nas wprost do podstawy centralnej części świątyni – odezwał się Courion.

Kurgan bez słowa poszedł za nim. Był pełen obaw, ale wolałby trafić do N’Luuury, niż się do tego przyznać.

–Jak się dostaniemy do Świątyni Mnemoniki? – spytał Couriona, kiedy sarakkoński kapitan przedstawił mu swój plan.

–Oqeyya – odparł Courion. – Nith Batoxxx nie chce sam tego wnosić. Więc przygotował nam drogę do swojego laboratorium. I w ten sposób my ponosimy całe ryzyko.

Choć nigdy nie było wiadomo, czego się spodziewać po Gyrgonach, to Nith Batoxxx skrywał jeszcze większe tajemnice, do poznania których Kurgan aż się palił. Pomyślał o wytrwałej kurateli Starego V’ornna, o niezwykłym zainteresowaniu, jakie okazywał mu Nith Batoxxx, zwłaszcza teraz, kiedy został regentem. O co Gyrgonowi chodziło? Kurgan odrzucał wszystko, co mu Nith Batoxxx powiedział lub obiecał. Bo to były same kłamstwa. Nie miał wątpliwości, że prawda jest ukryta w laboratorium Gyrgona. Courion też to wiedział i dlatego zaproponował tę niebezpieczną wyprawę.

Czul woń wilgotnego kamienia. Gdzieś kapłała woda, coś trzeszczało niczym stara i sztywna skóra. Pęd powietrza zaświstał w szparze i ucichł, jakby zdumiony tym dźwiękiem.

Skręcili w lewo, potem w prawo, a jakieś sto metrów dalej znowu w lewo. W przeciwieństwie do innych kundalańskich konstrukcji tunel nie odznaczał się niczym szczególnym i to z jakiegoś powodu wzmagało niepokój Kurgana. Miał wrażenie, że wchodzi w pułapkę. Patrzył ponuro na tył głowy Couriona. Cóż on w końcu wiedział o tym Sarakkonie? Jedna N’Luuura wie, co on tak naprawdę stawia na pierwszym miejscu. Kurgan zacisnął dłoń na rękojeści sztyletu o trójgraniastym ostrzu i rozważał, czyby go nie wpakować Sarakkonowi między łopatki. Obdarzenie kogoś

zaufaniem sprawiało większości V'ornnów ogromne trudności, Kurgan zaś w ogóle nie był do tego zdolny.

Każdemu leżały na sercach przede wszystkim własne interesy. Kiedy się okazywało, że kolidują one z cudzymi, zaufanie się ulatniało. A Stary V'ornn wbił mu do głowy, żeby nie ufał nikomu, a zwłaszcza tym, co chcą się z nim zaprzyjaźnić.

Wennn Stogggul był paranoikiem. Kurgan zagrał na jego lękach i doprowadził do jego śmierci. Obiecał sobie, że nigdy nie upodobni się do ojca. Lecz uwarunkowania genetyczne były silne. Choć z całych sił starał się wyrzucić to z pamięci, i tak słyszał głos ojca, jego maniackalne ostrzeżenia.

Ten Sarakkon zaś był równie zuchwały jak niegdyś Annon. I bez wątpienia odważny. A na dodatek obowiązywał go surowy sarakkoński kodeks honorowy. Kurgan ocalił mu życie, więc on powinien być teraz lojalny wobec Kurgana.

Courion odwrócił się nagle i Kurgan częściowo wysunął sztylet z pochwy.

–Zamierzasz wbić mi go między żebra? – spytał spokojnie Courion. – Czyżbym zbyt zawierzył naszej przyjaźni? Czyżbym nigdy nie powinien obracać się do ciebie plecami?

Stali przed gigantycznymi wierzejami z matowego czarnego metalu, którego Kurgan jakoś nie mógł rozpoznać. Były obramowane i inkrustowane złotym jadem.

–Nie jesteś moim przyjacielem – powiedział Kurgan. – Miałem tylko jednego przyjaciela, a on nie żyje.

–Współczuję.

–Zginął przeze mnie.

–Wcale mnie to nie martwi, regencie, jeśli o to chodzi.

Kurgan stanął tuż przy Sarakkonie.

–Łączy nas parę nadzwyczajnych spraw. Ale ani przez chwilę nie sądz...

–I połączy więcej, regencie, nawet jeszcze bardziej niezwykłych spraw.

Kurgan stał, patrząc w ciemne, jakby przepastne oczy Couriona i nagle, niby lewiatan, w jego umyśle pojawiła się wizja, którą mu ukazał Nith Batotxxx.

„Powinieneś się obawiać czegoś zupełnie innego”.

Co to było? Czego nie potrafił dostrzec?

–Kiedy już wejdziemy – pouczył Courion – nic nie mów ani nie wydaj żadnego dźwięku. Dotyczy to również manipulowania sztyletem. I pamiętaj, stąpaj wyłącznie tam, gdzie ja. Droga wytyczona przez Nith Batoxxksa przeprowadzi nas bezpiecznie, lecz wystarczy choć odrobinę z niej zboczyć, a gwarantuję, że nadciągnie horda Gyrgonów rozwścieczonych naszym wtargnięciem.

Kurgan patrzył, jak Sarakkon naciska dźwignię. W ogromnych wierzejach otworzyły się małe drzwi i przeszli przez nie.

Usłyszeli jakby bicie dzwonów, szum wzbudzonych jonów, i poczuli wibracje wywołane przez potężne maszyny huczące w podziemnym labiryncie. Courion zostawił pochodnię w tunelu. Stali w smolistych ciemnościach. Kurgan mocno zaciskał w dłoni rękojeść sztyletu. Walczył z pragnieniem zdobycia go. Powietrze było naładowane energią wykorzystywaną do jakichś tajemniczych eksperymentów. Wyobraził sobie potężny strumień energii wyrzucany z jakiejś świeżo wynalezionej broni.

Tuż przed nim Courion włączył ręczną latarkę, którą pewnie dostał od Nith Batoxxksa. Błysnął wąski promień światła. Wystarczył, żeby Kurgan widział, gdzie stąpać. Ruszyli.

Kurgan wkrótce się zorientował, że Świątynia Mnemoniki – w przeciwieństwie do zwyczajnych budynków – nie miała korytarzy. Nie wiadomo, czy było to zamierzenie Kundalan, czy rezultat przebudowy Gyrgonów. Zrobili ledwie kilka kroków i wpadli do jakiegoś szybu. Dokoła nich migotały światła. Zdawało się, że pod stopami nie mają żadnej platformy, a mimo to opadali z jednakową szybkością. Kurgan, trochę wystraszony, zobaczył śmigający obok własny cień, wciąż i wciąż powielany.

Courion dał znak skinieniem głowy i wyszedł z przejrzystego szybu. Kurgan ruszył w ślad za nim, uważając, żeby stąpać wyłącznie tam, gdzie wcześniej postawił swoje szagrynowe buty sarakkoński kapitan. Taka jazda powtórzyła się trzykrotnie.

W końcu w świetle latarki zobaczyli, że są w dużej sali. Była to prawdziwa ulga po tych wszystkich ciasnych zamkniętych pomieszczeniach, przez które przechodzili. Kurgan ledwo zdążył to pomyśleć, kiedy stwierdził, że stanęli na krawędzi. Podłoga opadała pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Courion skierował latarkę w dół, lecz nawet tak silny strumień światła nie sięgnął dna.

Potem, ku przerażeniu Kurgana, Courion wkroczył nad przepaść. Nie spadł. Zatrzymał się i skinął na Kurgana. Stawiał jedną stopę bezpośrednio przed drugą, z czego Kurgan wywnioskował, że idzie bardzo wąskim przejściem. Chłopak ruszył za nim. Nie było po co patrzeć w dół, więc wpatrywał się w skomplikowane tatuaże Sarakkona i pilnował, czy idzie dokładnie za nim.

Raz-dwa przeszli na drugą stronę. Przed nimi znajdowała się wielka kula. Courion poszedł w prawo, obchodząc zakrzywioną powierzchnię. W końcu dotarł do niewielkiego okrągłego wjazdu i otworzył go. Wszedł, a Kurgan za nim.

Trzyście lamp w kształcie łez, krążących po owalnej orbicie, oświetlało zimnym purpurowo-błękitnym blaskiem pozbawioną okien komnatę w kształcie rombu, która – jak na to wskazywał jej wygląd – mogła być jedynie laboratorium Gyrgona. O dziwo, na ścianach pozostawiono nietknięte kundalańskie murale. A co jeszcze dziwniejsze, oplatała je sieć pnączy pomarańczy.

–Laboratorium Nith Batoxxksa – powiedział Courion; jego głos brzmiał tu dość niesamowicie.

–Skąd wiedziałeś, że go tu nie będzie?

–To święta dla niego pora salamuuunu – wyjaśnił Courion. – Skanuje sfery podczas tych swoich odlotów albo zajmuje się kto to wie czym. – Potrząsnął głową. – Jeżeli znikniemy stąd w pięćdziesiąt minut, to go nie spotkamy.

Kurgan się rozejrzył. Nie mógł w to uwierzyć. Był w samym środku tajnej pracowni Gyrgona, w mrocznym sercu marzeń i tajemnic v'ornnańskiej modalności. Otaczało go mnóstwo holoe ekranów, potężnych banków danych, nieznannej aparatury. Usiłował to wszystko wchłonąć, pojąć.

–Wszystko – wyszeptał – w tym laboratorium jest wszystko, czego kiedykolwiek pragnąłem i do czego dążyłem. – Dotykał jednego tajemniczego urządzenia po drugim. – Wystarczy się domyślić, gdzie to wszystko jest ukryte.

Courion przyglądał się dużemu jajowatemu pojemnikowi, po którego doskonale gładkiej powierzchni pełgały barwy tęczy.

Kurgan zatrzymał się przed skrzynką z czerwonego veradu. Otworzył ją; w środku znajdowało się pięć równiutko ułożonych czepków noworodków. Po co one Nith Batoxxksowi? – zapytał samego siebie. Odwrócił je. Po wewnętrznej stronie każdego z nich wypisano imię V'ornna, do którego należał. Trzy pierwsze były mu obojętne, czwarte go zaskoczyło.

STOGGGUL TERRETTT – przeczytał. Pospiesznie odwrócił piąty i jego serca zabiły szybciej. – STOGGGUL KURGAN.

Trzymał w dłoni własny czepkę noworodka.

–Patrz! Jakiś otwór!

Kurgan pospiesznie odłożył do skrzynki z czerwonego veradu czepki noworodków i

zamknął wieko. Odwrócił się. Courion wodził dłonią po jasnej powłoce jajowatego pojemnika. Nie widział, co Kurgan znalazł.

–Kiedy tu przychodziłem – odezwał się Sarakkon – Nith Batosxxx zawsze zdążył zadbać, żeby to było zamknięte. – Nigdy się do tego nie zbliżał ani nawet nie spojrzął w tę stronę. – Co o tym myślisz?

Kurgan podszedł do Sarakkona. Dalej starał się zrozumieć, po co Nith Batosxxsowi były czepki noworodków, jego i jego szalonego brata.

–Jakiś tajny schowek?

–A co się trzyma w tajnym schowku? – Uśmiechnął się szeroko Courion.

A Kurgan odparł:

–Sekrety.

Razem przyglądali się okrągłemu wejściu. Widniały na nim trzy płytkie zagłębienia.

–Ta v'ornnańska technologia przekracza moje pojęcie – przyznał Courion.

Zrobił miejsce Kurganowi, który stwierdził, że te zagłębienia były w istocie jakimiś zawijasami. Pogrzebał wśród rzeczy Gyrgona i znalazł to, czego szukał. Przyniósł skaner i przesunął go nad trzema zagłębieniami. Na fotonowym ekranie ukazało się ich powiększenie.

–No proszę – rzekł triumfalnie Kurgan.

Courion przyjrzał się powiększeniom.

–V'ornnańskie pismo.

–Instrukcje.

Kurgan odłożył skaner, potrząsnął głową.

–Nie podoba mi się to. Po co na zamku umieszczać otwierający go kod?

Courion skinął głową.

–Chyba po to, żeby posłużenie się nim obróciło się przeciwko intruzowi.

–Zabiło go. – Kurgan znów przyjrzał się sekwencji znaków. – Gyrgoni są przewrotni. A gdyby tak odwrócić tę sekwencję?

Courion oblizał wargi.

–Zamierzasz spróbować?

Kurgan bez słowa nacisnął zagłębienia w odwrotnej kolejności niż podana w instrukcji. Po chwili właz się otworzył, a wewnątrz zapaliło się słabe światło. Chłopak się roześmiał, odepchnął Sarakkona, pochylił głowę i wszedł do tajnego schowka, który – jak się okazało – wcale nie był schowkiem. Stało tam tylko wyściełane krzesło. Do którego kogoś przywiązano; ten ktoś siedział plecami do Kurgana.

–No i co tam jest? – Usłyszał głos Couriona. – Jaki skarb znalazłeś?

Chłopak odwrócił krzesło ku sobie.

–A niech to N’Luuura! – wykrzyknął, odskakując tak energicznie, że uderzył głową o krawędź włazu.

–Co się stało, regencie? – odezwał się z laboratorium Courion.

Kurgan wpatrywał się w siedzącą na krześle postać. Był to Sarakkon. Patrzył na lekko wygięte usta, na tatuaż pokrywający jego głowę, na wplecione w brodę pokryte runami kostki i kulki z jadeitu i lazurytu, na duże pierścienie z gwiazdnymi szafirami, rubinami i rysimi oczkami.

To był Courion, martwy jak zaszlachtowany buttren.

Kurgan znów zaklął, dobył sztyletu i wyszedł ze schowka. A w laboratorium stał Courion, równie żywy jak zawsze. A teraz się śmiał.

–Za późno, żeby się niepokoić, Kurganie Stogggulu.

Kurgan cisnął sztyletem w sarakkońskiego kapitana, którego postać falowała niczym miraż. Nith Batosxx złapał sztylet dłonią w rękawicy.

–Courion nie żyje – rzekł Gyrgon. – Naprawdę szkoda. Był wyjątkowym egzemplarzem wśród przedstawicieli swojego gatunku. – Łypnął na Kurgana. – Ale musisz przyznać, że świetnie spełnił swoje zadanie.

Tak się składało, że „Spice Jaxx’s” było otwarte na okrągło. To odpowiadało różnicowanej klienteli, tworzącej fascynującą mieszaninę, jakiej nie można było zobaczyć nigdzie indziej w Axis Tyr, nawet w „Krwistej Fali”. Kupcy, podobnie jak przyzmy ich korzennych przypraw, rozkwitali nocą. „Spice Jaxx’s” był ich drugim domem, wyciszoną, słabo oświetloną szkatułką pośrodku korzennego targu, tchnącego ciężkimi aromatami cynamonu, pieprzu i wermace’u, które tak ich wzruszały. Wypoczywały tu leniwie loorm niczym gwiazdy promieniujące doskonałą

urodą. Ubierały się modnie; plotkowały, popijając z maleńkich czareczek importowane przez SaTrrynów ba'du. Ich gesty – zwłaszcza w trakcie namiętnych aktów miłosnych – były małymi źródłami rozkoszy, sztuczkami owianymi tajemnicą. Bywali tu również ich hojni klienci; wpadali przed i po swoich wyciskających siódme poty schadzkach, żeby dodać sobie wigoru dobrą strawą i mocnymi alkoholami. Bogaci Bashkirowie rozmawiali o interesach, bo ich myśli nieustannie krążyły wokół kolejnego wielkiego interesu, o którym słyszeli lub który mieli nadzieję zwietrzyć.

Co jakiś czas wpadali na szybką przekąskę kundalańscy włóczykije, płochliwi jak czarnowrony, niespokojnie wypatrujący khaggunskich patroli, które nigdy się nie pojawiały. Żaden V'ornn nie zwracał na nich zbytnej uwagi, a już na pewno nie Deirusi, przy których nieodmiennie siadywali. Żaden V'ornn, nawet loorm, nie chciał się znaleźć w pobliżu Deirusów. Lecz Kundalanie, pojawiający się i znikający niczym duchy, nie mieli takich uprzedzeń. Niekiedy nawet krótko ze sobą rozmawiali.

Deirusi byli z natury ciekawscy i – pewnie ze względu na własny status pariasów – odznaczali się umiarkowaną ksenofobią, tak silną w innych v'ornnańskich kastach. Dla Deirusów tajemnice były chlebem powszednim. Co, kiedy, gdzie i z kim robili, pozostawało zamknięte w najtajniejszym zakątku ich serc. A przecież wyglądali jak wszyscy inni V'ornnowie; kochali jak inni V'ornnowie. I zapewne właśnie z tego powodu ich napiętnowano.

Ponieważ Deirusi nauczyli się ignorować świat, który się ich bał i nimi pogardzał, to potrafili w sobie odnaleźć współczucie dla Kundalan.

Sornnn zaprowadził Marethyn właśnie na tyły „Spice Jaxx's”, gdzie się tłoczyli Deirusi. Spędzili jakąś godzinę w cthonne, tańcząc ekstatycznie z młodziami przy osobliwej, synkretycznej muzyce granej przez kapelę. Perkusistka, opatulona w szatę z kapturem, znów się pojawiła; jej silne ręce wybijały skomplikowany rytm, wnikający we wszystkie zakątki umysłu tancerzy.

Stali teraz wśród Deirusów, popijając parujące ba'du, w którym Marethyn coraz bardziej gustowała. Rozmawiali, patrzyli sobie w oczy, robili tak dobrze znane zakochanym czułe gesty. Marethyn opowiadała mu o wstrząsających rewelacjach Kirilla Qanddy co do stanu Terretta; że testy wykazały, iż Terrett niemal od urodzenia był obiektem tajnych gyrgońskich eksperymentów z atiwarem.

–Jak mogli zrobić coś takiego? – pytała pomiędzy jednym łykiem ba'du a drugim. – Czegóż od niego chcieli? I dlaczego wybrali właśnie Terretta?

–Mówimy o Gyrgonach, *wa tarabibi* – odparł łagodnie Sornnn. – Musisz się pogodzić z tym, że nigdy nie poznasz prawdy.

–Nigdy się z tym nie pogodzę – odpowiedziała zapalczywie. – Gyrgoni złamali

mojemu bratu życie. Uważasz, że mogę ot tak o tym zapomnieć?

Sornnn dał znak, żeby im przyniesiono kolejną porcję ba'du.

–No dobrze. Co proponujesz? Udać się do Świątyni Mnemoniki i zażądać wyjaśnień?

Było to tak absurdalne, że się roześmiała, choć była rozgniewana.

–Niejasne, że nie. Ja... cóż, jeszcze sama nie wiem. Ale daj mi trochę czasu. Na pewno coś wymyślę.

Ba'du przyniosła im młoda Tuskugggun kelnerka o niepokojącej urodzie, z głową lśniąca od korzennych olejków. Postawiła przed nimi pełne czareczki i zabrała puste.

–Jesteś zadowolony? – zapytała Sornnna tak poufałym tonem, że Marethyn się zjeżyła.

–Doskonały napój w doskonałym świecie – odparł Sornnn.

Marethyn nie miała pojęcia, o czym on mówi. Jednym haustem łyknął ba'du i poprosił ją, żeby zrobiła to samo. Kiedy wlała w gardło ciemny płyn, ujrzała, jak piękna kelnerka leciutko skinęła głową Sornnnowi. Ujął Marethyn pod ramię i wraz z kelnerką weszli głębiej w zakamarki na tyłach „Spice Jaxx's”. Marethyn obejrzała się na Deirusów. Rozmawiali, nie zwracając na nich uwagi. Nikt nie patrzył w ich stronę.

Kelnerka skręciła i zniknęła w drzwiach ukrytych w ciemnościach. Sornnn i Marethyn poszli za nią.

Czekała na nich w niewielkim pomieszczeniu z nie obrobionego kamienia. Za nią znajdowały się schody wykute w litej skale. Zsunęła sifeyn z głowy, odsłaniając piękny diadem z tertu i veradu, na jaki żadna kelnerka nie mogłaby sobie pozwolić.

–Marethyn – odezwał się Sornnn, wskazując Tuskugggun w diademie – przedstawiam ci Radę TurPlyen. Rado, to Marethyn Stogggul. Zgodziła się zająć miejsce babki w naszej organizacji.

Rada stwardniałą ręką ujęła miękką dłoń Marethyn.

–To wspaniała nowina!

I wtedy Marethyn zrozumiała.

–To ciebie Tettsie tutaj spotkała. Jesteś Tuskugggun, która odmieniła jej życie.

–To było przypadkowe spotkanie przed wieloma laty – potwierdziła Rada. – Ale

jakże brzemiennie w skutki! Powiedziałabym jednak, że twoja babka sama odmieniła swoje życie. Ja jej to tylko ułatwiłam. – Kiwnęła głową w stronę Sornnna. – Podobnie jak SaTrryn.

–Rada jest moją łączniczką z ruchem oporu – wyjaśnił Sornnn. – Od paru lat jest właścicielką tawerny „Krwista Fala”, przy promenadzie. To tam zarejestrowała rozmowę Olnna Rydddlina z Bronnnem Pallnem i ostrzegła, że spiskują przeciwko mnie. I w ten oto sposób, oczywiście dzięki twojej pomocy, mogłem pokrzyżować im plany.

–Podstęp okazał się niezmiernie pomysłowy – przyznała Rada. – Nie tylko oddalił od ciebie podejrzenia, ale i śmierć tej żmii Bronnna Pallna na dobre zaszkodziła Olnnnowi Rydddlinowi w oczach regenta. – Potrząsnęła głową. – Ale zapłaciliśmy za to wysoką cenę. W łapy Khagggunów powróciło niemal wszystko, co zdołaliśmy im ukraść.

–Nic nie można było na to poradzić. – Wzruszył ramionami Sornnn, a potem szeroko się do niej uśmiechnął. – Ogromnie współczuję Khagggunom, którzy spróbują użyć jednego z zagwoźdżonych przeze mnie jonicznych działek.

Rada się roześmiała, klepnęła go w plecy.

–Dobra robota, Sornnnie!

Poufalość Rady znów wzbudziła w Marethyn zazdrość.

–A jak twoja działalność podwójnego szpiega?

Rada wzruszyła ramionami.

–Za wcześnie, żeby coś powiedzieć.

–Zapędziłaś się na niebezpieczne terytorium.

–Nie miałam wyboru. Regent złożył mi propozycję. Gdybym ją odrzuciła, na pewno bym tamtej nocy nie wyszła z pałacu. A w przypadku Olnna Rydddlina miałam jeszcze mniej do powiedzenia. Wciąż nie mogę zrozumieć, jakież to dziwne traf magicznie powiązał mnie z nim i z jego czarodziejką Malistrą.

–Będzie nam brakowało w „Krwistej Fali” twoich bystrych oczu i czujnych uszu.

Rada znów wzruszyła ramionami.

–Przekazałam prowadzenie tawerny mojej siostrze Nestcie, przynajmniej na pewien czas. Jest lojalna i sprytna. Co do data-dekagonów zaś, które co tydzień przekazuję

regentowi, nadal stanowią mieszaninę prawdy, która nam nie zaszkodzi, i fałszywych informacji, obmyślonych przez ciebie i innych. Co tydzień wracam do „Krwistej Fali”, żeby umieścić dekalon w kielichu wysłannika regenta.

Sornnn kiwał głową, dodając niekiedy krótkie wyjaśnienia, wprowadzające Marethyn w potrójną rolę Rady: szpieg regenta, towarzysza gwiazdowego admirała i łączniczka przekazująca informacje ruchowi oporu. Rada opowiedziała im o trudnościach, jakie miał Olenn z zatajeniem jej nowego statusu przed Haaar-kyut regenta.

–Słyszałeś coś o jakichś portalach? – spytała Rada. Sornnn był jednym z pierwszych, których o to pytała. – Regent coraz natarczywiej się o nie dopytuje.

–Co to za portale? – zaintrygowała się Marethyn.

Rada wyjęła laaga, zapaliła.

–Wygląda na to, że Gyrgon Nith Batouxx uważa, iż istnieje siedem kundalańskich portali. – Wypuściła nosem aromatyczny dym. – Nie mam pojęcia, dokąd one prowadzą. Regent mówił mi, że ten Gyrgon ogromnie chce poznać ich lokalizację. – Wzruszyła ramionami. – Ale kogo obchodzi zachcianki Gyrgona? Naciskam cię, Sornnnie, bo muszę do bajek dołączyć prawdziwe informacje.

Sornnn potrząsnął głową.

–Jak dotąd, niczego się nie dowiedziałem. Ale to nic dziwnego. Pewnie Ramahanki mogłyby coś na ten temat wiedzieć.

Rada kiwnęła głową, znów się zaciągnęła laaga i w milczeniu na nich skinęła. Poprowadziła ich w dół schodami wykutymi w skale. Było ciemno, lecz ani razu się nie potknęła, był to dowód, że świetnie zna drogę.

Strome, spiralne schody prowadziły do pomieszczenia pod piwnicą, w którym wybito dziurę. Rada bez wahania schodziła w dół, Sornnn za nią, a Marethyn na końcu.

Robiło się coraz chłodniej i wilgotniej. Marethyn słyszała dziwne dźwięki, odbijające się echem, niskie i atonalne. Przepląły jakieś głosy, równie efemeryczne jak dym wydobywający się z rozchylonych warg Rady. Poniżej rozbłysło światło i ujrzała Radę i Sornnna stojących na posadzce z wypolerowanego do połysku porfiru.

W regularnie rozmieszczonych w ścianach wnękach umieszczono misternej roboty lampy z brązu, poczerniałe od sadzy i starości. Ciągnęły się po obu stronach, jak daleko mogła sięgnąć okiem. Naprzeciwko Rady i Sornnna stała para młodych ludzi, mniej więcej równego wzrostu. Złowrogo milcząc, patrzyli, jak schodzi po ostatnich stopniach. Kundalanin i Kundalanka, zbrojni w joniczne pistolety, obydwójce mieli

wymizerowane twarze, na których malowała się desperacja. Rada wyjęła laaga z ust i wyciągnęła ku nim. Dziewczyna wzięła, zaciągnęła się głęboko i zatrzymała dym w płucach, podając skręta chłopakowi. On też głęboko się zaciągnął. Dym wypuścili jednocześnie, powoli i z lubością. Chłopak oddał skręta Radzie.

Obydwoje przyglądali się Marethyn, jakby zastanawiali się nad tym, w jaki sposób ją zabić. Niosące się echem dźwięki nie cichły i Marethyn miała wrażenie, że są z mroków obserwowani.

–To jest Marethyn, wnuczka Neyyore – powiedziała Rada, używając prawdziwego imienia Tettsie. – Zajmuje jej miejsce. – Potem przedstawiła Majję, dziewczynę, i Basse’a, chłopaka.

Młodzi przyglądali się jej z ponurą miną. Byli umięśnieni, twardzi, i przybierali groźne pozy.

–W górach ogniem i modłami oddali hołd Neyyore – poinformowała Marethyn Rada, jakby tłumaczyła milczenie Kundalan. – Miina usłyszała jej imię.

–Dziękuję. – Marethyn pochyliła głowę.

–Zabijałaś?

Pytanie Basse’a zabrzmiało jak obelga.

–Basse – odezwała się spokojnie Rada.

–Nie. – Potrząsnął głową, zaciskał dłoń na jonicznym pistolecie. – Chcę wiedzieć.

–Nie wygląda na kogoś, kto mógłby zabić choćby krwiopchłę – rzuciła Majja.

–A ty zabijałaś? – Marethyn zaraz zrozumiała, że to było głupie pytanie.

Majja w mgnieniu oka wyciągnęła joniczny pistolet i przytknęła lufę do szyi Marethyn. Rada i Sornnn cofnęli się o krok.

–Spokój – odezwał się Basse, stając tak, żeby mieć wszystkich na oku; do połowy wysunął z kabury joniczny pistolet.

–Obie jesteśmy kobietami – powiedziała Marethyn do Maji. – Na pewno obie...

–To nie zabawa – szepnęła z zawziętością Majja.

–Ona myśli, że to zabawa. – Skinął głową Basse.

–Jeżeli uważasz to za zabawę – stwierdziła Majja – to zginiesz, a z tobą pewnie

niektórzy z nas.

–Nie pozwolimy na to – rzekł Basse. – Rozumiesz?

Marethyn przytaknęła. Oblizwała wargi. Pomyśleć, że jej życie było w rękach tych nieprzewidywalnych zapaleńców. Ile laaga wypalili? – zastanawiała się.

–Ochłóśmy wszyscy – zaproponował Sornnn. – Rada i ja przynosimy dobre wieści.

–Potrzebujemy takich. – Majja cofnęła joniczny pistolet i odsunęła się. – Trzy godziny temu znaleźliśmy kolejną zbiorową mogiłę.

–Ilu?

–Jak dotąd najwięcej. – Basse skrzyżował ramiona na piersi. – Ponad trzystu.

–Już nie jesteśmy w stanie dłużej się bronić – powiedziała Majja.

–Potrzebna nam skuteczniejsza broń – dodał Basse. – I to zaraz.

–Wiecie, co się stało – odezwał się Sornnn. – Musieliśmy poświęcić nasze zasoby dla lepszej sprawy.

–Nie będzie lepszej sprawy – stwierdziła zapalczywie Majja – dopóki nie dostaniemy lepszej broni.

Sornnn potrząsnął głową.

–Na to trzeba czasu.

–Nowy gwiazdny admirał jest nieustępliwy – powiedział Basse. – Każdego dnia umiera więcej naszych. Coraz trudniej pozyskiwać nowych.

–Na to trzeba czasu. – Uśmiechnęła się szyderczo Majja.

A Basse dodał:

–Wy, V'ornnowie, macie kosmos, a my mamy tylko Kundalę. Potraficie to zrozumieć?

–Proszę – wtrąciła się Marethyn. – Przyszliśmy tu, żeby wam pomóc.

Młodzi wymienili spojrzenia. Majja wsparła się pod boki i spojrzała Marethyn prosto w oczy.

–Przekonajmy się, czy mówisz poważnie, wnuczko Neyyore.

–Wiemy o składzie z nowymi modelami jonicznych działek, minami, miotaczami strumieni jonów – oznajmił Basse. – Całe to uzbrojenie ma zostać przewiezione trzema grawolotami z Axis Tyr do głównej kwatery generała polnego Lokcka Werrrenta w Świetlistym Tamburze. Za trzy dni ma opuścić zbrojownię Khagggunów. Gdyby się nam udało zrobić zasadzkę...

–Będzie zbyt dobrze strzeżone. – Potrząsnął głową Sornnn.

Majja przechyliła głowę.

–Przecież mamy ciebie, Rado. Jesteś adiutantem gwiazdnego admirała. Gdybyś nam podała dokładną trasę...

–Nie będę mogła wam tego przekazać – powiedziała Rada. – Gwiazdny admirał za bardzo mnie pilnuje. Mało brakowało, a dzisiaj bym nie przyszła.

–Dowiedz się, ile zdołasz. – Majja przesunęła dłoń po ramieniu Marethyn. – I przekaz to wnuczce Neyyore. Pójdzie z nami.

–Nie – sprzeciwił się natychmiast Sornnn.

–Sornnnie, obiecałam pomóc – powiedziała Marethyn; serca się jej tłukły.

–Nie w ten sposób. – Potrząsnął głową. – Będziesz pomagać tak, jak to robiła Tettsie. Przekazując fundusze, potrzebne nam...

–Potrzebujemy broni! – krzyknęła Majja. – Natychmiast!

–Bo w przeciwnym razie co nam po wszystkich pieniądzach Kundali – dorzucił Basse.

Marethyn skinęła głową.

–Ja...

–Zabraniam! – zagrzemiał Sornnn.

–Zabraniasz? – Spojrzała na niego. – Przecież to ty mnie w to wciągnąłeś.

–Ale nie po to, żebyś ruszyła do walki. Nie po to, żebyś się znalazła na linii frontu.

–Nie powinieneś tak mówić – stwierdziła spokojnie. – Te dzieciaki codziennie walczą. Są na linii frontu. Czemu ze mną ma być inaczej? Dlaczego mam być chroniona?

Objął ją.

–Bo cię kocham.

–A ich nikt nie kocha? A może wszyscy ich najbliżsi zginęli z naszych rąk? – Spojrzała mu w twarz, dotknęła dłonią jego policzka. – Najdroższy Sornnnie, weszłam w to z własnej woli bo właśnie tego chciałam.

–Marethyn... – Zabrzmiało to jak stłumiony krzyk

Pocałowała go czule.

–Musisz mi pozwolić zrobić to, co powinnam.

29. Wywłaszczeni

Konara Inggres siedziała w jednej z małych salek, pozbawionych okien i dusznych, na zapleczu biblioteki i patrzyła na lusterko, które wyczarowała. Było naprawdę śliczne, doskonale okrągłe, ramkę z kutej miedzi pokrywały symbole biegnące falistą linią po całym obwodzie. Odbicie w lustrze okazało się nadzwyczaj wyraźne i ostre, jasne jak oko nagonoga, bez rozmycia właściwego wszystkim kundalańskim zwierciadłom. W innych okolicznościach konara Inggres byłaby dumna ze swego dokonania. Jednakowoż teraz lustro tylko wzmagало jej lęk.

Napisała krótki liścik do konara Lyystry, prosząc, żeby przyszła do biblioteki, i przesała go przez jedną z akolitek. Teraz, zlana zimnym potem, coraz bardziej się bała tej swojej zuchwałości. Nigdy nie sądziła, że potrafiłaby być wyrachowana i przebiegła; chociaż podejrzewała, że ćwiczenie się w dyplomatycznym postępowaniu mogłoby do tego doprowadzić. Kiedy podsłuchiwała rozmowę Giyan z Barttą, nie miała już żadnych wątpliwości co do tego, że jej ciało i duch znalazły się w niebezpieczeństwie. Lecz konara Lyystra była jej najlepszą przyjaciółką. Opętał ją demon i konara Inggres wiedziała, że musi spróbować wszystkiego co w jej mocy, żeby wyzwolić przyjaciółkę spod jego wpływu.

Salka znajdowała się na samym końcu rozległej dwupoziomowej biblioteki. Trzy z czterech ścian od sufitu do podłogi pokrywały półki. Księgi rozstępowały się tylko po to, żeby zrobić miejsce dla drzwi i znajdującego się nad nimi półkolistego okienka zarośniętego brudem. To właśnie w ten zacieniony zakamarek skierowała lustro konara Inggres, wdrapawszy się na przesuwaną drabinę z drewna ammonowca. Siedziała w głębi na wprost drzwi. Od czasu do czasu podnosiła wzrok, żeby ujrzeć własną twarz spoglądającą na nią z mieszaniną niespokojnego wyczekiwania i dręczącego niepokoju.

Zobaczyła przyjaciółkę zmierzającą ku niej pewnym krokiem po lśniącej agatowej posadzce biblioteki i nagle zachciało się jej siusiu. Nie mogła teraz wyjść. Skrzyżowała nogi pod stołem. Tkwiła tutaj od wielu godzin, przygotowując się na tę

właśnie chwilę, lecz kiedy nadeszła, konara Inggres struchlała. Skoncentrowała się na kontrolowaniu oddechu i na tym, co powinna powiedzieć.

Konara Lyystra weszła do salki. Konara Inggres z trudem przywołała na usta naturalnie wyglądający uśmiech, wstała i uściskała przyjaciółkę. Wtedy spojrzała w lusterko – ku swemu przerażeniu ujrzała to, co zamieszkiwało ciało konara Lyystry.

Miało trójkątny łeb, jak wąż, i cielsko gigantycznego krocionoga. Magiczne zwierciadło ukazało jej Cerna, demona-wojownika, górującego nad Tzelosem. Jej umysł chłodno zarejestrował ten fakt, chociaż przepęłniała ją odraza. Ledwo się pohamowała, żeby nie odepchnąć od siebie tego obrzydlistwa i nie uciec z krzykiem z salki. Chciała się odwrócić, lecz nie mogła. Wpatrywała się w tę ohydę z pełną przerażenia fascynacją i nie była pewna, czy aby nie traci rozumu. W duchu płakała i modliła się do Miiny, nie pojmując, jak wielka bogini mogła wydać ją i wszystkie Ramahanki na pastwę tych straszliwych stworów.

Przebiegła w myślach długą litanię zbrodni i herezji, jakie miały na swym koncie kierujące opactwem konara, od ponad stu lat łamiące prawa Miiny, i już wiedziała. Od czasu Matki nie było żadnej silnej i pobożnej konara, która by mogła odsunąć jej żadne władzy następczynie. A za rządów każdej z nich opactwo coraz bardziej się oddalało od świętych nauk Miiny.

Przypomniały się jej wątpliwości, o których tak niedawno rozmawiała z przyjaciółką. A jeżeli Miina nie istnieje? Jeżeli ona, Inggres, i wszyscy Kundalanie są sami w mrokach tej długiej nocy? Poczwała, jak ogarnia ją rozpacz.

–Chciałaś mnie zobaczyć – odezwał się stwór wcielony w konara Lyystrę. – Mówiłaś, że to pilne.

–Tak, pilne.

Konara Inggres wskazała krzesło, na którym przyjaciółka usiadła, a sama wróciła na swoje miejsce za stołem. Wsparła łokcie na blacie, splotła palce.

–Chętnie spędzałabym więcej czasu z konara Giyan.

–Matką.

–Tak – przytaknęła konara Inggres. – Matką. – Przy każdym zerknięciu w lustro widziała Cerna kręcącego się w ciele konara Lyystry. Uśmiechnęła się, żeby nie krzyczeć. – W naszej rozmowie ko... Matka wyraziła chęć dokonania zmian w programie nauczania. Po dokładnym rozważeniu sprawy uznałam, że ma słuszość. Zastanawiałam się, czy nie zechciałabyś mi doradzić, jak zmienić program historii magii.

–Byłabym zachwycona, mogąc ci pomóc. – Uśmiechnęła się konara Lyystra. – Sądzę jednak, że to Matka...

–Ona, rzecz jasna, zatwierdzi zmiany.

Cernn – mroczny, wijący się i odpychający stwór – mignął w oczach konara Lyystry.

–Sądzę, że ona sama będzie chciała dokonać zmian.

Konara Inggres się wyprostowała.

–Rozumiem.

–Masz coś przeciwko temu?

–Ależ skąd. – Inggres w zamyśleniu ściągnęła usta. – Tylko że...

–No słucham?

–Waham się, czy w ogóle o tym mówić.

–A dlaczego nie? – Uśmiech konara Lyystry stał się szerszy. – Czyż nie jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami? Czyż przyjaciółki nie powinny sobie ufać i dzielić się wszystkim?

–Tak zawsze było w naszym przypadku.

–No właśnie. Chyba nic się nie zmieniło?

Czy konara Inggres usłyszała w głosie przyjaciółki nutkę zdradzającą obłąd, czy też sama balansowała na jego skraju? Nie wiedziała, lecz nie należało odrzucać tej możliwości. Roześmiała się cicho, zdumiona naturalnością swego zachowania.

–Jasne, że nic się między nami nie zmieniło. Niby czemu miałyby się zmienić?

–W tak krótkim czasie bardzo się zbliżyłam do Matki. Pomyślałam, że może stałaś się odrobinę... no wiesz...

–Zazdrosna?

–Właśnie – przytaknęła odrobinę zbyt skwapliwie konara Lyystra. – Zazdrosna.

–Ależ skąd! To dla ciebie wielki zaszczyt, a ja tym bardziej jestem dumna, że jesteś moją przyjaciółką.

–Tak, tak. – Rozpromieniła się konara Lyystra. – Tak właśnie powinno być.

I w ten sposób konara Ingggres się zorientowała, jak ograniczoną inteligencję ma stwór, który opętał jej najlepszą przyjaciółkę. To spostrzeżenie wzbogaciło już zdobytą wiedzę. Bo nie czekała beczynn timer na przybycie konara Lyystry.

Uważnie przeglądała stare, rzadko czytane księgi, szukając wiadomości o opętaniu. I tak na przykład wyczytała, że Ramahankę mógł opętać jedynie demon i że było to możliwe wyłącznie wtedy, kiedy zostałaby złamana magiczna pieczęć na jednym lub więcej portalu do Otchłani.

Istniało kilka sposobów „wywłaszczenia”, jak starodawne teksty nazywały wypędzanie demona. A nie były to proste metody. Pierwszy krok polegał na oddzieleniu demona od połączenia ciało-mózg nosiciela. Drugi, równie trudny – to zabicie lub unieruchomienie samego demona. Wyczytała, że było na to bardzo niewiele czasu, może z dziesięć sekund, kiedy demon, wyrwany ze swego tymczasowego „domu”, był zdezorientowany i dzięki temu wystawiony na atak. Trzeci krok był chyba najtrudniejszy, bo kiedy demon tkwił w nosicielu, otwierał Wrota Białej Kości. Jedne z piętnastu Wrót Ducha znajdujących się w każdym człowieku. Otwarte wrota pozwalały przepływać wrodzonej energii ciała w sposób charakterystyczny dla danej osoby. Nieprawidłowe działanie choćby jednych wrót powodowało chorobę duszy. Wrota Białej Kości stanowiły główną zaporę przeciwko wnikaniu zła. Jeżeli były otwarte lub uszkodzone, nieuchronnie dostawało się przez nie zło, deformując duszę, a dopóki nie zostały zamknięte, dana osoba była narażona na wtargnięcie zła. Konara Ingggres nie miała wątpliwości, że właśnie to się przydarzyło Bartcie.

Cern, jak podawały teksty, nadrabiał siłą brak inteligencji. Był groźnym, a nawet strasznym przeciwnikiem dla konara biegłych w wywłaszczeniu, a co dopiero dla kogoś takiego jak Ingggres, która starała się wchłonąć jak najwięcej wiedzy w bardzo krótkim czasie. Nie mogła sobie pozwolić na popełnienie błędu, a w głębi duszy była przekonana, że pośpiech niemal na pewno spowoduje jakąś pomyłkę. Stwierdziła, że ma wilgotne dłonie, i wycierała je pod stołem, żeby konara Lyystra nie zauważyła, jak jest niespokojna.

Czując niemal bolesne ukłucia strachu, zdjęła z niskiej półki – tuż za sobą, nieco z boku – tacę, którą parę godzin temu przygotowała w jeszcze cichym i mrocznym refektarzu. Konara Lyystra miała już wstać, kiedy Ingggres powiedziała:

–Zostań jeszcze. Pozwoliłam sobie przygotować drobny poczęstunek. – Postawiła tacę na stole i odpowiednio ustawiła zastawę. – Dzbanek zimnego naparu z sangwiojagód i krwawe kiszki z qwawdów.

–Mniammm... – Konara Lyystra wbiła łakome spojrzenie w rządę krwawych kiszek. – Wyglądają wprost przepysznie. Nie co dzień się takowe jada.

Kiedy konara Inggres wyczytała, że wiele demonów przepada za krwią qwawdów, przypomniała sobie parę tych dużych ptaków, wiszących w chłodni refektarza i czekających, aż je kucharka sprawi i upiecze.

Nalała naparu do niewielkich ceramicznych kubeczków i postawiła krwawą kiszkę przed konara Lyystra. Jej przyjaciółka z własnej woli by tego nie zjadła i nie wypila, ale Cernn, jak wiele demonów, był ofiarą nieposkromionego łakomstwa i Inggres po wyrazie twarzy Lyystry poznała, że trafiła w samo sedno.

Konara Lyystra, bez słowa podziękowania, wpackowała sobie do ust całą krwawą kiszkę i niemal w całości, prawie nie gryząc, ją połknęła. Popiła naparem z sangwiojagód, jednym haustem osuszając kubeczek. Konara Inggres dolewała jej naparu, ona zaś sięgnęła po następną krwawą kiszkę z qwawda i rozdziawiła usta. Choć konara Inggres przygotowywała się na ów widok, to omal się nie zakrztusiła, widząc czułki ogromnie łakomego Cerma falujące na języku przyjaciółki. Natychmiast rzuciła Precz z Białej Kości, zakłęcie wywłaszczające, którego rankiem się nauczyła, lecz oczywiście do tej pory nie wypróbowała.

Ciało konara Lyystry na moment zastygło. Jej oczy szeroko się otworzyły i zaczęła gwałtownie mrugać. Z jej piersi, początkowo tak cichy, że ledwo dosłyszalny, wydobył się dźwięk przypominający trzepot owadzich skrzydełek.

Później wszystko potoczyło się tak szybko, że konara Inggres zerwała się z krzesła i odskoczyła. Najpierw z oczu konara Lyystry zaczęła się sączyć krew, płynęła także z jej nosa, skapywała z ust. Potem odrzuciła w tył głowę, tak że wpatrywała się wprost w sklepiony sufit, jej szczęki się rozwarły i Cernn z przyprawiającym o mdłości dźwiękiem został wypchnięty z ciała nosicielki.

Przez chwilę leżał ogłuszony w kałuży oślizłych soków żołądkowych. Był mniejszy, niż konara Inggres oczekiwała, i wręcz hipnotyzował swoją potwornością. Teksty wspominały o tym, ale widocznie zbyt pobieżnie, bo konara Inggres padła ofiarą swojej własnej chorobliwej fascynacji i sięgnęła po kołek z drewna sercowca dopiero wtedy, kiedy demon zaczął się miotać. Ale Cernn zdążył już odzyskać sporo sił i rozpoznając przeciwniczkę, skoczył ku twarzy konara Inggres. W ostatniej chwili zdążyła wbić weń sercowcowy kołek. Potem przygniotła go do blatu stołu, roztrącając we wszystkie strony dzbanek, kubeczki i ohydne krwawe kiszki. Oburącz wpychała kołek w Cernna, który się skręcał i wił w przedśmiertnych drgawkach. W końcu znieruchomiał, a konara Inggres głęboko odetchnęła, obiegła stół i uklękła obok leżącej na podłodze przyjaciółki. Rąbkiem szaty otarła krew z twarzy konara Lyystry i z radością ujrzała, że ta otwiera oczy. Były spokojne i łagodne, bez śladu tej, jeszcze tak niedawno w nich widocznej, jakby kłębiącej się ciemności.

Konara Inggres roześmiała się, położyła sobie na kolanach głowę przyjaciółki i ucałowała policzki i czoło konara Lyystry.

–Och, dzięki ci, Miino!

–Inggres – wyszeptała słabiutkim głosem konara Lyystra – gdzie jestem? Co się stało?

Zanim konara Inggres zdążyła odpowiedzieć, padł na nie cień i obie spojrzały na stojącą w drzwiach postać.

–Taaak – powiedziała z troską Giyan – tego właśnie chciałam się dowiedzieć.

–Mówiłem, żebyś był ostrożny, nieprawdaż? Ostrzegałem, że w znajomości z Sarakkonem jest coś, czego powinieneś się obawiać. Z całą pewnością dałem ci sposobność do udowodnienia lojalności wobec mnie. – Nith Batotxxx okręzał Kurgana, trójgraniaste ostrze sztyletu dotykało wnętrza jego dłoni w rękawicy. – I co się dzieje?

–Jak długo? – spytał zwięźle Kurgan.

–Zdradasz mnie przy pierwszej nadarzającej się okazji.

–Jak długo byłeś Courionem?

Nith Batotxxx natychmiast ruszył ku niemu.

–Mam dość tych gier z tobą.

Kurgan ani się nie skulił, ani nie uciekał. Pomyślał o starej Tuskugggun kręcącej ten idiotyczny kołowrotek. Wiedziała? Czy dlatego spojrzała na niego, zanim zszedł po drabinie? A może, wedle słów Couriona, była po prostu szalona? Ale przecież to nie Courion powiedział. Tylko Nith Batotxxx.

Kurgan skrzywił się z bólu, kiedy Gyrgon go pochwycił. Wzbudzone jony tańczyły po nim, sprawiając, iż miał wrażenie, że go wrzucono w ogień.

Nith Batotxxx obracał go powoli, dopóki Kurgan nie patrzył na jajowaty pojemnik.

–To komora fali goronowej. Pokażę ci, co spotyka tego, kto jest w środku.

Uniósł drugą rękę i kolisty właz się zatrzasnął. Zrobił kolejny gest i spłynęło kilka holoe ekranów. Włączył goronową falę i kiedy omiotła wnętrze komory i zniknęła, otworzył właz i wepchnął Kurgana do środka.

Kurgan ujrzał przerażający widok. Oczy Couriona były zupełnie białe, zęby zmieniły się w pył, a tatuaże na czaszce zostały wypalone.

–On już nie żył – rzekł Nith Batotxxx, łapiąc chłopaka za kark i wyrzucając go z

komory. – Wyobraź sobie, co by się stało z tobą.

Kurgan milczał, dobrze wiedząc, że każda odpowiedź jeszcze bardziej rozwścieczyłby Gyrgona.

–Zamierzam cię tam umieścić – poinformował go Nith Batoxxx – i stopniowo zwiększać moc wiązki goronów. Będzie to tak, jakby cię jednocześnie zjadało milion maleńkich gąb.

–To ma mnie wystraszyć? – Kurgan się nie ugiął. – Zostałem za dobrze wyszkolony. Nie znam strachu. Nawet ty nie byłeś w stanie znaleźć we mnie ani odrobiny lęku. Więc urządziłeś to przedstawienie z Courionem.

–Test – sprostował Nith Batoxxx. – Nazywajmy to jak trzeba. Test, którego nie przeszedłeś.

–Skoro niepowodzenie oznacza, że mnie nie ujarzmiłeś, to istotnie nie zdałem.

Nith Batoxxx aż go uniósł w powietrze.

–Przysięgłeś mi wierność. Twoje słowo...

–Moje słowo nic nie znaczy dla takich jak ty. – Kurgan drżał z bólu zadawanego przez Gyrgona. Nie sądził, żeby komora fali goronowej mogła być gorsza. – Wymusiłeś na mnie tę przysięgę. Naprawdę sądziłeś, że jej dotrzymam?

Nith Batoxxx ryknął i chwycił go oburącz. Chłopak omal nie umarł ze straszliwego bólu. Całe jego ciało pulsowało bólem zadawanym przez igielki wzbudzonych jonów. Czuł, jak wałą mu serca; wyobraził sobie, że krew zaczyna się w nim gotować, i zebrało mu się na wymioty, ale okazało się, że brakuje mu sił nawet i na to.

–Nie złamię się – wyszeptał. – Nie ukorzę się przed tobą.

–Ależ zrobisz to.

–Prędzej umrę.

–Oczywiście. – Nith Batoxxx wstrętnie się uśmiechnął. – Jesteś Stogggulem. Dość dobrze znam twoją rodzinę. Wszyscy jesteście kłamliwymi, oszukańczymi skcettami.

–Cały swój fałsz zawdzięczam Staremu V'ornnowi. – Kurgan usiłował panować nad głosem. – Sądzę, że znasz go równie dobrze.

–Co to ma znaczyć?

–Myślę, że nadszedł czas, żebyśmy obaj zaprzestali naszych gier – rzucił przez

szczękające zęby Kurgan. Twarz Gyrgona, komora fali goronowej, całe laboratorium to były wyraźne, to rozmazywały mu się przed oczami. – Wiem, kim jesteś, kim się stajesz, kiedy opuszczasz tę świątynię i spacerujesz ulicami Axis Tyr. Ukaż mi Starego V'ornna. – Czuł, że zaraz się rozplacze, więc drwiąco się zaśmiał. – No, bądź miłym Gyrgonkiem.

–Chcesz, żebym się objawił?! – zagrział Nith Batoxxx. – Właśnie tego pragniesz?! Więc niech się stanie!

Kurgan wrzasnął, bo brązowa skóra i pulsujące obwody sieci neuralnej na ciemieniu Gyrgona złuszczyły się płatami w fali żółtawej piany. Która niemal natychmiast przemieniła się w mgiełkę cuchnącą stęchlizną grobu. I wcale nie ukazała się naga czaszka, a czarna dziura, z której wyłoniło się łuskowate „ramię”, bledsze niż śmierć. Potem pojawiło się kolejne i następne, aż było ich pięć.

Wtedy jednocześnie wystrzeliły pionowo w górę. Zaczęły się splatać ze sobą. Ohydny zgniły odór wypełniał już całe laboratorium i Kurgan znów miał ochotę wymiotować.

Odruch wymiotny stłumiła w nim następna faza procesu zachodzącego na jego oczach. Splatające się „ramiona” najwyraźniej się pomnożyły. Teraz łączyły się ze sobą, tworząc tułów wielkiego i krzepkiego cielska. Było to jakby dwunożne zwierzę, trwało w półprzysiadzie, jedno ramię miało wyższe od drugiego.

Potem z wnętrza bezgłowego tułowia wyłoniła się świetlista aureola i szybko zlała się w wirującą kulę. Kula spoczęła na masywnych barkach, wirując coraz wolniej, i Kurgan od czasu do czasu dostrzegał zarysy twarzy. Lecz nigdy tej samej.

Kula znieruchomiała i stała się głową, którą Kurgan widział jeden jedyny raz. Miał przed sobą stwora o pięciu obliczach, trzech kundalańskich i dwóch zwierzęcych. Odbicie w lustrze widział zbyt krótko, a może też było dla niego zbyt szokujące, żeby dokładnie zapamiętał wszystkie oblicza. Teraz widział je wyraźnie i miał wrażenie, że do każdego jest przypisane konkretne uczucie. Wydłużona, ponura twarz z czarnymi, ciskającymi błyskawice oczami wyrażała gniew; druga, o pięknych rysach, płonęła namiętnością; trzecia, nalana i o rozpustnym wyrazie, uosabiała zazdrość; władcze oblicze drapieżnego ptaka promieniało dumą; lśniąca kotowata mordka zaś łakomie się Kurganowi przyglądała.

Chłopak, po raz pierwszy w życiu do głębi poruszony, usiłował się cofnąć pomimo dręczącego go bólu.

–Można śmiało powiedzieć, regencie, że moja prawdziwa postać nie bardzo przypadła ci do gustu?

Głos – niski i dudniący – był tym, który Kurgan niekiedy słyszał u Nith Batoxxksa.

Wypełnił całe laboratorium niczym huk gromu.

–Co robisz?! – krzyknął chłopak. – Jaką iluzję teraz wywołujesz?

Stwórz się roześmiał.

–Iluzję? To świat, w którym żyjesz, jest iluzją. Wy, V'ornnowie! Przemierzacie przestrzeń, podbijacie światy i rasy i wyobrażacie sobie, że jesteście władcami kosmosu. Lecz nie macie najmniejszego pojęcia o jego złożoności. Zamieszkujecie jedną maleńką wysepkę na oceanie tak ogromnym, że to przekracza waszą ograniczoną zdolność pojmowania. Iluzja? – Stwór potrząsnął Kurganem jak szmacianą lalką. – To wy, V'ornnowie, bardziej jesteście iluzją niż ja. Jestem Pyphoros, władca arcydemonów. Nareszcie powróciłem do tej sfery z więzienia, w którym przeklęta Miina zamknęła mnie całe eony temu.

Giyan, z pogodnym uśmiechem rozjaśniającym jej twarz, rzuciła się na konara Inggres, lecz konara była na to przygotowana. Już śpiewnie recytowała, wirując przy tym, a wirując, thrippingowała z biblioteki i Opactwa Optywającej Jasności w Nadświat.

Przez chwilę przepelniało ją poczucie winy, że zostawiła tam przyjaciółkę. Lecz wiedziała, że Giyan nie dała jej wyboru. Potrząsnęła głową, żeby oczyścić myśli. Nie była zbyt doświadczoną czarodziejką Osoru, bo uczyła się w tajemnicy, samodzielnie, więc nie pojęła zmian spowodowanych tutaj przez Horolagggię. Niemniej kakofonia zawodzących głosów ostrzegła ją, że nie wszystko jest w porządku w tej magicznej dziedzinie. W przeciwieństwie do Riane miała za sobą całe lata wertowania ksiąg, toteż zorientowała się, że z jakiegoś powodu zasłona pomiędzy sferami stała się tak cienka, że grozi jej rozdarcie. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jakie szkody mogłyby wyrządzić demony szalejące w Nadświecie. Wiedziała jedynie, że nie wolno jej do tego dopuścić.

Znalazła się na rozległej spływającej krwią równinie. W oddali widziała olbrzymie góry, w których – jak wyczuwała – znajdowały się złe serca demonicznych awatar. Instynktownie czuła, że nie jest dla nich równorzędnym przeciwnikiem, bo wyczuwała, jak ich moc pulsuje falami zbierającymi nad skalnymi szczytami czerwone kłębiące się burzowe chmury.

Starła się nie zwrócić na siebie ich uwagi i ostrożnie szła przez niedawno skalaną przestrzeń. Nie miała żadnego doświadczenia w thrippingowaniu, więc mdliło i kręciło się jej w głowie; nie wiedziała, że powinna mieć mononculus, który by absorbował szkodliwe promieniowanie występujące w przestrzeniach rozdzielających sfery. Dlatego przypisała swoje złe samopoczucie brakowi doświadczenia i uznała, że z każdym thrippingiem będzie silniejsza.

Mimo to nie przystawała ani na chwilę, chcąc jak najszybciej odnaleźć Giyan. Nasilająca się wrzawa bełkotliwych głosów i strach przed pościgiem utrudniały jej jasne myślenie. Z książek wiedziała, że demon, który wniknął w Giyan, nie może thrippingować; demony bowiem nie mogą się posługiwać magią Osoru. Nie mógł też wykorzystać awatary Giyan, bo żeby opętać Ramahanke, musiał uwięzić awatarę czarodziejki w Nadświecie. Lecz Inggres wiedziała, że arcydemony, a więc i Pyphoros, mają własne awatary, i lękała się teraz, że Giyan opętał arcydemon mogący wysłać za nią w pościg swoją awatarę, chociaż w tej sferze, stworzonej magią Osoru, mogłaby ona zaistnieć wyłącznie na krótko.

Inggres wiedziała, że ma niewiele czasu. Kiedy postanowiła wywłaszczyć demona z konara Lyystry, zdawała sobie sprawę, że Giyan może przejrzeć jej zamiary. Dlatego zapewniła sobie możliwość ucieczki do Nadświata, co było przedsięwzięciem zuchwałym i niebezpiecznym, jako że nigdy wcześniej nie thrippingowała. Lecz nie zdołała wymyślić żadnego innego sposobu na wydostanie się opactwa. Wiedziała, że ma za małą moc, żeby się rozprawić z demonami, które tam wniknęły. I tak już było jej trudno ukrywać swój Dar Osoru i przed nimi, i przed opętaną konara Lyystrą. Pojmowała, że musi działać szybko, bo inaczej ją wykryją i wyeliminują, jak to zwiędle ujął demon wykorzystujący ciało Giyan. Potrzebowała pomocy potężnej magii. A któż się lepiej do tego nadawał niż sama Giyan?

No i teraz Inggres przemykała się w Nadświecie, szukając unieruchomionej awatary Giyan, mając bardzo niewiele czasu na kolejne posunięcie. Patrzyła przed siebie, ale rzucała też okiem na kłębiące się chmury nad poszarpanymi szczytami, bo właśnie tam zauważyłaby pierwsze oznaki ocknięcia się uspionych demonicznych awatar.

Z potajemnej lektury książek Osoru wiedziała, że Nadświat jest sferą utworzoną na podstawie symboliki i jak żeglarz wypatruje na horyzoncie lądu, tak ona wypatrywała symboli. W końcu coś wypatrzyła i ruszyła w tamtym kierunku tak szybko, jak się dało.

Kiedy znalazła się bliżej, zobaczyła, że to gigantyczny odwrócony trójkąt, czarny niczym noc, do którego głową w dół przywiązano wielkiego ptaka. Natychmiast rozpoznała znanego z książek Ras Shamrę, awatarę Giyan.

–Shima Giyan – zawołała cicho, bo Giyan osiągnęła ten stopień, zanim ją przepędzono z opactwa.

–Kto mnie nazywa moim dawnym tytułem?

A konara Inggres wstrzymała oddech, bo była już na tyle blisko, że zobaczyła, iż oczy awatary zalewała krew sącząca się z tysięcy maleńkich ranek na ciele ptaka.

–Shima Giyan, to ja, leyna Ingggres. Teraz konara.

–Ach, kochana Ingggres. Pamiętam cię jako małą dziewczynkę. Zorientowałam się, że masz Dar. Nikomu o tym, rzecz jasna, nie powiedziałam.

Konara skłoniła w podzięcie głowę.

–Wygląda na to, że po twoim odejściu opactwo z każdym rokiem coraz bardziej poddaje się złu. – Ingggres była wdzięczna, że Giyan nie marnuje czasu na pytania, jak się jej udało pielęgnować Dar we wrogo nastawionym do tego opactwie.

–Jak wielkie są szkody? – zapytała Giyan.

–Nie wiesz?

–Jestem tu od wszystkiego odcięta. Mów szybko. Horolagggia niczego nie podsłucha, dopóki się nie pojawi jego awatara.

Konara Ingggres skinęła głową. W ustach jej zaschło.

–Demon, który cię opętał, przejął władzę w opactwie i uwolnił Bartę z magicznego stanu zawieszenia tylko po to, żeby i ją opętał inny demon.

–Te nowiny są gorsze, niż ci się zdaje – powiedziała Giyan. – Mamy do czynienia z arcydemonami. A to oznacza, że nie tylko Horolagggia uciekł z Otchłani. Udało mu się jakoś uwolnić i brata, Mygggorrę.

Konara Ingggres wstrzymała oddech.

–Mówisz o potomstwie Pyphorosa!

–W rzeczy samej. A robiąc to, pogwałcili Pierwotne Zasady ustanowione dla śmiertelników, zwierząt, czarodziejów, bogiń, arcydemonów i demonów.

–Ach, shima Giyan! – wykrzyknęła nagle konara Ingggres. – Jak możemy tak sobie rozmawiać, skoro jesteś uwięziona i tak okrutnie dręczona? Powiedz mi, jak mogę ci pomóc.

–Nie możesz – odparła Giyan. – A przynajmniej nie bezpośrednio.

–Więc jak? Wiem, że moja moc nie dorównuje mocy arcydemonu.

–To prawda, lecz musimy wypróbować przeciwko nim twoją pomysłowość. Musisz wrócić do opactwa. W najstarszej jego części, pod składami żywności, znajdują się święte izby Miiny.

–Tak, Kellsy. Widziałam je, shima Giyan. To tam wyczarowałam lustro, w którym zobaczyłam Cerrna, co opętał moją przyjaciółkę, konara Lyystrę. Wywłaszczyłam go, korzystając z zaklęcia Precz z Białej Kości, i zabiłam, przebijając sercowcowym kołkiem.

–Winszuję – rzekła Giyan – ale wiedz, że Precz z Białej Kości działa wyłącznie na pomniejsze demony, takie jak Tzelos i Cerrn. Na te, co opętały mnie i moją siostrę, potrzeba innych sposobów.

–Opowiedz mi o tym, shima Giyan.

–Ktoś... ktoś, komu ufam, szuka Zasłony Tysiąca Łez. Ten ktoś ma na imię Riane. Musisz na nią zaczekać, bo oprócz śmierci nosiciela jedynie Zasłona Tysiąca Łez może wywłaszczyć arcydemonia. Wiem, że ponieważ się tu znalazłaś, zorientowali się, że masz Dar Osoru. Powinnaś prowadzić przeciwko nim podjazdową walkę. Musisz się ukryć i nie pokazywać nawet tym, którym dawniej ufałaś. Jeszcze raz podkreślam, że nie wolno ufać nikomu w opactwie. Powinnaś przyjąć, że wszyscy się sprzeniewierzyli. Wszyscy, rozumiesz?

–Tak, shima Giyan.

–Ta twoja przyjaciółka...

–Konara Lyystra.

–Na razie musisz o niej zapomnieć.

–Ależ, shima Giyan...

Ras Shamra potrząsnął głową.

–Żadnych wyjątków, konara Inggres, absolutnie żadnych. Rozumiem, że pragniesz pomóc przyjaciółce. Ale sama widziałas, co to dało. Rzucając zaklęcie Precz z Białej Kości, niepotrzebnie ściągnęłaś na siebie uwagę. I teraz nie spoczna, póki cię nie zniszczą, bo zdeklarowałaś się jako ich wróg.

Konara Inggres stłumiła rosnące przerażenie.

–Więc jak w tych warunkach mam prowadzić podjazdową walkę, o której wspomniałaś?

–Roztropnie posługując się bronią, o której nie będą wiedzieć. Powiedz, czy w Kellsach widziałas Ghosha, węża z cytrynu?

–Tak, shima Giyan. Stał dokładnie pośrodku Kellu.

–Nie był w swojej wnęce w ścianie? – spytała ostro Giyan. – Jesteś tego pewna?

–Najzupełniej, shima Giyan. Pokłoniłam mu się i pomodliłam do Miiny o wskazówki.

–I otrzymałaś je?

Konara Inggres przez chwilę się zastanawiała.

–Uważam, że tak. Zaraz potem, w Kellu poniżej, znalazłam studnię. Dokoła niej, tworząc równoboczny trójkąt, stały trzy straszliwe bestie, wyrzeźbione w nie znanym mi kamieniu. Były złociste w czarne cętki. To przy tej studni rzuciłam zaklęcie i wyczarowałam lustro. – Zamilkła na chwilę, widząc, że Ras Shamra zadrżał. – Czy jest coś niepokojącego w tym, co ci powiedziałam?

–To, że Ghosh i trzy Ja-Gaar nie znajdują się tam, gdzie stały przez stulecia, oznacza, że działa magia starsza od ramahańskiej. Jest się nad czym zastanawiać. – Ras Shamra zamrugał i strząsnął krew z rzęs i spojrzał ku łańcuchowi gór. – Zostało nam bardzo mało czasu. Posłuchaj uważnie. Natychmiast wróc do Kellsów. Wyjmij Ghoshowi prawe oko.

–Ależ shima Giyan – sprzeciwiła się przerażona konara Inggres – wąż z cytrynu jest poświęcony Miinie. Nie mogę zeszpecić...

–Zrobisz, jak mówię! – zagrzmiął Ras Shamra tak władczo, że konara Inggres pokornie schyliła głowę.

–Tak, Najwyższa Matko!

–Czemu mnie tak nazywasz?

–Proroctwa, Najwyższa Matko. Mówią o ramahańskiej czarodziejce, którą arcydemon uwięzi w Nadświecie. Jej przeznaczenie to bycie przewodniczką Daru Sala-at. Jest Najwyższą Matką.

–Mniejsza o to – rzekł Ras Shamra. – Wyjmiesz prawe oko wężowi z cytrynu. Zrób to, obracając je w oczodole trzy razy w lewo. Zanieś je potem do studni, w której wyczarowałaś lustro, i zanurz je na trzydzieści sekund, ani krócej, ani dłużej. Rozumiesz?

–Tak, Najwyższa Matko.

–Kiedy je wyjmiesz...

Niebo płakało szkarłatnymi łzami, ziemia pod stopami konara Inggres złowieszczo zadygotała.

Ras Shamra nie musiał jej mówić, co to oznacza.

–Kiedy je wyjmiesz – podjął pośpiesznie – połóż je, wilgotne, pośrodku czoła, pomiędzy oczami, nad nasadą nosa. Nie możesz dopuścić, żeby wyschło, bo wówczas popęka i zmieni się w bezużyteczny pył.

–I co potem, Najwyższa Matko? – Konara Inggres zerknęła nerwowo na czarne jak sadza chmury gęstniejące nad górskimi szczytami. – I co się stanie, kiedy przyłożę sobie oko do czoła?

–Odejdź! – rozkazał Ras Shamra. – Zanim cię dostrzeże!

Konara Inggres zamknęła oczy. Zaczęła wirować i trippingowała z Nadświata w chwili, kiedy coś rozdarło chmury.

30. Za Hara-at

Tutaj się przyczaiło, czekając na skraju wieczności. Pograżone w ciemnościach, wystawione na wiatr, mroczne. Na wpół zniszczone przez czas. Mrok na obrzeżu Djenn Marre, na wprost Wielkiego Ryftu. Skarbnica starożytnych tajemnic. Labirynt czarnych jak krew ulic, wijących się poza czas i światło, wnikających w inną przestrzeń. Niemal zapomniane miasto, duszne, opuszczone, strzeżone.

Za Hara-at.

Dwa kuomeshale stały obok siebie, opuściły łby, drzemały. W powietrzu krążyły stadka finbatów. Młody Bey Das, o skórze ciemnej jak potrawka z granatów, biegł z rozwianymi długimi włosami, ciągnąc za sobą latawiec. Biegł od skraju wykopalisk ku postrzępionym, sfatygowanym namiotom Im-Thery. Wzbijał obłoczki czerwonego kurzu. Latawiec wzbił się w podmuchu wieczornego wiatru i finbaty trochę się oddaliły. Latawiec opadł, ale zaraz poszybował wysoko i chłopiec triumfalnie krzyknął, natychmiast został gniewnie uciszony przez zaniepokojoną matkę, która zaciągnęła go na powrót do Im-Thery.

Za Hara-at pustoszało o zmierzchu. Choć niebo wciąż jeszcze jaśniało światłem, żaden Bey Das nie pracował na wykopaliskach, kiedy słońce zapadło za Djenn Marre. Światło biło z mniejszego obozowiska Mesaggunów i bashkirskich architektów wynajętych przez konsorcja Stoggunów i SaTrrynów do rekonstrukcji Za Hara-at. Obozowisko otaczał obecnie pierścień khagguńskiej broni. W blasku sztucznego światła włączono jonową osłonę, mającą utrzymać z dala nieznanego drapieżcę krążącego po zrujnowanych ulicach Za Hara-at, a także zatrzymać w obozowisku Bashkirów tęskniących za Axis Tyr.

Właśnie w to miejsce thrippingowały trzy podróżniczki. Pojawiły się u szczytu głównej rampy prowadzącej w głąb odsłoniętych pozostałości Za Hara-at. Riane pomyślała, że przypomina to wejście w szkielet wielkiej fantastycznej bestii, bo dzięki swojemu niezwykłemu Darowi wyczuwała życie pulsujące w miejscu uważanym za wymarłe i pogrzebane od stuleci. Miasto posadowiono na sieci węzłów strumieni mocy. Czowała wibracje każdego z nich, niczym poszczególne sekcje strojącej instrumenty orkiestry.

–Moja rasa opowiadała niezliczone historie o Za Hara-at – powiedziała z respektem Thigpen. – Z mojego pokolenia ja pierwsza je zobaczyłam.

–Niegdyś była to wspaniała cytadela – odezwała się Perrnodt, kiedy schodziły rampą. – A przecież nie było to centrum starożytnej cywilizacji, bo zostało zaprojektowane i zbudowane w jednym celu. Do obrony przed wrogiem tak straszliwym, że mogła nas przed nim ocalić jedynie taka machina o niewyobrażalnej

mocy.

–Szkoda, że jej nie odbudowano, żeby powstrzymać inwazję V'ornnów.

–Ta machina była przeznaczona do zniszczenia wyłącznie jednego strasznego wroga – powiedziała Perrnodt. – To dlatego ta wielka moc jest tak niedostępna.

Dotarły do wykonanych z kutego mosiądzu ulic Za Hara-at. Tu i ówdzie osadzono w nich runy z lazurytu i cesarskiego karneolu. Riane uklękła, przesunęła palcami po runach. Pochodziły z Venca.

„Pojmij nieznanne”, przeczytała.

–Perrnodt – zagadnęła spokojnie – kto zbudował Za Hara-at?

–My, Druudzi. – Perrnodt wpatrywała się w mrok gęstniejący w szerokiej alei. – Potrzebowaliśmy pomocy. Machina w sercu cytadeli była zbyt skomplikowana nawet dla nas, nie poradzilibyśmy sobie sami. Więc zrobiliśmy coś, co było zarazem konieczne i szalone. Wzięliśmy do pomocy demony.

Riane wstała.

–Zdawało mi się, iż mówiłaś, że demony były w owym czasie uwięzione.

–Nie. Powiedziałam, że zostały uwięzione u szczytu potęgi Za Hara-at. Pomagały nam budować machinę, a potem oczywiście chciały przejąć nad nią kontrolę. Nie mogliśmy na to pozwolić. Wywiązała się zacięta walka. Po obu stronach wielu zginęło. Wtedy wkroczyła Miina i uwięziła demony w Otchłani. Nigdy nie ujrzały maszyny, przy której budowie tak ciężko pracowały.

–Nic dziwnego, że Pyphoros chce wrócić.

–Pragnie poznać pogrzebane tu straszliwe tajemnice – powiedziała Perrnodt. – Nie spocznie, póki tego nie dokona lub nie zginie.

Thigpen poruszyła się niespokojnie i rozejrzała się.

–Skoro już wiemy, że dostał się do tej sfery, musimy być czujni. Wiemy też, że nie przetrwałby we własnej postaci, więc musimy zaglądać we wnętrza tych, których tu spotkamy. Każda z tych osób może być opętana przez arcydemoną.

–Tędy – odezwała się Perrnodt.

Poprowadziła je aleją o nazwie Pojmij Nieznane, wzdłuż szkieletów domów o dwuspadowych dachach i świątyń z kolumnami. W końcu dotarły do ośmiobocznego placu. Odchodziło od niego osiem ulic.

–Zasłona Tysiąca Łez znajduje się w przerażającej kryjówce – mówiła Perrnodt. Wokół nich wznosiły się dwupiętrowe budowle o niewiadomym przeznaczeniu. – Jest zamknięta w ognistej szkatule otoczonej warstwą wody. Pomiędzy ogniem a wodą znajduje się mroczna próżnia.

–Jak ją odnajdziemy? – spytała Riane.

–Nie „my”, Darze Sala-at. Musisz to zrobić sama. Zasłona jest tworem częściowo obdarzoną świadomością. Stań dokładnie pośrodku placu. Wyczuje cię i poprowadzi ku sobie.

–Powie mi również, jak ją zabrać? Jak odnaleźć?

–Nie i ja też tego nie zrobię. Musisz sama na to wpaść. Mogę ci powiedzieć tylko jedno: cały czas idź śladem strumieni mocy.

–A kiedy już dotrę do załony, to co wtedy? Jak ją wykorzystać do ocalenia Giyan?

–Musisz znaleźć sposób na uwolnienie zamkniętych w niej amoków – wyjaśniła Perrnodt. – Żałuję, że nie potrafię ci powiedzieć, jak to zrobić. Musisz zaufać sobie i zasłonie. Pozwolić, by stała się częścią ciebie. Kiedy już się z nią zestroisz, będziesz wiedziała, co robić.

Riane skinęła głową. Nie chciała opuszczać przyjaciółek, lecz nie miała wyboru. Spojrzała Perrnodt w oczy, a potem pospiesznie przyklękła i podrapała Thigpen pomiędzy trójkątnymi uszami.

–Oby Miina była przy tobie tej nocy i zawsze, kluseczko – wyszeptała Rappa.

Riane wstała i poszła na środek placu. Natychmiast wyczuła pod sobą węzeł strumieni mocy. Wibracje powoli przenikały ją od stóp do tułowia. Kiedy dotarły do mózgu, przemówiły do niej językiem strumieni mocy, którego nauczyła ją Perrnodt. Obróciła się o czterdzieści pięć stopni w lewo i znalazła się na wprost jednej z ośmiu ulic. Ruszyła ku niej i usłyszała Perrnodt wołającą w zapadającym zmierzchu:

–Pozwól, żeby strumienie mocy cię prowadziły tam, dokąd chcą, Darze Sala-at. Trzymaj się wytyczonej drogi i nie zbaczaj z niej.

Riane skinęła głową. Zanurzyła się w gęstym mroku ulicy, uniosła otwartą dłoń i wyczarowała małą kulę, która unosiła się przed nią w powietrzu. Kula wysyłała wiązkę silnego światła, przesuwała się wraz z dziewczyną i oświetlała jej drogę.

Riane szła, trzymając się trasy wyznaczonej strumieniami mocy. Mrok gęstniał wokół niej niczym fragmenty przeszłości. Raz spojrzała w olbrzymią misę korrushańskiego nieba i wydało się jej ono tak odległe, że aż jej zabrakło tchu.

Dotarła do węzła i zmieniła kierunek, ruszyła śladem innego strumienia mocy. Dokoła niej oddychała cytadela, dzięki jej unikalnej genezie mieszała się tu terażniejszość z przeszłością. Została zaprojektowana przez Druuge'ów, wybudowana przez demony, żeby stać się machiną niewyobrażalnego zniszczenia. Zagubiona teraz, śniła o utraconej potędze, bezkresna, wyludniona.

Nie całkiem.

Riane przystanęła, czując delikatne mrowienie skóry głowy. Strumień mocy naglił do dalszej drogi, lecz dziewczyna obróciła się w prawo. Usłyszała coś, skrzypnięcie deski, szmer przesuniętego kamyczka, który się odbił od kutego mosiądzu.

Dostrzegła, że w zaułku coś się poruszyło, i postąpiła w tę stronę. Zeszła ze strumienia mocy.

Jej magiczne światło wyłoniło z mroku postać przeraźliwie wysoką, wyniszczoną, bladą jak trup. Z wydłużonych płatków uszu zwisały kościane łańcuszki. Włosy miała wygolone po bokach głowy, z długim kosmykiem pośrodku. Twarz sprawiała wrażenie zupełnie pozbawionej mięśni. Jakby skóra, żółtawo-biała niczym łój, opinała gołą kość, naprężona jak na bębnie. Oczy, głęboko zapadnięte w czaszkę, połyskiwały blado jak poświęta księżyców, źrenice były maleńkie, czarne i pulsujące. Pośrodku czoła widniała blizna w kształcie runy, czerwona i sina. Hebanowe szaty łopotały jak chorągwie śmierci.

Sauromicjan.

Wargi, wąskie jak ostrze noża, poruszały się.

Cofnął się w mrok zaułka i Riane poczuła nagły impuls pójścia jego śladem. Zrobiła kolejny krok w jego stronę i potrząsnęła głową. Miała wrażenie, że znajduje się pod wodą. Te poruszające się wargi. Rzucił zaklęcie.

„Trzymaj się wyznaczonej trasy”, ostrzegła Perrnodt, „Nie zbaczaj”.

Riane instynktownie rzuciła Rozbicie Okowów i uwolniła się spod zaklęcia sauromicjana. Zajrzała w głąb zaułka, lecz tamten zniknął. Odwróciła się, szukała strumienia mocy, ale on też zniknął.

Zgubiła drogę i Za Hara-at ją pochłonęło.

Pyphoros tak trząsł Kurganem, że chłopak był bliski utraty przytomności. Arcydemon powrócił do ciała Nith Batoxksa, lecz po osobowości Gyrgona nie pozostało już śladu. Została całkiem zniszczona.

Pyphoros spostrzegł, że oczy Kurgana błyskają białkami, i z całej siły go spoliczkował, przywracając do przytomności.

–Za twoją bezczelność i zdradę powinienem cię natychmiast zabić. Część mnie chce tego, twoja śmierć sprawiłaby tej części olbrzymią przyjemność. Lecz poświęciłem ci zbyt wiele czasu i energii. Czytałem z wnętrzości zmarłych i wiem, że masz do odegrania ważniejszą rolę, że pisane ci donioślejsze przeznaczenie, niż przypuszczasz. – Przysunął twarz Kurgana do swojej. – Wiedz, że pokochałem cię, jak ojciec kocha własne dziecko. Lecz jesteś krnąbrny i nieposłuszny. Uważasz, że potrafisz przechytryć każdego, nawet mnie. Należy ci pokazać, jak bardzo się mylisz. – Jego twarz była tak blisko Kurganowej, że regent czuł jego przesiąknięty gorącą siarką oddech. – Przysięgłeś i potwierdziłeś to własną krwią, a teraz rozmyślnie tę przysięgę złamałeś. Tego nie można puścić płazem. Jesteś mój, Kurganie Stogggulu. Wybieram cię i biorę w posiadanie. Będziesz nosił piętno, które nie pozwoli ci o tym zapomnieć.

Otworzył usta, wysunął długi, cienki, czarny język. Język ten wił się jak wąż i drżał, zbliżając do twarzy Kurgana. Regent naprężył się, spróbował odchylić głowę, lecz Pyphoros mocno go trzymał.

–Czyżbym wyczuwał strach, Kurganie Stogggulu? – zamruczał Pyphoros. – Nareszcie strach?

Kurgan obrzucił go wściekłym spojrzeniem.

–Wspaniale. Dobrze cię wyszkoliłem, nieprawdaż? Nauczyłem cię, jak zmienić serce w kamień. – Czarny język zbliżał się do szyi Kurgana. – A teraz raz na zawsze nauczysz się posłuszeństwa.

Czubek języka arcydemonia otworzył się i w zagłębienie szyi regenta skapnęła kropla zielonkawej cieczy. Każdy inny na pewno by wrzasnął, lecz Kurgan w milczeniu zacisnął zęby. Czubek znów się otworzył i wysączyła się druga kropla. Ból przeniknął chłopaka aż do szpiku kości i tym razem Kurgan jęknął.

–Ramahanie uważają, że śliny arcydemonia należy za wszelką cenę unikać, bo powoduje ona niewyobrażalny ból. – Twarz Pyphorosa wykrzywił potworny uśmiech. – To zaledwie dwie jej krople, regencie. Pomyśl tylko, co by zrobiła większa ilość.

Kurgan drżał, zlany potem. W końcu dotknął otwartej rany. Ból znowu pozbawił go oddechu.

–Napiętnowałem twoje ciało moim znakiem, Kurganie Stogggulu. Ilekroć na niego spojrzysz, wspomnisz, że nasze losy są złączone.

Arcydemon niezbyt łagodnie postawił Kurgana.

–Nie traciłem czasu, tkwiąc w tym więzieniu. – Ukarał już regenta i teraz przyjął pozę nauczyciela, którą, jak Kurgan wiedział, szczególnie lubił. – Podziałów w Bractwie, powstałych za moim poduszczeniem, nie da się już naprawić. Nith Sahor, jedyny Gyrgon, który by mógł naprawić szkody, nie żyje. Khaggguni, zgodnie z życzeniem Gyrgonów, unicestwili waszych kapłanów, zakazali kultu waszego boga, Enlila. Bashkirzy kłócą się pomiędzy sobą, niegdyś potężni Khaggguni miękną i stają się nerwowi, a wy wciąż tu tkwiecie, śniąc salamuuunowe sny, powoli i nieodwołalnie poddając się degrengoladzie. Czemuście nie odlecieli?

–Mam dla Gyrgonów równie mało respektu jak ty – odezwał się Kurgan. – Może nawet mniej.

Pyphoros uderzył go tak mocno, że chłopak runął na podłogę laboratorium.

–Skoro nie szanujesz własnego wroga, to jak chcesz go pokonać? – Postawił Kurgana na nogi. – To samo dotyczy sprzymierzeńca.

Kurgan otarł krew z twarzy. Poczul jej smak w ustach. Dotknął pulsującej rany w zagłębieniu szyi. Już się zasklepiła, pozostawiając niewielki ślad, ciemny jak tatuaż Sarakkona.

–Czego ode mnie chcesz?

–Tajemnic. Informacji. Władzy. Od kiedy wróciłem do tej sfery, szukam Daru Salaat, wybrańca Miiny, wielkiego bohatera z proroctw.

–Dlaczego?

–To takie niesprawiedliwe! – Demon wygrażał z wściekłością pięściami. – Uwięziła nas wszystkich bogini, która straciła rozum!

–Mówisz o kundalańskiej bogini Miinie? To ona istnieje?

–Gdybym nie był tak okropnie wściekły – natarł na niego Pyphoros – to rozbawiłby mnie twój wyraz twarzy. Jasne, że istnieje.

Łypnął na Kurgana.

–Przecież pojmujesz coś z tego, Kurganie Stogggulu, nieprawdaż? Jesteś z tych wyjątkowych V'ornnów, którzy rozpoznają prawdę, kiedy się na nią natkną. – Jego oczy zdawały się obracać w oczodołach. – A odpowiedź na twoje pytanie brzmi: szukam portali do Otchłani. Wspominałem ci o nich. Należy otworzyć wszystkie siedem i dopiero wtedy będę mógł uwolnić demony z trwającej eony niewoli. Jedna i tylko jedna osoba może tego dokonać.

–Dar Sala-at?

–To by było wygodne, prawda? – Pyphoros potrząsnął głową. – Nie.

Przepowiedziano, że to ktoś inny. Zasłona Tysiaca Łez ma go rozpoznać. To dlatego chcę ją za wszelką cenę zdobyć. I to ty, regencie, mi w tym pomożesz.

Terrettt popatrzył na Marethyn, zamrugał, strząsając z rzęs łzy.

–On płacze – wyszeptala, pochylając się nad nim.

–Podalem mu coś nowego, całkiem innego, dobranego specjalnie z myślą o jego powiększonym atiwarze. – Kirill Qandda siedział na wysokim stołku w pokoju swojego pacjenta w Błogosławiącym Duchu. – Płacz to dobry znak.

Za oknem rozciągała się smagana wiatrem promenada, mroczna i opustoszała. Srebrny deszcz siekł wzburzone Morze Krwi. Statki z ciasno zwiniętymi żaglami kołysały się na kotwicach. Deszcz zalewał ich pokłady, tryskał strumieniem ze splywników. Porywy wichru ciskały krople w nietłukące się szyby okien przytułku. Ten dźwięk sprawił, że Terrettt odwrócił głowę.

–To deszcz, najdroższy – powiedziała łagodnie Marethyn, dotykając jego policzka. – To tylko deszcz.

Na ścianach – poza topograficzną mapą Północnego Kontynentu, którą Marethyn mu kupiła – wisiały również jego najnowsze obrazy, na których, jeszcze wyraźniej niż na wcześniejszych, dominowało siedem plam przypominających dziewczynie niewielkie wodne wiry. Uważała, że te obrazy są piękne, hipnotyzujące, niemal nadprzyrodzone, jakby nie wyszły spod pędzla V'ornna.

–Marethyn, odkryłem coś, badając przypadek Terrettta – odezwał się Kirill Qandda. A kiedy na niego spojrzala, podjął: – Odkryłem, że przy badaniu maleńkiego Terrettta asystował Gyrgon. Uważam, że to właśnie on eksperymentował z atiwarem niemowlęcia. Nazywa się Nith Batosxx. Znasz go?

Marethyn natychmiast przypomniała sobie rozmowę Sornnna i Rady w „Spice Jaxx’s”. Gyrgon Nith Batosxx usilnie starał się poznać lokalizację siedmiu portali. Lecz co to miało wspólnego z biednym Terretttem? Potrząsnęła głową. Nie było po co wtajemniczać Deirusa w te sprawy. Kirill Qandda skinął głową.

–Chcę, żebyś do niego mówiła. Odezwij się do brata.

–Terrettcie. – Odwróciła mu głowę tak, że znów patrzyła w jego czarne oczy. Przepelniała ją miłość do niego i to sprawiło, że się zadumała, czy jest ktoś, kto kocha Majję i Basse'a, dwoje partyzantów, których poznała. Czekala na wieści od Rady, żeby ich zabrać na trasę transportu broni. – Terrettcie, to ja, Marethyn.

Poznajesz mnie?

Przez chwilę nic się nie działo, a potem chłopak sztywno kiwnął głową.

–Och, Terrettcie! – Łzy spływały jej po twarzy. Ucałowała jego czoło, policzki. Już miała się odsunąć, kiedy poczuła na głowie jego dłonie, leciutkie jak pajęczyna. – Terrettcie?

Kirll Qandda pochylił się, bardzo skupiony, i gestem dał jej znak, żeby ciągnęła to dalej.

–Terrettcie, czy ty...?

Otworzył usta i wydał jakiś dźwięk.

–Słucham? – Nadstawiła ucha.

Dźwięk się powtórzył.

–Powiedział „w górę”! – wyszeptała bez tchu Marethyn. – Jestem tego pewna. Słyszałam.

Z pomocą Deirusa posadziła brata. Obejmował ją. Nie chciał jej puścić i to sprawiło, że się roześmiała przez łzy. Kiedy to ostatnio śmiała się w tej sali? Nigdy. Nigdy przedtem.

Wargi Terrettta znów z trudem się poruszały, więc spytała:

–Co, skarbie? Co chcesz powiedzieć?

–Mar.

Oczy jej rozbłysły.

–Mar-e-thyn.

–Tak, Terrettcie! Marethyn! – wykrzyknęła, zachwycona. – Czy możesz powiedzieć...

–Mar-e-thyn. Czy. Możesz. Zobaczyć?

Zmarszczyła brwi.

–Co zobaczyć, skarbie?

Twarz mu się wykrzywiła. Pocił się z wysiłku, usiłując wymówić słowa.

–Czy. Możesz. Zobaczyć. Co. Mam. W. Umyśle.

Marethyn przekrzywiła głowę.

–Jakże mogłabym to zrobić?

–Co. Ja. Muszę. Malować.

Dziewczyna znów zmarszczyła brwi.

–Musisz? Kochanie, czemu musisz cokolwiek malować?

Kirlll Qandda zeskoczył ze stołka i zdjął ze ściany jedno z malowideł Terrettta. Podszedł do nich, pokazując je.

–Coś takiego jak to? – spytał.

–Patrz – powiedział Terrett, z trudem wymawiając słowa. – Patrz.

–Na co patrzemy, Terrettcie? – spytał Kirlll Qandda.

Terrett niecierpliwie stukał palcem w każdy „wirek”.

–Patrz – powiedział. – Patrz. Patrz. Patrz.

Stało się to zupełnie przypadkiem. Marethyn siedziała na wprost brata. Dokładnie za nim wisiała wielka mapa. Wpatrywała się intensywnie w malowidło i uderzyło ją, że barwy odpowiadają tym na mapie. Potem drgnęła, uświadamiając sobie, że kształty też są mniej więcej zbliżone.

–Chwileczkę!

Wzięła malowidło i podeszła z nim do mapy. Terrett się obrócił i zaczął wydawać pełne ekscytacji dźwięki. Kirlll Qandda podszedł do niej.

–O co chodzi?

–Spójrz – powiedziała.

–Spójrz! – powtórzył Terrett z ogromnym entuzjazmem. – Spójrz! Spójrz! Spójrz!

–Obraz odwzorowuje Północny Kontynent. – Rozejrzała się. – I wszystkie inne najnowsze malowidła też!

Podąła obraz Deirosowi, wzięła jeden z pędzli Terrettta, umoczyła w szkarłatnej farbie. Przyjrzała się uważnie malowidłu i zaznaczyła na mapie miejsce

odpowiadające pierwszemu z „wirków” na obrazie brata.

–To w Axis Tyr – stwierdziła Marethyn. – Wschodnia dzielnica.

–Tak! – potwierdził radośnie Terrettt. – Tak, tak, tak!

–Drugi jest w Stone Border. – Zrobiła kolejny znak i następny. – I jeszcze tu, na północ od wodospadu Niebiańska Kaskada.

Marethyn naniosiła na mapę cztery kolejne znaki, zgodnie z malowidłem brata. Znalazły się w sercu Wielkiego Voorgu, w Wielkim Ryfcie w Djenn Marre i na południowej wyspie Wysklepionej Czaszki, tuż u wybrzeża Morza Świetlistego. Ostatni znak namalowała przy maleńkim, podupadłym miasteczku Im-Thera w Korrushu. Trzymając w dłoni czerwony pędzel, odwróciła się i spojrzała na brata.

–Co aż tak ważnego znajduje się w tych miejscach? – zapytała. – Co tkwi w twoim umyśle, Terrettcie? Co chcesz mi przekazać?

Terrettt starał się coś powiedzieć, lecz tylko się ślinił.

Marethyn popatrzyła na siedem szkarłatnych znaków, które naniosiła na mapę, i nagle zrozumiała. Pojęła, że Terrettt, kierowany jakąś nieznaną mocą za pośrednictwem swojego zmienionego przez Gyrgona atiwaru, zlokalizował siedem portali, których rozmieszczenie tak strasznie chciał poznać Nith Batosxx. Lecz jakże to było możliwe? Czy Gyrgon zrobił z Terrettta coś w rodzaju samonaprowadzającej się wiązki? Myśl o tym, co zrobił jego bratu Nith Batosxx, przypawiła Marethyn o zimny dreszcz.

Wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń. Była zimna. A w oczach brata ujrzała strach.

Terrettt z całej siły się w nią wczepił.

–Tam. Coś. Jest – powiedział. – Tkwi. W. Mroku. Czeka. Karmi. Się. Knuje.

–Co? – zapytała z bijącymi sercami. – Co jest w mroku?

–Tkwi. W. Mroku. Cierpliwie. Czeka.

–Na co czeka?

–Tkwi. W. Mroku. Czeka. Żeby. Siedem. Się. Otwarło. I. Żeby. Nadszedł. Kres.

Riane, samiutka w mrocznym Za Hara-at, zastanawiała się, gdzie jest sauromicjan i kiedy znów spróbuje ją zaatakować. Przespacerowała się we wszystkich kierunkach, lecz nie odnalazła śladu strumieni mocy. Wyczuła przy udzie coś ciepłego. Wsunęła rękę w szaty, odnalazła źródło ciepła i wyjęła kamyk, który dostała od Mu-Awwula,

wodza Ghorów. Zobaczyła, że podobizna fulkaana, wielkiego ptaka proroka Jiharrego, pała pomarańczowym blaskiem. „Z podobizny fulkaana emanuje moc i duchowa płodność, powiedział jej wódz. Rozsądnie się tym posługuj”.

Przytknęła kciuk do podobizny i wyczuła pulsowanie strumienia mocy.

Wróciła na trasę, wdzięczna Mu-Awwulowi za dar. Wcześniej kamyk „naładował” kosmiczny brzeszczot, a teraz niczym boja naprowadził ją na właściwą drogę. Szła szybko, pragnąc dotrzeć do celu i oddalić się od sauromicjana.

Szlak wiódł w głąb labiryntu wymarłego miasta. Często natykała się teraz na pęknięcia w ulicach, na zapadnięte tereny – albo było to dziełem natury, albo wynikiem działalności Bey Das. Drewniane drabiny ze szczeblami owiniętymi szmatami prowadziły na niższy poziom. Wszędzie, niczym gęsta mgła, panowała głucha cisza. Chłodny wiatr dmuchał zza węgła i gnał opustoszałymi ulicami. Nie było ani śladu sauromicjana.

Stopniowo znikaly oznaki archeologicznej działalności ekipy Bey Das. W końcu Riane, idąc za strumieniem mocy, trafiła na mały i nijaki plac. Ze wszystkich stron tłoczyły się jakieś budowle. Uklękła, przesunęła palcami po osadzonych w bruku runach z lazurytu i cesarskiego karneolu. Był to plac Moralnego Ryzyka.

Pośrodku stał stożkowaty cokół z czarnego bazaltu. To było ciekawe, bo ten twarde kamień, dość pospolity w okolicach Axis Tyr, był nie znany w Korrushu. Nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, jak go tutaj ściągnięto. Podeszła bliżej i zobaczyła, że na cokole ustawiono wielką, zaśnieżoną ze starości miedzianą misę. Obeszła cokół dokoła i jej magiczne światło wydobyło z ciemności symbole wyrzeźbione na każdym z trzech boków. SIEDLIKO PRAWDY, SIEDLIKO SNÓW, SIEDLIKO TAJEMNEJ WIEDZY. Trzy punkty, wokół których zbudowano Kellsy w Opactwie Opływającej Jasności, odpowiadały ciemieniu, sercu, środkowi czoła.

Riane podeszła bliżej, przypominając sobie to, czego się nauczyła od shima Veddy. Pierwsza zasada archeologii mówiła, że im więcej czasu poświęcano jakiejś budowli, artefaktowi czy rzeźbie, tym były ważniejsze.

Stanęła przy cokole i zajrzała w miedzianą misę. Okazało się, że to wcale nie była misa, tylko studnia, taka sama jak w opactwie, wypełniona czarną jak smoła wodą.

„Zasłona Tysiąca Łez znajduje się w przerażającej kryjówce”, powiedziała jej Perrnodt. Jest zamknięta w ognistej szkatule, otoczonej warstwą wody; pomiędzy ogniem a wodą znajduje się mroczna próżnia.

Riane była przekonana, że właśnie dotarła do tej warstwy wody.

31. Oto nadchodzą Ja-Gaar

Minum wpatrywał się ponuro w padający deszcz ze śniegiem, rozpryskujący się na kamiennej cysternie pośrodku dziedzińca Muzeum Nieprawdziwych Wspomnień. Siedział na pozbawionym oparcia kamiennym siedzisku pod okapem loggii. Deszcz bębnił o dach. Minnum pogrążył się w zadumie. Niczym Kundalanin, który stracił nogę, rozmyślał o tym, jakie było przedtem jego życie, i znów poczuł namiastkę tego dreszczu, jaki niegdyś budziła w nim jego moc. Wsparł głowę na dłoniach. Szum deszczu ze śniegiem, smagającego dziedziniec, był jak złośliwy, drwiący zeń szept. Jak kowal trzyma w garści żelazne gwoździe, tak Minnum krył w głowie czarne myśli.

Mógł dalej tak trwać, okłamując wszystkich, łącznie z samym sobą. Albo też mógłby się zdobyć na odwagę i zrobić to, co powinien uczynić już dawno temu.

Przyglądał się, jak deszcz ze śniegiem przybiera na sile, siekąc jego dziedziniec, i zaczyna przypominać połyskujące kroplami pajęczyny. Ciekawe, że pomyślał „mój” dziedziniec. To o czymś świadczy. Rzecz w tym, czy chciał to usłyszeć czy też nie.

Nareszcie podniósł się z siedziska, wszedł do środka i stanął przy ogniu płonącym w dużym kominku z czarnego kamienia. Ogrzewał dłonie, przysunawszy je do płomieni. Dym unosił się w górę, a ogień trzaskał i strzelał iskrami, jakby coś przewidywał. Minnum westchnął, potrząsnął kudłatą głową. Wygiął palec i wbił długi ostry paznokiec w wewnętrzną stronę ramienia. Pojawiły się krople krwi; zebrał je na czubek palca i strząsnął do ognia, który strzelił w górę. Potem płomienie się zakołysały, jak od nagłego podmuchu, i na mgnienie oka stały się błękitno-zielone. Kiedy wróciły do zwykłej barwy, przed ogniem stała postać.

Była otulona od stóp do głów w pasiastą, ozdobioną koralikami szatę. Widać było jedynie oczy, jasne jak zimowe niebo. Dół twarzy osłaniał biały muślin z haftowanymi napisami. Minnum przymrużył oczy, lecz nie mógł się zorientować, czy to mężczyzna czy kobieta. Pewnie nie miało to znaczenia. Był to Druuge, członek tajemniczego plemienia nomadów, wędrującego po piaszczystych bezdrożach Wielkiego Voorgu. Minnum wierzył, że Druudzi byli pierwszymi Ramahanami, którzy odeszli, opuścili opactwa, zanim wkradło się tam zło. Byli mistykami i magami, których moc przerażała nawet jego.

–Dlaczego mnie przyzwałeś?

Druuge mówił, nie, pomyślał Minnum, to bardziej przypomina śpiew.

–Kręcą się tutaj arcydemony.

–Tak. Dwa portale zostały uszkodzone. Pyphoros...

–Pyphoros uciekł? – Minnum aż otworzył usta. – Myślałem, że tylko Horolagggii udało się wydostać.

Druuge zaczął powoli okręzać ekspozycję.

–Wiemy, kiedy to się stało.

To język był źródłem ich niezwykłej magii. Kolejny znany Minnumowi fakt, o którym nie mógł powiedzieć innym. Tak wiele tajemnic, pomyślał, takie straszne niebezpieczeństwo.

–Nigdy nie wolno nie doceniać arcydemonów – odezwał się Minnum, próbując poprawić swój status w obliczu Druuge’a.

–Nigdy nie wolno źle zrozumieć arcydemonów – poprawił go Druuge. Paciorki na jego szacie kołysały się miarowo.

Jego jasne oczy przerażały Minnuma. Wiele rzeczy go przerażało; dawniej było inaczej.

–Skoro Pyphoros powrócił do tej sfery – rzekł do Druuge’a – to zechce zdobyć Zastonę Tysiąca Łez.

–Chce jeszcze więcej – zaśpiewał Druuge. – Chce wszystkich ukrytych w Za Hara-at tajemnic.

–Ale zasłona na pewno jest...

–Maasra. W jakimż opłakanym stanie jesteś. Nawet nie potrafisz sobie przypomnieć właściwej nazwy. – Druuge przyglądał się przedmiotom zamkniętym w kryształowej gablocie. – Niegdyś byłeś elokwentny. Twoje słowa miały wieszczą moc. A teraz... Spójrz, jak nisko upadłeś. – Druuge odwrócił się nagle, ujął dłoń Minnuma w obie ręce. – Dając ci pracę kustosza, pozbawiając cię czarnego palca, którym Miina cię napiętnowała za wasz wspólny grzech, widzieliśmy dla ciebie iskierkę nadziei.

Druuge puścił dłoń Minnuma, podszedł do następnej kryształowej gabloty; paciorki cicho postukiwały.

–Lecz jaki pożytek z kustosza na poły pozbawionego pamięci? Miina odebrała ci to, co czyniło cię tym, kim niegdyś byłeś. I teraz już wiesz, były sauromicjanie, że moc jest niczym wysypujący ci się z rąk piasek. Zamykasz palce, zaciskasz je w pięść. A piasek i tak ucieka.

–Nie przypominaj mi o tym – odezwał się posępnie Minnum. – Mozoliłem się tutaj, niemal w całkowitej izolacji, przez wiele lat. Nikogo nie zabiłem, powstrzymałem się

od wróżenia poprzez uśmiercanie. Od kiedy znalazłem się w muzeum, nie praktykowałem mrocznej sztuki nekromancji.

–Starasz się wzbudzić litość we mnie czy też sam się nad sobą litujesz? –
Wszystkie paciorki wibrowały od magicznej śpiewnej intonacji Druuge’a.

–Dałem Darowi Sala-at kosmiczny brzeszczot. Zrobiłem dokładnie to, co nakazał mi czerwony smok. – Minnum starał się nie rozglądać dokoła, na wypadek gdyby Druuge rekonstruował rzeczywistość. – Odpokutowałem, a i tak, jak to nazywasz, piasek nadal ucieka.

Milczenie Druuge’a zdawało się oskarżycielskie.

–Miałem kosmiczny brzeszczot i nie posłużyłem się nim.

Wyblakłe oczy Druuge’a zmroziły Minnuma chłodnym spojrzeniem.

–Sądziś, że odpokutowałeś? A przecież z twoich słów jasno wynika, że wciąż pragniesz władzy. Kosmiczny brzeszczot był przeznaczony dla Daru Sala-at. Gdybyś spróbował go użyć, upadłbyś jeszcze niżej.

–Niżej już nie można się znaleźć. – Minnum dygotał od tłumionych emocji. – Ty, najświętszy ze świętych, nie możesz wiedzieć, jak to jest należeć do wyklętych. – Odrzucił w tył głowę. – Chcę odzyskać dawne życie! – Był to krzyk gniewu i bólu.

–To, co miałeś, nie może wrócić. – Druuge przystanął przed kolejną gablotą, zajrzał do jej wnętrza. – Ale otrzymasz nowe życie, jeżeli wystarczająco będziesz tego pragnąć.

Minnum wpatrywał się w Druuge’a. W kącikach jego oczu drżały łzy.

Druuge mierzył go groźnym spojrzeniem.

–Niegdyś byłeś mądry. I znów możesz być. Miina w swej niezmierzonej mądrości nie pozbawiła cię tej możliwości. Lecz najpierw musisz odnaleźć mądrość w głębi własnego ducha, tam, gdzie najgłębsza jest rana zadana ci przez Miinę. Po co mnie przyzwałeś, były sauromicjanie – dorzucił Druuge.

Minnum się przygarbił.

–Uważam, że... przez te lata... To już tak dawno... Ja...

–Powiedz, szczęśliwyś tu?

–Nie chcę...

–Nie. – Druuge uniósł ogorzałą od słońca rękę. – Nie mów, czego nie chcesz, póki nie jesteś pewny, że to nie dla ciebie. Nie bez przyczyny znalazłeś się w tym uświęconym miejscu. W tym muzeum tajemnic zaczyna się twoje nowe życie. Jeżeli tego zechcesz. – Druuge wrócił przed kominek. – Jesteś urodzonym kustoszem, choć może tak nie uważasz.

–Co po kustoszu, który nie zna przeznaczenia swoich eksponatów?! – wykrzyknął Minnum.

–Wiedza jest nieszkodliwa, póki pragniesz jej ty lub tobie podobni. Lecz staje się orężem, kiedy ty lub tobie podobni ujrzyecie w niej środek do celu.

Pieśń Druuge’a nagle stała się dysonansowa i Minnum zasłonił uszy owłosionymi rękami, przerażony, że Druuge zawali mu na głowę budynek.

–Byłeś świadkiem czegoś takiego. Byłeś tam, kiedy zabrano Perłę.

–Tak.

–Stałeś z boku i nic nie zrobiłeś.

–Tak.

–Przyłączyłeś się do bezbożników. Stałeś się bezbożnikiem.

Minnum dygotał. Szczękał zębami i modlił się, żeby tylko się nie zmoczył. Nie pamiętał, żeby się kiedyś tak bał.

–Wytężaj umysł – zaśpiewał Druuge. – Staraj się sobie przypomnieć, gdzie spoczywa twoja mądrość. Ona na ciebie czeka. W cierpieniu. W przyszłości.

–Cóż więcej mogę zrobić ponad to, co już zrobiłem? – zakrzyknął przerażony Minnum. – Miina mnie spętała.

–Nie tobie orzekać, co uczyniła wielka bogini. W istocie ofiarowała ci największy dar. Szansę rozpoczęcia wszystkiego na nowo. Tylko od ciebie zależy, czy tę szansę wykorzystasz.

Minnum postąpił krok ku Druuge’owi.

–Chcę...

–Czego? Mocy? Pomsty? Zadośćuczynienia za niesprawiedliwość, która cię spotkała?

–Drażnisz się ze mną.

–Chcesz zapytać, jak długo jeszcze potrwa twoja kara.

Minum, ogromnie przerażony, mocno zacisnął usta. Dokładnie o to chciał spytać.

–Czegoż chcesz, były sauromicjanie? Mnie musisz powiedzieć prawdę. Zorientuję się, jeżeli skłamiesz, i to będzie twój kres.

Minum ani przez moment nie wątpił w słowa Druuge'a. Serce mu się tłukło. Na gałęzi drzewa siedział czarnowron. Przeraźliwie ostro widział tego ptaka. Podjął decyzję, odrzucił całą resztę. Szczere wyznanie przyniesie mu ulgę.

–Chcę się nie bać.

W kącikach wyblakłych, przerażających oczu pojawiły się zmarszczki i Minnum wiedział, iż Druuge się uśmiecha.

–Oto początek – zaśpiewał.

–Co on powiedział? A tak, kazał mi mieć na ciebie oko, bo jesteś takim porywczym młodzianem – mruknął zde gustowany generał polny Lokck Werrrent. – Mam cię szpiegować, gwiazdny admirał, w twoim najlepiej pojętym interesie oraz w najlepiej pojętym interesie modalności. Regentowi z całą pewnością nie brakuje tupetu.

–Chce nas poróżnić – stwierdził Olenn. – Napuścić na siebie. To w ten sposób doprowadził do upadku własnego ojca i gwiazdnego admirała Kinnnusa Morchę. Podpuszczeni, sami wykonali za niego brudną robotę.

Werrrent i Olenn stali pod pasiastą markizą hałaśliwej i zatłoczonej kawiarni. O rzut kamieniem od nich deszcz ze śniegiem bębnił o kamienie olbrzymiego placu. Krzepki Mesaggun walczył z Khaggunem na jaskrawo oświetlonej arenie kalllistotos. Uniesione twarze widzów ociekały wilgocią, tłum przepychający się, rozwrzeszczany, niezdyscyplinowany. Nikt nie zwracał uwagi na okropną pogodę, chociaż od czasu do czasu któryś z zawodników się ślizgał.

Już wymienili informacje co do zamierzanego przez Kurgana wstrzymania akcji wszczepiania okummonów Khaggunom.

–Powiem bez ogródek – oznajmił Lokck Werrrent.

Na wąskich ustach Olenna zaigrał uśmieszek.

–Jak zawsze, wypróbowany przyjacielu.

–Jestem nieco skrepowany.

Olenn obejrzał się przez ramię na Radę w błękitno-zielonej zbroi, ze złotym herbem

gwiazdnego admirała na piersi i naramiennikach. Jasne, że w tej sytuacji czekają go kłopoty. Cóż, jedynym wyjściem było twardo upierać się przy swoim. Tylko w ten sposób narzuci innym swoją wolę.

–Rada jest moim adiutantem sztabowym. Gdzie ja, tam i ona.

–Ale to Tuskuggun. To nie ma sensu, gwiazdny admirale. Jeżeli wolno mi wyrazić swoje zdanie, to może jedynie zachwiać twoją pozycję, podważyć respekt, jaki do ciebie czują.

Olnnn splótł dłonie za plecami, zapatrzył się na walkę.

Los się odwrócił. Khagggun coraz energiczniej atakował krzepkiego Mesaggguna. Krew się lała, wrzaski kłębiącego się tłumu przybrały na sile.

–Ufam, że nie muszę ci przypominać – odezwał się Werrrent – że w sprawach lojalności Khaggguni mają krótką pamięć. Żyją zgodnie z dewizą „coś dla mnie ostatnio zrobił?” I nic dziwnego. Każdego dnia żąda się od nich, by ryzykowali życie. Trzeba im więc nieustannie przypominać, komu są winni lojalność.

Na arenie kalllistotos Mesagggun zaczął się słaniać. Tłum wył, czując zbliżający się koniec.

–Są jak dzieci, gwiazdny admirale. I tak jak w przypadku dzieci, ich uwielbienie może się zmienić w odrazę. – Werrrent stał sztywno wyprostowany; patrzył na zwycięskiego Khaggguna unoszącego ramię w triumfalnym geście. – Trudno być idolem. Ciężko sprostać rosnącym oczekiwaniom. No i jeszcze to: przy pierwszej pomyłce wielbicielę mogą się zmienić w morderców. Dlaczego? Bo wzgardzą tobą za to, żeś zrobił z nich głupców.

–Uważasz Radę za pomyłkę?

–Ależ, gwiazdny admirale, wiesz, że moja opinia jest nieistotna.

Olnnn się uśmiechnął.

–Wprost przeciwnie, Lokcku. Tak jak ty myślą inni, zarówno wyższe dowództwo, jak i średni szczebel oraz niżsi rangą. – Uniósł dłoń. – Nie marnuj naszego czasu na zaprzeczanie. Bo przyznasz, że żaden z nas nie ma czasu do stracenia.

–Regent wspominał o awansowaniu mnie – rzekł Werrrent.

Olnnn obserwował srebrne krople deszczu.

–Chcesz tego?

–Nie z jego rąk.

Olnnn się uśmiechnął; dobrze wiedział, co Werrrent ma na myśli.

–Właśnie wakuje stanowisko admirała pokładowego.

–Myślałem raczej o admirale floty.

–Awans o dwie rangi. To by dało powód do gadania. Na Kundali było jedynie dwóch admirałów floty.

–Ale nie takich jak ten twój nowy adiutant sztabowy – rzekł sucho Werrrent.

–Jest tutaj, bo taki rozkaz wydałem – warknął Olnnn. – Jeżeli to za mało...

–Mnie zupełnie wystarczy, gwiazdny admirale. – Lokck wzruszył ramionami. – Gadają głównie o tym, że nosi kord. Na pewno na pokaz, a to nie w stylu Khaggunów.

Olnnn pojął, do czego powinien doprowadzić. Jeżeli nie będzie mógł liczyć na to, iż Lokck Werrrent zaakceptuje Radę, to na pewno nie zaakceptuje jej żaden Khaggun – i wówczas istotnie popełniłby fatalny błąd. Skinął na nią w milczeniu, a kiedy stanęła u jego boku, rzekł do Werrrenta:

–Założmy się: mój adiutant sztabowy i wybrany przez ciebie Khaggun będą walczyć na arenie kallistotos. Jeżeli przegra, to zniknie, a ty zostaniesz admirałem floty. Lecz jeśli wygra, zostaje, a ty zachowasz obecny stopień, twój Khaggun zaś zostanie zdegradowany. – Olnnn uśmiechnął się szeroko. – Co ty na to?

–Blefujesz – stwierdził Lokck Werrrent.

–Wybierz swojego mistrza.

Werrrent trwał bez ruchu. Rada wiedziała, że rozważa wszelkie za i przeciw tego zakładu. Przy tak wysokiej stawce – awans, który najwyraźniej wiele dla niego znaczył, i ewentualna kompromitacja – wolałby go nie przyjmować, takie przynajmniej było jej zdanie. Lecz wycofanie się byłoby równoznaczne z upokorzeniem. Uznała, że Olnnn zaszarżował. Zapędził generała polnego w narożnik. Ona zaś, prowadząc „Krwistą Falę”, zawsze się starała znaleźć rozsądne wyjście z sytuacji dla przeciwników, którzy starli się w tawernie, bo wiedziała, że tylko tego potrzebują, żeby załagodzić konflikt.

–Gwiazdny admirale – odezwała się, zanim Werrrent zdążył coś powiedzieć – czy mogłabym...

–Milcz, adiutancie sztabowy. – Olenn spojrział na nią ostro. Czyżby nie wiedziała, o co chodzi? – Odzywaj się tylko wtedy, kiedy do ciebie mówią.

–Chwileczkę, gwiazdny admirał – rzekł Werrrent, byle tylko odsunąć w czasie niemiły wybór, do którego go zmuszano. – Chciałbym usłyszeć, co ma do powiedzenia.

Olenn patrzył z wściekłością na Radę, lecz Werrrent przemówił do niej jak do dziecka:

–Mów, adiutancie bez nazwiska. Nie obawiaj się. Znam gwiazdnego admirała całe jego życie. W tych sprawach groźniej warczy, niż działa.

–Mam na imię Rada, generale polny. Adiutant sztabowy Rada TurPlyen.

Powoli wyjęła kord z pochwy. Obaj Khagguni bacznie ją obserwowali. Żaden nie wiedział, co powie lub zrobi ani co zamierza. Właściwie nic nie powiedziawszy, sprawiła, że znów byli po tej samej stronie. Oni dwaj przeciwko niej – sytuacja im znana jest dla nich dogodniejsza.

–Gwiazdny admirał osobiście mnie szkolił, generale polny. Ponieważ znasz go całe jego życie, wiesz, co to oznacza. Jestem dobra. Mam znakomite odruchy i jestem szybka. Ale się nie łudzę. Nie byłabym godnym przeciwnikiem dla żadnego zawodnika, który szlifował swoje umiejętności w boju. – Odwróciła kord, położyła ostrza na dłoni, gardą ku Lokckowi. – Poddaję się, generale polny.

Lecz Olenn już się znalazł pomiędzy nimi.

–To niemożliwe, Rado. To zakład pomiędzy mną a generałem. Nie ty...

Zamilkł, bo Werrrent położył mu dłoń na ramieniu.

–Ona jest w zbroi, gwiazdny admirał, ma broń. Ma do tego prawo.

Olenn odwrócił się ku niemu:

–Ależ Lokcku...

–Albo jest jedną z nas, albo nie.

Olenn wahał się przez chwilę, potem się odsunął.

–Więc weź jej broń.

Werrrent nawet nie drgnął, powiedział za to:

–Włącz go.

Olnnn mu się przyjrzał.

–Słucham???

–Jeżeli jest Khaggunem, to utrzyma kord z działającymi klingami.

–Nie jest na to przygotowana. Nie ma pojęcia.

Spokojne spojrzenie Werrrenta spoczęło na Radzie.

–Poddała mi się. Mam prawo zażądać tego od każdego wojownika.

Rada pomyślała, że Olnnn sprawia wrażenie ogłuszonego. Skinął głową. Nie musiała patrzeć na jego twarz, żeby wiedzieć, iż został zaskoczony.

Nie spuściła wzroku pod badawczym spojrzeniem generała polnego. Kątem oka ujrzała, że Olnnn staje obok niej. Już kiedyś tak trzymała kord. Wiedziała, co ją czeka. Ale i tak pierwsza fala straszliwego bólu – kiedy Olnnn włączył przepływ jonów – pozbawiła ją oddechu. Chciwie wciągnęła powietrze. Ale nie skrzywiła się ani nie krzyknęła. Obaj Khagguni ją obserwowali. Ból dotarł do serc, Rada skoncentrowała się na oddychaniu. Ból był tak przeraźliwy, że miała wrażenie, iż musi zakłócić pracę wszystkich ważnych narządów. Zaczęły jej drżeć dłonie.

–Generale polny... – powiedział cicho Olnnn.

Werrrent stał nieruchomo, milczał.

Drżenie ogarnęło przedramiona Rady. Koncentrowała się na oddychaniu, na tym, żeby nie upuścić korda. Ból sunął w górę kręgosłupa, dotarł do karku, wybuchnął w mózgu. Cała się trzęsła.

Gdzieś z bardzo daleka usłyszała głos Olnnna.

–Niech to N'Luuura, Lokck!

Generał polny rzekł:

–Wyłącz.

Lecz kiedy Olnnn chciał to zrobić, uniósł dłoń.

–Nie. Musi to zrobić sama.

–Lokck...

–Jeżeli to zrobi – ciągnął nieubłagane Werrrent – to pozostanie twoim sztabowym adiutantem. – Spojrzał na Olnna. – A ty, gwiazdny admirale, dasz mi to, czego chcę.

Olnn popatrzył na nią, zawołał jej imię, lecz nie odpowiedziała. Już dwa razy walczyła z utratą przytomności. Kolana miała jak z galarety, pierś opasywała tertowa obręcz zbroi, nie pozwalając oddychać.

Olnn znów wykrzyknął jej imię.

Zacisnęła jedną dłoń na klingach i omal znowu nie straciła przytomności. Drugą ręką biedziła się z przyciskiem wyłączającym strumień wzbudzonych jonów. Zdawało się jej, że palce ma trzy razy grubsze. Nic nie czuła. Jeszcze chwila i rozplacze się z bólu i frustracji i wszystko przepadnie. Wreszcie trafiła palcem w przycisk i strumień jonów zniknął.

Łzy napłynęły jej do oczu. Olnn już miał odebrać jej broń, kiedy do akcji wkroczył Lokck Werrrent. Wyjął korda z jej odrętwiałej dłoni i wsunął do pochwy. Potem rzekł do Olnna:

–Coś mi się zdaje, gwiazdny admirale, że sztabowemu adiutantowi TurPlyen przydałby się łyk czegoś mocniejszego.

Kelner w kawiarni przygotował im stolik i usiedli. Rada pomiędzy Olnnem Ryddlinem i Lokckiem Werrrentem. Cały personel się na nią gapił. Nie dbała o to. Werrrent zamówił „Psy N’Luuury” – jeden głębszy ognistej numaaadis i natychmiast potem kielich miodu.

Rada łyknęła mocny trunek i czuła, jak jej organizm powoli wraca do normy. Gimnastykowała dłonie pod stolikiem, tak żeby mężczyźni tego nie widzieli.

Lokck Werrrent otarł usta.

–Pozwól mi powiedzieć, gwiazdny admirale, że zakłady pomiędzy przyjaciółmi mogą doprowadzić jedynie do niezgody. Dobrze, że ten obaj uznaliśmy za niepotrzebny. – Nie wspomniał o Radzie, nie spojrział na nią; postawił jej khagguńskiego drinka i to wystarczy.

Olnn się roześmiał.

–Zgadzam się z tym, admirale floty.

–Pozostanę generałem polnym aż do oficjalnej ceremonii.

–Tak czy siak, będziesz odrobinę mniej zazdrosny.

–Nigdy nie byłem.

–Mój ojciec byłby zazdrosny, gdyby dożył do czasów, gdy w tak młodym wieku zostałem gwiazdnym admirałem.

Lokck Werrrent chrząknął. Wiedział, o czym tak naprawdę rozmawiają. Khaggguni niemal nigdy nie rozmawiali o sprawach tak osobistych jak synowskie przywiązanie. Uczono ich, by swoją jednostkę traktowali jak rodzinę. Kierowała nimi lojalność, nie uczucie. To dlatego takie chwile zdarzały się niezmiernie rzadko.

–Jestem zdania, że nadszedł czas na dwie armie. – Olnnn rozłożył ręce.

–To bajka. – Werrrent przelotnie spojrzął na Radę. – Coś mi mówi, że i ty powinnaś to usłyszeć, sztabowy adiutancie. – Splótł dłonie na stoliku. – Byli sobie dwaj bracia, tak sobie bliscy, jak tylko bracia mogą być. Aż starszy został regentem i, odurzony władzą, odsunął się od brata. Lata mijały, a oni coraz rzadziej rozmawiali, coraz częściej się kłócili. O co? O błahostki, z których przedtem by się śmiali. Lecz teraz te drobiazgi ogromnie ich drażniły, bo symbolizowały większy gniew, którego nie mogli okazać. Różnili się w sprawach polityki i etykiety, nadużywania władzy oraz łamania prawa. I tak młodszy brat, zrażony i przepełniony słusznym gniewem, zaczął zbierać armię podobnie jak on myślących V'ornnów. Regent, słysząc o zdradzie brata, zmobilizował własne wojska i wyznaczył cenę za głowę brata.

–To prawda? – spytał Olnnn.

–A czy to ważne? – Werrrent wyduł wargi.

Ulewny deszcz siekł plac, który szybko opustoszał po krwawym zakończeniu ostatniej walki kalllistotos.

–Armie starły się tuż przed świtem – podjął Werrrent. – Dorównywały sobie. Obie siały śmierć, zdziesiątkowały się nawzajem. Pod koniec dnia pozostała jedynie garstka niedobitków z każdej armii: otumanieni, okaleczeni, krwawiący. Już nie pamiętali, o co walczą, kto jest wrogiem. Lecz bracia wiedzieli. Cały dzień patrzyli z wysokich bastionów, jak giną lojalni wobec nich V'ornnowie, a teraz wreszcie ruszyli ku sobie, dumnie krocząc przez straszliwe pobojuwisko. Serca mieli twarde, podjęli stanowcze decyzje. Władza i zawiść pchały ich do walki. Walczyli całą noc, aż oddech wiązał im w gardle, a krew płynęła z ran, aż nie mogli ustać na drżących nogach. Nadal jednak walczyli, aż w końcu zmęczenie dało o sobie znać i młodszy brat zadał regentowi śmiertelny cios.

Zerwał się wiatr, deszcz ze śniegiem zacinał pod markizę łopoczącą hałaśliwie niczym czarnowron nadlatujący ku zwłokom.

–Wspaniała bajka – stwierdził Olnnn. – Pomszczono nadużycie władzy.

–Ale to jeszcze nie koniec. – Werrrent odchylił się na krześle. – Rany tak osłabiły młodszego brata, że nie zdołał się obronić przed jednym z własnych V’ornnów, który przebił mu serca. Ten V’ornn, pierwszy kapitan, na wpół szalony od zabijania, zebrał wokół siebie resztki obu armii i bezzwłocznie ogłosił się regentem. Wyczyny zabitego regenta były niczym wobec tych, do których okazał się zdolny ten V’ornn.

Olnnn głęboko odetchnął.

–A gdzie byli Gyrgoni?

Werrrent zamrugął.

–Słucham?

–Jak Gyrgoni mogli dopuścić do czegoś takiego?

–To bajka – powiedział Werrrent.

–Oczywiście.

–Ale i ostrzeżenie.

Olnnn skrzyżował ramiona na piersi. Werrrent przesunął po blacie pusty kielich. Popatrzyli na siebie, potem odwrócili wzrok. Kelner przeszedł obok, trzymając wysoko tacę z talerzami. Drugi zaczął uprzątać stolik. W głębi kawiarni roześmiał się jakiś V’ornn, klepiąc się dłońmi po udach. Weszli dwaj potężni Mesaggguni, otrząsnęli się niczym wyrpsy i usiedli; zalatywało od nich olejami i smołą. Na zewnątrz lało.

Olnnn dotknął swojego okummmmonu.

–Niech to N’Luuura – warknął – jesteśmy jak te cory przeznaczone na rzeź.

A Rada rzuciła:

–Nie, o ile pierwsi zabijemy regenta.

Kiedy konara Ingggres wróciła do Opactwa Optywającej Jasności, przekonała się, że panuje tam wielkie poruszenie, żeby nie powiedzieć strach. Nie miała najmniejszej ochoty natknąć się na arcydemony pod postaciami Giyan i Bartty, więc thrippingowała prosto do trójkątnego Kellu. Były to święte pomieszczenia, więc czuła się bezpieczna, jakby wciąż znajdowała się tu relikwia wielkiej bogini.

Pochyliła się i zwymiotowała. Zastanawiała się, czy ta nagła słabość nie jest aby objawem ogromnego strachu. Na szczęście mdłości szybko minęły.

Przypomniała sobie instrukcje Najwyższej Matki i zapaliła pochodnię z sitowia. W jej blasku ujrzała, że Ghosh, wyrzeźbiony z cytrynu wąż, nie stoi już tam, gdzie przedtem. Przesunięto go pod ścianę, jakby ktoś chciał go na powrót ustawić we wnęce. Rozejrzała się, jakby w obawie, że ktoś tu na nią czatuje i zamierza wyskoczyć z gęstych mroków. Z bijącym sercem oświetliła pochodnią wszystkie zakamarki, żeby się upewnić, że jest w Kellu sama.

Spociała się. Otarła czoło rękawem szaty, zamocowała pochodnię w ściennym uchwycie z brązu i uklękła przed piękną i groźną podobizną świętego węża. Wpatrując się weń badawczo, zauważyła, że oczy były odrębnymi elementami – cytrynowe kaboszony osadzone we wgłębieniach. Na każdym wyrzeźbiono tęczę i pionową źrenicę. Już miała dotknąć prawego oka, kiedy się zawahała. Rzeźba była tak doskonała, że wąż sprawiał wrażenie żywego. Trochę się bała, że ją ukąsi. Potem przypomniała sobie napomnienia Najwyższej Matki, że czas nagli, i zebrała się w sobie.

Czubkami palców wyczuła chłód półszlachetnego kamienia. Chwyciła oko i trzykrotnie przekręciła je w lewo, a ono wpadło wprost w jej dłoń. Było bardzo ciężkie. Dłoń jej wyziębła i Inggres zaczęła drżeć.

Lecz nie zrezygnowała. Postępując według wskazówek Najwyższej Matki, wzięła pochodnię i zeszła do trzeciego, najniżej położonego Kellu, będącego doskonałym sześcianem. Blask pochodni dawał niesamowite refleksy na pomalowanych na czarno ścianach. Zobaczyła trzy Ja-Gaar. Przynajmniej one oraz bazaltowa pokrywa studni były tam, gdzie przedtem.

Odetchnęła z ulgą, uklękła obok kamiennej studni i zanurzyła oko z cytryny w nieruchomej czarnej wodzie. Odliczała trzydzieści sekund. Kaboszon leżał na jej dłoni. Nie zanurzyła go głęboko, więc widziała wyraźnie. Zamrugowała, niepewna tego, co widzi. Źrenica i tęczęwka nabierały koloru. Jakby czarna woda zmieniała kaboszon w żywe oko Ghosha.

Widziała, jak tęczęwka staje się migotliwie srebrna, a źrenica ciemnofioletowa. Trzydzieści sekund upłynęło, Inggres wyjęła oko z wody. Co Najwyższa Matka kazała jej teraz zrobić? A tak, położyć wilgotne oko pośrodku czoła, dokładnie w miejscu jej Trzeciego Oka.

Już miała to zrobić, kiedy zauważyła, że woda w studni już nie jest spokojna. Najpierw były to zaledwie drobne zmarszczki. Pochyliła się, zajrzała do studni i w smolistej czerni dojrzała jakiś ruch.

Nagle woda trysnęła w górę i wyskoczyła z niej Bartta. Miała szeroko otwarte oczy, sinawą twarz i uśmiech od ucha do ucha.

Konara Ingggres wrzasnęła i upadła na plecy. Cytrynowe oko potoczyło się po czarnej podłodze Kellu. Ruszyła za nim na czworakach, ale Bartta przycisnęła ją do podłogi.

Skoczyła na Ingggres, pozbawiając ją oddechu. Potem otworzyła usta, z których wysunął się długi, cienki, niebiesko-czarny język; owinał się on wokół włosów Ingggres. Okręcił się mocno i szarpnął, odchylając jej w tył głowę.

–Okazałaś nieposłuszeństwo Matce – syknęła Bartta nie swoim głosem. – Skłamałaś. Masz Dar. Thrippingowałaś.

Język bardziej odgiął głowę konara Ingggres, która wygięła się łukowato i krzyknęła. Ból przeszywał jej plecy i kark. Widziała mroczki przed oczami.

–Byłaś w Nadświecie, więc znasz prawdę. Nie wolno cię zostawić przy życiu. Opętanie też już nie wchodzi w grę. Jesteś dla nas zbyt wielkim zagrożeniem.

Bartta wydawała jakiś dźwięk. Przypominał szelest tysięcy wygłodzonych stydili spadających na pole rajgrasu. Ingggres z obrzydzeniem uświadomiła sobie, że to śmiech demona tkwiącego w Bartcie.

–Ty ohydny, bezwolny robaku – skrzeknęła Bartta. – Jakie masz prawo żyć na wolności, skoro my od eonów cierpimy w straszliwej niewoli?

Boleśnie dźgnęła Ingggres w żebra długim paznokciem.

–Wy, Ramahanki, jesteście stanowczo zbyt głupie. Ojciec powinien was zmieść z powierzchni Kundali, zamiast powoli wypaczać waszą religię. On jest cierpliwy, ja nie. Skoro już się wydostałem z tego ohydneho więzienia, pragnę zniszczyć to, co mnie tam wtrąciło.

Konara Ingggres milczała. Po pierwsze, groza odebrała jej mowę. Po drugie, ból był tak przeraźliwy, że końcówki nerwów wibrowały w rytm dźgnięć palucha arcydemonia. Po trzecie, była zbyt pochłonięta wypatrywaniem cytrynowego oka, które się odbijało w czarnych ścianach Kellu.

Bartta pochyliła się nad nią.

–Uważasz, że chcę cię zabić, ale śmierć byłaby dla ciebie zbyt przyjemnością. Pozwolę ci żyć. Będziesz moją zabawką. Czekają cię tortury. Nie kończące się tortury. Dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku. Będę do ciebie wciąż wracać, a ty będziesz trwać na granicy śmierci. Ból stanie się twoim nieodłącznym towarzyszem, częścią ciebie, a wreszcie tobą.

Głębiej wbiła paluchy w ciało Ingggres i konara krzyknęła. Załzawionymi oczami

wypatrzyła oko Ghosha – zatrzymało się przy przednich łapach jednego z Ja-Gaar. Zamrugła, strząsając z rzęs łzy bólu, i przekonała się, że cytrynowe oko nadal połyskuje, nadal ocieka wodą z cenote, i przypomniała sobie ostrzeżenie Najwyższej Matki. Kiedy już zanurzy oko w cenote, nie może pozwolić mu obeschnąć, bo straci całą swoją moc.

–Co robisz? Próbujesz thrippingować? Postarałam się, żebyś nie mogła. – Silny niebiesko-czarny jęzor demona, oplatający włosy Ingggres, szarpnął w tył jej głowę. – Uważaj!

Konara Ingggres usiłowała pełznąć ku przedniej łapie Ja-Gaar. Bartta była drobną kobietą. Opętanie, o dziwo, uczyniło ją jeszcze lżejszą, ale też o wiele silniejszą. Konara Ingggres zdołała się trochę przesunąć, zanim Bartta wykręciła jej ramię.

–Wiedziałam, że stawisz opór! – syknęła. – Znakomicie! Wymyśliłam, jak cię poskromić! – Uniosła wykrzywioną twarz. – Gdzie jesteś? Pokaż się!

Konara Lyystra, posłuszna rozkazowi, zeszła z położonego wyżej Kellu. Miała nieruchomy wzrok, stężałą twarz.

Konara Ingggres zachłysnęła się oddechem, Bartta zaś zaśmiała się, co sprawiało, że jej gardło pulsowało jak u werżaby.

–Jak się zaraz przekonasz, torturować można na różne sposoby – rzekła z nieskrywanym złośliwym rozradowaniem Bartta. – Oto pierwszy przykład. – Wbiła wzrok w konara Lyystrę i powiedziała: – Weź igłę, którą ci dałam, i wbij jej w szyję.

–Coście jej zrobiły?! – zawołała konara Ingggres. – Wywłaszczyłam ją!

–O tak – zarechotała Bartta. Konara Lyystra szła ku nim mechanicznie. – Lecz ja i Horolagggia złapaliśmy ją, zanim zdążyła nam uciec. Zasmuciło nas to, co zrobiłaś. Zabiłaś jednego z nas. Zamordowałaś go z zimną krwią. Lecz opuściłaś przyjaciółkę i zapanowaliśmy nad nią. Nie w ten sam sposób. Po wywłaszczeniu już nie możemy na nowo opętać. Więc zrobiliśmy co innego. Zamknęliśmy jej jaźń jakby w małej czarnej buteleczce, w jej wnętrzu, tam gdzie nigdy jej nie znajdzie. I teraz jest posłuszna wyłącznie nam.

–Lyystro! – zawołała konara Ingggres. – Musisz im stawić opór, Lyystro. Musisz na nowo siebie odnaleźć.

Konara Lyystra szła na sztywnych nogach, a Bartta – a raczej ohydny demon w niej – trzęsa się ze śmiechu.

–No dalej, mów do niej, skoro musisz – szydził arcydemon. – Przekonasz się, co ci to da.

–Posłuchaj mnie, Lyystro – nie ustępowała konara Ingggres. – Przypomnij sobie, co ci mówiłam o wierze.

–Wiara, wiara, wiara – fuknęła Bartta, przeżuając to słowo niczym jakiś twardszy kąsek.

Konara Ingggres z uporem ją ignorowała.

–Jeżeli zwątpisz, zabraknie ci osłony i pociechy w czasie burzy. Gdy zabraknie ci wiary, burza cię pokona, Lyystro. Nie wolno ci do tego dopuścić.

–Biedactwo, nie ma wyboru – syknęła Bartta.

Nierozważne słowa arcydemonia skłoniły konara Ingggres do działania. Było jasne, że siłą nie zdobędzie przewagi. Lecz magia, to zupełnie inna sprawa. Z ksiąg wiedziała, że demony nie władają Osoru. Ale czy pokona tą magią jednego z nich, i to na dodatek arcydemonia?

Odizolowała się od bólu, od drwiących słów Bartty, od tego, że najlepsza przyjaciółka szła na nią z igłą wypełnioną jedną Miina wie jaką szkodliwą ziołową substancją. Oczyszczyła całkowicie umysł i otworzyła Trzecie Oko.

–Co robisz? – zaskrzeczała z oddali Bartta. – Przecież mówiłam, że stąd nie thrippingujesz.

Konara Ingres rzuciła Sieć Poznania. Za jej pomocą odnalazła jaźń Lyystry, chociaż arcydemony zabezpieczyły ją w magicznej buteleczce. Natychmiast rzuciła Białe Źródło i przyzwała buteleczkę do siebie.

–Pytałam, co robisz, ty głupie stworzenie?! – wrzasnęła Bartta i mocno szarpnęła językiem włosy konara Ingggres. Nie otrzymała odpowiedzi, więc łupnęła spiczastą brodą w tył głowy Ingggres.

Konara Ingggres uderzyła twarzą o podłogę z czarnego bazaltu; przeszył ją ból i poczuła, jak pęka jej kość policzkowa. Nie ustąpiła. Rzuciła Transwersyjny Sprawdzian, ustaliła magiczną strukturę buteleczki i zaczęła ją rozmontowywać.

Pewnie na nic by się to już nie zdało, bo konara Lyystra dotarła do niej i klękała, posłuszenie wypełniając rozkaz Bartty.

–Bok szyi! – krzyknęła Bartta. – Wbij głęboko igłę, żeby banart szybko zadziałał!

Konara Ingggres, wbrew sobie, zaczęła się szarpać. Zdekoncentrowała się i buteleczka arcydemonów zaczęła się odtwarzać. Ingggres znieruchomiła więc, podwoiła wysiłki i została nagrodzona strumyczkiem ciepła. Jaźń Lyystry na powrót

wsączała się w jej ciało.

Poczuła pierwsze ukłucie igły.

–Nie trać wiary, Lyystro – wydyszała. – Zwalczaj tkwiące w tobie zło.

–Nie mam siły – odparła z przygnębieniem Lyystra.

–Zawierz Miinie, a odnajdziesz w sobie siłę.

Konara Lyystra zajrzała w siebie, rozpoczęła wewnętrzną walkę, odzyskiwała swoją jaźń.

–Ingggres? To ty? – wyszeptała ochryple. Cofnęła igłę. – Co się stało? Mój umysł... Nie mogę sobie przypomnieć.

–Weź kulkę z cytrynu leżącą przy łapie tego zwierza. Przynieś mi ją.

Natychmiast wzbudziło to ciekawość arcydemonia.

–Po co? Co to jest? Co to znaczy?

–Zamknij się – powiedziała otumaniona bólem konara Ingggres i znów dźgnęły ją paluchy Bartty.

Konara Lyystra się odwróciła. Wpatrywała się w kulkę z cytrynu.

–Podnieś ją, Lyystro – ponagliła konara Ingggres. – Przynieś.

–Tak – syknęła Bartta. – Podnieś i przynieś mnie. Jestem twoją zwierzchniczką, dziewczyno. Zrobisz, co każę, albo się postaram, żeby cię natychmiast wydalono z opactwa.

–Nie słuchaj jej, Lyystro. Jest opętana przez arcydemonia. Wszystko, co ci mówi, jest kłamstwem!

Konara Lyystra, na czworakach, wpatrywała się w nie. Potem ruszyła po oko Ghosha, podniosła je i wróciła.

–Chcę je! – zawołała Bartta. – Daj je mnie!

Konara Lyystra przyjrzała się oku, stwierdziła, że jest wilgotne, i zaczęła je osuszać szatami.

–Nie! – zawołała z przerażeniem konara Ingggres. – Nie wycieraj, Lyystro! Musi być wilgotne, rozumiesz?!

Konara Lyystra spojrzała na nią przekrwionymi oczami. Kiwnęła głową.

–Czemu? – wrzasnęła Bartta. – Czemu, czemu, czemu?!

–Ingggres... – Twarz konara Lyystry stężała w wyrazie przerażenia.

–Nie zważaj na arcydemoną – doradziła konara Ingggres – i daj je mnie.

Konara Lyystra wahała się, stała na długość ramienia Ingggres.

–A jeżeli ona jest Bartta? Wypędzą mnie, jeśli jej nie usłucham.

–Z całą pewnością, dziecko. – Bartta skinęła na nią. – Oddaj mi cytrynową kulkę, a odzyskasz moje łaski.

–Ale ona nie jest Bartta – przekonywała konara Ingggres. – Opętał ją arcydemon. Musisz w to uwierzyć. Zaufaj.

Konara Lyystra kiwnęła głową i podała przyjaciółce wilgotne od wody oko Ghosha. Na ten widok Bartta wrzasnęła. Długi niebiesko-czarny język wystrzelił do przodu.

Konara Ingggres okrwawioną dłonią przycisnęła oko Ghosha do środka swojego czoła.

Niebiesko-czarny język pchnął jak miecz i przebił gardło konara Lyystry. Krzyknęła, trysnęła krew i biedaczka zaczęła się krztusić.

Oko Ghosha zaś, skąpane w czarnej nieruchomej wodzie świętej studni, wniknęło w czoło przyciśniętej przez Barttę do podłogi konara Ingggres; rozepchnęło ciało, wtopiło się w kość czaszki. Kiedy dotarło do mózgu, rozbłysło magiczne światło i padło na rzeźbę trzech Ja-Gaar, zbudziło je do życia.

W magicznym blasku konara Ingggres ujrzała trzy smycze wiążące z nią Ja-Gaar, które usiłowały się z nich zerwać. Dotknęła smyczy i uwolniła Ja-Gaar. Mrugały teraz w półmroku. Wbiły jarzące się ślepia w Barttę, a właściwie w to, co w niej tkwiło. Skoczyły ku niej, warcząc.

Arcydemon ledwo zdążył schować swój wstrętny język, a już dopadły Barttę. Ich wściekły atak sprawił, że puściła ona konara Ingggres. Pokulała się pod ścianę, osłaniając twarz rękami i podciągając kolana do piersi. Nie przeszkodziło to Ja-Gaar, rzuciły się na nią, szarpiąc kłami i pazurami, jakby w ten sposób chciały wyszarpać z niej arcydemoną, który jak wielka żmija oplatał się wzdłuż jej kręgosłupa.

I chyba naprawdę potrafiły to zrobić, bo z szeroko otwartych ust Bartty wydobył się dźwięk, jakiego nie byłby w stanie wydać żaden Kundalanin. Była w nim tak

straszliwa wściekłość i cierpienie, jakich konara Ingggres nigdy nie słyszała, nawet w najgorszych koszmarach.

Jednak w tej chwili mrozący krew w żyłach ryk arcydemonia niewiele ją obchodził. Lekceważąc ból i krew płynącą z przebitego policzka, podczołgała się do przyjaciółki leżącej na bazaltowej podłodze.

–Lyystro – wyszeptała, kładąc sobie na kolanach głowę przyjaciółki. Na próżno starała się zatamować krew płynącą z rany w jej szyi. Pochyliła się i ucałowała jej czoło. – Jestem tutaj, tak jak i wielka bogini. Obie jesteśmy przy tobie.

Twarz konara Lyystry była przerażająco blada. Kobieta drżała i dygotała, rzęziła. Lecz na dźwięk głosu przyjaciółki otworzyła oczy i uśmiechnęła się.

–Miałaś rację. Co do wszystkiego. – Ochryply głos wydobywał się z gardła wraz z krwawymi bąblami. – Skoro wierzę w Miinę, to czy ona ocali mnie od śmierci?

Konara Ingggres zmusiła się do uśmiechu.

–Nie umrzesz.

–Arcydemon poważnie mnie zranił. Nie ma żadnej nadziei.

–Nie trać nadziei. Ufaj. – Mocniej przytuliła przyjaciółkę.

–Dobrze. – Konara Lyystra spojrzała na nią. Nagle zmienił się wyraz jej twarzy, zachłysnęła się oddechem, na ustach utworzył się duży bąbel. – Widzę ją, Ingggres. Och, spójrz! Widzę wielką boginię. Ona istnieje!

W kącie Kellu trzy Ja-Gaar hałaśliwie i z zapalem rozdzierały Bartę na strzępy. Konara Ingggres zamknęła oczy i zaczęła się modlić. Święte Ja-Gaar zawyły. Jedna Miina wiedziała, co to oznacza. Ingggres popatrzyła na konara Lyystrę. Jej przekrwione oczy wpatrywały się w coś poza nią, poza stropem Kellu. Były wlepione w Miinę lub w to, co ujrzała. Odległą sferę. Mrok. Nicość.

Śmierć.

Ingggres odrzuciła w tył głowę i jej przeciągły żalony krzyk splótł się ze zwierzęcym wyciem Ja-Gaar.

32. Blask na wodzie

Riane, wślizgując się w czarną jak smoła wodę, pomyślała, iż to dziwne, że nie umieszczono cenote bezpośrednio nad węzłem strumieni mocy znajdującym się pod tym małym placem. Niepokoili ją ta osobliwość.

Przez chwilę unosiła się na wodzie. Nad opustoszałym placem przelatywały finbaty. Potem sięgnęła po nią niewidzialna dłoń i wciągnęła ją pod powierzchnię. Woda była kleista i miała własną wolę. Chciała ją głębiej wciągnąć. Riane walczyła z tym. Nieprzenikniona czern ją przytłaczała. Machała nogami, starając się wrócić na powierzchnię, ale nie była w stanie nawet utrzymać się na tym samym poziomie. Wciągało ją głębiej. Stłumiła panikę i spróbowała wyczuć pulsowanie strumieni mocy, lecz nie było po nich najmniejszego śladu.

Brak światła stawał się dokuczliwy, więc Riane sięgnęła umysłem i ustawiła swoją magiczną lampę nad studnią. Popatrzyła w górę i dojrzała tysiące świetlnych punkcików tańczących w czerni. Nie układały się dowolnie, lecz tworzyły sięgające w głąb cenote spirale. Wsunęła dłoń w jedną ze spirali i poczuła uderzenie strumienia mocy. To dlatego cenote zbudowano obok węzła. Jedno z odgałęzień, zamiast biec prostą linią pod powierzchnią Kundali, rozpadło się na spirale.

Złączona ze spiralnym strumieniem, pozwoliła się wciągnąć głębiej, tam gdzie woda zniknęła i gdzie znowu mogłaby oddychać.

Wynurzyła się jednak w próżni.

W sektorze Khaggunów było gorąco, a wpatrywanie się w rzędy data-dekagonów tylko wzmagalo to poczucie. Pot spływał po karku Rady, gromadził się pod jej zbroją. Tam i z powrotem chodzili sztywno Khagguni, sznurując usta i świdrując ją wzrokiem. Za jej plecami Olenn rozmawiał z dwoma swoimi oficerami. Walka z ruchem oporu przebiegała jak należy. Wielu nie żyło, jeszcze więcej wkrótce zginie. Majja i Basse mieli rację. Minął czas cierpliwości.

Nie patrząc na boki, podeszła do rzędów data-dekagonów. Wiedziała, gdzie jest ten właściwy, bo dzień wcześniej patrzyła, jak wstawia go na miejsce dowódca szwadronu odpowiedzialny za konwój. Czekala na niego i przeszła tuż za nim akurat wtedy, kiedy czytnik się włączył. Całe szczęście, że tak zrobiła, bo zauważyła, że przyspieszono o jeden dzień odjazd konwoju z Axis Tyr.

Zaryzykowała rzut oka przez ramię. Olenn był pochłonięty rozmową z oficerami. Konwój miał wyruszyć o świcie. Teraz albo nigdy. Rada wzięła data-dekagon i wsunęła go w czytnik. Ekran zamrugał. Skupiła się, zapamiętanie drogi zajęło chwilę, która wydała się jej wiecznością. Usłyszała, że Olenn ją woła, i poczuła skurcz między łopatkami. Wyjęła data-dekagon z czytnika, odstawiła na miejsce. Potem zrobiła w tył zwrot i podeszła do Ryddlina. Przerwał rozmowę.

–Co robiłaś? – zapytał.

–Sprawdzałam twój rozkład zajęć na resztę dnia.

Skinął głową.

–Chcę, żebyś coś dla mnie załatwiła. – Przeszli w takie miejsce, gdzie mieli trochę spokoju. Olnnn położył na dłoni Rady data-dekagon. – Zanieś to admirałowi floty Lokckowi Werrrentowi. Jest w zachodnim arsenale. Masz to oddać wyłącznie jemu, nikomu innemu. Zaczekaj na odpowiedź i dostarcz mi ją. Zrozumiano?

Skinęła głową i odeszła, szczęśliwa, że może stąd zniknąć.

Data-dekagon ciążył i palił jej dłoń. Skoro Werrrent był teraz w zachodnim arsenale, to znaczy, że nadzorował ostatnie przygotowania do transportu. Idąc po poduszkowiec, skontaktowała się z Marethyn, która była w Błogosławiącym Duchu u brata Terretta. Sornnn był z nią. Ton głosu Marethyn zdradzał, że przerwała im ważną rozmowę. Skinieniem przywołała poduszkowiec i gdy tylko znalazła się w powietrzu, włożyła data-dekagon w pokładowy czytnik. Niepokoila się, czy aby Olnnn nie ma jakichś ostatnich zaleceń dla konwoju. Ale się rozczarowała. Dane były zakodowane.

Zasłona jest zamknięta w ognistej szkatule otoczonej warstwą wody. Pomiędzy wodą a ogniem znajduje się mroczna próżnia.

Riane właśnie w niej się znajdowała. Płuca jej pękały. Rzuciła Ziemski Spichlerz, najpotężniejsze zaklęcie uzdrawiające, żeby wytworzyć wokół siebie pęcherz powietrza. Lecz próżnia niszczyła bąbel, ilekroć zaczynał się tworzyć.

Zaczynało się jej kręcić w głowie, stawała się oszołomiona i zdezorientowana. Nie wiedziała już, gdzie góra, gdzie dół, nicość była bezkresna, powróciła też panika, zmieniając spójne myśli w stadko ptaków, które rozpierzchły się we wszystkie strony.

Zaczęło jej pulsować w skroniach, mózgowi brakowało powietrza. Na pewno istniał sposób wydobycia się z próżni; po prostu musiała go znaleźć. Wiedziała, że powinna to dobrze przemyśleć, więc opanowała strach. Co wiedziała? Pierwszy problem rozwiązała, wnosząc światło w smolistą ciemność. Ale i tu panowała ciemność. I nie było powietrza. A próby stworzenia powietrznego bąbla spełzyły na niczym.

Riane drgnęła. Coś się stało. Ale co? Uświadomiła sobie, że na parę sekund zemdląca, i oblał ją zimny pot. Nie mogła dopuścić, żeby to się powtórzyło, wbiła więc paznokcie w dłonie, raniąc się do krwi i wywołując ból. Tak lepiej. Ból sprawi, że będzie przytomna i czujna. O czym to myślała, zanim straciła przytomność?

Mozolnie powtórzyła wszystko od początku. Czuła, jak jej ciało walczy o życie. Tak pragnęła zaczerpnąć powietrza. Jeszcze chwila, a wciągnie w płuca nicość i umrze.

Nie ma powietrza, nie ma powietrza.

Jest jeszcze tylko jedna szansa, Riane skorzystała z niej. Rzuciła Otwórzcie się Pierwsze Wrota, przeobrażając całą próżnię. Napłynęło powietrze, a wraz z nim biała poświata. Zachłysnęła się oddechem, łapczywie wciągnęła powietrze w płuca, czuła, jak galopujące tętno powoli się uspokaja.

Stwierdziła, że unosi się w kulistej niczym pączek przestrzeni. Nad nią szemrała woda. Dokładnie na wprost niej znajdował się ognisty sześcian. W nim zaś, jak wiedziała, była Zasłona Tysiąca Łez.

Pyphoros zajął się ciałem Couriona, ułożył je na plecach. Nadal znajdowali się w laboratorium Nith Batoxxksa, w samym sercu Świątyni Mnemoniki. Kurgan powoli zaczynał odczuwać przytłaczający ciężar całej tej budowli, granice laboratorium. Był pewny, że o to chodziło arcydemonowi. Był przekonany, że stwór chciał, by w takim samym stopniu jak on poczuł się więźniem. Kurgana bolała głowa; zaczęło się to wkrótce po osadzeniu w jego czaszce magicznego kamienia. Musi być jakiś sposób na pozbycie się go, pomyślał. „Nie w twoim świecie”, powiedział arcydemon. Co to miało oznaczać?

Patrzył, jak Pyphoros zdejmuje joniczną rękawicę z prawej dłoni swojego nosiciela, aż się pochylił w wyczekiwaniu. Po raz pierwszy widział nie osłoniętą rękę Gyrgona. Wnętrze dłoni i grzbiety palców były skomplikowaną siecią bioobwodów. Ustało charakterystyczne iskrzenie jonów.

–Regencie – odezwał się Pyphoros – uważam, że nadszedł czas, abyś się zapoznał ze sztuką nekromancji.

Demon uniósł dłoń nad ciałem, ze środkowego palca trysnęła wąziutka wiązka barwy najjaśniejszego błękitu. Światło to było tak oślepiająco jasne, że Kurgan instynktownie osłonił oczy ręką.

–Otwieramy świeże zwłoki i korzystając z naszych specyficznych zdolności, czytamy z trzewi.

Jasnobłękitna wiązka światła dotknęła brzucha Couriona i zręcznie go rozplatała od mostka do miednicy. Uwolniła przy tym cuchnące gazy. Wysunęły się obrzydliwie połyskujące wnętrzości Couriona. Smród był straszliwy. Pyphoros w ogóle nie zwracał na to uwagi. Kurgan nie odrywał oczu od jelit, które – kierowane błękitnym blaskiem – układały się w jakiś skomplikowany wzór.

–Martwi skrywają sekrety, których nie mieli za życia.

Błękitny blask stał się jeszcze węższą wiązką. Powoli kreślił wężowatą linię nad połyskującymi wnętrzościami. W niektórych miejscach rozcinał jelita, ukazując ich ciemną tajemniczą zawartość patrzącemu w napięciu Pyphorosowi. Wydawał on melodyjny pomruk, wydobywający się nie tyle z jego ust, ile z całej postaci.

–Oto tajemnica – odezwał się Pyphoros. – Wyciekająca cuchnącymi strumyczkami, zapisana językiem umarłych. – Jasnoblękitna wiązka nagle zniknęła i arcydemon spojrzał na Kurgana. – Ach, ta tajemnica dotyczy ciebie, regencie.

–Naprawdę?

–Najwyraźniej mi nie dowierzasz.

–Ależ skąd.

Pyphoros się roześmiał.

–Zaprawdę musisz się nauczyć wdzięczności, Kurganie Stogggulu. Gwarantuję, że gdybym ci nie zdradził tego sekretu, to zginąłbyś za parę godzin.

–Zaraz tu będzie – powiedziała Marethyn. – Przyspieszono wyjazd konwoju. Wyrusza jutro o świcie.

Sornnn patrzył na nią posępnie. Zaskoczyła go tamtą niesamowitą wieścią. Genetyczne manipulacje, którym Gyrgoni poddali Terretta, pozwoliły mu zlokalizować siedem portali, których rozmieszczenie, jak powiedziała mu Rada, pragnął poznać Nith Batoxxx. Właśnie się sprzeczcali, kiedy Rada połączyła się z Marethyn. Sornnn chciał, żeby Marethyn poszła do Kurgana i opowiedziała mu o siedmiu portalach. Uznał, że to dla niej świetna sposobność pogodzenia się z bratem. Jej duma i podejrzenia, że nic by to nie dało, sprawiły, że się sprzeciwiła. Nie miał jej tego za złe. Kontakty z nowym regentem nauczyły go, że Kurgan jest zarówno nieprzewidywalny, jak i bezlitosny. Ale i tak ją namawiał. Marethyn nigdy by tego nie przyznała, lecz Sornnn podejrzewał, że odsunięcie się od Kurgana miało na nią poważny wpływ.

–Nasz spór nie ma sensu – powiedziała teraz. – Przed zmierzchem wyjadę z miasta.

Ujął ją za łokieć, odprowadził na bok od śpiącego Terretta. Byli sami w sali w Błogosławiącym Duchu. Widzieli, jak korytarzem przechodzą spieszenie Genomatekcy i Deirusi, milczący i z ponurymi minami. Raz iskrzenie jonów obwieściło nawet obecność Gyrgona, lecz go nie zobaczyli.

–To szaleństwo, Marethyn. To ja powinienem jechać.

–Jesteś naczelnym faktorem – przypomniała mu. – Nie wolno ci ryzykować, że ktoś

cię zobaczy.

Nie znalazł na to żadnej odpowiedzi.

–Zostało nam jeszcze tylko kilka minut do nadejścia Rady. – Wzięła go za rękę, podprowadziła do okna. Niebo było szare i jakby gniewne. Zdawało się, że ciężkie chmury dotykają morza na horyzoncie. Lało jak z cebra; za parę dni przesilenie zimowe. – Wiem, że chcesz mnie chronić, Sornnnie. Ale spróbuj spojrzeć na to z mojego punktu widzenia. Dla mnie byłby to tylko inny rodzaj podporządkowania.

–Wcale tak nie uważam.

–Rzecz w tym, kochanie, że ja tak.

–Marethyn...

–Chcę, żeby moje życie coś znaczyło. – Spojrzała mu w oczy. – A w ten sposób się przekonam, kim tak naprawdę jestem. – Uścisnęła jego dłoń i uśmiechnęła się. – Nie mam zamiaru zostać męczennicą. Wrócę do ciebie, Sornnnie, przyrzekam. Kątem oka zobaczyła jakiś cień, więc wyjrzała przez okno. – Rada już tu jest. Muszę iść.

Wyswobodziła dłoń i mocno pocałowała Sornnna w usta. Wolą się nie odwracać, wychodząc. Kiedy mijala łóżko Terretta, ten otworzył oczy, spojrzał na nią i wymówił jej imię.

33. Ofiara

Czuję go – odezwała się Eleana.

–Kopie? – spytał Rekkk.

–Nie wiem, co mały robi – odparła, krzywiąc się – ale to boli.

Rekkk objął ją ramieniem i rozejrzał się za teyjem, który poleciał na zwiady.

–Lepiej zatrzymajmy się tutaj i odpocznijmy.

Eleana rozejrzała się po kamienistym terenie, przez który szli. Bujne trawy zwarzyły zima.

–Nie ma się tu gdzie schować. – Usłyszała głos teyja zmagającego się z powietrznymi prądami i wskazała ku wysokiej skalnej ścianie. – Teyj znalazł jaskinię. Schowamy się w niej przed niepogodą.

–Nigdy nie dasz rady się wdrapać.

–Nigdy nie powinieneś do mnie mówić nigdy. – Eleana uśmiechnęła się, choć wyraźnie cierpiała. – Rzuciłeś mi wyzwanie.

Ruszyła naprzód, zanim Rekkk zdążył ją zatrzymać. Przebyła pozostały kawałek kamienistego obszaru i zaczęła wspinać się pod górę stokiem wiodącym do pierwszego skalistego wypiętrzenia. Byli wysoko w Djenn Marre, co najwyżej dzień drogi od Opactwa Opływającej Jasności. Rekkk pospieszył za nią, przytrzymując się skały. Teyj polatywał tuż nad jego ramieniem. Zdawał sobie sprawę, że jeżeli chcą dotrzeć do jaskini, powinni to zrobić teraz, zanim powierzchnia skalnej ściany stanie się zbyt śliska od śniegu. Wiatr od południa już się wzmógł i nasycił powietrze wilgocią.

Krzyk Eleany przerwał jego ponure rozmyślenia. Obrócił się ku niej z takim pośpiechem, że aż mu chrupnęło w karku, i szybko do niej podszedł. Dziewczyna jedną rękę przyciskała do brzucha, drugą trzymała się skały.

–Co się stało, Eleano?

Potrząsnęła tylko głową i twarz jej się ściągnęła w grymasie bólu.

Wziął ją na rękę, oparła mu głowę na ramieniu. Ruszył osypiskiem. Obluzowane głązy utrudniały marsz, ale Rekkk się nie poddawał, parł pod górę, wykorzystując, co tylko mógł – szczeliny, pęknięcia, konary karłowatych drzew z trudem wytrzymujących ten surowy klimat. Płuca i mięśnie go paliły. Powrócił ból ran i nękał go jak demon. Leczył naprzód, chociaż szlak stał się bardziej stromy i Rekkk wspinał się teraz po skalnej ścianie, bo nie miał wątpliwości, że największe niebezpieczeństwo by im groziło, gdyby deszcz złapał ich na stromiźnie.

Powstrzymał chęć przyspieszenia wspinaczki, ostrożnie posuwał się naprzód, wypróbowując każde podparcie dla rąk i stóp, wiatr uderzał go w plecy i świstał mu w uszach. Raz wydawało mu się, że coś usłyszał, i obrócił głowę, żeby popatrzeć. To zmusiło go jednak do zatrzymania się, a przystawanie w ogóle nie wchodziło w grę. Poza tym nic nie dostrzegł, w chwili zaś, kiedy poczuł pierwsze krople deszczu, zupełnie zapomniał o tym dźwięku.

Patrzył w górę i usiłował nie zwracać uwagi na jęki Eleany. Był przerażony myślą, że zaraz dziewczyna urodzi bez żadnej pomocy, a on nie zdoła noworodka ocalić. Oceniał, że przebyli już dwie trzecie drogi do szczytu. Szedł, nie zatrzymując się ani na chwilę, ściemniło się. Rekkk poczuł kolejną falę deszczu. Temperatura musiała już spaść o dobre dziesięć stopni.

Parł naprzód, ręka, noga i znowu, cały jego świat ograniczył się do jednego: znaleźć zaczepienie dla dłoni, wypróbować je, podciągnąć się w górę, znaleźć podparcie dla stopy, złapać równowagę i zacząć wszystko od początku.

Już niemal dotarli do półki, gdzie Eleana wypatrzyła jaskinię, lecz Rekkk miał teraz nad głową duży skalny występ blokujący drogę. Deszcz jednostajnie bębnił o skałę. Rekkk był kompletnie przemoczony, Eleana zaś zaczęła dygotać i trząść się. Zrozpaczony, rozejrzał się, rozważając obejście nawisu, ale nie zauważył żadnej szczeliny lub pęknięcia, ostatnie drzewa zaś minęli jakiś czas temu.

–Niech to N’Luuura! – zaklął.

Usłyszał nawoływanie teyja. Ptak kołował, cztery skrzydła pomagały mu utrzymać wysokość i równowagę mimo porywów wiatru. Rekkk dojrzał to, co teyj starał się mu pokazać – gładki skalny blok tuż po prawej. Przymrużył oczy, ale widoczność była bardzo ograniczona i nie zdołał wypatrzeć żadnego zaczepienia dla dłoni. Co ten teyj sobie myśli? Poryw wiatru niemal oderwał Rekkka od skały, płatki śniegu uderzyły go w twarz. Stopa pośliznęła się na mokrej skale, Eleana jęknęła. Hacilar zaklął. Palce szybko mu drętwiały.

Teyj znów doń zawołał i Rekkk mruknął przez zaciśnięte zęby:

–Do N’Luuury z tym!

I sięgnął w prawo. Przesunął palcami po skalnym bloku i z tyłu, tam, gdzie blok stawał się częścią stoku góry, wyczuł szczelinę, którą wcześniej wypatrzył bystrooki teyj. Wsunął w nią palce, pociągnął, nie ześliznęły się, przerzucił więc ciało na tamtą stronę. Przez chwilę wisiał w powietrzu, oszołomiony wysokością, a potem stopa znalazła podparcie i byli bezpieczni.

Pozwolił, żeby teyj go prowadził przez resztę drogi, i było to zadziwiająco łatwe do pokonania ostatnie sto metrów. Dotarł do półki, podtrzymał Eleanę oburącz i ignorując przemęczenie mięśni, pobiegł ku wlotowi jaskini. Teyj już tam był, kiedy Rekkk ostrożnie układał Eleanę na suchym dnie.

Wszedł głębiej, ale na tej wysokości nie znalazł żadnych suchych gałęzi czy choćby gałązek. Zebrał garść wysuszonych kości i rzucił je obok Eleany. Wsunął jeden z najmniejszych kawałków w okummmmon i przywołał obraz ognia. Ze szczeliny w okummmmonie strziliły płomienie i zapaliły stosik kości.

Wicher z całej siły uderzał w stok góry, wypełnił wlot jaskini tumanami śniegu, wył i jęczał w jej głębiach. Teyj gwałtownie stroszył pióra, żeby nie przemoknąć. Eleana zadrżała, jęknęła i myśli Rekkka wróciły do trudnej sytuacji.

–Co jej jest? – spytał Rekkk teyja. – Dziecko zaraz się urodzi?

Teyj zaśpiewał i Rekkk usłyszał jego głos w wyciszonej części umysłu. Był to głos Nith Sahora.

Dziecko urodzi się w swoim czasie. Eleana jest chora.

–Czemu dopiero teraz się do mnie odezwałeś?

Moi wrogowie mają niezmiernie wyczulone uszy, Rekkku. W tym ciele jestem słaby i bezbronny. Nie mogłem ryzykować, że ktoś usłyszy.

Rekkk położył dłoń na czole Eleany.

–Jest bardzo rozpalona.

Gorączka duur, powiedział w jego umyśle Nith Sahor. Jej stan może się wyłącznie pogorszyć, nie poprawić.

Rekkk spojrzał na ptaka, nerwowo przestępującego z łapki na łapkę.

–Skąd wiesz?

Bo to choroba stworzona przez nas. Gyrgonów.

–Co takiego? Po co?

To była wczesna próba podporządkowania nam kundalańskiego ruchu oporu.

Rekkk zawrzał gniewem.

–Czy miałeś coś wspólnego z...?

Nie osobiście. To wymysł Nith Settta. Byłem temu przeciwny. Ale i tak jestem winny.

–Więc musisz znać jej naturę – wykrzyknął Rekkk. – Zrób coś!

Gdybym tylko mógł. Jak już ci mówiłem, w tej postaci mam ogromnie ograniczone możliwości.

–Dzięki temu twojemu okummmmonowi mogę zrobić prawie wszystko. Powiedz, co ją uleczy.

Nie znam na to żadnego lekarstwa. Zadbaliśmy o to.

–Ach, niech to N’Luuura, jeżeli ona umrze... – Rekkk stwierdził, że się trzęsie.

Może jest jakiś sposób.

–No to gadaj, na N’Luuurę! – wrzasnął Rekkk. – Czemu wy, Gyrgoni, jesteście tacy

zagadkowi?!

Wydajemy ci się tacy, bo jeszcze nie nauczyłeś się naszego sposobu wystawiania się. Lecz wiesz więcej, niż ci się wydaje, Rekkku. Wiesz, że Eleusis Ashera zaczął wierzyć w Kundalan, w znaczenie Kundalan i ich wiary w Miinę. Wiesz, że i ja, Nith Sahor, poszedłem w jego ślady. Ty zaś, Rekkku, masz teraz kundalańską ukochaną i kundalańskich przyjaciół, wobec których jesteś lojalny.

Rekkk, trzymając w ramionach Eleanę, musnął ustami jej policzek.

–Jakże to może uratować Eleanę i jej dziecko?

Powiedz mi, Rekkku, czy umarłbyś, żeby ich ocalić?

–Oczywiście, że tak.

Więc może to jedyny sposób. U podstaw wiary Kundalan leży legenda o największym poświęceniu. To pozwala nie-Ramahanom wezwać na pomoc magię. Jedno jest pewne: technomancja Gyrgonów nie potrafi ocalić Eleany i jej dziecka. Cóż pozostaje oprócz kundalańskiej magii?

Komendant szturm Blled czaił się w gęstym mroku pod skalnym nawisem, czuł, jak śmierć spokojnie i rytmicznie oddycha za jego plecami. Nie jego śmierć, lecz tych, których ścigał. W nocy deszcz przeszedł w śnieg, ciężki, wilgotny, lepki, który uciszył ptaki i przyginał gałęzie rosnących daleko w dole drzew.

Blled nabrał garść śniegu i wepchnął do ust. Nic nie jadł od dwóch dni, od kiedy zostawił swoich Khaggunów przy zbiorowej mogile w gęstym lesie. Upajał się bolesnymi skurczami żołądka – upewniały go, że żyje. Ze swojej kryjówki od czasu do czasu dostrzegał poprzez zadymkę blask ognia padający z wylotu położonej wyżej jaskini. Potwierdziło się przecucie, które miał, kiedy obchodził dokoła zbiorową mogiłę. Dzięki czujności i cierpliwości znalazł trop uciekinierów. Odesłał swoich Khaggunów na miejsce katastrofy poduszkowca, bo miał zbyt wielki respekt dla niesamowitych talentów Rekkka Hacılara do wykrywania i gubienia pościgów. Jednak prawdę mówiąc, postanowił go ścigać sam z innego powodu – chciał, żeby chwała zabicia zbiegów przypadła wyłącznie jemu.

Dokoła szalała śnieżna burza, lecz on był niewrażliwy zarówno na zimno, jak i na samotność. Wspominał zagładę i zniszczenie, w których z przyjemnością uczestniczył na tuzinie odległych światów. Z lubością przeglądał w pamięci te sceny niczym zgromadzone na półce holografy; kamienie milowe jego życia, trofea, z których był niezmiernie dumny. Nie przejmował się Tuskuggun, z którymi sypiał, czy ich potomstwem, nie uznanym i nie widzianym. Można by bez przesady powiedzieć, że jego własne dzieci były dlań bardziej martwe niż zwłoki wciąż na nowo oglądane we wspomnieniach. Nie chodzi o to, że o nich zapomniał, one dla niego po

prostu nie istniały.

A co do czaszki korrraia, nie było ważne, czyją miał czy nie, czy do niej gadał czy nie. Ważne było, że jego koledzy całymi sercami w to wierzyli, bo to właśnie ich ślepa wiara dawała mu tę niemal nadnaturalną moc, która go teraz podtrzymywała w chłodzie i ciemnościach rozszalałej burzy.

Rekkk nawet pomimo burzy słyszał szum krwi w swoich żyłach.

–Czym jestem, Nith Sahorze? Bo na pewno już nie jestem V'ornnem.

Rekkku, sam musisz dojść do tego, kim jesteś.

–Przysięgam, że pewnego dnia, choćby to się miało stać w innym życiu, dokładnie cię zrozumiem. – Wyciągnął rękę, teyj sfrunął i usiadł na niej. – Opiekuj się nią, drogi teyju. – Dotknął czubka ptasiego łebka. – Życzę ci...

Wiem, czego mi życzysz, Rekkku. – Śpiewne słowa ptaka były niczym pieśczoła dla umysłu Rekkka. Życzę ci tego samego.

Rekkk uniósł ramię i teyj odfrunął. Przysiadł pomiędzy Eleaną a ogniskiem.

–Wiedziałaś, że ta chwila nadejdzie, prawda? – spytał Rekkk.

Modliłem się, żeby to się stało w inny sposób. To trudna lekcja: nawet mistrzowie muszą umrzeć.

–Sądziłem, że Gyrgoni się nie modlą. Ten Gyrgon się modli.

Rekkk w milczeniu skinął głową. Ostatni raz spojrzął na bladą i spoconą twarz Eleany, odwrócił się, podszedł do wylotu jaskini, a burza śnieżna uderzyła w niego niczym potężna pięść.

–Czy to słuszne?! – zawołał. – Czy właśnie to powinienem zrobić?! Powiedz! Daj mi znak!

Wicher szalał i wył. Zerwał z Rekkka pelerynę, poniósł ją w niespokojną noc. Hacılar stał w zadymce. Rozmyślał o wszystkich złych czynach, które popełnił, o życiach, które tyle razy bez potrzeby odebrał, o okrucieństwach i niesprawiedliwościach, których się dopuścił. Pomyślał o wybaczeniu, jakiego mu udzieliła jego kundalańska ukochana i przyjaciele.

A potem odsunął od siebie wszystko: poczucie winy, uprzedzenia, gniew, niecierpliwość, frustrację, niepewność. W jego myślach pozostała wyłącznie Eleana i jej nie narodzone dziecko. Rekkk szeroko rozłożył ramiona.

–Oto jestem! Należę do ciebie! Weź mnie, jeżeli taka twoja wola! W zamian proszę jedynie, byś oszczędziła Eleanę i jej dziecko!

Wyszedł na wąską skalną półkę, poczuł wzmagającą się zadymkę, wiatr tworzący śnieżne wiry. Czy to był nawołujący go głos Miiny?

Znienacka stracił grunt pod stopami. Dostał się w wir rozszalałej burzy i spadał w tumanach śniegu.

34. Wybór Eleany

Riane, będąc tak blisko zasłony, słyszała jej nawoływania, a raczej wyczuwała pewne nieokreślone przesunięcia w przestrzeni, w której tkwiła zawieszona pomiędzy ogniem a wodą. Rozchodziły się one od środka płomienistego sześcianu. Czuła magnetyczne impulsy zasłony, rodzaj syreniej pieśni, przynaglającej, by weszła w ogień i wydostała ją.

Jednak jeszcze się ociągała.

Tutaj każdy następny krok wymagał zastanowienia. Nic nie było takie proste, jak się na pozór wydawało. Riane była przekonana, że i z tym ognistym sześcianem jest tak samo. Wpatrzona w migotliwe płomienie przypominała sobie, czego się dowiedziała. Przetrwała w mrokach wody, wnosząc w nią światło; przetrwała próżnię, wypełniając ją powietrzem. Sposób postępowania był oczywisty. Należało wykorzystywać przeciwieństwa.

Czy to oznaczało, że powinna zneutralizować ogień wodą i wtedy bezpiecznie wydostać zasłonę? Przypomniała sobie jednak, że w poprzednich przypadkach wykorzystanie przeciwieństwa nie było ani tak oczywiste, ani łatwe. W przeciwnym razie w próżni wystarczyłby bąbel powietrza.

Coś nie dawało jej spokoju. Przysunęła się bliżej do ognia, lecz nie wyczuwała żaru. Spróbowała głębiej zajrzeć w płomienie, ale to wydawało się niemożliwe. Serce ognia było tak jaskrawe, że raziło oczy, i Riane musiała się odsunąć.

Do wyczarowania wody mogła wykorzystać wiele zaklęć – na przykład Zawrócenie Nurtu czy Większy Górski Potok – ale jakoś nie wydawały jej się właściwe. Te płomienie były inne, z pewnością nie zareagowałyby na zwykłą wodę. Nagle ogarnęło ją silne poczucie zagrożenia. Nie sądziła, że i tym razem, tak jak to było w przypadku próżni, dostanie drugą szansę. Będzie po niej, jeżeli źle odgadnie.

Co ma zrobić?

I wówczas pomyślała o Górze Kuniung. Był to swego rodzaju urok, chociaż nie

zaklęcie w rozumieniu Ramahanek czy sauromicjan. Wykorzystywali go Druudzi, żeby osiągnąć równowagę umysłu, ciała i ducha. Był to wyższy poziom świadomości, dlatego wszelkie uroki tego typu miały w nazwie słowo „góra”.

Rzuciła urok, poczuła, jak się unosi poprzez czas i przestrzeń, aż z wysokości Góry Kuniung ujrzała całość złożonego schowka skrywającego Zasłonę Tysiąca Łez. Patrzyła na cenote wypełnioną wodą czarną jak smoła, na kulistą przestrzeń, w której teraz tkwiła, siedząc ze skrzyżowanymi nogami i śniąc urok, a także na płomienisty sześcian.

I wówczas dostrzegła połączenie trzech osłon i rozwiązanie. Wstała, obeszła sześcian i odnalazła pulsowanie nitki strumienia mocy, przechodzącej przez wszystkie trzy osłony. Wykorzystała ją jako ścieżkę i rzuciła Białe Źródło, kierując w ognisty sześcian smoliście czarną wodę znad swojej głowy.

Strumyczek wody wniknął w sześcian i stworzył wodną kulę, która otoczyła, a potem stłumiła ogień. Pozostały jedynie różowawe „węgielki”.

A pośrodku – Zasłona Tysiąca Łez.

Przelewała się niczym rzeka, skręcała jak wąż, falowała jak chorągiew na wietrze. Miała metr szerokości i jakieś trzy metry długości, choć trudno było to ocenić, bo stale zmieniała kształt.

Riane wyciągnęła rękę i wzięła zasłonę.

Była półprzejrzysta i zdawała się płynna, jakby łązy Pięciu Świętych Smoków zamknięto pomiędzy delikatnymi niczym mgiełka warstwami. Riane czuła, jak każda z nich pulsuje niczym serce. I wydało się jej, że słyszy nawołujące ją z oddali głosy smoków.

Wyczuwała również, że zasłona jest żywą istotą, dokładnie tak, jak jej mówiła Perrnodt. W jej umyśle niczym rybki dokoła rafy tańczyły nie tyle myśli, ile uczucia. Zasłona wiedziała, kim jest Riane. Niemal natychmiast wysłała do jej serca niewidzialne czułki i – haftując tam swój unikalny wzór – dała poznać swoje intencje.

Zasłona wiedziała o ciężkiej doli Giyan i malowała w umyśle Riane obrazy, mówiące jej, co musi zrobić.

Komendant szturm Blled, wspinający się po stromej skalnej ścianie, ujrzał Rekkka na skraju półki prowadzącej do jaskini, w której się schronili zbiedzy. Potem burza przybrała na sile i Rhynnon zniknął w śnieżnej zamieci. Blled nie widział i nie wyczuł, że Rekkk przeleciał obok niego.

Trwał w miejscu. Czekał, żeby burza się uspokoiła, żeby Rekkk znów się pojawił.

Będąc tak blisko, wolałby nie tracić go z oczu. Lecz burza nie cichła, więc Blled po pewnym czasie wznowił wspinaczkę, świadom, że długo by tam nie wytrzymał. Dumał o przyjemności, jaką mu sprawi własnoręczne uśmiercenie Rhynnnona, patrzenie, jak gasną oczy zdrajcy. Cieszył się również na myśl, że rozprawi się z towarzyszką Rhynnnona, kundalańską czarownicą, która okaleczyła gwiazdowego admirała Olnna Rydddlina. Innym Khaggunom zależałoby na sławie, jaka stałaby się udziałem tego, kto przyniósłby ich głowy. Jednakże Blled myślał jedynie o rozkoszy, jaką mu sprawi trzymanie w dłoni ich pulsujących jeszcze serc.

Rozgrzewając się takimi myślami, dokończył wspinaczkę po niemal pionowej ścianie, i to przy tak paskudnej pogodzie. Chciał tego dokonać przed świtem i w największym nasileniu burzy, kiedy najmniej by się go spodziewano, więc element zaskoczenia byłby największy.

Dotarł do półki, legł na boku, na wpół ukryty w zaspie, i rozejrzał się za Rhynnonem. Lecz nikogo nie wypatrzył. Rekk Hacilar musiał wrócić do jaskini, kiedy szalejąca burza uniemożliwiła mu zwiad.

Blled przetoczył się przez zaspę. Widział wlot jaskini, a dzięki chwilowemu przycichnięciu burzy wypatrzył też ciemną plamę z lewej. Dotarł tam, biegnąc na ugiętych nogach. Było to jakieś sto metrów od wlotu jaskini. Chuchnął na palce, żeby nie zdrętwiały, i wspiął się do ciemnej plamy. Wspinaczka okazała się o wiele łatwiejsza od tej, którą dopiero co zakończył.

Ciemna plama była wylotem bocznego kanału, jakie często odchodzą od górskich jaskiń. Nieodmiennie prowadzą one do głównej jaskini. Blled wpełzł do kanału i wkrótce usłyszał echo. Wyciągnął joniczną maczugę i posuwał się dalej kanałem, a głos z każdą chwilą stawał się wyraźniejszy.

Obudź się, Eleano, obudź się! Teyj latał dokoła dziewczyny.

Eleano! Eleano!

Teyj musnął górnymi skrzydłami jej policzek, potem usiadł jej na kolanach. W spowodowany gorączką sen Eleany wpłynęła przepiękna pieśń i dziewczyna otworzyła oczy. Wyniszczająca ją gorączka duur zniknęła równie nagle, jak się pojawiła. Eleana cicho krzyknęła i chwyciła się za brzuch.

–Moje dziecko!

Nie bój się. Nic mu nie jest, zaśpiewał teyj. Gorączka szczęśliwie nie zrobiła mu krzywdy.

Eleana zamrugnęła i rozejrzała się wokół.

**–Ktoś mnie wołał. To było jak symfonia – powiedziała sama do siebie i dodała: –
Chce mi się pić.**

**Patrzyła, jak teyj wyfruwa z jaskini w śnieżną burzę. Po chwili wrócił, trzepotał
przed jej twarzą.**

Otwórz usta.

–Słucham?

Mówiłaś, że chce ci się pić. Otwórz usta, Eleano.

**Nic nie rozumiejąc, posłusznie otworzyła usta. Ku jej ogromnemu zdumieniu teyj
wsunął w nie dziób. Przełknęła topniejący śnieg. Teyj się cofnął.**

Jeszcze?

–Chodź tutaj – wyciągnęła rękę, a teyj na niej przysiadł. – Dziękuję.

Nie ma za co.

–Nie mogę... – Potrząsnęła głową. – Mówisz do mnie?

Tak.

–Kim jesteś?

Sądzę, że wiesz, Eleano, zaśpiewał teyj. Nie umarłem w kępie sysalowców.

–Nith Sahor! – krzyknęła z zachwytem.

Teyj pochylił głowę.

**Pouczyłem Thigpen, jak ma mnie przenieść w ciało teyja. Dla ochrony przed
wrogami.**

**Eleana przypomniała sobie tę straszną noc, kiedy czekali, czy Riane dotrze na czas
do Drzwi Skarbnicy. Noc, w którą wrogowie Nith Sahora go zaatakowali. Noc,
podczas której wszyscy myśleli, że go zabito. W jej pamięci pojawił się obraz
śmiertelnie rannego Nith Sahora, dającego znak Thigpen. Znow ujrzała, jak Thigpen
dotyka małego czarnego przedmiotu, który wydyma się niczym żagiel, rośnie i
zakrywa ich obydwój. Teraz wiedziała, co się wydarzyło.**

Pogłaskała teyja, ucałowała pierzasty łebek.

–Czy Rekkk wie?! – zawołała. – Musisz mu powiedzieć, Nith Sahorze. On będzie...

Rekkk wiedział.

Eleanę przeszył dreszcz, potrząsnęła głową, słysząc pełną smutku pieśń teyja.

–Jak to Rekkk wiedział?

Teyj stał się niespokojny, nastroszył pióra.

Niełatwo mi powiedzieć ci...

–Nie! – Dziewczyna zakryła usta dłonią. – Och, nie! – Łzy napłynęły jej do oczu. – Proszę, proszę, proszę!

Poświęcił się, żeby cię ocalić. Nie było innego sposobu.

–Czemu? – wrzasnęła. Próbowwała się podnieść. – Czemu nie było innego sposobu?!

Bo umierałaś. Ty...

–Jak mógł dokonać takiego wyboru? Co mu podsunęło myśl, że ma taką moc?

Nie przeżyłabyś, Eleano. Dziecko umarłoby z tobą.

Znieruchomiła, drżąc.

–Powiedz, że to tylko sen. Powiedz, że za chwilę się obudzę w jaskini i Rekkk będzie przy mnie klęczał.

Teyj złożył cztery skrzydła.

–Ach, Miino! – Eleana zakryła twarz rękami i zaczęła szlochać. Osunęła się na kolana. – Okrutna bogini, czemu mu to zrobiłaś? Ukarz tych, co torturują i mordują twoje dzieci. Zabij wszystkich V'ornnów, Miino! Ale nie jego!

Opłakuj go, Eleano, tak jak ja. Lecz nie rozpaczaj. Modlił się do Miiny i bogini go wysłuchała.

Dziewczyna uniosła głowę, wpatrzyła się w teyja.

Złożył w ofierze siebie, żebyście ty i dziecko mogli żyć. To jego dar dla ciebie.

–Ale ja chcę, żeby wrócił!

Jej krzyk odbił się głośnie echem od ścian jaskini i dotarł do Blleda przycupniętego w bocznym kanale niczym śpiący perwillon. Zsunął się stopami do przodu do jaskini i zaczął wywijać młynka joniczną maczugą.

Teyj ostrzegawczo krzyknął i rzucił się na niego. Blled zamachnął się maczugą i trafił ptaka w skrzydło. Teyj spadł w chmurze piór.

Dało to Eleanie czas na dobyte korda.

–Co my tu mamy? Skcettę-czarownicę? Jesteś młodsza, niż mi mówiono. I na dodatek w ciąży! – Zarechotał Blled. Joniczną maczuga złowieszczo świszczła, coraz szybciej kołując nad jego głową. – Gdzie Rhynnon Rekkk Hacilar?

Eleana wstała, oparła o ścianę bolące plecy. Mocno napięła mięśnie brzucha.

–Musisz mnie pokonać, żeby się do niego dostać.

Blled zarechotał jeszcze głośniej.

–Rozumiem. Oto co się dzieje, kiedy Khagguni opuszczają własną kastę. Kryją się pod babskimi spódnicami. – Potrząsał głową, zbliżając się ku niej. – Twój wygląd wskazuje, że mi nie przeszkodzisz ani kordem, ani zaklęciem.

Zamachnął się maczugą. Eleana odparowała cios, ale ten wysiłek sporo ją kosztował. Od razu się zorientowała, że atak gorączki duur odebrał jej dużo sił i wytrzymałości. A z powodu ciąży i tak miała ich mniej niż zwykle. Lecz twardo postanowiła, że jej synek nie narodzi się w kałuży własnej krwi. Ślubowała, że poświęcenie Rekkka nie pójdzie na marne.

Blled znów natarł, joniczną maczuga świsnęła z boku. Tym razem Eleana ledwo zdążyła osłonić się klingami. Zadźwięczały niczym dzwony. Miała wrażenie, że jest niezdarna i niemrawa. Odparowanie ciosu zachwiało nią bardziej niż powinno, a Blled wymierzył leniwe uderzenie znad głowy. Z łatwością je odbiła, ale to była tylko pułapka. Joniczną maczuga zakołowała i opadła łukiem zbyt szerokim, żeby Eleana mogła się obronić. Gruby łańcuch owinął się wokół bliźniaczych kling korda. Blled natychmiast szarpnął ku sobie joniczną maczugę razem z kordem. Lecz Rekkk za dobrze wyszkolił Eleanę, żeby się pozwoliła rozbroić. Blled przyciągnął ją ku sobie i powalił na kolana ciosem pięści. Jęknęła cicho.

Blled, klnąc soczyście, tak jej przyłożył, że uderzyła o ścianę jaskini. Głowa się jej zakołysała i Eleana omal nie straciła przytomności. Zauważył to i spróbował wyrwać jej kord. Prawie mu się to udało, lecz dziewczyna poczuła bolesny skurcz łądźwi i spływające po udach wody i jej zmysły się wyostrzyły. Dziecko! Rodziło się!

Walczyła z Blledem, bo w tej sytuacji zrodziły się w niej nowe siły. Khaggun kłął, musiał się koncentrować wyłącznie na niej. Nie zauważył więc nadlatującego teyja. Kiedy wreszcie spostrzegł ptaka, było już za późno. Ostry dziób przebił mu policzek tuż na skraju oczodołu. Trysnęła krew i Blled przestał widzieć na lewe oko. Ryknął, zaatakował. Teyj spróbował umknąć, lecz Khaggun złapał go za dwa skrzydła i

wyrwał je ze stawów. Ptak wrzasnął. Biled całą uwagę poświęcał teraz jemu i nie trzymał już tak mocno maczugi.

Eleana, z trudem oddychając, wysunęła klingi z łańcucha i wbiła je w serca Bileda. Wlepił w nią oczy i upadł na plecy, brocząc krwią.

Dziewczyna rozejrzała się za teyjem, wzięła go na podolek i cicho krzyknęła. Splotła palce pod brzuchem.

–Czuję go – wyszeptała. Wody ciekły jej po udach. – Nith Sahorze, dziecko się rodzi.

Łał się z niej pot. Poczwała kolejny bolesny skurcz i rozchyliła uda. Podciągnęła suknię, wyczuła śliską główkę małego.

–Nith Sahorze! – zawołała. – Możesz w to uwierzyć? On chce się teraz urodzić! – Śmiała się i płakała jednocześnie. – Teraz? Co z nim? Och, och, to boli! – Wśród śmiechu i płaczu czule trzymała główkę dziecka. – Muszę mu udzielić paru lekcji wyczucia czasu, nie sądzisz? – Spojrzała na teyja z połamanymi skrzydłami. – Och, tak się boję, Nith Sahorze. Rekkk... nie mogę teraz o nim myśleć. Ale jeżeli umrzesz... Niech to N'Luuura, nigdy ci nie wybaczę, jeśli umrzesz!

Eleano, jestem tutaj, pieśń teyja zaszemrała w jej umyśle.

Zamknęła oczy, łzy płynęły jej po policzkach. Dzięki ci, Miino, modliła się.

Umieram...

–Nie, nie, nie, nie, nie! – Jęczała w rozpaczony Eleana.

Przykro mi, że cię rozczarowuję. Równie mocno jak Rekkk chciałem zobaczyć twoje dziecko, lecz już dłużej nie mogę trwać w tym stanie. Jednak... miła jest świadomość, że tak będzie mnie brakować.

–Nie możesz umrzeć! – rzekła zapalczywie Eleana. Jęknęła głośniej, szerzej rozchyliła nogi. Czwała palący ból w lędźwiach i krzyżu. Zachłystywała się powietrzem, starając się oddychać pomiędzy skurczami. – Musisz mi pomóc. Nie mogę sama urodzić dziecka. – Teraz trzymała w dłoniach jego główkę i ramiona. Wszystko było lepkie, skurcze osiągały apogeum, po chwili trzymała główkę, ramiona i pierś dziecka. Szlochała i śmiała się, jaskinia rozbrzmiewała jej krzykami. Straszliwy, rozdzierający ból brzucha sprawiał, że chciała, by to wszystko jak najszybciej się skończyło. – Rodzi się – wydyszała. – Och, Nith Sahorze, już tu jest.

Uniosła dziecko ku światłu, lepkie, pokryte śluzem i krwią, nie różniące się od zwierzątko. Przytuliła je i odcięła pępowinę, zawiązała ją. Odwróciła ku sobie dziecko.

Miało bladą buzię. Poczwała bolesny skurcz serca – wyglądało zupełnie jak V'ornn, pomijając kępkę czarnych włosów na czubku głowy.

–Nith Sahorze! – zawołała. – Jest taki nieruchomy i cichy!

Przysuń go bliżej, Eleano.

Ogarnięta przeraźliwym strachem, ułożyła dziecko obok teyja.

–Wyczuwasz coś?

Oddycha. Ale ledwo, ledwo.

–Och, Miino! – jęknęła. – Nie!

Ma serca v'ornnańskie i serce kundalańskie.

–Podwójny układ serc – wyszeptała Eleana. – To powinno być korzystne.

Teoretycznie. Lecz w praktyce przekonaliśmy się, że serca v'ornnańskie często zaczynają dominować nad kundalańskimi.

–Tak w organizmie, jak i na Kundali. – Mocniej przytuliła dziecko. – Spraw, żeby oddychał, Nith Sahorze. Żeby żył.

Nawet gdybym nie był śmiertelnie ranny, Eleano, to w tej postaci prawie nie mam dostępu do technomancji.

–Musisz uratować moje dziecko, Nith Sahorze. Musisz!

Jest pewien sposób, Eleano, zaśpiewał teyj. Lecz łączy się z tym niebezpieczeństwo. I nie jest pozbawiony wad.

–Nieważne! – krzyknęła, ogarnięta rozpaczą, ledwo nad sobą panując. – Bez względu na wszystko musisz go uratować!

Teyj mozolnie przelazł nad bladym i ledwie żywym dzieckiem.

Powinnaś o czymś wiedzieć, Eleano...

–Rób co trzeba! – wrzasnęła.

Teyj pochylił łebek, czubkiem dzioba dotknął przyczepionego do łapki czarnego przedmiotu, tak małego, że Eleana nigdy przedtem go nie zauważyła.

Ciemność natychmiast wydeła się niczym żagiel, ogarniając całą trójkę. W jednej

chwili zostali odcięci od świata.

–Już to widziałam – wyszeptała Eleana. – Kiedy Thigpen ocaliła cię od śmierci.

Właśnie to próbuję ci powiedzieć, Eleano.

–Chcesz powiedzieć, że ty...

To jedyny sposób, żeby uratować twoje dziecko. W ten sposób oboje będziemy żyć.

Eleana wstrzymała oddech.

–Och, Miino! Nie, nie możesz...

Więc twoje dziecko jest skazane. Ja miałem długie życie. Nie ma znaczenia, że umrę.

–A właśnie, że ma! – Oślepią ją łzy. – Każde życie jest ważne!

Twoje dziecko przestaje oddychać. Powiedz, Eleano, co mam robić. Wybór należy do ciebie.

–Nie mogę. Chcesz, żebym przyjęła rolę bogini. Nie do mnie należy decyzja, kto ma żyć, a kto nie.

Czyż nie o taką decyzję chodziło, kiedy zabiłaś Khaggguna?

–To było co innego.

Zapewniam cię, że nie dla niego. Nie żyje. Zabiłaś go, Eleano. Instynktownie dokonałaś wyboru. Znowu musisz się zdać na instynkt. Życie lub śmierć, co przeważy?

–Ale moje dziecko? Co się z nim stanie, kiedy się w nim znajdziesz?

Eleano, jego mózg nie funkcjonuje.

–Więc już nie żyje! – wrzasnęła.

Jeszcze nie. Jeszcze nie całkiem. Lecz właściwa chwila mija. Zaraz będzie za późno. Teraz dokonaj wyboru.

Eleana odrzuciła w tył głowę, przycisnęła do piersi noworodka i teyja.

–Chcę, żeby moje dziecko żyło!!!

Nagle zabrakło jej tchu. Jakby czarny żagiel opadł na nią, przyłgnął do niej i do dziecka. Spróbowała zaczerpnąć powietrza, ale nie mogła. Zawołała Nith Sahora, lecz nie wydała głosu. Była jak we śnie. Opuściła wzrok. Zanim straciła przytomność, ujrzała teyja. Wyskubywał sobie dziobem pióra. Wyskubywał je jedno po drugim i układał na umierającym noworodku, aż oskubał się do gołej skóry. Skórę miał czarną jak żagiel, był tak prostokątny jak pudełeczko, przyczepione przedtem do jego łapki. Już wcale nie wyglądał jak teyj...

35. Nawatir

Rekkk spadał w tumanach śniegu i porywach wiatru, ale nie dotarł do ziemi. Biel zgęstniała, pogłębiła się, stała się nieprzejrzysta. Wycie wichru niemal ucichło, śnieg wirował wokół niego w koncentrycznych kręgach, lecz on nie odczuwał ani zimna, ani wiatru. Kiedy tak patrzył, śnieg zastygał, zestalał się, przybierał określony kształt, postać. W owej postaci zaś zaczął krążyć rudawy poblask, niczym cyklon. Blask się rozprzestrzeniał, jego barwa stawała się coraz intensywniejsza, aż rubinowa.

A potem w tej rubinowej mgłę Eekkk dojrzał oblicze – olbrzymie, przerażające, gniewne. Najpierw zobaczył zęby – gigantyczne, ostre niczym noże, potem pokryty rubinowymi łuskami pysk z drgającymi nozdrzami i ślepią z pionowymi sierpowatymi tęczówkami.

–Niech mnie N’Luuura... – wyszeptał. – Kim jesteś?

Jam jest Yig. Święty smok ognia.

–Dar Sala-at wspominał o tobie. Jesteś jednym z Pięciu Świętych Smoków Miiny.

To dobrze, że o mnie wiesz.

–Co się dzieje? Pewnie już nie żyję.

Zapewniam cię, że tak nie jest.

–Czemu ocaliłeś mnie od śmierci? Ślubowałem.

To ty mnie przyzwałeś. Twoja modlitwa wojownika ściągnęła z niebios ogień.

–Modliłem się do Miiny.

Jesteśmy awatarami wielkiej bogini.

Oblicze, wcześniej przerażające, stało się teraz tak piękne, że Rekkkowi łzy napłynęły do oczu.

–Usłyszała moją modlitwę.

Jesteś dzieckiem Miiny. Jej kapłanem. Wojownikiem.

Rekkk doznał wstrząsu.

–Sądziłem, że ten zaszczyt jest zastrzeżony dla Daru Sala-at.

Tak.

Co to ma oznaczać? – zadumał się Rekkk.

–Przecież jestem V'ornnem.

Jesteś dzieckiem Miiny. Jej kapłanem. Jej wojownikiem.

–Nie rozumiem.

Proroctwo zapowiedziało nadejście Nawatira.

Rekkk miał wrażenie, że wszystko w nim zamarza.

–Przecież musisz mnie zabrać. Złożyłem siebie w ofierze. Moja wiara... okazałem... ślubowałem oddać życie, żeby Eleana i jej dziecko nie umarły.

Twoja wiara jest niezachwiana, twoje ślubowanie niezłomne. To cechy prawdziwego kapłana i prawdziwego wojownika. Oto kim jesteś.

–Chcę, żeby Miina mnie wysłuchała. Nie pozwolę im umrzeć. Są dla mnie zbyt ważni.

Mimo że nie masz pojęcia, kim może się stać to dziecko?

–Nie mam najmniejszych wątpliwości.

Twoja wiara jest niezachwiana, twoje przyrzeczenie niezłomne. Oto dowód.

–Teraz jestem gotów umrzeć.

Wielki smok ukazał rząd olbrzymich zębisk.

Czyżby moje słowa trafiły w próżnię? To nie chwila twojej śmierci, Nawatirze, lecz czas twojej służby Miinie. Oraz Kundalanom i V'ornnom. Zbliża się wojna. Moja rasa starała się tego uniknąć, lecz teraz nawet my widzimy, że to nieuchronne. Jesteś Nawatirem. Obrońcą Daru Sala-at. Powierzam ci to zadanie i przekazuję błogosławieństwo Miiny.

–Jeżeli naprawdę jestem tym Nawatirem, o którym mówisz, to błagam, zaprowadź mnie do Giyan, twojej najwierniejszej służebnicy, żebym mógł ją uwolnić od mąk zadawanych przez arcydemonia Horolagggię.

Giyan, podobnie jak Dar Sala-at, jest ulubienicą Miiny, lecz ma własne przeznaczenie.

–Jest też moją ukochaną. Nie chcę, żeby ją krzywdzono.

Jesteś obrońcą Daru Sala-at. Nie do ciebie należy kwestionowanie czegokolwiek.

–Jeżeli ona umrze...

Wojna niesie zmiany, Nawatirze, a zwłaszcza taka jak ta. Ostrzegam. Zmieni się wszystko; wszystko, co znasz, co uważałeś za prawdę.

–Moja miłość do Giyan nigdy się nie zmieni. Nigdy nie ustanie.

Nagle Rekkk zaczął być przyciągany przez gigantyczne oblicze. Coraz bardziej się do niego zbliżał. Potem smok otworzył ognistą paszczę i Hacilar wniknął w niezgłębiony mrok. Czuł, jak oblewa go nieznośny żar, krew w żyłach zmieniła się we wstęgi ognia. Umysł wypełnił gwar mówiących jednocześnie milionów głosów. A potem nagle zapanował kompletny bezruch śmierci czy też stanu wykraczającego poza śmierć i Rekkk przez moment się obawiał, że to tylko sen, który śni, umierając.

Potem poczuł, jak wiara na nowo rozpala w nim ogień, i znalazł się – zachwycony i oczarowany – w samym środku kosmosu, czuł pulsujące wokół niego niewyobrażalne bogactwo życia. Jakby się stał na chwilę grawilotem przemierzającym usiane gwiazdami multiversum, jakby wszystko widział i czuł. Jakby przez jedną chwilę kosmos istniał w jego wnętrzu.

Eleana tuliła swoje dziecko, ślicznego chłopczyka. Był jej dzieckiem i zarazem kimś jeszcze. Wiedziała o tym, ale nie chciała o tym myśleć. A przynajmniej jeszcze nie teraz. Noworodek, umazany płynami ustrojowymi, krzykiem oznajmiał przejście do nowego życia. Nucila mu i już miała go wytrzeć, kiedy rozbłysła sieć fioletowych sznurów energii, które się pojawiły we wnętrzu czarnej gyrgoniej kuli, nadal ich otaczającej.

Drgnęła, serce przyspieszyło rytmu, usiłowała osłonić malutkiego. Potem zdała sobie sprawę, że te strumienie energii emanują z jej dziecka i tworzą wypełniającą kulę sieć. Chłopczyk się uspokoił i Eleana patrzyła, zafascynowana, jak płyny obsychają, a skóra dziecka przybiera zdrową różową barwę. Obserwowała ruchy jego oczu, nadal ślepych na zewnętrzny świat, i nagle krzyknęła, wystraszona. Bo źrenice rozszerzyły się i zwężyły, chłopczyk obrócił odrobinę główkę i popatrzył na nią. Uśmiechnął się i zabalgotał radośnie, po czym złapał palec, który mu podsunęła.

Strumienie energii zwielokrotniały się. Eleana czuła ciepło jego ciała, jakby trzymała w ramionach ogień. Czyżby miał gorączkę? Może jest chory? Nie. Ujrzała, że jego ciało zaśniło, kontury stały się nieostre. Potrząsnęła głową, przetarła oczy. Może to ona jest chora albo tak wyczerpana, że ma halucynacje?

Lecz kiedy znów popatrzyła na dziecko, to nie było już ono noworodkiem, a sześciomiesięcznym chłopczykiem. Sieć strumieni energii zwielokrotniła się. Chłopiec otworzył i zamknął usta, matczyna intuicja podpowiedziała Eleanie, że dziecko próbuje mówić.

Droga Miino, pomyślała, co się dzieje?

Ale, rzecz jasna, wiedziała. To tkwiący w jej synku Nith Sahor przejął kontrolę. A dziecko znów zaśniło, jego sylwetka się rozmyła. Eleana była ciekawa, czy Gyrgoni tak właśnie przechodzą dzieciństwo. Uznała, że nie ma nic smutniejszego na świecie.

Szlochała, żałując lat, które tracił jej synek, wszystkich doświadczeń, które go ominą, i ledwo go widziała przez łzy. Potem poczuła, jak się porusza i dotyka jej twarzy, i usłyszała, jak pięknym melodyjnym głosem mówi:

–Och, nie płacz, Eleano. Powinnaś odczuwać jedynie radość, ty, która dałaś mi życie.

Przytuliła mocno synka, trzylatka, wedle jej oceny, bo minuty jego życia mknęły tak szybko, że nie potrafiła nadążyć. Objął ją za szyję, ucałował i znów zamigotał – rósł, dojrzewał w tempie narzucanym przez technomancję Gyrgona. Szepnął jej na ucho słowo, które tak pragnęła usłyszeć.

–Mamo.

Rekkk Hacilar, Nawatir, ku swemu zdumieniu znalazł się na powrót w jaskini, w której zostawił umierającą na gorączkę duur Eleanę. Oczekiwał zaś, że czerwony smok zanieśie go do Daru Sala-at, przebywającego gdzieś na pustkowiach Korrushu.

W tafli lodu ujrzał swoją nową postać: odziany był w strój barwy najgłębszej czerwieni, szrafirowaną bluzę i spodnie z nie znanej mu błyszczącej tkaniny, wysokie zamszowe buty, szeroki pas, u którego wisiały dwa miecze, pochwy zdobiły święte symbole Miiny. Z szerokich barków spływała peleryna z kapturem, falująca jakby z własnej woli. Baczniej spojrzął w prowizoryczne lustro, otarł je ze śniegu. Na widok odbijającej się w lodowym zwierciadle twarzy v'ornnańskie serca Rekkka zaczęły bić mocniej. Zachował wzrost i posturę, ale już nie wyglądał jak V'ornn. Miał rysy i cerę Kundalanina. Jasne włosy porastały jego głowę, policzki, brodę. Uniósł ręce i ze zdumieniem pogładził krótko ostrzyżoną bródkę. Jak dziwnie i wspaniale było mieć te nitki zwane włosami – i to w takiej obfitości! Jakże jasne miał oczy, niczym lód na szczytach Djenn Marre! A jego czaszka – już nie była wydłużona i stożkowata – lecz

okrągła jak u każdego Kundalanina. Wciąż wodził palcami po swej nowej twarzy o wysokich kościach policzkowych i pełnych wargach. No i, rzecz jasna, zastanawiał się, co Giyan o nim teraz pomyśli i czy jeszcze kiedyś ją zobaczy.

Rekkk usłyszał głosy i odwrócił się. Rozpoznał kobiecy głos – to Eleana – i pomodlił się dziękczynnie do Miiny. Ale drugiego głosu, chłopięcego, nie znał. Już miał tam podejść i sprawdzić, kto jest z Eleaną, kiedy wyczuł jeszcze czyjąś obecność.

I zobaczył wielkie, groźnie wyglądające zwierzę, wynurzające się z mgły na skalnej półce. Miało sześć nóg i spiczasty pysk, było smoliście czarne. Tylną część długich nóg porastały kępki jedwabistej sierści, smukła szyja wyginała się w zgrabny łuk. Stworzenie miało gęstą grzywę, sztywną jak szczecina szczotki. Wielkie złociste oczy patrzyły na Rekkka bardzo inteligentnie. Z czoła zwierzęcia wyrastał długi, spiralnie zwinięty róg, niebieskawo-biały, skrzący się.

–Narbuck – wyszeptał Rekkk. – A sądziłem, że życie wyłącznie w legendach.

Narbuck zatrzymał się o krok przed nim. Potem pochylił łeb i dotknął pyskiem dłoni Rekkka.

–Zostań – powiedział Rekkk. – Zostaniesz?

Narbuck parsknął, potrząsnął wspaniałą grzywą. Rekkk poklepał bok zwierzęcia, odwrócił się i wszedł do jaskini. Rekkk Hacilar nie wiedział, co robić, ale Nawatir najwyraźniej był lepiej zorientowany.

Eleana pierwsza go zobaczyła i opiekuńczo objęła synka ramieniem. Był już wyrostkiem, dość podobnym do Kurgana – pociągła, szczupła twarz, wąskie usta. Lecz zamiast czarnych jak noc i czujnych jak u śnieżnego rysia oczu ojca miał szarozielone oczy Eleany, duże i zaciekawione, odziedziczył również jej różową cerę. Przykładał jej kompres do podbrzusza. Siedziała, oparta plecami o ścianę jaskini. Nogi wyciągnęła do ognia. Suknię miała poplamioną krwią.

–Kim jesteś, nieznajomy? – spytała niespokojnie.

–To ja, Eleano, Rekkk.

–Rekkk nie żyje – odparła smutno. Zacisnęła dłoń na rękojeści korda. – Teyj mi powiedział. A poza tym Rekkk był V'ornnem. Ty zaś najwyraźniej nim nie jesteś.

–Ale to ja. Zostałem przemieniony.

Eleana włączyła kord, lecz chłopiec poprosił, żeby go odłożyła.

–Wysłuchaj go – rzekł melodyjnym głosem. – Nie osądzaj pośpiesznie.

–Kim jest ten chłopiec...?

–Jeżeli jesteś Rekkkiem Hacıarem, w co bardzo wątpię – powiedziała mocno zaniepokojona Eleana – to teraz masz okazję, żeby tego dowieść. – Opuściła kord, lecz go nie wyłączyła; bliźniacze klingi brzęczały złowieszczo, pole joniczne pomiędzy nimi rezonowało.

–Kryliśmy się w otwartej mogile – powiedział – pośród gnijących ciał, oddychaliśmy przez trzciny, wszystko po to, żeby uciec Khaggunom, którzy nas ścigali.

Eleana szeroko otworzyła oczy, lecz indagowała dalej.

–A o czym rozmawialiśmy potem, gdy już się stamtąd wydostaliśmy?

–Opowiedziałś mi, jak twój dziadek był świadkiem narodzin narbucka. Jak błyskawica zmieniła zwierzę z białego w czarne i utkwiała w jego czole jako róg.

–Droga Miino! Rekkk!

–Na zewnątrz jest narbuck, Eleano. Zaprowadzę cię do niego, kiedy zechcesz. To cudowne stworzenie.

–Kim jesteś, Rekkku? Kim się stałeś?

–Z własnej woli poddał się Miinie – odezwał się kundalański chłopiec – a ona przemieniła go w Nawatira, uświęconego obrońcę Daru Sala-at.

Rekkk spojrzał nań z ciekawością i ukląkł przed Eleaną, zamknął w dłoniach jej blade ręce.

–Eleano! Dziękuję Miinie, że przeżyłaś!

–Ach, Rekkku! – Ucałowała go w oba policzki. – Sądziłam, że nie żyjesz!

–Miałem umrzeć. – Poglądził ją po włosach i przytulił. – Powinienem nie żyć. – Potrząsnął głową. – To tajemnica. Nie pozwoliłbym umrzeć tobie i dziecku. Modliłem się do Miiny, żeby mnie wzięła zamiast was. Wyszedłem na skalną półkę i rzuciłem się w przepaść, wpadłem w śnieżną burzę, lecz potem znalazłem się w paszczy Yiga, czerwonego smoka. Przemówił do mnie, Eleano. Powiedział, że jeszcze nie czas, bym umarł. Powiedział, że Miina wysłuchiwała moich modlitw i że wybrała mnie na Nawatira.

–Po to się urodziłeś, Rekkku. – Oczy Eleany lśniły. – Najpierw zostałeś orędownikiem Nith Sahora.

–Gdzie teyj? – Rekkk po raz pierwszy przyjrzał się chłopcu. – No i ty. Nic nie rozumiem. Tak przypominasz Kurgana Stogggula, ale masz oczy... – przerwał,

patrzac na Eleanę.

–Nie tobie jednemu przydarzył się cud – powiedziała i skinęła głową. – Tak, to mój syn.

–Co takiego? Gdyby przeżył, powinien być noworodkiem. A ten młodzian ma jakieś piętnaście lat.

–Właściwie trzynaście – poprawił go chłopiec. – Piętnaście będę mieć jutro.

Dziewczyna opowiedziała mu, jak ją i teyja zaatakował Khagggun, idący ich śladem. Jak zranił śmiertelnie teyja i – zanim go zdążyła zabić – spowodował przedwczesny poród. Wskazała, gdzie Sahor zaciągnął zwłoki.

–Umierali, Nith Sahor i moje dziecko. Gyrgon posłużył się tą samą technomancją, dzięki której przeniósł się w ciało teyja, i dlatego moje dziecko żyje.

Położyła dłoń na sercach i głowie chłopca.

–Jest tutaj.

Rekkk dokładnie mu się przyjrzał.

–Ale nie ma żadnych neuralnych implantów, żadnych obwodów. No i jeszcze to. – Zmierzył kępkę czarnych włosów na czubku głowy Sahora.

–Jestem Nith Sahorem i kimś więcej – odezwał się młodzieniec. – Chociaż już nie Gyrgon, istnieję w tym ciele. Zmieniłem je, a ono zmieniło mnie. Nie jestem ani V'ornnem, ani Kundalaninem. Jestem inny i pozostanę taki przez resztę mojego życia. To jedyne słuszne wyjście, nie sądzisz, Nawatirze? – Pokazał trzymany w dłoni mały czarny przedmiot, po którego powierzchni przebiegały fioletowe strumienie energii. – To działa na moje gyrgońskie DNA, które się wbudowało w kundalańskie. Wielokrotnie przyspieszyło proces dojrzewania. Po siedmiu dniach, kiedy osiągnę dwudziestkę, znów podziała na moje DNA i zacznę dojrzewać w v'ornnańskim tempie. – Odłożył czarny przedmiot. – Nie mam ani tertowych obwodów, ani okummonu. Choć nadal mam w DNA odcinek dla sieci neuralnej, na zawsze jestem odcięty od Bractwa. Czuję jednak, że mam zdolności, których jeszcze nawet nie zacząłem poznawać. I mam kundalańską matkę. Uważam, że zyskałem na tej zamianie. – Uśmiechnął się szeroko i ścisnął ramię Rekkka. – Miło cię znów widzieć, Nawatirze.

Rekkk patrzył nań z powagą.

–Wiedziałaś. Wiedziałaś, kiedy mnie nakłaniałaś, żeby się uciec do Miiny.

–Powiedzmy, że się domyślałem – powiedział Sahor. – Bardzo mi się przydały

badania nad kundalańską tradycją. Sumiennie i gruntownie je przeprowadziłem. Lecz do niczego cię nie nakłoniłem, Nawatirze. Już jakiś czas temu dostrzegłem w tobie kapłańskie poświęcenie. To twoja wiara i tylko ona sprawiła, że zostałeś przemieniony.

Zasłona Tysiąca Łez falowała wokół Riane, przylegała do jej ciała. Przywołała dla niej obraz Za Hara-at. Starożytne miasto było gigantyczną machiną, skomplikowanym instrumentem, wykorzystywanym do nieprawdopodobnych magicznych celów. Zbudowano je właśnie tutaj, bo tylko w tym miejscu przecinały się wszystkie strumienie mocy Kundali. Każdą część miasta wybudowano wokół placu, pod którym znajdowało się co najmniej jedno skrzyżowanie strumieni mocy. Każda powstała w określonym, innym, magicznym celu; każda sprzęgała się z sąsiednimi, tworząc całość, sieć, po aktywowaniu stającą się źródłem niemal niewyczerpanej magicznej energii.

Zasłonę można było wykorzystać na rozmaite sposoby, zależnie od tego, na którym placu Za Hara-at by się znajdowała. Żeby ocalić Giyan, Riane powinna uwolnić tysiąc smoczycich łez na środku placu Dylematów.

Wynurzyła się z cenote na placu Moralnego Ryzyka, wprost w przenikliwy wiatr. Finbaty zniknęły, powrócił za to sauromicjan, którego wówczas dostrzegła.

Wynurzył się z mroku, melodyjnie recytując i zanim Riane zdążyła się obronić, przygwoździł ją rozwidlonym strumieniem jasnoblękitnej magicznej energii. Stwierdziła, że znajduje się na wyciągnięcie ramienia od leżącego głęboko pod placem węzła strumieni mocy. Gdyby zdołała się dostać nad ten węzeł, mogłaby skorzystać z jego mocy. Czuła jednak, jak snop energii wdziera się w nią, oplata wokół kręgosłupa – i nagle została sparaliżowana.

Sauromicjan szedł ku niej, jego czarne źrenice gwałtownie kurczyły się i rozszerzały. Widziała, jak starannie unika strumieni mocy.

–Zasłona Tysiąca Łez – rzekł. – Największa nagroda. – Wyciągnął rękę. – Teraz będzie moja!

Mocniej oplatał ją zaklęciem i wzdłuż kręgosłupa Riane zaczął pełznąć ból, a przeraźliwy ziąb stopniowo pozbawiał ją energii. Znów wymruczał zaklęcie i ku zasłonie wystrzelił drugi rozwidlony strumień.

–To na nic – odezwała się Riane; mówiła z trudem. – Zasłona jest obdarzona świadomością. Zabije cię, jeśli spróbujesz mi ją odebrać.

–Och, nie jestem arcydemonem. Nie mam zamiaru ci jej zabierać, Darze Sala-at. – Zobaczył jej reakcję i zaśmiał się; zakołysały się kości, osadzone w płatkach jego uszu. – Tak, wiem, kim jesteś. Któż inny mógłby się zjawić w Korrushu i

spowodować taki zamęt? Któż jak nie Dar Sala-at mógłby wydostać zasłonę z ukrycia? – Uśmiechnął się, ukazując zadziwiająco długie siekacze. – Długo i mozolnie się na to spotkanie przygotowywałem. Wiem, jak obejść zabezpieczenia. Zabiorę ze sobą i ciebie, i zasłonę. – Przekrzywił głowę. – Po jakimś czasie zrobisz, co każę, a zasłona wykona twoje polecenie. To proste.

–Nie, Talaaso – rozległ się czyjś głos. – Tak się składa, że to wcale nie takie proste.

Talaasa się odwrócił, a Riane poczuła, że ogarniający ją straszliwy ziąb nieco zelżał. Zdołała na tyle obrócić głowę, że zobaczyła idącego ku nim Minnuma.

Sauromicjan wybuchnął śmiechem.

–Co? Nie ukrywasz się w jakichś ruinach? Sądziłem, że padlinożerne ptaki już ucztowały na twoim ciele.

–Drwij ze mnie na własną zgubę – rzekł Minnum, podchodząc.

–Oooch, nie obawiaj się, Minnumie. Nie jesteś godny mojej uwagi, ty mały gnojku. Gdzie się chowałeś? Kiedy wraz z braćmi mozoliliśmy się na tym pustkowiu, ty się wymknąłeś, wzięłeś nogi za pas i schowałeś w jakiejś dziurze. Przed wszystkim uciekasz. Nawet przed własną karą.

–Wprost przeciwnie. Przekonałem się, że przed Miiną nie można uciec. I przed naszymi grzechami też.

–Grzechy! – burknął Talaasa. – Co to za słowo? Zrobiliśmy to, co musiało zostać zrobione.

–To znaczy, że nadal jesteś arogancki i ślepy na prawdę.

Talaasa splunął.

–Naszym „grzechem”, jeżeli tak to nazwać, było to, że się nam nie powiodło. Zamierzam zadbać, żeby to się już nie powtórzyło.

–Grubo się mylisz.

–Tylko my mamy rację! – Talaasa dygotał z wściekłości. – Głupcze! Spójrz tylko, co zostało z opactw, a przekonasz się, że bez nas giną. Silna władza, oto czego trzeba Ramahankom! I tylko my możemy im to zapewnić. Nie pojmujesz, jak się daliśmy zwieść Matce? To dzielenie się władzą mężczyzn i kobiet nigdy by się nie powiodło, a przynajmniej nie na długo. Bo niby jak? Mężczyźni wyraźnie górują, tak siłą, jak i umysłem. Kobiety były nam jedynie ciężarem. Ściągnęły nas do swojego poziomu. Wykastrowały nas.

–Powiedziałeś, co chciałeś. A teraz się odsuń – poleciał Minnum. – Nie zmuszaj mnie, żebym cię zabił.

–Wiesz, Minnumie, zawsze byłeś śmieszny. A ta nowo odkryta prawość czyni cię żalonym.

Minnum zacisnął zęby i rzucił czar. Riane czuła, jak brzęcząc, rozcina powietrze. Czuła też, jak Talaasa go odpiera.

–To wszystko, na co cię stać, pokurczu? – Sauromicjan cisnął płomień zimnego ognia i Minnum musiał odskoczyć. – Podejdź bliżej, jeśli się mnie nie boisz. – Rzucił drugi płomienisty grot, który osmalił Minnumowi włosy.

Minnum krzyknął i szeroko rozpostarł ramiona. Pomiędzy jego dłońmi uformowała się cienka pomarańczowa spirala i nagle zgasła jak ogień w ulewnym deszczu.

–Och, chyba mi się to spodoba – odezwał się Talaasa. Oczy mu rozbłysły.

Cisnął kolejny ognisty grot, tym razem prosto w pierś Minnuma. Minnum odparował go silniejszą spiralą, która spotkała grot w pół drogi i na chwilę go zatrzymała. Zaczął się pojedynek. Talaasa wydał gardłowy okrzyk. Nad krzaczaste brwi Minnuma wystąpił pot i zaczął zalewać mu oczy. Spirala zaczęła się uginać i grot powoli zbliżał się do Minnuma.

Talaasa, czując bliskie zwycięstwo, zdwoił wysiłki. A Riane wyczuła, że więzące ją zaklęcie jeszcze odrobinę osłabło. Teraz mogła trochę się poruszać i wierciła się, walcząc z grotem, czarem i wywoływanym przezeń paraliżującym chłodem.

Centymetr po centymetrze zbliżała się do węzła strumieni mocy. Pot lał się z Minnuma strumieniami, a grot niemal przepołowił spiralę. Jeszcze parę sekund i przesyje mu serce. Riane z ogromnym wysiłkiem przekroczyła obrzeża węzła i poczuła, jak wnika w nią jego potężna moc. Ciepło złamało okowy zimnego ognia, a Talaasa się odwrócił i wrzasnął.

W tej chwili Minnum zebrał całą swoją odwagę i cisnął w Talaasę grot zimnego ognia. Na ten widok Riane zaczęła recytować Przeplatanie Żył i Talaasa musiał to skontrolować. Na pewien czas skutecznie odwróciła jego uwagę i zimny płomień go powalił.

Talaasa osunął się na kolana, zniknęło zaklęcie, trzymające Riane w powietrzu i dziewczyna runęła na bruk placu.

–Uważaj! – zawołał Minnum, biegnąc ku niej. – Przetocz się na drugą stronę!

Za późno. Poczuła uścisk długich, pająkowatych ramion Talaasy. Nadal była na

wpół sparaliżowana i, pozbawiona wspierającej ją energii węzła strumieni mocy, strasznie się trzęsła.

–Jesteś za blisko – krzyknął Minnum. – Nie mogę rzucić zaklęcia, bo zrobię ci krzywdę!

Kątem oka dostrzegła czarny szósty palec Talaasy i sięgnęła w jego kierunku. Sauromicjan tylko na to czekał. Uderzył głową Riane o bruk. Zobaczyła wszystkie gwiazdy i poczuła mrowienie, bo Talaasa oplatał ich kolejnym zaklęciem. Czuła, jak przesuwa się ono po jej skórze niczym wąż. Wpełzła na sauromicjana, przeturlała go, kopala, znów turlała – aż wreszcie to wyczuła.

On również poczuł bliskość węzła strumieni mocy i szarpał się z Riane, desperacko starając się odsunąć. Lecz ona była górą i przeturlała go ostatni raz – prosto na węzeł strumienia mocy.

Talaasa otworzył usta do krzyku, lecz już zajął się płomieniem, niskim i zwartym, nie dającym ciepła ani blasku. Był niczym migotanie światełek nocą nad jeziorem, barwna plama, która zniknęła w mgnieniu oka.

I już był przy Riane Minnum, podniósł ją i otrzepał.

–Droga Miino! – rzekł bez tchu. – Mało brakowało! – Potrząsnął głową, oczy mu lśniły. – Zasłona Tysiąca Łez. Naprawdę istnieje!

–Co ty tu robisz? – Riane machnęła ręką. – Nieważne. I tak nie można ci wierzyć.

–Okłamałem cię? Nie przypominam sobie...

–Minnumie – powiedziała twardo – wiem, że jesteś sauromicjanem.

–To straszne! – wykrzyknął. – Będzie ze mną źle, bo sauromicjanie są śmiertelnymi wrogami Daru Sala-at.

–Właśnie się o tym przekonałam. – Klepnęła go w plecy. – Dzięki za wsparcie. Dzielnie się spisałeś!

Minnum się zaczerwienił i wydukał podziękowanie. Sprawiał wrażenie szczerze zdziwionego własną odwagą.

–Chodźmy – powiedziała Riane. – Musimy się dostać na plac Dylematów, żeby zasłona uratowała Giyan.

36. Wymiana ognia

Dowódcą partyzanckiej komórki Majji i Basse'a był młodzian imieniem Kasstna. Marethyn oceniła, że jest zaledwie rok czy dwa starszy od Basse'a. Miał przypominającą zwierzęcy pysk twarz, szeroką i płaską, z migdałowymi oczyma. Masywne barki i ramiona nadawały mu groźny wygląd. Zdawała sobie sprawę, iż Kasstna nie ma powodu, żeby ją lubić czy żeby jej ufać. Była V'ornnem; była wrogiem. A przecież dostarczyła jemu i jego ludziom istotną informację, co powinno była zmniejszyć dzielącą ich przepaść. Może właśnie za to jej nienawidził. Chociaż chętnie przyjął pochodzące od Rady informacje, było jasne, że nie ufa Marethyn. Oczerniał ją, kiedy tylko mógł.

Partyzanci zwinęli obóz w środku nocy, przy akompaniamencie jakby metalicznego odgłosu padającego deszczu, który najwyraźniej zamierzał zniszczyć drzewa. Marethyn, Majja i Basse wiele godzin wcześniej wysliznęli się z Axis Tyr jednym z wielu partyzanckich tuneli, omijających dobrze strzeżone bramy miasta, i spotkali się z podwładnymi Kasstny. Marethyn ubrana była w ciemną bluzę i spodnie, wysokie buty i grubą podróżną pelerynę, mającą ją chronić przed chłodem i wilgocią. W kaburze na jej lewym biodrze tkwił joniczny pistolet, który dał jej Sornnn. Co jakiś czas dotykała zimnej kolby, dodając sobie w ten sposób otuchy i czując dzięki temu bliskość Sornnna.

Oddział Kasstny liczył dwudziestu ludzi; dosiadali silnych cthaurosów. Nikt się do niej nie odzywał. Ale też w ogóle nikt nic nie mówił. Podczas jednego z krótkich postojów, kiedy to popijali wodą jakiś zimny pozbawiony smaku koncentrat, Majja pokazała jej, jak zręcznie wyciągnąć pistolet z kabury.

Wycelować i strzelić. Obserwujący ten pokaz Basse śmiał się cicho, ale potem zaproponował, żeby we trójkę wypalili skręt laaga. Najpierw Marethyn chciała odmówić, ale potem się zreflektowała. Wiedziała, że Basse był pod wrażeniem, iż ona tak znakomicie jeździ na cthaurosie. Nie miała serc też powiedzieć Majji, że mogłaby z pięćdziesięciu metrów odstrzelić nagonogowi pióra z ogona.

Wszyscy troje kucali pod baldachimem kuello i słuchali deszczu ze śniegiem uderzającego wokół nich niczym ogień zaporowy. Palili w milczeniu. Patrzyła im w oczy i zastanawiała się, czy to możliwe, że boją się tak jak ona. Potem zadała sobie pytanie, czy w ogóle została w nich choć odrobina strachu. Przypominali puste skorupy, roboty mechanicznie stawiające kroki, robiące to, co do nich należy. Ale co myśleli w głębi duszy? Miała ochotę ich objąć, powiedzieć, że wszystko będzie w porządku. Była ciekawa, czy kiedykolwiek ktoś kołysał ich do snu. Czuła obecność innych członków oddziału, ich wspólny oddech. Zapachniała ściółka, ostra woń niosła się z wiatrem i Marethyn uświadomiła sobie, że laaga wyostrzyła jej zmysły.

Zobaczyła sylwetkę Kasstny. Dał znak i znów byli w drodze, jadąc szybko ku góróm. Miasto zostało daleko za nimi. Posuwali się mniej więcej równolegle do konwoju, lecz trzymali się z boku, żeby nie zostawiać żadnych śladów. Jak można się

było spodziewać, opracowana przez V'ornnów trasa miała nieliczne słabe punkty i to daleko od siebie położone. Każdy zaś z nich miał swoje minusy i niósł zagrożenia. Marethyn była pod wrażeniem tego, jak szybko Kasstna je ocenił i wybrał ten, który dawał ich zasadzce największe szansę powodzenia.

Wybrał wyschnięte łożysko strumienia, tuż na zachód od Zasobnej Rezerwy i na południe od wioski U Zbiegu Dolin. Khaggguni, zgodnie ze swoją naturą, wybrali trasę, która okrążała miasteczka i omijała najgęściej zaludnione tereny pomiędzy Axis Tyr a Świetlistym Tamburem. Musieli przebyć wyschnięte koryto. Partyzanci mogli się tu zasadzić na wyżej położonym terenie i zaatakować konwój. To miejsce miało dwie poważne wady. Było tylko częściowo zalesione i stanowiło swego rodzaju ślepy zaułek – skalna ściana wznosiła się aż do płaskowyżu leżącego ponad tym, który będą ostrzeliwać partyzanci.

Rozpoznanie przekonało jednak Kasstnę, że nie mają się czego obawiać od tamtej strony, i w ostatniej godzinie przed brzaskiem zaczęli się przygotowywać do przejścia konwoju. Mieli trzy joniczne działka średniego zasięgu, które musiały im wystarczyć, oraz osobistą broń i własną pomysłowość.

Dwaj partyzanci mieli obserwować tyły. Pozostali, zgodnie z poleceniem Kasstny, rozlokowali się pośród sosen marre. Marethyn niewiele widziała z tych przygotowań; i pewnie o to chodziło, boją jako pierwszą Kasstna wyznaczył do tylnej straży. Dzieliła ten obowiązek z butnym chłopakiem o głęboko osadzonych oczach, który najpierw podszedł i powąchał ją niczym wyrpies, a potem trzymał się od niej tak daleko, jak tylko mógł. Widziała go poprzez mgiełkę świtu. Palił skręta, osłaniając go dłonią.

Deszcz ze śniegiem ustał przed paroma godzinami; i bardzo dobrze, bo temperatura spadała przez całą noc. Teraz wszystko pokrywała cienka, zdradliwa warstewka gołoledzi.

Świtało. Konwój wyruszył z zachodniego arsenału. Zjawi się tutaj za jakąś godzinę. Marethyn znalazła karłowatą sosnę o mocno oszronionej koronie i przykucnęła pod nią, opierając plecy o pokryty szorstką korą pień. Od czasu do czasu dostrzegała Majję lub Basse'a wykonujących swoje zadania. Raz nawet ujrzała patrzącego na nią gniewnie Kasstnę i odwzajemniła spojrzenie. W końcu się odwrócił i Marethyn pozwoliła sobie na leciutki uśmieszek. Chociaż umysł już miała jasny, nadal czuła smak laaga. I bardzo chciało jej się pić.

Odwróciła się, nadstawiła ucha. Chyba usłyszała niosące się z południa buczenie khaggguńskich pojazdów. Bojownicy o wolność przygotowywali się. Nadjeżdżał konwój.

Drugiego wartownika zadowalało trwanie w jednym miejscu, lecz Marethyn nie. W

końcu owładnęła nią kortazyńska, którą jej organizm produkował, od kiedy opuściła wraz z Majją i Basse'em Axis Tyr. Poderwała się. Przebiegała wzrokiem płaskowyż ponad tym, na którym się rozlokowali partyzanci. Co prawda już go sprawdzali, ale przynajmniej miała jakieś zajęcie.

Pojazdy słyszała już wyraźnie; nie były odległe nawet o kilometr i szybko się zbliżały. Khagguni nie chcieli dłużej niż to konieczne posuwać się wyschniętym korytem potoku.

Przez blisko godzinę trzymania straży Marethyn mniej więcej zapamiętała zarys wyższego płaskowyżu. I kiedy teraz znów przebiegała go wzrokiem, zauważyła jakąś zmianę. Nie była zbyt duża. Prawdę mówiąc, Marethyn musiała się dość długo wpatrywać, zanim się upewniła, że rzeczywiście coś jest nie tak.

Wyciągnęła z kabury joniczny pistolet i spojrzała przez ramię, starając się wypatrzyć Kasstnę w szarej mgie. Lecz partyzanci kryli się już wśród sosen i dziewczyna nie ośmieliła się do nich zbliżyć, bo konwój był tuż. Postanowiła powiedzieć o tym swojemu towarzyszowi.

Dudnienie pojazdów wypełniało teraz wyschnięte łożysko potoku, odbijało się echem od skał. Po raz ostatni spojrzała na płaskowyż i ruszyła, biegnąc od drzewa do drzewa. Drugi wartownik nawet nie drgnął. Ale przynajmniej przestał palić.

Dotarła do niego akurat wtedy, kiedy odezwało się pierwsze joniczne działko. Siedział oparty o pień sosny, wpatrzony w pustkę. Marethyn próbowała do niego szeptać, lecz wybuchy zagłuszały jej słowa. Dotknęła go i upadł. Kiedy się przewrócił, ujrzała, że szyję ma przeciętą jonicznym sztyletem.

Nie marnowała czasu na domysły, jak to się mogło stać. Porwała joniczny pistolet zabitego i – znów biegnąc od drzewa do drzewa – zdołała podejść bliżej niepokojącego zjawiska. Na skraju wyschniętego potoku rozpoczęła się zażarta wymiana ognia. Nie mogła tracić czasu na ocenę przebiegu walki, lecz powzięła podejrzenie, że wróg wiedział o ich zasadzce.

Była w odpowiedniej odległości. Przyczaiła się, uniosła wzrok, żeby się bliżej przyjrzeć temu czemuś na płaskowyżu, kiedy coś mocno ją uderzyło w bok głowy. Upadła, uderzyła o ziemię ramieniem, potem głową. Wyczuła ruch i zobaczyła Khagguna, który musiał zabić drugiego wartownika. Instynktownie odwróciła się w samą porę, żeby zobaczyć uniesiony kord. Khaggun postąpił krok, pośliznął się jednak i kord trafił w ziemię kilka centymetrów od jej zeber.

Przez mgnienie panowała cisza. Marethyn wpatrywała się w hełm Khagguna. Ujrzała w jego oczach własną śmierć. Ogarnęło ją przerażenie, uniosła prawe ramię, bez namysłu wypaliła i rozwalila mu głowę.

Przetoczyła się w krwawym deszczu, serca waliły jej w piersi. Widziała jak przez mgłę. Płakała i wymiotowała, nie mogła opanować drżenia. To nie przypominało strzelania do celu. Zabiła inną istotę. Jakaś jej część się zastanawiała, jak to było możliwe. Jak mogła odebrać komuś życie? I znów usłyszała, jak Basse pyta, czy już zabijała, i przypomniała sobie kpiącą uwagę Majji: „Ona wygląda jak ktoś, kto by nawet krwiomuchy nie zabił”.

Wstała, siłą woli powstrzymała drżenie. Czowała odór zwłok Khaggguna zmieszany z wonią jej wymiocin. Chciała uciec, nie oglądając się za siebie. Lecz wiedziała, że nie może tego zrobić. Wtem wstrząsnął nią dreszcz i przeczucie zmroziło jej krew w żyłach. Wyjrzała za skalną krawędź i wiedziała, że są skazani.

Pobiegła tak szybko, jak się ośmieliła, w środek walki. Pojazdy konwoju wisiały w powietrzu, khaggguńska eskorta odpowiadała na ogień partyzantów. Khaggguni już rozpięli grawimost od konwoju do urwiska i nadciągali kolejni. Marethyn odnalazła Kasstnę, zakrwawionego, klęczącego na jednym kolanie, wywarkującego rozkazy. Próbowwała mu powiedzieć o Khagggunach zachodzących ich od tyłu, ale on, widząc jej oplakany stan, uznał, że straciła zimną krew. Warknął i odpędził ją. Pobiegła więc, ślizgając się i pochylając pod strzałami – i wreszcie odnalazła Basse’a. Dokoła niego leżeli martwi partyzanci.

Basse, słysząc wieści, skinął ponuro głową i wspólnie odszukali Majję. Biegając, widzieli Khagggunów rojących się na grawimostach, skaczących na urwisko, strzelających. Majja zrobiła sobie redutę z ciał zabitych towarzyszy i musieli ją stamtąd wyciągać. Ranek rozbłyskiwał salwami jonicznych działek. Coraz więcej Khagggunów przedostawało się grawimostami. We troje pobiegli tam, gdzie Marethyn ostatnio widziała Kasstnę, lecz kiedy tam dotarli, on i pozostali partyzanci już nie żyli lub umierali. Tylko oni zostali przy życiu.

Skraj urwiska roił się od Khagggunów – tych, co się tam dostali z konwoju, i tych, co leżeli w zasadzce. Wydawało się, że nie ma drogi ucieczki. Czas odwrotu minął, wyglądało na to, że pozostało im tylko poddać się.

–Pamiętam, jak pierwszy raz zabiłem – odezwał się Olenn. – Byłem na Arggedusie Trzecim.

–Dobrze pamiętam Arggedusa Trzeciego. – Lokck Werrrent skinął głową; wspaniale wyglądał w nowej zbroi admirała floty, ozdobionej czteroramiennymi gwiazdami, oznakami jego nowej rangi. – To było szambo.

–Wypatrzyłem go w kępie linmowców.

–Pamiętam te drzewa. Ich paskudne kolce mogły przeszyć Khaggguna.

Olenn i Werrrent siedzieli obok siebie w najeżonym bronią poduszkowcu

gwiazdznego admirała. Rada siedziała naprzeciwko nich. Obok pojazdu śmigają światła Axis Tyr. Nieostry widok tysiąca twarzy. Gwar miasta przytłumiony warkotem silników ich poduszki.

–Ten Arggedianin ciał się w takiej jakby naturalnej altanie – mówił Olnn. – Cały dzień zabijał naszych Khaggunów. Wytropienie go zabrało mi trzy i pół godziny. A kiedy już go znalazłem, wziąłem go na celownik jonicznego działka, nacisnąłem spust i rozsadziło mu głowę. Ot tyle. Był w celowniku, lśnią niczym księżyc, a w następnej sekundzie zmienił się w krwawy ochłap. Nic nie czułem.

–Często tak jest – przytaknął Werrrent. – Przynajmniej za pierwszym razem.

Siedzący w kokpicie pilot i pierwszy kapitan wpatrywali się w zmieniającą się panoramę miasta.

Olnn pochylił się.

–Później tego samego dnia nawiązałem wraz z resztą mojego oddziału walkę z wrogiem. Walkę wręcz. Patrzyłem wrogowi w oczy, obserwowałem, jak uchodzi zeń życie. Czułem, jak dygocze i drży. Wtedy wszystko nabrało sensu.

Rada w milczeniu przysłuchiwała się tej rozmowie. Napięcie, wyczuwalne u obu Khaggunów, przyprawiało ją o dreszcz. Olnn zjawił się z planem zamordowania regenta – a może uknuli to razem, on i Lokck Werrrent – nie wiedziała tego. Ale to i tak nie miało znaczenia. Wiedziała jedynie, że znaleźli się w punkcie, z którego nie ma już odwrotu. To dlatego tak poważnie rozmawiali o śmierci, usiłowali ją przeanalizować i zrozumieć to, co niepoznawalne. Byli mężczyznami i Khaggunami. Musieli tego spróbować lub pozwolić, by napięcie wzięło nad nimi górę.

Była świadoma, że Olnn mówi o wiele szybciej niż zwykle, jakby nie nadążał z wymawianiem słów. Siedział, wspierając o kolano lewy łokieć. Widziała, jak nieco drżą mu palce, i pojęła, że się boi. Był mężczyzną i wojownikiem, ale bał się. Poznała jego męstwo. A teraz Olnn się bał i to sprawiło, że inaczej na niego spojrziała. Pomyślała, że chociaż nie potrafiłaby zrozumieć jego gniewu, to przynajmniej mogłaby to zaakceptować.

Poduszki zwalniał. Opadł zgrabnym łukiem i Lokck Werrrent wstał. Rada zobaczyła, że są w ciemnej i wyglądającej na opustoszałą części miasta. Najbliższa latarnia nie świeciła. Przez ulicę przebiegła wielkimi susami para wyrpsów. Werrrent spojrzął znacząco na Olnna i wysiadł z poduszki. Rada się odwróciła i patrzyła, jak statecznie kroczy ulicą. Wyrpsy, skulone cofały się, szczerząc kły. Poduszki znów się wzbił w powietrze i Rada zobaczyła, jak światło odbija się od zbroi i oręża Khaggunów.

Kierowali się ku pałacowi regenta.

Olnn przez jakiś czas siedział i przyglądał się jej.

–Kiedy mi powiesz, co zamierzacie? – spytała.

Podszedł i usiadł obok niej. Czują bijący od niego żar, niemal tak silny jak wibracje poduszki. Pochylił się ku niej i mocno pocałował ją w usta. Przytrzymując dłoń jej głowę, szepnął:

–Wiem.

Spojrzała na niego z lekkim zdziwieniem, serca mocno jej biły.

–Wiem, że zapamiętałaś trasę konwoju. Lokck Werrrent i ja szczególnie pieczołowicie ją wytyczyliśmy. Bo widzisz, jest tam jeden jedyny punkt dogodny na zasadzkę partyzantów i nasi Khagguni już tam czekają.

–Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Ścisnął jej dłoń.

–Twoi przyjaciele idą prosto w pułapkę i nic nie możesz na to poradzić.

Serca jej zamarły. Pomyślała o Marethyn i miała ochotę się rozplakać.

–Nie rozumiem dlaczego. Dlaczego zdradziłaś własną rasę, żeby im pomagać?

–Mówisz o wrogach jak o trofeach, więc nigdy tego nie zrozumiesz.

–Masz rację. – Skinął głową. – Nigdy nie rozumiem zdrady.

–A czym jest to, co ty i admirał floty zamierzacie zrobić tej nocy?

–To nie jest zdrada.

–Tak, wmawiaj to sobie.

–Jesteśmy patriotami. Regent musi umrzeć. Dla dobra modalności.

–I dlatego zrobiłam to, co zrobiłam. Bo v'ornnański mężczyzna ma ogromne zdolności do samookłamywania się. Każdą śmierć można usprawiedliwić. Wielu – nie brać w rachubę. Mechanizm...

Olnn uderzył ją z całej siły w twarz i głowę Rady odrzuciło w tył.

–Tak. Dobrze. – Nie mogła się powstrzymać od przyłożenia dłoni do puchnącego policzka. – Można się było tego spodziewać.

Spojrzał na nią gniewnie.

–Sądziłem, że jesteś inna. I nawet zaczynałem cię szanować.

–No, no. – Poruszyła się. – Rozłożę dla ciebie nogi.

–A ty mnie zdradzasz.

–Jakież to męskie. To nie ma z tobą nic wspólnego.

–Czemu mnie tak nienawidzisz?

Roześmiała się, choć była w niewesołej sytuacji.

–Ależ z ciebie głupiec.

Chwyił ją mocno za ramiona.

–Wiem, co widziałem w twoich oczach na arenie kallistotos.

–Widziałeś nudności. Miałam rozstrój żołądków.

Puścił ją, prychając z odrazą. Dolatywali do terenów pałacowych. Ostrzegawczo uniósł palec.

–Nieważne. Wszystko się zmieni za jedno uderzenie serc. Mamy się spotkać z regentem w ogrodach. Dam mu dowód twojej zdrady i znów będę w jego łaskach.

–I co ci z tego przyjdzie? Umrzesz, jeżeli mnie uwięzi lub zabije.

–Nie zrobi ani jednego, ani drugiego – rzekł chytrze – bo gdy będzie mi gratulować sukcesu, Khaggguni Werrrenta wedrą się do ogrodów. Zabiją jego Haaar-kyut, a ja poderżnę mu gardło.

Poduszkowiec znów zwalniał. Pałacowe tereny, tuż pod nimi, były jaskrawo oświetlone lampami, których ostry blask uwydatniał kępy mocno przyciętych sysalowców i geometryczne żywopłoty. Tkwiące w gałęziach gniazdo nagonogów było od dawna opuszczone i zniszczone. Wszędzie walały się szczątki pni dawno ściętych drzew. Pozostałości największych niegdyś ogrodów Axis Tyr. To, co kiedyś rośło bujnie, swobodnie i wspaniale, zostało przycięte i dopasowane do khagguńskich zasad bezpieczeństwa, wymagających niczym nie zakłóconej widoczności. Smutny wiatr kołysał przystrzyżonym, zbrązowiałym rajgrasem. Wszędzie panował przytłaczający bezruch porażki. Jakby każde okaleczenie i śmierć, zadawane w celach przesłuchań pod pałacem, miały tutaj swój odpowiednik.

Zobaczyła tuzin zbrojnych Haaar-kyut, rozstawionych w ogrodzie w strategicznych

punktach. Kurgan Stogggul, ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami, patrzył, jak wysiadają z poduszkowca. Stał przy nim Haaar-kyut i coś mu szeptał do ucha.

–Jeden przyboczny strażnik, jak zwykle – stwierdził Olenn. – Pierwszy cel dla najlepszego snajpera Werrrenta.

Poduszkowiec osiadł na rajgrasie. Olenn rozbroił Radę i założył jej na szyję fotonową obrożę.

–Jesteś moim więźniem – powiedział jej na ucho. – Więc odpowiednio się zachowuj.

–A jak mogłabym inaczej? – A kiedy już mieli wyjść, dodała: – Nie rób tego, Olennie. Jeszcze nie teraz. Przypomnij sobie zaklęcie. Dopóki się nie zmienisz, nie zdołasz zabić Kurgana. Dalej jesteś obłudny, podatny na korupcję...

Spoliczkował ją z całej siły.

–Milcz, skcetto – powiedział, wypychając ją z poduszkowca. – Nie interesuje mnie opinia zdrajcy.

Szli w kierunku Kurgana, który patrzył na nią z wściekłością.

–Zrobiłaś ze mnie głupka – odezwał się i przyłożył jej pięścią. – Czym mnie karmiłaś? Fałszywymi informacjami upichconymi przez ruch oporu? – Znow ją uderzył, tak mocno, że osunęła się na kolana. Zwiesiła głowę, chciała, żeby już się zaczęło. Przrzekła sobie, że już nigdy nie uklęknie przed żadnym V'ornnem.

Kurgan uśmiechnął się do Olenna.

–Dobra robota, gwiazdny admirał. Do moich Haaar-kyut zaczęły docierać plotki o tobie i o Tuskuggun w zbroi. Zaczynali w ciebie wątpić, lecz ja nie.

–Doceniam twoją wiarę we mnie, regencie – powiedział Olenn. – Wielu Khaggunów, w tym i członkowie naczelnego dowództwa, to bywalcy „Krwistej Fali”. Ognista numaaadis rozwiązuje języki.

–O tak – przytaknął Kurgan.

W ogrodzie nagle się zakotłowało. Snajper Werrrenta zastrzelił przybocznego strażnika regenta. Pozostali Haaar-kyut dostali się pod ogień admirała floty i jego szybko prącego naprzód oddziału. Olenn dobył korda i zamachnął się na Kurgana. Ten się cofnął, a Rada rzuciła się na niego.

–Rado! Nie! – krzyknął Olenn.

Zaatakowała tak gwałtownie, że Kurgan upadł na plecy. Sięgnęła po jego sztylet,

lecz złapał jej palec wskazujący i odgiął go. Nachyliła się, przycisnęła mu gardło przedramieniem. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Potem jej palec się złamał i zadygotała. Kurgan zepchnął jej dłoń z rękocyfki sztyletu, dobył go i wbił Radzie w gardło. Wygięła się, starała się go złapać, lecz Kurgan raz za razem zatapiał w niej sztylet.

Olnnn, szczerząc zęby w grymasie wściekłości, rzucił się na Kurgana.

–Mam cię zabić! – zawołał. – Takie jest moje przeznaczenie!

Lecz wówczas, ku jego ogromnemu zaskoczeniu, zmartwychwstał zastrzelony przez snajpera Haaar-kyut. Jego kontury zafalowały niczym woda i stał się Gyrgonem, Nith Batooxxksem.

Gyrgon wyciągnął ku Olnnnowi lewą rękę, lecz ten się nie zatrzymał. Czuł w sobie całą moc zaklęcia Malistry. Przygotowała go na tę chwilę. Był zaczarowanym zamachowcem, którego nie powstrzyma ani joniczny ogień, ani technomancja Gyrgona. Był niepokonany.

Jego kord znajdował się o centymetry od szyi regenta, kiedy Olnnna coś odrzuciło, zbiło z nóg. Kości jego nogi pękły i rozpadły się, ogarnął go chłód, jakiego nigdy nie czuł.

Z wyciągniętą ręką stał nad nim Pyphoros w postaci swego nosiciela Gyrgona.

–Co się czuje – spytał arcydemon – kiedy wycieka z ciebie cała życiowa energia?

Olnnn próbował odpowiedzieć, lecz stracił głos. Nie mógł pojąć, co się stało. Przeznaczona mu była sława, tak mu powiedziała Malistra. Był gwiazdnym admirałem. Zawarł sojusz z najbystrzejszym członkiem najwyższego dowództwa. Wykorzystał siłę i sposobność. Czy aby na pewno? Teraz wszystko zdawało się złudzeniem, a sposobność pułapką, wszystko wyciekało z niego razem z krwią. Jego życie skończyło się w mgnieniu oka i nawet nie dana mu była honorowa śmierć. Udało mu się nieco odwrócić. Leżał obok Rady. Miała nieruchome spojrzenie. Jej krew była jeszcze ciepła. Pamięć podsunęła mu jej obraz na arenie kallistotos; napięte bicepsy, falujące drobne piersi, wyraz determinacji na twarzy. Pomyślał, że to wtedy po raz pierwszy ją zobaczył. A teraz i ona nagle odeszła.

Poczuł, jak coś w nim topnieje; jakby jego ciało, stężałe za życia, topniało wraz ze zbliżaniem się płomieni śmierci. Potoczył wokół nabiegłymi krwią oczami, spojrzał w dół i ku swemu przerażeniu zobaczył, że kości jego zaczarowanej nogi stały się miękkie, żółte, wiły się. Na jednym końcu ukazał się ogon, na drugim łeb – wąż. Malistra patrzył na niego gniewnie. Potem wąż się rozpadł, zmienił w popiół, Olnnna zaś ogarnęła niewyobrażalny ból.

Rozległo się miarowe dudnienie ziemi, ciężki łomot licznych khagguńskich butów. Padały natychmiast wykonywane rozkazy. Nie jego. Świadomość Olnna zanikała, a z nią życie.

Jego ręka ważyła tonę. Desperacko chciał po raz ostatni dotknąć Rady, lecz na przeszkodzie stała zbroja. Ciepło jej ciała byłoby dla niego taką pociechą, tymczasem pod palcami miał jedynie wymodelowany werad, zabarwiony i wypolerowany na błysk.

Umarł, zakłęcie Malistry zniknęło i Pyphoros przestał się nim interesować. Otaczający ich chaos powoli zmieniał się w ład. Haaar-kyut najpierw niby się cofali pod naporem atakujących, wciągając ich w głąb ogrodów, a potem wsparły ich dwa czekające w ukryciu oddziały. Wzięli ludzi Werrrenta w morderczy krzyżowy ogień.

–Masakra – stwierdził Pyphoros. – Jakież to ekscytujące.

Kurgan zdążył już wstać.

–Dobrze, że te twoje okummmmony dla najwyższego dowództwa pozwalają ci potajemnie podsłuchiwać ich rozmowy.

–To ich zapłata za status wyższej kasty – powiedział Pyphoros. – Nith Batoxxx był zdania, że nigdy dość ostrożności w przypadku V'ornnów hodowanych do walki, i miał rację.

Kurgan zwrócił uwagę na czas przeszły. Ciekaw był, jak dawno zanikła osobowość Nith Batoxxksa.

Nadbiegł pierwszy kapitan Kwenn i zdał zwięzły raport z potyczki. Zabito wszystkich zbuntowanych Khaggunów, lecz nigdzie nie można było znaleźć ich dowódcy, Lokcka Werrrenta. Kurgan nakazał dalsze poszukiwania i obarczył tym pierwszego kapitana Kwenna. Nie było sensu wtajemniczać dowódcy – a za jego pośrednictwem pozostałych Khaggunów – że Werrrenta można wyśledzić za pomocą jego okummmmonu. Wywołałoby to poruszenie, którego regent wolał uniknąć. Zwrócił się do Pyphorosa.

–Spójrz tylko na mnie. Jestem cały we krwi.

–Ale nie we własnej, regencie – zauważył Pyphoros.

Wykonał gest i krew zniknęła.

Kurgan kopnął zwłoki gwiazdneho admirała.

–Zdecydowanie ci się nie spieszyło.

–Nie przewidziałem ataku tej kobiety. – Wzruszył ramionami Pyphoros.

–Mam nadzieję, że następnym razem lepiej się spiszesz – rzekł Kurgan.

Arcydemon się zaśmiał i trzepnął go w kark.

–Już to zrobiłem. Słyszę śpiew mojego ukochanego miasta. Za Hara-at odżyło. Nareszcie wiem, gdzie jest Zasłona Tysiaca Łez. Szykuj się, regencie. Lada moment wyruszamy. – Zarzucił na nich obu swoją opończę. – Ale jeszcze musimy zabrać Sorinna SaTrryna.

–Naczelnego faktora? – Zachmurzył się Kurgan. Nie podobało mu się, że jeszcze jakiś V'ornn dowie się o istnieniu zasłony. – Po co on nam potrzebny?

–Bo więcej niż ktokolwiek inny, poza członkami plemienia Bey Das, którzy tam kopali, wie o starożytnym mieście. W tym przeklętym gyrgońskim nosicielu nie mogą tracić czasu na wymuszenie informacji z pracowników wykopalisk. SaTrryn zaś chętnie zrobi to, o co ty lub ja go poprosimy.

Marethyn oczami artystki widziała ostatnie fazy wymiany ognia niczym obraz. Kompozycja, faktura, barwy, perspektywa służyły ukazaniu pędzących Khaggunów, błysków salw, odbijających się od ich zbroi, wybuchy zielonego jonicznego ognia widoczne w wizjerach ich lśniących hełmów niczym w lustrze, szeregów żołnierzy schodzących z urwiska.

Skryli się za płonącymi sosnami. Basse wycelował joniczne działko w Khaggunów podrynąjących gardła jego śmiertelnie rannym towarzyszom.

–Przynajmniej zabierzemy ze sobą paru z nich – powiedział przez zaciśnięte zęby.

Marethyn położyła dłoń na lufie działka.

–Chwileczkę. Mam lepszy pomysł.

Zawlekli zabitego pierwszego kapitana Khaggunów za osłonę sosen. Basse i Majja pomogli jej zdjąć zbroję ze zwłok. Najpierw włożyła hełm i spojrzała na nich.

–Co wy na to?

Basse skinął głową. Majja pomogła jej włożyć zbroję, a on podał joniczny karabin.

Chwilę potem wyszli zza płonącej korony drzewa i pospieszyli do mostu wiodącego do prowadzącego grawolotu. Marethyn celowała jonicznym karabinem w plecy Basse'a i Majji, na pozór rozbrojonych.

Stojący na uboczu żołnierz trzeciej rangi, pilnujący grawimostu, nie kwestionował

słów starszego stopniem, kiedy Marethyn poinformowała go, że zabiera więźniów na pokład na przesłuchanie. Spojrzał pożądliwie na Majję i powiedział:

–Tak jest, sir. Proszę o pozwolenie na spędzenie z nią kilku chwil, sir.

Marethyn udało się zignorować go. Szorstko popchnęła dwójkę Kundalan na grawimost, serca biły jej mocno. Byli w połowie mostu, kiedy za nimi rozległy się krzyki. Odwróciła się i ujrzała odłączającego się od walczących dowódcę szwadronu, żywo gestykującego.

–A to co takiego?! – krzyczał. – Kto ci pozwolił, pierwszy kapitanie, zabierać Kundalan na pokład grawolotu?

–Biegiem! – zawołała Marethyn, rzucając Basse’owi joniczny karabin.

Pognali przez pozostały odcinek grawimostu, a obok nich świstały joniczne salwy. Na szczęście nie był to ogień ciągły. Khagguni musieli uważać, żeby nie uszkodzić grawolotów. Basse i Majja byli już w środku, kiedy celny strzał przeciął grawimost i Marethyn zaczęła spadać. Zdążyła się chwycić krawędzi wjazdu, kiedy opadła ta część grawimostu, na której się znajdowała, i uderzyła o burtę pojazdu.

Spojrzała w górę. Basse strzelał do trzech Khaggunów, którzy zostali na pokładzie, a potem do tych na skraju urwiska. Majja zerknęła ku niej i Marethyn przez chwilę się bała, że dziewczyna zapomni, kto się znajduje za lustrzanym wizjerem. Na pozór byli przecież śmiertelnymi wrogami – v’ornnański Khaggun i dwoje partyzantów.

Potem Majja złapała ją za rękę i wciągnęła do wnętrza grawolotu. Basse dalej strzelał do Khaggunów, one zaś rzuciły się do sterów. Marethyn prowadziła wystarczająco wiele poduszkowców, żeby się zorientować, jak pilotować grawolot. Włączyła silniki i otworzyła przepustnicę. Pojazd ruszył z basowym dudnieniem. Ale niemal od razu zaczął się przechylać, bo dostali się w ogień Khaggunów z urwiska. Zawołała do Basse’a, walcząc ze sterami, a on zaczął strzelać w tamtym kierunku; jednych zabił, innych zmusił do rozproszenia się.

Marethyn wyrównała lot. Basse zawzięcie strzelał, więc salwy tamtych były sporadyczne i niecelne. Miała trochę kłopotów z manewrowaniem konwojem trzech grawolotów, lecz wkrótce nabrali szybkości i wznieśli się wyżej, zostawiając wszystko za sobą.

Basse wreszcie odstawił joniczny karabin i dołączył do nich w kokpicie.

–Dokąd lecimy? – spytała Marethyn.

Zdjęła wysoki, ciężki hełm, a wiatr i słońce osuszyły pot na jej czole. Nie

przypominała sobie, by kiedyś widziała pejzaż tak czysto nakreślony czy tak wyraziste barw. Świat do niej śpiewał.

Basse położył dłoń na jej ramieniu i wskazał na północny zachód. Marethyn, już świetnie panując nad sterami, skręciła w kierunku niebotycznych szczytów Djenn Marre.

37. Noc Tysiąca Łez

Natarczywy dźwięk dzwonu zwiastującego przybycie gości sprowadził konara Inggres. Była późna pora, lecz Inggres nie spała. Otworzyła bramę trzem obcym, dosiadającym zwierzęcia wyglądającego jak olbrzymi czarny cthauros. Porywiste zimowe wiatry zdmuchnęły latarnie przy bramie. Sylwetki przybyszów rysowały się na tle jasnych gwiazd, których blask lśnił w posrebrzanych kopułach dziewięciu smukłych minaretów, znajdujących się w obrębie białych jak kość kamiennych murów. Gdzieś w dole, w rozłożonym na wielu poziomach Stone Border, zaczął warczeć wyrpies.

–Czym mogę służyć? – spytała konara Inggres, wysoko unosząc latarnię.

–Szukamy konara Urdmy – odezwała się piękna młoda kobieta o szaro-zielonych oczach. Pochyliła się, żeby lepiej widzieć; siedziała pomiędzy dwoma towarzyszami. – Ty nie jesteś konara Urdma, nieprawdaż?

–Nie. – Konara Inggres potrząsnęła głową. – Konara Urdma nie żyje.

Troje obcych wymieniło spojrzenia.

–Co się stało? – spytała młoda kobieta.

–Cóż, to zależy od tego, kogo spytacie. A odpowiedź będzie zależeć od tego, kim jesteście. – Postąpiła ku nim. – Jestem konara Inggres. A wy?

Zanim zdążyli odpowiedzieć, poryw wiatru uderzył skrzydłem bramy i wielkie zwierzę tupnęło kopytem. Odwróciło łeb i konara Inggres przekonała się, że to wcale nie cthauros, a narbuck.

–O miłosierna bogini! – Przyklękła na kolano. – Moje modlitwy zostały wysłuchane! – Wstała i ze czcią dotknęła wilgotnego pyska narbucka, miękkiego jak aksamit; na krótko zacisnęła dłoń na jego rogu, po czym głęboko westchnęła. – Jesteśmy uratowani! Oto Nawatir, dosiadający narbucka, jednego ze świętych stworzeń Miiny, od ponad stu lat nie widzianego na Kundali. – Widać było, jak dygocze. – Więc... które z was jest Darem Sala-at?

–Dar Sala-at jest w tej chwili gdzie indziej. – Wyjaśnił Nawatir łagodnym i melodyjnym głosem, który tak samo ją oszołomił jak jego wygląd. – Jesteśmy jego towarzyszami.

Oczy konara Inggres jaśniały.

–A więc widziałeś Miinę. Wielka bogini powróciła.

–Niestety, nie – rzekł Nawatir. Był tak samo wysoki i barczysty jak V’ornnowie, których widziała, lecz twarz miał niezwykle przystojnego Kundalanina, bladoniebieskie oczy, kręcone blond włosy i krótko przyciętą brodę; podobały jej się zwłaszcza jego usta, pełne i ładnie wykrojone. – Jestem związany przysięgą z jej emisariuszem, Yigiem.

–O miłosierna bogini, widziałeś czerwonego smoka? – Konara Inggres się pociała, chociaż noc była zimna. Jej świat właśnie zakończył salto rozpoczęte odkryciem, że Giyan jest opętana.

–To Yig zesłał mi narbucka – powiedział Rekkk, poklepując wdzięcznie wygiętą szyję zwierzęcia.

Konara Inggres uczyniła znak Miiny.

–Proroctwa spełniają się jedno po drugim. – Zmarszczyła brwi. – Lecz twoje miejsce jest u boku Daru Sala-at, Nawatirze. Gdzież więc on?

–To długa historia – odparł Rekkk. – Moglibyśmy wejść? Eleana dopiero co urodziła, potrzebny jej wypoczynek i posiłek.

–Ależ oczywiście.

Konara Inggres wprowadziła ich przez bramę, przyglądając się przy tym baczniej dziwnej twarzy chłopca. Kolejny dziwny Kundalanin, pomyślała. Miał wielkie, czujne błękitno-zielone oczy i powściągliwą minę czarodzieja, co zupełnie nie pasowało do szczupłej twarzy o niemal okrutnym wyrazie. I jeszcze nigdy nie widziała Kundalanina mającego jedynie kępkę włosów na czubku głowy.

–A gdzie noworodek?

–To jeszcze dłuższa historia – odezwała się Eleana. Niepokoїła się, że Ramahanka nabierze jakichś podejrzeń. Starając się nie patrzeć na Sahora, dodała: – Nie obawiaj się, mój synek żyje i cieszy się dobrym zdrowiem.

–Więc wszystko jest tak, jak być powinno – stwierdziła konara Inggres. – Zjawiliście się w najodpowiedniejszej chwili. Rozpaczliwie potrzebuję

sprzymierzeńców.

–A to dlaczego? – zapytał Rekkk, zsiadając z narbucka.

–Wejdźcie, a sami się przekonacie.

Zostawili narbucka na rozległym podwórku przed opactwem. Konara Inggres zaprowadziła ich do brzydkiej części opactwa, w której tłoczyły się Ramahanki. Panował straszny bałagan, a zwłaszcza w sali położonej najgłębiej – wszystkie meble zepchnięto tam pod dwuskrzydłowe drzwi wiodące w głąb opactwa. Obok tej barykady siedziały trzy wielkie kotowate stworzenia; po ich skórze pokrytej wspaniałą sierścią, złocistą w czarne cętki, przebiegało drżenie. Odwróciły łby i stuliły uszy. Ale nie zawarczały i nie wyszczerzyły zębów.

–Ja-Gaar! – Sahor odezwał się po raz pierwszy.

–To Sahor – wyjaśniła Eleana.

–Nie mogłam nie zauważyć – rzekła konara Inggres, pomagając Eleanie ułożyć się na sofie, której jeszcze nie zdążyła zepchnąć pod drzwi. – V’ornn z włosami.

–On jest wyjątkowy – powiedziała Eleana. W solidnie wyładowanych drzwami kominkach płonął ogień. W jednym z nich zawieszono nad płomieniami czarny żelazny kociółek. Konara Inggres zbadła Eleanę, podeszła do kominka, nalała zupy do miseczki. Potem sporządziła mieszankę ziół, korzeni i suszonych grzybów i dodała do zupy. Przyniosła to Eleanie i poprosiła, żeby powoli wypić. Eleana spełniła jej życzenie, a przy okazji przyglądała się Ramahankom. Sprawiały wrażenie oszołomionych i nieobecnych, jakby przed chwilą zmarł niespodziewanie ktoś z ich najbliższej rodziny. Dla nich czas się skondensował, podobnie jak to się dzieje pod ostrzałem. Policzki najmłodszych były mokre od łez. Trzymały się z daleka, a przechodząc w pobliżu, zwalniały kroku. Kątem oka obserwowały przybyszów – podobnie jak wszystko teraz – z mieszaniną niedowierzania i lęku.

–Opactwo znalazło się w punkcie krytycznym – powiedziała konara Inggres. Skinęła ku obu mężczyznom. – Częstujcie się, proszę. Zostało jeszcze dużo.

Akolitka podała Rekkkowi i Sahorowi miseczki, a konara Inggres opowiedziała im zwięźle, jak opętana Giyan zjawiała się w opactwie.

Rekkk i Eleana, słysząc te alarmujące wieści, wymienili spojrzenia. Dziewczyna zauważyła, jakiej ulgi doznał Hacilar. To, że wreszcie wiedział, gdzie jest Giyan, i że nareszcie znów był blisko niej, nadało jego życiu nowy cel.

–Dobrze to słyszeć – rzekł do konara Inggres, potwierdzając domysły Eleany. – Zgubiliśmy jej ślad, kiedy się dostała we władanie Malasocca.

–Obawiam się, że nie mogę podzielić twojego optymizmu – odparła konara Ingggres. – Giyan uwolniła swoją bliźniaczkę, żeby mógł ją opętać brat Horolagggii. Od tamtej chwili obie zatruwają Ramahanki demonami, których jaźń w jakiś sposób wyniosły z Otchłani.

–Czy tkwiący w niej arcydemon ma tutaj władzę? – zapytał Nawatir.

–Nie całkiem. Giyan, ta prawdziwa, uwięziona w Nadświecie, powiedziała mi, jak ożywić Ja-Gaar. Zabiły konara Barttę, odsyłając do Otchłani brata Horolagggii. Trzymają go w szachu, ale nic więcej. Horolagggia jednak wie, że nie wypuszczę ich na jego nosicielkę, jak to zrobiłam z konara Barttą. Opactwo podzieliło się na dwie frakcje. Ja przewodzę jednej z nich. Druga, o wiele liczniejsza, niestety, skupiła się przy opętanej Giyan. Twierdzą, że zawiodła ich do Daru Sala-at.

–To bzdura – rzekła porywczo Eleana. – Jest tylko jeden prawdziwy Dar Sala-at.

Konara Ingggres zaczęła przygotowywać dla niej okład.

–Widziałam go przelotnie i uważam, że to sauromicjan. Sporo czytałam. Ma szósty czarny palec.

Nawatir otarł usta.

–Dar Sala-at jest kobietą.

–To jej tylko utrudni sprawę. – Konara Ingggres uklękła, wsunęła okład pod suknię Eleany. Ramahanki zaczęły szeptać; może się modliły albo znów płakały. Ingggres wstała. – Niektóre są przekonane, że Dar Sala-at musi być mężczyzną, skoro jest wojownikiem. Horolagggia sprytnie to wygrywa.

–Tym bardziej musimy jej pomóc, jak tylko zdołamy – powiedział Rekkk. Wyjaśnił też, że Dar Sala-at szuka teraz Zasłony Tysiąca Łez, która wywłaszcza arcydemoną Horolagggie i odeśle go do Otchłani, nie czyniąc Giyan krzywdy. – Lecz czas się kończy. O północy zaczyna się zimowe przesilenie, a dalej nie ma znaku, czy Darowi Sala-at się udało. Jeżeli natychmiast nie zadziałamy, będzie za późno. Giyan będzie skazana, a tkwiący w niej arcydemon zyska dostęp do wszystkich jej wspomnień i całej wiedzy, w tym i jej Daru.

Konara Ingggres wstrzymała oddech.

–Przecież to by znaczyło, że arcydemon będzie mógł korzystać z Osoru.

–Otóż to – rzekł Nawatir. – Kocham Giyan. Nie pozwolę, żeby umarła. Jeżeli Dar Sala-at nie może walczyć z Horolagggia, ja muszę to zrobić. Błagam, powiedz mi, w której części opactwa ją znajdę.

–Nie!

Odwrócili się i spojrzeli na Sahara, który odstawił miseczkę.

–Sam powiedziałaś, Nawatirze, że już niemal mamy przesilenie, więc nie wolno nam popełnić błędu. Za bardzo kochasz Giyan, nie zdołasz zmylić demona. – Ramahanki milczały, wpatrywały się w niego. – Ja to zrobię.

–Niemożliwe – odparł Rekkk. – Nie chcę o tym słyszeć.

Konara Ingggres wyczuła, że sprzeczka może mieć złe skutki. Stała przed Sahorem.

–Musisz pozyskać zaufanie Ja-Gaar, bo bez któregoś z nich nie możesz się znaleźć w pobliżu arcydemona. – Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów. – Coś mi mówi... ciekawam, co też widać w tych wielkich oczach? Jesteś żółtodziobem czy też jesteś o wiele starszy i umiesz o wiele więcej niż ktokolwiek z nas.

Wszyscy wiedzieli, że to nie było pytanie.

–Nith Batoxxx jest na zewnątrz. Czeka. – Kurgan wyduł wargi. – Nie wyglądasz dobrze, Sornnnie SaTrrynie. Jesteś chory?

–Nie, ja...

–To dobrze. Bo jesteś mi potrzebny w Za Hara-at. Znasz te wykopaliska lepiej niż jakikolwiek inny V'ornn, a nawet, jestem pewien, lepiej niż bashkirscy architekci, których wynajęliśmy.

Siedziba Sornnna sprawiała wrażenie tymczasowej. Była niczym przystanek zapełniany dobytkiem podróżnych, lecz pozbawiony akcentu osobistego. Wysoki sufit zdawał się olbrzymi, komnaty o pustych ścianach przepaściste jak nieobiańska katedra. Dwaj V'ornnowie niknęli w tych przestrzeniach.

–Wytłumacz mi ponownie, czemu w takim pośpiechu musimy ruszać do Za Hara-at? – poprosił Sornnn.

–To życzenie Nith Batoxxksa. – Regent rozłożył ręce. – W końcu popierał w Bractwie nasz projekt. Chociaż tyle możemy dla niego zrobić.

–Tak, tak. Istotnie.

Sornnn zajął się przygotowaniem, niespokojnie rozmyślając o ostatnich wydarzeniach. Zbierał mapy i pospiesznie sporządzane notatki, wszystkie rzeczy, które mogły mu się przydać. Dobrze, że często wyruszał do Korrushu i część tych

rzeczy była stale pod ręką, bo w tej chwili był myślami daleko od Axis Tyr. Jak mógł pozwolić Marethyn iść z partyzantami? Dlaczego jej nie powstrzymał? Potrząsnął głową. Czy kiedykolwiek mężczyzna zrozumie kobietę? Raczej nie, lecz jeżeli coś jej się stanie... Nie mógł sobie pozwolić na takie czarne myśli, bo wpadłby w rozpacz.

–W porządku. Jestem gotów – stwierdził.

Kurgan skinął głową i odwrócił się do drzwi. Już miał je otworzyć, kiedy Sornnn powiedział:

–Chwileczkę, regencie.

Kurgan obejrzał się przez ramię, na ustach miał sztuczny uśmiech. Nie był w nastroju do wysłuchiwania filozoficznych bredni SaTrryna.

–Może innym razem, naczelnny faktorze. W tej chwili...

Sornnn nie ustąpił.

–Zechcesz tego wysłuchać, regencie, wierz mi.

–Ale Nith Batoxxx...

–Zwłaszcza przed wyruszeniem na tajemniczą wyprawę z tym Gyrgonem.

Kurgan westchnął, kiwnął głową i podszedł do Sornnna.

–Lepiej, żeby to było ważne.

Sornnn głęboko zaczerpnął powietrza.

–To dotyczy twojego brata, Terrettta.

–Och, niech to N’Luuura, nie obchodzi mnie nic, co masz do powiedzenia o tym szalonym V’ornnie. Nadużywasz mojej cierpliwości. Idziemy.

–Rzecz w tym – powiedział spokojnie Sornnn – że Terrettt nie jest wariatem.

–Jasne, że jest szalony. Każdy Genomatekk, który go badał...

–Genomatekcy dostają polecenia od Gyrgonów.

–Jak my wszyscy – rzekł szorstko Kurgan. – O co ci chodzi?

–Marethyn to wykryła, dzięki własnej inicjatywie i determinacji – odparł Sornnn. – W tym rzecz.

–Czemu mi sama nie powiedziała?

–Sądzę, że wiesz dlaczego, regencie. – Sornnn przypomniał sobie o ułożonym przez ojca słowniku podstawowych zwrotów języka plemienia Bey Das i też go wepchnął do swojej torby.

–Zechciej mnie łaskawie oświecić.

–Boi się.

–Też coś. Znam moją siostrę lepiej niż ty. Niczego się nie boi.

Czy w jego głosie istotnie zabrzmiała nutka dumy, czy też było to tylko pobożne życzenie Sornnna?

–Boi się, że ją zlekceważysz.

Kurgan przez chwilę baczenie się przyglądał Sornnnowi czarnymi jak noc oczami.

–Ona coś dla ciebie znaczy.

–No i co z tego? Rozmawiamy o Terrettcie.

–Wcale nie.

–Masz rację. – Sornnn uniósł ręce. – Trudno jej znieść to, że ją pogardliwie traktujesz. Sądziłem, że może byście się pogodzili, gdyby sama zaniósła ci tę wiadomość.

–Mieszasz się w sprawy Stogggulów, naczelny faktorze.

–Po raz ostatni.

–To mnie uspokaja.

Sornnn zatrzasnął torbę.

–Może byś wolał...

–Powiedz, co wykryła moja siostra – rzekł zdecydowanie Kurgan. – Inicjatywa i determinacja to cechy, które cenię.

Sornnn spojrział na frontowe drzwi, skinął głową.

–Twój brat Terrettt był obiektem eksperymentu Gyrgonów – rzekł. W ciszy, która zapadła, patrzył, jak na twarzy regenta malują się różne emocje. – Nadal jesteś nie

zainteresowany czy mam mówić dalej?

Kurgan sztywno skinął głową na znak, że ma mówić.

–Wygląda na to, że Terrettt ma nadmiernie rozrośnięty atiwar, najpierwotniejszy obszar v’ornnańskiego mózgu. To wynik celowego działania. Eksperymentowano na nim od momentu jego urodzenia. Tylko Gyrgoni mogli to zrobić.

Mistrz fałszu rozpoznawał prawdę, kiedy ją słyszał. Kurganowi zaschło w ustach; pomyślał o Terretttowym czepku noworodka, a także własnym, ukrytych w laboratorium Nith Batoxksa, i dostał gęziej skórki.

–Co... Czy ona wie, czego Gyrgoni od niego chcą?

Sornnn miał powiedzieć regentowi, że Terrettt zlokalizował te siedem portali, o które tak uporczywie dopytywał się Nith Batoxxx, lecz powstrzymał go przed tym instynkt samozachowawczy. Jak się ma do czynienia z V’ornnem takim jak Kurgan, to lepiej mieć atut w zanadrzu.

–Jeszcze nie.

Kurgan wściekle zgrzytnął zębami, cofnął się myślami w przeszłość. Od najwcześniejszego dzieciństwa był szkolony przez Gyrgona, chociaż Nith Batoxxx wolał to przed nim ukryć. Nith Batoxxx nafaszerował go narkotykiem w ogrodzie willi Starego V’ornna. I nim, i bratem manipulowano od urodzenia, a może – skąd miał to wiedzieć? – i wcześniej. A przecież dostał się nie we władzę Gyrgona, lecz obcej istoty – kundalańskiego arcydemonu Pyphorosa. O, to było tysiąc razy bardziej upokarzające! Los Nith Batoxksa nic go nie obchodził; Gyrgon zasłużył na śmierć za życia. A co do Pyphorosa... Dotknął czarnego piętna na szyi i pojął, że pała chęcią zabicia twórcy tej podstępnej intrygi.

–Nie podoba mi się tutaj. – Otrząsnął się Minnum. – Wcale a wcale.

–Uspokój się – powiedziała Riane. – Przesilenie zimowe się zbliża. Jeszcze tylko godzina do północy. Żeby ocalić Giyan, musimy jak najszybciej dotrzeć do Perrnodt.

Chwilkę wcześniej próbowała thrippingować. Lecz – podobnie jak w Axis Tyr – nie można było thrippingować w obrębie Za Hara-at. Musieli więc wracać szlakiem strumieni mocy tam, gdzie czekały Perrnodt i Thigpen.

Całun mroku spowijał cały teren wykopalisk. Wszystkie budowle sprawiały wrażenie zespolonych, miasto zaś zdawało się żywym organizmem, wykraczającym poza możliwości zrozumienia. Za Hara-at oddychało – cichy, miarowy poszum wiatru. Po tyłu eonach pogrzebana w ziemi nie wydało jeszcze ostatniego tchnienia.

Minum nieustannie oglądał się za siebie.

–Coś tu jest. Czuję to.

–Kolejni sauromicjanie?

–Nie wiem. Nie. Ich nie potrafiłbym wyczuć. Mogą się snuć jak duchy w martwej strefie pomiędzy strumieniami mocy. To coś innego. Coś, co nawet ich przeraża. – Rozejrzył się z lękiem. – A jeżeli to... – oblizał wargi – a jeżeli to arcydemon Pyphoros?

–Cokolwiek to jest, ochronisz mnie przed tym – powiedziała Riane, kiedy zmieniali strumień mocy. – Tak jak uchroniłeś mnie przed Talaasą. – Zerknęła na niego. – Mówiono mi, że będę miała zesłanego przez Miinę obrońcę. Może to ty jesteś moim Nawatirem?

–Ja??? – Zaśmiał się z zażenowaniem Minnum. – Nawet tak nie myśl, Darze Sala-at.

–Wytłumacz mi coś, Minnumie. Jesteś sauromicjanem, a mówisz o nich tak, jakby nie mieli z tobą nic wspólnego.

Minum westchnął.

–Ze smutkiem przyznaję, że masz rację. Kiedy spotkaliśmy się w muzeum, nie byłem z tobą całkiem szczery. Istotnie, jakiś czas żyłem w Korrushu, ale odszedłem stąd z ich powodu, bo wiedziałem, że po tak długim okresie bierności zaczęli gadać o zorganizowaniu się na nowo.

–Więc uciekłeś.

–Sromotny czyn. Ale co innego mogłem zrobić?

Riane milczała, w skupieniu śledząc przebieg strumieni mocy. Byli teraz na placu, którego sobie nie przypominała z trasy do studni.

Minum przeczesał dłonią zmierzwiłone włosy.

–Marzy im się, jak to powiedział Talaasa, przejęcie opactw i duchowego przewodnictwa nad Ramahankami. – Spojrzył na Riane. – Wysłuchaj mych słów, Darze Sala-at. Sauromicjanie będą z tobą zażarcie walczyć. Nienawidzą cię.

–Ale mówi o mnie proroctwo.

–Do tego właśnie zmierzam. – Minnum zamilkł na chwilę. – Zaparli się proroctw. Twierdzą, że to herezja, same kłamstwa mające dezorientować Ramahanki i doprowadzić w opactwach do chaosu. I tak się właśnie stało, mówią. To stanowi

mocny argument na ich korzyść i wiedzą o tym. Zaczęli gromadzić zwolenników i możesz być pewna, że jeszcze wielu się do nich przyłączy. Ale jest jeszcze jeden powód, dla którego musiałem stąd odejść. Kiedy sauromicjanie podjęli decyzję, zerwali wszelkie więzi z Druuge'ami i ogłosili się ich wrogami. Ja tego nie zrobiłem.

–To czemu uciekłeś do Axis Tyr, zamiast się przyłączyć do Druuge'ów na Wielkim Voorgu?

–Zrobiłbym tak, gdybym mógł. Wielki Voorg to święte miejsce. Nie wolno mi tam iść.

Riane położyła palec na ustach. Wiatr ucichł, lecz ulicami i alejami Za Hara-at niósł się inny dźwięk. Minnum zadrżał. Było to wycie – ciche, lecz głębokie, rozdzierające.

–Co to takiego? – wyszeptał mimo nakazu Riane, żeby milczał. – Mówię ci, że tu coś jest. – Rozejrzył się. – Coś złego. Czy to Pyphoros?

Riane wpatrywała się w mrok przed sobą.

–Cokolwiek to jest, znajduje się pomiędzy nami a miejscem, do którego musimy się dostać.

–Mamy czas na okrężną drogę? – zapytał Minnum.

–Nie mamy wyjścia.

Riane posłużyła się Trzecim Okiem i odnalazła inną trasę, zaczynającą się odchodzącym w lewo strumieniem mocy. Lecz kiedy tam biegła, czuła, że istota biegnie wraz z nią. Żeby się co do tego upewnić, pobiegła trochę dalej. Stwór również – i na dodatek zbliżył się. Nie mieli wyboru.

–Idź tamtędy – szepnęła Minnumowi Riane, wskazując w lewo, w prostopadłą ulicę.

–Ale ty...

–Rób, co mówię! – nakazała.

Patrzyła, jak Minnum z wahaniem, trzęsąc się, odchodzi. Serce jej mocno zabiło. Stwór się nie poruszył.

–Posłuchaj – odezwała się. – Potrzebujemy pomocy. Ten stwór z jakiegoś powodu jest zestrojony z moimi ruchami, więc musisz sam dotrzeć do Perrnodt i Thigpen i powiedzieć im, co się dzieje. Powiedz im, żeby do mnie dołączyły na placu Dylematów.

Powiedziała mu, gdzie jest ten plac, i Minnum kiwnął głową.

–Teraz już idź. Najszybciej jak potrafisz!

–Darze Sala-at...

–Nie teraz, Minnumie. – Riane umilkła, bo sauromicjan miał oczy pełne łez.

–Tak żałuję, że nie potrafię bardziej ci pomóc... – Uderzał się pięściami w głowę. – Wszystkie moje grzechy wróciły i prześladują mnie.

–Może właśnie dlatego tu jesteś. Nie trać wiary.

Minnum przełknął z trudem ślinę. Potem kiwnął głową i trochę się wyprostował.

–Znajdę drogę, Darze Sala-at. Możesz na mnie polegać.

Pokuśtykał ulicą. Po chwili zniknął w kłębiących się mrokach Za Hara-at.

Riane znów skupiła uwagę na stworze czekającym na nią przy strumieniach mocy. Potem ruszyła w stronę placu Dylematów. Czuła, jak stwór porusza się równoległe do niej, lecz – co zauważyła z ulgą – nie znalazł się bliżej. Zastona prowadziła ją nieomylnie. Lecz gdy tylko dotarła do placu, poczuła, że bruk drży pod jej stopami. Odwróciła się i ujrzała, że pojawiła się cenote. Podeszła do niej ostrożnie i przekonała się, że bruk wokół cokołu jest nieuszkodzony. Jakby studnia zawsze tu była. Stała na cokole i zajrzała do środka. Cenote była pusta,

Zerwał się wiatr, tworząc silny, krótkotrwały wir, który zaalarmował Riane. Kilka razy znajdowała się w centrum takiego wiru, kiedy posługiwała się opończą Nith Sahora. W ostatniej chwili wskoczyła do cenote, zawisała wewnątrz, trzymając się krawędzi.

Na placu pojawił się Gyrgon. Uniósł dłoń i wokół placu zapłonęły łukowe lampy, oświetlając mu drogę. Riane ze zdumieniem ujrzała, że jest z nim Kurgan i jeszcze jakiś V'ornn. Widok – pierwszy od tak dawna! – przyjaciela z dzieciństwa Annona obudził niemiłe wspomnienia pięknego ciepłego dnia, kiedy to razem podglądali Eleanę i Kurgan wziął ją siłą, choć Annon usiłował temu zapobiec... Riane warknęła bezgłośnie i przestała myśleć o tym okropnym momencie. Przyjrzała się bacznie trzeciej postaci, usiłując ją rozpoznać. Poszperała w pamięci Annona i znalazła. To był Sornnn SaTrryn.

Co Gyrgon robi w Za Hara-at? – spytała samą siebie. I przypomniała sobie, że Perrnodt mówiła, iż dopóki nie zostaną otwarte wszystkie portale, to arcydemon musi mieć nosiciela, żeby przebywać w tej sferze. Dokładniej przyjrzała się Gyrgonowi. Był bez hełmu i pod bezwłosą skórą czaszki widać było niesamowite wewnętrzne migotanie, rozświetlające pulsujące żyły, wypełnione jasną, żółtą substancją. Jego źrenice także pulsowały, rozszerzały się i zwężały, a jego usta

poruszały się, nie wydając głosu, jak u marionetki. I Riane, myśląc: „Jaką lepszą kryjówkę byś znalazł, gdybyś był Pyphorosem?”, zrozumiała, że w końcu stanęła twarzą w twarz z arcydemonem.

Była już niemal północ. Musiała tylko pozostać w cenote, niezauważona, dopóki nie odejdą w inną część Za Hara-at. Już nie miało znaczenia, gdzie Pyphoros zajrzy; nie znajdzie Zasłony Tysiąca Łez.

Sornnn SaTrryn sprawdzał coś na mapie.

–Do jakiej części Za Hara-at chcesz się udać, Nith Batoxxksie?

–Potrzebne nam cenote – rzekł Gyrgon głosem gardłowym i ochryplym od demoniej mocy Pyphorosa. – O, takiej jak ta.

Serce Riane przyspieszyło rytm. Jeśli ją znajdą, nie zdąży uratować Giyan. Lęk sprawił, że popełniła pierwszy błąd. Rzuciła Ukwieconą Różdżkę, zakłęcie osłaniające.

–A to co takiego? – Usłyszała wrzask demona tkwiącego w Nith Batoxxksie. – Poczulem magię!

Usłyszała stukot butów na bruk i wiedziała, że idą w jej stronę. Przeklinając własną głupotę, wyskoczyła z cenote i przykucnęła, kryjąc się za nią.

–Ko to? – Pełen niepokoju głos Pyphorosa zadudnił na uśpionym placu. – Co to za plugawa czarownica?

Riane wyjęła kosmiczny brzeszczot. Jeden ładunek i przetnie zbroję Gyrgona. Jeżeli zabije ciało nosiciela, Pyphoros wróci do Otchłani.

Nie było cienia, który by ją ostrzegł, i nie rzuciła Sieci Poznania, która by jej powiedziała, że arcydemon jest blisko. Pyphoros stanął na cenote, opończa Nith Batoxxksa łopotała wokół niego. Riane podniosła wzrok. Z czubków palców obciążonych rękawicami z sieci neuralnej strzeliło potężne jonowe wyładowanie i dziewczyna poleciała w tył. Broń wypadła jej z dłoni.

Drugie joniczne wyładowanie sprawiło, że rozciągnęła się na bruku, prawie nieprzytomna. Gyrgon podszedł majestatycznie. I wtedy zobaczył, czym Riane jest owinięta.

–Zasłona Tysiąca Łez! – wykrzyknął. Jego oczy płonęły. – Ty jesteś Darem Sala-at? Kobieta? – Zaczął się śmiać. – Dopiero teraz dociera do mnie, jak bardzo Miinie pomieszało się w głowie.

Riane potrzęsała głową, żeby rozjaśniły się jej myśli. Gdzież ten kosmiczny brzeszczot? Zobaczyła, że Gyrgon unosi ramiona, i spróbowała się poruszyć. Lecz nawet nie była w stanie się czołgać. Przygotowała się na kolejne joniczne wyładowanie, ale poczuła tylko mrowienie od magicznego zaklęcia i znalazła się w powietrzu, a wokół niej uformowała się klatka z czarnych i połyskliwych prętów. Z każdego pręta wyrastały ostre jak igły ciernie.

–Jestem twoim dłużnikiem, Darze Sala-at – zadrwił Pyphoros. – Sam nie znalazłbym zasłony, a tym bardziej bym jej nie wy dostał.

Poruszył palcami i cienie zaczęły się wydłużać, zbliżając się ku Riane.

–Teraz ją zdobędę. Bo mnie się ona słusznie należy. – Pyphoros wykrzywił usta Gyrgona w ohydny uśmiech. – Wiem, że jesteś uparty, Darze Sala-at. Wiem, że z własnej woli jej nie oddasz. Nie dbam o to. – Przechylił głowę. – A wiesz, jak straszliwie się cierpi, płonąc żywcem? Nie, bo i skąd? Ale zaraz się dowiesz.

Z kolców zaczęła kapać żrąca ciecz o drażniącej woni. Riane kręciła się w magicznej klatce. Lecz i tak jedna kropla spadła na jej gołe ramię i dziewczyna krzyknęła. W miejscu, na które upadła kropla, skóra zaczęła się przypiekać.

–A to co? – odezwał się Sornnn idący z Kurganem przez plac. – Co ty sobie myślisz?

Zamierzał rzucić się na Gyrgona, lecz Kurgan go powstrzymał.

–Uspokój się – wysyczał.

–Nie zamierzam się uspokoić. On torturuje...

–Tylko się narazisz – pouczył go Kurgan. – I po co?

Z prętów wyrosło tyle kolców, że Riane nie mogła ich uniknąć. Skóra zaczynała ją palić wszędzie tam, gdzie padła kropla lepkiej cieczy. Ból był tak ogromny, że niemal mdlała.

–Już wkrótce umrzesz, Darze Sala-at i zasłona będzie moja! – zawołał Pyphoros.

Sahor trzymał Ja-Gaar na krótkiej smyczy. Co prawda nie widział jej, lecz czuł. Konara Inggres najpierw się sprzeciwiała. Ale Sahor powiedział:

–Wiem, że najlepszy będzie strach. Horolagggia boi się Ja-Gaar. Ten lęk jest zakorzeniony we wszystkich demonach. Możesz mi wierzyć.

–Wierzyć V'ornnowi? – Konara Inggres potrzęsnęła głową. – Cóż, czemu nie,

skoro lepiej ode mnie zna demonologię.

Sahor szedł słabo oświetlonym korytarzem, powoli posuwając się ku centrum opactwa, gdzie ulokował się Horolagggia kontrolujący Giyan. Słyszał wokół siebie szelesty i pozwalał Ja-Gaar tu i tam powęszyć. Zwierzę było jak płonąca w mroku latarnia, odstraszaająca nocnych drapieźców. Gdziekolwiek się zwrócił Ja-Gaar, tam natychmiast cichły szelesty.

Konara Inggres chciała towarzyszyć Sahorowi. Twierdziła, że nikt tak dobrze nie zna opactwa jak ona. Lecz Sahor był nieugięty. Powiedział, że kiedy stanie twarzą w twarz z arcydemonem, wołałby w takiej chwili nie musieć się obawiać o jej bezpieczeństwo. W końcu Inggres ustąpiła i nakreśliła mu szczegółowy plan, który od razu zapamiętał.

Skrzywił się, bo kości i mięśnie mu się rozrastały. Skręcił za róg; nie przystanął pomimo bólu wywoływanego tak przyspieszonym rośnięciem. Należało utrzymywać stałe tempo. Pierwsze, czego się dowiadujesz o strachu, to że jest podstępny. Drugie – że nigdy nie należy go okazywać. Dokonywało się tego, nigdy się do niego nie przyznając, nie dopuszczając go do siebie. Bo kiedy już raz się to zrobiło, malował się na twojej twarzy i zdradzał cię. A gdy wróg ujrzał twój strach, mógł go przeciwko tobie wykorzystać. Przed własnym strachem nie miałeś obrony.

W Sahorze szalały hormony.

Ostatnie, co ujrzał przed wyjściem z pokojów konara Inggres, to twarz Eleany. Dziewczyna zdołała się jakoś podnieść z sofy i wiedział, że jeżeli zostanie choć odrobinę dłużej, to go przytuli. Więc odwrócił się i wyszedł.

Lecz obraz jej twarzy towarzyszył mu przez pierwsze pełne napięcia chwile marszu przez wrogie terytorium opactwa. Wiedział, że nie może pozwolić się przytulić, bo potem by się o nią lękał i nad tym lękiem nie zdołałby zapanować. Sahora zdumiewało to gwałtowne uczucie. Transfer w dziecko Eleany nie przypominał transferu w teyja. Po pierwsze, teyj był jego własnym dziełem, więc dokładnie wiedział, czego się spodziewać. Pozostał tym, kim był zawsze, z wyjątkiem nieco mniejszych zdolności technomantycznych, Nith Sahorem. Po drugie, dziecko Eleany było pół-Kundalaninem. Natychmiast wyczuł różnice, spotęgowanie emocji, rozluźnienie tertowych praw Gyrgonów. No i była jeszcze sama Eleana. Polubił ją. Czuł, że wplotła się w jego DNA. Już nie mógł o sobie powiedzieć Nith; nigdy już nim nie będzie. Dalej był po części Gyrgonem, ale w takiej samej proporcji był też Kundalaninem. I mężczyzną, a nie i kobietą, i mężczyzną, jak Gyrgoni.

Eleana była jego matką i tak ją postrzegał. Było to dla niego zupełnie nowe i osobliwe odczucie, chociaż to niezbyt trafne określenie. Gyrgoni nie mieli matek – a przynajmniej takich, które by pamiętali. Wyjmowano ich z łona reproduktorek jeszcze

w fazie embrionalnej, bo sprzęgnięcie z oprzyrządowaniem Bractwa było tak skomplikowane, że musiało się zacząć jeszcze przed narodzinami.

Został ukształtowany na uczonego – jak wszyscy Gyrgoni, bo nauka była podstawą ich technomancji. Lecz jak to podkreślał jego ojciec, istnieli niegdyś Gyrgoni artyści, pisarze, malarze, marzyciele. Ojciec Nith Sahora do nich należał. Uważał też, iż wszystkie wielkie postępy w technomancji były zasługą tej utraconej przed kilkoma generacjami „artystycznej natury” Gyrgonów. Dostrzegał we własnym synu zadatki na artystę.

Aż do tej pory Sahor nic z tego nie pojmował.

Za to teraz dostrzegał, że są rzeczy wnikające głębiej niż nauka, że – wbrew przeświadczeniu, w którym dorastał – kosmos był nieskończenie tajemniczy, bo nie władała nim nauka. To V’ornnowie stworzyli naukę, usiłując wyjaśnić tajemnice kosmosu. Rzeczywiście, niektóre z nich mogły być wyjaśnione, bo inaczej V’ornnowie nigdy by nie mieli grawitolotów ijonicznej broni. Lecz głębsze tajemnice, których wyjaśnienia szukali, sprawy, które wciąż ich zaskakiwały, na zawsze pozostaną poza zasięgiem technomancji.

Był przekonany, że Miina знаła wyjaśnienie tych tajemnic. A może arcydemony również.

Korytarz, którym szedł, doprowadził go do porośniętego trawą dziedzińca. Po przeciwległej stronie wznosiła się fasada świątyni, za którą – wedle słów konara Inggres – Horolagggia starannie planował upadek Ramahanek. Sahor wyczuwał wokół siebie niewidzialne oblicza, wykrzywione grymasem gniewu. Wyczuwał ich wrogość. Wrogość, przed którą ramahańska Matka starała się z mozołem przez stulecia chronić swoje podopieczne. Cały jej wysiłek poszedł na marne. Tego Nith Sahor się nauczył podczas dogłębnych studiów nad kundalańską tradycją i wiedzą. Że nawet najtroskliwsze matki nie zdołają uchronić dzieci przed zmiennymi kolejami życia. Najlepsze, co mogą zrobić, to przygotować dzieci do podejmowania samodzielnych decyzji. A jedyną drogą do tego jest nauczanie dzieci odróżniania dobra od zła. On zaś dopiero teraz – jako Sahor – pojął, że Gyrgoni nigdy nie mieli rodziców, którzy by ich nauczyli dostrzegania owej różnicy.

Ja-Gaar gardłowo warknął i pociągnął Sahora w noc, przez pociemniałą, zeschniętą trawę, ku kryjówce arcydemonów. Sahor nie bał się o siebie, lecz serca były mu szybciej z troski o matkę. Tęsknił za nią. Uświadomił sobie, że po raz pierwszy od urodzenia znalazł się z dala od niej. Tę pustkę jedynie ona mogła wypełnić. Mrugnięciem strząsnął łzy, nie pojmując co to takiego.

Ja-Gaar tak mocno go ciągnął, że Sahor ledwo się trzymał na nogach. Wszedł za zwierzęciem po stopniach świątyni i przekroczył jej olbrzymie wierzaje. Czerwonawy

blask niskich lamp z brązu był zbyt słaby, żeby rozjaśnić zalegające w kątach cienie. Na posadzce leżał ołtarz z czerwonego jadeitu, pęknięty na dwoje, jakby od jednego silnego ciosu. Sufit krył się w duszącej ciemności. Poczucie pustki było niemal namacalne. Arcydemon Horolagggia zbezczęścił świątynię.

Ja-Gaar zaczął krążyć wokół, Sahor wraz z nim. Mógłbym teraz umrzeć, pomyślał, wniknąłem do samego serca kundalańskich mitów, przestałem być członkiem Bractwa, stałem się częścią dziejów i wszystkie tajemnice przestały być ważne.

–Któż wchodzi do sanktuarium Matki?

Pojawił się Horolagggia obleczony w ciało Giyan. Sahor się zdziwił, że opętanie aż tak ją odmieniło. Być może tkwiący w niej arcydemon zniekształcił jej piękną twarz dopiero teraz, w końcowej fazie. Ledwie przypominała znaną mu kapłankę ramahańska. Było mu jej żal.

–Kto się ośmiela narażać na straszliwy gniew Matki? – Horolagggia w postaci Giyan kroczył po wyniesionej nieco mrocznej części świątyni. – Z pewnością nie jakaś inna konara. Z pewnością nie żadna Ramahanka. – Strasznie było patrzeć na szeroki uśmiech, który demon przykleił do twarzy Giyan. – Chłopiec? V'ornnański chłopiec?

Sahor nie zwracał uwagi na słowa arcydemona. Obserwował jego ruchy, bo Giyan schodziła właśnie po marmurowych stopniach, szeroko rozkładając ramiona. Sahor poluzował smycz i Ja-Gaar natychmiast skoczył naprzód.

Arcydemon zastygł w miejscu. Błękitne jak niezabudki oczy Giyan zbieleły, jakby ślepy lub należały do bardzo starej osoby.

–Nie jestem Barttą – rzekł Horolagggia. – Wielu mnie kocha. Nie wypuścisz Ja-Gaar na Giyan.

–Jestem V'ornnem – odezwał się Sahor. – Nie dbam o Kundalan. Czy to Giyan, czy ktokolwiek inny. Lecz wy, arcydemony, stanowicie dla nas zagrożenie. Odeślę was do Otchłani, każąc Ja-Gaar rozedrzeć na strzępy ciało twojej nosicielki.

–Jakże okrutnie niesprawiedliwy jest mój los! – zakrzyknął Horolagggia. – Okropnie było tkwić przez całe eony w więzieniu, lecz jeszcze gorzej być nie zrozumianym!

–Ile Ramahanek zabiłeś od swojej ucieczki? Nie można opacznie zrozumieć morderstwa.

–I to mówi ktoś, kto sam należy do rasy morderców! – zagrzemiał Horolagggia. – Jak śmiesz odsyłać mnie do więzienia, skoro to ty i twoja rasa powinniście być zamknięci na całą wieczność!

–Nie mam czasu, żeby dyskutować z tobą o etyce – stwierdził Sahor. – Tylko minuty zostały do przesilenia, do chwili, kiedy na zawsze zapanujesz nad Giyan. Nie mogę do tego dopuścić.

Sahor planował to przez cały czas. Dlatego ich przekonał, że to on, a nie Nawatir powinien stanąć twarzą w twarz z arcydemonem. Wiedział bowiem, iż ogromna miłość Rekkka do Giyan nie pozwoliłaby mu na spuszczenie Ja-Gaar ze smyczy i uratowanie ich wszystkich.

Wiedział to, a przecież zawahał się w ostatniej chwili. Ujrzał przed sobą Eleanę. A gdyby to ona tu stała, a nie Giyan? Czy pozwoliłby Ja-Gaar rozedrzeć ją na strzępy?

Niezdecydowanie go zgubiło. Spuścił na moment wzrok z Giyan i oto zza jego pleców nadszedł fałszywy Dar Sala-at, sauromicjan, którego widziała konara Inggres, i związał Sahora i Ja-Gaar paralizującym zaklęciem. Chłopiec stracił władzę w nogach, a Ja-Gaar osunął się na posadzkę, tak głęboko uśpiony, że nie zbudziło go nawet najsilniejsze szarpanie smyczą.

–O tak, czuję to! – zawołał w uniesieniu Horolagggia. Gwałtownie uniósł głowę Giyan ku kłębiącym się pod stropem mrokom. – Nadchodzi przesilenie! Zbliża się kres!

Swąd przypalanego jej własnego ciała chronił Riane przed utratą przytomności. Zwinęła się w kłębek, płonęła żywcem. Próbowwała wyciągnąć rękę, ale nie mogła się poruszyć. A potem przypomniała sobie, jak uwolniła z magicznego więzienia Matkę, i zaczęła składać litery Venca w słowa, słowa w zdania, a zdania w Wiekuistą Gwiazdę. To było niezmiernie trudne. Ból ją rozpraszał. Zapominała słowa, zapominała, co robi. Piekący ból jakoś ją ocucił i Riane biedziła się dalej. A potem tuż nad swoją głową ujrzała Wiekuistą Gwiazdę. Gwiazda zaczęła powoli wirować. Wirowała, a jej ramiona przecinały pręty więzienia Riane. Kolce na przeciętych prętach kurczyły się i znikwały z cichym pyknięciem. Wiekuista Gwiazda wirowała coraz szybciej, przesycając powietrze swoją energią, i w końcu przecięła ostatni pręt i Riane, jęcząc z bólu, spadła na bruk.

Lecz Pyphoros już ku niej kroczył, na czubkach jego palców pełgał błękitny joniczny płomień.

–Nie uciekniesz mi, Darze Sala-at – rzekł. – Nie teraz, kiedy jestem tak blisko celu. – Znajdował się ledwie o dwa kroki, pochylał się. – Zasłona należy do mnie. Dostanę ją.

Sornnn ruszył biegiem. Wypatrzył kosmiczny brzeszczot, a teraz go podniósł i popchnął po bruku ku Riane. Dziewczyna, na wpół oślepiona magicznym kwasem, usłyszała grzechot, przetoczyła się i sięgnęła po broń. Kosmiczny brzeszczot uderzył

o krawędź kamienia, odrobinę wystającego ponad inne. Zatrzymał się tuż poza zasięgiem jej rąk.

–Kto mnie zdradził? – Pyphoros się odwrócił i Sornnn dostał w pierś joniczny strzał, upadł.

Pyphoros znów patrzył na Riane.

Czy Sornnn SaTrryn nie żył? Nie wiedziała. Lecz dzięki jego bohaterskiemu czynowi miała szansę. Wyciągnęła się tak mocno, jak zdołała. Chwyciła kosmiczny brzeszczot i nacisnęła złocisty guzik. Oręż zadziałał. Ostrze było jednak blade i chwiejne i Riane zamarło serce. No ale nie miała przecież innej broni, więc obróciła się ku arcydemonowi z tą, którą dysponowała. Celowała w odsłoniętą głowę, lecz przejrzał jej zamiary, więc inaczej skierowała broń. Krawędź nie mającej końca ni początku klingi trafiła w exomatrix Gyrgona. Gniewne oczy o czerwonych źrenicach miały szalony wyraz, dostrzegła skręcającego się za nimi arcydemonia. Uniósł rękę, chcąc się ochronić, i Riane znów uderzyła, trafiając w ciało połączone z siecią neuralną. Pocięła gęsta, żółta ciecz i Pyphoros zaryczał.

Riane nie triumfowała, bo spalona skóra sprawiała jej straszliwy ból. Miała wrażenie, że jej kości się rozpadają.

Usiłowała się skoncentrować i głębiej wepchnąć kosmiczny brzeszczot, lecz ból zaczynał brać nad nią górę. Mrugała szybko, a Pyphoros podwoił wysiłki. Zachwiała się i omal nie wypuściła kosmicznego brzeszczotu. Zobaczyła, że ostrze zamigotało, a może tylko coś się działo z jej wzrokiem; już sama nie wiedziała. Zacisnęła zęby i całym ciężarem naparła na broń, poczuła, jak klinga zagłębia się w Gyrgona na kolejne centymetry.

Pyphoros znów wrzasnął. Był tak blisko, że mógł dotknąć zasłony, lecz coś go przed tym powstrzymywało. Riane pomyślała, że wie co takiego. Jej siły życiowe.

Osunęła się na kolana i usłyszała śmiech. To Pyphoros się z niej śmiał, bo umierała, a Zasłona Tysiąca Łez wpadnie wreszcie w jego łapy.

Nie mogła do tego dopuścić.

Ostrze kosmicznego brzeszczotu ledwo lśniło. Jeszcze chwila i zgaśnie, a Pyphoros zwycięży. Riane sięgnęła do kieszeni drżąca, drętwiejącą ręką i wyciągnęła kamyk z fulkaanem. Już raz przywrócił moc kosmicznemu brzeszczotowi, powinien to zrobić i teraz.

Lecz Pyphoros złapał ją za rękę, zanim zdążyła dotknąć kamykiem broni.

–Co to takiego? – zajazgotał. – Oddawaj!

Poczuła, że kamyk drży i zaczyna zeń promieniować ciepło. I wtedy znów to usłyszała – cichy, lecz przenikliwy okrzyk, który tak przeraził Minnuma.

Kurgan odwrócił się w tamtym kierunku.

–A cóż to jest, na N’Luuurę?

Stwór się poruszał. Zbliżał.

W tej chwili kosmiczny brzeszczot zamigotał i zgasł, a Riane poczuła całą miażdżącą moc zaklęcia arcydemonia. Jej świadomość poszła w ślady kosmicznego brzeszczotu i dziewczyna wiedziała, że umiera.

Spadając w dół, powróciła na wysokie skaliste zbocza Djenn Marre. Jaskrawobiałe słońce jarzyło się na niebie tak błękitnym, że aż bolały ją oczy. Tylko jedna chmura spowijała szczyt, na który się wspinała. Wtem chmura się poruszyła, zaczęła się ku niej zbliżać. Przybrała wyraźny kształt i Riane stwierdziła, że to wcale nie chmura, lecz olbrzymi czarno-biały ptak. Otworzył dziób i wydał głęboki okrzyk. Uderzeniem potężnych skrzydeł wykonał skręt, chwycił ją szponami i posadził sobie na grzbiecie...

Krzyk burzący bezruch i ciszę Za Hara-at przywrócił Riane przytomność. Ptak zniżał lot, kołując nad ruinami otaczających plac budynków. Kierował się wprost ku niej, niesamowite fiołkowe oczy natychmiast ogarnęły całą rozgrywającą się scenę.

Riane pojęła, co to za ptak. To był fulkaan, posłaniec i towarzysz proroka Jiharrego. Riane – ta prawdziwa, która straciła pamięć, zanim przeniesiono w nią jaźń Annona – znała Jiharrego Czuła, jak kamyk płonie w jej dłoni. Teraz wiedziała, dlaczego fulkaan był z nią sprzęgnięty. Przyciągnął go kamień, na którym wyryto jego podobiznę.

Pyphoros nie zwrócił uwagi na fulkaana. Chwycił zasłonę. Riane była bliska śmierci, więc jej życiowe siły już go nie powstrzymywały. Szarpał zasłonę, próbując odwinąć ją z dziewczyny.

Fulkaan szybko się zniżał, nastawiając szpony. Pyphoros w ostatniej chwili odrzucił w tył głowę i otworzył usta. Strumień magicznego ognia uderzył w fulkaana. Ptak krzyknął, ale nie zrezygnował. Pyphoros wyciągnął rękę, żeby go chwycić. Fulkaan rozpaczliwie bił skrzydłami, zaczął zmieniać kierunek lotu. Pyphoros wyrwał mu jeden szpon i odrzucił ze wstrętem.

Fulkaan nic mu nie zrobił, lecz ta chwila wytchnienia pozwoliła Riane zebrać siły.

Pyphoros przemienił palce Nith Batoxxksa w sztywne pazury i z arcydemonią siłą znów zaczął szarpać zasłonę. Riane odzyskała trochę sił, lecz to nie wystarczało.

Zasłona powoli zaczynała się odwijać.

Riane podniosła ręce, ale były pozbawione czucia. Pyphoros zrealizuje swoje największe pragnienie. Nieustępliwie odwijał zasłonę. Nic nie mogła na to poradzić.

I nagle zobaczyła Kurgana, nadchodzącego zza pleców Pyphorosa. Patrzył wrogo. Najpierw błędnie sądziła, że to nienawiść do niej. Uniósł rękę – w dłoni miał okrwawiony szpon fulkaana. Dopiero teraz mogła ocenić rozmiary ptasiego pazura, tkwiącego w mocno zaciśniętej pięści regenta. Kurgan wydał nieartykułowany okrzyk i wbił pazur w prawe oko Gyrgona. Pyphoros ryknął. Trysnęła krew i Riane przez mgnienie widziała czarny kształt, prawdziwą postać Pyphorosa.

Poczuła, jak słabnie więżące ją zaklęcie arcydemonia, i natychmiast rzuciła Ziemi Spichlerz – jej życiowa siła rośnie, znów tworzyła barierę pomiędzy zasłoną, a tymi, którzy chcieli ją sobie przywłaszczyć.

Pyphoros wił się z bólu, ale Riane już czuła, jak jej szuka, żeby znów ją pochwycić. Widziała zakrwawione oko, poruszające się w głębi oczodołu, i rzuciła Musze Oko, zaklęcie Kyofu, powodujące chaos w myślach. Było to proste zaklęcie, które Pyphoros mógł z łatwością skontrolować, lecz potrzebowała czasu, a jej siła życiowa rosła z każdą sekundą.

Skoncentrowała się na uszkodzonym oku, jedynym słabym punkcie jego magicznej zbroi – ciała gyrgońskiego nosiciela. Przebiegała w myślach ustępy dwóch świętych ksiąg -*Przeczystego Źródła* i *Księgi Zaparcia się Wiary* – źródeł Widzącego Oka, najpotężniejszej formy magii. Było tam zaklęcie zwane o-Rhen Ka. Otwierało Wrota z Czerwonego Jadeitu. Było to niezwykle niebezpieczne zaklęcie, bo burzyło równowagę gwałtownych emocji: gniewu, pożądania i miłości. Często prowadziło do obłędu, destrukcji i chaosu.

Riane zaczęła inkantację, ale zawahała się. Poczuła jednak, jak zaklęcie Pyphorosa nabiera mocy, więc – wbijając wzrok w jego zranione oko – dokończyła inkantację.

Przez chwilę nic się nie działo. Noc zdawała się nienaturalnie cicha. Potem Pyphoros zniechęca wygiął się w tył. Wpił dłonie w twarz, ale już było za późno. Oczodół pękł, czaszka się rozpadła i Pyphoros wydobył się na wierzch. Gyrgon miotał się w śmiertelnych drgawkach. Wyciekała zeń krew, a Pyphoros tracił możliwość życia w tej sferze. Życie Gyrgona zgasło. Pyphoros wrzasnął. Jego „esencja” wylała się z potrzaskanej czaszki Gyrgona. Wystrzelił w mrok nocy w postaci kłębu ciemnej mgły. Fulkaan krzyknął, uderzył w tuman dziobem, zanim zdążył go ominąć.

Riane przez chwilę klęczała oszołomiona. Żołądek podchodził jej do gardła i kręciło się jej w głowie – następstwa rzucenia o-Rhen Ka. Wtem uświadomiła sobie, że nie

ma zasłony. Początkowo myślała, że to tylko złudzenie. Potem podniosła wzrok, zamruwała i ujrzała Kurgana z chytrym uśmieszkiem na ustach – trzymał w ramionach zasłonę.

–Jakże łaskawy jest los, Darze Sala-at, bo sprawił, że dałaś mi broń przeciwko Gyrgonom.

Przez krótką chwilę obydwój – starzy przyjaciele, zagorzali wrogowie, ich miłość i nienawiść, lojalność i zdrada – byli złączeni osobliwą więzią, której żadne z nich nie pojmowało.

–Oddaj to – odezwała się Riane. – Nie masz pojęcia...

–Może i nie – rzekł Kurgan. – Ale zamierzam się dowiedzieć.

Riane wstała, a on wyciągnął sztylet.

–No dalej – syknął. – Zabicie cię będzie dodatkową nagrodą.

Skoczyła ku niemu, ale jeszcze kręciło się jej w głowie i straciła równowagę. Patrzyła, jak zbliża się ku niej sztylet. Nagle pod Kurganem ugięły się kolana i upadł na twarz, nieprzytomny. A za nim ukazał się Minnum z pięścią aż zbieła od silnego ciosu, jaki wymierzył regentowi.

–Mówiłem, że cię nie zawiodę – powiedział.

–Dzięki – wyszeptała.

Riane podniosła zasłonę i westchnęła; każda z tysiąca łez zdawała się do niej mówić. Poszła na środek placu, jak jej nakazała zasłona, i uniosła ją nad głowę, ułożyła w taki sam wzór, jaki tworzyło głęboko pod jej stopami przecięcie się strumieni mocy.

Zasłona rozchyliła się niczym płatki kwiatu i trysnęło tysiąc łez świętych smoków, uniosły się w noc, przeniknęły czas i przestrzeń, zespoliły się z nimi w jedno. Łzy były wszędzie i nigdzie. Niczym srebrzyste rybki podskakiwały i tańczyły, przemykały pomiędzy światami i wymiarami, tworzyły złożoną sieć dodatkowych chwilek, niewidzianych i nieznanych, a przecież istniejących, które stały się właściwym sensem, siłą i znaczeniem historii.

Z Ras Shamra niemal nic już nie zostało. Horolagggia śmiertelnie wykrwawił Giyan. Otoczył ją ciasno kokonem Malasocca. Każde włókno wpijało się w jej ciało, nieustannie zadając straszliwy ból. Zbliżała się godzina zimowego przesilenia. Giyan czuła, jak jej życiowa siła wycieka na skrwawioną ziemię Nadświata.

Umierała; płakała, ale nie nad sobą. Śmierć nie miała dla niej znaczenia. Płakała nad swoim dzieckiem, Annonem, któremu sama odebrała życie. Płakała nad Riane, nie znaną jej i niedoświadczoną dziewczyną, w którą była zmuszona przenieść jaźń syna. Przesilenie było tuż, tuż, a to znaczyło, że Riane się nie powiodło i że najprawdopodobniej nie żyje. Najokrutniejszy to los, który nie pozwala matce chronić własnego dziecka.

Giyan zwróciła zaczerwienione, opuchnięte oczy ku niebiosom Nadświata i czekała na pojawienie się awatary, białego smoka, który ją połknie, zmiażdży magicznymi zębiskami i zrobi z niej strawę dla arcydemonów.

Lecz biały smok się nie zjawił, za to spostrzegła, że zniknęły czerwone rozbłyski za łańcuchem gór oraz że ucichły wrzaski demonów napierających na przegrodę pomiędzy sferami, bo Nadświat istniał właśnie w tej tajemniczej przestrzeni pomiędzy dziedzinami.

Pojawiła się pojedyncza, migocząca srebrzyście łąza. Potem dołączyły do niej inne i wszystkie spłynęły deszczem, który przyniósł Giyan ogromną ulgę. Tam, gdzie upadła łąza – a padały wszędzie – wyczarowane przez arcydemonów włókna przemieniały się w uzdrawiający balsam i Ras Shamra odzyskał siły.

Odwrócony trójkąt rozsypał się w pył i Giyan nareszcie była wolna. Ras Shamra otworzył dziób i wydał przeciągły okrzyk zachwytu, który wstrząsnął posadami Nadświata. Potem wzbił się wysoko w niebo i – widząc, że wszystko jest takie jak zawsze – zniknął.

38. Grupa outsiderów

Lampy oliwne utraciły czerwony poblask i przytłaczająca ciemność umknęła ze świątyni, jakby ją przegnał słoneczny blask. Sauromicjan płonął. Nie było ognia jako takiego ani płomieni. A mimo to płonął, czerniał, twarz wykrzywił mu grymas śmierci.

Horolaggia nagle w cudowny sposób zniknął.

Ja-Gaar, na zupełnie luźnej smyczy, skoczył naprzód, gdy tylko się ocknął ze snu zesłanego zaklęciem sauromicjana. Sahor nie zdołałby go powstrzymać, nawet gdyby bardzo chciał.

Ja-Gaar napiął mięśnie i jednym susem skoczył ku Giyan. Otarł się lśniącem bokiem o jej udo. Włożyła mu dłoń w otwartą paszczę, a on zamruczał rozkosznie jak karmione niemowlę.

–Wróciłaś – odezwał się Sahor.

Giyan, piękna i promienna jak zwykle, powoli szła ku niemu, a przy niej posłusznie dreptał Ja-Gaar. Jej oczy odzyskały błękitny, niezabudkowy kolor.

Przez chwilę stała, przyglądając się Sahorowi.

–Jesteś podobny do swojego ojca. Prawie. Poznają też te oczy. To oczy Eleany.

–Jest moją matką. Lecz wiesz, kim naprawdę jestem.

Ujął dłoń, którą mu podała.

–Już nie jesteś Nith Sahorem.

–Nie jestem ani V'ornnem, ani Kundalaninem. Jestem inny.

Oczy jej lśniły.

–Tak.

Potem Giyan się odwróciła, nieco spięta. Sahor obejrzał się przez ramię. W świątyni było szesnaście kolumn. Wpatrywała się w jedną z nich, jakby ożyła.

–Wyjdź – powiedziała cicho.

Rekkk nadal krył się za kolumną.

–Tak szybko zabrakło ci odwagi, Nawatirze? – zawołał z życzliwością w głosie Sahor.

–Przyszedłem tutaj w ślad za Sahorem – odezwał się Rekkk. Serce biło mu tak szybko, że z trudem oddychał. Giyan na pewno rozpozna jego ducha, przecież jest wielką czarodziejką; a jeśli nie? A jeżeli, co gorsza, nie spodoba się jej jego nowy wygląd? Nogi się pod nim ugięły na tę myśl. – Coś pozbawiło mnie przyjemności zabicia sauromicjana.

–Zasłona Tysiąca Łez – powiedziała Giyan, wyciągając szyję, żeby na niego zerknąć. – Dzięki Miinie.

–Więc Darowi Sala-at się powiodło.

–O tak – Giyan postąpiła ku niemu. – Chcę cię zobaczyć, Nawatirze.

–Ja nie jestem...

Rekkk zebrał się na odwagę i wyszedł zza kolumny. Giyan ukazał się blondyn, brodaty, w ciemnoczerwonej pelerynie. Bładonie-bieskie oczy spojrzały na nią.

–Sama widzisz, Giyan – odezwał się Sahor – że także on, podobnie jak ja, nie jest taki jak niegdyś.

–Giyan – ochryply głos Rekkka zabrzmiał jak rozdzierający krzyk.

–Widzę, że Miina trzymała cię w ramionach.

–To był Yig.

Podeszła do niego.

–Pomyśleć tylko – szepnęła, drżąc – że spotkałeś jednego z jej świętych smoków.

–Nie bardzo wiem... – Rekkk pogładził brodę, jakoś się jeszcze do niej nie przyzwyczaił. – Te zmiany...

Giyan stanęła przed nim. Wyczuwała jego napięcie, niepewność, lęk. Wyciągnęła rękę i czubkami palców – z delikatnością i dokładnością niewidomych – powiodła po wszystkich nowych wypukłościach i bruzdach, aż poznała każdy najdrobniejszy rys jego twarzy.

–Wewnątrz nadal biją serca Rekkka. Nadal kwitnie miłość Rekkka. Czuję to w najtajniejszej głębi duszy. – Ujęła wyciągniętą ku niej dłoń Hacilara. – Obejmij mnie, Nawatirze. Nigdy nie przestanę cię kochać.

Giyan rozplakała się i Rekkk ją przytulił, ogromnie wzruszony. Tulił ją mocno i czule całował jej czoło, policzki, usta. A ona wodziła dłońmi po jego twarzy.

–Tak – szeptała. – Tak, tak, tak.

Rekkk poczuł, że jego świat znów się dopełnił.

–Bałem się, że mogę już nigdy cię nie ujrzeć.

–Straciłeś wiarę, najmilszy?

–Wprost przeciwnie. – Chłonał jej zapach; umierał z tęsknoty za nią i teraz długo, długo tulił ją z całej siły. – Odnalazłem.

Riane otworzyła oczy. Intensywne ciepło przepajało jej ciało, przepędzając ból, a nawet jego wspomnienie. Odwróciła głowę i zobaczyła spiętą Thigpen przycupniętą w pobliżu. Rappa się w nią wpatrywała. Nieustannie poruszała wąsikami.

–Już dobrze, kluseczko?

–Oczywiście. – Raine potarła czoło, obejrzała ręce i nogi, na których nie został

nawet ślad po oparzeniach; znów spojrzała na Thigpen. – Czemu przysiadłaś tak daleko?

–To przez to paskudne ptaszysko – prychnęła Rappa. – Nie pozwala mi do ciebie podejść.

Riane odwróciła głowę. Fulkaan tkwił przy niej niczym strażnik. Głowę zwrócił ku Thigpen. Dziewczyna się roześmiała, podparła na łokciu.

–No chodź. Nie ugryzie cię.

Rappa niepewnie zaczęła się zbliżać, fulkaan łypnął na Riane, ona zaś skinęła głową. Trochę dalej zobaczyła Perrnodt i Minnuma, zajmujących się Sornnem SaTrrynem. Kurgan się temu przyglądał.

Thigpen zauważyła jej spojrzenie i powiedziała:

–V'ornn Sornn SaTrryn wyzdrowieje. Łzy go leczą, tak jak wyleczyły ciebie.

–A co z Giyan? – spytała Riane. Usiadła gwałtownie, ogarnięta niepokojem. – Żyje? Umarła?

–Nie trać wiary. – Thigpen zwinęła się przy niej w kłębek. – Łzy zjawily się tuż przed wybiciem godziny przesilenia.

Riane spostrzegła, że Kurgan się jej przegląda, i zrobiło to na niej dziwne wrażenie. Nie mógł wiedzieć, że w jej ciele tkwi jaźń jego przyjaciela z dzieciństwa i zarazem wroga jego rodziny. A przecież wyczuwał w niej coś, czego nie dostrzegł, kiedy parę miesięcy temu spotkali się w pieczarach pod pałacem regenta w Axis Tyr. Wydało się jej, iż wyczytała w jego oczach chęć podejścia do niej, porozmawiania – lecz nie zrobił tego. Perrnodt coś do niego powiedziała i skupił uwagę na niej.

Thigpen wybijała rytm ogonem.

–Przynajmniej już nie musimy się obawiać demonów.

–Chciałabym w to wierzyć – westchnęła Riane.

–Co masz na myśli?

–Pomagały budować to miasto. Coś mi się zdaje, że jeszcze nie wszystko wiemy.

Fulkaan poruszył się, odwrócił głowę, spojrzał na nie przenikliwie fiołkowymi oczami. Wydał niski dźwięk i Riane dotknęła jego skrzydła.

Wyczuła niepokój Thigpen, więc pogłaskała jej miękką, gęstą sierść.

–Ten ptak to fulkaan. Wygląda na to, że znalazłam go w innym czasie i w innym miejscu.

Fulkaan krzyknął. Riane wstała, rozejrzała się i zauważyła, że Kurgan nagle zniknął. W całym tym zamieszaniu Thigpen – ani nikt inny – nie miała pojęcia, co się z nim stało. Riane wzruszyła ramionami, podbiegła do cenote, a Thigpen tuż za nią. Studnia była teraz pełna wody. Zebrały się tutaj łzy smoków. Riane usłyszała odległy zew, pochyliła się, zanurzyła dłonie. Zastona natychmiast zaczęła się odtwarzać, owijając się wokół niej i tworząc skomplikowany wzór.

Lecz cenote tylko przez chwilę pozostała pusta. Ukazała się woda, tryskająca z tajemnego źródła gdzieś w głębi, podnosiła się, lśniąca. Potem jej powierzchnia zaczęła się burzyć i Riane zebrała się w sobie, pełna obaw, że Pyphoros znów zdołał odnaleźć drogę do tej sfery.

Niepotrzebnie się obawiała, bo ze studni wyłoniła się Giyan, a za nią Eleana, kundalański wojownik wysoki niczym V'ornn i jeszcze ktoś.

Riane rzuciła się w ramiona Giyan, okręciły się dokoła.

–Dzięki, Teyjattcie – szepnęła Giyan tak, by tylko Riane mogła ją usłyszeć. – Zawdzięczam ci życie.

–Ja tobie też – odparła Riane. – Jak się tu dostałaś?

–Jeżeli wiesz, jak się w nich poruszać, to cenote tworzą magicznie złączoną sieć. – Potem Giyan opowiedziała Riane o pobycie w Opactwie Opływającej Jasności, o tym, co się tam działo i jak się dostali do Za Hara-at, korzystając ze studni w czarnym Kellu. – Konara Inggres kieruje teraz opactwem – zakończyła.

A potem dodała:

–Nie mamy się już czego obawiać. Kiedy łzy smoków odesłały Pyphorosa i Horolagggię do Otchłani, zniszczyły też pomniejszych demony, które opętały Ramahanki, oraz na nowo zapieczętowały portal, który tak niebaczenie uchyliłam, zakłócając Nantherę.

–Złamana jest również pieczęć na portalu na dnie Pierwotnej Cenote – powiedziała Riane. – To tamtędy wy dostał się Pyphoros, na długo przedtem, zanim praktykowałam Nantherę.

Giyan na chwilę się zatroskała.

–Gdy tylko całkowicie odzyskamy siły, powinniśmy się tam udać i odkryć, co spowodowało pęknięcie w Pierwotnej Cenote.

Objęła ramieniem swoje dziecko i zaprowadziła Riane do syna Eleany. Trochę trwało, nim dziewczyna przyzwyczaiła się do odmienionego wyglądu Rekkka Hacilara. Chociaż podziękowała Rekkkowi i Sahorowi za ich pomoc, to rozmawiała z nimi trochę nieprzytomnie. Kątem oka widziała Eleanę, jej smukłe silne ciało, oczy wojownika, patrzące nieśmiało, ale też gniewnie, nieufnie. Miały w pamięci swoje niemiłe ostatnie rozstanie i stało między nimi jeszcze coś, czego Riane wolą nie analizować. Ileż to razy przez ostatnie tygodnie układała w myślach rozmowę, jaką odbędą przy ponownym spotkaniu? Rozmowę, która zawsze kończyła się źle i niezręcznie.

Tylko Minnum i Sornnn trzymali się z boku. Obaj czuli, że właściwie nie należą do tamtej grupki. Szybko zawarli znajomość i każdy był pod wrażeniem wiedzy drugiego o Korrushu i Za Hara-at. Sornnn powiedział, że rozważa pozostanie w Za Hara-at i że ciekawi go, czy Minnum byłby zainteresowany wspólnymi pracami w starożytnej cytadeli. Kiedy Minnum odczekał przystał na tę propozycję, SaTrryn poczuł, jak umacnia się jego postanowienie pozostania przy wykopaliskach.

Rankiem wysłał wiadomość do partyzantów i zapytał co z Marethyn. Niepokoił się o nią, to prawda, ale również podziwiał jej chęć sprawdzenia własnych możliwości i działania na własny rachunek. I tak lęk o nią stał się dla niego cenny. Stał się miarą siły jego miłości. Stwierdził, że lubi od czasu do czasu „przyglądać się” temu lękowi, żeby sobie przypominać, jak radykalnie zmieniło się jego życie. Doświadczał tego lęku jako tkwiącej w jego wnętrzu oazy spokoju – jakby Marethyn ulokowała tam swoją ufność, dar, który miał odnaleźć po jej odejściu.

Kiedy Riane poznała Giyan z Perrnodt, natychmiast między nimi zaiskrzyło – co by ją bardzo zainteresowało, gdyby nie miała w głowie Eleany. Zostawiła je, pogrążone w rozmowie o magii, i podeszła do Eleany, spokojnie rozmawiającej z Sahorem. Eleana otaczała ramieniem wąską talię swojego syna. Sahor, którego intuicja zatrącała o telepatię, skinął głową Riane, pocałował matkę w policzek i niespiesznie ruszył ku fulkaanowi. Już się stał miłośnikiem osobliwych kundalańskich stworzeń, widząc w nich kolejny klucz do tajemnic Kundali, którego poszukiwał Nith Sahor, od kiedy wylądował na tej planecie.

Riane i Eleana przez jakiś czas patrzyły na siebie w milczeniu.

–Przepraszam, że tak postąpiłam przy rozstaniu – zaczęła Riane. – Nie powinnam tak się zachowywać.

Eleana zaś powiedziała:

–Zauważyłam, jak patrzysz na Sahora. Wiem, że w jego twarzy dostrzegasz rysy Kurgana. Nie znieńwiedz go, proszę.

–Ma twoje oczy.

–Nie jest Kurganem i nigdy nie będzie.

Oddaliły się trochę od grupki outsiderów; tak teraz każdy z nich o sobie myślał. Niebo zaczynało się rozjaśniać na wschodzie. Niezwykle czyste powietrze Korrushu rozświetlała słaba poświata, można było dostrzec Wielki Ryft w Djenn Marre i uwierzyć, że jest odległy zaledwie o parę kilometrów.

–Sądziłam, że mnie nienawidzisz za to, że cię obraziłam – mówiła Eleana.

–Nie – odparła natychmiast Riane. – Nigdy.

–To czemu nagle stałaś się taka zimna?

–Ja się... bałam.

Eleana się jej przypatrywała.

–Czego się bałaś?

Riane nie mogła powiedzieć jej wszystkiego.

–Nie jesteśmy przyjaciółkami – powiedziała cicho Eleana. – Nigdy nie byliśmy tylko przyjaciółkami.

Riane poczuła, że ściska ją w gardle.

–Kiedy zajrzysz śmierci w twarz, zmieniasz się. Ty się zmieniasz i cały sens twojego życia. Jest to dla mnie zupełnie jasne po tym, przez co przeszliśmy w ostatnich tygodniach. – Eleana podeszła bliżej. – Bez względu na konsekwencje nie powinniśmy się obawiać wyznania tego, co mamy w sercach. – Jej twarz nigdy nie była tak piękna i poważna. – Śnię o tobie, kiedy jesteśmy rozdzielone. A kiedy cię widzę, nie potrafię zachować spokoju. Jeszcze nigdy do nikogo czegoś takiego nie czułam. – Zatrzymała się kilka kroków od Riane. – Powiedz coś, proszę.

Cóż mogłabym powiedzieć? – pytała samą siebie Riane. Słowa „Kocham cię” wydawały się takie nieodpowiednie. A nawet budziły strach swoimi implikacjami. Czuła na biodrze ciężar sztyletu Annona – tego, który dostał od Eleany. Instynktownie zacisnęła dłoń na rękojeści. Nie była już Annonem, lecz przy Eleanie, widząc ten wyraz jej oczu, wiedziała, że Annon nadal żyje.

Jej milczenie okazało się błędem, bo skłoniło Eleanę do zadania pytania, którego Riane najbardziej się obawiała.

–Dlaczego Giyan dała ci sztylet Annona?

–Bo... – Słowa uwięzły Riane w krtani. Dokoła nich budziło się do życia Za Hara-at; w powietrzu wyczuwało się ruch, poszum; mógł to być trzepot skrzydeł finbaatów lub powiew łagodnego porannego wietrzyka; lecz w ten sposób mogło również dawać o sobie znać coś ogromnie starego co wreszcie się budziło po eonach snu. – Bo masz rację. Bo nie jesteśmy przyjaciółkami. Bo nigdy nie byliśmy tylko przyjaciółkami.

Dodatek I

Główne postaci

KUNDALANIE

Giyan – bliźniaczka Bartty; kochanka Eleusisa Ashery; matka Annona Ashery

Bartta – bliźniaczka Giyan; ramahańska konara, przewodnicząca Dea Cretan

Riane – osierocona dziewczyna; Dar Sala-at

Eleana – dziewczyna z głębi kraju

Ramahanki z Opactwa Opływającej Jasności:

konara Urdma – przełożona opactwa

konara Lyystra

konara Inggres

V'ORNOWIE

Annon Ashera – najstarszy syn Eleusisa Ashery

Kurgan Stogggul – najstarszy syn Wennna Stogggula

Marethyn Stogggul – młodsza siostra Kurgana

Terrett – brat Kurgana

Tettsie – babka Marethyn (ze strony matki)

Sornnn SaTrryn – naczelny faktor, potomek bashkirskiej rodziny kupców korzennych

Bronnn Palln – bashkirski poplecznik rodziny Stogggulów, pominięty przy

nominacji na naczelnego faktora

Nith Sahor – Gyrgon

Nith Batoxxx – Gyrgon (patrz: Stary V'ornn)

Rekkk Hacilar – niegdyś khagguński dowódca szwadronu, teraz Rhynnon

Olnn Ryddlin – niegdyś pierwszy kapitan w oddziale Rekkka Hacilara, teraz gwiazdny admirał

Stary V'ornn – mentor Kurgana; alter ego Nith Batoxxksa

Lokck Werrrent – generał polny, khagguński dowódca korytarza Krainy Zamarznętych Stawów

Mukc Wiiiin – jego adiutant flankowy

Gall Fullom – szanowany Bashkir

Aceton Bled – komendant szturm w oddziałach Ollna Ryddlina Kwenn – pierwszy kapitan Haaar-kyut Kurgana

Dobbro Mannx – bashkirski notariusz; znajomy Tetsie

Petrre Aurrr – matka Sorinna SaTrryna

Rada – Tuskuggun, właścicielka tawerny „Krwista Fala”

Jesst Vebbn – Genomatekk odpowiadający za „eksperymenty rekombinacyjne”

Kirlll Qandda – Deirus; przyjaciel Sorinna SaTrryna

Nith Isstal – protegowany Nith Batoxxksa

Nith Recctor – sprzymierzeniec Nith Sahora

Nith Settt – zwolennik Nith Batoxxksa

Nith Nassam – zwolennik Nith Batoxxksa

Mieszkańcy Korrushu

Pięć plemion:

Jeni Cerii – wojownicy; stolica: Bandichire

Gazi Qhan – mistycy; stolica: Agachire

Rasan Sul – kupcy korzenni; stolica: Okkamchire

Beyy Das – historycy/archeolodzy; wielu zamieszkuje w Im-Therze, miejscowości przylegającej do wykopalisk na terenie Za Hara-at

Han Jad – rzemieślnicy; stolica: Shelachire

Othnam – członek sekty Ghorów w plemienu Gazi Qhan

Mehmmer – siostra Othnama

Paddii – sprzymierzeniec Othnama i Mehmmer

Makktuub – kapudaan Gazi Qhan

Jiharre – prorok Gazi Qhan

Tezziq – pierwsza konkubina Makktuuba

Mu-Awwul – starszy Ghorów

Perrnodt – ramahańska kapłanka

Pozostali

Malistra – czarownica Kyofu

Thigpen – Rappa, jedno z magicznych stworzeń Miiny

Matka – arcykapłanka Miiny

Courion – sarakkoński kapitan; przyjaciel Kurgana Stogggula

Jerryln – naczelnik czwartej rolniczej gminy Dystryktu, największej z siedmiu

Minnum – kustosz Muzeum Nieprawdziwych Wspomnień

Cushsneil – kundalański dialektyk (nieżyjący)

Majja – bojowniczką ruchu oporu

Basse – bojownik ruchu oporu

Kasstna – dowódca komórki partyzanckiej Majji i Basse'a

Dodatek II

U V'ornnów istnieje ścisły podział na kasty. Przedstawia się on następująco:

WYŻSZA KASTA

Gyrgoni – technomagowie

Bashkirzy – kupcy korzenni

Genomatekcy – medycy

NIŻSZA KASTA

Khaggguni – żołnierze

Mesaggguni – robotnicy

Tuskuggun – kobiety

Deirusi – zdegradowani medycy, ich rola ogranicza się do opieki nad zmarłymi i psychicznie chorymi

Dodatek III

Wymowa

W języku V'ornnów potrójne spółgłoski mają odrębne brzmienie. Poza podanymi niżej wyjątkami pierwsze dwie litery zawsze wymawia się jak „w”

Khagggun – Kow-gun

Tuskuggun – Tus-kew-gun

Mesagggun – Mes-ow-gun

Rekkk – Rawk

Wennn Stogggul – Woon Stow-gul

Kinnnus – Kew-nus

okummmmon – ah-kow-mon

okuuut – ah-kowt

K'yonnno – Ka-yow-no

salamuuun – sala-moown

Olnnn – Owl-lin

Sornnn – Sore-win

Hadinnn – Had-ewn

Bronnn Palln – Brown Pawln

Teyjattt – Tey-jawt

seiggggon – sew-gon

skcetta – shew-tah

looorm – loo-orm

bannntor – bown-tor

Kannna – Kaw-na

Keffiir Gutttin – Kew-fear Gew-tin

Ourros – Ow-ros

Jusssar – Jew-sar

Julii – Jew-el

Nefff – Newf

Batoxxx – Bat-owx

boulllas – bow-las (jak w ang. bow)

Hellespennn – Helle-spawn

Argggedus – Ar-weeg-us

Kiedy „y” poprzedza bezpośrednio potrójną spółgłoskę, jest wymawiane jako „ew”, jak w ang. shrewd:

Ryddddlin – Rewd-lin

Rhynnnnon – Rew-non

Tynnn – Tewn, lecz: K'yonnno – Ka-yow-no

Poniższe słowo nie należy do języka V'ornnów, więc potrójna spółgłoska nie podlega powyższym regułom:

Centophennni – Chento-fenny

Potrójne samogłoski wymawia się dwa razy, tworząc odrębną sylabę:

Haaar-kyut – Ha-ar-key-ut

leeesta – lay-aysta

numaaadis – nu-ma-ah-dis

liiina – lee-eena

N'Luuura – Nu-Loo-ooora

„Y” w języku vormiańskim wymawia się zazwyczaj jak „ea” (jak w ang. tear):

Gyrgon – Gear-gon

„Sa” jest wymawiane „say”:

SaTrryn – Say-trean

„Kha” wymawia się jak „ko”, a „ka” jak „ka”:

Khagggun – Kow-gun

Kannna – Kaw-na

„Ch” zawsze wymawia się twardo:

Morcha – More-ka

Bach – Bahk

„Skc” zawsze wymawia się miękko:

skcetta – shew-tah

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-01-07

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/